

Danielle Steel

Raz w życiu

W wigilijną noc Daphne Fields ciesząca się ogromną popularnością pisarka w ciężkim stanie po wypadku trafiła do szpitala. Okazuje się, że jedyną bliską osobą, którą może o tym powiadomić, jest jej sekretarka a za razem przyjaciółka. Czyżby piękna i sławna Daphne była w gruncie rzeczy osobą całkowicie samotną! Jaką tajemnicę skrywa jej prywatne życie? Kim są Andy i Matthew, których imiona wypowiada w gorączce! i czy jej wypadek istotnie był wypadkiem!

Johnowi,
z niezmiennym oddaniem Olive

RAZ W ŻYCIU

To zdarza się raz,
zawsze raz,
nie ma drugiego
wśród chwil, pierzchających jak myszy,
życie tak szybko ulatuje w przeszłość,
i zdarza się tylko najśmielszym, najsilniejszym, wiernym sobie.
Gdy przyjdzie twoja chwila, nie pozwól jej przejść mimo, bo miłość przemyka
jak przelotny błysk,
chwila umrze, zostanie ci pustka
i głuche dzwonienie w głowie,
serce będzie wiedzieć, kiedy,
więc gdy usłyszysz niemy szept losu, o, nie tchórz wtedy, drogi przyjacielu,
ponieważ w końcowym rachunku miłość warta jest każdej ceny, majątku, ofiary. Oto straciłeś
wszystko, i wygrałeś, bo ona tryumfuje,
bo gdy zjawia się prawdziwa miłość, nie liczy się nic prócz niej.
d. s.

Kiedy w Wigilię Bożego Narodzenia pada śnieg, cały Nowy Jork rozmywa się w mglistych nierealnych półtonach. Odnosi się wrażenie, jakby każda z jaskrawych barw miasta z osobna mieszała się ze śniegiem. Gdy spogląda się przez okno na Central Park, widać tylko jednolitą ścianę białych płatków, otulających świat grubą pierzyną. Wszystko wydaje się takie spokojne, takie ciche, mimo iż w dole, na ulicach, rozbrzmiewają odgłosy Nowego Jorku. Panuje tam nastrój podekscytowania, słychać klaksony, nawoływania ludzi, tupot kroków i gwar ulicznego ruchu. Tylko że te dźwięki są w jakiś osobliwy sposób oddalone i wytłumione. A przecież to szczytowy moment powszechnej euforii, towarzyszącej Wigilii Bożego Narodzenia, i atmosfera przesiąknięta jest tym szczególnym, cudownym napięciem, które za chwilę wybuchnie kaskadą zachwytów, prezentów... Obladowani stosami pakunków przechodnie śpieszą do domów, w przejmującym zimnie śpiewają kolędy, swój ostatni wieczór celebryje armia lekko wstawionych, czerwoniczych świętych Mikołajów. Kobiety, mocno ściskające rączki swoich pociech, w jednej chwili krzyczą na nie, żeby uważały, bo się przewrócą, by zaraz w następnej zanieść się wesołym śmiechem. Wszyscy wołają unisono „wesołych Świąt”, wszystkim w tę jedyną noc w roku udziela się niepowtarzalny, pogodny nastrój. Portierzy radośnie machają na pożegnanie, uszczęśliwieni świątecznymi napiwkami. Jutro czy za tydzień całe to uniesienie będzie zapomniane, prezenty rozpakowane, wino wypite, pieniądze wydane, ale dziś, w wigilijny wieczór, nic się jeszcze nie skończyło, przeciwnie, wszystko dopiero się zaczyna. Dla dzieci to kulminacja wielomiesięcznych wyczekiwań, dla dorosłych — kres tygodni pełnych gorączkowej krzątaniny, przyjęć, zakupów, spotkań, poszukiwanie upominków... Czas nadziei, jasnych jak świeży śnieg, nostalgicznych uśmiechów wywołanych wspomnieniami odległego dzieciństwa i dawno zapomnianych uczuć. Czas wspomnień, marzeń i miłości.

Śnieg wciąż sypał jednostajnie, gdy uliczny ruch powoli zaczynał zamierać. Panowało przenikliwe zimno i tylko nieliczni najwytrwalsi wędrowali jeszcze po skrzypiącym pod butami śniegu. To, co stopniało w ciągu dnia, pod wieczór znowu zmieniło się w lód, złowrogo prześwitujący spod kilkunastu centymetrów świeżego puchu. Każdy krok groził upadkiem. Około jedenastej, z wyjątkiem metra, ruch ustał zupełnie. Zapanowała niezwykła jak na Nowy Jork cisza, tylko z rzadka dobiegał skądś dźwięk klaksonu lub czyjeś przytłumione wołanie o taksówkę.

W tej ciszy głosy kilkunastu osób, wychodzących z przyjęcia w domu nr 12 przy Sześćdziesiątej Dziewiątej Wschodniej, rozbrzmiewały niczym bicie dzwonów w środku nocy. Towarzystwo śmiało się, podśpiewywało, widać było, że przyjęcie udało się wspaniale. I rzeczywiście, szampan lał się strumieniami, w bród było też gorącego rumu z masłem i wina przyprawionego korzeniami. Nie zabrakło, rzecz jasna, wielkiej choinki ani pełnych mis prażonej kukurydzy. Każdy przy

wyjściu dostał drobny upominek: flakonik perfum, bombonierkę, śliczny szalik, książkę. Gospodarzami przyjęcia byli wieloletni krytyk literacki „New York Timesa” i jego żona — uznana pisarka, a ich zaproszeni na ten wieczór przyjaciele tworzyli interesującą mozaikę, od dobrze zapowiadających się literatów po słynnych wirtuozów. Wśród przybyłych znalazło się miejsce zarówno dla światłych umysłów, jak i głośnych piękności. Oto jacy goście zapełnili dzisiaj wielki salon tego nowojorskiego domu. Pomiedzy nimi krążyli lokaj oraz dwie pokojówki, nieprzerwanie roznosząc przekąski i drinki. Było to tradycyjne coroczne przyjęcie świąteczne i jak co roku miało potrwać do trzeciej, czwartej nad ranem.

Wśród owej nielicznej gromadki, która wcześniej opuściła dom, znajdowała się drobna blondynka w kapeluszu uszytym z norek. Jej smukłe ciało było szczelnie otulone długim, puszystym futrem w kolorze czekolady. Kołnierz, podniesiony dla osłony przed wiatrem, niemal całkowicie zasłaniał twarz. Ostatni raz skinęła pozostałym ręką na pożegnanie, mówiąc, że pójdzie do domu sama. Nie chciała jechać z nimi taksówką. Tego wieczoru miała już dość towarzystwa. Wigilia Bożego Narodzenia zawsze była dla niej trudnym dniem i przez długie lata spędzała ją u siebie, w domu. Ale w tym roku wyjątkowo zapragnęła przynajmniej na krótko spotkać się z przyjaciółmi. Jej pojawienie się wszystkich zaskoczyło, ale też sprawiło obecnym nie ukrywaną przyjemność.

— Miło znowu cię widzieć, Daphne. Dobrze, że wróciłaś. Pracujesz nad nową książką?

— Właśnie zaczęłam — spojrzenie wielkich niebieskich oczu było łagodne, słodczyz, która emanowała z delikatnych rysów twarzy, nie pozwalała odgadnąć prawdziwego wieku jej właścicielki.

— To znaczy, że skończysz ją w przyszłym tygodniu? Pisarska aktywność Daphne była już legendarna, lecz przez cały ostatni rok zajęta była filmem, który kręcono na podstawie jej powieści.

Uśmiechnęła się promiennie. Zdążyła się przyzwyczaić do żartobliwych przycinków znajomych. Zawsze pobrzmiewało w nich coś bliskiego zazdrości, zaintrygowania, a także szacunku. Niewątpliwie wzbudzała w ludziach wszystkie te uczucia. Daphne Fields pilnie strzegła swej prywatności, ciężko pracowała, była ambitna i stanowcza. Widywano ją na ogół w literackich kręgach. Jeśli się gdzieś zjawiała, sprawiała wrażenie nieobecnej. Wydawało się, że stale pozostaje o jeden krok z boku, bliźniutko, lecz poza zasięgiem innych. Gdy jednak na kogoś spojrzała, ten ktoś miał uczucie, że jej wzrok sięga samego dna duszy. Jakby umiała dostrzec w człowieku wszystko, równocześnie nie pozwalając na to nikomu w stosunku do siebie. Dziesięć lat wcześniej była zupełnie inna. Wówczas, mając dwadzieścia trzy lata, była towarzyska, wesoła, trochę prowokująca... Ale wtedy czuła się pewna, bezpieczna, szczęśliwa. Teraz przygasła, ślad dawnego

beztroskiego śmiechu pojawiał się tylko czasami w błysku jej oczu, a jego echo skryło się głęboko we wnętrzu jej istoty.

Na rogu Madison Avenue usłyszała za sobą stłumiony przez śnieg odgłos czyichś kroków.

— Daphne! Odwróciła się gwałtownie.

— Jack?

Jack Hawkins był dyrektorem programowym wydawnictwa „Harbor and Jones”, dla którego obecnie pisała. Stał teraz przed nią z twarzą zaczerwienioną z zimna, a jego załzawione od wiatru oczy nabrały intensywnie niebieskiej barwy.

— Może jednak cię podwieziemy?

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. Po raz któryś uderzyło go, jak bardzo jest drobniuteńka, spowita w szerokie futro z norek, gdy tak przytrzymuje kołnierz dłońmi w zamiszowych rękawiczkach.

— Dziękuję, nie. Naprawdę wolę się przejść. Mieszkam tuż obok.

— Jest późno.

Ilekcć ją widział, miał ochotę wziąć ją w ramiona. Co nie znaczy, by kiedykolwiek to zrobił. Ale chciał tego, podobnie jak mnóstwo innych mężczyzn. Mając trzydzieści trzy lata, Daphne wciąż wyglądała na dwadzieścia pięć, a niekiedy wręcz jak nastolatka. Bezbronna, świeża, subtelna. I jeszcze coś: ta przeszywająca serce samotność w jej oczach bez względu na to, jak szeroko się uśmiechała, jak ciepłe było jej spojrzenie... Bo rzeczywiście była kobietą samotną, choć na pewno na to nie zasłużyła. Gdyby na świecie istniała jakaś sprawiedliwość, byłoby inaczej. Ułożyło się jednak właśnie tak.

— Już północ, Daff... — obejrzał się z wahaniem w stronę swojego towarzystwa, oddalającego się powoli w kierunku zachodnim.

— Jest Wigilia, Jack. I zimno jak diabli — uśmiechnęła się, w jej wzroku zapaliły się iskierki humoru. — Nie sądzę, żeby dzisiaj ktoś zechciał mnie napaść.

Odwzajemnił uśmiech. — Ale możesz się poślizgnąć na tym lodzie i upaść.

— Aha! I złamać rękę! Wobec czego przez całe miesiące nie mogłabym pisać. O to ci chodzi, co? Nie martw się. Termin złożenia książki upływa dopiero w kwietniu.

— Na miłość boską, przestań! Proszę cię, chodź z nami na drinka.

Stała na palcach i pocałowała go w policzek, kładąc mu jedną dłoń na ramieniu.

— Jeszcze raz bardzo ci dziękuję. Idź już. Nic mi nie będzie.

Zrobiła pożegnalny gest, odwróciła się i szybko ruszyła ulicą, chowając brodę w kołnierz. Nie rozglądała się na boki, nie patrzyła na wystawy sklepowe ani na nielicznych mijanych przechodniów. Podmuchy wiatru na odsłoniętej części twarzy sprawiały jej przyjemność. Na myśl,

że wkrótce będzie w domu, odetchnęła z ulgą. Zmęczył ją ten wieczór. Męczyły ją wszelkie tego rodzaju przyjęcia, choćby spotykała na nich samych znajomych i choćby okazywały się najbardziej udane. Wszystkie były do siebie podobne. Tylko że w tym roku nie chciała spędzać Wigilii samotnie w swoim mieszkaniu. Nie chciała pograżać się we wspomnieniach, czuła, iż dzisiaj nie potrafiłaby tego znieść. Niestety teraz, mimo mrozu szczypiącego w policzki, wszystkie owe wspomnienia opadły ją znowu. Przyśpieszyła kroku, jakby chciała je prześcignąć, zostawić za sobą.

Prawie na oślep dotarła do rogu, zerknęła na jezdnię i widząc, że nic nie nadjeżdża, pomyślała, iż dla pieszych pali się zielone światło. Wciąż gnała ją niedorzeczna nadzieja, że jeśli dostatecznie szybko minie tę i następną ulicę, uda jej się zgubić wspomnienia, uwolnić od ich ciężaru, chociaż wiedziała, że towarzyszą jej zawsze i wszędzie, a co dopiero w wigilijny wieczór.

Madison Avenue przebyła niemal biegiem. Poślizgnęła się i byłaby upadła, w ostatniej chwili zamachała ramionami i złapała równowagę. Na kolejnym skrzyżowaniu odruchowo skręciła w lewo, by przejść jeszcze jedną ulicę. Jednakże tym razem nie podniosła wzroku. Nie dostrzegła samochodu, długiej czerwonej furgonetki, pełnej pasażerów, której kierowca śpieszył się, by przejechać na zielonym świetle. Światło, które dla Daphne było jeszcze czerwone... Kobieta siedząca obok kierowcy przeraźliwie krzyknęła, rozległ się głuchy odgłos uderzenia, drugi urwany krzyk z wnętrza samochodu i niesamowity dźwięk, gdy pojazd sunął bezwładnie po oblodzonej nawierzchni, zanim w końcu znieruchomiał. Na moment zapadła śmiertelna cisza. Zaraz potem wszystkie drzwi samochodu otworzyły się jednocześnie i z pół tuzina osób wyskoczyło na zewnątrz. Teraz nikt już nie krzyczał. Nikt nie odezwał się słowem, gdy kierowca biegł w stronę leżącej na jezdni kobiety, która przypominała porzuconą szmacianą lalkę z twarzą ukrytą w śniegu.

— O mój Boże... O Boże...

Kierowca stał chwilę bezradnie pochylony, po czym odwrócił się gwałtownie ku jednej ze swoich towarzyszek, która podążyła za nim. W jego oczach malowało się przerażenie zmieszane z wściekłością, jakby chciał kogoś oskarżyć o to, co się stało. Wszystko jedno kogo, byle zrzucić winę z siebie.

— Na miłość boską, wezwijcie gliny!

Uklęknął wreszcie przy Daphne, lecz nadal jej nie dotykał, bojąc się zaszkodzić rannej. A może jeszcze bardziej bał się tego, że ma przed sobą już tylko zwłoki.

— Czy ona... żyje?

Na śniegu obok kierowcy przyklęknął drugi mężczyzna z oddechem przepojonym zapachem alkoholu.

— Nie wiem.

Ofiara wypadku zdawała się nie oddychać. Nie wykonała najmniejszego ruchu, nie zdradzała żadnych oznak życia. I nagle człowiek, który ją potracił, zaczął cicho płakać.

— Zabiłem ją, Harry... Zabiłem ją — wyciągnął ręce i obaj mężczyźni, nie podnosząc się z klęczek, objęli się w milczącej rozpacz. W tym czasie obok furgonetki zatrzymały się dwie taksówki i pusty autobus. Kierowcy wybiegli ze swoich wozów, raptem zapanował ożywiony ruch. Ludzie zaczęli głośno mówić, wyjaśniać: wybiegła prosto pod maskę... nawet nie spojrzała... nie widział jej... jest ślizgawica, nie mógł się zatrzymać...

— Gdzie, do cholery, podziewa się policja?! Nigdy ich nie ma, kiedy są potrzebni! kierowca furgonetki brzydko zaklął. Płatki śniegu wirowały wokół jego głowy i raptem złapał się na tym, że w myślach powtarza słowa kolędy: „Cicha noc, święta noc...” Tak niedawno ją śpiewali... Teraz ta kobieta leży przed nim w śniegu, martwa lub może konająca, a tych przeklętych glin jak nie było, tak nie ma.

— Proszę pani...? Proszę pani, czy pani mnie słyszy? — kierowca autobusu ukląkł przy Daphne i pochylił się, niemal dotykając twarzą jej twarzy, żeby wyczuć oddech.

— Żyje — uniósł głowę i spojrzał po pozostałych. — Macie koc? — spytał, nikt jednak nie zareagował. — Daj mi przynajmniej swój płaszcz — rzucił niecierpliwie, patrząc na sprawcę wypadku, który wyglądał jak sparaliżowany. — Na litość boską, człowieku, ta kobieta może właśnie umiera! Ściągnij płaszcz...

Mężczyzna, do którego skierowane były te słowa, ocknął się w końcu. Wraz z dwoma innymi okryli Daphne całą stertą płaszczy.

— Nie próbujcie jej ruszać! — Kierowca autobusu, stary Murzyn, wiedział, co należy robić w takich sytuacjach. Poprawił okrycia, które przygniatały bezwładną kobietę, po czym jedno z nich ostrożnie wsunął jej pod twarz, aby uchronić ją przed odmrożeniami. Chwilę później pojawiło się wreszcie oczekiwane migające czerwone światło — przybyła karetka miejskiego pogotowia ratunkowego. Dla jej załogi był to pracowity wieczór, jak zresztą każda Wigilia. Zaraz za karetką, z rozdzierającym, wrzaskliwym wyciem syreny, pojawił się samochód policyjny.

Obsługa karetki niezwłocznie ruszyła ku Daphne, w przeciwieństwie do policjantów, którym najwyraźniej się nie śpieszyło. Kierowca furgonetki wyszedł im naprzeciw. Był już znacznie spokojniejszy, tylko dygotał z zimna, ponieważ jego płaszcz wciąż leżał na jezdni. Jedyne Murzyn z autobusu asystował sanitariuszom, gdy ostrożnie układali Daphne na noszach. Ranna ani razu nie jęknęła, jakby do jej świadomości nie docierało, że coś ją boli. Kierowca autobusu dostrzegł jednak, że ma liczne zadrapania na twarzy i w kilku miejscach jest pokaleczona. Ale na śniegu, tam gdzie leżała, nie pozostało zbyt wiele krwi.

Policjanci wysłuchali zeznania kierowcy furgonetki, po czym oznajmili mu, że nie zostanie zwolniony, zanim nie podda się badaniu krwi na zawartość alkoholu. Jego współpasażerowie podnieśli wrzawę wykrzykując, że kierowca był trzeźwy, że wypił dużo mniej niż wszyscy i że Daphne wbiegła na jezdnię przy czerwonym świetle, nawet nie rzuciwszy okiem w lewo czy w prawo.

— Przykro mi, to rutynowe postępowanie — policjant nie wydawał się zbyt przejęty położeniem kierowcy. Jego twarz nie wyrażała też żadnych uczuć, gdy przenosił wzrok na Daphne. Jeszcze jedna kobieta, jeszcze jedna ofiara, kolejny wypadek. Prawie co wieczór oglądał dużo gorsze rzeczy. Napady, pobicia, gwałty, morderstwa. — Żyje?

— Tak — kierowca karetki zrobił krótki ruch głową. — Ale ledwo zipie. — Daphne założono właśnie maskę aparatu tlenowego i rozpięto futro, żeby posłuchać bicia serca. — Jeśli się nie pośpieszymy, będzie po niej.

— Dokąd ją zabieracie? — spytał policjant i zapisał w notesie: „Biała kobieta, wiek nieokreślony, prawdopodobnie po trzydziestce”.

Kierowca karetki, zatraskując za Daphne drzwiczki, odkrzyknął przez ramię: — Do Lenox Hill. To najbliżej. Wątpię, żeby przetrzymała dłuższą drogę.

— Znowu jakaś niezidentyfikowana? — Oznaczałoby to dodatkowy kłopot, tego wieczoru bowiem odesłali już do kostnicy dwie bezimienne ofiary zabójstw.

— Nie. Miała torebkę.

— W porządku, pojedziemy za wami. Spiszę wszystko na miejscu.

Kierowca karetki kiwnął tylko głową i zniknął w szoferce, by natychmiast ruszyć w kierunku Lenox Hill. Natomiast trzęsący się z zimna kierowca furgonetki, który z trudem usiłował włożyć płaszcz, zwrócił się do policjanta: — Zaaresztujecie mnie? — znowu był przerażony. W ułamku sekundy Boże Narodzenie przemieniło się dla niego w koszmar. Nie schodził mu z oczu widok Daphne, leżącej z twarzą wtuloną w śnieg.

— Nie, chyba że jesteś pijany. W szpitalu zrobią ci badanie krwi. Niech któryś z twoich znajomych siądzie za kierownicą i jedzie za nami.

Mężczyzna przytaknął i wślizgnął się do auta. Jeden z jego towarzyszy natychmiast zajął miejsce za kierownicą.

Ludzie jadący w furgonetce pustymi ulicami w ślad za podwójną syreną w stronę Lenox Hill zachowywali milczenie. Przez całą drogę nikt nie przerwał ponurej ciszy.

W pokoju zabiegowym panowała gorączkowa krzątanina. Armia ubranych na biało ludzi poruszała się z precyzją doskonale zgranego baletu. Zespół, złożony z trzech pielęgniarek i lekarza dyżurnego, przystąpił do akcji natychmiast, jak tylko sanitariusze z karetki wtoczyli wózek z leżącą na nim Daphne. Równocześnie wezwano drugiego lekarza, który pełnił właśnie dyżur, oraz internistę. Futro z nerek pofrunęło odrzucone na krzesło, a teraz błyskawicznymi ruchami rozcinano Daphne sukienkę. Była to szafirowoniebieska koktajlowa kreacja z aksamitu, którą pewien czas temu Daphne kupiła u Giorgia na Beverly Hills, co naturalnie przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie w momencie, gdy pocięta na kawałki suknia znalazła się na podłodze.

— Pęknięta miednica... złamane ramię... rany darte obydwu nóg... — Na jednym udzie widniało głębokie przecięcie, z którego tryskała krew. — Tutaj o mały włos poszłaby tętnica udowa... — Lekarz pracował szybko. Wstępne podstawowe badania, puls, oddech. Daphne była w szoku, miała twarz białą jak śnieg, na który tak niedawno upadła. W jej wyglądzie było teraz coś nieludzkiego, jakiś przerażający brak indywidualności, jakby przestała być kimś, a stała się czymś, bez osobowości, bez imienia. Była po prostu jeszcze jednym ciałem. Jeszcze jednym przypadkiem, ale przypadkiem poważnym. Cały zespół wiedział, że musi się śpieszyć i nie może popełnić najdrobniejszego błędu, jeśli pacjentka ma zostać uratowana. Złamanie ramienia było widoczne, prześwietlenie wykaże, czy nie jest złamana także noga.

— Urazy głowy? — rzucił pytanie drugi lekarz, nie przerywając podawania dożylnie jakiegoś specyfiku.

— I to ciężkie — starszy z lekarzy sprawujących dyżur zaświecił Daphne w oczy specjalną latarką. — Chryste, całkiem jakby ją ktoś zrzucił ze szczytu Empire State Building.

Twarc Daphne była zakrwawiona. Przynajmniej w sześciu miejscach koniecznie należało założyć szwy. Szykowało się również zajęcie dla miejscowego chirurga plastycznego.

— Będziemy potrzebować Garrisona. Wezwijcie go.

— Co jej się właściwie stało?

— Potrącił ją samochód.

— Potrącił i przejechał?

— Nie, facet się zatrzymał. Policjanci mówią, że do teraz wygląda tak, jakby miał dostać ataku serca.

Pielęgniarki w milczeniu obserwowały zabiegi lekarzy. Potem powoli przewiozły Daphne do sąsiedniego pomieszczenia na prześwietlenie. Pacjentka w dalszym ciągu leżała w zupełnym bezruchu.

Prześwietlenie wykazało złamanie miednicy i ramienia, w kości udowej było pęknięcie szerokości włosa, ale urazy czaszki okazały się mniej groźne, niż się obawiano. Stwierdzono

jednak poważny wstrząs mózgu, toteż zalecono stałą obserwację, spodziewając się konwulsji. Pół godziny później Daphne znalazła się na stole operacyjnym. Po opanowaniu krwotoku wewnętrznego lekarze składali jej kości, zakładali szwy na twarzy, robili co w ludzkiej mocy, by ocalić jej życie. Biorąc pod uwagę jej drobną budowę i siłę, z jaką uderzył w nią samochód, Daphne miała ogromne szczęście, że nie zginęła na miejscu. Nie znaczyło to, iż niebezpieczeństwo już minęło. Wciąż znajdowała się w stanie krytycznym, co zostało uwidocznione w karcie choroby. O czwartej trzydzięci nad ranem przewieziono ją z sali operacyjnej na oddział intensywnej terapii. Dyżurna pielęgniarka, rzuciwszy okiem na kartę Daphne, skamieniała ze zdumienia.

— O co chodzi, Watkins? Nie widziałas dotąd podobnego przypadku? — spytał cynicznie lekarz. Pielęgniarka odwróciła się i szepnęła wzburzona:

— Czy pan wie, kto to jest?

— Jasne. Kobieta, którą tuż przed północą potrafił samochód na Madison Avenue. Złamana miednica, pęknięcie kości udowej...

— Wie pan co, doktorze? Nie zostanie pan naprawdę kimś w tym zawodzie, dopóki chorzy będą dla pana tylko przypadkami. —• Od siedmiu miesięcy obserwowała, jak wykonuje swoje rzemiosło. Czynił to perfekcyjnie, nie zdradzając przy tym żadnych ludzkich uczuć. Był świetnym fachowcem, lecz w to, co robił, nie wkładał serca.

— Dobrze już, dobrze — zmęczony lekarz machnął ręką. Nie najlepiej rozumiał się z pielęgniarkami, ale zaczynało do niego docierać, że tej tutaj może chodzić o coś ważnego.

— Więc kim ona jest?

— Nazywa się Daphne Fields — pielęgniarka powiedziała to niemal z nabożną czcią.

— Wspaniale. Wciąż jednak ma te same problemy, jakie miała, zanim poznałem jej nazwisko.

— Czy pan w ogóle niczego nie czyta?

— Ależ czytam. Podręczniki i czasopisma medyczne — rzucając tę szybką, niby to ironiczną odpowiedź, nagle się zreflektował. Daphne Fields? Przecież jego matka znała wszystkie książki tej autorki. Młody, pewny siebie lekarz zamilkł na moment. Wreszcie mruknął: — Jest bardzo znana, prawda?

— Jest chyba najbardziej znaną pisarką w kraju.

— Niewiele jej to pomogło dzisiejszej nocy. — W jego wzroku, gdy ponownie spojrzął na nieruchomą postać w masce tlenowej, pojawił się jednak cień współczucia. — Cholernie przykry sposób spędzania świąt.

Długą chwilę stali jeszcze przy łóżku Daphne, po czym wolno udali się w kierunku pokoju dyżurnych pielęgniarek. Na monitorach kontrolnych wiły się linie, informujące o stanie każdego z pacjentów leżących na jasno oświetlonym oddziale intensywnej terapii. Tu dzień nie różnił się od

nocy. Wszystko przebiegało w tym samym jednostajnym rytmie, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zdarzało się, że ciągle światło, pulsowanie monitorów i szum aparatury podtrzymującej życie doprowadzały niektórych pacjentów niemal do hysterii. Nie było to zaciszne miejsce, jednakże osoby, które tu trafiały, były zbyt chore, aby cokolwiek zauważać lub przeciwko czemuś protestować.

— Sprawdziliście w jej papierach, czy jest ktoś, kogo powinniśmy zawiadomić? — Pielęgniarka chciała wierzyć, że w przypadku tak sławnej osoby jak Daphne Fields mnóstwo ludzi pragnęłoby teraz być przy niej. Mąż, dzieci, agent, wydawca, bliscy przyjaciele. Pamiętała jednak, iż w artykułach, jakie czytała na jej temat, zawsze podkreślano, że Daphne szczególnie zazdrośnie strzeże swej prywatności, i dlatego prawie nikt nic o niej nie wie.

— Nie miała przy sobie niczego poza prawem jazdy, szminką, paroma wizytówkami i jakimiś drobnymi.

— Sprawdzę jeszcze raz — pielęgniarka otworzyła dużą, brązową kopertową torebkę, przygotowaną do złożenia w sejfie, i ponownie przejrzała jej zawartość. Przekładając tak swobodnie rzeczy Daphne Fields, poczuła się przez chwilę kimś ważnym, ogarnęło ją zarazem zawstydzenie, jakby popełniała jakąś niegodziwość. Przeczytała wszystkie powieści napisane przez tę kobietę, zakochiwała się w mężczyznach zrodzonych w jej wyobraźni i od lat myślała o Daphne jak o osobie szczególnie sobie bliskiej. A teraz bezkarnie przeszukuje jej torebkę, jakby robiła to codziennie. W księgarniach ludzie wystawali godzinami w kolejkach, by otrzymać jeden uśmiech tej znanej pisarki albo autograf, a ona grzebie w jej rzeczach niczym pospolity złodziejasek.

— Jest pani pod wrażeniem, co? — młody lekarz patrzył na nią zaintrygowany.

— To wspaniała kobieta, o niezwykłym umyśle — oczy pielęgniarki mówiły więcej niż słowa. — Wielu ludziom dała dużo radości. Były chwile... — wolałaby o tym nie opowiadać, ale uznała, że nie wolno jej milczeć. Że jest to winna Daphne Fields, która będąc w tak rozpaczliwym stanie potrzebowała ich pomocy. — Były chwile, kiedy zmieniała moje życie... wskrzeszała we mnie nadzieję... sprawiała, że znowu zaczynało mi na czymkolwiek zależeć.

Było tak na przykład wtedy, gdy Elizabeth Watkins straciła męża w katastrofie lotniczej. Pragnęła wówczas także umrzeć. Wzięła roczny urlop i siedziała w domu, pogrążona w żałobie, przepijając rentę po Bobie. I właśnie wtedy znalazła w książkach Daphne coś, co ją przeobraziło. Jak gdyby Daphne Fields ją rozumiała, jakby świetnie знаła ten rodzaj bólu, który ją poraził. I nagle Elizabeth zapragnęła znowu żyć, znowu stawiać czoło światu. Wróciła do szpitala, wiedząc w głębi duszy, że sprawiła to Daphne. Jak jednak miała teraz wytłumaczyć to temu młodemu lekarzowi? — Jest mądrą i wspaniałą kobietą — powtórzyła tylko. — I jeśli w jej obecnej sytuacji będę mogła cokolwiek dla niej zrobić, na pewno to zrobię.

— Cóż, niewątpliwie to dla niej szczęśliwa okoliczność — lekarz westchnął i wziął do ręki kartę następnego pacjenta, notując jednak w pamięci, by powiedzieć przy najbliższym spotkaniu z matką, że zajmował się Daphne Fields. Był przekonany, że będzie tym poruszona nie mniej niż Elizabeth Watkins.

— Doktorze Jacobson? — zatrzymał go w drzwiach cichy głos pielęgniarki.

— Tak?

— Czy ona z tego wyjdzie?

Lekarz zawahał się przez moment, po czym wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Za wcześnie, by coś wyrokować. W każdym razie jej obrażenia wewnętrzne i wstrząs mózgu pozwolą nam jeszcze przez jakiś czas zarabiać pieniądze. Dostała potężne uderzenie w głowę — lekarz odwrócił się i odszedł. Potrzebowali go także inni chorzy. Czekając na windę zastanawiał się nad istotą tego nieuchwytnego daru, który sprawia, że ktoś roztacza wokół siebie jakąś mistyczną niemal aurę. Przecież nie może chodzić tylko o to, że Daphne Fields umie wymyślić dobrą historyjkę. Musi się za tym kryć coś więcej. Coś, co sprawia, iż ludzie tacy jak pielęgniarka Watkins czują się z nią osobiście związani. Czy też to jedynie urzeczenie, autosugestia? Tak czy inaczej, lekarz miał nadzieję, że uda się uratować Daphne. Nie lubił tracić żadnego pacjenta, ale jeśli w grę wchodził ktoś znany, jego śmierć sprowadzała dodatkowe kłopoty. A tych miał aż nadto.

Kiedy za lekarzem zamknęły się drzwi windy, Elizabeth Watkins wróciła do przeglądania papierów Daphne Fields. Dziwne, ale nie było w nich śladu wzmianki o kimś, kogo należałoby zawiadomić w razie wypadku. W ogóle nic zwracającego uwagę. Aż nagle znalazła, wciśniętą w boczną kieszonkę, fotografię małego chłopca. Była porysowana i miała pogięte rogi, ale wydawało się, że zrobiono ją stosunkowo niedawno. Chłopiec był ślicznym, jasnowłosym dzieckiem o niebieskich oczach i zdrowej, złotej opaleniznie. Siedział pod drzewem, uśmiechał się szeroko i wykonywał rączkami jakieś dziwne ruchy. Była to jedna jedyna rzecz mówiąca o Daphne odrobinę więcej ponad to, co widniało w jej prawie jazdy czy na kartach wizytowych. Poza tym torebka była zupełnie pusta, jeśli nie liczyć dwudziestodolarowego banknotu. Daphne Fields mieszkała przy Sześćdziesiątej Dziewiątej Wschodniej, między parkiem a Lexington. Pielęgniarka wiedziała, że musi to być budynek elegancki i dobrze strzeżony. Czy jednak ktoś czekał w tym domu na Daphne? Elizabeth uprzytomniła sobie ze zdumieniem, że nadal nic o niej nie wie. W torebce nie było nawet kartki z numerem telefonu, pod który można by zadzwonić. Rozmyślenia przerwał jej alarmujący sygnał jednego z monitorów, wobec czego wraz z drugą pielęgniarką pośpieszyła do chorego, leżącego w pokoju 514, u którego poprzedniego ranka wystąpiło zatrzymanie akcji serca. Okazało się, że znowu poczuł się gorzej, spędziły więc przy nim przeszło godzinę. Dopiero pod sam koniec

dyżuru, o siódmej rano, Elizabeth Watkins mogła ponownie zajrzeć do Daphne. W tym czasie jednak co piętnaście minut zaglądały do niej trzy inne pielęgniarki, od których Watkins dowiedziała się, że w stanie pacjentki nic się nie zmieniło.

— Jak z nią?

— Nic nowego.

— Puls i ciśnienie?

— Od wczoraj bez zmian. — Elizabeth jeszcze raz przebiegła wzrokiem kartę informacyjną chorej, po czym złapała się na tym, że uparczywie wpatruje się w twarz pacjentki. Mimo bladości i spowijających ją bandaży miała w sobie coś zniewalającego. Pragnęło się wręcz, żeby Daphne Fields wreszcie otworzyła oczy i żeby można było zrozumieć ich spojrzenie. Watkins długo stała w milczeniu, delikatnie gładząc palcami dłoń chorej, i raptem powieki Daphne zaczęły nieznacznie drżeć. Pielęgniarka poczuła, że serce wyrывa jej się z piersi. Oczy Daphne otworzyły się powoli i choć zamglone, zdawały się szukać czegoś w otoczeniu. Widać było jednak, że Daphne nie ocknęła się jeszcze z gorączkowego snu i że z całą pewnością nie zdaje sobie sprawy, gdzie się znajduje.

— Jeff? — zabrzmiał ledwie słyszalny szept.

— Wszystko w porządku, pani Fields. — Watkins z góry założyła, że Daphne Fields jest mężatką. Mówiła jej wprost do ucha, cichym, kojącym głosem, wyrobionym przez lata praktyki. Głosem, który wywoływał u pacjentów westchnienie ulgi i wzbudzał w nich ufność, że przy tej pielęgniarce nic złego nie może ich spotkać.

Daphne jednak nadal była niespokojna. Z lękiem usiłowała skoncentrować wzrok na twarzy Elizabeth.

— Mój mąż... — w jej pamięci odżył zawodzący głos syren, który słyszała minionej nocy.

— On czuje się dobrze, pani Fields. Wszystko w porządku.

— Poszedł po dziecko... Dziecko... Ja nie mogłam... Nie... — zabrakło jej sił, żeby dokończyć to, co chciała powiedzieć.

— Nic pani nie grozi, pani Fields... Niech pani będzie spokojna... — Watkins znowu delikatnie głaskała rękę Daphne, myśląc równocześnie o jej mężu. O tej porze musiał już wpaść w panikę, zastanawiając się, co mogło przytrafić się jego żonie. Ale jak to się stało, że Daphne znalazła się na Madison Avenue sama, o północy, w Wigilię Bożego Narodzenia? Ta kobieta rozpalala w niej nieposkromioną ciekawość. Jacy ludzie wypełniali jej życie? Czy byli podobni do tych, których opisywała w swoich książkach?

Daphne ponownie zapadła w ciężki narkotyczny sen, a pielęgniarka Watkins poszła odnotować swoje wyjście w książce dyżurów. Nie powstrzymała się, by nie powiedzieć swojej następczyni:

— Czy wiesz, kogo tu mamy?

— Niech zgadnę. Świętego Mikołaja! No właśnie, wesołych Świąt, Liz.

— Nawzajem — odpowiedziała z uśmiechem zmęczona Elizabeth Watkins. To była długa noc.
— Daphne Fields.

— Wiedziała, że jej koleżanka też czytała kilka powieści Daphne.

— Naprawdę? — pielęgniarka obejmująca dyżur była zaskoczona. — Bardzo z nią źle?

— Zobacz sama. — Na karcie choroby Daphne widniał duży czerwony symbol, oznaczający, że pacjentka wciąż znajduje się w krytycznym stanie. — Przywieźli ją z chirurgii około wpół do piątej. Dopiero kilka minut temu odzyskała na chwilę przytomność. Kazałam Jane zapisać to w jej karcie.

— Pielęgniarka skinęła głową, po czym spojrzała na Liz.

— Jaka ona jest? — ledwo to powiedziała, uświadomiła sobie, że pytanie było bez sensu. Czego można się dowiedzieć od kogoś znajdującego się w takim stanie jak Daphne? — Nic, nic — uśmiechnęła się z zakłopotaniem. — Wiesz, ona mnie zawsze fascynowała.

— Mnie również — przyznała szczerze Liz.

— Czy ona ma męża?

— Tak. Zapytała o niego, jak tylko otworzyła oczy.

— Jest tutaj? — Margaret McGowan, pielęgniarka przejmująca dyżur, była zaintrygowana prawie tak samo jak Elizabeth.

— Jeszcze nie. Nie mieliśmy go jak zawiadomić. W dokumentach nie było numeru telefonu. Powiem o tym na dole. Jej mąż jest już pewnie śmiertelnie przerażony.

— To będzie dla niego cholerny wstrząs w świąteczny poranek. — Obie kobiety smutno pokiwały głowami, po czym Liz Watkins podpisała się w książce i wyszła. Zanim jednak opuściła szpital, wstąpiła do biura prowadzącego ewidencję z wiadomością, że Daphne Fields ma męża o imieniu Jeff.

— I tak nic nam to nie da.

— Czemu?

— Jej numer jest zastrzeżony. Nazwisko Daphne Fields nie figuruje w spisie. Sprawdzaliśmy już wczoraj.

— Zobaczcie pod Jeff Fields. — Wiedziona ciekawością Liz Watkins postanowiła poczekać jeszcze parę minut, żeby się przekonać, czy tym razem poszukiwania będą bardziej skuteczne. Dziewczyna przy biurku wykręciła numer informacji, ale okazało się, że również żaden Jeff Fields nie ma telefonu. — Może Fields to pseudonim literacki?

— Jeśli tak, to tym gorzej dla nas.

— Więc co zrobimy?

— Poczekamy. W tej chwili jej rodzina powinna już szaleć z niepokoju. Ktoś wreszcie zawiadomi policję i ta zacznie przeszukiwać szpitale. Wtedy wszystko się wyjaśni. Nie mamy przecież do czynienia z kolejną niezidentyfikowaną ofiarą wypadku. Zresztą w poniedziałek będziemy mogli zadzwonić do wydawcy. — Dziewczynie w centralnej kartotece szpitala także nie było obce nazwisko Daphne. Spojrzała na Liz z zaciekawioną. — Jak ona wygląda?

— Jak pacjentka potrącona przez samochód — Liz zrobiło się nagle bardzo smutno.

— Przeżyje?

— Mam nadzieję — westchnęła pielęgniarka.

— Ja też. Jezu, to jedyna autorka, jaką mogę czytać. W ogóle rzucę książki, jeżeli ona umrze. — Nie było to powiedziane poważnie, ale Liz opuściła biuro zirytowana. Jakby leżąca na górze kobieta nie była żywym człowiekiem, tylko nazwiskiem na okładce powieści.

Wyszła na śnieg, roziskrzony zimowym słońcem, i stwierdziła, że nie może oderwać myśli od osoby, która kryje się pod nazwiskiem Daphne Fields. Rzadko zdarzało jej się wspominać swoich pacjentów w drodze do domu, lecz dziś myślała o kobiecie, którą od ponad czterech lat traktowała w duchu jak kogoś znajomego. Kiedy doszła do stacji metra Lexington Avenue, na Siedemdziesiątej Siódmej, zatrzymała się nagle, uświadomiwszy sobie, że odruchowo stale odwraca głowę w kierunku centrum miasta. Dom wymieniony w adresie widniejącym na wizytówkach Daphne znajdował się zaledwie osiem przecznic stąd. Dlaczego nie miałyby pójść teraz, od razu, do Jeffa Fieldsa, który z pewnością odchodzi od zmysłów z lęku o żonę? Wykraczałoby to wprawdzie poza ramy rutynowego postępowania, ale ostatecznie wszyscy są tylko ludźmi. Mąż Daphne powinien jak najprędzej dowiedzieć się o tym, co zaszło. Miał do tego prawo. Jeśli mogła osobiście przekazać mu wiadomość i oszczędzić dalszych nerwowych poszukiwań, czemu miałyby tego nie zrobić?

Nogi niosły ją niemal same, gdy szła po śniegu świeżo posypanym solą. Dotarła do Sześćdziesiątej Dziewiątej Wschodniej, skręciła w Park Avenue i chwilę później stała już przed budynkiem, do którego zmierzała. Wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażała. Był to duży, elegancki dom, wzniesiony z kamienia, z ciemnozielonym daszkiem nad wejściem. Portier w liberii, czuwający tuż za drzwiami, uchylił je i zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

— Tak?

— Czy tu mieszka pani Fields? — Niesamowite, przebiegło jej przez głowę. Od czterech lat czyta książki Daphne i nagle dopytuje się o nią w holu jej domu niczym stara koleżanka.

— Pani Fields jest nieobecna.

Elizabeth zauważyła, że portier ma angielski akcent, zupełnie jakby występował w filmie. Albo jak ktoś ze snu.

— Wiem. Chciałabym porozmawiać z jej mężem. Portier zmarszczył brwi.

— Pani Fields nie ma męża — zostało to powiedziane zbyt autorytatywnym tonem, by można było spytać, czy ten człowiek jest pewny tego, co mówi. Może dopiero zaczął tu pracować? A może Jeff był tylko kochankiem Daphne? Ale powiedziała przecież wyraźnie „mój mąż”. Przez moment Liz stała bezradnie, po czym spytała:

— Czy jest ktoś u niej w domu?

— Nie — portier spoglądał na nią coraz podejrzliwiej, więc zdecydowała się wyjaśnić sytuację.

— Wczoraj wieczorem pani Fields miała wypadek — dla uwiarygodnienia swoich słów rozpięła płaszcz, odsłaniając biały fartuch. Pokazała też czepek, który niosła w plastikowej torebce. — Jestem pielęgniarzką, pracuję w szpitalu Lenox Hill. W rzeczach pani Fields nie znaleźliśmy żadnej wzmianki

o jej najbliższych krewnych. Pomyślałam, że może...

— Czy pani Fields bardzo ucierpiała? Czy wyzdrowieje? — portier zmienił się na twarzy. Był autentycznie przejęty.

— Jeszcze nie mamy pewności. Jej stan wciąż jest krytyczny. Dlatego postanowiłam tu przyjść. Czy ktoś w ogóle mieszka razem z nią?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową. — Nie. Codziennie przychodzi pokojówka, ale oczywiście tylko w dni powszednie. A sekretarka pani Fields, Barbara Jarvis, będzie dopiero w przyszłym tygodniu. — Tak oświadczyła sama Barbara, wręczając mu świąteczny napiwek od Daphne.

— Nie wie pan, jak można się skontaktować z tą sekretarką?

Portier ponownie zaprzeczył ruchem głowy. Nagle Liz przypomniało się zdjęcie małego chłopczyka. — A gdzie jest synek pani Fields?

Mężczyzna spojrzał na nią jak na kogoś, komu brakuje piątej klepki, ale równocześnie w jego tonie odezwała się dziwna nuta, ni to wyzywająca, ni przeprasająca:

— Ona nie ma dzieci, panienko. — Zaledwie Liz zdążyła pomyśleć, czy nie było to kłamstwo, głos portiera odzyskał dawną pewność. — Widzi pani — rzekł z godnością — ona jest wdową.

Liz odczuła te słowa jak uderzenie. Zrozumiała, że nie istnieje już nic, o co mogłaby jeszcze zapytać. Chwilę później znowu szła ulicą, w mroźny poranek, czując, że do oczu napływają jej łzy. Nie wywołało ich jednak zimno, lecz nagłe ostre wspomnienie własnej poniesionej straty. Wydawało jej się, że na nowo, całą swoją istotą, przeżywa śmierć męża. Ból

i żal odezwały się w niej z taką siłą jak w ciągu pierwszego roku po owej katastrofie lotniczej, która go zabrała. Więc Daphne naprawdę wiedziała... Nie snuła opowieści zaczerpniętej tylko z wyobraźni. Wiedziała. Sama przez to przeszła.

To odkrycie sprawiło, że Liz Watkins, zmierzającej wolno w stronę stacji metra u zbiegu Sześćdziesiątej Ósmej Wschodniej i Lexington Avenue, Daphne stała się jeszcze bliższa niż dotychczas. Też była wdową i też mieszkała samotnie. Nie miała nikogo prócz sekretarki i pokojówki. Jakże smutne życie dla kogoś, kto pisze książki tak przepojone zrozumieniem ludzi, współczuciem i miłością. Kto wie, może Daphne Fields jest równie samotna na świecie jak ona? Idąc schodami w czeluści metra pod ulicami Nowego Jorku, pielęgniarka Watkins czuła, że między nią a Daphne zadzierzgnęła się nowa, mocna więź.

3

Daphne leżała w swoim własnym dryfującym obłoku mgły. Nagle wydało jej się, że przez ten obłok prześwituje dalekie, mocne światło. Gdy z wielkim wysiłkiem starała się na nim skoncentrować, przybliżało się na moment, po czym znowu zasnuwała je mgła. Zupełnie jakby odpływała od brzegu w nieokreślonym kierunku, tracąc z oczu ostatnie zarysy lądu z mrugającą do niej z oddali latarnią morską. Odnajdywała coś dziwnie znajomego w tym świetle, w dobiegających skądś dźwiękach, w zapachu, który budził w niej niemal uchwytnie wspomnienia. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, ale czuła wyraźnie, że w tym miejscu kiedyś już była i że zarówno ono samo, jak i te w jakiś szczególny sposób znajome dźwięki i zapachy budzą w niej grozę. Oznaczają coś bardzo, bardzo złego. Raptem wydała przez sen przeraźliwy krzyk, ponieważ pod powiekami ujrzała nieprzebytą ścianę płomieni. Szybko zjawiała się dyżurna pielęgniarka i zrobiła jej kolejny zastrzyk. Po chwili płomienie zgasły, ból minął, wspomnienia odbiegły i Daphne ponownie odpłynęła, otulona miękką, pierzastą chmurą, taką, jakie widać z okien samolotu. Są niereczywiste, nieskazitelne, ogromne... Chmury, na których chciałoby się skakać i tańczyć... W tym momencie usłyszała gdzieś za sobą własny śmiech i w sennym urojeniu odwróciła się, by spojrzeć na Jeffa. Jeffa takiego, jakim był dawno temu...

— Ścigajmy się do tej wydmy, Daffodil! O, tej tam, daleko!

Daffodil... Daffy Duck... Daffy Queen... Śmieszny Pyszczek... Nazywał ją tysiącem imion, a w jego oczach tlił się wtedy śmiech. Śmiech i jeszcze coś niewypowiedziane ciepłego, co pojawiała się wyłącznie wtedy, kiedy patrzył na nią. Ten wyścig był jednym z ich niezliczonych, wesołych, młodzieńczych szaleństw. Długie, świetnie umięśnione nogi Jeffa goniły jej szczupłe, zgrabne nóżki. Wyglądała przy nim jak letni kwiatusek na wzgórzu gdzieś we Francji, jak dziecko z wielkimi niebieskimi oczami w opalanej twarzy i złotymi włosami, tańczące na wietrze.

— Już nie mogę, Jeffrey... — śmiała się, pędząc obok niego po piasku. Biegła szybko, lecz dla niego naturalnie nie stanowiła żadnej konkurencji. Mając dwadzieścia dwa lata wyglądała jak dorastająca panienka.

— Ależ możesz, możesz! Dalej! — Zanim dobiegli do wydmy, podciął jej nogi i chwycił ją w ramiona. Jego usta przywarły do warg Daphne z namiętnością, która zapierała jej dech zawsze, gdy jej dotykał, tak samo jak wtedy, za pierwszym razem, kiedy miała dziewiętnaście lat. Spotkali się na konferencji Stowarzyszenia Prawników, którą obsługiwała dla „Daily Spectatora”. Zamierzała zrobić magisterium z dziennikarstwa i właśnie z pełnym samozaparciem pisała cykl artykułów o młodych, zdolnych adwokatach, traktując swoje zadanie ze śmiertelną powagą. Jeff natychmiast zwrócił na nią uwagę, zbył swoje towarzystwo jakąś wymówką i zaprosił ją na lunch.

— Nie wiem, czy powinnam... mam pracę... — w jej włosach upiętych na karku w węzeł w kształcie ósemki tkwił ołówek, w dłoni mocno ścisnęła notes, a w utkwionych w Jeffreyu ogromnych, niebieskich oczach zapalały się figlarne iskierki, jakby przekomarzała się z nim bez słów. — Czy ty także nie powinienesz popracować?

— Oboje nie będziemy próżnowali. Wykorzystasz lunch, żeby zrobić ze mną wywiad — odparł. Dopiero parę miesięcy później wypomniała mu to zarozumiałstwo, zresztą najzupełniej niesłusznie. On po prostu nieprzytomnie zapragnął побыć z nią trochę sam na sam. I dopiął swego. Kupili butelkę białego wina, jabłka, pomarańcze, francuską bułkę oraz ser, po czym poszli daleko w głąb Central Parku, wypożyczyli łódkę i leniwie krążyli po jeziorze, rozmawiając o jego pracy, ale głównie

o niej, o jej studiach, podróżach do Europy, wakacjach spędzanych w dzieciństwie w Południowej Kalifornii, Tennessee i Maine. Matka Daphne pochodziła właśnie z Tennessee. Córka odziedziczyła po niej coś, co powodowało, że ludziom nie znającym jej bliżej kojarzyła się z kruchą pięknnością z Południa. Wrażenie to jednak pryskało zaraz przy pierwszej rozmowie, gdy okazywało się, jaka jest śmiała

i bezpośrednia. Jeff nie taił, że inaczej wyobrażał sobie styl bycia eterycznej piękności z Południa. Dowiedział się wtedy, że ojciec Daphne był bostończykiem i że dopiero po jego śmierci matka przeniosła się wraz z nią w swoje rodzinne strony. Daphne miała wówczas dwanaście lat. Żle się tam czuła i nie mogła się doczekać chwili, gdy będzie mogła wyjechać do college'u w Nowym Jorku, jak to sobie postanowiła.

— A co na to twoja matka? — Interesował się wszystkim, co jej dotyczyło. Nie zadowolilo go to, co już usłyszał, chciał wiedzieć więcej i więcej.

— Chyba postawiła na mnie krzyżyk — powiedziała z rozbawieniem Daphne. Jej oczy znowu błysnęły wesoło w znany już Jeffowi sposób, który poruszał go do głębi. Było w niej coś nieodparcie pociągającego, jakaś zniewalająca kombinacja seksu i słodczy, za którą kryły się również stanowczość i odwaga.

— Doszła do wniosku, że pomimo jej wszelkich wysiłków wyrosłam na cholerną Jankeskę. I nie tylko. Popeliłam niewybaczalny błąd: nauczyłam się robić użytek z mózgu.

— Twoja matka tego nie pochwała? — zaśmiał się Jeffrey. Coraz bardziej mu się podobała. Odwracając z trudem oczy od rozcięcia bładoniebieskiej bawełnianej spódnicy, odsłaniającego zgrabne nogi Daphne, zdał sobie sprawę, że wręcz diabelnie mu się podoba.

— Kobiety z Południa bywają bardzo skryte. Może właściwiej byłoby powiedzieć: chytre. Jest wśród nich wiele piekielnie mądrych, ale tego nie okazują. Wolą się maskować powiedziała przeciągając głoski, z południowym akcentem, którego nie powstydzilaby się Scarlett O'Hara. Oboje wybuchnęli śmiechem. Był piękny, lipcowy dzień, gorące słońce wisiało wprost nad ich odkrytymi głowami. — Moja matka skończyła historię. Interesuje się średniowieczem, ale nigdy by się do tego nie przyznała. Jest po prostu piękną z Południa, wiesz... — ponownie zaciągnęła śpiwnie i uśmiechnęła się do niego tymi chabrowymi oczami. — Kiedyś zdawało mi się, że chcę zostać prawnikiem. Jak to wygląda w praktyce? — zadając to proste pytanie znowu upodobniła się do młodzicutkiej dziewczyny, a on westchnął i wyciągnął się wygodnie w małej łódce.

— Jest mnóstwo pracy, ale mnie osobiście to odpowiada

— odrzekł. Daphne wiedziała, że specjalizuje się w zagadnieniach związanych z działalnością wydawniczą, co szczególnie ją intrygowało. — Serio myślisz o studiach prawniczych?

— Może — odpowiedziała, ale zaraz potrząsnęła głową.

— Nie. Jeśli mam być szczerą, to nie. Owszem, kiedyś myślałam. Ale teraz sędzę, że powinnam zająć się pisaniem.

— Pisaniem? Czego?

— Och, jeszcze nie wiem. Artykułów, opowiadań... — zarumieniła się lekko i spuściła oczy. Czowała się trochę zawstydzona, że tak otwarcie zwierza mu się ze swoich marzeń. Przecież one mogą się nigdy nie spełnić — Chciałabym kiedyś napisać książkę. Powieść.

— Więc czemu się do tego nie zabierasz? Roześmiała się głośno i nie zaprotestowała, gdy nalął jej

kolejny kieliszek wina. — Uważasz, że to takie proste?

— Dlaczego nie? Możesz zrobić wszystko, czego zapragniesz.

— Chciałabym być tego pewna. A z czego bym żyła w czasie pisania książki? — Niemal wszystkie pieniądze, jakie zostawił jej ojciec, wydała na szkołę i już teraz martwiła się, czy resztki owych funduszy nie wyczerpią się, zanim skończy ostatni rok. Na pomoc matki nie mogła liczyć. Co prawda Camilla Beaumont pracowała w Atlancie w szalenie wytwornym sklepie z odzieżą, ale to, co zarabiała, jej samej z trudem wystarczało na życie.

— Możesz wyjść bogato za mąż — powiedział Jeff z uśmiechem, którego jednak Daphne nie odwzajemniła.

— Mówisz jak moja matka.

— Tego właśnie by sobie życzyła?

— Oczywiście.

— Dobrze. Więc co masz zamiar robić po skończeniu szkoły?

— Mam zamiar dostać przyzwoitą pracę w gazecie, a może nawet w jakimś czasopiśmie.

— Tu, w Nowym Jorku?

Skinęła głową, a on, z niejasnych dla siebie powodów, przyjął ten potwierdzający gest z uczuciem ulgi. Przekrzywił głowę na bok i spytał z nową nutą w głosie:

— Czy jedziesz w tym roku na wakacje do domu, Daphne?

— Nie, będę chodziła na letni kurs. Dzięki temu wcześniej skończę naukę. — Nie mogła pozwolić sobie na bezczynność.

— Ile masz lat? — Rozmowa przebiegała teraz tak, jakby to raczej on przeprowadzał wywiad z nią, a nie ona z nim. Nie zadała mu ani jednego pytania na temat sesji Stowarzyszenia Prawników czy jego praktyki adwokackiej. Odkąd wypłynęli z przystani wypożyczoną łódeczką, mówili wyłącznie o swoich osobistych sprawach.

— Dziewiętnaście — odpowiedziała lekko wyzywającym tonem, jakby zbyt często słyszała od ludzi, że jest na coś za młoda. — We wrześniu skończę dwadzieścia i będę na najwyższym roku.

— Jestem pod wrażeniem — uśmiechnął się ciepło, a ona znowu się zaczerwieniła. — Naprawdę. Columbia to nie byle szkółka, musiałaś się cholernie napracować. — Z jego głosu Daphne wywnioskowała, że mówi poważnie, i zrobiło jej się przyjemnie. Czula do niego sympatię, jeśli nie coś więcej. To chyba wpływ słońca i wina, pomyślała najpierw, lecz kiedy na niego patrzyła, nabierała pewności, że słońce i wino niewiele mają z tym wspólnego. Ważny był kształt jego ust, łagodny wyraz oczu i zgrabne ruchy silnych rąk, gdy od niechcienia poruszał co pewien czas wiosłami, a także to, co przebijało z jego spojrzenia, gdy na nią patrzył. Nieklamane zainteresowanie, inteligencja, wrażliwość. I ta delikatność, z jaką poruszał osobiste tematy.

— Dziękuję... — wbrew jej woli zabrzmiało to dziwnie miękko.

— A jak wygląda druga strona twojego życia? Zmieszała się. — Co masz na myśli?

— Czym zajmujesz się w wolnych chwilach? Naturalnie oprócz udawania, że przeprowadzasz wywiady z lekko oszołomionymi adwokatami w Central Parku.

Jej śmiech odbił się echem od małego mostku, pod którym właśnie przepływali. — Jesteś oszołomiony? No, tak, wino i słońce.

— Nie — wolno pokręcił głową. Znowu wypłynęli z cienia na otwartą przestrzeń. — Ani wino, ani słońce, tylko po prostu ty — pochylił się nagle i pocałował ją.

Urządzili sobie wagary na całą resztę popołudnia. — Nikt nawet nie zauważył naszej nieobecności — zapewnił ją, gdy kierowali się ku południowej części parku, w stronę zoo. Złożyli wizytę hipopotamom, rzucali owoce słoniowi, przemknęli biegiem przez pawilon dla małp, zatykając nosy i zanosząc się śmiechem. Później Jeff próbował namówić Daphne na przejażdżkę na kucyku, zupełnie jakby była dziewczątkiem z kokardkami. Odmówiła, nie przestając się śmiać. Zamiast tego przejechali się więc po parku dwukółką. Wreszcie znaleźli się na Piątej Alei, pod której drzewami szli spacerkiem, aż dotarli do Dziewięćdziesiątej Czwartej, gdzie mieszkała Daphne.

— Wstąp na chwilę, jeśli masz ochotę — uśmiechnęła się do niego niewinnie, dzierżąc w ręku czerwony balonik, który kupił jej w zoo.

— Ochoty mi nie brakuje, tylko nie wiem, czy to spodobałoby się twojej matce. — Miał dwadzieścia siedem lat i przez ostatnie trzy lata, to znaczy odkąd ukończył wydział prawa na Harvardzie, ani razu nie przyszło mu do głowy, by zastanawiać się, czy coś spodobałoby się czyjejś matce czy nie. Bardzo dobrze zresztą, gdyż żadna matka mająca córkę nie powitałaby go z zadowoleniem. Od momentu opuszczenia uczelni zmieniał kobiety jak rękawiczki, z lubością i zapalem oddając się szaleństwu nieskrępowanego seksu.

Daphne zaśmiała się, stanęła na palcach i położyła mu dłonie na ramionach. — Nie, panie Jeffreyu Fields, mojej matce by się to nie spodobało.

— A właściwie czemu? — zrobił nagle zabawnie nadaśaną minę. Jakaś para, wracająca z pracy, przyjrzała im się z nie ukrywaną przyjemnością. Oboje byli młodzi, piękni i idealnie do siebie pasowali. Jeff miał włosy zaledwie o jeden ton bardziej złote niż Daphne, urzekające zielonoszare oczy, równie regularne rysy twarzy. I gdy tak stał obejmując ją, jego młodzieńcza siła wspaniale kontrastowała z jej delikatnością. — Dlatego, że jestem Jankesem?

— Nie... — przekrzywiła głowę. Trzymał ręce na jej szczupłej talii, czując, że ogarnia go pożądanie, ale i wielka tkliwość.

— Dlatego, że jesteś o tyle starszy ode mnie i stanowczo za przystojny... — uśmiechnęła się i łagodnie wyswobodziła z objęć Jeffa. — A także dlatego, że na pewno całowałeś się już z połową dziewcząt w mieście — znowu się zaśmiała — nie wyłączając mnie.

— Może masz rację. Dla mojej matki także byłoby to okropne.

— Wobec tego chodź na górę na filiżankę herbaty, a ja przyrzekam, że nic nie powiem twojej matce, jeśli ty nie powiesz mojej.

Jej współlokatorka wyjechała na lato, więc Daphne miała dla siebie całe mieszkanie. Było nieduże, trochę zagracone, ale czyste i przytulne. Przyrządziła mrożoną herbatę zaprawioną miętą, do której podała pyszne, rozpływające się w ustach cytrynowe ciasteczka. Jeff usiadł obok niej na kanapie. Nagle zrobiła się ósma wieczór, a on nie był ani zmęczony, ani znudzony, tylko wpatrywał się w Daphne, czując, że nie może oderwać od niej oczu. Wiedział już, że w końcu spotkał dziewczynę swoich marzeń.

— Może wybierzemy się gdzieś na kolację?

— Jeszcze nie masz mnie dość? — Daphne siedziała z podwiniętymi nogami. Jej także godziny przelatywały jak minuty. Byli przecież razem od południa, a teraz słońce chowało się już za Central Parkiem.

— Nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek mógł mieć cię dość, Daff. Wyjdiesz za mnie?

Wybuchnęła śmiechem, ale umilkła, widząc wyraz jego oczu. — Zamiast kolacji? Czy na przystawkę?

— Dobrze wiesz, że mówię poważnie.

— Zwariowałeś?

— Nie — głos Jeffa przybrał rzeczowy ton. — Co do mnie, nie ukrywam, że jestem cholernie bystry. Skończyłem studia z lokatą w pierwszej piątce, mam dobrą pracę i kiedyś zostanę świetnym wpływowym prawnikiem. Ty natomiast będziesz pisać bestsellery i... — zmrużył oczy, jakby zastanawiając się, co mogłaby robić jeszcze — ...i zajmować się trójką naszych dzieci. Wystarczyłoby nam dwoje, ale jesteś taka młoda, że na pewno zdążysz urodzić trzecie, zanim dociągniesz do trzydziestki. Co ty na to?

Teraz nie mogła już stłumić śmiechu. — Nadal twierdzę, że zwariowałeś.

— W porządku, poddaję się. Poprzestańmy na dwójce dzieci. Aha, będzie jeszcze pies. Złoty nowofundlandczyk. — Daphne śmiejąc się potrząsnęła głową. — Nie? Zgoda. Niech będzie francuski pudel... też nie? To może czau-czau?

— Och, przestań już!

— Dlaczego? — Wyglądał teraz bardzo chłopięco i Daphne mocniej zabiło serce, jak już tyle razy minionego popołudnia, kiedy mu się przyglądała. — Nie podobam ci się?

— Uważam, że jesteś wspaniały i... nienormalny. Czy w ten sposób podrywasz wszystkie dziewczyny, czy tylko takie nieopierzone studentki jak ja?

Spoważniał. — Żadnej się jeszcze nie oświadczyłem, Daphne — rzekł z absolutnym spokojem. — Nigdy — położył rękę na oparciu. — Więc kiedy się pobierzemy?

— Kiedy skończę trzydzieści lat. — Skrzyżowała ramiona i spoglądała na niego z uśmiechem. Chwilę tak siedzieli, patrząc na siebie z dwóch przeciwległych końców kanapy. Wreszcie Jeff pokręcił głową.

— Kiedy ty skończysz trzydzieści, ja będę miał trzydzieści osiem. Będę za stary.

— A dzisiaj ja jestem za młoda. Trudno, zgłoś się za dziesięć lat — stała się nagle bardzo pewna siebie i bardzo, bardzo kobieca. Oczarowany tym Jeff zaczął powoli przesuwać się w jej stronę.

— Jeśli teraz stąd wyjdę, wrócę nie za dziesięć lat, a za dziesięć minut, ale nie sądzę, żebym wytrzymał tak długo. Więc jak, wyjdiesz za mnie?

— Nie — odpowiedziała, lecz wszystko w niej topniało, gdy czuła go coraz bliżej siebie.

— Kocham cię, Daff. Myślisz, że jestem szalony, co? Ale ja nie zwariowałem. Nieważne, czy mi teraz wierzysz, czy nie. Pobierzemy się.

— Nie mam ani grosza — coś kazało jej to powiedzieć, jakby całą rozmowę należało traktować poważnie. Szaleństwo polegało właśnie na tym, iż w głębi duszy czuła, że on mówi najzupełniej serio.

— Ja też nie mam ani grosza, Daff. To nic. Któregoś dnia będziemy bogaci. Oboje. A tymczasem możemy żyć tymi wspaniałymi ciasteczkami i mrożoną herbatą.

— Ty zartujesz, Jeff, prawda? — nagle w jej oczach pojawiło się coś nowego, coś jeszcze bardzo kruchego. Nadzieja?... Ale musiała mieć pewność. A może on, mimo szczerych zapewnień, tylko się nią bawi?

Jeffrey jedną ręką dotknął jej policzka, drugą ujął dłoń Daphne i powiedział nieco zachrypniętym, ale zdecydowanym głosem:

— Ani mi w głowie żarty. Widzisz, ja wiem, że cokolwiek będzie się działo, będziemy ze sobą szczęśliwi. Czuję to, Daff. Mogę się ożenić z tobą dzisiaj i głęboko wierzę, że nie pożałujemy tego do końca naszych dni. Coś takiego zdarza się tylko raz w życiu. I nie wolno tego przeoczyć. Jeżeli powiesz „nie”, będę cię przekonywał tak długo, aż zmienisz zdanie. Bo mam rację i wiem o tym — umilkł. Przez chwilę panowała cisza. — I myślę, że ty także o tym wiesz.

Uniosła twarz i spojrzała mu w oczy. Zobaczył, że na jej rzęsach błyszczą łzy.

— Muszę się zastanowić... Nie jestem pewna, czy rozumiem, co się stało.

— Ja rozumiem. Zakochaliśmy się w sobie. Po prostu. Mogliśmy się nie spotkać jeszcze przez następnych pięć czy nawet dziesięć lat. Ale zdarzyło się inaczej. Znalazłem cię już dzisiaj, na tym piekielnie nudnym zebraniu, i odtąd będziemy razem. Zostaniesz moją żoną, Daff— pocałował ją delikatnie i wstał, nie wypuszczając jej dłoni. — Powiem ci dobranoc, zanim zrobię coś naprawdę szalonego. Na przykład rzucę się na ciebie. — Niespodziewanie dla siebie samej Daphne

roześmiała się. Bardzo wielu mężczyzn nigdy nie wpuściłaby do swojego mieszkania, lecz przy Jeffie czuła się absolutnie bezpieczna. Była to jedna z tych rzeczy, które od razu ją w nim ujęły. Już wtedy, kiedy po opuszczeniu przystani szli razem przez park do zoo, wyczuwała pod promieniującą z niego męską siłą głęboką delikatność, a także pragnienie otoczenia jej opieką. — Zadzwoń do ciebie jutro.

— Będę w szkole.

— O której rano wychodzisz z domu?

— O ósmej.

— W takim razie zadzwonię wcześniej. Czy zechcesz potem zjeść ze mną lunch? — Skinęła głową, lekko przestraszona i szczęśliwa.

— Czy to wszystko dzieje się naprawdę?

— Naprawdę, kochanie — pocałował ją w drzwiach, a Daphne przeniknął dreszcz, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Tej nocy, gdy leżąc w łóżku próbowała uporządkować myśli, ogarnęła ją jakaś słodka tęsknota, do tej pory też całkowicie jej obca.

Następny dzień potwierdził to, co Jeff mówił poprzedniego wieczoru. Zadzwoił do niej o siódmej rano, jak zapowiedział. Umówili się na lunch, więc w południe zjawił się pod wydziałem dziennikarstwa z marynarką przewieszoną przez ramię i ukrytym w kieszeni krawatem. Czekał już, gdy Daphne niepewnie i z nowym dla niej uczuciem zażenowania schodziła po schodach, nie spuszczać wzroku z jego włosów, złociście lśniących w słońcu. Tego dnia było trochę inaczej niż poprzedniego. Nie było ścisku i gwaru, panujących na sesji Stowarzyszenia Prawników. Nie było wina, łódki ani zachodu słońca za oknem. Był tylko ten niezwykły, złotowłosy mężczyzna, stojący w pełnym świetle pogodnego dnia i uśmiechający się do niej z dumą, jakby stanowiła jego własność. A ona w głębi serca wiedziała, że tak właśnie jest i że pozostanie tak już na zawsze.

Zatrzymali taksówkę pod Metropolitan Museum i podjechali do Central Parku. Tam usiedli nad stawem i z apetytem zjedli wszystko, co uprzednio kupili w barze na lunch. Kiedy odwoził ją z powrotem do szkoły, Daphne znowu była rozluźniona i szczęśliwa. Odzyskała swobodę i poczucie bezpieczeństwa z poprzedniego dnia, gdy miała Jeffa u boku.

Wieczorem przygotowała obiad u siebie w domu, lecz on i tym razem wcześniej się z nią pożegnał. W najbliższy weekend zabrał ją do znajomych w Connecticut. Grali w tenisa, żeglowali i wrócili złotobrazowi od słońca. Teraz on z kolei zaprosił ją do swojego mieszkania przy Pięćdziesiątej Wschodniej i przyrządził obiad. Właśnie tam objął ją w końcu i przytulił. Pragnęła go aż do bólu, gdy pierwszy raz przesunął ręce po jej aksamitnej, złocistej skórze. Noc spędziła w jego ramionach, lecz wziął ją dopiero o świcie, tak delikatnie i tak panując nad swoim pożądaniem, jak zdolny jest do tego jedynie doświadczony mężczyzna, gdy ma do czynienia z dziewczyną, którą

darzy prawdziwą, głęboką miłością. Sprawił, iż to przeżycie stało się dla Daphne nieopisanie piękne. I kiedy następnej nocy kochali się u niej, ona przejęła inicjatywę. Jej namiętność zaskoczyła nie tyle jego, ile ją samą.

Reszta lata upłynęła im na wchodzeniu i wychodzeniu z łóżka. Musieli jednak liczyć się z harmonogramem zajęć swoich współlokatorów, a zwłaszcza koleżanki Daphne, która wróciła z końcem sierpnia. Wreszcie ta sytuacja tak już dopiekła Jeffowi, że podczas ferii wielkanocnych, nie czekając, aż Daphne skończy ostatni rok nauki, polecili do Tennessee, gdzie się pobrali. W cichej ceremonii ślubnej uczestniczyła tylko matka Daphne i kilkoro przyjaciół. Panna młoda wystąpiła w długiej białej, organdykowej sukni, na głowie miała wielki kapelusz, a w ręku trzymała bukiet margaretek i innych polnych kwiatów. Matka Daphne płakała, jak sądzono, z radości, że widzi swoją córkę szczęśliwie wychodzącą za mąż.

W rzeczywistości były to łzy ulgi, dni Camilli Beaumont były bowiem policzone. Chorowała na leukemię. Nawet teraz nie powiedziała o tym córce. Przed odlotem młodej pary wyznała prawdę jedynie Jeffreyowi, który jej przysiągł, że będzie się opiekować Daphne do końca życia. Umarła trzy miesiące później. Ponieważ Daphne była wówczas w ciąży, Jeff poleciał z nią do Atlanty, zajął się pogrzebem i tulił ją, gdy płakała z żalu. Na całym świecie miała już tylko jego. Jego i dziecko, którego narodzin spodziewała się w marcu.

We wrześniu Daphne przyjęta została do „Collins Magazine”, szacownego czasopisma kobiecego. Jeff był temu przeciwny, uważał bowiem, że nie powinna zaczynać pracy będąc w ciąży, w końcu jednak wyraził zgodę, a potem sam musiał przyznać, iż ta odmiana doskonale Daphne zrobiła. Po Bożym Narodzeniu sama wzięła urlop, by ostatnie dwa miesiące przed rozwiązaniem spędzić w domu. Radość oczekiwania na dziecko stopniowo brała w niej górę nad innymi przykrymi doznaniem, aż wreszcie Jeff stwierdził, że cień smutku, który pojawił się w jej oczach w dniu śmierci matki, zniknął zupełnie. Uparcie powtarzała, że urodzi chłopca, któremu dadzą na imię Jeffrey, on natomiast marzył o małej dziewczynce, z rysów i figury podobnej do Daphne. Gdy w łóżku późną nocą kładł dłoń na jej brzuchu i wyczuwał ruchy dziecka, w jego oczach pojawiały się bezgraniczna miłość i zachwyt.

— Czy to boli? — pytał z czułością. Był niesłuchanie przejęty jej stanem i bardzo się o nią niepokoił, lecz Daphne śmiała się z jego zatroskania. Miała dwadzieścia jeden lat i była okazem zdrowia.

— Nie. Kiedy kopie, to jest takie śmieszne uczucie, ale na pewno nie ból. — Leżała na boku i patrzyła na niego uszczęśliwiona. Jeff ukradkiem dotknął jej piersi, jakby dopuszczał się jakiegoś przewinienia. Zawsze jej pragnął. Pragnął jej nawet teraz. Kochali się prawie każdej nocy. — Nie przeszkadza ci mój wygląd, Jeff?

— Nic a nic. Jesteś piękna, Daff. Chyba piękniejsza niż kiedykolwiek. — W twarzy miała coś miękkiego i świetlistego,

złote włosy opadały jej na ramiona niczym łan pszenicy, a oczy jaśniały cudownym, wewnętrznym światłem, o którym czytał, ale którego nigdy dotąd nie widział. Cała zdawała się być czarownicą obietnicą, przepojoną jakąś mistyczną radością.

Gdy pojawiły się pierwsze bóle, zadzwoniła do niego do biura. Usłyszawszy jej zmieniony, niemal uroczysty głos, rzucił prawniczą książkę, którą trzymał w ręku, zapomniał

o kliencie za biurkiem, o płaszczu wiszącym przy drzwiach

i popędził do domu, żeby być przy niej. Ogarnął go paniczny strach, do jakiego nikomu by się potem nie przyznał. Opanował się jednak, gdy ujrzał ją czekającą na niego spokojnie. Wróciła mu pewność, że wszystko pójdzie dobrze, jak zawsze w to wierzył. Zarażony nastrojem Daphne, nalał sobie i jej po kieliszku szampana.

— Za naszą córkę!

— Za twojego syna! — w jej wzroku błysnęła żartobliwa przekora, która jednak zaraz ustąpiła miejsca wyrazowi bólu. Jeff skoczył ku niej, porzucając szampana, i w pierwszym odruchu złapał ją za rękę, ale błyskawicznie odzyskał zimną krew. Przypomniawszy sobie, czego nauczyli się w szkole rodzenia, do której oboje chodzili przez ostatnie dwa miesiące, i umiejętnie pomagał Daphne przy każdym kolejnym skurczu, równocześnie sprawdzając ich częstotliwość na stoperze kupionym specjalnie w tym celu. Nie odstępował jej ani na sekundę, aż do czwartej po południu, kiedy zorientował się — wcześniej niż ona — że nadszedł czas. Do szpitala, gdzie już na nich czekali, Daphne wkroczyła uśmiechnięta, z majestatycznie uniesioną głową, by moment później, tracąc dech przy nowym skurczu, wesprzeć się ciężko na Jeffreyu. Ale jej oczy pozostały pogodne. Tak bardzo cieszyła się z tego, co teraz wspólnie przeżywają, że niemal nie czuła bólu.

— Jesteś niesamowicie dzielna, kochanie. Boże, jak ja cię Kocham! — Pomógł jej zejść na oddział położniczy, trzymał dłonie Daphne, zrównując swój oddech z jej oddechem, wreszcie o dziewiątej wieczór włożył fartuch, maskę i pognął za nią na salę porodową, gdzie najpierw widział, jak przeze wszystkich sił, a nieco później, dziewiętnaście minut po dziesiątej, zdumiony i wstrząśnięty, z oczami pełnymi łez

powitał przyjście na świat ich malutkiej córeczki. Aimee Camilla Fields wystawiła główkę i oznajmiła swoją obecność potężnym wrzaskiem, a Daphne zawtórowała jej okrzykiem zwycięstwa i szczęścia. Doktor podniósł małą do góry i niemal natychmiast złożył ją w ramionach matki. Jeffrey, śmiejąc się i płacząc równocześnie, jedną ręką gładził wilgotne włosy Daphne, a drugą ostrożnie obejmował maleńkie paluszki dziecka.

— Jeff, czyż ona nie jest piękna? — Teraz Daphne uśmiechała się do niego przez łzy. Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

— Tak. I ty nigdy nie byłaś piękniejsza, Daff.

— Kocham cię.

Pielęgniarki, jak zwykle w takich sytuacjach, odsunęły się, pozostawiając szczęśliwą trójkę samą. Codziennie na ich oczach spełniał się ten sam cud, lecz one ciągle nie potrafiły przyjmować go z rutynową obojętnością. W końcu jednak musiały zabrać Daphne z powrotem do jej pokoju. Jeffrey, wróciwszy o północy do domu, do rana nie zmrużył oka. Leżał samotnie w łóżku, które zawsze dzielił z Daphne, i rozmyślał o wszystkim, co wspólnie przeżyli przez ostatnie dwa lata. A także, naturalnie, o ich córeczce.

Minęły trzy lata. Gdy Aimee skończyła roczek, Daphne wróciła do pracy w „Collins Magazine”. Zastanawiała się, czy nie przedłużyć urlopu, ale choć bardzo kochała Aimee i chciała być stale blisko niej, czuła, że praca jest jej potrzebna dla zachowania tożsamości. Jeff nie oponował, rozumiejąc, iż Daphne ma obowiązki także względem samej siebie, nie tylko jako matka i żona. Jeff zawsze wszystko rozumiał. Codziennie przychodziła piastunka, starsza kobieta, którą przyjęli zaraz po narodzinach Aimee, a nocami Jeff zmieniał Daphne przy małej. W czasie weekendów chodzili do parku lub jeździli na wieś do znajomych. W ich pożyciu było coś z bajki, co zjednywało im całe otoczenie.

— Czy wy dwoje nigdy się nie kłócicie? — zapytał żartem przyjaciel Jeffa z pracy, gdy w któryś weekend zawitali u niego w Connecticut. Lubił ich oboje, a Jeffowi wręcz zazdrościł, choć tego nie okazywał.

— Jasne, że się kłócimy. Co najmniej dwa razy w tygodniu. Przedtem się umawiamy. Ja ją trochę pokopię, ona nawymyśla mi od ostatnich, sąsiedzi wzywają policję, a kiedy gliny pójdą, my siadamy i oglądamy telewizję. — Daphne uśmiechnęła się do niego ponad główką Aimee i posłała mu całusa. Taki był jej Jeff. Zawsze wesoły, kochający, wierny. Miał wszystko, co pragnęła znaleźć w mężczyźnie. Był nieprzemijającym ziszczeniem jej najskrytszych marzeń.

— Mdło mi się robi na wasz widok — krzywiła się pociesznie żona przyjaciela. — Kto to widział, żeby normalni ludzie byli ze sobą aż tak szczęśliwi. Czy wy nie macie za grosz wstydu?

— Wyobraź sobie, że nie. — Jeff, korzystając z tego, że Aimee zeskoczyła z kolan Daphne, by pobiec za kotem, którego właśnie zauważyła, objął żonę ramieniem. — Widocznie jesteście nienormalni. — Właśnie ta niezmacona harmonia między nimi sprawiała, że wszyscy czuli się w ich towarzystwie odprężeni i weseli. Znajomi nie mówili o nich inaczej niż „idealna para”, co Daphne niekiedy aż drażniło, jakby się bała, że ktoś może coś zapeszyć. Jakby to wszystko było za dobre, aby mogło trwać. Jednakże po pięciu latach małżeństwa ich współżycie układało się lepiej

niż kiedykolwiek. Wyjawszy jego, skądinąd nieszkodliwą, pasję oglądania morderczych meczów rugby w Central Parku, nie było w Jeffie dosłownie niczego, co Daphne chciałyby zmienić. Stanowili po prostu parę ludzi, którzy znaleźli w sobie dokładnie to, co najbardziej im odpowiadało, i którzy byli dość mądrzy, by wykorzystać to w życiu. Jedynym problemem, przed jakim stawali, bywał okresowy brak funduszy, co wszakże nigdy nie psuło humoru ani jej, ani jemu. Mając trzydzieści dwa lata, Jeff pobierał jako prawnik zupełnie przyzwoitą pensję. Na pierwsze potrzeby wystarczała w każdym razie z nawiązką, toteż pieniądze zarobione przez Daphne w „Collins Magazine” mogli przeznaczać na wydatki ekstra. Już od dawna myśleli o drugim dziecku i kiedy Aimee skończyła trzy i pół roku, postanowili tę myśl urzeczywistnić, ale jak dotąd ich zamiary się nie spełniały.

— Te nasze starania są całkiem miłe, co mała? — zagadnął Jeff ze śmiechem rankiem w pierwszym dniu świąt Bożego Narodzenia. — Co powiedziałaabyś na to, gdybyśmy spróbowali jeszcze raz?

— Po takiej nocy? Skąd mam brać na to siły? — odsunęła się od Jeffa z uśmiechem, gdy przeciągnął dłonią po jej udzie. Poprzedniego wieczoru ubrali choinkę, przygotowali prezenty dla Aimee, po czym kochali się do trzeciej nad ranem. Czas nie ostudził ich wzajemnego pożądania, przeciwnie, ich pożycie seksualne było teraz gorętsze i bogatsze niż pięć lat wcześniej. Daphne z wiekiem rozkwitła i stała się jeszcze piękniejsza. Miała teraz dwadzieścia cztery lata i kiedy tak szła przez pokój, roztaczała wokół siebie aurę przepysznej, zniewalającej kobiecości. Wróciła do niego i zaczęła krążyć opuszkami palców po jego nagim brzuchu, kreśląc kółeczka w najwrażliwszych miejscach.

— Ostrzegam, jeśli natychmiast nie przestaniesz, zgwałcę cię. — W tym momencie do sypialni wpadła Aimee z rączkami pełnymi prezentów, wobec czego Jeff szybko owinał się ręcznikiem, a mała wyciągnęła Daphne z pokoju, żeby pomogła jej ubrać nową lalkę przyniesioną przez świętego Mikołaja.

— Przepraszam, kochanie.

— Miej tu dzieci! — wzniosł oczy do nieba i poszedł wziąć prysznic.

Dzień mijał im cicho i leniwie. Wszyscy troje tak objedli się indykiem z galaretką żurawinową, że ledwo mogli się ruszać. Wieczorem, kiedy Aimee poszła w końcu spać, usiedli w salonie przed kominkiem, by poczytać niedzielnego „Timesa”, napić się gorącego kakao i popatrzeć na drzewko. To były bajeczne święta. Cudowne, sielankowe popołudnie, po którym nastąpił nie mniej cudowny wieczór. Daphne wyciągnęła się na kanapie i oparła głowę o kolana Jeffa.

— Jak się nazywa pasmo górskie w Peru?

— Poddaję się. No, jak? — Nie miał za grosz zacięcia do krzyżówek, które ona z upodobaniem rozwiązywała co niedzielę, nie czyniąc wyjątku w Boże Narodzenie. — Skąd ci się to wszystko od razu przypomina, Daff? Chryste, studiowałem prawo na Harvardzie i nieźle sobie radziłem, a nie potrafię odgadnąć nawet trzech słów.

Zwykle kończyła krzyżówkę dopiero we wtorek wieczorem, ponieważ nie rezygnowała, dopóki nie wpisała ostatniego wyrazu. Nie zdarzyło się, by Jeff podsunął jej jakąś nazwę, lecz ona mimo to stale o wszystko go pytała.

— A jeśli teraz zechcesz się ode mnie dowiedzieć, jak miała na imię siostra Beethovena, rzucę w ciebie kubkiem kakao.

— Mam! — uśmiechnęła się kpiąco i usiadła. — Przemoc! To jest słowo, którego nie mogłam zgadnąć. Dwadzieścia sześć poziomo.

— Doprowadzasz mnie do szału. Chodź — podniósł się i wyciągnął do niej rękę. — Idziemy do łóżka.

— Poczekajmy, aż ogień się dopali. — Ich sypialnie i pokój Aimee znajdowały się na górze. Poprzedniego roku, gdy Jeff dostał podwyżkę, przeprowadzili się do niewielkiego, dwupoziomowego mieszkania. Daphne uwielbiała kominek, ale był on źródłem jej ustawicznego niepokoju, zwłaszcza gdy tak blisko ognia stała choinka.

— Wyłącz ten brzęczyk w swoim systemie nerwowym. Popatrz, został już tylko żar.

— Więc poczekajmy jeszcze chwilę.

— Ani sekundy — leciutko uszczyptała ją w pośladek. — Bardzo cię pragnę, Daff. Chyba dodałaś jakiegoś afrodyzjaku do mojego kakao.

— Bzdura — uśmiechnęła się i wstała. — Odkąd cię znam, byłeś maniakiem seksualnym. Nie potrzebujesz żadnych afrodyzjaków, Jeffreyu Fields. Należałoby ci raczej dodawać bromu do jedzenia, żebyś zachowywał się normalnie.

Wybuchnął śmiechem i pociągnął ją za sobą po schodach do sypialni. Delikatnie rzucił ją na łóżko i zaczął pieścić pod swetrem, a ona pomyślała, jak zawsze w podobnych chwilach w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, czy tym razem uda jej się zająć w ciążę.

— Powiedz, czemu trwa to tak długo? — spytała lekko zatroskanym tonem. Przy Aimee zaszła w ciążę niemal pierwszej nocy, a teraz mijały tygodnie i nic. Jeffrey wzruszył ramionami i odrzekł z uśmiechem:

— Do diabła! Pewnie powinnaś mnie wymienić na nowy egzemplarz, bo ten jest już do niczego.

Rozbierając się, popatrzyła na niego przez szerokość łóżka z wyrazem powagi w oczach. — Nie żartuj tak, Jeff. Jesteś dla mnie jedynym mężczyzną na świecie i nikt nigdy nie mógłby cię zastąpić. Mniejsza o to, czy będziemy mieć drugie dziecko. Czy wiesz, jak bardzo cię kocham?

— Jak bardzo? — podchwycił ochryplym głosem. Przechylił się i wolno przyciągnął ją do siebie.

— Bardziej niż możesz to sobie wyobrazić — zdążyła wyszeptać. Całowali się długo, spleceni ze sobą, w mocnym uścisku, aż zaczęli się kochać pod pikowaną kołdrą, którą Daphne kupiła specjalnie na ich duże, mosiężne łóżko. Było ono stałym przedmiotem dowcipów. Trzeszczało złowieszczo, gdy się kochali, sprężyny jęczały, ale było antykiem zdobytym na jakiejś aukcji i uwielbiali je. Tylko dla Aimee kupili nowe łóżeczko. W rzeczach po matce Daphne znalazła dla niej prześliczną kołderkę, zrobioną jeszcze przez jej babkę.

— Powinnam zajrzeć do Aimee. — Robiła to zwykle, zanim poszli do łóżka, tego dnia jednak była zbyt rozleniwiona, a równocześnie podniecona. I czuła się tak nadal, leżąc teraz w objęciach Jeffa. Jego ogarnął podobny nastrój. W pewnym momencie doznał dziwnej halucynacji. Wydało mu się, że widzi, jak w łonie Daphne budzi się nowe życie. Ich miłość przed chwilą była taka żywiołowa i tkliwa, wybuchnęła z takiej głębi ich istot, że musiała zaowocować upragnionym drugim dzieckiem.

— Zostań przy mnie, Daff, małej nic się nie stanie — powiedział tym samym tonem, którym miał zwyczaj z niej pokpiwać, gdy wieczorami stawiała uroczyście przy łóżeczku Aimee i spoglądała na swoją złotowłosą dziewczynkę, tak bardzo do niej podobną. Kiedy Aimee spała głębszym snem niż zwykle, Daphne podsuwała palec pod nosk małej, żeby sprawdzić, czy oddycha. — Daruj to sobie dzisiaj. Nic jej się nie stanie — powtórzył i Daphne dała za wygraną. Uśmiechnęła się bezwolnie i chwilę później zasnęła, wtulona w ramię Jeffa.

Nie potrafiła później powiedzieć, jak długo spali, ale musiało minąć parę godzin. Ocknęła się, bo nawiedził ją dziwny, drażniący sen. Stała z Jeffem i Aimee koło huczącego

wodospadu. Powietrze nie pachniało jednak wodą, unosił się w nim jakiś gryzący opar. Zaczęła kaszleć, wiercić się niecierpliwie, aż wreszcie otworzyła oczy, by uwolnić się od tej duszącej zmory. Jej wzrok padł na otwarte drzwi pokoju, w których ujrzała jaskrawy odbłask ognia. W ułamku sekundy pojęła, że łoskot spadającej wody, jaki słyszała we śnie, w rzeczywistości jest rykiem pożaru, i że cały dom poza ich sypialnią ogarniają płomienie.

— Jeff...! Boże, Jeff...!! — Wyskoczyła z łóżka. Zakręciło jej się w głowie. Krzycząc na całe gardło, zaczęła potrząsać śpiącym mężem, który tylko leniwie przewrócił się na drugi bok. — Jeff Aimee! — To w końcu poskutkowało. Jeff uniósł powieki, zobaczył, co się dzieje, momentalnie oprzytomniał i nago, tak jak spał, rzucił się w stronę drzwi. W pierwszej chwili musiał się jednak

cofnąć, zatrzymany przez ścianę ognia. Odwrócił się i ujrzał rozszerzone oczy Daphne oraz jej łyzy, wyciśnięte przez dym i przerażenie. Chwycił ją za ramiona i zawołał, przekrzykując huk pożaru:

— Uspokój się, Daff! Pali się tylko w holu. Nic nie grozi ani nam, ani Aimee. Chcę teraz, żebyś szczelnie okryła się kocem i najszybciej jak tylko potrafisz, ale na czworakach, zeszła na dół, do wyjścia. Ja zabiorę Aimee z łóżka i za moment będziemy przy tobie. Rozumiesz? — mówiąc to, prędkimi, precyzyjnymi ruchami owijał ją w koc. Następnie pchnął Daphne ku drzwiom i w nich zmusił, by opadła na podłogę.

— Kocham cię, Daff— rzucił jeszcze za nią i dodał z absolutną pewnością w głosie: — Wszystko będzie dobrze!

Skierował się teraz w stronę sypialni Aimee, a Daphne ruszyła w dół po schodach, tak jak jej kazał. Starła się wszelkimi siłami nie wpaść w panikę. Mówiła sobie, że Jeff uratuje Aimee. Zawsze tak dbał o nie obie... zawsze... zawsze...

— powtarzała w nieskończoność w myślach, czołgając się po stopniach. Początkowo próbowała zerkać za siebie, dym jednak był już tak gęsty, że niczego nie widziała i nie miała czym oddychać. Zdawało się jej, że pływa, cała pogrążona w jakiejś żrącej cieczy. Aż raptem rozległ się za nią ogłuszający grzmot eksplozji. Ale to nie stało się tutaj, lecz gdzieś bardzo daleko. Znowu była w swoim śnie i stała wraz z Jeffem i Aimee przy wodospadzie. Przyszło jej do głowy, iż pożar też musiał być tylko sennym majakiem. Oczywiście, że tak — powiedziała sobie i odczuła niewymowną ulgę. To tylko sen... Tylko sen... Po prostu śpi, przytulona do Jeffa. Czuje go przecież obok siebie...

Potem usłyszała niesamowite jękliwe zawodzenie, ale to także był sen. A jeszcze później przyśniły jej się głosy I ten znajomy dźwięk... znowu... i światło przebijające przez obłok mgły...

— Pani Fields — mówiły głosy — pani Fields...

Naraz światło nabrało ostrości i Daphne znalazła się w obcym, okropnym miejscu. Zalała ją fala dławiącego strachu. Nie pamiętała, jak ani czemu tu się dostała. Zawieszona między snem a jawą, rozglądała się tylko gorączkowo, szukając obok siebie Jeffa... Ale Jeffa nie było. Były bandaże na jej rękach i nogach, gruba warstwa maści na twarzy, pochylający się nad nią z przejęciem lekarz... I nie było innych głosów oprócz jej własnego, rozdzierającego krzyku:

- Nie, NIE!!! Nie moje dziecko...! Nie Jeff!!! NIEEEE...H!

Daphne Fields wołała tej nocy złamanym, przejmującym głosem, bo już wiedziała, kiedy poraziło ją takie samo jaskrawe światło... Przypomniła sobie o pożarze, gdy odzyskała przytomność w bożonarodzeniowy poranek. Zaalarmowana krzykiem pielęgniarka, pełniąca dzienny dyżur na oddziale intensywnej terapii, zastała ją rozdygotaną, z obłędem w oczach i twarzą

ściętą bólem, który odżył na nowo. Daphne obudziła się zdjeta przerażeniem dokładnie takim jak wtedy, dziewięć lat wcześniej, w tę noc, gdy Jeff i Aimee znaleźli śmierć w płomieniach.

4

Barbara Jarvis przyjechała do Lenox Hill o dziewiątej rano, dwie godziny po telefonie Elizabeth Watkins, która odszukała numer sekretarki Daphne zaraz po powrocie do domu. Idąc korytarzem obok pielęgniarki w świeżo wykrochmalonym fartuchu, roztrzęsiona i pobladła Barbara wyglądała tak, jakby całą noc nie zmrużyła oka. Rzeczywiście, położyła się późno, lecz główną przyczyną jej stanu był wstrząs wywołany wiadomością o wypadku Daphne. Liz nie powiedziała jej zbyt wiele. Ograniczyła się do informacji, że jej pracodawczyni przebywa na oddziale intensywnej terapii w szpitalu Lenox Hill i że jeśli Barbara chce ją zobaczyć, to może przyjechać na kilka minut, ale przedtem powinna skontaktować się z krewnymi Daphne, gdziekolwiek by się teraz znajdowali. Rozmowa miała dziwny przebieg i po odłożeniu słuchawki Liz Watkins zastanawiała się, jak sekretarka pani Fields zachowa się w szpitalu, jeśli w ogóle raczy się w nim pojawić. Przez telefon nie wypadła zbyt sympatycznie. Nie podziękowała Liz za zawiadomienie jej i potraktowała ją nie tylko zimno, ale wręcz z podejrzliwością. Podobne wrażenie odniosła pielęgniarka pełniąca dyżur. Barbara przybyła do szpitala ze zdecydowanie nieufnym nastawieniem do personelu. Zagadnęła o pokój Daphne nieznośnie protekcyjnym tonem, po czym w ten sam irytujący sposób zadała serię pytań, w których obsesyjnie powracał jeden wątek: chciała koniecznie wiedzieć, czy zawiadomiono prasę, czy pannę Fields ktoś już odwiedzał, czy jej nazwisko przekazano do jakiegoś publicznie dostępnego rejestru, a także czy lekarze oraz cała załoga Lenox Hill zdają sobie sprawę, z kim mają do czynienia.

— Owszem, niektórzy z nas zdają sobie sprawę — odpowiedziała zezłoszczona pielęgniarka.
— Czytałyśmy jej książki.

— Zapewne. Ale tutaj ona nie jest pisarką, tylko pacjentką. Nie życzę sobie, by ktokolwiek, pod jakimkolwiek pretekstem, zakłócał spokój pannie Fields. — Barbara Jarvis przedstawiała groźny widok, gdy tak stała wyprostowana, prezentując swój raczej okazały wzrost, ciemne włosy zwinięte w węzeł i władcze, mimo skrywanych obaw, spojrzenie. — Czy to jasne? W przypadku telefonów z jakichś redakcji nie wolno udzielać żadnych informacji. Ani słowa. Panna Fields nie znosi rozgłosu, a w tej chwili, kiedy sama nie może dbać o siebie, ma prawo oczekiwać od was absolutnej dyskrecji.

Dyżurna pielęgniarka odszczeknęła: — W zeszłym roku leżał u nas gubernator Nowego Jorku, panno... — była wściekła, że nie potrafiła sobie przypomnieć nazwiska Barbary, i omal nie uległa pokusie nazwania jej panną Jakąś Tam.

— I podczas całego pobytu tutaj nie miał powodu narzekać na naszą dyskrecję. Tak samo będzie z panną Fields — odparła, lecz stojąca przed nią ciemnowłosa kobieta pozostała niewzruszona. Widać było, że zapewnienia pielęgniarki jej nie przekonały. Stanowiła zupełne przeciwieństwo swojej pracodawczyni, jasnej, drobnej, kruchej, o tak smukłych kształtach okrytych teraz szpitalną pościelą.

Padło wreszcie pytanie, na które pielęgniarka czekała od początku.

— Jak ona się czuje?

— Od naszego telefonu do pani jej stan się nie zmienił. Miała ciężką noc.

W oczach Barbary Jarvis pojawił się lęk. — Czy bardzo cierpi?

— Trudno powiedzieć, ale raczej nie. Dostała dużą dawkę środków usmierających. — Pielęgniarce przyszło nagle do głowy, że ta kobieta mogłaby zapewne rzucić jakieś światło na tło sennych majaków, które dręczyły Daphne minionej nocy. Patrząc na Barbarę odezwała się łagodniejszym tonem:

— W nocy była strasznie niespokojna. — Opowiedziała, co Daphne wykrzykiwała przez sen i co zanotowała w karcie chorej Liz Watkins. Lecz Barbara Jarvis milczała, jedynie wyraz jej oczu zdradzał, że gdyby chciała, mogłaby powiedzieć niejedno. — Męczyły ją koszmary — ciągnęła pielęgniarka.

— Mógł to być skutek wstrząsu mózgu, ale nie wydaje mi się...

— Barbara nadal nie odzywała się ani słowem. — Jeśli pani chce — zrezygnowała pielęgniarka — może pani na chwilę do niej zajrzeć. Proszę być przygotowaną na to, że pani nie pozna. Co jakiś czas odzyskuje wprawdzie przytomność, ale tylko na parę sekund.

Sekretarka Daphne Fields skinęła głową i przebiegła szybkim spojrzeniem pokoje, widoczne z jaskrawo oświetlonego korytarza. Nigdy przedtem nie widziała oddziału intensywnej terapii. Panowała tu atmosfera trochę niesamowita i przygnębiająca, nawet dla kogoś zdrowego. Nigdzie nie docierało dzienne światło. Wszystko zalewał sztuczny, ostry blask. Lśniącą nieskazitelną czystością aparatura budziła dreszcz grozy, kiedy pomyślało się o jej przeznaczeniu. Barbara wiedziała jednak, że Daphne zna już to miejsce. Musiało minąć dużo czasu od tragicznego pożaru, zanim przysła do siebie na tyle, by mogła o nim mówić, i wreszcie, którejs nocy, wszystko jej opowiedziała. Wszystko. O Jeffreyu i o Aimee. A dzisiaj, po trzech latach spędzonych z Daphne, Barbara wiedziała o niej znacznie więcej.

— Więc mogę teraz pójść zobaczyć pannę Fields? Pielęgniarka przytaknęła i zaprowadziła ją do pokoju

Daphne. Weszła pierwsza, szybko i po cichutku sprawdziła odczyty na monitorach. Stwierdziwszy z zadowoleniem, że stan pacjentki na razie nie daje powodu do obaw, odwróciła się

i skinęła na Barbarę. Przed godziną Daphne podano kolejny zastrzyk demarolu, powinna więc spać jeszcze przez dłuższy czas.

Sekretarka podeszła do łóżka chorej i nakryła jej szczupłą, białą dłoń swoją takim ruchem, jakby obejmowała rączkę własnego dziecka. Zdumiona pielęgniarka spostrzegła, że po policzkach Barbary spływają łzy. Widać było, że usiłuje je powstrzymać, ale nie może. W końcu pielęgniarka postanowiła zostawić zapłakaną i przybitą Barbarę Jarvis sam na sam z pacjentką.

Kiedy wróciła, by oznajmić, że czas odwiedzin minął, zastała tę wysoką, silną kobietę w nie zmienionej pozycji, pochyloną nad łóżkiem i wpatrzoną z niemym bólem w bledziutką twarz Daphne. Dopiero usłyszawszy od drzwi głos pielęgniarki, ostrożnie położyła rękę chorej na pościeli i skierowała się do wyjścia. Idąc korytarzem wykonała gest, jakby nie potrafiła dłużej ukrywać rozpaczy, lecz kiedy znalazła się na powrót w dyżurce, była już znowu opanowana i pozornie spokojna.

— Czy ona wyjdzie z tego? — Oczy Barbary szukały w oczach pielęgniarki czegoś, czego nie mogły znaleźć: iskierki otuchy, szczypty bodaj najostrożniejszego optymizmu. Ale trudno było o optymizm, gdy widziało się Daphne taką przeraźliwie bladą, wymizerowaną, nieprzytomną, wyglądającą tak, jakby za chwilę miała umrzeć. Sama pielęgniarka opierała wątłą i raczej irracjonalną nadzieję jedynie na tym, że Daphne Fields wywołuje zarówno wśród swoich znajomych, jak i ludzi, którzy znają ją tylko z książek, potrzebę bezgranicznego oddania. A teraz Barbara Jarvis patrzyła na nią oczekując odpowiedzi, którą znał tylko Bóg.

— Za wcześniej, żeby powiedzieć: tak albo nie — odezwała się w końcu. Lata praktyki pozwoliły jej nadać głosowi stosowne brzmienie. — Oceniam jej szansę mniej więcej pół na pół. Odniosła bardzo rozległe obrażenia. — Usłyszawszy to, Barbara spuściła głowę i w milczeniu odeszła w stronę aparatu telefonicznego. Gdy wróciła, spytała, kiedy znowu będzie mogła zajrzeć do Daphne. — Za jakies pół godziny, ale też tylko na kilka minut. Nie miałaby pani ochoty na filiżankę kawy?... — Pielęgniarka zawahała się. Może ta kobieta nie zechce czekać? Ostatecznie jest tylko sekretarką panny Fields.

Barbara zdawała się czytać w jej myślach. — Zostanę tutaj — próbowała się uśmiechnąć, ale okazało się to ponad jej siły. — Chętnie napiję się kawy — zrobiła pauzę, po czym wydusiła z siebie niemal z męką: — Dziękuję.

Obecna w dyżurce praktykantka zaprowadziła ją do automatu z kawą, usytuowanego obok kanapy obitej niebieską ceratą. Ten surowy mebel wzbudził w Barbarze ponure refleksje. Pomyślała o ludziach, którzy tu wysiadawali, czekając na wiadomość, czy ich najbliżsi będą żyć, czy umrą. Zapewne częściej zdarzało się to drugie.

Praktykantka, młoda dziewczyna w niebieskim fartuchu, nalała filiżankę parującej czarnej kawy i podała ją Barbarze. Ta na chwilę zatrzymała uważne spojrzenie na przyszłej pielęgniarce.

— Czytujesz jej książki? — spytała.

Dziewczyna, rumieniąc się, wykonała potakujący gest i oddaliła się. Kiedy o trzeciej po południu zjawiała się w szpitalu Liz Watkins, która tego dnia wzięła podwójny dyżur, Barbara nadal siedziała na zimnej niebieskiej kanapie, wyczerpana i bliska załamania. Liz poszła spojrzeć na kartę Daphne i kiedy przekonała się, że w stanie chorej nie nastąpiła żadna poprawa, wróciła z zamiarem porozmawiania z Barbarą. Nalała nową filiżankę kawy i obrzuciła ją baczny spojrzeniem. Intrygowała ją ta kobieta. Oceniała, że musi być mniej więcej w wieku Daphne, i przez jedną szaloną chwilę chciała zapytać, jaka naprawdę w codziennym życiu jest jej chlebodawczyni. Powstrzymała się jednak, wiedząc, że takim pytaniem tylko zezłości sekretarkę, która natychmiast zamknie się w sobie niczym w lodowej skorupie. Po namyśle odważyła się jedynie zagadnąć:

— Czy panna Fields ma rodzinę, którą należałoby zawiadomić?

Przez ułamek sekundy Barbara jakby się zawahała, zaraz jednak potrząsnęła głową.

— Nie... — Już zamierzała dodać, że Daphne jest sama na świecie, ale po pierwsze, nie byłoby to zupełnie zgodne z prawdą, a po drugie, tej pielęgniarki Watkins nie powinno to obchodzić.

— Słyszałam, że jest wdową.

Barbara zdziwiła się, że Liz o tym wie, lecz tylko milcząco przytaknęła i upiła łyk kawy. Kiedyś prawie całą historię Daphne wywlókł Conroy w swoim telewizyjnym show, ale od tego czasu ani ona sama nie wracała w rozmowach do bolesnych przeżyć, ani nie robił tego nikt inny. Dziś znano ją jako „pannę Fields”, co sugerowało, że nigdy nie była mężatką. Początkowo Daphne wydawało się, że popełnia zdradę wobec Jeffa, uznała jednak, że na dłuższą metę tak będzie lepiej. Nie zniosłaby, gdyby ktoś przy niej zaczął mówić o nim lub o Aimee. Zwierzała się jednej jedynej Barbarze, która w tej chwili martwiła z lęku, co teraz stanie się z kimś, o kim myślała...

— Na pewno nie dzwonił nikt z prasy? — rzuciła szybkie spojrzenie znad filiżanki, nagle bardzo czymś poruszona.

— Nie, nikt — Liz uśmiechnęła się uspokajająco. — Proszę się nie martwić, w razie czego ja się tym zajmę. Nie dopuścimy dziennikarzy do panny Fields.

Po raz pierwszy na twarzy Barbary zagościł nikły, lecz nie wymuszony uśmiech. Zadziwiający. Przez sekundę wydawała się niemal piękna.

— Ona za wszelką cenę stara się unikać rozgłosu.

— Przy jej popularności musi to być trudne. Pewnie jest nieustannie oblegana.

— To prawda — Barbara ponownie się uśmiechnęła.

— Ale kiedy chce, potrafi sprytnie wymknąć się prasie. W czasie kolejnych tournée i innych publicznych imprez musi rozmawiać z dziennikarzami, ale nawet wtedy świetnie sobie radzi z udzielaniem wymijających odpowiedzi na zbyt wścibskie pytania.

— Czy rzeczywiście jest taka skromna? — Liz gorąco pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o samej Daphne. Pisarka była jedyną znakomitością, którą zawsze chciała poznać osobiście. I w tej chwili znajdowała się tak blisko, a mimo to wciąż stanowiła dla niej nieprzeniknioną zagadkę.

Barbara Jarvis znowu zrobiła się ostrożna, lecz nie przejawiała już wrogości. — W pewnych sprawach, owszem. W innych wcale. Powiedziałabym raczej „odseparowana od świata”. Jest bardzo skryta. Nie żeby się bała ludzi. Po prostu trzyma się na dystans. Z wyjątkiem... — Barbara zawiesiła na moment głos i zadumała się. — Z wyjątkiem tych — podjęła wreszcie — o których się troszczy i którzy są jej najbliżsi. Przy nich zachowuje się jak podniecone, szczęśliwe dziecko.

Taki wizerunek Daphne sprawił przyjemność Liz Watkins. Uśmiechnęła się, wstając.

— Zawsze podziwiałam Daphne Fields za jej książki. Przykro mi, że zetknęłam się z nią w takich okolicznościach

— uśmiech zniknął z jej twarzy, w oczach pojawił się smutek. Nie mogła się pogodzić z tym, że kobieta, którą uwielbiała, być może właśnie umiera. Spojrzała na Barbarę, nie kryjąc swoich uczuć. — Dam pani znać, kiedy będzie ją pani mogła znowu zobaczyć.

— Będę tutaj.

Liz skinęła głową i odeszła, śpiesząc się, by nadrobić stracone ponad pół godziny. Miała tysiące rzeczy do zrobienia. Dzienna zmiana zawsze przysparzała najwięcej pracy, a bezpośrednio po niej obejmowała dyżur nocny. Tak ją, jak i Barbarę Jarvis czekał długi męczący dzień.

5

Kiedy obie kobiety ponownie weszły do pokoju Daphne, ta na jedno króciutkie mgnienie otworzyła oczy, po czym znowu opuściła powieki. Przestraszona Barbara spojrzała szybko na pielęgniarkę, która jednak z całkowitym spokojem sprawdziła puls pacjentki i z uśmiechem zwróciła się do swojej towarzyszki:

— Działanie środka usmierzającego zaczyna już słabnąć. Ledwie Liz zdążyła to powiedzieć, Daphne powtórnie

otworzyła oczy i usiłowała skoncentrować wzrok na pochylonej nad nią twarzy.

— Daphne? — odezwała się cicho Barbara do swojej pracodawczyni i przyjaciółki. Stojąca nieco z boku Liz spostrzegła, że choć oczy Daphne pozostały tym razem otwarte, to ich spojrzenie jest jeszcze puste. Wreszcie po dłuższej chwili przez twarz chorej przemknął cień uśmiechu. W chwilę potem wydawało się, że znowu zapada w sen, zaraz jednak popatrzyła na Barbarę odrobinę

przytomniej i poruszyła wargami, najwyraźniej chcąc coś powiedzieć. Barbara nachyliła się jeszcze niżej, by lepiej słyszeć.

— Musiała... być... niesamowita... zabawa... Cholernie boli mnie głowa... — szept zamarł, a Daphne uśmiechnęła się troszeczkę szerzej, zadowolona z własnego żartu. Barbara zaśmiała się w odpowiedzi z załzawionymi oczami, po czym odwróciła się do Liz z wyrazem takiej zwycięskiej dumy na twarzy, jaki mogłaby mieć matka, której pierworodne dziecko wypowiedziało swoje pierwsze w życiu słowa. Kiedy Daphne przemówiła, odetchnęła z ogromną ulgą, a Liz poczuła, że pod jej powiekami także wzbierają łzy. Ofuknęła się w duchu za sentymentalizm, ale scena, której była świadkiem, miała w sobie coś urzekającego. Te dwie kobiety stanowiły doprawdy szczególną parę. Jedna drobna i jasna, druga wysoka i ciemna, jedna mimo swej kruchości tak potężna dzięki sile swoich słów, druga, choć postawna i twarda, najwyraźniej ciepła i uległa wobec tej pierwszej. Liz spostrzegła, że Daphne zbiera siły, by jeszcze coś powiedzieć. — Co nowego? — spytała ledwie słyszalnym szeptem.

— Ostatnio niezbyt wiele. Podobno potraciłaś samochód. Mówiono mi, że nadaje się tylko do kasacji. — Miały zwyczaj co rano przekomarzać się ze sobą w podobnym stylu, lecz tym razem Daphne jej się nie zrewanżowała.

— Ja także...

— To zupełna bzdura i dobrze o tym wiesz.

Daphne dopiero teraz dostrzegła pielęgniarkę i przeniosła na nią wzrok, jakby oczekując potwierdzenia.

— Wszystko będzie dobrze, panno Fields. Już jutro poczuje się pani znacznie lepiej.

Daphne kiwnęła głową jak małe, posłuszne dziecko, które święcie wierzy we wszystko, co mu mówią. Naraz w jej oczach odbił się niepokój, a następnie nabrały wyrazu stanowczości. Ponownie spojrzała na Barbarę i powiedziała:

— Nie mówcie nic... Andy'emu... Ani Matthew... Barbara przymknęła powieki. Serce jej się ścisnęło. Bała

się, że Daphne to właśnie powie. A jeśli coś się stanie? Jeśli jutro nie poczuje się lepiej, jak zapewniała pielęgniarka?

— Przyrzeknij... mi...!

— Dobrze, przyrzekam. Ale na miłość boską, Daff...

— Nie... nie... — Daphne osłabiona wysiłkiem, na jaki się zdobyła, zamknęła oczy. Po chwili jednak znowu je otworzyła i popatrzyła na Barbarę, tym razem z jakimś nowym zainteresowaniem.

— Kto... mnie... potracił? — spytała, jakby natychmiast musiała się tego dowiedzieć.

— Jakiś dupek z Long Island. Zdaniem policji nie był pijany. Facet twierdzi, że nie patrzyłaś, gdzie idziesz.

Próbowała skinąć głową, lecz raptem skrzywiła się i przez parę sekund usiłowała zaczerpnąć powietrza. Liz błyskawicznie chwyciła jej nadgarstek. Należało kończyć wizytę. Tylko że Daphne koniecznie chciała dodać coś jeszcze.

— Mówi... prawdę... — wyszeptała z trudem. Czekają, ale ona umilkła. W końcu Barbara nachyliła się i spytała:

— Kto, kochanie?

— Ten... dupek... — głos miała słabszy niż dotychczas, oczy jednak znowu jej się uśmiechały. — Ja... istotnie... nie patrzyłam... zamyśliłam się... — utkwiała wzrok w Barbarze. Tylko ona wiedziała, jak ciężkie i bolesne było dla niej każde Boże Narodzenie, odkąd Jeff i Aimee zginęli w pożarze, właśnie w świąteczną grudniową noc. W tym roku sytuację dodatkowo pogarszał fakt, że Daphne spędzała Boże Narodzenie zupełnie sama.

— Rozumiem. — A więc to wspomnienia omal jej nie zabiły. Czy też może pod ich wpływem samej Daphne nagle przestało na czymkolwiek zależeć? Ta myśl poraziła Barbarę. Czy Daphne celowo weszła pod samochód? Nie, nie. Każdy, tylko nie ona. Na pewno nie. Chociaż... — W porządku, Daff

— powiedziała głośno.

— Nie pozwól... żeby... kierowca... miał... kłopoty... To nie... jego wina... Powtórz im... że ja tak powiedziałam...

— Jakby chcąc zyskać świadectwo kogoś, kto słyszał te słowa, spojrzała prosząco na Liz. — Ja... nic... nie... pamiętam...

- Dobrze, Daff.

Wielkie niebieskie oczy Daphne nagle zwilgotniały. — Tylko., syreny... Syreny... Zupełnie jak... wtedy... — opuściła powieki. Po policzkach wolno zaczęły jej spływać łzy, wsiąkając w poduszkę. Barbara, także ze łzami w oczach, wzięła ją za rękę.

— Przestań, Daphne. Przestań. Myśl tylko o tym, że musisz wyzdrowieć. — I dodała, jakby przywołując ją do porządku: — Pamiętaj o Andym.

Usłyszawszy to Daphne uniosła powieki i długo, z powagą, patrzyła na Barbarę. Wreszcie Liz znacząco spojrzała na zegarek.

— Pozwolimy pani teraz odpocząć, panno Fields. Pani przyjaciółka wkrótce znowu do pani przyjdzie. Czy chce pani jakiś środek przeciwbólowy?

Daphne wykonała słaby przeczący gest i z wyraźną ulgą zamknęła oczy. Zasnęła, zanim zdążyły wyjść z pokoju. W korytarzu Liz gwałtownie odwróciła się do Barbary.

— Czy jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć, panno Jarvis? — utkwiała w niej badawczy wzrok. — Niekiedy informacje dotyczące najbardziej osobistych spraw pacjentów pomagają nam... — Chciała powiedzieć „wzbudzić w nich wolę życia”, ale powstrzymała się w porę. — Wczoraj wieczór — podjęła nie kończąc zdania — panna Fields miała dziwne koszmarne sny. I... — w głosie pielęgniarki zawisło tysiące pytań. Barbara wykonała nieokreślony ruch głową, jednak zaraz się zreflektowała. Niemal było widać, jak między nią a Liz Watkins znowu wyrasta mur, którym sekretarka odgradzała od świata osobę Daphne.

— Jak pani już wie, jest wdową — odrzekła. I to było wszystko. Liz, chcąc nie chcąc, przytaknęła.

— Rozumiem. — Odwróciła się i odeszła w stronę swojego pokoju.

Barbara naląła sobie kolejną filiżankę czarnej kawy, po czym wróciła na ceratową kanapę. Opadłszy na nią z westchnieniem, pogрузzyła się w ponurych myślach. Czowała się fatalnie. Dlaczego, u diabła, przyrzekła Daphne nie wspominać o niczym Andy'emu? Miał prawo wiedzieć, że jego matka walczy ze śmiercią. A jeśli ona umrze? W ostatnich latach Daphne zarobiła na swoich książkach dostatecznie dużo, aby zapewnić mu utrzymanie, lecz on potrzebował czegoś więcej. Potrzebował Daphne. Nikogo i niczego prócz niej. Gdyby jej zabrakło...

Barbara drgnęła i odruchowo spojrzała w okno. Właśnie znowu zaczął padać śnieg. Posępny zimowy pejzaż znakomicie współbrzmiał z jej nastrojem.

Przez cały pierwszy rok pracy u Daphne nie usłyszała od niej słowa na jego temat. Najmniejszej wzmianki. Dla Barbary Daphne była wziętą pisarką, najwyraźniej niezamężną, zapracowującą się bardziej niż którakolwiek ze znanych jej osób i na dobrą sprawę nie mającą żadnego prywatnego życia. Trudno się było nawet temu dziwić. Jakim cudem ktoś, kto wydaje co roku dwa bestsellery, miałby mieć czas na życie osobiste? Była to sprzeczność nie do pogodzenia. Aż nadeszła Wigilia Bożego Narodzenia. Barbara zasiedziała się dłużej w pracy i wtedy Daphne przyszła do niej ze szlochem i o wszystkim jej opowiedziała. O Jeffie, Aimee... i o Andym, dziecku poczętym w noc tragicznego pożaru, które ujrzało świat dziewięć miesięcy później, gdy Daphne była tak strasznie samotna, bez rodziny, męża, przyjaciół. Bez przyjaciół, ponieważ ci zbyt boleśnie przywodzili jej na myśl Jeffa, by mogła się z nimi widywać. Jak bardzo różniły się od siebie narodziny Aimee i Andy'ego... Aimee powitała świat tryumfalnym okrzykiem, Jeff trzymał Daphne za rękę, a potem oboje patrzyli na swoją maleńką dziewczynkę ze łzami radości i szczęścia. Andy rodził się trzydzieści osiem godzin. Poród był pośladowy, owiniętemu pępowiną maleństwu w każdej chwili groziło uduszenie, aż wreszcie kres cierpieniu jego i matki położyło cesarskie cięcie.

Lekarz, który z pełnym samozaparciem i oddaniem walczył o życie Daphne i małego, powiedział później, że dziecko, w momencie gdy je wyjmował, wydało dziwny, stłumiony dźwięk i

było niemal zupełnie sine. Po przebudzeniu z narkozy Daphne była za słaba, by je zobaczyć, a co dopiero utulić. Ale Barbara nigdy nie zapomni wyrazu jej oczu, kiedy mówiła

o chwili, gdy pierwszy raz wzięła maleństwo na ręce. Leżało cicho w jej ramionach, tak jak złożyła je tam pielęgniarka.

i nagle nie czuła już bólu, przestał istnieć świat, nie liczyło się nic poza tą okruszynką, spoglądającą na nią poważnymi oczkami i jak dwie krople wody podobną do Jeffreya. Nazwała go Andrew Jeffrey Fields. Chciała, by nosił imię ojca, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Gdyby się zwracała do niego „Jeff, za każdym razem wspomnienia rozdierałyby jej duszę. Zdecydowała się więc na Andrew, ponieważ to imię wybrali wspólnie z Jeffem przed narodzinami Aimee, kiedy jeszcze nie wiedzieli, czy będą mieć chłopca, czy dziewczynkę. Daphne opowiedziała także Barbarze o wstrząsie, jakiego doznała sześć tygodni po pożarze, odkrywając, że jest w ciąży. Tylko to trzymało ją przy życiu przez następne długie, straszne miesiące. Tylko to sprawiło, że nie chciała umrzeć jak tamtych dwoje. I nie umarła. Przetrwiała nawet bardzo ciężki poród, podobnie jak przetrwał go Andy. Był prześlicznym, wiecznie uśmiechniętym dzieckiem o różowych policzkach. Choć odziedziczył chabrowoniebieskie oczy Daphne, jego buzia stanowiła lustrzane odbicie twarzy Jeffa.

Daphne wynajęła dla nich obojga malutkie mieszkanie i zawiesiła ściany pokoju dzieciennego fotografiami Jeffreya, żeby chłopiec wiedział kiedyś, jak wyglądał jego ojciec. Umieściła tam również w małej srebrnej ramce zdjęcie Aimee. Andy miał już trzy miesiące, gdy Daphne po raz pierwszy tknęło jakieś złe przeczucie. Jej synek był najzdrowszym dzieckiem pod słońcem. Jeśli różnił się czymś od swoich rówieśników, to tylko niespotykane pogodnym usposobieniem. Ale któregoś dnia przypadkiem upuściła przy nim całą tacę z naczyniami, a on nadal leżał spokojnie w dużym koszyku na kuchennym stole i nawet nie drgnął. Zaklaskała w dłonie tuż przy jego uszku. Zareagował jedynie uśmiechem, gdy ją zobaczył. Zakiełkowało w niej okropne podejrzenie. Nie zdobyła się na wezwanie lekarza, tylko podczas następnej okresowej wizyty zadała mu kilka pozornie obojętnych pytań. Jednak doświadczony lekarz natychmiast zorientował się, do czego ona zmierza. Niestety, potwierdziły się najgorsze obawy. Andy był głuchy od urodzenia. Od czasu do czasu wydawał osobliwe cichutkie dźwięki, lecz na razie było to za mało, by stwierdzić, czy jest również niemy. Nikt nie potrafił ustalić przyczyny tego upośledzenia, które mógł spowodować szok, jakiego Daphne doznała zaraz po poczęciu, lecz równie dobrze środki farmakologiczne, którymi leczono ją z oparzeń i urazów. Ponad miesiąc spędziła wówczas w szpitalu, gdzie faszerowano ją najróżniejszymi lekami. Nikomu nie przyszło do głowy, że może być w ciąży. Bez względu jednak na przyczynę, kalectwo chłopca było zupełne i nieodwracalne.

Daphne pokochała go wtedy jeszcze mocniej. Jej matczyzna miłość stała się wręcz fanatycznie żarliwa. Przez całe dni, jeśli akurat nie spał, nie odstępowała go na krok, wieczorami nastawiała budzik na wpół do szóstej, aby mieć pewność, że zbudzi się pierwsza i od świtu będzie przy nim, gotowa pomóc mu w każdej trudniejszej chwili, jaką przyniesie dzień.

A trudnych chwil wciąż przybywało. Z początku żyła w obsesyjnym lęku, nie wiedząc kiedy i skąd może pojawić się niebezpieczeństwo. Z czasem jej obawy zaczęły się konkretyzować. Nauczyła się ubiegać realne zagrożenia, przed którymi nie mógł ostrzec Andy'ego słuch, reagować na klaksony samochodów, warczenie psów czy skwierczenie bekonu na rozpalonej patelni. Nadal jednak trwała w nieustającym stresie. A mimo to wciąż zdarzały się cudowne bezcenne chwile, gdy po policzkach spływały jej łzy czułości i szczęścia, że może dzielić życie ze swoim dzieckiem. Był najpogodniejszym brzdącem, jakiego można sobie wymarzyć. Lecz nawet w tych najlepszych chwilach Daphne nie opuszczała świadomości, że normalne życie, jakie wiodą inni, nigdy nie stanie się jego udziałem. Z nikim się nie spotykała, zapomniała o teatrze czy kinie, niemal nie wychodziła z domu, by nie zostawić chłopca z kimś trzecim, przeświadczona, że ona jedna rozumie, co grozi mu na każdym kroku, i że tylko ona potrafi ustrzec go przed niebezpieczeństwem, przykrościami i frustracją. Brała na siebie wszystko, co jemu niósł płynący czas, i płaciła za to wysoką cenę. Co noc padała na łóżko skrajnie wyczerpana całodziennym wysiłkiem. Były momenty, gdy napięcie spowodowane zmęczeniem i żalem przekraczało granice jej odporności nerwowej, gdy potrzeba wykrzyknięcia Andy'emu czegoś, czego nie mógł zrobić albo usłyszeć, stawała się tak przemożna, że zaciskała pięści i zęby, żeby go nie uderzyć.

Ale tak naprawdę ogarniała ją wściekłość nie na niego, lecz na okrutny los, który sprawił, że jej ukochane dziecko jest głuche. Dodatkowo przytłaczało Daphne poczucie winy. Gnębiła ją myśl, że nie zapobiegła nieszczęściu, nie zdołała ocalić Jeff a i Aimee od śmierci w płomieniach. A teraz tak samo nie była w stanie uchronić Andy'ego przed czekającym go bolesnym zderzeniem z brutalną rzeczywistością. Nie mogła uczynić nic, by tę rzeczywistość zmienić. Przeczytała wszystkie dostępne książki o dzieciach głuchych od urodzenia. Odwiedziła po kolei wszystkich specjalistów w Nowym Jorku. Na próżno. Nikt nie mógł nic zrobić. Mimo to dalej walczyła z nieubłaganymi faktami. Zmagła się z nimi z zajądłą pasją jak z wrogiem, przed którym nie wolno się cofać. Sama straciła tak wiele, a teraz szansę na szczęśliwe życie miałby utracić także Andy? Poczucie krzywdy i niesprawiedliwości paliło ją do żywego. A nocami snił jej się inny ogień i budziła się z krzykiem.

Lekarze specjaliści dawali jej do zrozumienia, że prędzej czy później będzie musiała umieścić Andy'ego w specjalnej szkole. Że to jedyne wyjście, bo on nigdy nie będzie mógł się uczyć ani bawić razem z normalnymi dziećmi. Bez przerwy powtarzali, iż mimo jej herkulesowych wysiłków są przeszkody, których nie pokona. Wszak już teraz nawet ona, znająca swego synka lepiej niż

ktokolwiek inny, ma trudności w porozumieniu się z nim. A przyjdzie dzień — przestrzegali lekarze — że zaczną w sobie nawzajem szukać przyczyny wszelkich niepowodzeń. Argumentowali z naciskiem, iż Daphne nie jest przecież profesjonalistką, a on musi nabyć specjalnych umiejętności, co może mu zapewnić tylko fachowa pomoc.

Daphne jednak nie ustępowała, choć zauważyła, że stałe trzymanie Andy'ego pod kloszem coraz bardziej separuje go od rówieśników. W tych rzadkich momentach, kiedy ich spotykał, odnosił się do nich z rosnącą nieufnością lub wybuchał złością. Ale też słyszące dzieci rzeczywiście nie tylko nie chciały się z nim bawić, lecz traktowały go z bezlitosnym okrucieństwem. Te spięcia działały na Daphne tak przygnębiająco, że odkąd Andy wyszedł z niemowlęstwa, przestała go zabierać na plac zabaw. Nadal jednak nie chciała się zgodzić, by przebywał z dziećmi podobnymi do siebie, nadal trzymała go przy sobie, czyniąc z obojga więźniów w małym mieszkaniu. I nadal nie słuchała specjalistów, którzy niezmiennie namawiali ją, by wysłała Andy'ego do zamkniętej szkoły.

— Do zakładu?! — zachnęła się w gabinecie zaprzyjaźnionego lekarza. — Nie zrobię mu tego! Nigdy!

— To co robisz, jest dużo gorsze — mówił łagodnie, tonem perswazji. — Przecież nie musi zostać tam na zawsze, Daphne. Ale spójrz wreszcie prawdzie w oczy. W domu nie wpoisz mu wiedzy, jaka właśnie jemu jest niezbędna, bo sama jej nie masz.

— Więc się nauczę! — krzyknęła na lekarza, bo nie mogła krzyknąć na los, który uczynił Andy'ego kaleką, na nieczuły świat, na bogów zsyłających jej tyle cierpienia. — Do diabła,

nauczę się i będę mu pomagać dzień i noc! — Tyle że do tej pory też to przecież robiła i niczego nie osiągnęła. Andy żył w całkowitej izolacji.

— A co będzie po twojej śmierci? — spytał bez ogródek pediatra. — Nie, Daphne, nie masz prawa tak z nim postępować. Zupełnie go od siebie uzależniłaś. Na miłość boską, daj mu szansę własnego życia. W szkole zdobędzie niezależność. Nauczy się, jak funkcjonować w normalnym świecie, kiedy zostanie do tego należycie przygotowany.

— To znaczy kiedy? Jak skończy dwadzieścia pięć lat? Trzydzieści? Jak kompletnie odwyknie od zwykłego życia? Widziałam tych ludzi w zakładach, rozmawiałam z nimi przez tłumaczy. Nie chcą nawet wiedzieć, co mają im do powiedzenia ci, których nazywają „słyszącymi”. Oni wszyscy są jak skazańcy. Niektórzy mają po czterdzieści lat i nigdy nie przebywali poza zakładem. Nie zgadzam się! Nie!

Andy siedział i przyglądał im się, zafascynowany ich mimiką i gestykulacją. Słowa, wypowiedane łagodnym głosem lekarza i podniesionym matki, dla niego nie istniały.

Przez trzy lata Daphne toczyła tę swoją prywatną wojnę, nieświadomie wyrządzając Andy'emu na razie niedostrzegalną w skutkach, lecz dotkliwą krzywdę. Już dawno stało się jasne, że chłopiec

nie będzie również mówił. Ostatnią próbę wprowadzenia go w normalne otoczenie Daphne podjęła, gdy mały skończył trzy lata. Ale dzieci nadal odwracały się od niego, jakby instynktownie wyczuwały, że on bardzo się od nich różni. Któregoś dnia ujrzała go siedzącego samotnie w piaskownicy. Przypatrywał się innym dzieciom, a po buzi ciekły mu łzy. Po chwili spojrział na matkę, jakby pytał: „Co ze mną jest nie w porządku?” Daphne podbiegła do niego i płacząc wraz z nim, samotna jak on, przejęta niemą rozpaczą, zaczęła cicho kołysać go w ramionach. Wtedy zrozumiała, że go zawiodła.

Miesiąc później jej wojna dobiegła końca. Z ciężkim sercem zaczęła odwiedzać owe szkoły, do których odnosiła się z taką niechęcią. Wciąż nie potrafiła pogodzić się wewnętrznie z koniecznością rozstania, choć już wiedziała, że dalsze trzymanie Andy'ego przy sobie oznaczałoby dla niego katastrofę. I że najcenniejszą rzeczą w życiu, jaką może mu ofiarować, jest uwolnienie go od siebie.

Po długich poszukiwaniach znalazła szkołę, która ewentualnie mogła wchodzić w rachubę. Mieściła się w małym, przytulnym miasteczku w stanie New Hampshire. Wokół zabudowań rosły brzozy, tuż obok znajdował się niewielki staw, a przez teren szkoły przepływała rzeczka, w której srebrzyły się drobne rybki. Najbardziej spodobało jej się, że nie było tutaj „wiecznych studentów” w wieku powyżej dwudziestu lat. Nie nazywano ich też pacjentami ani pensjonariuszami, jak w innych tego typu zakładach, tylko zwyczajnie uczniami bądź dziećmi. Większość wychowanków, gdy zbliżali się do dwudziestki, odsyłano do domów, aby umożliwić im podjęcie nauki w college'ach albo pracy lub też by po prostu połączyć ich z rodzinami, które tak długo i wytrwale na nich czekały.

Mimo to, spacerując wolno po szkole w towarzystwie dyrektorki, nobliwej siwowłosej pani o szlachetnych rysach, Daphne w pewnym momencie znowu wpadła w przygnębienie. Oto miejsce, w którym ma zostawić Andy'ego, może na piętnaście lat, może na dziesięć, a już co najmniej na osiem. Ta myśl rozdzierała jej serce. Był przecież jej ostatnim dzieckiem, ostatnią miłością, jedyną ludzką istotą, z którą łączyły ją więzy krwi. Nagle odżyła w niej cała dręcząca rozterka, cały ból, jaki dusiła w sobie od chwili, gdy podjęła decyzję. Zaczęła rozpaczliwie szlochać. Naraz poczuła na swoim ramieniu rękę dyrektorki i nie wiedząc kiedy ani jak, znalazła się w mocnym, serdecznym uścisku tej życzliwej starszej kobiety, którą życie nauczyło nieść ludziom ulgę bez zbędnych słów. Za to Daphne, nie zważając już na nic, wypłakiwała teraz wszystek żal, jaki nagromadził się w niej przez cztery lata od narodzin Andy'ego, wyrzucała z siebie w nieskładnych rwanych zdaniach również historię tragedii, która je poprzedziła.

W końcu dyrektorka wypuściła ją z objęć i powiedziała poważnym tonem:

— Robi pani dla swojego syna naprawdę wspaniałą rzecz, pani Fields. Wiem, jak bardzo jest pani ciężko. — A gdy szloch Daphne wreszcie ucichł, dodała: — Czy pani obecnie pracuje?

Daphne drgnęła. Czyżby wątpiono, że stać ją będzie na opłacenie pobytu Andy'ego w zakładzie? Zebrała wszystkie pieniądze swoje i Jeffa i żyła nad wyraz oszczędnie. Nie licząc paru rzeczy, które musiała kupić po pożarze, nie sprawiła sobie ani jednej nowej sukienki. Całą sumę z polisy ubezpieczeniowej Jeffa zamierzała przeznaczyć na szkołę Andy'ego. Oczywiście teraz, gdy zostanie sama, będzie mogła wrócić do pracy. Po śmierci Jeffa było to wykluczone. Najpierw musiała wyzdrowieć, a potem odkryła, że jest w ciąży. Poza tym i tak wówczas nie byłaby w stanie pracować, ponieważ zbyt głęboko przeżywała swoją tragedię. Zresztą po złożeniu rezygnacji otrzymała od kierownictwa „Collins Magazine” szczodłą odprawę.

— Nie, pani Curtis, w tej chwili nie pracuję. Ale mój mąż zostawił mi dosyć, żebym...

— Nie to miałam na myśli — sprostowała ze współczującym uśmiechem dyrektorka. — Chciałam tylko spytać, czy nie mogłaby pani na jakiś czas zamieszkać w naszej miejscowości. Niektórzy rodzice tak właśnie robią. Pozostają u nas przez pierwsze miesiące, dopóki dzieci się nie zaadaptują. A ponieważ Andy jest jeszcze taki mały... — Dodatkowym argumentem, przemawiającym za tą akurat szkołą, było dla Daphne to, że przebywało w niej pięcioro dzieci w wieku jej synka. — Mamy w miasteczku uroczą gospodę, którą prowadzi austriackie małżeństwo. Zawsze jest także kilka wolnych domów do wynajęcia. Może się pani nad tym zastanowi...

Daphne poczuła się tak, jakby otrzymała odroczenie egzekucji.

— Mogłabym go codziennie widywać? — rozpromieniła się. W oczach znowu zabłyśły jej łzy.

— Początkowo tak — odrzekła pani Curtis. — Potem, przez wzgląd na was oboje, powinna pani zacząć stopniowo ograniczać wizyty. Rozumie pani — uśmiech dyrektorki łagodził jej słowa — Andy będzie miał coraz więcej wspólnych zajęć ze swoimi przyjaciółmi i coraz bardziej będzie nimi zaabsorbowany.

— Myśli pani, że przestanie za mną tęsknić? — spytała żałośnie Daphne.

Starsza pani zatrzymała się i spojrzała na nią. — Pani nie traci syna, pani Fields. Stwarza mu pani szansę udanego życia w jego i w naszym świecie.

Miesiąc później Daphne wyruszyła z Andym w podróż. Jechała przez Nową Anglię nie spiesząc się zbytnio. To były ostatnie godziny ich dawnego życia i chciała je przedłużyć jak tylko się da. Czowała, że nie jest jeszcze psychicznie gotowa do rozstania z synem. Z jakiegoś powodu urok otaczającego ich krajobrazu wprawiał ją w jeszcze większe przygnębienie. Liście zmieniały kolory, wzgórza przedstawiały istną orgię barw, od głębokiej czerwieni po jasne odcienie żółci; mijali stare domostwa z zabudowaniami gospodarczymi, stadka koni na pastwiskach, schludne kościółki, a Daphne myślała o niezmiernym pięknym świecie, rozpościerającym się za ścianami ich

mieszkania, świecie, który tak bardzo pragnęła dzielić z Andym. Wzdłuż drogi coraz to ukazywały się obrazy, których on nigdy nie oglądał. Celował na przykład paluszkami w pasące się krowy i wydawał tak dobrze jej znane dźwięki, oznaczające pytanie. W jaki sposób miała na nie odpowiedzieć? A jak opisać ogromny świat, wypełniony ludźmi, z całym jego bogactwem, całą egzotyką miast, takich jak Londyn, Paryż lub San Francisco? Dopiero teraz uświadomiła sobie tak naprawdę, co Andy traci i jak mało ona go nauczyła. Jechała przez purpurowe wzgórza Nowej Anglii z poczuciem poniesionej porażki.

Wraz z nimi w samochodzie podróżowały wszystkie skarby Andy'ego. Pluszowy niedźwiadek, ukochany słoń, a także ilustrowane książeczki, które tyle razy oglądał, ale których nikt nigdy nie mógł mu przeczytać. Daphne, rozpamiętując z goryczą swoje postępowanie, pomyślała w pewnym momencie, co na jej miejscu zrobiłby dla syna Jeff. Być może miałby więcej pomysłów, więcej cierpliwości. Jedno było pewne: nie kochałby ich dziecka bardziej niż ona. Kochała Andy'ego każdą cząsteczką duszy i gdyby mogła oddać mu własny zmysł słuchu, uczyniłaby to bez wahania.

Godzinę przed spodziewanym dotarciem do celu zatrzymali się na hamburgera w przydrożnym zajęździe. Nastroj Daphne odrobinę się poprawił. Andy był najwyraźniej podniecony podróżą i z zachwytem chłonał wszystkie nowe widoki. Daphne ubolewała, że nie może mu opowiedzieć o szkole, do której jada, ani wytłumaczyć, czemu musi go tam zostawić. Tak chciałaby mu bodaj przekazać, co teraz czuje, zapewnić go o swojej miłości!... Niestety. Przez całe życie mogła jedynie zaspokajać jego fizyczne potrzeby albo pokazywać mu wozy strażackie, pędzące ulicą w zupełnej ciszy. Nigdy nie dane jej było dzielić z nim myśli ani uczuć. Niewątpliwie musiał wiedzieć, że jest przez nią ubóstwiany, stale byli przecież razem. Co sobie jednak pomyśli, kiedy ona odejdzie, zostawiając go w szkole? Jak mu to wyjaśnić? Świadomość własnej bezradności dopełniała miary jej zgrzyoty.

Dyrektorka szkoły, pani Curtis, znalazła dla niej mały domek w miasteczku, w którym Daphne postanowiła zamieszkać przynajmniej do Bożego Narodzenia, aby w tym czasie codziennie odwiedzać synka. Naturalnie, będzie się to już bardzo różnić od ich dotychczasowego życia, kiedy zawsze byli razem. Ale Daphne zdawała sobie sprawę, że dawne życie odeszło bezpowrotnie w przeszłość. Że nie wolno jej dalej trzymać Andy'ego przy sobie, nawet jeśli pragnie tego bardziej niż cokolwiek w świecie.

Do szkoły dojechali tuż po zapadnięciu zmroku. Andy rozglądał się wokół zdumiony, jakby chciał spytać, co tutaj robią. Kiedy zobaczył dzieci, zmieszał się i spojrzął na Daphne. Gdy jednak ta z uśmiechem skinęła głową, uspokoił się. Te dzieci nie przypominały tamtych, które spotykał w Central Parku. Andy zdawał się instynktownie zgadywać, że łączy go z nimi jakieś szczególne podobieństwo. Z zainteresowaniem obserwował ich zabawę, a potem znaki, które dawały,

zmierzając powoli w jego stronę. Pierwszy raz spotkał się z przyjaznym przyjęciem ze strony swoich rówieśników. A kiedy mała dziewczynka zbliżyła się do niego i pocałowała go w policzek, Daphne musiała się odwrócić, żeby nie dostrzegł jej łez. Andy się jednak nie poruszył. Stał w miejscu i patrzył tylko zdziwiony.

Wówczas z pomocą pośpieszyła mu pani Curtis. Wzięła go za rękę i zaprowadziła na środek pomieszczenia. Patrząc za nimi Daphne wiedziała już, że podjęła słuszną decyzję i że przed Andym naprawdę otwiera się nowy świat. Stał się cud. Jej synek najwyraźniej garnął się do tych małych istotek, naznaczonych przez los tym samym piętnem. Uśmiechnął się, potem roześmiał i na chwilę jakby w ogóle zapomniał o Daphne. Podpatrywał znaki, jakie dzieci dawały sobie rączkami, i rozbawiony spróbował powtórzyć jeden z nich, po czym wydał z siebie radosny odgłos, podszedł do dziewczynki, która pierwsza go powitała, i dał jej buziaka.

Kiedy po pewnym czasie Daphne pomachała do niego, dając mu do zrozumienia, że odchodzi, tak dobrze bawił się już ze swoimi nowymi przyjaciółmi, że nie tylko się nie rozplakał, lecz nie sprawiał wrażenia choćby trochę niezadowolonego. Daphne uśmiechnęła się więc odważnie, przytuliła go ostatni raz i uciekła, zanim w jej oczach zdążyły pojawić się łzy. Andy nigdy się nie dowiedział, jaka rozpacz malowała się na twarzy jego matki, gdy opuszczała szkołę.

— Opiekuj się moim dzieckiem... — szepnęła do Boga, w którym już dawno temu przestała pokładać ufność, a teraz błagała Go, by jej wysłuchał.

6

Po upływie dwóch tygodni Andy już zupełnie oswoił się z trybem życia w szkole, a Daphne czuła się w miłym miasteczku w Nowej Anglii tak dobrze, jakby mieszkała w nim od urodzenia. Domek, który pomogła jej znaleźć pani Curtis, był ciepły, osłonięty od jesiennych wiatrów, miał śliczną wiejską kuchnię z ceglany piecem do wypieku chleba oraz mały salonik ze zniszczoną kanapą i wygodnymi, głębokimi fotelami. Był tu również kominek i błyszczące miedziane garnki, w których posadzono kwiaty. W sypialni stało wielkie łóżko przykryte kolorową narzutą. W tym pokoju Daphne spędzała większość czasu, czytając książki i prowadząc swój pamiętnik. Zaczęła go pisać, gdy była w ciąży z Andym.

Notowała bieżące wydarzenia, swoje myśli i uczucia. Zamieszczała także w dzienniku krótkie eseje, zawierające refleksje na temat życia. Marzyła, że któregoś dnia, gdy Andy podrośnie, będzie z nim dzielić swoje pisanie. Na razie samotnie przelewała na papier własną duszę, wypełniając tym długie noce, jakie nastąpiły w New Hampshire. Dni jednak były jasne i pogodne, chodziła więc na dalekie spacery leśnymi ścieżkami lub wzdłuż strumieni i spoglądając na pokryte śnieżnymi czapami góry, myślała o synku. Tutejszy świat był całkowicie odmienny od świata Nowego Jorku.

Stajnie pełne koni, krowy na pastwiskach, wzgórza oraz łąki, po których mogła wędrować godzinami, nie spotykając żywej duszy. Często wypuszczała się na takie długie przechadzki, znów jednak z uczuciem, że byłoby to naprawdę przyjemne dopiero wtedy, gdyby miała przy sobie Andy'ego.

Początkowo codziennie, później co dwa, trzy dni jeździła do szkoły, ale w przeciwieństwie do chłopca nie zdołała jeszcze przyzwycząić się do swojej nowej sytuacji. Przez cztery lata Andy wypełniał jej czas niemal bez reszty i gdy go zabrakło, powstała wokół niej pustka, z którą chwilami nie umiała sobie poradzić. Coraz częściej wspominała Jeffa i Aimee. I coraz częściej oczy zachodziły jej łzami na widok dziewczynek w wieku około ośmiu lat. Tyle miałyby właśnie Aimee. Ramiona aż drżały jej z hamowanego pragnienia, by każdą objąć i przytulić. Wciąż sobie powtarzała, że przecież z Andym jest inaczej, że nie straciła go na zawsze, że żyje, jest szczęśliwy i ma mnóstwo ciekawych zajęć. Wiedziała, że przywożąc go tutaj, zrobiła to, co powinna. Ale nadal jeździła do szkoły, siadała na ławce obok pani Curtis i godzinami patrzyła, jak jej synek się bawi i uczy mowy znaków. Niebawem sama zaczęła jej się uczyć, żeby się z nim lepiej porozumiewać.

— Wiem, co pani przeżywa, pani Fields. Dzieciom jest się dużo łatwiej przystosować niż ich rodzinom. Dla maluchów pobyt u nas to wyzwolenie od świata, który ich nie akceptował.

— A czy kiedykolwiek ich zaakceptuje?

— Tak — w głosie dyrektorki brzmiała niewzruszona pewność. — Zaakceptuje. Andy zawsze będzie inny. Ale kiedyś zdobędzie odpowiednie umiejętności, pokona wszelkie przeszkody — uśmiechnęła się krzepiąco do Daphne. — Pewnego dnia podziękuję pani za to.

— A co... — Daphne o mało nie spytała na głos: „A co ja teraz bez niego pocznę?”

Starsza pani zrozumiała ją bez słów. — Czy zastanawiała się już pani nad tym, co chce pani robić po powrocie do Nowego Jorku? Czy wróci pani do pracy?

Dyrektorka zdawała sobie sprawę, że dla samotnej Daphne rozłąka z dzieckiem będzie dotkliwsza niż dla innych matek. Wiedziała już także, że przez ostatnie prawie pięć lat Daphne nigdzie nie pracowała. Większość rodziców miała przynajmniej siebie nawzajem, rodzinę, pozostałe dzieci, zajęcia poza domem, które wypełniały im czas pod nieobecność synów czy córek, umieszczonych w jej szkole. Tego wszystkiego Daphne była pozbawiona.

— Nie wiem... — wzrok Daphne poszybował ku wzgórzom. Bez Andy'ego i tak nic nie będzie się liczyć. Tak jak w tej chwili nie cierpiała nawet wtedy, gdy pierwszy raz opuszczała samotnie szkołę. Jakby dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że naprawdę rozstaje się z synem i co to dla niej oznacza. Już nigdy nic nie będzie takie samo... Nigdy... — Nie wiem — powtórzyła cicho. Oderwała spojrzenie od wzgórz i popatrzyła na panią Curtis. — Upłynęło tyle czasu. Wątpię, czy

przyjęliby mnie z powrotem — uśmiechnęła się, ale w jej oczach odbił się cały ów miniony czas, o którym wspominała. Te lata dały jej okrutną lekcję.

— Nie przyszło pani do głowy, żeby podzielić się z innymi doświadczeniami związanymi z Andym?

— Ja? — Daphne była zaskoczona. O tym nigdy nie myślała.

— Nie ma za wiele dobrych książek na ten temat. Wspominała pani, że studiowała dziennikarstwo, a potem pracowała w „Collins Magazine”. Dlaczego nie miałyby pani napisać książki albo cyklu artykułów? Proszę pomyśleć, jak podobna publikacja pomogłaby pani wtedy, kiedy dowiedziała się pani o chorobie syna.

Daphne przypomniała sobie uczucie straszliwego osamotnienia. Wydawało jej się wówczas, że nikt na świecie nie rozumie nieszczęścia, jakie ją dotknęło.

— Może to jest myśl — powiedziała wolno, patrząc na Andy'ego, który właśnie zostawił jakąś małą dziewczynkę, by puścić się w pogoń za wielką czerwoną piłką.

— Sądzę, że pani doskonale poradzi sobie z tym zadaniem. Jeśli ostatnio Daphne brała pióro do ręki, to tylko po to, by

pisać swój pamiętnik. Robiła to każdej nocy, tym chętniej, że wolnego czasu miała teraz aż nadto. Wieczorami nie była już tak zmęczona jak przez wszystkie lata po urodzeniu Andy'ego. To prawda, że znajdowała się wtedy stale w stanie skrajnego wyczerpania. Jej synek był ruchliwy i ciekawski jak każde dziecko, wymagał jednak dużo większej opieki, gdyż nie miał słuchu, który by go ostrzegał przed niezliczonymi niebezpieczeństwami, nie mówiąc już o jego przejściach psychicznych, z którymi też Daphne musiała sobie radzić bez niczyjej pomocy.

Gdy późną nocą odłożyła swój dziennik, długo leżała w ciemności, rozmyślając nad propozycją pani Curtis. Pomysł był z pewnością dobry i mądry, lecz Daphne wzdrygała się na myśl, że miałyby pisać o Andym. Tak czy owak oznaczałoby to pogwałcenie jego prawa do prywatności. Poza tym czuła, że nie jest jeszcze gotowa do uzewnętrznienia lęków i swojego cierpienia. Były zbyt świeże, podobnie jak przez długi czas zbyt świeże było wspomnienie śmierci Jeffa i Aimee. O nich również nie napisała dotąd ani słowa. Wiedziała, że to wszystko tkwi nienaruszone w najgłębszych warstwach jej podświadomości i czeka właściwej chwili, by znaleźć sobie ujście, ale wiedziała też, że ta chwila jeszcze nie nadeszła. Nie nadszedł także jeszcze czas szczerego wyznawania innego rodzaju uczuć, które w sobie taila. Wciąż była przecież młodą i atrakcyjną kobietą. Przez cztery lata jedyną istotą, z jaką przestawała, był syn. W jej życiu nie było żadnego mężczyzny, a dla nielicznych przyjaciół nie miała czasu, zresztą nie chciała niczyjej litości. Wydawało jej się, że gdyby zaczęła spotykać się z jakimś mężczyzną, zdradziłaby Jeffa i wszystko, co ich łączyło. Tłumiła więc te inne uczucia, szczelnie pozamykała Wokół siebie drzwi, i dzień po dniu, rok po

roku spędzała sam na sam z małym. Dopiero teraz mogłoby się coś zmienić. Bo teraz, gdy Andy zostanie tutaj, w szkole, a ona znajdzie się samotna w ich mieszkaniu, nie będzie już miała żadnego uzasadnienia dla takiego pustelniczego życia. Dlatego nie chciała wracać do Nowego Jorku. Wolałaby na stałe zaszyć się w małym domku w New Hampshire.

Podczas długich porannych spacerów wstępowała niekiedy na śniadanie do Austrian Inn. Gospodę prowadziło małżeństwo, które dobrało się jak w korcu maku — oboje jednakowo pulchni i jednakowo serdeczni. Kobieta, dowiedziawszy się od pani Curtis, co sprowadziło Daphne do ich miejscowości, zawsze pytała o jej syna. Jak w każdym prowincjonalnym miasteczku, mieszkańcy byli świetnie zorientowani, kto jest tutejszy, a kto obcy, w jakim celu ktoś do nich przyjechał i jak długo zabawi. Przybysze tacy jak Daphne nie byli rzadkością, do miasteczka często przyjeżdżali rodzice, by odwiedzić przebywające w szkole dzieci, i większość zatrzymywała się właśnie w gospodzie. Rzadziej tak jak Daphne wynajmowali domy, a jeżeli już, to raczej w lecie. Przywozili ze sobą wtedy pozostałe dzieci i urządzali tu sobie wakacje. Oberżystka, pani Obermeier, szybko jednak zauważyła, że Daphne różni się od reszty przyjezdnych. Ta drobna, delikatna istota, wyglądająca jak podłotek, była zawsze cicha, trzymała się na uboczu i sprawiała wrażenie wyobcowanej. Za to w jej oczach kryła się mądrość i doświadczenie, niezwykle nawet u dwudziestoosmioletniej kobiety, jaką w rzeczywistości była. Wystarczyło raz w nie zajrzeć, by odgadnąć, iż życie nie zawsze obchodziło się z nią łaskawie.

— Jak ci się zdaje, czemu ona nikogo nie ma? — zagadnęła któregoś dnia swojego męża pani Obermeier. Ułożyła właśnie w koszyku słodkie bułeczki i teraz wstawiła do piekarnika tackę pełną ciasteczek. Na wspomnienie wypieków pani Obermeier ludziom w całej okolicy ślinka napływała do ust.

— Pewnie jest rozwiedziona. Wiesz, takie dzieci łatwo mogą rozbić małżeństwo. Może poświęcała za dużo uwagi chłopcu i mąż nie mógł tego wytrzymać.

— Wydaje się taka opuszczona.

Pan Obermeier uśmiechnął się. Jego żona zawsze przejmowała się kłopotami wszystkich dookoła. — Chyba po prostu tęskni za chłopcem. Zdaje się, że pani Curtis wspomniała, że ona jest jeszcze bardzo młoda i ma tylko to jedno dziecko. Ty też chodziłaś jak struta, kiedy Gretchen poszła do college'u.

— To nie to samo. — Hilda Obermeier spojrzała na męża, stwierdzając w duchu, że nie dostrzegł tego, co ona. — Czy zwróciłeś uwagę na jej oczy?

— Owszem. — Na pełnych policzkach pana Obermeiera pojawił się rumieniec. — Są bardzo piękne. — Poklepał żonę po pośladku i wyszedł przynieść drewno do pieca. W ten weekend dość niespodziewanie ich gospoda była pełna gości. W środku zimy zawsze mogli liczyć na wizyty

licznych miłośników turystyki narciarskiej, jesienią zjawiali się przybysze z Bostonu i Nowego Jorku, by podziwiać kolory wzgórz i lasów. Teraz jednak jaskrawopomarańczowe i karmazynowe liście prawie wszystkie już opadły. Był listopad.

W Dzień Dziękczynienia Daphne pojechała do szkoły, aby zjeść świątecznego indyka razem z Andym i jego kolegami. Po obiedzie spróbowała przyłączyć się do jakiejś dziecięcej gry. W pewnej chwili Andy zezłościł się na nią i pokazał rączkami: „Ty się na niczym nie znasz, mamusiu!” Daphne osłupiała: ten wybuch dotknął ją do żywego. Nigdy dotąd nic nie stało między nimi. Na moment znienawidziła szkołę za to, że go jej zabrała. Już nie był „jej”. Był „ich”. Zamiast na tych „ich”, wyładowała się jednak na Andym, odpowiadając mu gniewnymi, gwałtownymi znakami. Incydent zauważyła pani Curtis i później, w rozmowie z Daphne, wyjaśniła jej, że to, co zaszło, jest typowe dla okresu, jaki oboje właśnie przechodzą. To normalne, iż Daphne nie może na razie nadążyć za tempem zmian, jakie dokonują się w życiu Andy'ego. Nie powinna się więc peszyć tym, że nie potrafi jeszcze tak biegle jak on posługiwać się językiem gestów. Z czasem, zapewniała pani Curtis, ich wzajemne stosunki ułożą się lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Warto zatem uzbroić się w cierpliwość.

Podczas kolacji Daphne i Andy znowu byli przyjaciółmi. Do stołu podeszli trzymając się za ręce i gdy chłopak zaczął się modlić w swojej mowie bez słów, serce Daphne rozsadziła duma. Po kolacji malec pobiegł bawić się z dziećmi, lecz kiedy się zmęczył, usiadł jej na kolanach i po chwili usnął, a ona utuliła go jak dawniej. Kiedy tak słuchała jego cichutkiego pochrapywania, żałowała, że nie może zatrzymać wskazówek zegara. Wreszcie zaniósła go do sypialni, przebrała i położyła do łóżeczka. Długo jeszcze stała, patrząc na swojego śpiącego blondynka, zanim wyszła na palcach z pokoju i na powrót dołączyła do innych rodziców zgromadzonych na dole. Nie miała jednak ochoty zostać z nimi dłużej. Jak tylko pożegnała Andy'ego, gwałtownie zapragnęła znaleźć się sama, w swoim przytulnym domku. Przywykła do samotności i do pociechy, jaką dawało jej przenoszenie na papier myśli, kiedy otwierała swój pamiętnik.

Wracała do domu tą samą leśną drogą co zwykle. Nagle z przerażeniem usłyszała głośny trzask, po którym samochód raptownie przechylił się do przodu i zarył w miejscu. Urwało się coś w zawieszaniu. Daphne była potłuczona, ale nie odniosła żadnej rany. Pomyślała, że mogło być gorzej. Gdyby się to stało na szosie, przy większej prędkości...

Tak czy owak znalazła się teraz sama, na pustej drodze, mniej więcej siedem mil od domu. Na niebie świecił księżyc i drogę było widać jak na dłoni, ale panowało przejmujące zimno i wiał porywisty wiatr. Nie była przygotowana na daleki spacer w takich warunkach. Nie miała kapelusza, rękawiczek ani odpowiednich butów, ponieważ z okazji świątecznego obiadu włożyła pantofle na wysokim obcasie. Oczy zaczęły jej łzawić, ostry wiatr szczypał policzki, dłonie zdrętwiały z zimna,

mimo iż wsunęła je do kieszeni. Ale nie miała wyboru. Otuliła się szczelnie płaszczem, osłoniła brodę podniesionym kołnierzem i ruszyła przed siebie.

Szła tak już prawie godzinę, gdy spostrzegła światła nadjeżdżającego pojazdu. Nagle ogarnął ją paniczny strach. Na peryferiach nawet takiego spokojnego, sennego miasteczka nietrudno o złą przygodę. Na odludnej wiejskiej drodze nikt nie usłyszałby krzyku samotnej kobiety, nie mówiąc już o pospieszeniu z pomocą. Jak spłoszony królik zatrzymała się gwałtownie, przez chwilę patrzyła na zbliżające się światła, po czym wiedziona impulsem skoczyła w bok i ukryła się za drzewem. Serce tak jej waliło, że wyraźnie słyszała jego bicie. Zastanawiała się, czy kierowca zdążył ją zobaczyć. Kiedy zbiegła z drogi, pojazd znajdował się jeszcze dość daleko. Teraz ujrzała, że była to ciężarówka. Już zdawało się, że pojedzie dalej, gdy nagle dość gwałtownie zahamowała i stanęła. Daphne wstrzymała oddech.

Drzwi ciężarówki otworzyły się i na jezdnię zeskoczył mężczyzna.

— Halo! Jest tu ktoś? — rozejrzał się bez pośpiechu. Daphne miała czas stwierdzić, że jest niezwykle wysoki. W tej chwili chętnie by wyszła z ukrycia i poprosiła go o podwiezienie, ale co by odpowiedziała, gdyby spytał, czemu bawiła się w chowanego? Jeśli nie chciała zbłąźnić się do reszty, musiała zostać tam, gdzie była. Mężczyzna wolno okrążył ciężarówkę, wzruszył ramionami, wsiadł do samochodu i odjechał. Kiedy oddalił się na bezpieczną odległość, Daphne wyszła zza drzewa, uśmiechając się do siebie ironicznie.

— Ty idiotko. Teraz zmarznie ci tyłek. I dobrze ci tak, na nic innego sobie nie zasłużyłaś — powiedziała na głos. Rozbawiona własną głupotą, zaczęła coś nucić pod nosem. Po prostu za długo mieszkała sama w mieście. Czego właściwie się bała? Z biegiem lat coraz częściej zdarzały jej się takie napady strachu bez żadnej konkretnej przyczyny. Niewątpliwie był to skutek braku kontaktu z ludźmi. Inna rzecz, że zawsze truchlała na myśl, co stałoby się z Andym, gdyby jej przytrafiło się coś niedobrego.

Przeszła kolejną milę, gdy znowu usłyszała nadjeżdżający samochód, tym razem za sobą. W pierwszym odruchu ponownie chciała uciec z drogi, ale szybko się opanowała, potrząsnęła głową i cichutko szepnęła: „Nie. Nie będziesz się bać. Nie ma czego”. Po tych słowach poczuła się jeszcze bardziej nieswojo, lecz spokojnie zeszła na pobocze, obejrzała się i zobaczyła, że zbliżający się pojazd jest tą samą ciężarówką, którą widziała poprzednio. Wóz stanął, w kabinie zapaliło się światło i Daphne mogła przyjrzeć się kierowcy. Miał siwe włosy, wyrazistą twarz i szerokie ramiona. Był otulony w gruby barani kozuch, którego poły zaciągnął mocniej wokół siebie, kiedy wysiadł z szoferki.

— Czy to pani auto stoi tam za nami?

Przytaknęła i uśmiechnęła się nerwowo na widok jego wielkich dłoni, którymi przytrzymał kożuch. Znowu targnął ją strach, ale zmusiła się do pozostania na miejscu. Jeśli ten mężczyzna jest porządnym człowiekiem, pomyśli, że ma do czynienia z wariatką. A jeśli nie, i tak już za późno na ucieczkę. Musiała wziąć się w garść. Uśmiechnęła się ponownie, maskując niepokój. — Owszem, mój.

— Czy przypadkiem nie minąłem pani przed chwilą?

— patrzył na nią pytająco. — Zdawało mi się, że widzę kogoś na drodze, i zatrzymałem się, ale nie było żywego ducha. Dopiero jak zobaczyłem pani samochód, zrozumiałem, że musiałem kogoś przegapić. — Z jego tonu wyczuła, iż domyśla się czegoś. Głos miał niski i lekko zachrypnięty, lecz łagodny.

— Złamał się pani wahacz i półośka. Podwieźć panią? To cholernie zimna noc. — Daphne dłuższą chwilę stała przed nim w milczeniu, usiłując wyczytać coś z jego oczu, zanim wreszcie skinęła głową.

— Z przyjemnością skorzystam. Dziękuję. — Miała nadzieję, że drzenie jej głosu złoży na karb zimna. Rzeczywiście przemarzła do szpiku kości, a palce tak jej zesztyniały, że nie mogła objąć klamki. Pomógł jej więc otworzyć drzwi i wdrapać się na siedzenie, po czym przeszedł na swoją stronę i nawet na nią nie patrząc wskoczył za kierownicę.

— Miała pani szczęście, że nie przydarzyło się to pani na autostradzie, przy szybkości pięćdziesięciu mil na godzinę. Niczego pani wcześniej nie zauważyła? Nic pani nie ostrzegło?

— Nie, od razu trzasnęło, przód się załamał i koniec

— odparła już rażniej. W kabinie było cudownie ciepło. Bolały ją jeszcze tylko palce, gdy próbowała je rozcierać i ogrzewać oddechem. Mężczyzna bez słowa podał jej parę grubych rękawic z owczej skóry.

Minęło dobrych pięć minut, zanim znowu usłyszała ten jego łagodny, zachrypnięty głos. Wszystko w nim zdradzało surową siłę człowieka z gór. — Nic się pani nie stało?

— Nic, poza tym że zmarzłam. Piechotą musiałabym iść do domu ładnych parę godzin. — Dopiero w tym momencie przypomniała sobie, że nie powiedziała mu, gdzie mieszka.

— Czy to nie dawny domek Lancasterów? — spytał zdziwiony.

— Możliwe, ale nie wiem na pewno. Wynajęłam go od kobiety o nazwisku Dorsey, z którą jednak nie zetknęłam się osobiście. Załatwiałam wszystko listownie.

Pokiwał głową. — Tak, to córka starej pani Lancaster, która umarła w zeszłym roku. Nie była tu chyba od dwudziestu lat. Mieszka w Bostonie. Wyszła za jakiegoś tamtejszego prawnika.

Daphne uśmiechnęła się ukradkiem na wspomnienie strachu, jaki ogarnął ją na myśl, że ktoś może ją napaść, tutaj, w tym uroczym miasteczku, gdzie naprawdę wszyscy wiedzą wszystko o

wszystkich. Tak się zląkła tego człowieka, a on najspokojniej opowiada jej miejscowe ploteczki. — Pani także jest z Bostonu?

— Nie, z Nowego Jorku.

— Na wypoczynek? — było to z jego strony zwykle zagadywanie dla zabicia czasu, ale Daphne cichutko westchnęła. Zawahała się, co mu odpowiedzieć. Trwało to moment, lecz nie potrzebował więcej, by połapać się, w czym rzecz. Podniósł rękę, uśmiechnął się przepraszająco i przeniósł wzrok na drogę. — Niech mi pani wybaczy. Mieszkam tu już tak długo, że zapomniałem o dobrych manierach. Wszyscy w miasteczku zawsze wyskakują z takimi pytaniami. Widać zarazilem się od nich. Przepraszam.

Zabrzmiało to tak sympatycznie, że odwzajemniła uśmiech. — Nie szkodzi. Przyjechałam tu, żeby być blisko syna. Niedawno umieściłam go w Howarth School.

Chciała powiedzieć „w szkole dla głuchych”, ale te słowa nie przeszłyby jej przez gardło, choć śmiało mogła ich użyć. Człowiek, z którym rozmawiała, dobrze przecież wiedział, o jaką szkołę chodzi. Wiedział o tym każdy w okolicy. I ani nie było zwyczaju robienia sekretu z tego, że ma się dziecko w Howarth, ani nikomu nie przynosiło to ujmę.

— Ile lat ma pani synek? — spytał kierowca i zaraz dodał zmieszany: — A może znowu staje się wścibski?

— Ależ skąd. Ma cztery latka.

Zmarszczył czoło i popatrzył na nią współczująco. — Jeszcze taki mały? Rozstanie z nim musiało być dla pani cholernie ciężkie.

Ku swemu zdziwieniu Daphne nagle poczuła, że teraz ona ma ochotę zadać mu parę pytań. Jak się nazywa? Czy ma dzieci? Ni stąd, ni zowąd nie byli już dwojgiem obcych ludzi, stali się towarzyszami podróży na ciemnej wiejskiej drodze. W chwilę później zatrzymali się przed domem, który zajmowała, i kierowca wyskoczył, żeby otworzyć jej drzwiczki. Z roztargnienia omal nie zapomniała oddać mu rękawic. Poszukała spojrzeniem jego oczu i uśmiechnęła się. — Bardzo panu dziękuję. Bóg wie, kiedy dotarłabym tutaj, gdyby nie pan.

On również się uśmiechnął. Jego głos zdradzał poczucie humoru, o które by go nie podejrzewała: — Zaoszczędziłaby sobie pani okrągłą milę, gdyby mi pani zaufała za pierwszym razem.

Twarz Daphne oblał rumieniec, roześmiała się jednak.

— Przepraszam... Już chciałam się panu pokazać... — zająknęła się. Nagle poczuła się przy tym wielkim mężczyźnie jak bezbronne dziecko. — Schowałam się za drzewem, a potem miałam zamiar wyjść, ale było mi strasznie głupio...

Zaśmiał się w odpowiedzi na to wyznanie, lecz odprowadzając ją do drzwi spoważniał i rzekł: — Chyba słusznie pani zrobiła. Nigdy nie wiadomo, kogo się spotka, a w naszym miasteczku jest kilku postrzelonych gówniarzy. Zresztą ci są dzisiaj wszędzie, nie tylko w Nowym Jorku. Mniejsza o to. Cieszę się, że mimo wszystko panią znalazłem i oszczędziłem pani kłopotów.

— Ja też — przez chwilę zastanawiała się, czy nie zaprosić go na kawę, lecz doszła do wniosku, że nie byłoby to stosowne. Mieszkała sama, była dziewiąta wieczór i w gruncie rzeczy go nie знаła.

— Gdyby pani czegoś potrzebowała w czasie pobytu u nas, proszę mi dać znać — wyciągnął rękę i zamknął jej dłoń w mocnym uścisku. — Nazywam się John Fowler.

— Daphne Fields.

— Bardzo mi miło. — Wracając do ciężarówki pomachał jej ręką. Zanim przekreśliła klucz w zamku, już go nie było. Daphne weszła do pustego domku, żalując teraz, że go nie zaprosiła. Miałaby przynajmniej z kim porozmawiać.

Tej nocy nie potrafiła się jakoś skupić na swoim dzienniku. Wciąż miała przed oczami naznaczoną bruzdami twarz, siwe włosy i duże, silne dłonie, aż wreszcie nie mogła dłużej ukrywać przed sobą, że ten mężczyzna bardzo ją zaintrygował.

7

Zaraz następnego dnia Daphne poszła do Austrian Inn, gdzie zjadła śniadanie, na które złożyły się jajka na bekonie i rogaliki, a po wymianie zwykłych uprzejmości z panią Obermeier poradziła się jej męża, co ma zrobić z samochodem. Franz polecił jeden z miejscowych warsztatów, więc udała się do niego i poprosiła o przyholowanie jej auta do miasta. Kiedy jednak ciężarówka mechanika dotarła do miejsca, gdzie zostawiła samochód, okazało się, że został po nim tylko ślad w postaci odcisku opon na poboczu drogi, który świadczył, że uszkodzony pojazd został stamtąd zabrany.

— Ktoś pani zrobił kawał — rzekł chłopak, który ją przywiózł, najwyraźniej nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. — A może kazała już pani komuś zająć się swoim wozem?

— Nie. — Daphne rozglądała się zdumiona. Nie mogło być pomyłki co do miejsca. Z całą pewnością właśnie tutaj porzuciła swój samochód. — Nikomu o nim nawet nie wspomniałam. Może został skradziony?

— Może. Ale na wszelki wypadek niech pani sprawdzi w innych warsztatach, czy ktoś pani nie ubiegł i nie zabrał go już do miasta.

— Wykluczone. — Któż mógłby to zrobić? Nie miała w okolicy żadnych znajomych. Chyba że... nie, niemożliwe. W końcu to zupełnie obcy człowiek. — Ile jest u was warsztatów samochodowych?

— Dwa.

— Dobrze, wobec tego sprawdzę w tym drugim, zanim zawiadomię policję. — Przypomniała sobie, co John Fowler mówił poprzedniego wieczoru o tutejszych „postrzelonych gówniarzach”. Może to któryś z nich ukradł jej auto? Nie przedstawiało wielkiej wartości, a co dopiero w stanie, w jakim się obecnie znajdowało.

Gdy jednak chłopak wysadził ją z ciężarówki przed owym drugim warsztatem, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła jej się w oczy, zanim weszła do środka, był jej samochód, przy którym uwijało się dwóch młodzieńców z usmarowanymi rękami, w kurtkach, dzinsach i ciężkich buciorach. — To pani wóz?

— Uhm... — przytaknęła, wciąż nie mogąc się otrząsnąć ze zdumienia.

— Zdrowo się namieszało tam, pod spodem — młody mechanik uśmiechnął się do niej beztrąsko. — No, nic, wyszukujemy go pani na jutro. John Fowler powiedział, że musi go pani mieć na dwunastą, ale jeśli mamy wszystko porządnie zrobić, to na dwunastą nie zdążymy.

— Pan Fowler tak powiedział? — A więc to jednak on.

— Kiedy przyprowadził tutaj auto?

— Dzisiaj rano, około siódmej. Przyholował je swoją ciężarówką.

— Nie wiesz przypadkiem, gdzie mogłabym znaleźć teraz pana Fowlera? — Powinna mu przynajmniej podziękować... Zarumieniła się, przypomniawszy sobie, że zaledwie poprzedniego wieczoru bała się, czy nie będzie próbował jej zgwałcić. A okazał się człowiekiem nie tylko przyzwoitym, lecz także uczynnym.

Obaj chłopcy pokręcili przecząco głowami. — Pracuje w obozie drwali Andersona, ale nie wiemy, gdzie mieszka

— powiedział piegowaty rudzielec. Daphne podziękowała, wsunęła ręce do kieszeni płaszcza i ruszyła z powrotem w kierunku centrum miasteczka. Była w połowie drogi, gdy usłyszała dźwięk klaksonu i ujrzała znajomą niebieską ciężarówkę. Podniosła głowę i uśmiechnęła się wdzięcznie do jej kierowcy.

— Jestem panu bardzo zobowiązana. To było miłe z pana strony...

— Drobnostka. Wsiądzie pani? — Nie wahała się dłużej niż ułamek sekundy. Skinęła głową na znak zgody, a on otworzył jej drzwiczki. — Proszę, niech pani wskakuje.

Usadowiła się na szerokim siedzeniu, spojrzała na niego i zobaczyła wesołe błyski w jego oczach. — Na pewno nie wolałaby się pani schować za drzewem?

— To nie fair! — zawołała zmieszana, na co Fowler zaśmiał się niskim głosem. — Bałam się, że...

— Wiem, czego się pani bała, i już wczoraj pani powiedziałem, że mądrze się pani zachowała. Mimo to — uśmiechnął się szeroko — czuję się trochę dotknięty. Czy wyglądam aż tak przerażająco? — obrzucił wzrokiem jej drobną postać i odpowiedział za nią: — No, pewnie. Dla takiej małej myszki jak pani muszę wyglądać przerażająco — jego ton nagle złagodniał i odezwała się w nim jakaś delikatna nutka. — Nie chciałem pani przestraszyć.

— Nawet pana nie widziałam, kiedy uciekałam za drzewo.

— Wciąż jeszcze była zaczerwieniona, ale oczy już jej się uśmiechały. Gdy skręcili w ulicę, przy której mieszkała, westchnęła cichutko. — Myślę, że stałam się trochę nerwowa, odkąd... odkąd jestem sama ze swoim synem. To wielka odpowiedzialność. Gdyby coś mi się przytrafiło... — głos odmówił jej posłuszeństwa. Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, dlaczego to powiedziała. Był taki naturalny i prostolinijny, że zwierzenie mu się przychodziło bez trudu. Widać było, że nie mógłby zawieść czyjegoś zaufania.

Milczała dłuższą chwilę, zanim Fowler w końcu spytał:

— Jest pani rozwiedziona?

Wolno pokręciła głową. — Nie, jestem wdową. — Nie wymawiała tego słowa od pięciu lat. Nie znosiła go.

— Przykro mi.

— Mnie także — uśmiechnęła się, żeby wprowadzić lepszy nastrój. Zajechali właśnie przed jej dom. — Ma pan ochotę na filiżankę kawy? — Uznała, że choć w ten sposób może mu się zrewanżować.

— Jasne. Z przyjemnością. Mam wolne do poniedziałku i aż za dużo czasu. — Wszedł za nią do środka, powiesił przy drzwiach swój kożuch obok jej płaszcza i towarzyszył jej do kuchni, gdzie poszła nastawić kawę.

— Chłopcy w warsztacie powiedzieli, że pracuje pan w obozie drwali — rzuciła przez ramię, wyjmując filiżanki.

— To prawda. — Daphne odwróciła się i ujrzała, że stoi oparty o framugę drzwi, nie spuszczać z niej oczu. Nagle poczuła się bardzo dziwnie. Dopiero poprzedniej nocy zabrał ją z drogi, a teraz jest tutaj, w jej kuchni, ona zaś patrzy na niego i zaczyna budzić się w niej pragnienie, by został. Obcy człowiek, drwal. Coś ją do niego ciągnęło, a jednocześnie bała się go. Kiedy odwróciła się ponownie, zrozumiała, że boi się nie jego, lecz siebie. Jakby wyczuwając jej napięcie, John wyszedł z kuchni i usiadł na kanapie w saloniku. — Czy chce pani, żebym rozpałił w kominku?

Jej reakcja była błyskawiczna i najzupełniej odruchowa.

— Nie! — wykrzyknęła z przerażeniem. Widząc, że znowu niechcący odkryła mu część prawdy o sobie, dodała: — Za bardzo się tu nagrzewa. Przynajmniej ja nigdy...

— Nieważne, nie ma o czym mówić. — Był zdumiewający. Całkiem jakby zgadywał jej myśli, zanim je wypowiedziała. I dostrzegał to, czego inni nie zauważali. To spostrzeżenie wprowadziło Daphne w zakłopotanie, które jednak szybko ustąpiło miejsca uczuciu jakiejś nieokreślonej ulgi. — Boi się pani ognia? — pytanie było zadane jak najbardziej rzeczowym, przyjacielskim tonem, lecz Daphne wzdrygnęła się i gwałtownie zaprzeczyła. Przymknęła powieki, ale po chwili spojrzała na niego i przytaknęła.

— Straciłam męża i córkę w pożarze. — Postawiła filiżanki na stole. Nigdy dotąd nie powiedziała tego nikomu obcemu. W ogóle nikomu. Popatrzył na nią swoimi szarymi, łagodnymi oczami i przez moment wydawało się, że zaraz wstanie, weźmie ją w ramiona i przytuli.

— Byłaś wtedy z nimi? — spytał cicho, a ona milcząco potwierdziła. Odwróciła się w stronę stołu i podała mu filiżankę. Fowler jednak nie poprzestał na tym, co usłyszał. — Mały też?

Westchnęła. — Byłam wówczas w ciąży, ale nie wiedziałam o tym. Przez dwa miesiące dostawałam w szpitalu mnóstwo leków... Na oparzenia, środki przeciwbólowe, antybiotyki... Za późno się zorientowałam, że jestem w ciąży. Dlatego Andy urodził się głuchy.

— Macie oboje szczęście, że żyjecie. — Teraz już wiedział, skąd bierze się jej ogromne poczucie odpowiedzialności za Andy'ego. — Życie bywa niekiedy dziwne. — W jednej ręce trzymał filiżankę, drugą położył na oparciu kanapy. — Zdarzają się rzeczy tak absurdalne, Daphne — powiedział, a ona zdziwiła się, że zapamiętał jej imię. — Piętnaście lat temu

— ciągnął — straciłem żonę w wypadku samochodowym. Noc, ślizgawica... Trudno. Była porządną kobietą. Wszyscy w mieście ją uwielbiali — na jej wspomnienie głos mu zmatowiał.

— Nigdy nie mogłem tego zrozumieć. Jest tylu złych ludzi. Dlaczego właśnie ona?

— To samo czułam po śmierci Jeffa — po raz pierwszy od pięciu lat wspomniła przy kimś o swoim mężu. Nagle odczuła głęboką potrzebę porozmawiania o nim z tym obcym człowiekiem. — Byliśmy bardzo szczęśliwi — jej oczy pozostały suche, gdy to mówiła. Zasnęła je tylko przejrzysta mgiełka. John przyglądał się Daphne z uwagą ze swego miejsca.

— Jak długo byliście małżeństwem?

— Cztery i pół roku.

Pokiwał głową. — Sally i ja dziewiętnaście lat. Mieliśmy po osiemnaście, kiedy braliśmy ślub — uśmiechnął się z rozrzewnieniem. — Zupełne dzieciaki. Pracowaliśmy ciężko, jakiś czas nie dojadaliśmy, aż w końcu wyszliśmy na swoje i było nam razem coraz lepiej. Po prostu stała się częścią mnie. Było mi cholernie źle na świecie, gdy jej zabrakło.

Teraz Daphne spojrzała na niego ze zrozumieniem.

— Mnie także, kiedy straciłam Jeffa. Przez prawie rok żyłam w zupełnym odrętwieniu. A potem urodził się Andy

— uśmiechnęła się. — Byłam przy nim tak zajęta, że nie miałam czasu myśleć... tylko chwilami... najczęściej w nocy... — na moment zagryzła wargi. — Miałeś dzieci, John?

— Jego imię, głośno wypowiedziane, zabrzmiało jakoś obiecująco.

— Nie. Nie chcieliśmy żyć tak jak te wszystkie nastolatki, które żenią się zaraz po szkole, w ciągu trzech lat dorabiają się czwórki bachorów, a potem siedzą, narzekają i nienawidzą się nawzajem. Początkowo postanowiliśmy poczekać z dziećmi przez kilka pierwszych lat, a później doszliśmy do wniosku, że dobrze nam tak, jak jest. Nie odczuwałem ich braku, dopóki Sally żyła. Szczęściara z ciebie, że masz Andy'ego.

— Wiem — na myśl o ukochanym dziecku rozbłysły jej oczy. — Nieraz się zastanawiałam, czy on nie znaczy dla mnie aż tyle właśnie dlatego, że jest... no wiesz.

— Unikasz tego słowa? — podchwycił tak serdecznym tonem, że miała ochotę rozplakać się albo ukryć twarz na jego piersi i pozwolić, by zamknął ją w ramionach.

— Nienawidzę tego, co ono dla niego oznacza.

— Oznacza jedynie, że nie wystarczy mu prześlizgiwać się przez życie, że będzie musiał się bardziej starać. A to może tylko sprawić, że stanie się lepszy i silniejszy. Przynajmniej mam taką nadzieję. Myślę, że podobnie było z tobą. Wygodne drogi zawsze wydają się najbardziej upragnione, ale spójrz na ludzi, którzy cieszą się twoim szacunkiem. Czy nie są to ludzie, którzy sobie poradzili, choć wcale nie było im łatwo? Ludzie, którzy wiele przeżyli i wyrosli w cierpieniu? Tym, co wszystko dostają jak na tacy, przeważnie nie daje to zbyt wiele szczęścia. Tylko ci, którzy zdobywają szczyty z poobijanymi głowami, podrapanymi twarzami i krwawiącymi kolanami, są naprawdę coś warte. Niełatwo się przyglądać, jak pokonują tę swoją drogę, ale może to właśnie jest droga dla twojego dzieciaka.

— Nie chcę dla niego takiej drogi.

— Jasne. A któż by chciał? Ale on sobie poradzi. Tobie się udało, a na pewno też nie było ci lekko. Przeciwnie, nawet cholernie ciężko.

Popatrzyła na niego zamyślona. Chwilę spoglądali na siebie przez długość kanapy.

— Niekiedy i teraz jest mi ciężko.

Przyjął to jako coś oczywistego. — A co porabiałaś, zanim zamieszkałaś w drewnianym domku na prowincji?

Zawahała się, przebiegając w pamięci minione pięć lat. — Zajmowałam się Andym.

— A teraz, jak on będzie w szkole?

— Jeszcze nie wiem. Pracowałam w redakcji czasopisma, ale to było dawno temu.

— Podobała ci się ta praca?

Przytaknęła po krótkim zastanowieniu. — Owszem. Tylko byłam wtedy dużo młodsza. Nie jestem pewna, czy dzisiaj podobałaby mi się tak samo. To miało dla mnie urok, kiedy byłam żoną Jeffreya, ale od tego czasu dzieli mnie cała wieczność... — zrobiła nieznaczny gest dłonią. Czuła się nieraz strasznie stara. — Miałam zaledwie dwadzieścia cztery lata.

— A ile masz teraz? — uśmiechnął się rozbawiony. — Dwadzieścia pięć? Dwadzieścia sześć?

— Dwadzieścia dziewięć — oznajmiła ze śmiertelną powagą, wywołując u niego wybuch śmiechu.

— A, to co innego. Nie miałem pojęcia, że jesteś taką sędziwą staruszką. Ja, moja przyjaciółko, mam tylko pięćdziesiąt dwa. Dwadzieścia dziewięć to dla mnie okres niemowlęcy. — I wyglądał na swoje lata, i nie. Było z nim trochę tak jak z najlepszym koniakiem, który dopiero z wiekiem nabiera wyjątkowego bukietu.

Dopili kawę, po czym John wstał i rozejrzał się po pokoju.

— Dobrze się tutaj czujesz, Daphne? Na oko to bardzo przyjemny kącik.

— Lubię ten dom. Czasami się zastanawiam, czy nie zostać tu na stałe — przyglądała mu się spod długich rzęs. Był pięknym przedstawicielem swojej płci, nawet mając pięćdziesiąt dwa lata.

— Z jakiego powodu miałabyś tu zostać? Ze względu na siebie czy na Andy'ego?

Chciała odpowiedzieć, że nie wie na pewno, ale przecież wiedziała. Dla Andy'ego. Wyczytał to z jej spojrzenia. — Powinnaś wrócić do Nowego Jorku, śliczna panienko. Nie marnuj się tutaj, w tej chacie, nie rezygnuj z własnego życia. Powinnaś być wśród swoich, pracować, ruszać się, spotykać z przyjaciółmi. Odnoszę wrażenie, że przez te wszystkie lata znajdowałaś się jakby w stanie hibernacji. I myślę, że byłoby cholernie dobrze, gdybyś wreszcie przestała marnować czas, bo inaczej obudzisz się któregoś dnia taka stara jak ja i zaczniesz się głowić, co, u diabła, zrobiłaś ze swoim życiem. Zaslługujesz na coś więcej, niż masz tutaj, to dla mnie jasne jak dwa + dwa = cztery.

W jej oczach odbiła się cała gorycz, jaka nagromadziła się w ciągu lat, o których mówił. — Nie wiem. Nie mam żadnego konkretnego celu, żadnej potrzeby stworzenia czegoś godnego pamięci pokoleń, żadnych snów o wielkości. Dlaczego nie miałabym być szczęśliwa tutaj?

— Będziesz odwiedzać Andy'ego? Trzymać go na pasku, podczas gdy powinnaś dać mu wolność? Spacerować po ciemnych wiejskich drogach, kiedy zepsuje ci się samochód? Chodzić do Austrian Inn na niedzielne obiady? Daj spokój, dziewczyno. Być może nie wiem, jak mogłabyś najlepiej pokierować swoim życiem, ale powtarzam: gdy na ciebie patrzę, wiem, że zaslługujesz na coś więcej.

— Właściwie czemu?

— Chociażby dlatego, że jesteś diabelnie inteligentna i diabelnie ładna. — Zarumieniła się, a John z uśmiechem sięgnął po kurtkę. — No, skoro już ci nagadałem do słuchu i zrobiłem z siebie durnia, wygłaszając poważną przemowę, zabiorę się stąd i pójde sprawdzic, co te świrusy w warsztacie wyczyniają z twoim autem.

— Nie musisz tego robić — przez jedną szaloną chwilę zapragnęła go zatrzymać. Było jej w jego towarzystwie tak dobrze, czuła się odprężona i spokojna. A teraz znowu ma zostać sama. Przez pięć lat nic w niej nie buntowało się przeciwko temu i nagle coś się zmieniło.

Przystanął w drzwiach. — Wiem, że nie muszę tego robić, ale chcę — powiedział wesoło. —
Lubię cię, Daphne Fields

— zawahał się przez moment, jakby coś rozważał i dodał:

— Zjesz ze mną obiad w gospodzie któregoś wieczoru? Żadnych kazań ani wykładów, przyrzekam. Dzisiaj mnie poniosło, bo nie mogę spokojnie patrzeć, jak młode, ładne kobiety zaprzepaszczają swoje życiowe szansę.

— Z wielką przyjemnością zjem z tobą obiad, John.

— Wobec tego załatwione — zrobił pauzę i spytał: — Czy odpowiada ci jutrzejszy wieczór? Może jestem za szybki?

Zaprzeczyła powolnym ruchem głowy, zastanawiając się, czy dobrze robi, kim właściwie jest dla niej ten mężczyzna i dlaczego tak bardzo chce poznać go bliżej.

— Będzie świetnie.

— Przyjadę po ciebie o wpół do siódmej. Czasu miejscowego — skinął jej na pożegnanie i cicho zamknął za sobą drzwi, a ona podeszła do okna i patrzyła za nim. Wyprowadzając ciężarówkę z podjazdu jeszcze raz pomachał jej ręką i już go nie było.

Daphne długo nie ruszała się z miejsca, spoglądając na pustą drogę i myśląc, dokąd właściwie zmierza jej życie oraz co naprawdę oznacza pojawienie się w nim Johna Fowlera.

8

John zajechał pod jej dom punktualnie o wpół do siódmej. Był w tym samym baranym kożuchu, miał jednak pod nim szare spodnie, marynarkę i koszulę z krawatem. Ubranie nie było ani drogie, ani nadzwyczajnie skrojone, ale nosił je z klasą. Był atletycznie, a przy tym proporcjonalnie zbudowany, co sprawiało, że we wszystkim, co na siebie włożył, wyglądał zgrabnie i przystojnie. Daphne ujęło to, że przebrał się do obiadu. Ten surowy mężczyzna zachowywał się ze staroświecką galanterią, która, co tu ukrywać, robiła na niej bardzo miłe wrażenie.

— Rany, ale pięknie wyglądasz, Daphne! — Włożyła białą spódnice i niebieski sweter, idealnie zharmonizowany z kolorem jej oczu, a na to narzuciła krótki płaszczyk z owczej wełny, w którym

przypominała trochę małego francuskiego pudelka. Cała była drobniotka i zwiewna, lecz emanująca z niej z nieprzepartą siłą kobiecość powodowała, że zapominało się o jej filigranowej sylwetce. Włosy upięła w węzeł, któremu John przyjrzał się z jakimś szczególnym uśmiechem. — Nigdy nie nosisz rozpuszczonych włosów?

Zwlekała chwilę z odpowiedzią. — Ostatnio nie. — Dla Jeffa często rozpuszczała włosy, spadały wtedy kaskadą na jej ramiona. Ale to należało do innego czasu, innego życia, innej kobiety, jaką była niegdyś dla innego mężczyzny.

— Chciałbym cię kiedyś taką zobaczyć — zaśmiał się cicho John, zaglądając jej w oczy. — Upredzam, że mam ogromną słabość do blondynek z długimi, pięknymi włosami.

Mimo nie ukrywanego zainteresowania w jego wzroku, z całkowitą ufnością opuszczała wraz z nim dom. Już wcześniej stwierdziła, że przy Johnie czuje się absolutnie bezpiecznie. Może wpływał na to jego wzrost, może wynikało to z ojcowsko opiekuńczej postawy wobec niej... Wszystko jedno: miała pewność, iż w żadnej sytuacji się na nim nie zawiedzie. Inna rzecz, że teraz niczyja opieka nie była jej tak bardzo potrzebna. Trochę się jednak zmieniła. Dzisiaj, inaczej niż wtedy, kiedy wychodziła za Jeffa, wierzyła, że potrafi się sama o siebie zatroszczyć. U tego mężczyzny nie szukała oparcia. On jej się po prostu podobał.

Na obiad pojechali do Austrian Inn. Obermeierowie byli przyjemnie zaskoczeni, kiedy ujrzeli ich razem, toteż obsługiwali ich z wyjątkową atencją. Zarówno Daphne, jak i John należeli do ulubieńców państwa Obermeier. Gdy w kuchni opadła szczytowa gorączka związana z wydawaniem obiadów, zaintrygowana Hilda zagadnęła męża, uśmiechając się domyślnie:

— Nie wiesz przypadkiem, jak oni się poznali?

— Nie wiem, Hildo. To nie nasza sprawa — odrzekł wymijająco, ale ona nie potrafiła powściągnąć ciekawości.

— Czy nie rozumiesz, że od śmierci żony nie widziałam go z nikim na obiedzie?

— Czy nie rozumiesz, że to nie powinno cię obchodzić, Hildo? To dorośli ludzie i mogą robić, co im się podoba. Widać miał ochotę zaprosić piękną kobietę na obiad. I co w tym złego?

— Nie powiedziałam, że to coś złego. Uważam, że wprost przeciwnie.

— Dobrze. Zanieś im wobec tego kawę i nie mówmy o tym więcej — klepnął ją delikatnie w pośladek i poszedł sprawdzić, czy któryś z gości czegoś nie potrzebuje. Gdy wracał po chwili, zobaczył Johna i Daphne rozmawiających już przy kawie. John opowiadał widać coś wesołego, bo Daphne zaśmiewała się jak dziecko.

— I co im wtedy powiedziałaś? — patrzyła na niego rozbawiona.

— Że jeśli tak zabierają się do wyrębu lasu, to powinni raczej zająć się prowadzeniem baletu. I wiesz co, niech mnie licho, sześć miesięcy później sprzedali interes i zaczęli się kręcić wokół

jakiejś grupy baletowej w Chicago — potrząsnął głową ze śmiechem. — Przekłęci głupcy. —
Opowiadał jej

o dwóch cwaniaczkach z Nowego Jorku, którzy kilka lat wcześniej usiłowali zainwestować w coś pieniądze, żeby uciec przed podatkami. — Do diabła, nie po to tak tu zorganizowałem robotę, żeby dwóch dupków z Nowego Jorku przyszło

i wszystko rozwalilo. Niedoczekanie.

— Lubisz tę pracę, John? — coraz bardziej ją intrygował. Był niewątpliwie inteligentny, odczytany, dobrze orientował się w problemach współczesnego świata, a mimo to pędził życie w tej niewielkiej mieścinie w Nowej Anglii i do tego pracował fizycznie.

— Lubię. Za biurkiem czułbym się nieszczęśliwy. Mogłem mieć biurową pracę. Ojciec Sally prowadził bank i stawał na głowie, żeby mnie do siebie ściągnąć, ale to mi zupełnie nie odpowiadało. Zdecydowanie wolę pracę fizyczną, na powietrzu, z ludźmi — uśmiechnął się. — Jestem stworzony na robotnika, pani Fields. — Z pewnością była w tym tylko część prawdy, lecz wybrana przez niego praca sprawiała, że mocno stapał po ziemi, dawała mu siłę, poczucie rzeczywistości i możliwość obserwowania ludzkiej natury. Był mądrym człowiekiem i w miarę upływu wieczoru Daphne stwierdzała, że jej sympatia do niego rośnie. Po deserze przyjrzał jej się przeciągle, po czym ujął jej małą dłoń w swoje ręce. — I ty, i ja tyle straciliśmy, a jednak jesteśmy dzisiaj oboje tutaj, żywi i mocni. Przetrwaliśmy.

— Często wątpiłam, czy mi się uda. — To wyznanie sprawiło jej ulgę.

— Uda ci się zawsze, ilekroć będzie trzeba. Choć jeszcze nie całkiem w to wierzysz, prawda?

— Zdarzają się chwile zwątpienia. Czasami myślę, że nie dożyję następnego dnia.

— Dożyjesz i przeżyjesz każdy następny dzień — stwierdził z niewzruszoną pewnością. — Tylko może już czas, żebyś przestała toczyć swoje wojny samotnie. — Zaraz na początku ich krótkiej znajomości odgadł, że w jej życiu od dawna nie było nikogo. Nosiła w sobie cichy smutek kobiety, która niemal już zapomniiała, czym jest czuły dotyk miłości. — Czy miałaś kogoś od śmierci męża, Daphne? A może nie powinienem pytać?

Uśmiechnęła się zawstydzona, jej wielkie chabrowe oczy zrobiły się jeszcze większe. — Możesz pytać. Nie, nie miałam. Prawdę mówiąc... — zarumieniła się, a John poczuł gwałtowną chęć pocałowania jej. — To moja pierwsza randka... od... — Nie pozwolił jej skończyć.

— Taka piękna kobieta! Cóż za marnotrawstwo! — Tym razem jednak powiedział za dużo. Odwróciła od niego wzrok.

— Tak było lepiej. W ten sposób mogłam dać z siebie więcej Andy'emu.

— A teraz?

— Nie wiem... — zmieszała się znowu. — Nie wiem, jak będzie bez niego...

Obserwował ją spod lekko przymrużonych powiek. — Myślę, że dokonasz czegoś bardzo znaczącego.

Zaśmiała się. — Na przykład? Będę się ubiegać o miejsce w Kongresie?

— Może, jeśli właśnie tego zapragniesz. Ale raczej nie. W tobie coś tkwi, Daphne. Na razie jest głęboko ukryte, lecz usilnie walczy o wydostanie się na zewnątrz. I pewnego dnia pozwolisz, by ujrzało światło dzienne.

Wstrząsnęły nią te słowa. Często sama odnosiła podobne wrażenie, a jak dotąd jedyne ujście dla swoich najtajniejszych myśli znajdowała w pisanym po nocach dzienniku. Przez chwilę chciała mu o nim powiedzieć, ale nagle zrobiło jej się głupio. — Nie miałbyś ochoty na spacer? — Skończyli już obiad, więc wstali i wyszli z gospody. Pani Obermeier odprowadziła ich wzrokiem z nie skrywanym zadowoleniem.

— Zdobyłaś sobie przyjaciół w tym mieście, mała — zauważył, przepuszczając ją w drzwiach. — Pani Obermeier najwyraźniej cię polubiła.

— Ja także ją lubię.

Jakiś czas szli obok siebie w milczeniu pustymi ulicami. W pewnym momencie Daphne wsunęła swoją dłoń w rękawiczce pod jego ramię.

— Kiedy będę mógł zobaczyć Andy'ego? — Tak, tak właśnie miało zabrzmieć to pytanie. Bo było przecież oczywiste, że pozna jej syna, należało jedynie ustalić kiedy. Daphne uznała już za fakt, iż w ciągu zaledwie dwóch dni ten mężczyzna wszedł na trwałe w jej życie. Nie potrafiłaby powiedzieć jasno, dokąd ich to oboje zawiedzie, ale czuła, że dobrze się stało. Raptem opadły wszystkie więzy, które krępowały ją przez ubiegłe lata. To doznanie było zupełnie nowe i trochę oszałamiające, lecz z pewnością nie przykre.

Podniosła głowę i spojrzała na silnie zarysowany profil Johna. Nie, nie wiedziała jeszcze, jaką rolę odegra ten człowiek w jej życiu, lecz jednego była pewna: zostaną przyjaciółmi.

— Może jutro? Zamierzałam po południu pojechać do niego do szkoły. Chciałbyś wybrać się ze mną?

— Z przyjemnością.

Wolno wrócili do ciężarówki i ruszyli w stronę domu Daphne. John odprowadził ją pod drzwi, ale nie oczekiwał, że zaprosi go do środka, czego też nie zrobiła. Pomachała mu, wchodząc do domu, a on wskoczył do auta i odjechał, uwożąc swoje nie wypowiedziane myśli.

Kiedy Daphne przyjechała z Johnem do szkoły, Andy wraz z paroma innymi dziećmi bawił się na dworze pod opieką dwóch wychowawców. Daphne natychmiast zauważyła wyraz

podejrzliwości w oczach syna. Nie wiedział, co oznacza obecność obcego mężczyzny, a może przestraszył go trochę wzrost Johna. Poza tym Daphne uznała, iż chłopcu nie musi podobać się, że ktoś towarzyszy jego matce, którą przywykł uważać za swoją wyłączną własność, a właśnie to uczucie ona dotąd tylko w nim umacniała.

Czym prędzej chwyciła go w objęcia, ucałowała w buzię i szyjkę, przytuliła się do jego policzka, chłonąc znajome ciepło istotki, która w tak cudowny sposób stała się częścią jej ciała i duszy, potem odsunęła się nieco i gestami powiedziała małemu, że ten pan to jej przyjaciel, taki jak jego przyjaciele w szkole, i że nazywa się John. Wtedy John ukląkł na ziemi obok niego. Nie znał żadnego ze znaków, których Daphne zdążyła się już nauczyć, ale wydawało się, że do nawiązania kontaktu z Andym najzupełniej wystarczą mu oczy i wymowne, delikatne ruchy wielkich dłoni. Po chwili chłopiec zbliżył się do niego z wahaniem, niczym zaciekawiony szczeniak. John wyciągnął rękę, ujął w nią małą rączkę Andy'ego i przemówił do niego głębokim, miękkim głosem. Malec nie spuszczał z niego wzroku. Raz i drugi skinął główką, jakby chciał powiedzieć, że rozumiał. Daphne zafascynowana tym, co widzi, stwierdziła, że zaczynają się nawzajem akceptować. Wreszcie, nie spojrzawszy nawet na nią, chłopiec pociągnął Johna za sobą.

Usiedli pod drzewem, żeby „porozmawiać”. Dziecko używało języka migowego, mężczyzna mówił i wyglądało na to, że świetnie się porozumiewają. Daphne, stojąc nieco z boku, przyglądała się temu jak zahipnotyzowana. Targały ją sprzeczne uczucia: z jednej strony było jej smutno, że w pewien sposób znowu traci jakąś cząsteczkę Andy'ego, z drugiej cieszyła się, że John z taką łatwością trafił do dziecka, które kochała nad życie. A gdzieś na dnie jej duszy odezwała się również na moment zazdrość, że drzwi do milczącego świata Andy'ego tak bez oporu otworzyły się przed Johnem, podczas gdy ją kosztowało to lata zmagania. Nad tym wszystkim jednak od razu górę wzięła ogromna czułość dla synka, a także dla Johna, kiedy w końcu uśmiechnięci, trzymając się za ręce, zawrócili w jej stronę.

Zaczęli się razem bawić i nie minęło wiele czasu, a cała trójka zanosiła się śmiechem. Godziny pozostałe do obiadu przeleciały jak z bicza strzelił. Daphne pokazała Johnowi szkołę z nie znanym jej dotąd uczuciem dumy, że mądrze postąpiła względem Andy'ego. Gdy wyszli z sypialni chłopca i schodzili po schodach, John zatrzymał się nagle i spojrzał na nią. Ciepło tego spojrzenia ogarnęło ją jak śródziemnomorskie lato.

— Czy ktoś ci już kiedyś mówił, że jesteś cudowna, mała?

— objął ją ramieniem i mocno przytulił. Zaczerwieniła się. Po raz pierwszy poczuła go tuż przy sobie i było to coś tak porażającego, że musiała przymknąć oczy. — Cudowna i dzielna. Piękne jest to, na co zdobyłaś się dla Andy'ego. Najlepsze co mogłaś zrobić. Dla niego i dla siebie — powiedział i niespodziewanie, ku jej ogromnemu zaskoczeniu, dodał cicho: — I za to cię Kocham.

— Przez chwilę stała wpatrzona w Johna, nie wiedząc, co powiedzieć, aż uśmiechnął się i pocałował ją w czoło. — Bądź spokojna, Daphne, nie wyrządę ci krzywdy.

— Dziękuję — nie bardzo rozumiała sens tego ostatniego zdania, ale na moment też objęła go w pasie i przylgnęła do niego. Tak gorąco pragnęła usłyszeć od kogoś, że miała rację w sprawie Andy'ego, że postąpiła właściwie. — Naprawdę bardzo ci dziękuję.

Przygarnął ją ostatni raz, po czym zeszli na dół, gdzie nakrywano już do stołu. Wizyta w szkole dobiegała końca. Tym razem Andy trochę popłakiwał, a Daphne, wzruszona, tuliła go, szepcząc cichutko w policzek synka: kocham cię. Odchyliła głowę, żeby mógł to odczytać z jej warg, i wtedy on też impulsywnie rzucił jej się w ramiona i też wydał dźwięk, który u niego znaczył „kocham cię”. W tym momencie wkroczyła pani Curtis, która serdecznym ruchem dotknęła jego barku i spytała znakami, czy może już iść na obiad. Andy zawahał się, zaraz jednak uśmiechnął się, kiwnął główką i szybko pocałował Daphne. Spojrzał teraz już przyjaźnie na Johna, pomachał rączką i przyłączył się do reszty dzieci.

— Idziemy czy wolałabyś zostać jeszcze przez chwilę?

— John nie miał najmniejszego zamiaru jej ponaglać. Wyczuwał jej cierpienie niemal tak, jakby sam go doznawał. Daphne potrząsnęła tylko głową, nie odrywając wzroku od swego dziecka, lecz po paru sekundach odwróciła się do Johna i spojrzała na niego w taki sposób, jakby chciała mu podziękować, że jest tutaj z nią razem. — Dobrze się czujesz?

— spytał.

— Tak. Chodźmy.

Poprowadził ją do wyjścia, a Daphne pomyślała, jak to dobrze mieć raz dla odmiany kogoś, kto się o nią troszczy. Kiedy w twarz uderzyło ją zimne powietrze, miała ochotę puścić się biegiem. Ból spowodowany rozłąką z Andym przestał być tak dojmujący i raptem, po raz pierwszy od tylu lat, poczuła, że oddycha pełną piersią. Wsiadając do ciężarówki, zachłysnęła się dziecinnym śmiechem.

— Wiesz, Daphne, to kapitalny dzieciak — powiedział z uznaniem John, zapalając silnik. — Diabelnie dobrze się spisałaś.

— On po prostu taki jest. Nie wiem, czy to moja zasługa.

— Jasne, że tak. I nigdy nie wolno ci w to wątpić

— zabrzmiało to niemal jak przygana, ale odpowiednio stonowana, i gdy opuszczali teren szkoły, John z radością stwierdził, że Daphne nadal jest w doskonałym nastroju.

— Może pojedziemy na obiad do gospody? Mam ochotę coś uczcić, choć nie bardzo wiem co. — Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Łącząca ich więź stała się teraz głębsza i mocniejsza, John

zaczął przecież dzielić z Daphne to, co dla niej było najważniejsze w życiu. I był najwyraźniej uszczęśliwiony, że umożliwiła mu poznanie Andy'ego.

— A co byś powiedział na obiad w moim wydaniu?

— Umiesz gotować? — udał zdziwienie i oboje się roześmiali. — Uprzedzam, że mam wilczy apetyt.

— Jak się zapatrujesz na spaghetti?

— Spaghetti i co dalej? — dopytywał się z tą samą komiczną powagą, a ona, wciąż roześmiana, przypomniała sobie nagle, jak po raz pierwszy przyrządziła dla Jeffa obiad w swoim mieszkaniu. Od tamtego dnia minęły jednak wieki i Daphne ze wstydem uprzytomniła sobie, że to wspomnienie jest mgliste, odległe i jakby odrealnione. Ostatnio nieraz odnosiła wrażenie, że obraz Jeffa powoli zaciera się w jej pamięci. — Co, tylko spaghetti? — głos Johna przywołał ją do rzeczywistości.

— No dobrze, może być stek? I sałatka?

— Akceptuję w całej rozciągłości — oświadczył z udaną ulgą i Daphne zaśmiała się znowu.

— Żywienie cię, Johnie Fowler, musi być piekielnie kosztowne.

— Nie przejmuj się — rzekł wesoło. — Drwale całkiem nieźle zarabiają.

Lekko zmarszczyła brwi. — Czy to nie jest niebezpieczne zajęcie?

— Zdarzają się wypadki, ale rzadko — odparł, mile połączony lękiem Daphne o niego. — Większość z nas zna się na rzeczy. Trzeba tylko uważać na nowicjuszy. Zwłaszcza na te dzieciaki, które przychodzą dorobić sobie w lecie. Załatwią człowieka raz dwa, jeśli spuści się ich z oczu.

Milcząco skinęła głową. Zajechali pod jej dom i weszli do środka. Następne pół godziny zajęło Daphne przygotowywanie posiłku. Steki przyrządził jednak John i on też nakrył do stołu. Daphne ugotowała w tym czasie spaghetti i zrobiła sałatkę. Po skończonym obiedzie zauważyła, że John stale zerka z utęsknieniem w stronę kominka.

— W porządku, John. Nie krępuj się, jeśli masz ochotę. Ten pokój będzie ślicznie wyglądać z ogniem w kominku.

— Nie ma potrzeby. Jest śliczny i bez tego.

Daphne nagle zapragnęła, żeby rozpałił ogień. Chciała odciąć się od przeszłości. Zmęczyło ją już widmo strachu i cierpienia sprzed lat. A poza tym przy Johnie nabrała odwagi.

— Zrób to, proszę cię.

— Nie chcę, żebyś się denerwowała, Daphne.

— Nie będę się denerwować. Sądzę, że już czas pogrzebać to, co było. — Zdziwiła się, że mogła to powiedzieć bez poczucia, iż kogoś zdradza.

Wstał od stołu, położył na kominku polano i dorzucił trochę gałązek. Drewno zajęło się szybko, a Daphne długo siedziała patrząc w płomienie. Jednakże przed jej oczami przesuwaly się nie sceny

z owej fatalnej nocy Bożego Narodzenia, tylko z dawniejszych dni, kiedy spędzali z Jeffem wieczory w domu, czytali niedzielne gazety i cieszyli się blaskiem ognia. Nie odzywając się, John sięgnął przez stół, ujął jej rękę i nagle Daphne zdała sobie sprawę, że nie myśli już o przeszłości, lecz o uścisku jego ramion, tam, w szkole, i o tym, jak miło było stać tak blisko niego.

— O czym tak dumasz? Przez chwilę wyglądałaś na bardzo szczęśliwą.

W jej oczach odbijał się blask ognia i John mógł przypuszczać, że marzy o Jeffie.

— Myślałam o tobie. Cieszę się, że to właśnie ty zabrałeś mnie wtedy z drogi.

Wspomnienie tamtej nocy wywołało uśmiech także na twarzy Johna. — Zabrałbym cię prędzej, gdyby w pobliżu nie było żadnego drzewa. — Roześmiali się oboje, po czym Daphne przyniosła dwie filiżanki gorącej kawy. — Jesteś świetną gospodynią.

— Dziękuję. A ty kucharzem. Steki były całkiem, całkiem. Jego uśmiech stał się melancholijny. — Mam dużą wprawę. Od piętnastu lat sam pichcę sobie obiady.

— Dlaczego nie ożeniłeś się powtórnie?

— Nigdy mnie do tego nie ciągnęło. Po prostu nie spotkałem nikogo odpowiedniego. — Już miał dodać „przynajmniej aż do dzisiaj”, ale powstrzymał się w obawie, by jej nie zrazić. — Sądzę, że nie miałem ochoty zaczynać wszystkiego od nowa. Ale ty, moja mała, jesteś jeszcze młoda. Któregoś dnia powinnaś to zrobić.

W zamyśleniu potrząsnęła głową. — Nie przypuszczam. W życiu niczego nie można powtórzyć. Wszystko zdarza się tylko raz.

— To szczególnie przeżycie, o którym myślisz, rzeczywiście zdarza się tylko raz. Ale można doświadczyć innego, równie ważnego. Właśnie czegoś innego.

— I kto to mówi? Przecież jesteśmy w takiej samej sytuacji.

— Niezupełnie. Ty miałaś więcej szczęścia.

— Ja? Jak to?

— Ty masz Andy'ego — rozpogodzili się oboje. — Rzadko kiedy na widok jakiegoś dzieciaka żałuję, że nie mam własnych dzieci.

— Jeszcze nie jest za późno, John. Skwitował to śmiechem.

— Jestem starym człowiekiem, Daphne Fields. Mam pięćdziesiąt dwa lata. Do diabła, mógłbym być twoim ojcem.

Na to Daphne tylko się uśmiechnęła. Wiedziała, że jego uczucia względem niej nie mają nic wspólnego z ojcowskimi. A ona też do nikogo dotąd nie Ignęła w ten sposób jak do niego. Może dlatego, że nigdy dotąd nie uświadamiała sobie, tak jak dzisiaj, siły swojej kobiecości. Właśnie siły. Okazało się, że ubiegłe lata zahartowały ją bardziej, niż myślała. Teraz była równorzędnym partnerem dla każdego mężczyzny. Nawet takiego jak John.

Przez pewien czas siedzieli na kanapie, spoglądając w ogień. To zadziwiające, jak cudowny spokój wnosił ze sobą John. Nigdy nigdzie się nie śpieszył, jakby miał przed sobą całe życie i mnóstwo czasu na radowanie się każdą cenną chwilą. Odblask ognia pięknie uwypuklał wydatną rzeźbę jego twarzy.

— John... — umilkła. Nie wiedziała, jak wyrazić swoje uczucia. Może później uda jej się to zrobić w dzienniku.

— Co, mała?

Wciąż nie znajdowała słów. W końcu zdobyła się tylko na to, by powtórzyć nieco zachrypniętym szeptem: — Cieszę się, że cię spotkałam.

Przechylił się powoli, jakby się bał, że zamąci przyjazny nastrój. Otoczył ją ramieniem i znowu odczuła tę drzemiącą w nim siłę, która już raz tego dnia przyprawiła ją o słodki dreszcz. Miły był jej ciężar jego ręki, dotyk jego dłoni i jego zapach, zapach wody po goleniu, wełny, świeżego powietrza i tytoniu. Pachniał tak, jak wyglądał: mocny, atrakcyjny mężczyzna, spędzający życie pośród lasów i gór. Spojrzał na nią i dostrzegł łzę spływającą po jej policzku. Złakł się i mocniej ją przygarnął. — Jesteś smutna, kochanie? — spytał niskim, wzruszonym głosem. Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie... Jestem szczęśliwa... Właśnie teraz, właśnie tutaj... — zwróciła ku niemu twarz. — Pewnie sądzisz, że zwariowałam. Ale widzisz, ja znowu żyję. A tak długo nic nie odczuwałam. Myślałam... — słowa więzły jej w gardle, ale musiała mu to powiedzieć. — Myślałam, że powinnam była umrzeć jak oni. Żyłam tylko dla Andy'ego. Tylko dla niego — odetchnęła głęboko. Dzisiaj czuła, że żyje również dla siebie. Nareszcie również dla siebie.

Przybliżył policzek do jej policzka i długo milczał. W końcu powiedział: — Masz teraz pełne prawo do własnego życia, Daphne. Spłaciłaś z nawiązką swoje długi — i pocałował ją w usta. Siedziała bez tchu, czując, że dotyk jego warg przenika ją do głębi. Wreszcie ujął jej twarz w dłonie i utkwiał w niej spojrzenie. — Gdzie byłaś przez całe moje życie, Daphne Fields? — pocałował ją znowu i dopiero teraz coś się w niej obudziło. Objęła go za szyję, przyciągnęła do siebie i wtuliła w niego, jakby pragnęła na zawsze pozostać w jego uścisku. A on trzymał ją tak, jakby chciał spełnić to pragnienie.

Po chwili zaczął powoli gładzić ją po ramionach, potem delikatnie przeniósł dłonie na jej piersi, wreszcie wsunął ręce pod sweter. Jęknęła cicho, gdy obejmował ją coraz mocniej, czując, że i w niej narasta podniecenie. Nagle odsunął się i zajrzał jej w oczy.

— Nie chcę niczego, czego i ty byś nie chciała. Jestem starym człowiekiem. Nie zamierzam cię wykorzystać.

Nie odpowiedziała, tylko pocałowała go i potrząsnęła głową, wyciągając równocześnie spinki z włosów, które swobodnie opadły jej na plecy i ramiona. Zanurzył w nich palce, następnie dotknął twarzy Daphne, znowu zatrzymał dłonie na jej piersiach, po czym jego duże ręce delikatnie zsunęły się na jej uda, a ona pod tą pieśczętą nie mogła opanować pożądania.

— Daphne... Daphne... — powtarzał jej imię, drżąc na całym ciele. Wtedy wstała, wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni.

— Jesteś pewna? — Pamiętał jeszcze jednak, żeby o to zapytać. Tak mało go znała, wszystko między nimi działo się tak szybko i bał się, by nie zrobiła czegoś, czego rano by żałowała. Chciał być z nią długo, nie przez jedną noc, jedną przelotną chwilę.

— W porządku, John... — jej ledwie słyszalny szept umilkł, gdy powoli ją rozbierał, aż stanęła przed nim, piękna, szczupła, bardzo zgrabna. Jej skóra lśniła w świetle księżyca, a włosy wydawały się niemal srebrne.

Podniósł ją i zaniósł na łóżko, sam się rozebrał, rzucając ubranie na podłogę, i ostrożnie położył się obok niej. Dotyk jej jedwabistej skóry przyprawiał go o szaleństwo, teraz, mając ją tak blisko, nie panował już nad sobą. Ale to ona pierwsza wzięła jego twarz w dłonie i wyprężając ciało mocno przywarła do niego, jakby brała odwet za wszystkie minione lata, jakby wróciło to, co wydawało się zapomniane. Poczula go w sobie i przeniknęła ją taka nieopisana rozkosz, jakiej nie zaznała nigdy dotąd, nawet z Jeffreyem. John był wspaniałym i niezwykłym kochankiem. Nieco później, kiedy zmęczeni leżeli ciasno splecieni ze sobą, wyszeptała z twarzą wtuloną w jego szyję, że go kocha.

— Ja też cię kocham, mała. Mój Boże, jak ja cię kocham...! — Daphne uśmiechnęła się sennie w odpowiedzi, przytuliła do niego jeszcze mocniej i usnęła. Znowu była czyjąś kobietą, ale inaczej niż przedtem. Należała do mężczyzny i pozostała panią siebie. John miał co do niej rację. Czas dał jej siłę, więcej siły, niż się domyślała.

10

— Co to takiego? — O szóstej następnego ranka John wszedł do kuchni trzymając dwa oprawne w skórę tomiki. Daphne wstała, chcąc mu zrobić śniadanie, zanim wyjdzie do pracy, ale kolejny wybuch namiętności sprawił, że zrobiła to później, niż zamierzała.

Spojrzała z uśmiechem przez gołe ramię. Wciąż nie mogła się otrząsnąć ze zdumienia, że on jest tutaj i że to jest takie cudowne.

— To? Ach, to moje dzienniczki.

— Będę je kiedyś mógł przeczytać?

— Oczywiście — postawiła na stole smażone jajka i bekon.

— Choć pewnie wydadzą ci się dość głupkowate — dodała nieco stropiona. — Przeląłam na papier każdą cząsteczkę mojej duszy.

— W takim razie nie może tam być nic głupkowatego

— uśmiechnął się na widok jej nagich pośladków. — Czy wiesz, że masz diabelnie ładny tyłeczek?

— Zamknij buzię i jedz jajka.

— Oto kres romansu — powiedział żartobliwie. Ale ich romans dopiero się rozpoczął. Kochali się jeszcze raz, zanim godzinę później wyszedł z domu.

— Nie wiem, czy będę w stanie dzisiaj pracować. Po takiej dawce miłości...

— Świetnie, wobec tego zostań ze mną. Już ja bym się tobą zajęła.

— W to nie wątpię! — zaśmiał się głośno, zapinając cienką roboczą kurtkę, którą woził w samochodzie. — Bardzo dobrze wiesz, jak rozpieszczą mężczyznę, Daphne Fields.

Przytuliła się do niego na pożegnanie i szepnęła cichutko:

— To ty mnie rozpieszczasz. Uczyniłeś mnie szczęśliwszą, niż kiedykolwiek byłam, i chcę, żebyś o tym wiedział.

— Będę o tym myślał przez cały dzień, a wracając do domu zrobię zakupy i zjemy sobie obiadek we dwoje. Odpowiada ci to?

— Wspaniale!

— Co będziesz robić?

Oczy błysnęły jej figlarnie. — Może zapiszę coś w dzienniku.

— Dobrze. Sprawdź po powrocie. Do zobaczenia, mała. Ciężarówka z chrzęstem opon przejechała po żwirowej

ścieżce i zniknęła, a Daphne, z odkrytymi piersiami, machała jeszcze ręką Johnowi stojąc w kuchennym oknie.

Po jego wyjściu dzień włókł się niemiłosiernie. Próbowwała sobie przypomnieć, co robiła, kiedy nie było Johna. Przyszło jej na myśl, że mogłaby odwiedzić Andy'ego, ale przecież dopiero u niego była. Została więc w domu, posprzątała, po czym zasiadła do swojego pamiętnika. Przez całe przedpołudnie chodziło jej jednak po głowie coś zupełnie oderwanego od bieżących wydarzeń i nagle, po lunchu, zabrała się do pisania opowiadania. Zaczęła je bez zastanowienia i skończyła, nie odrywając pióra od papieru, jakby napisało się samo. Postawiła ostatnią kropkę i przyjrzała się z niedowierzaniem kilkunastu kartkom. Coś podobnego przytrafiło jej się pierwszy raz w życiu.

Gdy John wrócił po pracy, powitała go ubrana w popielate spodnie i wesoły czerwony sweterek.

— Ślicznie wyglądasz, mała. Jak ci minął dzień?

— Bardzo dobrze, tylko tęskniłam za tobą. — Teraz czuła się już tak, jakby od niepamiętnych czasów czekała co wieczór na jego przyjście. Znowu przyrządzili wspólnymi siłami obiad z tego, co kupił po drodze. Przy jedzeniu bawił ją anegdotkami z obozu drwali. Dopiero po obiedzie, gdy usiedli przy kominku, pokazała mu swoje opowiadanie. Przeczytał je od deski do deski i spojrzał na nią ze szczerym zachwytem.

— To jest wspaniałe, Daphne.

— Nie mów głupstw. Do kosza, prawda?

— Do diabła, nie! Jest cudowne.

— Pierwsze, jakie napisałam. Nie mam pojęcia, skąd mi się to wzięło.

Z uśmiechem pogładził ją po jasnej głowie. — Stąd, mała. Podejrzewam, że kryje się tam cały skarbiec podobnych opowiadań.

Tak więc odkryła w sobie źródło radości, którego istnienia dotychczas nawet nie przeczuwała. Pisanie dawało jej odtąd dużo więcej, niż kiedy ograniczała się do powierzania myśli wyłącznie swojemu dziennikowi.

Tej nocy kochali się przed kominkiem, potem znowu w wielkim łóżku i jeszcze raz o wpół do szóstej rano. John wyszedł do pracy nucąc pod nosem jakąś piosenkę, a Daphne tym razem nie czekała do popołudnia. Jak tylko została sama, usiadła i napisała nowe opowiadanie. Było inne niż to pierwsze, ale przeczytawszy je, John uznał, że jest jeszcze lepsze.

— Masz cholernie ciekawy styl, Daff— powiedział i przez następne tygodnie pilnie studiował jej dzienniki.

Mniej więcej przed Bożym Narodzeniem ich życie zupełnie się unormowało. John przeniósł się na dobre do jej domku,

w szkole Andy stawał się coraz bardziej niezależny i Daphne miała mnóstwo czasu dla siebie, dzięki czemu spod jej pióra codziennie wychodziło jedno opowiadanie. Niektóre udawały się jej lepiej, inne nieco gorzej, ale wszystkie były zajmujące i wszystkie miały ten sam niepowtarzalny styl. Jakby nagle ujawnił się w niej ktoś zupełnie jej dotąd nie znany. I nie mogła nie przyznać, że jest z tego powodu wniebowzięta.

— To wspaniałe uczucie, John. Bardzo trudno wyrazić je w słowach. Wydaje mi się, że to wszystko zawsze we mnie było, a ja nic o tym nie wiedziałam.

— Powinnaś napisać powieść — powiedział poważnie.

— Nie wygłupiaj się. O czym?

— Nie wiem. Sama zobaczysz. Zapewniam cię, że ją także nosisz już w sobie.

— Nie jestem pewna. To coś innego niż opowiadania.

— Co nie znaczy, że to przekracza twoje możliwości. Do licha, dlaczego nie miałybyś spróbować? W zimie i tak nie masz nic lepszego do roboty.

Rzeczywiście, jedynym urozmaiceniem były teraz dla niej wizyty u Andy'ego. Spędzała z nim dwa popołudnia w tygodniu, a w weekendy zawsze towarzyszył jej John. Gdy nadeszło Boże Narodzenie, wiadomo już było, że Andy czuje się szczęśliwy. Całkowicie zaakceptował Johna i opowiadał mu znakami o różnych zabawnych wydarzeniach, gdyż i John nauczył się jego języka. Często urządzali sobie na dworze zapasy, po czym zazwyczaj Andy lądował na jednym barku Johna, a któryś z jego kolegów na drugim. John całym sercem pokochał chłopca. Daphne przyglądała im się z rozczuleniem, myśląc, jak wiele otrzymała od życia. Nareszcie zrzuciła z siebie bagaż przeszłości i wspomnienie Jeffa nie kładło się już na jej życiu tak ponurym cieniem. Nadal przejmował ją ból, ilekroć spotykała dziewczynki w wieku, jaki osiągnęłaby Aimee, lecz ten ból nie był już taki dojmujący. John łagodził i odsuwał od niej wszelkie cierpienia, przynosząc w zamian spokój i szczęście.

Od czasu do czasu zabierali Andy'ego na parę godzin do domu i wtedy John kazał mu wykonywać różne proste czynności gospodarskie. To znosili razem drewno do kominka, po czym z grubszych kawałków John rzeźbił dla niego małe zwierzątka, to wraz z Daphne piekli ciasteczka, a pewnego razu pomalowali nawet stary fotel na biegunach, który znaleźli za opuszczoną stodołą.

Andy stawał się coraz bardziej samodzielny i coraz łatwiej przychodziło mu się z nimi porozumiewać. Daphne nabrała dużo większej wprawy w posługiwaniu się językiem migowym, toteż stany napięcia pomiędzy nią a synem już się nie powtórzyły. Andy nie tracił cierpliwości, gdy zdarzyło jej się pomylić, tylko chichotał, po czym z uśmiechem wyjaśniał Johnowi za pomocą znaków, co mama chciała powiedzieć, że ugotuje na obiad. Milczący związek jego i Johna w dalszym ciągu ujmował za serce. Zżyli się ze sobą, jakby zawsze byli razem, spacerowali we dwójkę po polach, przystawali, by popatrzeć na królika albo sarnę, spoglądali sobie w oczy i to zastępowało im słowa. Gdy nadchodziła pora powrotu do szkoły, Andy siadał w ciężarówce na kolanach Johna, kładł na kierownicy swoje małe rączki obok jego dużych dłoni, a Daphne podczas jazdy cały czas patrzyła na nich uśmiechnięta. Zawsze chętnie wracał do szkoły, do innych dzieci, i Daphne nie przeżywała każdego rozstania z nim tak jak dawniej. Życie z Johnem płynęło cicho i pogodnie. Wydawało jej się, że nigdy dotąd nie była tak zadowolona ze swego losu. Znajdowało to odbicie w jej pisaniu.

W lutym zdobyła się w końcu na odwagę i zaczęła pisać książkę. Pracowała nad nią wytrwale w godzinach, które John spędzał w pracy, a on co wieczór czytał wszystko, co napisała w ciągu dnia, chwalił ją lub robił jakieś uwagi, nigdy jednak nie tracił wiary w jej możliwości.

— Wiesz, nigdy bym się na to nie porwała, gdyby nie ty. — Leżała wyciągnięta na kanapie w niebieskich dzinsach i wysokich botkach, trzymając na kolanach talerz z jabłkami, które kroić dla nich na deser.

— Owszem, porwałabyś się. Zapewniam cię, że tak. Ja nie mam z tym nic wspólnego. To wszystko jest w tobie i tylko w tobie. Ty jedna możesz to w sobie odszukać i wydobyć.

— Sama nie wiem... Wciąż nie rozumiem, skąd mi się biorą te myśli i słowa.

— To bez znaczenia. Po prostu są. Należą wyłącznie do ciebie i nikt inny nie ma wpływu na ich powstanie.

— Uhm — pochyliła się, żeby go pocałować. Uwielbiała wieczorem dotykać ustami jego twarzy, szorstkiej od całodniowego zarostu. Był taki cudownie męski i miał tyle seksu. — Nadal uważam, że to twoja sprawka. Nie pamiętasz, kiedy zaczęłam płodzić wszystkie te cholerne rzeczy? — Uśmiechnęli się do siebie, jak zawsze, gdy przypomnieli sobie, że pierwsze opowiadanie napisała po pierwszej wspólnie spędzonej nocy. Zaraz po Nowym Roku wysłała je do „Collins Magazine” i teraz czekała na odpowiedź, ciekawa, czy zechcą je wydrukować.

Wreszcie w marcu nadszedł list od jej byłej szefowej, Allison. Zaoferowali Daphne pięćset dolarów.

— Spójrz na to, John! Widzisz?! Kupili moje opowiadanie! Kompletnie oszaleli! — Czekala na niego w drzwiach z listem od Allison, czekiem i butelką szampana.

— Gratuluję! — John był uradowany nie mniej niż ona i do brzasku świętowali z tej okazji w łóżku. Droczył się z nią wprawdzie, narzekając, że już od tak dawna porządnie się nie wyspał, ale oboje doskonale wiedzieli, ile szczęścia daje im ta bezsenność.

Po tym, jak w „Collins Magazine” przyjęto jej opowiadanie, Daphne urosły skrzydła. Przez całą wiosnę pracowała nad książką z jeszcze większym zapałem niż dotąd i już ostatniego dnia lipca postawiła końcową kropkę. Siedziała, patrzyła na plik kartek, ważyła w rękach ciężar manuskryptu, bojąc się niemal tego, czego dokonała. A równocześnie było jej żal rozstawać się z ożywionymi w jej wyobraźni ludźmi, którzy przez te długie miesiące stali się dla niej bez mała realnie istniejącymi osobami.

— No i co mam robić dalej? — Czuła się trochę tak, jakby straciła pracę.

— To rzeczywiście problem. — Po dniu ciężkiej pracy rozluźniony John siedział nagi do pasa, popijał piwo i patrzył na nią, promieniejąc dumą. Twarz i ramiona miał opalone na brąz. Lato tego roku było piękne. — Nie znam się na tym, ale sądzę, że powinnaś znaleźć sobie agenta. Poradz się swojej dawnej szefowej z „Collinsa”. Zadzwoń do niej jutro.

Daphne jednak niezbyt lubiła kontaktować się z Allison, która przy każdej okazji głośno biadała nad jej pustelnicznym trybem życia. Do tego Allison nic nie wiedziała o Johnie, ponieważ Daphne

utrzymywała ją w przekonaniu, że przebywa w New Hampshire wyłącznie z powodu Andy'ego. A mając już dość jej wiecznego nalegania, by wróciła do Nowego Jorku i podjęła pracę, napisała jej, iż wynajęła komuś swoje nowojorskie mieszkanie. Później zamierzała wymyślić jakiś inny pretekst. Była szczęśliwa z Johnem i chciała zostać z nim na zawsze w New Hampshire, choć on spierał się z nią o to czasami, twierdząc, że Daphne należy do Nowego Jorku i że powinna wrócić do „swoich”, do pracy odpowiadającej jej aspiracjom, zamiast kisać tu do końca życia z jakimś drwalem. Oczywiście w głębi duszy wcale nie chciał, by wyjeżdżała. I nie musiał się tego obawiać, bo nie miała najmniejszego zamiaru porzucić go ani teraz, ani nigdy.

— Jak twoim zdaniem znajduje się agenta?

— Może powinnaś pojechać z książką do Nowego Jorku i dowiedzieć się na miejscu?

— Tylko pod warunkiem, że pojedziesz ze mną.

— Nonsens, kochanie. Nie jestem ci tam do niczego potrzebny.

— Owszem, jesteś. — Kiedy tak siedziała obok niego, wyglądała jak mała, zadowolona dziewczynka. — Jesteś mi potrzebny zawsze i do wszystkiego. Jeszcze o tym nie wiesz?

- Wiedział, rzecz jasna, ale oboje wiedzieli też, że świetnie poradzi sobie sama. — Co ja bym robił w Nowym Jorku? — Nie był tam od dwudziestu lat i miasto nic a nic go nie ciągnęło. Był szczęśliwy w górach Nowej Anglii. — Zresztą zadzwoń jutro do Allison i posłuchaj, co ona ma do powiedzenia w tej sprawie.

Jednak nazajutrz Daphne do nikogo nie zadzwoniła. Postanowiła poczekać do jesieni. Uzasadniała to tym, że książka nie jest całkiem gotowa, że musi ją jeszcze kilka razy przeczytać i wnieść ostateczne poprawki.

— Struś! — naśmiewał się z niej. — Nie możesz bez końca chować głowy w piasek, mała.

— Dlaczego?

— Bo ja ci nie pozwolę. Jesteś na to za dobra.

Przy nim Daphne nabrała pewności, że nie ma rzeczy, której nie potrafiłaby zrobić. Nie do wiary, jak mocno stanęła na własnych nogach w ciągu miesiący, które z nim spędziła.

Także Andy się zmienił. Miał prawie pięć lat i nie był już niezaradnym dzidziusiem. W sierpniu Daphne chciała pojechać z synem oraz innymi dziećmi i ich rodzicami na czterodniową wędrowkę zorganizowaną przez panią Curtis. Wszyscy przygotowywali się do wycieczki jak do wielkiego wydarzenia i Daphne bardzo zależało na tym, żeby John wybrał się z nimi i dzielił z Andym nowe dla niego emocje. Ale John oświadczył, że teraz nie może wyrwać się z pracy. Akurat do robót leśnych zabrało się dwudziestu młodych ludzi z college'u i wszyscy doświadczeni drwale musieli na okrągło doglądać „żółtodziobów”.

— Naprawdę nie możesz jechać? — Daphne była ogromnie zawiedziona.

— Naprawdę, kochanie, choć bardzo bym chciał. Będziecie się wspaniale bawić.

— Nie bez ciebie. — Na widok jej naburmuszonej miny omal nie parsknął śmiechem. Tak bardzo kochał w niej to połączenie dziecka z kobietą.

Wyruszyli w trzecim tygodniu sierpnia, końmi, z namiotami i śpiworami. Dla dzieci taka wędrownia lasami była czymś zupełnie nowym i każda napotkana rzecz stanowiła dla nich fascynujące odkrycie. Daphne zabrała ze sobą dziennik, by zapisywać dla Johna wszystkie reakcje Andy'ego, różne ulotne chwile, o których potem mogłaby zapomnieć, ale prawie cały czas pisała tylko o Johnie i myślała o nocy przed wyjazdem. Rozstawali się pierwszy raz od dziewięciu miesięcy i perspektywa spędzenia bez niego paru dni wydawała jej się nie do zniesienia. Raz już utraciła ukochaną osobę i truchlała na myśl, że mogłaby utracić również Johna. Męczyły ją niekiedy nocne koszmary, pełne okropnych scen.

— Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz, mała — powiedział, gdy zwierzyła mu się ze swoich lęków. — Ze mnie jest kawał twardego chłopca.

— Nie mogłabym bez ciebie żyć, John.

— Mogłabyś. Ale nie bój się, jeszcze bardzo długo nie wystawię cię na taką próbę. Więc baw się dobrze z dziećmi, a po powrocie wszystko mi opowiesz.

Kochali się, a potem leżała przy nim do świtu, czując na swoim udzie przejmujący rozkoszą dotyk jego gładkiego, męskiego ciała.

— Bardzo mi ciebie będzie brakować przez te cztery dni. Ich pożycie ją rozpuściło. Mógł sobie mówić, że jest starym

facetem, ale zdecydowanie temu przeczyła jego namiętność. Miał w sobie ogień mężczyzny o połowę młodszego, a przy tym duże doświadczenie, i nauczył ją rzeczy, o jakich dotąd nie miała pojęcia. Czasami zastanawiała się, czy przypadkiem nie dlatego jest jej z nim aż tak dobrze. Właśnie tego rodzaju myśli notowała w swoim dzienniku podczas wędrowni, w chwilach gdy nie bawiła się z Andym. A poza tym cieszyła się tymi niezwykłymi dniami spędzonymi z synkiem, obserwowała go, kiedy biegał z przyjaciółmi, wiodła wraz z nim leśny żywot i co rano po przebudzeniu widziała obok siebie małą, słoneczną twarzyczkę, obok której nie budziła się już od tak dawna.

Po czterech dniach wrócili brudni, zmęczeni, wyglądający jak banda wytrawnych włóczęgów, ale odprężeni i radzi ze swego wyczynu. Rodzicom wędrownia podobała się tak samo jak dzieciom. Daphne zostawiła Andy'ego w szkole, wrzuciła plecak ze śpiworem do samochodu i ziewając usiadła za kierownicą. Nie mogła się już doczekać widoku Johna. Jednakże w domu go nie zastała. W zlewce piętrzyły się naczynia, na łóżku wałała rozrzucona pościel. Uśmiechając się do siebie Daphne z rozkoszą weszła pod prysznic. Później, przed powrotem Johna, zdąży zrobić porządku.

Właśnie wciągnęła dzinsy i zabierała się w kuchni do zmywania naczyń, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Z rękami pokrytymi pianą poszła otworzyć i ujrzała jednego z kolegów Johna. Widywała go rzadko, ale wiedziała, że John go lubi.

— Cześć, Harry. Co nowego? — Była opalona, rozluźniona i szczęśliwa. W pierwszej chwili nie zauważyła napięcia w wyrazie twarzy przyjaciela Johna. — Kiedy wróciłeś?

— Dopiero teraz dostrzegła, że jest dziwnie przygnębiony, ale nie przejęła się tym. John, ilekroć o nim mówił, żartował, że zawsze wygląda tak, jakby przed chwilą pochował najserdeczniejszego druha, lecz tak naprawdę ma tylko żonę i sześcioro dzieci, a to w zupełności wystarczy, by wpędzić człowieka w czarną melancholię. Tak przynajmniej twierdził ze śmiechem John. — Co u Gladys?

— Daphne, muszę z tobą porozmawiać... — Tym razem jednak chodziło o coś poważnego. Nagle skądś z tyłu dobiegło Daphne tykanie kuchennego zegara.

— Naturalnie — wytarła ręce w spodnie i odłożyła ścierkę.

— Czy coś się stało?

Wolno skinął głową. Najwyraźniej słowa nie mogły mu przejść przez gardło albo nie wiedział, jak zacząć. Zapanowała niesamowita cisza.

— Usiądźmy — odezwał się wreszcie. Nerwowo ruszył w stronę kanapy. Podążyła za nim jak we śnie.

— Harry?

Spojrzał na nią ciężko. Jego oczy przypominały dwa ciemne kamienie.

— John nie żyje, Daphne. Umarł, kiedy byłeś na wycieczce.

Pokój zawirował wokół niej, twarz Harry'ego majaczyła gdzieś w wielkiej odległości. John nie żyje... John nie żyje... Słowa jak z nocnego koszmaru. To nieprawda, to się nie mogło zdarzyć, nie jej... Nie jej... znowu. I nagle, w martwej ciszy, rozległ się histeryczny kobiecy śmiech.

— Nie! Nie! Nie!!! — śmiech przeszedł w suchy szloch. A ten człowiek wciąż na nią patrzył i usiłował jej opowiedzieć, jak to się stało. Po co? Jakie to ma znaczenie? Znała to już przecież. Wiedziała, że słowa niczego nie zmieniają. Miała ochotę zatkać uszy i uciec z krzykiem.

Jednakże Harry, nie zważając na jej protesty, mówił dalej:

— To było w obozie, w dniu twojego wyjazdu. Dzwoniliśmy do szkoły, ale powiedziano nam, że nie ma żadnej możliwości skontaktowania się z tobą. Te cholerne dzieciaki z college'u straciły kontrolę nad wciągarką. Kłody się osunęły i przywały Johna... — głos Harry'ego zadrgał tłumionym łkaniem. Daphne spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami. — Złamały mu kark i strzaskały plecy. Nawet nie wiedział, że coś się dzieje.

Zupełnie jak Jeff. Tak jej wtedy powiedziano. Żadnej różnicy. Nie spuszczała wzroku z Harry'ego i teraz potrafiła myśleć już tylko o Andym. Jak ona powie o tym swojemu synowi?

— Jest nam wszystkim cholernie przykro. Tych smarkaczy odesłaliśmy do domu. Ciało Johna znajduje się w zakładzie pogrzebowym. John nie ma rodziny ani tutaj, ani gdzie indziej. Zdaje się, że wszyscy poumierali. Nie wiedzieliśmy, co będziesz chciała zrobić... Gladys uważała...

— W porządku. — Podniosła się gwałtownie. Twarz miała białą jak kreda. W porządku. Tę drogę zna już na pamięć.

Dopiero po wyjściu Harry'ego pojawiły się łzy. Potoki cichych, rozpaczliwych łez. Rozejrzała się po pokoju i znowu usiadła. John Fowler nie wróci do domu. Już nigdy.

„Dasz sobie radę sama, mała” — zadźwięczały jej w uszach jego słowa. Ale nie chciała dawać sobie rady sama. Chciała żyć z nim.

- Och, John... — w martwocie ich pustego domku rozległ się zdławiony, pełen udreki szept. Odżyło w jej pamięci wszystko, co sobie powiedzieli: on o stracie żony, ona o śmierci Jeffa. Nie potrafili, kiedy to się stało, ani tego zrozumieć, ani z tym się uporać. Ale teraz było inaczej. Teraz wiedziała już, że nieustanne pograżanie się w przeszłości do niczego nie prowadzi i nie ma żadnego sensu.

O zachodzie słońca poszła do lasu i wzniosła w górę zapłakane oczy. Myślała o nim, o jego szerokich ramionach, dużych dłoniach, niskim głosie. Myślała o mężczyźnie, który kochał ją i Andy'ego.

— Niech cię szlag trafi! — wykrzyknęła nagle w fiołkowo-różowe, a miejscami już pomarańczowe niebo. — Niech cię szlag trafi! Czy musisz tak robić?!

Długo nie ruszała się z miejsca. Niebo powoli ciemniało, a ona wciąż stała ze łzami spływającymi jej po policzkach. W końcu otarła twarz rękawem koszuli i potrząsnęła głową.

— No dobrze, mój przyjacielu. W porządku. Poradzimy sobie. Tylko pamiętaj, że cię kochałam — spojrzała tam, gdzie jeszcze przed chwilą nad wzgórzami stało słońce, i wyszeptwała:

— Żegnaj.

Wolno wróciła do domu z opuszczoną głową.

11

Nazajutrz Daphne obudziła się przed brzaskiem. Leżała w łóżku, które teraz, gdy była w nim sama, zrobiło się za duże, i myślała o Johnie, wspominając ich wspólne wczesne poranki.

Słońce powoli wlewało się przez okno, lecz ona wciąż leżała. Nie odczuwała zagubienia, jakie ogarnęło ją po śmierci Jeffa. Była tylko pustka i świadomość straty, był bezgraniczny smutek, przygniatający ją jak nagrobny kamień, był pulsujący ból otwartej rany, której wciąż i wciąż musiała dotykać. Rytmicznie dudniły jej w skroniach słowa: John nie żyje... Nie żyje... Nie żyje...

Nie zobaczą go już nigdy... Nigdy... A najgorsze, że nigdy nie zobaczy go też Andy. Jak ona mu o tym powie?

Dochodziło południe, gdy w końcu zwlokła się z łóżka. Przez moment kręciło jej się w głowie. Było jej niedobrze, w ustach miała czczość, ostatni raz jadła poprzedniego rana, ale teraz też nie przełknęłaby najmniejszego kęsa. W uszach niezmiennie dzwoniły jej te same słowa: John nie żyje... John nie żyje...

Pół godziny stała pod prysznicem, patrząc tępo przed siebie i pozwalając wodzie bić w siebie silnym strumieniem. Prawie godzinę zabrało jej ubranie się w dżinsy, buty i koszulę Johna.

Otwierała powolutku szafę, jakby ukrywała jakiś bezcenny sekret. Przecież już przez to przechodziła i drugi raz nie podda się niszczącej rozpacz. Gdy umarł Jeff, pomogła jej świadomość, że nosi w sobie ich nie narodzone dziecko, dzisiaj nie miała nawet tego cudu życia, równoważącego śmierć. Dzisiaj miała jedynie Andy'ego. I wytrwa przy nim, wytrwa nie tylko dlatego, że musi, ale i dlatego, że tego chce.

Całą drogę do szkoły przebyła w jakimś otępieniu i dopiero gdy go zobaczyła, wesoło goniącego za piłką, zaczęła płakać od nowa. Stała i stała, patrząc na malca, na próżno próbując uporządkować myśli. W końcu Andy spostrzegł matkę. Zmarszczył czoło, odrzucił piłkę i wolno ruszył w jej kierunku. Jego oczy wyrażały lęk. Daphne usiadła na trawie i wyciągnęła do niego ręce, usiłując uśmiechnąć się przez łzy.

— Cześć — powiedziała gestem, gdy usiadł przy niej.

— Co się stało? — W jego źrenicach Daphne wyczytała łączącą ich miłość i wzajemną troskę.

Zaległa złowroga cisza. Daphne czuła, że trzęsą jej się ręce. Nie była zdolna do wykonania koniecznych znaków.

Wreszcie przemogła się. — Muszę ci powiedzieć coś bardzo smutnego.

— Co? — spojrzał na nią zaskoczony.

Przez całe życie chroniła go przed wszelkimi przykrościami i dotąd nie zetknął się z żadną tragedią. Ale tym razem nie sposób było oszczędzić mu smutku. Chłopiec za bardzo przywiązał się do Johna. Daphne z drżącą brodą i piekącymi oczami objęła najpierw synka, po czym zaczęła znakami wypowiadać słowa, których tak się bała:

— John miał wypadek, kiedy nas nie było, kochanie. Dowiedziałam się o tym wczoraj. John umarł. Nigdy go już nie zobaczymy.

— Już nigdy? Do końca życia? — oczy Andy'ego zrobiły się ogromne z niedowierzania.

Daphne skinęła głową. — Nigdy. Ale będziemy go zawsze pamiętali i kochali, tak jak ja pamiętam i Kocham twojego tatusia.

— Ale ja nie znam mojego tatusia — sygnalizowały przerywanymi ruchami małe rączki. — A Johna kocham.

— Ja też — policzki Daphne znowu były mokre od łez. — Ja też... — I po chwili dodała: — I ciebie także kocham.

Przytulili się do siebie i chłopczyk zaczął płakać. Zachłystywał się szlochem, a Daphne, czując, że serce pęka jej z żalu, długo nie wypuszczała małego z objęć. Upłynęło trochę czasu, zanim ochłonęli na tyle, by ruszyć się z miejsca. Zaczęli iść, trzymając się za ręce, a Andy co chwilę mówił coś w swoim milczącym języku o Johnie, o tym, co robił, i o tym, jaki był. Po raz kolejny Daphne pomyślała z gorącym podziwem, jak całkowicie ten duży człowiek lasu zawładnął sercem jej syna, i to bez jednego słowa. Ale przecież już dawno stwierdziła, że John należał do ludzi, którzy nie potrzebują słów. Miał w sobie jakąś rzadką siłę, dzięki której pokonywał wszelkie bariery, nawet kalectwo Andy'ego. A także jej zgryzoty i obawy.

W pewnym momencie Andy zaskoczył ją pytaniem: — Mamusiu, czy zostaniesz tutaj bez niego?

— Tak. Jestem tu, bo ty tu jesteś, synku. — Ale oboje wiedzieli, że w tym, co powiedziała, jest tylko połowa prawdy. Andy nie potrzebował już stałej opieki matki i Daphne pozostawała w New Hampshire głównie z powodu Johna. Obecnie jednak nie mogła wyjechać. Wmówiła sobie, że teraz znowu będzie potrzebna Andy'emu, choć w istocie to ona potrzebowała jego, i to bardziej niż kiedykolwiek.

Powoli mijają lato, a Daphne nieustannie, w cichej męce, tęskniła za Johnem. Przestała płakać, lecz przestała również zapisywać cokolwiek w swoim dzienniku. Prawie nic nie jadła i poza Andym z nikim się nie widywała. Któregoś dnia wstąpiła do niej pani Obermeier i przeraziła się widokiem jej poszarzałej, zapadniętej twarzy. Daphne schudła cztery kilogramy. Stara Austriaczka objęła ją impulsywnie, ale nawet wtedy Daphne nie uroniła łzy, tylko po prostu stała nieruchomo w miejscu. Nie była już zdolna odczuwać bólu, żyła, byle żyć, bez żadnego celu, wyłączając jednego jedyne Andy'ego, choć w gruncie rzeczy jej obecność i jemu niewiele już dawała. Miał szkołę, miał swoje środowisko, a pani Curtis wręcz nalegała, by Daphne przestała go tak często odwiedzać.

— Dlaczego pani nie wróci do Nowego Jorku? — spytała pani Obermeier, nalewając Daphne herbaty, którą ta ledwie tknęła. — Przecież widać, jak ciężko pani tutaj, a tam ma pani przynajmniej przyjaciół.

Daphne także to rozumiała, ale nie chciała wracać. Chciała na zawsze pozostać w tym domku, przesiąkniętym zapachem Johna, z jego ubraniami, butami i resztą drobiazgów. John na długo przed śmiercią nie miał innego mieszkania.

— Wolę być tutaj.

— To nie jest dla pani dobre, Daphne—odparła zdecydowanym tonem doświadczona, życzliwa kobieta. — Nie wolno zamykać się w przeszłości.

Daphne miała ochotę zapytać, czemu właściwie nie, ale przecież sama знаła wszelkie możliwe odpowiedzi. Już raz sprawdziła ich słuszność na sobie. Tylko że to zamiast pomagać, czyniło wszystko jeszcze trudniejszym.

Opowiadanie Daphne ukazało się w „Collins Magazine” w październiku. Allison przysłała jej egzemplarz autorski, opatrzony liścikiem: „Kiedy, do diabła, wracasz?! Ucałowania, Allie”. Odpowiedź, jakiej Daphne udzieliła w skrytości ducha, brzmiała: nigdy. Jednakże pod koniec miesiąca dostała wiadomość z Bostonu od właścicielki domku. Okres wynajmu dobiegł końca i dom został sprzedany. Nabywcy chcieli, żeby wyprowadziła się przed pierwszym listopada.

Nie mogła już dłużej zasłaniać się tym, że ktoś zajmuje jej nowojorskie mieszkanie. Lokator opuścił je z początkiem października. Nie pozostało jej zatem nic innego, jak przewyciężyć niechęć i wrócić do Nowego Jorku. Mogła co prawda poszukać nowego domku albo mieszkania w New Hampshire, ale to byłoby bez sensu. Andy'ego odwiedzała teraz zaledwie raz w tygodniu, a i wtedy synek prawie nie zwracał na nią uwagi. Radził sobie coraz lepiej i pani Curtis jasno dawała do zrozumienia, że obecnie powinien skupić się wyłącznie na szkole. Tymczasem wizyty Daphne zawsze go trochę rozpraszały i nie pozwalały mu się całkowicie od niej uniezależnić. Prawda jednak wyglądała tak, że to Daphne była uzależniona od niego.

Spakowała wszystkie swoje rzeczy, swoje i Johna, wysłała je autobusem do Nowego Jorku i ze ściśniętym gardłem ostatni raz rozejrzała się po ich domku. Bitą godzinę przesiedziała na kanapie, płacząc bezgłośnie. Była sama. John odszedł. Nic go jej nie wróci. Odszedł na zawsze. Cicho zamknęła za sobą drzwi, na moment przytuliła do nich policzek, chłonąc skórą ciepły dotyk drewna, podczas gdy przed oczami przesuwały się jej wszystkie sceny ze wspólnego życia z Johnem. Następnie wolno ruszyła w stronę samochodu. Ciężarówkę Johna podarowała Harry'emu.

W szkole Andy miał akurat jakieś zajęcia razem z kolegami, więc pocałowała go tylko na do widzenia i przyrzekła wrócić na Święto Dziękczynienia. Zatrzyma się wtedy w Austrian Inn, tak jak inni rodzice. Pani Curtis przy pożegnaniu słowem nie wspomniała o Johnie, chociaż go znała i było jej bardzo przykro z powodu jego śmierci.

Droga do Nowego Jorku zajęła Daphne siedem godzin. Widok Empire State Building, kiedy wjechała do miasta, nie wzbudził w niej najmniejszych emocji. Nie chciała oglądać tego miasta, nie ona wybrała je sobie na miejsce, w którym miał znajdować się jej dom. Zresztą nie było przecież żadnego domu. Było tylko puste mieszkanie.

Zastała je w nie najgorszym stanie, ponieważ lokator przed wyprowadzeniem się zrobił porządku. Z westchnieniem rzuciła walizkę na łóżko i rozejrzała się po wnętrzu. Duchy ścigały ją

nawet tutaj. Pokój Andy'ego, zabawki, którymi już się nie bawił, książeczki, których już nie oglądał. Jego najukochańsze skarby zawiozła do szkoły, a reszta do niczego się już nie nadawała.

Daphne odniosła wrażenie, jakby sama przestała pasować do tego mieszkania. Miało nieznośnie miejski charakter i po miesiącach życia w domku z oknami wychodzącymi na wzgórze New Hampshire wydawało jej się przytłaczające i ponure. Stąd było widać tylko inne budynki, mała kuchenka w niczym nie przypominała tamtej, wygodnej, do której tak zdążyła się przyzwyczaić. Firanki w saloniku spłowiwały, stary dywan nosił ślady, które pozostawiły zabawki Andy'ego. Nawet meble się postarzały. Niegdyś bardzo jej zależało na tym zakątku, chciała stworzyć tu szczęśliwy, wesoły dom dla siebie i swojego synka. Teraz, kiedy go nie było, przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Podczas pierwszego weekendu oczyściła dywan, zmieniła zasłony, kupiła nowe rośliny, a na wszystko inne machnęła ręką. Większość czasu spędzała na spacerach, ponownie oswajając się z Nowym Jorkiem, i do mieszkania wracała tylko wtedy, kiedy już nie mogła tego uniknąć.

Jak na Nowy Jork o tej porze roku pogoda była wyjątkowo dobra, ale nawet urok chłodnych, złociście słonecznych dni nie poprawił jej nastroju. Każdego ranka wstawała i zastanawiała się, co ze sobą począć. Wiedziała, że powinna poszukać pracy, ale nie chciało jej się zrobić żadnego kroku w tym kierunku. Wciąż jeszcze miała dość pieniędzy na życie i powiedziała sobie, że pomyśli o pracy po Nowym Roku. Rękopis książki trzymała zamknięty w szufladzie biurka i nawet nie spróbowała skontaktować się ze swoją byłą szefową, Allie. Jednakże pewnego dnia, będąc w mieście, wpadła na nią przypadkiem w sklepie, w którym szukała piżamy dla Andy'ego. Przez ostatni rok bardzo wyrósł i pani Curtis przysłała jej listę rzeczy, jakich potrzebował.

— Daff! Co ty tu robisz?

— Zakupy dla Andy'ego — odparła zwięźle. Zachowywała się spokojnie i rozsądnie, lecz wyglądała gorzej niż przed rokiem i Allison Baer zachodziła w głowę, co też, u licha, złego mogło ją znowu spotkać.

— Dobrze się czujesz? — spytała zatroskana.

— Świetnie.

— A ty?

— Nieźle.

— Daphne... — dawna przyjaciółka ujęła ją za łokieć, zmartwiona tym, co dostrzegła w jej twarzy. — Twoje życie nie może się bez końca kręcić wokół dziecka. — W duchu zadała sobie pytanie, czy to możliwe, aby Daphne aż tak się zmieniła tylko z żalu, że musiała zostawić Andy'ego w szkole. Nie byłby to zdrowy objaw.

— Wiem. Andy czuje się doskonale. Podoba mu się tam.

— A co się z tobą dzieje? Kiedy wróciłaś?

— Parę tygodni temu. Chciałam zadzwonić, ale stale byłam zajęta.

— Pisałaś? — podchwyciła z nadzieją Allison.

— Raczej nie. — Daphne nie chciała teraz nawet myśleć o pisaniu. Ono należało do wspólnego życia z Johnem i była przekonana, że skończyło się wraz z nim.

— A co z tą książką, którą obiecałaś mi przysłać? Czy jest już gotowa?

Miała ochotę zaprzeczyć, lecz coś jej na to nie pozwoliło.

— Tak. Skończyłam ją w lecie i wciąż nie wiem, co z nią zrobić. Myślałam nawet, żeby do ciebie zadzwonić i poprosić cię o pomoc w znalezieniu agenta.

— No i? — w głosie Allison wyczuwało się charakterystyczne dla języka mieszkańców Nowego Jorku staccato, które zawsze Daphne intrygowało. Po pięciu minutach rozmowy była już zmęczona. — Mogę ją zobaczyć?

— Sądzę, że tak... Podrzucę ci ją kiedyś.

— Może zjemy jutro razem lunch?

— Obawiam się, że nie będę mogła... Ja... — uciekła spojrzeniem w bok. Denerwował ją zarówno gwar panujący w sklepie, jak i to, że Allie tak ją przypiera do muru.

— Posłuchaj, Daff — Allison delikatnie wzięła Daphne pod ramię. — Mówiąc bez ogródek, wyglądasz gorzej niż rok temu, kiedy wyjeżdżałaś. Prawdę mówiąc wyglądasz okropnie. Musisz się wziąć w garść. Nie możesz wiecznie unikać ludzi. Straciłaś Jeffa i Aimee, Andy jest w tej swojej szkole na końcu świata, ale, na miłość boską, sama przecież żyjesz. Otrząśnij się wreszcie. Zjedźmy razem lunch i pogadajmy.

„Wszystko, tylko nie to” — przeraziła się w duchu Daphne.

— Nie chcę rozmawiać o sobie... — Kiedy jednak zamierzała zbyć Allie jakąś wymówką, nagle wydało jej się, że z oddali dobiega ją głos Johna. „Daj spokój, mała... Do cholery, poradzisz sobie... Na pewno sobie poradzisz...” Tak mocno w nią wierzył, tak się cieszył jej powieścią. Było tak, jakby chowając swoją książkę w szufladzie biurka, pozbawiała go ostatniej radości. — Zresztą dobrze. Zjemy razem lunch. Tylko naprawdę nie chcę mówić o sobie. Możesz mi za to powiedzieć, jak znaleźć agenta.

Spotkały się następnego dnia w Veau d'Or. Allie z miejsca zasypała ją mnóstwem praktycznych rad i propozycji. Przez cały czas szukała w oczach przyjaciółki odpowiedzi na dręczące ją pytania, ale musiała dać za wygraną, ponieważ Daphne ściśle trzymała się tematu. Wręczyła jej więc tylko listę agentów i wzięła manuskrypt, obiecując zwrócić go zaraz po weekendzie. I rzeczywiście przybiegła z nim w poniedziałek, jak przyrzekła, absolutnie zachwycona. Powiedziała, że to najlepsza rzecz, jaką od lat zdarzyło jej się przeczytać. Wbrew temu, czego się spodziewała, Daphne słuchała jej pochwał z przyjemnością. Allison zawsze wszystko bezlitośnie krytykowała, a

taki wybuch entuzjazmu był u niej czymś zupełnie wyjątkowym. Dla Daphne miała tylko słowa najwyższego uznania.

Wskazała osobę ze swojej listy, do której, jej zdaniem, Daphne powinna zadzwonić, i to koniecznie od razu. Daphne usłuchała, wciąż mówiąc sobie w duchu, że robi to dla Johna, choć niespodziewanie podekscytowanie Allison udzieliło się i jej. Zostawiła rękopis w biurze agenta, pewna, że odpowiedź dostanie nie wcześniej niż za parę tygodni. Tymczasem już po czterech dniach, o czwartej po południu, gdy pakowała się przed wyjazdem do Andy'ego na Święto Dziękczynienia, odebrała telefon agentki o imieniu Iris, która proponowała spotkanie w najbliższy poniedziałek.

— Co myślisz o mojej powieści? — Daphne chciała jak najszybciej poznać jej opinię. Nie uświadamiając sobie tego jeszcze, zaczynała powoli wracać do życia i książka stała się dla niej ważna. Była ostatnią nicią łączącą ją z Johnem, a równocześnie ostatnią deską ratunku.

— Co myśle? Szczerze? — spytała Iris, a Daphne wstrzymała oddech. — Jest cudowna. Allison miała rację. Dzwoniła do mnie tego samego dnia, w którym przyniosłaś mi rękopis. Nie pamiętam, kiedy czytałam coś równie dobrego. To prawdziwy hit, Daphne. — Po raz pierwszy od trzech miesięcy Daphne rozjaśniła się w uśmiechu, a w jej oczach pojawiły się łzy, już nie rozpaczy, lecz radości i ulgi. Zarazem wróciło echo dawnego żalu, bo tak gorąco pragnęła dzielić tę chwilę z Johnem. Ale Johna już nie ma. Nie ma.

— Pomyślałam, że może mogłybyśmy spotkać się w poniedziałek na lunchu.

— Wyjeżdżam z miasta... — Przez moment Daphne miała ochotę użyć jakiegoś pretekstu, by wykręcić się od lunchu, lecz szybko się zreflektowała. Przecież już w sobotę będzie z powrotem. — Dobrze. Gdzie?

Allison uprzedziła Iris, że Daphne jest „trudna”, że przed laty, straciwszy męża i córkę, przeżyła okropny wstrząs, a także że ma syna, który przebywa w „zakładzie”. Allison była święcie przekonana, że skoro Andy urodził się głuchy, to tym samym musi być nie całkiem „normalny” pod względem psychicznym.

— W Le Cygne o pierwszej?

— Zgoda.

— W porządku. Aha. Daphne?

— Tak?

— Gratuluję.

Po skończonej rozmowie Daphne usiadła na kanapie. Trzęsły się jej kolana, serce waliło jak młotem. Jej książka się podobała... Książka, którą napisała dla Johna... Czy to nie wspaniale? A będzie jeszcze wspanialej, jeśli jakiś wydawca zechce ją kupić.

Świąteczny obiad z Andym w Dzień Dziękczynienia sprawił Daphne wiele radości, ale potem, podczas bezsennej nocy w Austrian Inn, jej myśli niespokojnie przeskakiwały z obrazu na obraz. Widziała, jak John zabiera ją z ciemnej wiejskiej drogi, jak rozpoczyna się ich wspólne życie i jak zaledwie rok później dobiega końca. Przybyło jej jeszcze jedno święto, którego odtąd będzie nienawidzić tak samo jak Bożego Narodzenia: Święto Dziękczynienia. Zauważyła, że w tym roku Andy przeżywał je podobnie. Jego oczy często zachodziły łzami i nieraz z wyrazem smutnego rozmarzenia na twarzy mówił do niej w języku migowym o Johnie. Oboje mieli wspomnienia, z którymi musieli żyć. Za dużo wspomnień — myślała, starannie omijając podczas spaceru z synem okolice ich dawnego domku. Oboje nie mogli sobie pozwolić na pograżanie się w rozmyślaniach o Johnie. Ona musiała się skupić na Andym, a chłopiec na swoich postępach w szkole.

Rozstanie znowu było dla Daphne bardzo bolesne. Miała przyjechać do niego ponownie na Boże Narodzenie.

Po pożegnaniu z synem wyruszyła na spacer po wzgórzach, gdzie przed wyjazdem do Nowego Jorku rozrzuciła prochy Johna. W pewnej chwili złapała się na tym, że rozmawia z nim na głos. Tu nikt nie mógł jej usłyszeć. Opowiadała Johnowi

o książce i o Andym, aż wreszcie, spoglądając na lasy i na zimowe niebo, wyszeptwała: — Tak mi bez ciebie źle... — Odpowiedziało jej coś nieuchwytnego, jakby echo jego myśli,

i wiedziała, że on też za nią tęskni. Jaka to łaska ze strony losu, że go poznała i pokochała. Może to docenia się dopiero wtedy, kiedy wszystko się kończy?

Wróciła do samochodu, pojechała do Nowego Jorku i późną nocą, kompletnie wyczerpana, rzuciła się na łóżko. Rano wstała w nieco lepszym nastroju. Włożyła białą wełnianą sukienkę, ciężki czarny płaszcz i botki, ponieważ na dworze panował dojmujący ziąb. Dziwnie się czuła, idąc na spotkanie z jakąś kobietą, by rozmawiać z nią o swojej książce. Pamiętała lunche wydawane przez „Collins Magazine” dla autorów. Zabawne, że tym razem ona jest też takim autorem.

— Daphne? Jestem Iris McCarthy. — Agentka była szczupła i rudowłosa. Na jej wypięgnowanych palcach połyskiwała kolekcja pięknych pierścionków.

Przez cały lunch rozmawiały o powieści Daphne. Przy kawie i kremie czekoladowym Daphne zaczęła mówić o pomysłe na drugą książkę. Wspomniała kiedyś o nim Johnowi. Był zachwycony. Iris także pomysł bardzo się spodobał, co Daphne przyjęła z nie skrywanym zadowoleniem. Zdawało jej się, że słyszy, jak John szepcze jej do ucha: „A widzisz, mała...? Wszystko ci się uda...”

Pod koniec lunchu ustaliły tytuły dla jednej i drugiej książki. Oba bardzo przypadły Daphne do gustu. Pierwszą nazwały „Lata jesieni”. Była to powieść, którą napisała w New Hampshire.

Opowiadała o kobiecie, która w wieku czterdziestu pięciu lat straciła męża, oraz o tym, jak przeżyła tę stratę. Temat był Daphne dobrze znany, a Iris zapewniła ją, że istnieje „wielkie zapotrzebowanie” na taką literaturę. Druga powieść otrzymała tytuł „Agata” i miała być historią młodej kobiety, która znalazła się w Paryżu po zakończeniu wojny. Początkowo Daphne zamierzała przedstawić ją w formie opowiadania, ale rzecz rozrastała się pod piórem i nie chciała jej na siłę skracać. Obiecała, że niezwłocznie zabierze się do opracowania szkicu, a potem przedyskutuje go z Iris.

I rzeczywiście, już po południu siedziała przy biurku nad plikiem czystych kartek, pozwalając swobodnie spływać myślom na papier. O północy skończyła pierwszą obszerną wersję szkicu, a kiedy po Bożym Narodzeniu wróciła od Andy'ego, szkic był nie tylko gotowy, ale i dopracowany w najdrobniejszych szczegółach. Dostarczywszy go do biura agentki, zaszyła się w domu i przez trzy miesiące nie odrywała się od biurka.

Zamysł powieści nie był łatwy do zrealizowania, ale Daphne wkładała w pisanie całą duszę. Była tak pochłonięta pracą, że nie trudziła się nawet odbieraniem telefonów. Jednakże któregoś kwietniowego poranka na dźwięk telefonu wstała, przeciągnęła się z westchnieniem i poszła do kuchni, gdzie znajdował się aparat.

— Daphne?

— Tak. — Zawsze korciło ją, żeby odpowiedzieć: „Nie, Dracula”. Któż inny mógłby u niej w domu odbierać telefon? Pokojówka? W dwupokojowym mieszkaniu?

Dzwoniła Iris.

— Mam dla ciebie nowiny — powiedziała. Daphne była tak zmęczona, że nic do niej nie docierało. Pisała do czwartej rano i była wykończona. — Właśnie miałam telefon z Harbor and Jones.

— I...? — serce Daphne zabiło mocniej. W ciągu ostatnich czterech miesięcy wszystko, co dotyczyło jej twórczości, nabrało ogromnego znaczenia. Myślała przy tym nie tyle o sobie samej, ile o Johnie i Andym. Bardzo chciała szybko osiągnąć cel, a zdawało jej się, że wydawnictwo zbyt długo zwleka z odpowiedzią, choć Iris zapewniała ją, iż cztery miesiące to jeszcze nic. — Spodobała im się?

— Można przyjąć, że tak — po przeciwnej stronie linii Iris uśmiechała się. — Według mnie propozycja otrzymania dwudziestu pięciu tysięcy dolarów oznacza, że im się spodobała.

Daphne stała w kuchni z otwartymi ustami, wpatrując się w telefon. — Mówisz poważnie?

— Oczywiście, że mówię poważnie.

— Och, mój Boże... Mój Boże! Iris! — Daphne z rozpromienioną twarzą spojrzała przez okno na wiosenne słońce. — Iris! Iris! — A jednak! John miał rację. Potrafiła tego dokonać! — I co mam robić dalej?

— Pójść na lunch ze swoim wydawcą. We wtorek, w Four Seasons. Pnie się pani na szczyty, pani Fields.

— Nie pleć bzdur! — Niedługo skończy trzydzieści jeden lat i oto ma się ukazać jej pierwsza książka. We wtorek w Four Seasons spotka się ze swoim wydawcą. Z tego lunchu nie zrezygnowałyby za nic w świecie.

I rzeczywiście, we wtorkowe południe zjawiała się punktualnie w umówionym miejscu w różowym kostiumie od Chanel, kupionym specjalnie na tę okazję. Wydawcą okazała się gruba jak smok kobieta z uśmiechem ludożercy, ale pod koniec spotkania Daphne już wiedziała, że będzie im się dobrze współpracowało i że mnóstwo się od niej nauczy. Siedziały obok basenu, zajmującego środek białej marmurowej sali, kelnerzy uwijali się wokół nich i Daphne nawet się nie spostrzegła, jak zaczęła mówić o swojej następnej książce. Kobieta reprezentująca Harbor and Jones szybko spytała, czy mogłaby przejrzeć to, co Daphne napisała do tej pory. W miesiąc później wydawnictwo złożyło nową ofertę. Na przełomie lipca i sierpnia Daphne skończyła książkę, po czym pojechała do New Hampshire, gdzie spędziła z Andym cały miesiąc.

13

Pierwsza powieść Daphne, dedykowana Johnowi, wyszła przed Bożym Narodzeniem, jednak jej powodzenie było raczej umiarkowane. Dopiero druga książka okazała się strzałem w dziesiątkę. Ukazała się następnej wiosny i niemal od razu trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa”. Nakład w broszurze rozkupiono za okrągłe sto tysięcy dolarów.

— Jakie to uczucie, gdy odnosi się sukces, Daff? — Allie cały czas z macierzyńską troską śledziła postępy przyjaciółki,

a w trzydzieste drugie urodziny zaprosiła ją na lunch. — Do diabła, właściwie to ty powinnaś postawić lunch! — Ale widać było, że nie przemawia przez nią zazdrość. Ostatnie wydarzenia pomogły Daphne wrócić do normalnego życia, i to w sposób, o jakim nawet nie marzyła. A jeszcze niedawno Allison bardzo się o nią bała, tak jak wszyscy znajomi Daphne, którzy wiedzieli o śmierci Jeffa i Aimee. — Nad czym teraz pracujesz? — spytała. Trzecia książka Daphne, kupiona na pniu przez Harbor and Jones, była już w przygotowaniu i zgodnie z planem miała wyjść w lecie.

— Nad czymś, co nosi tytuł „Rytm serca”.

— Tytuł mi się podoba.

— Mam nadzieję, że książka też ci się spodoba.

— Na pewno, podobnie jak wszystkim twoim czytelnikom. — Allie nie miała najmniejszych wątpliwości, że tak będzie.

— Jedno mnie tylko niepokoi w związku z tą powieścią. Chcą, żebym wyruszyła w trasę z jej promocją.

— Najwyższy czas.

— Cieszę się, że tak uważasz. Ale co ja, u diabła, mam mówić na spotkaniach, dajmy na to, w Cleveland? — Daphne nadal wyglądała niezwykle młodo i była trochę nieśmiała, więc przerażała ją perspektywa występów w telewizji.

— Opowiesz im o sobie. Tego właśnie ludzie chcą słuchać. Przynajmniej mnie zawsze zadają osobiste pytania.

— I co im powiem? Że miałam tragiczne życie? Nie chcę o tym mówić nikomu, przy żadnej okazji.

— Więc powiesz im, jak piszesz swoje książki, i takie tam rzeczy. — Allison zachichotała. — Powiesz im na przykład, z kim się spotykasz. — Od pewnego czasu Daphne znowu wyglądała tak ładnie, że Allison była pewna, iż musi mieć całe chmary adoratorów. Ponieważ Allison nie wiedziała o Daphne wszystkiego, nie mogła też wiedzieć, że od śmierci Johna w jej życiu nie było absolutnie nikogo. I że Daphne coraz częściej postanawiała w duchu, że zostanie sama. Nie zniosłaby jeszcze jednej straty, więc wolała się nie angażować. — No właśnie. Kto teraz jest twoim księciem z bajki?

Daphne uśmiechnęła się. — Andy.

— Jak on się miewa? — spytała bez szczególnego zainteresowania Allison, która nigdy nie miała męża i w gruncie rzeczy nie przepadała specjalnie za dziećmi. Czowała się w swoim żywiole w świecie dorosłych, w otoczeniu ludzi kariery i sukcesu.

— Dobrze. Jest już duży, ładny i bardzo, bardzo zapracowany.

— Nadal przebywa w szkole?

— Tak. Zostanie tam jeszcze jakiś czas. — W oczach Daphne coś zamigotało i Allison pożałowała, że w ogóle o tym wspomniała. — Mam nadzieję, że za parę lat będę mogła zabrać go do domu.

— Czy to na pewno dobry pomysł? — Allison była wstrząśnięta. Wciąż uważała, że Andy jest nienormalny. Daphne o tym wiedziała, ale nie próbowała jej przekonywać, że nie ma racji.

— Zobaczymy. Istnieją różne sprzeczne teorie na ten temat. Chciałabym posłać go tutaj do zwykłej szkoły, kiedy tylko zostanie do tego przygotowany.

— Nie będzie ci przeszkadzać w pracy?

Nie, pomyślała Daphne. Allison nigdy tego nie zrozumie. Jak ukochane dziecko mogłoby jej przeszkadzać? Przeciwnie, była pewna, że wtedy pracowałyby jeszcze więcej i lepiej. Co prawda obecność Andy'ego stanowiłaby drobną komplikację, ale o takiej komplikacji marzyła przecież od lat.

— No dobrze, powiedz mi o tej twojej promocyjnej trasie. Dokąd jedziecie?

— Dokładnie jeszcze nie wiem. Środkowy Wschód Stanów, Kalifornia, Boston, Waszyngton i tak dalej. Zupełne wariactwo. Dwadzieścia miejsc w dwadzieścia dni, bez sensu, bez jedzenia, w ciągłym strachu, że obudzisz się rano i nie będziesz pamiętać, gdzie jesteś i co to za dzień.

— Dla mnie brzmi to podniecająco.

— Nie wątpię. Dla mnie brzmi jak koszmar. — Daphne nie przestała tęsknić za życiem w małym domku w New Hampshire, choć wiedziała, że to bezpowrotnie odeszło w przeszłość. Ostatnio rozważała możliwość kupna mieszkania w rejonie Sześćdziesiątych Wschodnich.

Po lunchu wróciła do domu, do pracy nad książką, jak każdego dnia, każdej godziny nie spędzanej u Andy'ego. Miała w końcu coś, co wypełniało pustkę wokół niej. Zbudowany w wyobraźni świat, utrwalony na papierze, wypełniony ludźmi, którzy rodzili się, żyli i umierali, dając wzruszenie setkom tysięcy czytelników. No i miała milionowe nakłady swoich książek w wydaniach kieszonkowych. W jej życiu nie istniało teraz nic poza pracą, ale to przynosiło efekty. Tuż przed trzydziestymi trzecimi urodzinami powieść Daphne Fields, zatytułowana „Apacz”, znalazła się na pierwszym miejscu listy bestsellerów „New York Timesa”.

14

— Jak ona się czuje? — Barbara spojrzała zmęczonymi oczami na pielęgniarkę, która przyszła sprawdzić wykresy na ekranach monitorów. Pytanie było czysto retoryczne. Bez zmian. To niesamowite, pomyślała, że Daphne tam leży, nieruchoma, bez życia, bez śladu energii, którą tak szczerze obdarzała ludzi, kiedy tego potrzebowali. Barbara lepiej niż inni wiedziała, do jakich wysiłków Daphne jest zdolna, jakie góry potrafi przenosić, co zrobiła dla Andy'ego, ile hartu wykazała, by stanąć na nogach, a także co uczyniła dla niej, dla Barbary.

Pielęgniarka wyszła, a Barbara przymknęła powieki, wspominając swoje pierwsze spotkanie z Daphne. Było to któregoś z tych koszmarnych, wlokących się w nieskończoność dni, gdy Barbara mieszkała jeszcze z matką. Wyszła wtedy do sklepu po coś do jedzenia i po mozolnej wspinaczce schodami wróciła, zdyszana, do zaniedbanego ciasnego mieszkania.

Daphne trafiła do niej poprzez swoją agentkę, która wiedziała, że Barbara bierze do domu prace do przepisywania na maszynie, aby trochę podreperować swój skromniutki budżet, oraz by przynajmniej myślami oderwać się od rozpaczliwej rzeczywistości, w jakiej tkwiła. Przepisywanie

rękopisów było zajęciem żmudnym i męczącym, ale dawało możliwość odetchnięcia jakimś innym życiem.

Obladowana zakupami Barbara potknęła się otwierając drzwi. Uderzył ją znajomy fetor kapusty, stęchlizny i nie gojącego się ciała. A pośród tego wszystkiego siedziała Daphne, poważna, spokojna, ładnie ubrana i jakaś niesłychanie świeża. Patrząc na nią Barbara poczuła się tak, jakby otworzyła okno i zaczerpnęła czystego powietrza. Oczy obu kobiet spotkały się i twarz Barbary oblał rumieniec. Nikt tu nigdy nie przychodził, zawsze sama odbierała zlecenia w agencji literackiej.

Barbara właśnie zamierzała coś powiedzieć, gdy rozległo się tak dobrze jej znane płaczliwe zawodzenie. — Kupiłaś mi ryż...? — Barbara miała ochotę głośno krzyknąć. Powstrzymała się chyba tylko ze względu na Daphne, która uważnie obserwowała tę scenę. — Zawsze kupujesz nie to, co trzeba... — głos matki był jak zwykle okropny, zarazem napastliwy i lamentujący.

— Tak, kupiłam ryż. A teraz, mamo, może pójdziesz do siebie i położysz się na chwilę...

— A kawa?

— Kupiłam — odpowiedziała spokojnie. Stara kobieta zaczęła grzebać w dwóch wypchanych torbach, cmokając cicho z dezaprobatą. Barbarze trzęsły się ręce, gdy ściągała płaszcz. — Mamo, proszę... — spojrzała przepaszająco na Daphne, która uśmiechała się powściągliwie, dokładając starań, by zachować spokój, mimo iż już samo przebywanie w tym pomieszczeniu mogło przyprawić o klaustrofobię. Patrząc na Barbarę, czuła się jak w potrzasku. W końcu jednak stara zniknęła w pokoju na tyłach mieszkania i Daphne mogła wyjaśnić, że przyszła, ponieważ chciała specjalnie Barbarze podziękować. Rękopis wrócił do niej po dwóch tygodniach, przepisany wprost idealnie, bez najdrobniejszego błędu. Daphne dodała, że w ogóle nie pojmuje, jak Barbara to zrobiła, mając na głowie chorą matkę, która najwyraźniej czyni wszystko, by nieustannie doprowadzać ją do szału. W duchu Daphne zastanawiała się, czemu w tych okolicznościach Barbara postanowiła z nią zamieszkać.

Od tego dnia dawała Barbarze więcej pracy, prosiła ją

o przepisywanie poprawek, pobeżnych szkiców czy koncepcji następnych powieści. W końcu zaproponowała, aby Barbara przychodziła pracować do niej, do domu. Wówczas Barbara opowiedziała jej swoją historię.

Ojciec zmarł, kiedy miała dziewięć lat, i matka samotnie walczyła odtąd o utrzymanie córki. Najpierw posyłała ją do możliwie najlepszych szkół, a potem opłacała jej studia w college'u. Lecz właśnie wtedy, gdy Barbara z wyróżnieniem skończyła Smitha, matka dostała ataku, po którym nie mogła już dłużej jej pomagać. Role się odwróciły. Teraz Barbara zaczęła walczyć, by utrzymać matkę, która przez dwa lata była niemal całkowicie bezwładna. Podjęła pracę sekretarki u dwóch

prawników, a nocami pielęgnowała matkę. Na nic więcej nie zostawało jej czasu i jak wyznała Daphne, stale chodziła półprzytomna z wyczerpania. Nawiazany w college'u romans zakończył się, ponieważ młody człowiek nie potrafił sprostać temu, na co ją skazało życie. Gdy się oświadczył, Barbara ze łzami w oczach odmówiła, nie chcąc opuszczać matki. Nie stać by ich było na umieszczenie jej w zakładzie, zresztą matka błagała ją, żeby tego nie czyniła. A zostawić jej ot, tak po prostu, Barbara absolutnie nie mogła. Nie po tych wszystkich latach, które Eleanor Jarvis spędziła nie dojadając

i nie dosypiając, pracując dzień i noc na dwóch posadach, by jej córka mogła ukończyć szkoły. Dług musiał być spleciony i matka nieustannie o tym przypominała. „Po tym, co dla ciebie zrobiłam, ty chcesz mnie porzucić...” — jęczała, oskarżając Barbarę o całe zło, które na nią spadło.

Tak więc Barbara, pracując jednocześnie w firmie adwokackiej, przez dwa lata wykonywała wszystkie zabiegi wokół przykutej do łóżka matki, zanim ta jako tako doszła do siebie. Pod koniec tego okresu szef Barbary odszedł od żony i zaczął ją darzyć swoimi względami. Znał jej sytuację i był ogromnie współczujący. Nie mógł spokojnie patrzeć, jak taka bystra dziewczyna marnuje sobie życie. Mając dwadzieścia dziewięć lat Barbara wyglądała, zachowywała się i mówiła jak staruszka.

Namawiał ją do wychodzenia z domu, ilekroć tylko okoliczności na to pozwalały. Przyjeżdżał po nią i gawędził z jej matką. Za każdym razem gdy Barbara opuszczała mieszkanie w jego towarzystwie, matka gwałtownie protestowała, lecz on nie ustępował, tłumacząc cierpliwie, że Barbara powinna mieć z życia coś dla siebie. Spędzała z nim więc tyle czasu, ile mogła, próbując jakoś udobruchać matkę. Romans, który był dla niej jedynym promykiem słońca, trwał sześć miesięcy i zakończył się nagle i brutalnie. W Boże Narodzenie Stan oznajmił jej, że wraca do żony. Ponoć przechodziła kryzys, było jej ciężko i nie mogła poradzić sobie z dziećmi.

— Mam obowiązki, Barbaro. Muszę jej pomóc... Nie wolno mi dopuścić, aby ze wszystkim sama się borykała... — usprawiedliwiał się żarliwie, a Barbara przyglądała mu się z gorzkim uśmiechem i załzawionymi oczami.

— A co z tobą? Z twoim własnym życiem? Pamiętasz, o czym mi mówiłeś? Że człowiek musi być sobą, a nie tańczyć tak, jak mu ktoś zagra.

— To wszystko prawda. Niczego nie odwołuję. Ale, Barb, musisz zrozumieć, że tu chodzi o coś innego. Ona jest moją żoną. Ciebie trzyma za gardło egoizm niemądrej, apodyktycznej matki. Ty na pewno masz prawo do własnego życia. Lecz moje życie jest także życiem Georgii... Nie wyrzuca się ot tak, przez okno, dwudziestu dwóch lat — tłumaczył.

A niby co ona miała zrobić ze swoją matką? Wyjść i więcej nie wrócić? Wygadywał bzdury i Barbara jasno zdawała sobie z tego sprawę. Następnego dnia wprowadził się do żony. Barbara

zaraz po Nowym Roku rzuciła pracę, a dwa tygodnie później odkryła, że jest w ciąży. Zastanawiała się przez tydzień nad sytuacją, w jakiej się znalazła, cichutko szlochając w poduszkę za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju. Myślała, że ją kocha, że któregoś dnia się z nią ożeni... a ona wreszcie uwolni się od matki. A teraz? Co, do diabła, ma teraz począć? Sama nie poradzi sobie z dzieckiem. Z drugiej strony usunięcie ciąży byłoby zaprzeczeniem wszystkiego, w co wierzyła. Koniec końców postanowiła do niego zadzwonić. Spotkali się na lunchu. Od pierwszej chwili traktował ją z lekką rezerwą

i zachowywał się jak szalenie zajęty biznesmen.

— Dobrze się czujesz? — zapytał. Skinęła głową, choć czuła się źle, bo miała silne mdłości. — A twoja matka?

— Także. Choć doktor niepokoi się o jej serce. — Tak przynajmniej matka mówiła Barbarze zawsze, gdy ta chciała pójść do kina. Teraz Barbara nie wychodziła już z domu. Nie miała dokąd, a poza tym zbyt kiepsko się czuła. Stale było jej niedobrze. — Muszę ci coś powiedzieć.

— Uhm? — natychmiast wyrosła między nimi ściana, jak gdyby przeczuwał, co usłyszy. — Czy nie dostałaś czeku? — Uzgodnili przedtem, że lepiej będzie jeśli to ona, z własnej inicjatywy, odejdzie z firmy, a on, spodziewając się, że w ten sposób okupi swoją winę, załatwił jej hojną odprawę.

„Owszem, ty skurwysynu — powiedziała sobie w duchu Barbara — dostałam czek, tylko że tu nie chodzi o pieniądze. Chodzi o moje życie. I o twoje dziecko.”

— Jestem w ciąży — oświadczyła, nie próbując się więcej silić na zakomunikowanie mu tego w bardziej oględny sposób. Zresztą nie zależało jej na tym. Niech szlag trafi Georgię i jej życiowe kryzysy. Ten był ważniejszy. W każdym razie dla Barbary.

— Mamy więc pewien problem — starał się, by zabrzmiało to gładko, ale jego oczy zdradzały zdenerwowanie.

— Nie mylisz się? Byłaś u lekarza?

— Tak.

— Jesteś pewna, że to ze mną? — Znał jej życie, a mimo to nawet się nie zająknął, zadając to pytanie. W oczach Barbary pojawiły się łzy.

— Wiesz co, Stan? Jesteś kupą gówna. Naprawdę uważasz, że sypiałam jeszcze z kimś innym?

— Przepraszam. Myślałem tylko...

— Nic nie myślałeś. Chciałeś się po prostu z tego wykręcić.

Przez chwilę nie odpowiadał. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos zabrzmiał odrobinę łagodniej, ale Stan nie wyciągnął ręki, by chociaż dotknąć jej dłoni. — Znam kogoś, kto...

— Barbara aż się skurczyła w oczekiwaniu tego, co miało nastąpić.

— Nie wiem, czy mogłabym to zrobić... Nie... nie...

— zaczęła płakać na nic nie zważając. Obejrzał się niespokojnie przez ramię.

— Posłuchaj, Barbaro, musisz myśleć trzeźwo. Nie masz wyboru — nie powiedział nic więcej, tylko napisał jakieś nazwisko na kartce papieru, wypisał czek na tysiąc dolarów, po czym podał jej jedno i drugie. — Zadzwoń pod ten numer i powołaj się na mnie.

— Co? Masz specjalną umowę? — wywnioskowała, że coś takiego musiało mu się już przytrafić. Z rozpaczą spojrzała przez stół. Mężczyzna siedzący naprzeciw niej nie był tym, któremu wierzyła... tym, o którym myślała, że ją uratuje.

— Posłałbyś do niego Georgię?

Przez długą chwilę jego twarz zachowywała kamienny wyraz.

— W zeszłym roku wysłałem do niego córkę. Spuściła oczy i potrząsnęła głową. — Bardzo mi przykro.

— Mnie także — i to były ostatnie dobre słowa, jakie od niego usłyszała. Po paru sekundach wstał. — Barbaro, zrób to szybko. Miej to za sobą. Poczujesz się o wiele lepiej.

Nie ruszając się z miejsca, spojrzała na niego. — A co będzie, jeśli tego nie zrobię?

— O czym ty, do cholery, mówisz? — prawie krzyknął. - Chodzi mi o to, co będzie, jeśli zdecyduję się urodzić.

Mylisz się, mam jeszcze wybór. Nie muszę usuwać ciąży.

— Jeśli tego nie zrobisz, będzie to wyłącznie twoja decyzja.

— Chcesz, żebym w żadnym wypadku do ciebie nie dzwoniła? — Teraz go nienawidziła.

— Chcę powiedzieć, że nawet nie mam pewności, czy to moje dziecko. A te tysiąc dolarów to ostatnie moje pieniądze, jakie widziałas.

— Naprawdę? — podniosła czek, przyjrzała mu się i zanim mu go oddała, starannie przedarła go na pół. — Dziękuję ci, Stan. Nie sądzę, żebym ich potrzebowała. — Podniosła się gwałtownie, minęła go bez słowa i wyszła z restauracji.

Całą drogę do domu płakała. W nocy matka siłą wdarła się do jej sypialni. — Porzucił cię, tak? Wrócił do żony! — Było w niej tyle zła, że wręcz rozkoszowała się tą chwilą. — Wiedziałam! Mówiłam ci, że on nie jest nic wart... Pewnie przez cały czas żył ze swoją żoną.

— Mamo, zostaw mnie... Proszę... — położyła się na łóżku i zamknęła oczy.

— A ty co? Jesteś chora? — wrzasnęła. I nagle odgadła.

— O mój Boże, jesteś w ciąży... Prawda? Jesteś? — stanęła nad Barbarą, kipiąc ze złości.

Barbara spojrzała na matkę z żalonym wyrazem w oczach.

— Tak, jestem.

— O Boże...! Nieślubne dziecko... Czy wiesz, co ludzie

o tobie powiedzą, ty mała dziwko? — matka wyciągnęła rękę i uderzyła ją w twarz. W tym momencie w Barbarze eksplodowała cała nagromadzona rozpacz, dojmujące poczucie krzywdy, opuszczenia i bezradności.

— Daj mi spokój, do cholery! Tobie przydarzyło się to samo z moim ojcem!

— Nieprawda... Byliśmy zaręczeni... a on nie był żonaty. Ożenił się ze mną.

— Ożenił się z tobą, bo byłaś w ciąży. I nienawidził cię za to, że złapałaś go w pułapkę. Słyszałam, co do ciebie mówił, kiedy się kłóciliście. Nienawidził cię... I zawsze miał kogoś innego... — matka uderzyła ją znowu i Barbara ze szlochem zwała się na łóżko.

Przez następne dwa tygodnie prawie się do siebie nie odzywały, jeśli nie liczyć chwil, w których matka przychodziła dręczyć Barbarę. — To dziecko cię zrujnuje... Będiesz okryta hańbą... Nikt nigdy nie da ci pracy.

Najgorsze, że Barbara obawiała się tego samego. Odkąd odeszła z biura Stana, nie mogła znaleźć posady. Od ubiegłego lata liczba bezrobotnych niebotycznie wzrosła i nawet dyplom summa cum laude college'u Smitha nie otwierał przed nią żadnych drzwi. A do tego miała mieć dziecko.

Ostatecznie pozostało jej tylko jedno: duma nie pozwoliła jej zwrócić się do Stana po adres lekarza, do którego ją wysłał, zadzwoniła więc do koleżanki, zdobyła nazwisko innego ginekologa i potajemnie poddała się zabiegowi w New Jersey. Do domu wracała metrem, półprzytomna, cały czas obficie krwawiąc, aż w końcu zemdląła na peronie swojej stacji. Z izby przyjęć w Szpitalu Roosevelta wezwano jej matkę, która jednak wymówiła się od przyjazdu. Kiedy trzy dni później Barbara wróciła do domu, matka wypowiedziała tylko dwa słowa: — Morderczyni dzieci.

Od tego momentu ich wzajemne stosunki stały się tak nieznośne, że Barbara wreszcie zdecydowała się wyprowadzić. Ale właśnie wtedy matka dostała kolejnego ataku i znowu nie mogła zostać sama. Barbarze pozostało tylko nie spełnione marzenie o własnym życiu i własnym mieszkaniu. Otrzymywała za to zasiłek dla bezrobotnych, ponieważ Stan zgodził się, by oświadczyła, że została zwolniona. Matka miała skromną rentę, tak że z wielką biedą wiązały jakoś koniec z końcem. Przez sześć miesięcy Barbara nie odstępowała matki, która ani na moment nie pozwoliła jej zapomnieć o usunięciu ciąży, twierdząc, że dostała ataku, bo córka zawiodła ją jako człowiek. Nie uświadamiając sobie tego nawet, przez długi czas Barbara była w głębokiej depresji, aż wreszcie udało jej się dostać pracę, też w firmie adwokackiej.

Tym razem nie było żadnego romansu, żadnych mężczyzn, była tylko matka. Barbara zerwała ostatnie kontakty z koleżankami z college'u, nie fatygowała się nawet, by odpowiadać na ich telefony. Cóż mogła mieć z nimi wspólnego? Wszystkie powychodziły za męża, miały dzieci albo przynajmniej były zaręczone. A ona? Przeżyła jeden romans z żonatym mężczyzną, usunęła ciążę i

pracowała na dwóch posadach: jako sekretarka i na okrągło jako pielęgniarka swojej matki, która i tak bez ustanku narzekała, że mają za mało pieniędzy. Firma Barbary zatrudniała jeszcze drugą sekretarkę i ta zasugerowała jej, żeby podzwoniła po agencjach literackich i zabrała się nocami do przepisywania na maszynie rękopisów. Ponoć przynosiło to całkiem dobre zarobki. Barbara posłuchała jej rady i w taki właśnie sposób dziesięć lat później odnalazła ją Daphne Fields.

Barbara miała już wtedy trzydzieści siedem lat i była zwiędniętą, samotną, znerwicowaną starą panną. Niedgdyś przystojna, dobrze zbudowana, wysportowana młoda kobieta, przewodząca starszej grupie w Smith College, absolwentka summa cum laude nauk politycznych, teraz przepisywała cudze rękopisy w mieszkanku na czwartym piętrze bez windy, pielęgnując coraz bardziej niezdolną matkę, nienawidzącą ją za to, czym się stała, oraz za brak ducha i życiowego entuzjazmu. A przecież to właśnie ona doprowadziła córkę do takiego stanu, to głównie przez nią Barbara nigdy nie podźwignęła się po tragicznych przejściach.

Barbara od pierwszej chwili była zafascynowana Daphne, ale nie miała śmiałości pytać o jej prywatne życie. W pewnych osobistych sprawach Daphne zachowywała najdalej idącą powściągliwość, jakby strzegła tysiąca sekretów. Dopiero po upływie roku, jaki upłynął od zawarcia znajomości, kiedyś późnym wieczorem, gdy Barbara przyniosła jej do domu przepisany rękopis, obie kobiety otworzyły się przed sobą. Daphne, wysłuchawszy w skupieniu smutnej historii Barbary, w której ta nie pominęła ani usunięcia ciąży, ani męczarni, jaką było dla niej przykucie do kalekiej matki, opowiedziała o Jeffie i Aimee, a także o Andym. Siedziały na podłodze w mieszkaniu Daphne, sęczyły wino i rozmawiały do samego świtu. Teraz, patrząc na nieruchomą Daphne leżącą na szpitalnym łóżku, gdy zaledwie przed paroma dniami była tak pełna życia, Barbara miała wrażenie, jakby ta rozmowa odbyła się wczoraj.

Zapoznawszy się z sytuacją Barbary, Daphne kategorycznie orzekła, że Barbara musi rozstać się z matką.

— Do cholery, nie widzisz, że to dla ciebie śmierć?!

— zawołała z emfazą, celując w nią wskazującym palcem. Obu szumiało już trochę w głowach.

— Nie mogę tego zrobić, Daff! Ona prawie nie chodzi, jest chora na serce, miała trzy zapaści...

— Oddaj ją do zakładu. A może cię na to nie stać?

— Byłoby mnie stać, gdybym dalej harowała jak wół, ale ona mówi, że wtedy się zabije. A ja tyle jej zawdzięczam...

— Barbara cofnęła się do przeszłości. — Dzięki niej skończyłam szkołę, a nawet Smitha.

— Za to teraz cię zamecza. Czy chcesz poświęcić jej resztę swojego życia?

— Moje życie już się nie liczy.

— Nieprawda — odpowiedziała stanowczo Daphne. Barbara popatrzyła na nią, jakby bardzo pragnęła jej uwierzyć, ale minęło już tyle lat, odkąd ostatni raz miała odwagę pomyśleć o sobie. Matka zdławiła w niej wszystkie nadzieje. — Możesz zrobić wszystko, czego naprawdę będziesz chciała...

Właśnie tak w ich domku w New Hampshire mówił kiedyś John. I nagle Daphne opowiedziała Barbarze również o nim. W ten sposób Barbara jako pierwsza i jedyna ze wszystkich ludzi, z którymi Daphne stykała się w Nowym Jorku, dowiedziała się, że w jej życiu istniał ktoś taki jak John. Gdy noc dobiegła końca, nie miały już przed sobą żadnych tajemnic. Odtąd często wracały w rozmowach do Andy'ego. Barbara przekonała się, iż dla Daphne Andy był wszystkim, a każda wzmianka o nim przywracała blask jej oczom.

— To szczęście dla ciebie, że go masz. — Barbara spoglądała na Daphne z zazdrością. Jej własne dziecko kończyłoby już dziesiąty rok. Stale o tym myślała.

— Wiem. Tylko, że ja „mam go” i nie mam — przez twarz Daphne przemknął cień. — Jest przecież w szkole. A ja żyję tutaj...

W głębi duszy Barbara zaczęła podejrzewać, że Daphne wcale nie jest lepiej na świecie niż jej. Miała syna, miała satysfakcjonującą pracę, ale nic poza tym. Po śmierci Johna postanowiła nie wiązać się z żadnym mężczyzną i z bezwzględną konsekwencją tego przestrzegала. W ostatnich latach była wielokrotnie zapraszana to przez kolegów Jeffa, to przez pewnego pisarza poznanego u agentki, to przez ludzi, których spotykała z okazji ukazywania się swoich książek, jednakże wszystkim zawsze odmawiała. W gruncie rzeczy była równie samotna jak Barbara. Połączyło to obie kobiety szczególną więzią. Barbara zwierzała się Daphne jak dotąd nikomu, a od kiedy zaczęła pracować u niej w domu, często wychodziły razem na lunch bądź na zakupy w sobotnie popołudnia.

— Wiesz co, Daphne? Jesteś wariatka.

— Też mi nowina — Daphne uśmiechnęła się do swojej wysokiej towarzyszki. Mijały właśnie malownicze sztuczne ruiny w parku. Barbarze udało się wyrwać od matki na całe popołudnie, więc postanowiły spędzić je razem.

— Mówię poważnie. Jesteś młoda i cudowna. Mogłabyś mieć każdego faceta. Znajdujesz przyjemność w chodzeniu na zakupy z kimś takim jak ja?

— Jesteś moją przyjaciółką, którą bardzo lubię. I nie chcę żadnego faceta.

— Właśnie dlatego jesteś wariatką.

— Dlaczego? Wielu ludzi nigdy nie miało tego, co mnie dane było przeżyć — przestraszyła się, kiedy to powiedziała. Przypomniała sobie bowiem, jak puste było życie Barbary.

— Nic się nie stało — Barbara popatrzyła na nią z ciepłym uśmiechem, z którym wyglądała dużo młodziej. — Wiem, co miałaś na myśli. Ale to nie powód, żeby rezygnować.

— Właśnie że to jest powód. Nigdy nie będzie już tak, jak było z Jeffem i z Johnem. Czemu godzić się na coś gorszego?

— To niezbyt rozsądne...

— W moim przypadku najzupełniej rozsądne. Takich mężczyzn nie spotyka się bez końca.

— Jeśli nie takich samych, to może innych? Niekoniecznie od razu gorszych. Czy rzeczywiście przez następne pięćdziesiąt lat chcesz żyć tylko wspomnieniami? — Ta wizja była dla Barbary przerażająca. — To naprawdę szaleństwo.

Jej samej nie wydawało się szaleństwem, że swoje życie poświęciła matce, której nienawidziła. Ale na siebie patrzyła inaczej. Daphne była delikatna, prześliczna i Barbara od początku wyczuwała, że odniesie wielki sukces. A na sobie już dawno położyła krzyżyk. I tak w ogóle, przynajmniej we własnym mniemaniu, należała do zupełnie innego świata.

Daphne jednak nie traciła nadziei, że jej przyjaciółka zrobi wreszcie coś, by odmienić swoje życie, i uporczywie ją do tego zachęcała.

— Czemu, do diabła, nie wyprowadzisz się wreszcie stamtąd?

— Dokąd? Do namiotu w Central Parku? I co z matką?

— Oddaj ją do zakładu — ten refren powtarzał się we wszystkich ich rozmowach. Ale jeszcze przez jakiś czas sprawy biegły po staremu. Dopiero gdy Daphne kupiła sobie nowe mieszkanie przy Sześćdziesiątej Dziewiątej Wschodniej, przyszedł jej do głowy pomysł, który z wypiekami na twarzy niezwłocznie przedstawiła Barbarze.

— Chryste, Daphne, nie mogę...

— Możesz. — Daphne zaproponowała, żeby Barbara przeprowadziła się do jej dawnego mieszkania.

— Nie stać mnie na utrzymanie dwóch domów i...

— Daj mi skończyć — przerwała Daphne i oświadczyła Barbarze, że chce zatrudnić ją u siebie na pełnym etacie, z więcej niż przyzwoitą pensją, na co przecież swobodnie mogła sobie pozwolić.

— Pracowałamby dla ciebie? Tylko dla ciebie? — oczy Barbary rozbłysły się jak niebo w lecie. — Naprawdę?

— Jak najbardziej. I nie wyobrażaj sobie, że robię to, aby ci wyświadczyć przysługę. Do diabła, jesteś mi po prostu potrzebna. Prócz ciebie nie mam nikogo, kto potrafiłby porządnie poprowadzić moje sprawy. I nie przyjmę do wiadomości twojej odmowy.

Barbarze serce śpiewało ze szczęścia, a równocześnie ogarnął ją strach. Co będzie z matką?

— Sama nie wiem, Daff. Muszę się zastanowić.

— Ja zastanowiłam się już za ciebie — Daphne uśmiechała się zadowolona. — Nie dostaniesz tej pracy, dopóki się nie przeprowadzisz. I co ty na taki warunek?

Obie wiedziały, że to będzie trudne, ale po miesiącu bicia się z myślami Barbara zebrała się jednak na odwagę. Daphne wlała w nią dwa potężne drinki, zawiozła ją taksówką pod dom, uściskała, po czym wysadziła z samochodu, upominając, by wytrwała w swoim postanowieniu. — To twoje życie, Barbaro. Nie zmarnuj szansy. Twojej matki w ogóle nie obchodzi, co z tobą będzie, a ty swój dług spłaciłaś już dawno. Pamiętaj o tym. Co jeszcze możesz poświęcić? Co chcesz poświęcić?

Ale Barbara nie potrzebowała już dodatkowej zachęty. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów dostrzegła światelko na końcu tunelu i ruszyła w jego kierunku na nic się więcej nie oglądając. Wbiegła na górę i oświadczyła matce, że się wyprowadza i że nie powstrzymają jej ani wyrzuty, ani przeklinanie, ani nawet próby szantażu.

W następnym miesiącu matka przeniosła się do domu opieki i choć nigdy się do tego Barbarze nie przyznała, było jej tam bardzo dobrze. Znalazła się wśród rówieśników i zyskała grono wdzięcznych słuchaczy, przed którymi mogła się uzalać na swoją wyrodną córkę. A Barbara, jak tylko nowe mieszkanie Daphne było gotowe, wprowadziła się do tego, które jej chlebodawczyni zajmowała do tej pory, z uczuciem, jakby wychodziła z więzienia na wolność. Jeszcze dziś uśmiechała się do siebie na wspomnienie tych pierwszych dni. Rankami budziła się z lekkim sercem, swobodna jak ptak, robiła sobie kawę w małej słonecznej kuchence, po czym znowu wyciągała się na łóżku mając wrażenie, że cały świat należy do niej. Dawny pokój Andy'ego przerobiła na gabinet, z którego korzystała, gdy zabierała pracę do domu, co zdarzało się nader często. Pracowała u Daphne codziennie od dziesiątej rano do piątej po południu, a wychodząc, zawsze brała jeszcze ze sobą stopy papierów.

— Na miłość boską, czy ty naprawdę nie masz nic lepszego do roboty? Czemu nie zostawisz tego do jutra?! — wołała Daphne, sama siedząc przy biurku i przygotowując się do całonocnego pisania. Pod tym względem dobrały się jak w korcu maku. Cóż, żadna z nich nie miała przecież normalnego życia, a jedynym celem, jaki stawiała sobie Barbara, było odwdzińczyć się Daphne za to, że pomogła jej uwolnić się od matki. Daphne zdawała sobie jednak sprawę, czym to grozi. Obawiała się, że Barbara poświęci się teraz bez reszty swojej pracodawczyni.

— Przestań mnie traktować jak matkę! — strofowała ją dobrotliwie, gdy Barbara wkraczała do pokoju, niosąc tacę z lunchem.

— Och, daj spokój.

— Serio, Barb. Przez całe życie zajmowałaś się kimś innym. Raz dla odmiany zajmij się sobą. Rób to, na co masz ochotę.

— Ależ ja to robię. Wiesz przecież, że lubię tę pracę, chociaż jako szefowa jesteś najgorszym potworem. — Daphne uśmiechała się do niej z roztargnieniem i wracała do pisania.

Miała zwyczaj siedzieć przy maszynie od południa do trzeciej, czwartej nad ranem.

— Jak ty to, u licha, wytrzymujesz? — Barbara pokręciła w zadumie głową. Daphne odrywała się od biurka tylko po to, żeby napić się kawy albo pójść do łazienki. — Zrzuńujesz sobie zdrowie.

— Nie bój się. Kiedy pracuję, jestem szczęśliwa.

„Szczęśliwa” było ostatnim słowem, jakiego użyłaby Barbara w odniesieniu do Daphne. W jej spojrzeniu zawsze czaiło się coś, co zdradzało, że szczęście odeszło od Daphne już lata temu i wracało tylko w krótkich chwilach odwiedzin u Andy'ego. Na dnie jej oczu wciąż tliło się niewygasłe wspomnienie przeżytych tragedii i ból, spowodowany utratą ukochanych ludzi, nigdy tak naprawdę jej nie opuścił. Radością i satysfakcją czerpaną z pracy próbowała oddzielić się od duchów przeszłości, które nieustannie jej towarzyszyły. I chociaż rzadko mówiła na ten temat, nie potrafiła tego ukryć.

Czasami, kiedy była sama w swoim gabinecie, siadała i spoglądała w okno, a jej myśli uciekały daleko... Do New Hampshire i do Johna albo do miejsc, w których przebywała z Jeffem... Niekiedy też, mimo żelaznej dyscypliny, jaką sobie narzuciła, oczy zachodziły jej łzami na wspomnienie Aimee. Jednak w stanie przygnębienia nikt jej nie widywał. Dokładała wszelkich starań, żeby przypadkiem czymś się nie zdradzić. Tylko z Barbarą dzieliła się najskrytszymi myślami, opowiadała jej różne epizody ze swego życia i o tym, jak bardzo drogie jest jej ich wspomnienie, mówiła z nią o Johnie, Jeffie, nawet o Aimee. I zawsze wtedy sprowadzała rozmowę na Andy'ego, nie tając ogromnej tęsknoty za nim.

Jej życie toczyło się teraz zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy mieszkała z synkiem. Wypełniała je praca, sukcesy, wydawcy, czytelnicy, spotkania z agentką. Daphne, z czego przedtem nie zdawała sobie sprawy, nie brakowało zmysłu do interesów, swoje rzemiosło wykonywała bardzo dobrze, miała lekkie pióro i potrafiła wczuć się w oczekiwania odbiorców. Jediną ciemną stroną tego wszystkiego była konieczność pokazywania się publicznie z okazji promocji kolejnej książki. Robiła to od czasu do czasu, nie znosiła jednak, kiedy ktoś próbował wdzierać się w jej osobiste sprawy, a zwłaszcza gdy pytano ją

o Andy'ego. Poza Andym w jej prywatnym życiu i tak nie było niczego, co pragnęłaby wyciągać na światło dzienne, i uważała, że książki same mówią o niej dostatecznie dużo. Skądinąd rozumiała, iż dla jej wydawców reklama jest niezwykle ważna.

Problem odżył z całą ostrością, gdy poproszono ją o wzięcie udziału w telewizyjnym „Conroy Show” w Chicago. Daphne siedziała zadumana, obgryzając koniec ołówka i nie mogąc się zdecydować.

— No jak, Daff? Pojedziesz do Chicago? — przez cały ranek urywały się telefony i Barbara musiała w końcu dać jakąś odpowiedź.

— Powiedzieć ci prawdę? — Daphne uśmiechnęła się, masując dłonią kark. Poprzedniego dnia pisała do późnej nocy i czuła się zmęczona, choć był to ten rodzaj zmęczenia, który lubiła. Praca nad książką szła dobrze i jak zawsze czerpała przyjemność z tego, co robiła. Nie zwracała nawet uwagi na bóle w plecach czy ramionach. — Nie, nie chcę jechać do Chicago. Zadzwoń do George'a Murdocka w Harbor

i zapytaj, czy to rzeczywiście ważne. — Ale z góry znała odpowiedź. Weszli właśnie w okres między ukazaniem się jednej książki a drugiej, lecz reklama zawsze miała jednakowo duże znaczenie, a „Conroy Show” stanowił dla wydawcy nie lada gratkę.

Barbara wróciła pięć minut później z niewesołym uśmiechem.

— Mam ci powtórzyć dosłownie, co powiedzieli?

— Nie, dziękuję.

— Tak też myślałam. — Barbara przyglądała się, jak Daphne siada z westchnieniem w wygodnym fotelu i opiera głowę o miękką białą poduszkę. — Dlaczego tak strasznie ciężko pracujesz, Daff? Nie możesz w ten sposób uciekać od ludzi do końca życia.

Daphne nadal wyglądała jak młoda dziewczyna, a zarazem promieniała nieprzeparty urokiem kobiecości, tym silniejszym, im bardziej starała się go lekceważyć. Okazywała dobroć i zyczliwość każdemu, kto pojawił się na jej drodze: wydawcom, agentce, sekretarce, kilku starannie dobranym przyjaciółom, synowi, pracownikom jego szkoły i innym dzieciom. Była wyrozumiała dla wszystkich z wyjątkiem siebie samej. Sobie stawiała mordercze wymagania i wytyczała cele, których osiągnięcie przekraczało ludzkie możliwości. Pracowała po piętnaście godzin na dobę, a mimo to zawsze była cierpliwa, współczująca, pełna ciepła. Nigdy nie pozwoliła się nikomu zbyt blisko do siebie zbliżyć. Za wiele wycierpiała, by nie otaczać się szczelnym murem, co wypominała jej Barbara. Teraz, spoglądając na nieruchomą postać na szpitalnym łóżku, Barbara usłyszała echo słów Daphne wypowiedzianych owego dnia.

— Ja nie buduję żadnych murów. Ja robię karierę. To coś całkiem innego.

— Naprawdę? Ja nie widzę w tym żadnej różnicy.

— Być może — z Barbarą Daphne zawsze była szczerą.

— Ale mój cel jest szlachetny. — Gromadziła fundusze dla Andy'ego. Któregoś dnia będzie potrzebował pieniędzy, a ona pragnęła przynajmniej pod tym względem zapewnić mu łatwe życie. I teraz, jak od lat, wszystko co robiła, kręciło się wokół syna.

— Znam tę śpiewkę na pamięć. Zrobiłaś dla Andy'ego więcej, niż należało. Mnie ciągle mówisz, żebym pomyślała o sobie. Dlaczego sama się do tego nie stosujesz?

— Myślę o sobie.

— Akurat. Kiedy to ma miejsce?

— Codziennie rano, przez całe dziesięć sekund, kiedy myję twarz — uśmiechnęła się do swojej powiernicy i przyjaciółki. Były jednak pewne sprawy, o których Daphne nie lubiła mówić nawet z Barbarą. — Zatem koniecznie chcą, żebym pojechała do Chicago?

— Zdołasz oderwać się od książki?

— Jeśli nie da się tego uniknąć...

— A więc jedziesz?

— Nie wiem — Daphne zmarszczyła brwi i zanim odwróciła się do Barbary, na moment zapatrzyła się w okno.

— Denerwuje mnie perspektywa tego show. Nigdy w czymś takim nie uczestniczyłam i nie mam na to najmniejszej ochoty.

— Dlaczego? — spytała Barbara, choć sądziła, że zna powód. Bob Conroy stosował najróżniejsze podstępne chwytaki i potrafił być niesłychanie dociekliwy. Dysponował armią sprytnych pomocników, zbierających dla niego informacje, a i sam miał talent wyławiania najdrobniejszych szczegółów z przeszłości swoich rozmówców, którymi ich zaskakiwał na antenie ogólnokrajowej telewizji. Barbara domyślała się, że Daphne obawia się, by również z nią nie postąpił w ten sposób. Wszelkimi siłami broniła się dotąd przed ujawnieniem historii swego życia. Strzegła pamięci Jeffa i Aimee, a już o spokój Andy'ego była gotowa walczyć jak lwica. Za nic nie chciała dopuścić, by stał się przedmiotem prostackiej ciekawości albo plotek. Żył szczęśliwie, odizolowany w Howarth School w New Hampshire, nie mając pojęcia, jak sławną osobą jest jego matka. — Boisz się Conroya, Daff?

— Szczerze mówiąc, tak. Jest tyle rzeczy, które pragnę zachować wyłącznie dla siebie — patrzyła na Barbarę wielkimi, smutnymi i bardzo niebieskimi oczami. — Moje życie to moja prywatna sprawa. Wiesz przecież, co o tym myślę.

— Tak, ale na dłuższą metę nie uda ci się utrzymać w sekrecie całej twojej przeszłości. Zresztą, czy przedostanie się czegoś do publicznej wiadomości byłoby aż tak okropne?

— Dla mnie okropne. Ani ja, ani Andy nie chcemy niczyjej litości. Nie potrzebujemy jej — wyprostowała się w fotelu. Na jej twarzy odmalowało się zniecierpliwienie i upór.

— Twoi czytelnicy jeszcze goręcej by cię kochali. — Barbara najlepiej wiedziała, jak bardzo już ją kochali. Odpowiadała wszak na niezliczone listy, które Daphne dostawała od wielbicieli jej twórczości. Daphne wkładała w to, co pisała, całą swoją duszę, dzięki czemu czytelnicy odnosili wrażenie, że znają ją jak kogoś, z kim łączy ich bliska zażyłość. Tak naprawdę znali ją lepiej, niż to leżało w jej zamiarach. Czerpiąc natchnienie z własnych przeżyć sprawiała, iż jej powieści stawały

się bardzo autentyczne i przekonujące, choć zawsze utrzymywała, że ich treść jest najczystsza fikcją.

— Nie chcę, żeby kochali mnie. Chcę, żeby kochali moje książki.

— To chyba na jedno wychodzi.

Daphne w milczeniu potrząsnęła głową, po czym podniosła się z westchnieniem. — Zdaje się, że nie mam wyboru. Jeśli nie pojedę, George Murdock nigdy nie przestanie mi tego wypominać. Już w zeszłym roku usiłowano mnie wepchnąć do tego programu — spojrzała na Barbarę i uśmiechnęła się. — Masz ochotę pojechać ze mną? W Chicago są całkiem niezłe sklepy.

— Zostaniemy tam na noc?

— Jasne. — Teraz już w prawie każdym większym mieście Daphne miała swój ulubiony hotel. Zawsze były to hotele najcichsze, prowadzone w tradycyjny sposób i najelegantsze. Hotele, w których wdowy nosiły sobolowe futra, a ludzie mówili przyciszonymi głosami. Zamawiała jedzenie do pokoju i korzystała z wszelkich wygód, na jakie, dzięki swej pracy, mogła sobie pozwolić. Szybko przyzwyczała się do komfortu i nie kryła, że sukces ma swoje powaby, które dają jej mnóstwo przyjemności. Nie musiała już martwić się o pieniądze, wiedziała, że przyszłość Andy'ego jest zabezpieczona. Nie żałowała sobie na drogie stroje, ale równocześnie mądrze inwestowała, kupując cenne antyki i obrazy, ilekroć trafiła się okazja. A przy tym nie było w niej afekcji, niczego nie robiła na pokaz, nie wykorzystywała pieniędzy do chełpienia się swoim powodzeniem, nie wydawała szumnych przyjęć, nie próbowała też olśnić znajomych. Zachowywała się bardzo naturalnie, z prostotą i umiarem. Zabawne, ale wiedziała, że taką właśnie chcieliby ją widzieć Jeffrey i John. Wyrosła na „grzeczną dziewczynkę” i świadomość tego sprawiała jej głęboką radość.

— Masz wystąpić o dziesiątej. Wolisz jechać rano czy po południu? Powinnaś trochę odpocząć i zjeść coś przed wejściem do studia.

— Dobrze, mamusiu.

— Och, przestań — Barbara szybko zaznaczyła coś w notesie i zniknęła, a Daphne wróciła do biurka i ze zmarszczonym czołem utkwiała wzrok w maszynie do pisania. Wcześniej wyznała Barbarze, że ma jakieś mgliste, niedobre przecucia w związku ze swoim udziałem w programie, na co Barbara odpowiedziała, że jest niemądra. Teraz, siedząc w szpitalu i patrząc na twarz Daphne, tak strasznie zmienioną po wypadku, Barbara przypominała sobie tamtą scenę. Wydało jej się, że od ich bytności w Chicago upłynęły całe lata.

Punktualnie o dziewiątej trzydzieści Daphne, w towarzystwie Barbary, zjawiała się w studiu. Włożyła prostą, jedwabną beżową sukienkę, włosy upięła w wytworny kok. W uszach miała kolczyki z perłami, a na palcu piękny pierścionek z dużym topazem, kupiony jakiś czas temu u

Cartiera. Wyglądała jak dobrze się prezentująca kobieta sukcesu, w której zachowaniu nie było nawet śladu ostentacji. Barbara natomiast miała na sobie jeden ze swoich nieśmiertelnych granatowych kostiumów. Daphne często podśmiewała się z niej, że takich kostiumów, nie różniących się od siebie najmniejszymi szczegółami, musi mieć chyba ze czternaście, co nie zmieniało faktu, że Barbara zawsze była świeża i elegancka, z lśniąco czarnymi włosami opadającymi jej płynną falą na ramiona. Odkąd odeszła od matki, wyglądała o wiele młodziej, a w ciągu ostatniego roku, jak zauważyła Daphne, stawała się z dnia na dzień bardziej atrakcyjna i żywo przypominała pewną piękność z fotografii zrobionej w college'u Smitha. Uroku dodawały Barbarze wesołe iskierki, które coraz częściej pojawiały się w jej oczach, zwłaszcza gdy zwracała się do Daphne.

Wprowadzono je do standardowej poczekalni z wygodnymi fotelami i barkiem, który obsługiwała ładna dziewczyna. Barbara pochyliła się i szepnęła: — Rozluźnij się. Przecież on cię nie zje.

— Skąd ta pewność? — Daphne była zawsze bardzo zdenerwowana przed występem w programie nadawanym na żywo. Między innymi właśnie dlatego zabrała ze sobą Barbarę. Miło było mieć u swego boku wierną przyjaciółkę, z którą można pogawędzić w samolocie i która pomoże w hotelu, gdyby okazało się, że pokrecono coś z rezerwacją. A Barbara potrafiła wspaniale panować nad każdą sytuacją. Przy niej nigdy nie gubił się bagaż, posiłki przynoszono Daphne do pokoju jak w zegarku, zawsze na czas znajdowały się potrzebne książki, gazety i czasopisma, reporterzy znikali, kiedy miała ich dość, a jej ubrania przed każdym występem były idealnie odprasowane. Barbara sprawiała, że wszystko stawało się cudownie proste.

— Masz ochotę na drinka?

Daphne potrząsnęła głową. — Tylko tego brakuje, żebym się załała. Wtedy naprawdę powiedziałabym mu to i owo. — Uśmiechnęły się do siebie i Daphne usiadła w fotelu. Nawet w takich okolicznościach nie lubiła sięgać po alkohol.

— Panno Fields? — asystent kierownika produkcji wsadził głowę przez uchylone drzwi. — Pani wchodzi jako pierwsza.

— O Chryste!

— Pan Conroy nie chce, żeby pani czekała.

Fatalna wiadomość. Nie będzie miała czasu rozluźnić się przed wejściem do studia ani zobaczyć, jak radzą sobie inni. Ale cóż, zdawała sobie sprawę, że dzisiaj występuje tu w charakterze gwiazdy.

— Wolalabym, żeby mi nie wyświadczał tej uprzejmości — szepnęła do Barbary, czując, że zaczynają się jej pocić dłonie. Barbara odpowiedziała równie cicho krzepiącym tonem:

— Wszystko pójdzie dobrze.

— Jak długo będę na wizji? — spytała Daphne, zupełnie jakby nastawiała swój wewnętrzny zegar przed wizytą u dentysty. Dwadzieścia minut bólu... Tyle przecież wytrzymam... A jeśli nie? Poza tym dentysta podawał przynajmniej novocainę, podczas gdy tu wszystko odbywało się bez znieczulenia.

— Pytałam o to wczoraj, ale nie otrzymałam jasnej odpowiedzi. Dowiedziałam się tylko, że on robi to tak, aby „rzecz toczyła się sama”. Nie przypuszczam jednak, żeby program miał trwać dłużej niż piętnaście minut.

Daphne wzięła głębszy oddech, próbując się zmobilizować. Chwilę później asystent pojawił się znowu i dał znak, żeby poszła za nim.

— Na razie, mała.

Daphne obejrzała się na Barbarę. Przyszło jej na myśl starożytne zawołanie: „Pozdrawiają cię idący na śmierć”.

— Będziesz wspaniała.

Daphne wzniosła w górę oczy i zniknęła za drzwiami, a Barbara usadowiła się z kieliszkiem wina przed monitorem.

Asystent poprowadził Daphne na miejsce, wskazał jej krzesło i wpiął mikrofon w kołnierzyk sukni. Podbiegła charakteryzatorka i przypudrowała jej twarz. Ani ułożenie włosów Daphne, ani makijaż nie wymagały żadnych poprawek. Kobieta skinęła głową i ulotniła się, kierownik produkcji również wykonał aprobujący gest, założył słuchawki, po czym szepnął do Daphne:

— Pan Conroy już idzie. Będzie siedział tutaj. — Pokazał gdzie. — Pierwsze dziewięćdziesiąt sekund wypełni sam, potem przedstawi panią. — Daphne skinęła głową na znak, że rozumie, zauważając równocześnie dwie swoje książki na stoliku. Zwykle uprzedzano ją w ogólnych zarysach, jakie będą główne pytania wywiadu, ale Conroy pracował inaczej. Dlatego była taka niespokojna. — Czy życzy pani sobie szklankę wody?

— Dziękuję. — Nie mogła w żaden sposób opanować tremy. W ustach jej zaschło, a gdy wreszcie pojawił się Bob Conroy, w ciemnym garniturze i bladoniebieskiej koszuli z czerwonym krawatem, poczuła wolno spływające po plecach strużki zimnego potu. Conroy mógł mieć pod pięćdziesiątkę i był bez wątpienia przystojny. Miał jednak zimne, przenikliwe oczy i było w nim coś śliskiego.

— Daphne? — Nie. Mata Hari.

— Tak, to ja — uśmiechnęła się, próbując uciszyć szum w głowie.

— Miło, że zgodziłaś się wystąpić w moim programie. Jak z pogodą w Nowym Jorku?

— Jest znakomita.

Usiadł i przyjrzał się rozstawieniu kamer. Zanim jednak zdążył coś dodać, asystent zaczął odliczać czas, zapaliło się czerwone światło. Kamera skierowała się na Conroya, a ten natychmiast ubrał twarz w seksowny uśmiech, na którego widok mdlały wszystkie kobiety w Ameryce, i przystąpił do wyjaśnienia widzom, co dzisiaj zobaczą i usłyszą. Na razie wszystko przebiegało identycznie jak w każdym programie, w którym Daphne dotąd uczestniczyła. Gościa pokazywano niczym tańczącego pieska, proszono, by wykonał swój numer, a następnie odsyłano go ze zdawkowym „dziękuję”, natomiast gospodarz programu dalej wykonywał swoje wdzięczne piruety, mające oczarować widownię.

— Pierwszym gościem dzisiejszego wieczoru jest kobieta, której książki większość z was czytała, zwłaszcza panie. — Podeszedł do stolika, wziął jedną z powieści i ponownie spojrzął w kamerę. — Ale podejrzewam, że o niej samej wiecie niewiele. — Posłał kolejny zniewalający uśmiech, po czym niespiesznie odwrócił się do Daphne, która w tym momencie też znalazła się w zasięgu pierwszej kamery, podczas gdy druga sunęła ku niej powoli. — Cieszymy się, że jesteś z nami tu, w Chicago.

— Cieszę się, że jestem tu z tobą, Bob — uśmiechnęła się do niego nieznacznie, nie zwracając się w stronę kamery, ponieważ wiedziała, że i tak pokazuje teraz jej twarz. Inaczej bywało jedynie podczas programów w prowincjonalnych miastach, gdzie kamerzyści mieli zwyczaj zadowalać się obliczem prowadzącego. Kiedyś w Santa Fe spędziła w studiu godzinę nie przeczuwając nawet, że widzowie cały czas oglądają wyłącznie tył jej fryzury.

— Mieszkasz w Nowym Jorku, prawda? — Trudno o bardziej niewinne pytanie.

— Owszem — przytaknęła z uśmiechem.

— Pracujesz obecnie nad jakąś nową książką?

— Tak. Nosi tytuł „Kochankowie”.

— Tytuł w sam raz dla ciebie — zajrzał głęboko w oczy siedzącym na widowni paniom. — Twój czytelnicy będą zachwyceni. Jak przebiega gromadzenie materiałów? — zachichotał znacząco, a Daphne zaczerwieniła się lekko pod makijażem.

— Bohaterowie moich powieści i ich przeżycia są fikcyjne. — Ze swoją delikatną urodą, łagodnym głosem i subtelnym uśmiechem stanowiła rażące przeciwieństwo Conroya. Na jej tle jego zachowanie wypadło wręcz grubiańsko. Ale on się tym nie przejmował. To był jego program, a ten styl przyniósł mu popularność, którą miał zamiar cieszyć się jeszcze długo. Dla Daphne to tylko jedna noc, podczas gdy on kładł na szalę swoją karierę. Nie zapominał o tym ani na chwilę.

— Ależ daj spokój, taka śliczna kobieta jak ty... Musisz mieć całą armię kochanków.

— Ostatnio coś ich nie widać. — Tym razem już się nie zarumieniła. Oczy błysnęły jej figlarnie. Zaczynała wierzyć, że jakoś zdoła przez to wszystko przebrnąć.

Kiedy jednak Conroy zwrócił się do niej ponownie, z jego głosu zniknęło całe dwuznaczne rozbawienie. — Daphne, dowiedziałem się, że jesteś wdową — wypalił. Tego się nie spodziewała. Na chwilę wstrzymała oddech. Dobrze wykonał swoją robotę. Nie pozostało jej nic innego, niż przyznać, że tak. — To bardzo smutne. Ale — jego głos wibrował teraz współczuciem i zrozumieniem — może właśnie dlatego tak sugestywnie piszesz o tym, jak podźwignąć się po życiowej tragedii. Sama tego doświadczyłaś. Mówiono mi, że utraciłaś również małą córeczkę. — Usłyszawszy, z jaką swobodą ten typ rozprawia o Jeffie i Aimee, Daphne poczuła, że wilgotnieją jej oczy. Odniosła nagle wrażenie, jakby sama siedziała spokojnie w fotelu, a jej otwarta dusza leżała przed nią na stoliku do kawy.

— Raczej nie mieszam prywatnych spraw do rozmów o mojej pracy, Bob. — Całą siłą woli starała się odzyskać panowanie nad sobą.

— Zdobądź się jednak na to — twarz Conroya przybrała wyraz szczerości, w jego tonie pobrzmiwała zachęta. — Dzięki temu staniesz się bliższa swoim czytelnikom. Bardziej przekonująca — przyszpilił ją.

— Dopóki przekonujące są moje książki...

Nie dał jej skończyć. — Skąd ludzie mają mieć pewność, że piszesz prawdę, jeśli nic o tobie nie wiedzą? — i kontynuował,

zanim zdążyła coś wtrącić:—Podobno twój mąż i córka zginęli w pożarze?

— Tak — westchnęła głęboko. Oczy Barbary, śledzącej tę scenę na monitorze, nabiegły łzami. Co za ohyda. Drań! Daphne słusznie bała się tu przyjeżdżać.

— Czy mężczyzna, o którym piszesz w „Apaczu”, to twój mąż? — Daphne potrząsnęła głową. Jego pierwowzorem był John. I raptem poraziła ją myśl, że Conroy wie także o nim. Ale nie, to było niemożliwe. — Cóż za uderzająca postać — ciągnął. — Jestem przekonany, że każda kobieta w Ameryce musiała się w nim zakochać. Wiesz, na podstawie tej książki mógłby powstać wspaniały film.

Powoli zaczęła przychodzić do siebie, modląc się w duchu, żeby ten wywiad wreszcie dobiegł końca. — Niezmiernie się cieszę, że tak uważasz.

— Czy rozmawiano już z tobą na ten temat?

— Na razie nie, ale moi agenci mają nadzieję, że zainteresują nią jakąś wytwórnię.

— Powiedz nam, Daphne, ile masz lat? — Cholera. Nie było na niego sposobu. Zaśmiała się cicho.

— Myślisz, że na to odpowiem? — zażartowała. Nigdy przecież nie robiła tajemnicy ze swojego wieku. — Niedługo skończę trzydzieści trzy.

— Wielki Boże! — spojrzał na nią z podziwem. — Nie wyglądasz na tyle. Dałbym ci najwyżej dwadzieścia — właśnie takimi uwagami zjednywał sobie żeńską część swojej publiczności. Daphne uśmiechnęła się, lecz on znowu zwrócił się do niej z tym współczującym wyrazem twarzy, któremu już nie dowierzała. I słusznie. — Nie wyszłaś ponownie za mąż. Od jak dawna jesteś wdową?

— Od siedmiu lat.

— To musiał być straszliwy cios. — I dodał lekko: — Czy w twoim życiu jest obecnie jakiś mężczyzna?

Miała ochotę krzyknąć albo go uderzyć. Mężczyznom nigdy nie zadawano takich pytań, tylko wobec kobiet uchodziło to za coś normalnego. Jakby było oczywiste, że prywatne życie pisarki jest nierozłącznie związane z jej pracą, a więc tym samym stanowi własność publiczną. Pierwszy lepszy mężczyzna kazałby mu iść do diabła. Ba, ale w tym właśnie rzecz, że on do żadnego mężczyzny nie odezwałby się w ten sposób.

— W tej chwili nie, Bob — odpowiedziała cierpliwie. Uśmiechnął się słodko. — Nie jestem pewny, czy ci wierzę.

Jesteś stanowczo za ładna, żeby być samotną. No i jeszcze ta książka, nad którą pracujesz... Jak brzmi jej tytuł? „Kochankowie”? — Daphne skinęła głową. — Kiedy się ukaże? Jestem przekonany, że czytelnicy czekają na nią z zapartym tchem.

— Mam nadzieję, że jednak oddychają. Książka wyjdzie nie wcześniej niż w przyszłym roku.

— Trudno, poczekamy. — Wymienili kolejne sztuczne uśmiechy. Daphne wiedziała, że czas mija i już niedługo będzie wolna, ale tak rozpaczliwie tęskniła do tej chwili, że musiała walczyć ze sobą, aby natychmiast nie uciec ze studia.

— Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym poruszyć. — Daphne patrzyła na niego, spodziewając się, że zapyta ją

o rozmiar stanika. — Naszym następnym gościem będzie dzisiaj także pisarz, zajmujący się jednak inną dziedziną twórczości niż ty. Pisze książki naukowe. Wydał wspaniałe dzieło o dzieciach autystycznych. — Daphne poczuła, że błędnie widząc, do czego Conroy zmierza. Ale przecież nie mógł... — Pewien mój dobry znajomy w Nowym Jorku, pracujący w „Collins Magazine”, gdzie i ty kiedyś pracowałaś, powiedział mi, że masz autystyczne dziecko. Może zechciałabyś nam naświetlić nieco bliżej ten problem z rodzicielskiego punktu widzenia. — Spojrzała na niego z nie skrywaną wrogością, lecz z jeszcze większą goryczą pomyślała o Allie. Jak ona mogła mu coś takiego powiedzieć? Jak mogła?

— Mój syn nie jest autystycznym, Bob.

— Ach, tak... Musiałem źle zrozumieć... — Daphne niemal słyszała przyspieszone oddechy siedzących w studiu widzów. W ciągu dziesięciu minut dowiedzieli się, że straciła w płomieniach męża i córkę, że pracowała w „Collins Magazine”, że w tej chwili w jej życiu nie ma żadnego mężczyzny, a teraz jeszcze to podejrzenie, że jej jedyne ocalałe dziecko to autysta.

— Czy jest niedorozwinięty?

— Nie, nie jest — podniosła głos, oczy jej błysnęły. Co on sobie wyobraża? Jak daleko wolno mu się jeszcze posunąć?!

— Mój syn ma problemy ze słuchem, przebywa w szkole dla głuchych, ale poza tym jest absolutnie normalnym i wspaniałym dzieckiem.

— Cieszę się ze względu na ciebie, Daphne. — Skurwiel, pomyślała. Wszystko w niej kipiało. Czowała się, jakby ją rozebrano do naga, lecz najgorsze było to, że sprawa Andy'ego stała się publiczną własnością. — Jestem także zachwycony, że dowiedzieliśmy się czegoś o „Kochankach”. Obawiam się, że nasz czas dobiegł końca. Mam nadzieję, że zobaczymy cię znowu, gdy następnym razem będziesz w Chicago.

— Z wielką ochotą — uśmiechnęła się z zaciśniętymi zębami, posłała również uśmiech w stronę widowni. Teraz nastąpiła przerwa na reklamy. Prawie nieprzytomna z wściekłości Daphne odpięła mikrofon i wręczyła go Conroyowi.

— Nie wiem, co mógłbyś znaleźć na swoje usprawiedliwienie.

— Z czego miałbym się usprawiedliwiać? Że dociekam prawdy? — teraz już się nie uśmiechał. Ona nic go nie obchodziła. Troszczył się tylko o siebie, swoich widzów i sponsorów.

- Są prawdy i prawdy. Kto cię upoważnił do zadawania takich pytań?

— Są rzeczy, które ludzie chcą usłyszeć.

— Są rzeczy, które człowiek ma prawo zachować dla siebie. Czy w twoim życiu nie ma niczego, czego wolałbyś nie wystawiać na widok publiczny? Czy dla ciebie nie ma nic świętego?

— Podczas przeprowadzania wywiadu jestem po przeciwnej stronie niż ty, Daphne — stwierdził chłodno. W tym momencie pojawił się następny gość, by zająć jej miejsce. Przez chwilę stała, patrząc w milczeniu na Conroya, po czym powiedziała: — W takim razie możesz się czuć usatysfakcjonowany. — Nie podając mu ręki odwróciła się na pięcie i opuściła studio. Przechodząc szybko przez poczekalnię, bez słowa skinęła na Barbarę.

Dwie godziny później siedziały w samolocie lecącym do Nowego Jorku. Był to ostatni lot tego dnia i na lotnisko La Guardia przybyły o drugiej w nocy. O wpół do trzeciej Daphne znalazła się na powrót w swoim mieszkaniu. Barbara pojechała taksówką dalej. Daphne zamknęła za sobą drzwi, nie zapalając światła poszła prosto do sypialni, rzuciła się na łóżko i wybuchnęła płaczem. Tego

wieczoru zrobiono przecież jarmarczne widowisko z całego bólu i wszystkich smutków, jakich zaznała w życiu. Nie zdołano się jeszcze tylko dowiedzieć o istnieniu Johna. Dobrze, że nigdy nie wspomniała o nim Allie... „...Proszę nam powiedzieć, panno Fields, czy to prawda, że w New Hampshire zadawała się pani z drwalem?” Obróciła się na plecy i spoglądając w ciemny sufit myślała o Andym. Może to lepiej, że był w szkole. Może gdyby był w domu, razem z nią, z jego życia też uczyniono by przedstawienie? Ludzie w rodzaju Allie traktowaliby go jak wybryk natury. Autystyczne dziecko... Nedorozwinięty... Aż ją skręcało na wspomnienie tych słów. W końcu usnęła w swojej beżowej sukni, ze łzami rozmazanymi na twarzy i ze ściśniętym sercem, jakby została napiętnowana i obrzucona kamieniami. Tej nocy śniła o Jeffie i Johnie. Następnego ranka obudził ją dźwięk telefonu. Zerwała się, zdjeta przerażeniem. Czy aby coś złego nie przytrafiło się Andy'emu?

15

— Daphne, dobrze się czujesz? — dzwoniła Iris. Oglądała, rzecz jasna, program.

- Jakoś przeżyję. Tylko już nigdy więcej. Albo ty oznajmisz moją decyzję Murdockowi, albo powiem mu sama. Wybór należy do ciebie. W każdym razie ja zdania nie zmienię. Koniec z moim udzielaniem się publicznie.

— Nie powinnaś tak reagować, Daff. To tylko jeden niedobry program.

— Może dla ciebie, ale ja nie mam zamiaru przechodzić przez to po raz drugi. A zresztą nie ma potrzeby. Moje książki sprzedają się dobrze i bez tego, żebym musiała wywnętrzać się przed dupkami, którzy najchętniej powiesiliby moje majtki na swoim sznurze do suszenia bielizny!

Lecz najbardziej gnębiła ją myśl o krzywdzie, jaką wyrządzono Andy'emu. Tak starała się go ochronić przed światem, a tu wystarczyła jedna krótka chwila, aby jej wysiłki zostały zniweczone, on zaś przedstawiony wszem i wobec jako „dziecko autystyczne”. Wciąż wspominała ten moment i za każdym razem na nowo ogarniała ją wściekłość. I za każdym razem miała ochotę zamordować Allie. Ledwie słyszała, co mówi Iris. Co takiego? Chce, żeby się spotkały na lunchu w Four Seasons? Nie, co to, to nie.

— Czy coś się stało? — spytała.

— Nie. Nadeszła tylko bardzo interesująca oferta, ale wolałabym omówić ją z tobą osobiście. Może wobec tego przyjdiesz do mnie do biura?

— A czy ty nie mogłabyś przyjść do mnie? Nie mam ochoty wychodzić z domu. — Najchętniej w ogóle zaszyłaby się w mysiej dziurze. Albo pojechała do szkoły i mocno przytuliła Andy'ego

— Dobrze, wpadnę około południa. Odpowiada ci?

— Jak najbardziej. I nie zapomnij zadzwonić do Murdocka.

Iris jednak postanowiła wstrzymać się na razie z tym telefonem. Reklama książek Daphne była sprawą zbyt ważną, żeby działać pochopnie, a zawsze istniała możliwość, że Daphne ochłonie i się opamięta, choć właściwie trudno było na to liczyć. Daphne potrafiła być niesamowicie uparta, a jedyną rzeczą, do jakiej naprawdę przywiązywała wagę, była jej prywatność. Pogwałcenie jej w programie ogólnokrajowej telewizji musiało być dla niej rzeczywiście wstrząsającym przeżyciem.

— Zatem do zobaczenia wkrótce.

Dochodziła dziesiąta. Kiedy wchodziła do kuchni, boso, wciąż jeszcze w sukience, którą miała na sobie poprzedniego dnia, wyglądając, jakby dopiero co wróciła z przyjęcia suto zakrapianego alkoholem, Daphne usłyszała zgrzyt klucza w drzwiach. Po chwili do środka weszła Barbara. Miała na sobie czarne spodnie i czerwony sweter. Był to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy można ją było zobaczyć bez notesu w ręku. Położyła torebkę na stole i zdobyła się na uśmiech.

— Nie ma co, pięknie dzisiaj wyglądasz! — Daphne, nastawiając kawę, odpowiedziała uśmiechem. — Spałaś choć trochę tej nocy? — Barbara cały czas bardzo się o nią bała, ale nie miała odwagi zadzwonić. A nuż Daphne mimo wszystko zasnęła? Poza tym podejrzewała, iż tak czy inaczej, jej chlebodawczyni pragnie, by zostawiono ją w spokoju. Ale rano Daphne najwidoczniej otrząsnęła się już nieco z szoku, toteż Barbara postanowiła walić prosto z mostu.

— Wybacz, że to mówię, ale strach na ciebie patrzeć. Więc jak, spałaś?

— Trochę.

Barbara upiła łyk gorącej kawy.

— Naprawdę przykro mi z powodu wczorajszego wieczoru.

— Mnie także. Ale to już się nie powtórzy. Właśnie powiedziałam Iris, żeby zadzwoniła do Murdocka.

— Nie zrobi tego—w głosie Barbary zabrzmiała pewność.

— Wszystkich już sobie zaszufładowałaś, co? — Daphne uśmiechnęła się. — Pewnie masz rację. Ale jeśli ona nie zadzwoni, to ja to zrobię.

— Jak masz zamiar postąpić wobec Allison Baer?

W oczach Daphne pojawił się brzydki wyraz. — Szczerze? Mogłabym ją udusić. Ale ograniczę się do powiedzenia, co o niej myślę, a potem nigdy w życiu już się do niej nie odezwę.

— To było obrzydliwe z jej strony.

— Wybaczylabym jej niemal wszystko, ale nie to, co powiedziała o Andym.

Przez chwilę obie milczały, po czym Daphne z westchnieniem usiadła na krześle. Zmęczona i mizerna, całym swoim wyglądem dopominała się o kogoś, kto by ją rozebrał, przygotował gorącą kąpiel, wyszczotkował włosy. Barbarze zrobiło się nagle smutno, że jej przyjaciółka nie ma oddanego sobie męża, który by się o nią troszczył. Za dużo pracowała i za wiele wysiłku

kosztowało ją dźwiganie na kruchych barkach ciężarów, jakie zwałało na nią życie. Kochającego mężczyzny brakowało również Barbarze. Niestety, nic nie wskazywało na to, by którejś udało się kogoś znaleźć. A już z całą pewnością nie Daphne, która nie dopuszczała do siebie nikogo na odległość niezbędną do podania płaszcza, nie wspominając o małżeństwie.

— No dobrze. Czego chciała Iris?

— Nie wiem. Mówiła o jakiejś interesującej ofercie. Ale jeśli miała na myśli trasę reklamową...

— Daphne uśmiechnęła się złowrogo i wstała. — ...to powiem jej, gdzie może ją sobie wsadzić.

— Chciałabym to usłyszeć. Do kogo mam dzisiaj zadzwonić?

Daphne wymieniła nazwiska i poszła wziąć prysznic. Kiedy za pięć dwunasta zjawiała się jej agentka, powitała ją już w białych gabardynowych spodniach i białym kaszmirowym swetrze.

— Och, wspaniale wyglądasz! — Spokojna elegancja Daphne zawsze robiła duże wrażenie na Iris. Znani jej pisarze, którzy odnieśli sukces, najczęściej stawali się w końcu nieznośnie pretensjonalni. Daphne jednak całkowicie wyłamywała się z tej reguły. Miała swój własny styl i było w niej coś niezwykle dystyngowanego. Czasami ją to nieco postarzało, ale nic sobie z tego nie robiła. Po prostu pozostawała sobą, a zresztą trudno się dziwić, że po tym, co przeszła, niekiedy wyglądała na więcej lat, niż miała. Bolesne doświadczenia dały jej rozwagę i mądrość. Sprawily też, że stała się bardziej wrażliwa na cierpienia innych.

— No, jakie przynosisz wieści? — zasiadły do lunchu. Daphne napełniła winem kieliszek Iris, która przyglądała jej się długo i z uwagą. — Co się stało?

— To, że za ciężko pracujesz — upomniała ją matczynym tonem agentka. Znały się dostatecznie długo, by Iris na pierwszy rzut oka nie zorientowała się, że Daphne jest wykończona.

— Na jakiej podstawie tak sądzisz?

— Coraz bardziej chudniesz i masz oczy jak kobieta stu pięćdziesięcioletnia.

— Bo tyle właśnie mam lat. Dokładnie sto pięćdziesiąt dwa. A we wrześniu skończę sto pięćdziesiąt trzy.

— Daphne, mówię poważnie.

— Ja też.

— W porządku. Nie moja sprawa. Jak idzie praca nad książką?

— Nieźle. Za miesiąc powinnam skończyć.

— A potem? Masz jakieś plany?

— Chyba spędzę trochę czasu z Andym. Wiesz — spojrzała z goryczą na Iris — z tym moim autystycznym synem.

— Daphne, nie bierz sobie tego tak do serca. We wszystkich programach telewizyjnych i całej prasie codziennie roi się od podobnych rzeczy.

— Ale nie będą tak mówić czy pisać o mnie ani o moim synu. Dzwoniłaś do Murdocka?

— Jeszcze nie, ale zadzwonię. — Barbara miała rację. Agentka postanowiła grać na zwłokę.

— Pamiętaj, inaczej sama to zrobię. Podtrzymuję wszystko, co powiedziałam rano.

— Dobrze już, dobrze — Iris uniosła ręce, jakby błagała o litość. — Chcę porozmawiać o czymś innym. Otrzymałaś nader ciekawą ofertę.

— O co chodzi? — spytała bez entuzjazmu Daphne. Miniony wieczór obudził w niej nieufność.

— O film kręcony na Zachodnim Wybrzeżu — oznajmiła z głęboką satysfakcją Iris. — Są zainteresowani kupnem „Apacza”. Wczoraj po twoim wyjeździe dzwonili z Comstock Studios. Chcą kupić książkę, ale chcą także, żebyś rozważyła możliwość napisania scenariusza.

Daphne długo się nie odzywała. — Myślisz, że dałabym radę? Nigdy tego nie robiłam — widać było po jej oczach, że jest odrobinę przerażona.

— Nie ma rzeczy, z którą nie dałabyś sobie rady, musisz tylko chcieć.

Daphne uśmiechnęła się mimo woli, słysząc jakby echo słów Johna.

— Pragnęłabym w to wierzyć.

— Cóż, ja wierzę. Oni tam również. Proponują bardzo przyzwoite honorarium. Musiałabyś, naturalnie, zamieszkać w Los Angeles. Pokryją koszty utrzymania, oczywiście w granicach rozsądku.

— Co to znaczy?

— Dom, jedzenie, rozrywki, służąca i samochód z szoferem.

Daphne patrzyła w talerz. Wreszcie podniosła wzrok na Iris. — Nie mogę.

— Czemu? — Iris na moment osłupiała. — Daphne, to wspaniała propozycja!

— Na pewno. Chętnie sprzedam im tę książkę, ale nie mogę podjąć się pisania scenariusza.

— Dlaczego?

— Jak długo musiałabym tam mieszkać?

— Praca nad scenariuszem zajęłaby ci prawdopodobnie rok. No i chcieliby, żebyś była obecna przy kręceniu filmu.

— Czyli rok, a nawet więcej — Daphne westchnęła i spojrzała z rezygnacją na agentkę. — Nie mogę na tak długo zostawić Andy'ego.

— Przecież on i tak nie mieszka z tobą.

— Ale przynajmniej odwiedzam go co tydzień. Niekiedy zostaję na weekend. Jeżeli zamieszkać w Los Angeles, nie będę mogła do niego jeździć.

— Wobec tego zabierz go ze sobą.

— Jeszcze nie może porzucić szkoły. Chciałabym, ale musimy czekać, aż będzie do tego w pełni przygotowany.

— Więc przenieś go do jakiejś tamtejszej szkoły.

— To mogłoby być dla niego zbyt trudne. I byłoby nie fair z mojej strony — pokręciła zdecydowanie głową. — Nie, nie mogę. Może za parę lat, teraz nie. Naprawdę bardzo mi przykro. Spróbuj im to wyjaśnić.

— Nie będę im niczego wyjaśniać. Uważam, że postępujesz bardzo źle. W tej sytuacji i ty, i Andy powinniście się zdobyć na pewne poświęcenie. Chcę, żebyś to sobie przemyślała. Powiedzmy, do poniedziałku.

— Nie zmienię zdania.

Znając Daphne, Iris bała się, że istotnie tak będzie.

— Popelniasz wielki błąd, marnując taką okazję. To byłby kolejny milowy krok na twojej zawodowej drodze. Jeśli go nie zrobisz, możesz tego żałować do końca życia.

— Ale jak to wytłumaczyć siedmioletniemu chłopcu? Powiedzieć mu, że praca jest dla mnie ważniejsza niż on?

— Z pewnością potrafiłabyś mu wytłumaczyć tak, żeby zrozumiał. Zresztą możesz do niego przylatywać na dzień, dwa w wolniejszych okresach.

— A jeśli ich nie będzie? Jeśli nie uda mi się stamtąd wyrwać? Co wtedy? Przecież nie mogę do niego zadzwonić.

Te słowa trochę otrzeźwiły Iris. Rzeczywiście, nie mogła do niego dzwonić. Nigdy dotąd nie przyszło jej to do głowy.

— Mój wyjazd jest po prostu niemożliwy, Iris.

— Poczekaj z decyzją do poniedziałku.

Ale Daphne już wiedziała, jak będzie brzmieć jej odpowiedź. Po wyjściu Iris usiadła wygodnie z podwiniętymi nogami na dużej białej kanapie.

— Miałabyś ochotę pojechać tam, gdybyś mogła? — zagadnęła Barbara.

— Nie jestem zupełnie pewna, jeśli chcesz znać prawdę. Nie wiem, czy umiałabym napisać scenariusz. A poza tym żyć w Hollywood przez okrągły rok... nie, to nie w moim stylu

— rozejrzała się po swoim pięknym mieszkaniu i z westchnieniem wzruszyła ramionami. — Nie warto więcej tego wałkować. Naprawdę nie mogę na tak długo zostawić Andy'ego. Nie wierzę, żeby puszczali mnie stamtąd, ilekroć wyraziłabym takie życzenie.

— A dlaczego on nie miałby raz czy drugi przylecieć do ciebie, gdybyś musiała siedzieć na miejscu? Przecież ja mogłabym odwozić go z powrotem. — Barbara nigdy nie widziała Andy'ego, ale myślała o nim w taki sposób, jakby znała go od urodzenia. Jej wielkoduszną propozycję Daphne przyjęła serdecznym uśmiechem.

— Jesteś kochana. Dziękuję.

— Może porozmawiasz o tym z panią Curtis podczas najbliższego pobytu w szkole? Zastanów się.

Daphne uważała, że nie ma się już nad czym zastanawiać. Nikt jej nie rozumiał, bo nie mógł. Nikt nie wiedział, co przeżyła, kiedy okazało się, że Andy jest głuchy, ani co przeżyła potem, walcząc o nawiązanie z nim kontaktu i tocząc boje z każdym kolejnym lekarzem, który radził jej umieścić go w zakładzie. Nikt nie wiedział jak cierpiała, pakując jego rzeczy i odwożąc go do New Hampshire, a także w chwili, gdy musiała mu powiedzieć, że John nie żyje. Nikt więc nie mógł wiedzieć, co by czuła, oddalona od niego o trzy tysiące mil, gdyby mu się coś stało. I nikt prócz niej samej nigdy tego wiedzieć nie będzie. Nie, Daphne nie miała się nad czym zastanawiać. Z tym przekonaniem wrzuciła walizkę do samochodu i wyruszyła w samotną podróż do New Hampshire.

16

Podróż zajęła Daphne pięć godzin. Na podjazd Howarth School skręciła już we wczesnie zapadających ciemnościach zimowego wieczoru. Za każdym razem, gdy tu przyjeżdżała, ogarniało ją głębokie wzruszenie, nie tylko z powodu Andy'ego, ale również Johna. Zawsze powracała myślami do ich małego domku i wspólnie spędzonych dni.

Szkoła była jasno oświetlona i Daphne wiedziała, że już za chwilę ujrzy synka. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że przyjechała w samą porę, by zjeść razem z nim kolację.

Na progu powitała ją pani Curtis, która właśnie przechodziła przez hol. Widząc Daphne, uśmiechnęła się z radością i zdziwieniem.

— Nie spodziewałam się zobaczyć cię u nas w tym tygodniu, Daphne. — W ciągu lat zdażyły się zaprzyjaźnić i dyrektorka szkoły zwracała się do Daphne po imieniu, lecz z uwagi na podeszły wiek pani Curtis, Daphne nie miała odwagi rewanżować się tym samym. Posyłała jej za to swoje książki, a pani Curtis szczerze przyznawała, że jest nimi zachwycona.

— Jak się miewa mój chłopiec? — Daphne zdjęła płaszcz i powiesiła go przy wejściu. Poczowała się jakby w domu. W Howarth panowała cudowna, rodzinna atmosfera i gości witano zawsze jak najmielszych przyjaciół. Szkoła nie cierpiała na brak funduszy, toteż była pięknie utrzymana. Tego lata budynek przeszedł gruntowny remont. Ściany w holu pokryte były malowidłami, którymi dzieci się zachwycaly, a na suficie pojawiły się wesołe chmurki.

— Nie poznasz Andy'ego! — powiedziała pani Curtis z tajemniczym uśmiechem.

— Znowu obciął włosy? — Roześmiały się obie przypomniawszy sobie, w jaki sposób poprzedniej zimy Andy wraz z dwiema koleżankami zrobili użytek z nożyczek. Szczęśliwie synek Daphne nie wyszedł na tej operacji tak fatalnie jak dziewczynki, które swoje piękne złote loki obcięły niemal przy samej skórze i wyglądały jak dwie kacuszki dopiero co wyklute z jajek.

— Nie, nic w tym rodzaju. Ale urósł co najmniej o dwa cale. Nagle zrobił się z niego olbrzym. Znowu będziesz musiała iść na zakupy.

— Dziękuję Bogu za moje honoraria! — w oczach Daphne pojawił się tęskny wyraz. — Gdzie on jest?

Zamiast odpowiedzi pani Curtis wskazała schody. Schodził po nich Andy w beżowych sztruksowych spodniach i czerwonej flanelowej koszulce. Na nogach miał kowbojskie buty, które Daphne kupiła mu, kiedy była tu poprzednim razem. Na jego widok Daphne rozpromieniła się i wolno ruszyła mu naprzeciw.

— Cześć, kochanie. Jak się masz? — wypowiadała słowa i jednocześnie dawała znaki rękami, lecz on czytał tylko z jej warg, po czym, ku jej radosnemu zdumieniu, niespodziewanie się odezwał:

— Czuję się dobrze, mamusiu... a jak... ty... się masz? — wymawiał wyrazy nieco topornie i niezbyt wyraźnie, ale każdy zrozumiałby, co chciał powiedzieć. — Tęskniłem za tobą!

Rzucił się w jej ramiona, a ona, walcząc ze łzami jak zawsze, kiedy się z nim witała po dłuższym niewidzeniu, objęła go i uścisnęła. Oboje przywykli do swojego obecnego życia, a i dni spędzone we dwoje w dawnym mieszkaniu Daphne wydawały się bardzo odległe. Był już w jej nowym mieszkaniu, ale dał do zrozumienia, że tamto stare bardziej mu się podobało. Zapewniła go, że do tego także się przyzwyczai, pokazała mu jego pokój, mówiąc, iż któregoś dnia zamieszka w nim na stałe, tak jak to było w poprzednim miejscu. W tej chwili jednak myślała tylko o tym, że przyciska do piersi jego ciepłe, miękkie ciało, więc objęła go jeszcze silniej, a on mocno się do niej przytulił.

— Ja też za tobą tęskniłam — odsunęła się odrobinę, żeby mógł widzieć jej twarz. — Co porabiałeś?

— Mam ogródek warzywny — odparł z wielkim przejęciem — i wyhodowałem dwa pomidory. — Teraz mówił już do niej za pomocą znaków, choć czytanie z ruchu jej ust najwyraźniej przestało sprawiać mu jakiegokolwiek trudności.

— W środku zimy? Jak ci się to udało?

— W dużym pudle pod schodami. Tam są takie specjalne światła, a kiedy przyjdzie wiosna, przesadzimy rośliny do ogrodu.

— To cudownie!

Trzymając się za ręce weszli do jadalni, gdzie Daphne wraz z Andym i wszystkimi dziećmi zasiadła do stołu. Jedli pieczonego kurczaka, kukurydzę i gotowane ziemniaki, cały czas śmiejąc się z opowiadanych sobie w języku migowym dowcipów.

Daphne została w szkole do wieczora, dopóki dzieci nie poszły spać. Otuliła synka w łóżeczku, a później zeszła na dół, by przed wyjściem porozmawiać z panią Curtis.

— Jak ci minął tydzień? — spytała pani Curtis z dziwnym wyrazem oczu i Daphne natychmiast odgadła, że oglądała program. Zresztą kto go nie oglądał...

— Tak sobie. Byłam wczoraj w Chicago — zawahała się, chcąc jeszcze coś dodać, ale okazało się to niepotrzebne.

— Wiem. To było paskudne z jego strony.

— Widziała pani?

— Widziałam. Ostatni raz. Odtąd nie będę mogła patrzeć na tego człowieka. To kawał drania.

— Daphne aż się

uśmiechnęła słysząc to dosadne określenie, tak niepodobne do pani Curtis.

— Ma pani rację. Zapowiedziałam mojej agentce, że już nigdy nie wezmę udziału w żadnym programie. Musiałam to przeciąć. Najbardziej mnie złości, że mężczyznom nigdy nie zadaje się podobnych pytań. Najgorsze jednak jest to, co powiedział o Andym.

— Myślę, że w gruncie rzeczy nie ma się czym przejmować. Ty i Andy znacie prawdę, a ludzie szybko zapomną.

— Może. — Daphne nie wyglądała na przekonaną. — A może nie. Łowcy sensacji są jak sępy. Za dziesięć lat ktoś dokopie się do tej taśmy i wszystko zacznie się od nowa.

— Twoja pozycja ma swoje ciemne strony, moja droga. Ale z całą pewnością ma również jasne.

— Czasami... — Daphne uśmiechnęła się, lecz starsza pani bez trudu dostrzegła wyraz zatroskania w jej oczach.

— Coś się stało?

— Nie... Właściwie nic. Tylko... potrzebuję rady. Pomyślałam, że może mogłybyśmy porozmawiać podczas tego weekendu.

— Więc nie odkładajmy tego do jutra. Chcesz wstąpić do mnie i napić się herbaty? — skinęła ręką w stronę swojego prywatnego mieszkania, a Daphne z ochotą przytaknęła. Czuła, że ta rozmowa wiele wyjaśni.

Mieszkanie, które pani Curtis zajmowała w budynku szkoły, było nieduże i schludne jak jego lokatorka. Wypełniały je zebrane przez nią stylowe wczesnoamerykańskie sprzęty. Na ścianach wisiały obrazki przedstawiające krajobrazy New Hampshire. Podłogę przykrywał szydełkowy dywan kupiony w sklepie z antykami w Bostonie, na niskim stoliku stał wazon ze świeżymi kwiatami. Na pierwszy rzut oka było widać, że mieszkanie należy do nauczycielki, ale panowała w nim ciepła atmosfera, a niektóre przedmioty były naprawdę bardzo ładne. Daphne z przyjemnością rozejrzała się po pokoju, mimo iż nie był jej obcy, podobnie jak wszystkie pomieszczenia w szkole.

Uszło jej uwagi, że dziś po tym wnętrzu rozejrzała się również Helen Curtis z jakimś dziwnym, nostalgicznym wyrazem twarzy.

W małej kuchence pani Curtis zaparzyła herbatę i postawiła przed Daphne na jedwabnej serwetce filiżankę z delikatnej porcelany malowaną w kwiatki.

— No, moja droga, co cię trapi? Czy chodzi o Andy'ego?

— Nie bezpośrednio, ale owszem, tak — postanowiła od razu przejść do rzeczy. — Zaproponowano mi pracę przy filmie na podstawie mojej książki. Comstock Studios chce kupić „Apacza”. To naturalnie jest bardzo miłe, ale w praktyce oznaczałoby, że co najmniej przez rok musiałabym mieszkać w Los Angeles. Uważam więc, że nie powinnam się na to zdecydować.

— Dlaczego? — Nowina ucieszyła starszą panią, lecz ostatnie słowa Daphne wprawiły ją w zdumienie.

— A Andy?

— Co Andy? Chciałabys go przenieść do tamtejszej szkoły? — zaniepokoiła się pani Curtis. Wiedziała, że w tej chwili jakakolwiek zmiana miejsca byłaby dla chłopca niepożądana. Howarth przez zbyt długi czas zastępowało mu dom, by opuszczenie go nie odbiło się niekorzystnie na jego psychice.

- Myślę, że przenosiny stanowiłyby dla niego zbyt duży szok. Nie, gdybym pojechała, zostawiłabym go tutaj. Ale czułby się jak dziecko porzucone.

— Na pewno nie, jeśli wszystko mu dokładnie wyjaśnisz. Nie będzie się czuł opuszczony bardziej niż inne nasze dzieci. Powiesz mu, że to ważne dla twojej pracy i że chodzi tylko o rok. Zresztą, czy nie chciałabys, żeby czasem przyleciał do ciebie? Zawsze możemy przecież wsadzić go do samolotu. A czy ty nie przyjeżdżałabys tutaj?

— Obawiam się, że nieczęsto. Z tego, co słyszałam, kiedy zaczną kręcić film, trudno się bodaj na chwilę oderwać od pracy. Czy naprawdę uważa pani, że on mógłby przyjechać do mnie?

- Nie widzę powodu, dla którego miałby nie móc — pani Curtis odstawiła filiżankę i spojrzała na Daphne. — Twój syn nie jest już małym dzieckiem. Zdążył się nauczyć wielu rzeczy. Potrafi poradzić sobie w różnych okolicznościach. Czy leciał już kiedyś samolotem? — Daphne pokręciła przecząco głową. — Więc widzisz. Na pewno będzie zachwycony.

— Mimo wszystko widywalibyśmy się rzadziej niż dotąd. Nie sądzi pani, że zbyt ciężko by to przeżywał?

— Daphne, ogromna większość rodziców przyjeżdża tutaj rzadziej niż ty. Są związani pracą, mają rodziny, mają inne dzieci. Mało kto może sobie pozwolić na częste wyjazdy. Ty i Andy macie wyjątkowe szczęście.

— A jeżeli przyjmę propozycję i to się zmieni?

— Przyzwyczaj się. Będzie musiał.

Daphne omal nie jęknęła. Już w tej chwili czuła się winna, że w ogóle rozważa możliwość wyjazdu do Hollywood.

— Wiem, że z początku będziesz się zamartwiać, ale w efekcie wam obojgu może to wyjść na korzyść. A ty wzbogacisz się o wspaniałe doświadczenie. Kiedy miałabyś jechać?

— Niedługo. Mniej więcej za miesiąc.

— Masz więc mnóstwo czasu na przygotowanie Andy'ego

— pani Curtis westchnęła i spojrzała melancholijnie na młodszą przyjaciółkę. Bardzo polubiła Daphne. Dziewczyna miała tyle odwagi i tyle było w niej delikatności. Obie te cechy uwidaczniały się w jej książkach i cudownie się uzupełniały.

— Obawiam się, że ja mam znacznie mniej czasu na przygotowanie ciebie.

— Mnie? Do czego? — spytała z roztargnieniem Daphne. W myślach wciąż rozważała, jaką podjąć decyzję.

— Odchodzę ze szkoły, Daphne. Przechodzę na emeryturę.

— Naprawdę? — Daphne zmartwiała. Tak musiała się natrudzić, aby przezwyciężyć opory, kiedy zostawiała tu Andy'ego, i tak bardzo przeżyła stratę ludzi, do których była przywiązana. — Ale dlaczego?

Srebrnowłosa kobieta zaśmiała się cicho.

— Dziękuję, że o to zapytałaś. Wydawało mi się, że przyczyny są oczywiste. Starzeję się, Daphne. Najwyższy czas wrócić do domu i zostawić szkołę komuś młodszemu, bardziej przebojowemu.

— Ależ to okropne!

— Wcale nie okropne. Tak będzie lepiej dla szkoły, Daphne. Jestem już starą kobietą.

— Nieprawda! — zaprotestowała gwałtownie Daphne.

— Prawda. Mam sześćdziesiąt dwa lata. Dostyc. Nie mam zamiaru czekać, aż wywieziecie mnie stąd w fotelu na kółkach. Wierz mi, to już najwyższy czas.

— Ale przecież nigdy pani nie chorowała... — Daphne wyglądała jak dziecko, któremu mają odebrać matkę. Tak właśnie będzie się czuć Andy, kiedy się o tym dowie. I ona miałaby jechać do Los Angeles, teraz, gdy odchodzi także pani Curtis? Dla niego będzie to oznaczało, że opuszczają go wszyscy, których znał i którym ufał. Daphne spojrzała na panią Curtis niemal z desperacją. — Kto zajmie pani miejsce? Zresztą, to w ogóle niemożliwe.

— Nie bądź tego taka pewna. Kobieta, po której objęłam tu stanowisko, uchodziła za niezastąpioną, a po piętnastu latach nikt już o niej nie pamięta. I tak powinno być. Szkoła jest warta tyle, ile ludzie, którzy ją prowadzą. Sama wolałabyś chyba, żeby zajmowali się tym ludzie młodzi,

silni, pełni świeżych pomysłów. Przez najbliższy rok będziecie tu mieć wspaniałego mężczyznę. W tej chwili kieruje New York School dla głuchych, ale bierze tam roczny urlop, żeby przyjrzeć się metodom stosowanym przez nas. Prowadzi swoją szkołę od ośmiu lat i uważa, że potrzebuje nowych doświadczeń, żeby nie popaść w rutynę. Zresztą będziesz miała okazję go poznać. Przyjedzie tu jutro. Spędzi u nas cały tydzień, aby się dobrze ze wszystkim zaznajomić.

— Czy dla dzieci nie oznacza to jakichś daleko idących zmian?

— Nie sądzę. Członkom naszej rady bardzo się spodobał. Żałuję, że jego umowa opiewa tylko na jeden rok. Matthew Dane jest niezwykle wysoko ceniony w naszym środowisku. Pamiętasz, w zeszłym roku dałam ci jego książkę. Napisał już trzy. Jest więc coś, co was łączy.

Owszem, Daphne pamiętała tę książkę i uważała ją za bardzo wartościową. Niemniej...

— Jutro was sobie przedstawię — powiedziawszy to pani Curtis podniosła się z dobrotliwym uśmiechem. — Daruj nadmiar instynktu opiekuńczego, ale uważam, że teraz powinnaś się porządnie wyspać. Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

Na to Daphne podeszła do niej i zrobiła coś, czego dotąd nie robiła: objęła panią Curtis ramionami i mocno uścisnęła.

— Będziemy za panią tęsknić, pani Curtis.

W oczach dyrektorki błyszczały łzy. — Ja za wami także. Ale będę często przyjeżdżać w odwiedziny.

Po wyjściu od Helen Curtis Daphne pojechała do znajomej małej gospody. Pani Obermeier zaprowadziła ją do pokoju i zostawiła w nim z termosem gorącej czekolady i talerzem ciasteczek. Ludzie w miasteczku darzyli Daphne sympatią. Była popularną postacią, którą mieli możliwość poznać osobiście, a także kobietą cieszącą się ich szacunkiem. Sprawiał im przyjemność jej widok, kiedy spacerowała z Andym. Wspominali wówczas z rozczuleniem Johna.

Daphne ziewając weszła do łóżka, naląła sobie filiżankę czekolady i wypila ją z zadumą. Nagle tyle zaczęło się dziać. Zgasila lampę, przytuliła twarz do dużej, miękkiej poduszki i po pięciu minutach już spała. Nie obudziło jej nawet słońce, gdy rano zalało pokój potokami światła.

17

Kiedy Daphne w sobotnie przedpołudnie dotarła do szkoły, dzieci bawiły się w ogrodzie, mogła więc przyjrzeć się, jak grają w berka. Roześmiany Andy ścigał się z kolegami i był zbyt zaaferowany, by zauważyć przybycie matki. Dawniej Daphne wyobrażała sobie, że po tygodniowym rozstaniu na jej widok będzie zawsze przybiegał, aby się do niej przytulić, ale rzeczywistość okazała się zgoła inna. Chłopiec tak dobrze jak Daphne, a może i lepiej, rozumiał już teraz, czemu żyją osobno. Chwilami Daphne zastanawiała się, jak to będzie, kiedy ostatecznie

opuści szkołę. Czy pozbawiony towarzystwa pokrewnych mu dzieci nie poczuje się strasznie samotny? Tego jednego się bała, myśląc o odległych dniach, gdy będzie gotowy do powrotu do domu. Pocieszała się jednak, że wówczas Andy będzie starszy i zacznie wieść znacznie bardziej urozmaicone życie. Będzie studiował, pozna nowych kolegów, nawiąże znajomość z młodymi ludźmi, którzy słyszą.

Przez chwilę rozglądała się za panią Curtis, by dokończyć wczorajszą rozmowę. Gdy ją w końcu dostrzegła, starsza pani była zajęta ożywioną dyskusją z jakimś wysokim, bardzo szczupłym, przystojnym mężczyzną o młodzieńczym uśmiechu. Daphne nie mogła oderwać od niego oczu. Wydał jej się dziwnie znajomy. W tym momencie pani Curtis odwróciła się, pochwyciła jej wzrok i ruszyła w jej kierunku.

— Daphne, pragnę ci przedstawić naszego nowego dyrektora, Matthew Dane'a. Matthew, to jest matka Andy'ego, panna Fields.

Odkąd zyskała rozgłos, Daphne zdecydowała, że nawet tutaj będzie nie „panią”, a „panną”.

Wyciągnęła rękę, wpatrując się w mężczyznę sondującym spojrzeniem. — Miło pana poznać. Bardzo mi się podobała pańska ostatnia książka.

Podziękował za komplement szerokim, chłopięcym uśmiechem, który odjął mu co najmniej kilka lat. — Mnie podobały się wszystkie pani książki.

- Czytał pan moje książki? — była jednocześnie zdumiona i zadowolona, co wyraźnie go rozbawiło.

— Przypuszczam, że podobnie jak jakieś dziesięć milionów ludzi.

Często, gdy przez nie kończące się godziny tworzyła przy biurku postaci i fabuły, zastanawiała się, kto będzie to czytać. Zawsze trudno jej było wyobrazić sobie konkretnego człowieka biorącego do ręki jej powieść. Za każdym razem, kiedy ktoś mówił, że przeczytał jej książki, ogarniało ją zdumienie. A najbardziej czuła się zaskoczona, gdy na ulicy mijał ją jakiś obcy przechodzień z jej książką pod pachą.

Uśmiechnęła się do nowego dyrektora. Wymienili spojrzenia, w których zawisło tysiące znaków zapytania.

— Pani Curtis mówiła mi, że przenosi się pan na rok do Howarth. Dla dzieci będzie to ważna zmiana. — Oczy Daphne wyrażały troskę.

— Także dla mnie będzie to ważna zmiana. — Spoglądał na nią z wysoka. Miał w sobie pewność i spokój. Był na swój sposób chłopięcy, lecz zarazem wyczuwało się drzemiącą w nim siłę. — Zapewne wielu rodziców zaniepokoi fakt, że moja umowa jest tymczasowa, ale po pierwsze, pani Curtis zawsze będzie w pobliżu, aby nam służyć pomocą... — spojrział przelotnie z uśmiechem na starszą damę i znowu zwrócił się do Daphne — a po drugie, jestem przeświadczony,

że wszyscy skorzystamy na tym doświadczeniu. Jest wiele rzeczy, których możemy się nawzajem od siebie nauczyć — Daphne skinęła głową — i jest także parę nowych pomysłów, które warto wypróbować. Myślę na przykład o wymianie z New York School.

Daphne wyprostowała się zaintrygowana. Nikt jej dotąd o tym nie wspominał.

— O wymianie?

— Nazwijmy to tak. Jak pani może wie, większość naszych dzieci jest starsza od tych, które przebywają w Howarth. Rozmawialiśmy na ten temat z panią Curtis i doszliśmy do wniosku, że byłoby dobrze, gdyby grupki uczniów z Nowego Jorku spędzały tutaj tydzień czy dwa, aby zobaczyć, jak wygląda życie na wsi i być może nawiązać kontakty z dziećmi stąd. Potem zabieralibyśmy kilkoro maluchów do miasta na taki sam okres. Tutejsze dzieci są bardzo wyizolowane i taka odmiana mogłaby być dla nich pożytecznym urozmaiceniem. A jednocześnie nadal przebywałyby w częściowo znanym sobie środowisku. Zobaczymy, co z tego wyjdzie — znowu pojawił się ten jego chłopięcy uśmiech. — Mam w zanadru jeszcze parę innych sztuczek, panno Fields. Przede wszystkim musimy pamiętać o głównym celu, to znaczy o ponownym wprowadzeniu dzieci w świat ludzi słyszących. Dlatego w nowojorskiej szkole wielki nacisk kładziemy na naukę czytania z warg, większy nawet niż na naukę języka migowego. Gdy nasi podopieczni wejdą w końcu w normalne życie, będą musieli rozumieć, co się wokół nich dzieje. I choć w ostatnich latach znacznie wzrosła społeczna świadomość problemu, to jednak nadal bardzo niewielu słyszących ma jakieś takie pojęcie o mowie znaków. Nie chcemy skazywać naszych dzieci na konieczność obcowania wyłącznie z osobami podobnymi do nich.

Te sprawy bardzo często zajmowały Daphne, toteż ucieszyło ją to, co usłyszała. Im szybciej Andy nabędzie potrzebnych umiejętności, tym szybciej wróci do domu i do niej.

— Podoba mi się pańskie rozumowanie, panie Dane. Dlatego właśnie tak bardzo przypadła mi do gustu pańska książka. Porusza pan w niej zagadnienia wzięte z życia, a nie zajmuje się mrzonkami.

— Och! — oczy mu rozbłysły. — Ja także mam swoje mrzonki. Na przykład marzę o wspólnej szkole z internatem dla słyszących i niesłyszących. Ale do tego jeszcze daleka droga.

— A może nie? — chwilę spoglądali na siebie ze wzrastającym zainteresowaniem, jakby zapomnieli o istnieniu pani Curtis. Nagle wyraz oczu Dane'a złagodniał i stał się niemal ciepły.

Matthew Dane przed dwoma dniami oglądał Daphne w chicagowskim „Conroy Show” i dowiedział się o niej wielu rzeczy, które niejasno przeczuwał na podstawie lektury jej książek, ale o których nigdy się nie mówiło publicznie. Wiedza zdobyta dzięki owemu programowi wydała mu się teraz czymś niegodziwym, więc wolałby przemilczeć, że go widział. Ona jednak natychmiast wyczytała to z jego spojrzenia i spytała wprost:

— Oglądał mnie pan w „Conroy Show”, panie Dane? — Oczy jej się rozszerzyły, głos brzmiał cicho i smutno. Matthew przytaknął.

— Oglądałem. Uważam, że świetnie pani z tego wybrnęła. Westchnęła i potrząsnęła głową. — To był koszmar.

— Takie zachowanie powinno być ścigane przez prawo.

— A jednak oni tak właśnie postępują. Dlatego nigdy więcej nie wezmę udziału w tego rodzaju programie. Wczoraj powiedziałam o tym pani Curtis.

— Chyba nie wszyscy są tacy jak Conroy?

— Większość. Nie interesuje ich moja praca. Chcą się dogrzebać do czegoś bardziej prywatnego. A są już wręcz zachwyceni, jeśli uda im się wydobyć jakieś brudy.

— W pani przypadku to nie były żadne brudy, tylko tragiczne przeżycia — jego głos wydawał się ciepłym prądem

w chłodnym powietrzu. — Czytając pani książki można się dowiedzieć o pani dużo więcej, niż im kiedykolwiek udałoby się wyciągnąć z pani podczas wywiadów. Zresztą nie tylko. Właśnie miałem zamiar to pani powiedzieć. Dzięki pani powieściom dowiedziałem się także wiele o sobie. Nigdy nie przeżyłem takiej straty jak pani — w duchu zastanawiał się, jak to się stało, że po tego rodzaju przejściach nie rozpadła się na kawałki — jednak każdy z nas ma własne tragedie, które dla niego są największymi tragediami pod słońcem. Pierwszą pani książkę przeczytałem kilka lat temu, po rozwodzie. Pomogła mi w trudnym okresie — dodał z zakłopotaniem. — Przeczytałem ją dwukrotnie, a potem kupiłem drugi egzemplarz i wysłałem żonie.

Daphne poczuła się głęboko ujęta tym wyznaniem. To doprawdy fantastyczne, że jej książki tyle mogą dla kogoś znaczyć. W tym momencie podbiegł do nich Andy i Daphne spojrzała na niego uszczęśliwiona, po czym zwróciła się do Matthew Dane'a, przechodząc na język migowy:

— Panie Dane, pragnę panu przedstawić mojego syna. Andy, to jest pan Dane.

Matthew Dane zaczął rozmawiać z Andym za pomocą znaków, jednocześnie mówiąc normalnym głosem. Poruszał tylko bardzo wyraźnie wargami. — Miło cię poznać, Andy. Podoba mi się twoja szkoła.

— Czy jesteś przyjacielem mamusi? — spytał ciekawie Andy z rozbrajającą bezpośredniością, a Matthew uśmiechnął się, rzucając szybkie spojrzenie Daphne. Mam nadzieję nim zostać. Przyjechałem w odwiedziny do pani Curtis. Odtąd będę tutaj w każdy weekend.

Andy patrzył na niego z zabawną miną.

— Jesteś za stary, żeby chodzić do naszej szkoły.

— Wiem.

— Jesteś nauczycielem?

— Jestem dyrektorem, tak jak pani Curtis, tylko w szkole w Nowym Jorku.

Andy kiwnął główką. Zaspokoiwszy pierwszą ciekawość, przeniósł uwagę na matkę. Podszedł i objął ją ramionami. Jego jasne włoski rozwiewały się na wietrze.

— Zjesz z nami lunch, mamusiu?

— Z największą przyjemnością.

Pożegnała się z Matthew i panią Curtis i weszła do budynku wraz z Andym, który podskakiwał, brykał i machał rączkami, porozumiewając się jednocześnie z kolegami. Myśli Daphne wciąż krążyły wokół osoby nowego dyrektora. Interesujący człowiek. Po pewnym czasie ujrzała go znowu, idącego korytarzem ze stosem papierów. Według pani Curtis czytał tu wszystko, co mu się nawinęło pod rękę, całą korespondencję, każdą kartotekę czy sprawozdanie, nieustannie obserwując przy tym dzieci. Swoją pracę traktował bardzo poważnie.

— Spędziła pani miły dzień z Andym? — ciemne oczy spoczęły na niej z niekłamanym zainteresowaniem.

— Tak. Zdaje się, że ma pan mnóstwo lekcji do odrobienia? — zażartowała.

— Muszę się jak najwięcej dowiedzieć o tej szkole — rzekł pogodnie.

Zatrzymali się w holu.

— Myślę, że my więcej dowiemy się od pana. — Intrygowało ją, dlaczego kładzie taki nacisk na naukę czytania z warg, zauważyła też, że kiedy rozmawia nie tylko z Andym, lecz również z innymi dziećmi językiem migowym, jednocześnie mówi normalnie i w ogóle tak je traktuje, jakby słyszały.

— Co sprawiło, że zajął się pan dziećmi głuchymi, panie Dane?

— Moja siostra urodziła się głucha. Jesteśmy bliźniakami i zawsze czułem się z nią bardzo blisko związany. To śmieszne, ale wypracowaliśmy sobie nasz własny, prywatny język. Był to jakiś zupełnie pomyłony język migowy, ale dobrze nam służył. Jednak moi rodzice umieścili siostrę w szkole. — Widać było, że jeszcze dziś nie może o tym spokojnie mówić. — Ale nie w takiej jak ta. W szkole, jakie istniały trzydzieści lat temu, w których pozostawało się do końca życia. Nigdy nie nauczyli jej tam niczego, co mogłoby jej ułatwić powrót do normalnego życia... — Przerwał, a Daphne bała się spytać, co stało się z tą dziewczyną. Matthew jednak niespodziewanie się uśmiechnął.

— Oto jak zainteresowałem się tym, co robię do dzisiaj. Dzięki mojej siostrze. Kiedy skończyłem college, namówiłem ją do ucieczki ze szkoły i przez rok mieszkaliśmy w Meksyku. Utrzymywaliśmy się z pieniędzy, jakie zarobiłem pracując podczas wakacji na budowach. Nauczyłem ją mówić, nauczyła się też czytać z warg. Dopiero po powrocie pokazaliśmy się rodzicom. Wtedy była już pełnoletnia i mogła sama decydować

o sobie. Próbowali ją ubezwłasnowolnić, raz nawet o mało nie trafiłem do aresztu... To były szalone czasy. Ale udało nam się.

Daphne odważyła się w końcu spytać: — Co pana siostra robi dzisiaj?

Uśmiechnął się zwycięsko. — Uczy w nowojorskiej szkole. Zastąpi mnie przez rok, który spędzę tutaj. Wyszła za mąż i ma dwoje dzieci, naturalnie oboje słyszą. Jej mąż jest lekarzem i teraz moi rodzice oczywiście opowiadają, jak to zawsze byli przekonani, że powiedzie się jej w życiu. To wspinała dziewczyna, polubiłaby ją pani.

— O, na pewno.

— Uwielbia pani książki. Co się będzie działo, kiedy jej powiem, że panią poznałem!

Daphne zarumieniła się. Wydawało jej się niedorzecznością, że na kobiecie, która tyle zdobyła, robią wrażenie zwykle, wymyślone przez nią opowiadki. Czowała, że w porównaniu z siostrą Dane'a w gruncie rzeczy niewiele osiągnęła.

— Chciałabym ją także poznać.

— Pozna ją pani. Będzie tu przyjeżdżała, a pani Curtis mówiła, że pani jest częstym gościem w szkole.

Daphne zmieszła się. Matthew spojrzał na nią uważnie.

— Rzeczywiście jestem dość częstym gościem... a raczej byłam... — westchnęła nieznacznie.

Mężczyzna wskazał dwa krzesła, stojące w rogu.

— Może usiądziemy, panno Fields? — Stali w holu już przeszło pół godziny.

— Proszę mi mówić Daphne. — Ruszyli w stronę krzesel.

— Dobrze, pod warunkiem, że ja będę Matt. Uśmiechnęła się siadając.

— Odnoszę wrażenie, że masz jakiś kłopot. Czy mogę ci pomóc?

— Nie wiem. Wczoraj wieczorem rozmawiałam o tym z panią Curtis.

— Czy chodzi o Andy'ego?

— Tak, głównie o niego — potwierdziła. — Złożono mi propozycję pracy w Hollywood przy powstaniu filmu. Ale musiałabym się tam przenieść co najmniej na rok.

— I zabierasz chłopca ze sobą? — był wyraźnie zawiedziony. Daphne jednak potrząsnęła głową.

— Nie, naprawdę uważam, że powinien zostać tutaj. I to jest właśnie mój problem. Prawie całkiem przestalibyśmy się widywać... Ani nie wiem, jak on by to zniósł, ani czy ja umiałabym... — spojrzała na niego. Jej duże niebieskie oczy napotkały zaciekawione spojrzenie jego brązowych.

— Ciężka sprawa. Ale bardziej dotkliwa dla ciebie niż dla Andy'ego. On się przystosuje. — Po czym dodał miękko: — Pomógłbym mu w tym. Wszyscy byśmy mu pomagali. Z początku będzie się burzył, ale potem zrozumie. A ja dopilnuję, żeby przez ten rok się nie nudził. Mam zamiar

często zabierać dzieci na wycieczki i przy każdej okazji wprowadzać je w zwykły świat. Jak wspomniałem, są odseparowane od tego, co dzieje się na zewnątrz szkoły. — Daphne wykonała potakujący gest. Miał słuszość. — A jak zapatrujesz się na to, żeby w czasie wakacji przyleciał do ciebie w odwiedziny?

— Pani Curtis też przyszło to na myśl. Sądysz, że mógłby?

— Po krótkich przygotowaniach. Ostatecznie to właśnie należy do naszego programu. Pragniesz przecież, żeby latał samolotami, żeby mógł pójść, gdzie zechce, żeby był niezależny i zobaczył coś więcej niż to, co go tutaj otacza.

Wolno skinęła głową. — Ale on jest jeszcze taki młodziutki.

— Daphne, on ma już siedem lat. Gdyby był dzieckiem słyszącym, nie zawahałabyś się wsadzić go do samolotu, prawda? Nie widzę powodu, żeby traktować go inaczej! To bardzo bystry chłopczyk. — Daphne słuchała z wzbierającym uczuciem ulgi. Mury, jakie zbudowała wokół Andy'ego, powoli zaczynały się kruszyć. — Chodzi zresztą jeszcze o coś. On musi wiedzieć, że ty jesteś szczęśliwa, że żyjesz pełnią życia. Nie możesz wiecznie być niewolnicą — w tonie Matta nie było przygany, tylko cierpliwa perswazja. — Będzie cię dzieliło od niego siedem czy osiem godzin drogi. Jeśli zaistnieją jakieś kłopoty, zawiadomimy cię i natychmiast wskoczysz w samolot do Bostonu. Mogę cię nawet odebrać z lotniska i wówczas znajdziesz się tutaj w dwie godziny. Jeśli spojrzysz na całą sprawę pod tym kątem, to okaże się, że nie będziesz znajdować się dalej od Andy'ego niż obecnie.

Matt w cudowny sposób potrafił rozplątywać zawikłane problemy i rozwiewać wątpliwości, tak że wszystko od razu stawało się proste. Teraz Daphne z łatwością pojęła, jak mógł zabrać siostrę ze szkoły i uciec z nią do Meksyku. Ta myśl wywołała uśmiech na jej twarzy,

— Kiedy tak o tym mówisz, nic nie wydaje się trudne.

— Bo nie jest. Ani dla ciebie, ani dla Andy'ego. Musisz tylko chcieć i musisz przy podejmowaniu decyzji pamiętać o sobie. Któregoś dnia Andy zacznie decydować na własną rękę. Będzie musiał sam dokonać wyboru, nie pozwoli, żebyś zrobiła to za niego. Trzeba go tego odpowiednio wcześniej nauczyć. Czy ty chcesz zająć się tym filmem? Czy ty chcesz pojechać na rok do Hollywood? To jest ważne. Nie Andy. Wahasz się, czy nie poświęcić dla niego ważnego rozdziału twojego życia? Takie okazje nie zdarzają się zbyt często. Choć nie wiem, może tobie tak. Jeśli jednak ma to dla ciebie znaczenie, jeśli tego pragniesz, zrób to. Powiedz mu, jak się rzeczy mają, pozwól mu się oswoić z tą myślą. Ja ci pomogę.

— Daphne nie wątpiła, że to uczyni.

— Muszę to jeszcze rozważyć.

— Zgoda, a jutro rano możemy wrócić do tej rozmowy. Bądź przygotowana na to, że Andy będzie się trochę bocyć. Ale tak zareagowałyby każde dziecko w jego wieku, któremu się nagle mówi, że mama czy tata mają wyjechać na jakiś czas. Musisz pamiętać, że płacz, wybuchy złości i podobne reakcje są czymś zupełnie normalnym. Wychowywanie dzieci nie składa się z samych przyjemności — znowu się uśmiechnął.

— Obserwuję wzloty i upadki mojej siostry. Także urodziła bliźniaki. Pannice mają już po czternaście lat i jeśli ci się zdaje, że trudno sobie poradzić z siedmiolatkiem, to powinnaś zobaczyć, jakie problemy są z dziećmi dwa razy starszymi,

a w dodatku dziewczynkami! — wznosił oczy w górę. — Ja bym nie wytrzymał!

— Nie masz własnych dzieci?

— Nie — posmutniał. — Jeśli nie liczyć tych stu czterdzieścioro sześcioro, które zostawiam w New York School z Martą, moją siostrą. Moja żona nigdy nie chciała mieć dzieci. Była osobą niesłyszącą. — Daphne skinęła głową na znak, że rozumie sens tych słów, które komu innemu zapewne niewiele by powiedziały. — I bardzo różniła się od Marty. Umierała ze strachu, że jej dzieci także mogłyby nie słyszeć. Nie potrafiła sobie poradzić ze swoją głuchotą. I w końcu — jego głos zmatowiał — to nas rozdzieliło. Pracowała jako modelka w Nowym Jorku i była naprawdę niezwykle zdolną dziewczyną. Uczyłem ją przez jakiś czas, w ten sposób poznaliśmy się. Ale jej rodzice zawsze obchodzili się z nią jak z porcelanową lalką, a niestety nie miała zwariowanego brata, kiedy dorastała. Poddała się swemu kalectwu. Jest odstrasającym żywym przykładem tego, czego nie należy robić. Czy wiesz, jaką krzywdę wyrządziłabyś Andy'emu, traktując go w podobny sposób? Oszczędź mu tego, Daphne. Odebrałabyś mu wszystko, co kiedyś może okazać się dla niego najważniejsze.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. W ciągu minionej godziny tyle jej powiedział, że miała się nad czym zastanawiać. Podzielił się z nią tak istotnymi faktami ze swojej przeszłości. Daphne wiedziała, że zyskała przyjaciela.

— Chyba masz rację, Matt. Ale tak cholernie boję się od niego odjeżdżać.

— W życiu jest mnóstwo rzeczy, których cholernie się boimy. Dotyczy to najczęściej właśnie tych decyzji, które powinniśmy powziąć, bo są słuszne. Pomyśl o wszystkim, czego dokonałaś. Czy coś było proste? Prawdopodobnie nic nie było proste, ale założę się, że nie żałujesz, że podjęłaś wyzwanie. A wyobrażam sobie, że powstanie filmu oznaczałoby ważny krok w twojej karierze. A propos: o którą książkę chodzi?

— O „Apacza” — uśmiechnęła się z przyływem dumy,

której, jak nagle ze zdziwieniem stwierdziła, wcale nie próbowała przed nim ukrywać.

— Moja ulubiona.

— Moja także.

Pozbierał swoje papiery i wstał. — Zostajesz na obiedzie? — Daphne przytaknęła w milczeniu. — Zejdę do was na kawę. Zjem kanapkę u siebie, muszę przecież odrobić te zadania domowe — przypomniał, od czego zaczęli rozmowę. Daphne jeszcze raz przebiegła myślami wszystko, co od niego usłyszała. Tak, dobre rzeczy w życiu nie przyszły łatwo. Ani jej, ani jemu.

— Do zobaczenia, Matt. — Rozstali się u stóp schodów, ale Daphne dalej patrzyła za nim, nie ruszając się z miejsca. Wyczuł jej wzrok i odwrócił się. — I bardzo ci dziękuję.

— Jestem do twojej dyspozycji. I zawsze usłyszysz ode mnie prawdę, Daphne. Mówię, co myślę i czuję. Pamiętaj o tym, kiedy już będziesz w Kalifornii. Ilekroć zadzwonisz, poinformuję cię, jak czuje się Andy. Powiem ci też, jeśli się okaże, że tak jest w istocie, że cię potrzebuje. Będziesz wtedy mogła wrócić lub ja wsadzę go w najbliższy samolot.

Daphne skinęła głową, a Matt, z pożegnalnym gestem, zniknął za zakrętem schodów. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że rozmawiał z nią tak, jakby był przekonany, iż jednak pojedzie do Hollywood. Dziwne. Czy czytał w jej myślach? Skąd mógł znać jej decyzję, zanim ją jeszcze podjęła? A może, nie przyznając się do tego przed samą sobą, już się w głębi duszy zdecydowała, bo tak bardzo pragnęła znaleźć się w Los Angeles? Targana wątpliwościami szła w kierunku dużego pokoju zabaw, gdzie spodziewała się znaleźć Andy'ego. Ujrzawszy go, poczuła ukłucie w sercu. Jak go tu samego zostawić? Był taki malutki i taki kochany.

Nocą, leżąc w łóżku w gospodzie, znowu biła się z myślami. Była w ciągłej rozterce: z jednej strony oddanie i miłość, z drugiej fascynacja, ciekawość, ambicja i następny stopień na drodze kariery. Ale może naprawdę jedno nie wykluczało drugiego? Może to nie kwestia wyboru? Nagle zadzwonił telefon. Daphne podniosła słuchawkę i zaskoczona usłyszała głos Matta. Złękła się, że coś złego stało się Andy'emu.

— Ależ, Daphne, gdyby coś się stało, zadzwoniłaby do ciebie pani Curtis. Przecież wiesz, że ja jestem tu nieoficjalnie i że tak będzie jeszcze przez parę tygodni. Myślałem tylko o twoim dylemacie i wpadłem na pewien pomysł. Gdyby twoje zajęcia w Los Angeles nie pozwoliły ci przez dłuższy okres wyrwać się do Andy'ego, mógłbym go zabrać ze sobą do mojej siostry i jej dzieciaków. Oczywiście potrzebna byłaby twoja specjalna zgoda, ale przypuszczam, że chłopcu by się tam podobało. Moja siostra jest naprawdę niezwykła, a jej dzieci są kapitalne. Co ty na to?

— Nie wiem, co powiedzieć, Matt. Jestem bardzo zaskoczona.

— Och, daj spokój. W zeszłym roku zaprosiłem na świąteczny obiad czterdziestu trzech uczniów. Marta gotowała, a jej mąż grał z nimi w parku w piłkę. Było wspaniale.

Daphne chciała powiedzieć, że jej zdaniem to on jest wspaniały, lecz zabrakło jej śmiałości.

— Nie wiem, jak ci dziękować.

- Nie dziękuj. Po prostu powierz mi Andy'ego. Przez chwilę nic nie mówiła. Wokół panowała już noc, a on był z nią taki szczery. — Matt, bardzo ciężko mi się od niego oddalać... Widzisz, on jest wszystkim, co mam.

— Wiem. Albo przynajmniej domyślałem się tego — powiedział powściągliwym tonem. — Ale nie musisz się bać ani o niego, ani o siebie.

Słuchając go Daphne czuła, że jest tak, jak mówi. I już wiedziała, że decyzja w końcu zapadła.

— Myślę, że pojedę.

— Uważam, że powinnaś — ta zwięzła odpowiedź sprawiła, że wszystko znowu stało się łatwiejsze. Zdumiewało ją, że poznali się zaledwie tego ranka, a ona już polega na jego opinii i oddaje mu pod opiekę najukochańszego syna. — Kiedy wrócisz do Nowego Jorku, poznam cię z moją siostrą. Jeśli znajdziesz trochę czasu, mogłabyś w przyszłym tygodniu spotkać się z nią w szkole.

— Na pewno znajdę czas.

— Doskonale. Do zobaczenia rano. I gratuluję.

— Czego?

— Powzięcia trudnej decyzji. Mam również na względzie własny interes. Bardzo chciałbym obejrzeć film nakręcony na podstawie mojej ulubionej książki.

Daphne roześmiała się serdecznie. Tej nocy wreszcie spała spokojnie.

18

18

— Kochanie, wiem że to długo, ale obiecuję ci, że będę przyjeżdżać i że ty przyjedziesz do mnie podczas wakacji, i że wtedy będziemy się razem wspaniale bawić w Kalifornii... — urwała z rozpaczą. Andy nie chciał na nią nawet spojrzeć. Oczy miał pełne łez. — Andy... Kochanie... Proszę...

Daphne też walczyła ze łzami, a także z pokusą przyciśnięcia go ze wszystkich sił do piersi. Stał odwrócony do niej plecami, skulone ramionka drżały, główkę trzymał nisko zwieszoną, a kiedy wreszcie ostrożnie przyciągnęła go do siebie, wydał niesamowity, cichutki bulgocący dźwięk, który rozdarł jej serce.

— Och, Andy... Kochanie... Tak mi przykro... — Boże, nie mogła tego zrobić. Nie mogła. „Przyzwyczaj się”, mówili. Chryste, czy można pogodzić się z podwójną amputacją? Poza tym z jakiej racji miałby się przyzwyczajać? Ponieważ jej zachciało się uczestniczyć w kręceniu filmu?

Daphne doszła do wniosku, że jest zła i samolubna. Nienawidziła siebie za decyzję, jaką podjęła, i za to, co ona oznacza dla Andy'ego. Nie mogła tego zrobić własnemu dziecku. Tak bardzo jej potrzebował, bez względu na to, co ktoś miał na ten temat do powiedzenia. Próbowwała go objąć, ale odtrącił ją, więc stała i patrzyła na niego zgnębiona.

W tym momencie pojawił się Matthew Dane. Rzut oka na buzię Andy'ego wystarczył mu, by odgadnąć, że Daphne już z nim rozmawiała. Przez chwilę obserwował ich nie odzywając się, po czym zbliżył się powoli i dyskretnie uśmiechnął do Daphne.

— Za chwilę ochłonie i przyjdzie do siebie, Daphne. Pamiętaj, co ci mówiłem. Każde dziecko, nawet słyszące, zareagowałoby tak samo.

- Ale on nie jest słyszącym dzieckiem! — Oczy jej płonęły, głos brzmiał ostro. — Jest wyjątkowy! — chciała jeszcze dodać „do cholery!”, ale powstrzymała się. Była przekonana, iż Matthew mylnie ocenił sytuację, że źle jej doradził, a ona źle zrobiła, że go posłuchała. Złem było już samo myślenie o wyjeździe na cały rok. Jednak nic nie wskazywało na to, by Matt, nawet w tej chwili, bodaj na jotę zmienił zdanie.

— Oczywiście, że jest wyjątkowy. Jak każde dziecko. To dobrze, że jest wyjątkowy. Byłoby gorzej, gdyby był inny. A ty właśnie chcesz powiedzieć, że jest inny. Nie kładź wszystkiego na karb jego upośledzenia. Wcale mu tym nie pomagasz. Każde siedmioletnie dziecko byłoby złe na wieść, że jego matka wyjeżdża. To normalne. Mnóstwo rodzin przechodzi kryzysy, z którymi dzieci też muszą się godzić. Rozwody, śmierć, przeprowadzki, problemy finansowe. Nie możesz przez całe życie budować dla Andy'ego idealnego świata. Nie uda ci się to i w końcu narazisz go na brutalną konfrontację z rzeczywistością w najmniej sprzyjającym momencie. Dobrze ci radzę! Wejrzyj w siebie. Czego naprawdę chcesz?

Miała ochotę krzyknąć w odpowiedzi, że on nic nie wie, niczego nie rozumie, a już na pewno jej szczególnej odpowiedzialności za dziecko. Odgadł to z wyrazu jej twarzy i znowu się uśmiechnął.

— Proszę, nie krępuj się, możesz mnie zwymyślać. Ale i tak mam rację. Wytrzymaj jeszcze chwilę, a przekonasz się, że wszystko będzie w porządku.

W tym momencie zauważyli, że Andy im się przygląda i czyta z ruchów ich warg. W oczach Daphne, gdy zwróciła się do syna, obok smutku pojawiło się teraz coś jeszcze. Zaczęła mówić, tłumacząc równocześnie słowa na język migowy.

— Ja także nie cieszę się, że wyjeżdżam, kochanie. Ale uważam, że powinnam to zrobić, bo ten wyjazd jest dla mnie bardzo ważny. Chcę pojechać do Hollywood i pracować przy kręceniu filmu na podstawie jednej z moich książek.

— Dlaczego? — zapytał znakami.

— Bo to będzie szalenie ciekawe i pomoże mi w pracy.

— Jak wytłumaczyć siedmiolatkowi, dlaczego pragnie się osiągnąć możliwie najwięcej w życiu zawodowym? — Przrzekam ci, że będziesz mógł do mnie przyjechać, a ja także będę cię odwiedzać. Nie co tydzień, ale to przecież nie potrwa aż tak długo... — umilkła, widząc w jego spojrzeniu pierwszy błysk zainteresowania.

— I będę mógł polecieć samolotem?

— Tak. Bardzo dużym samolotem — odpowiedziała. Zainteresowanie Andy'ego wzrosło, jednak po chwili spuścił oczy i zaczął szurać po ziemi czubkiem buta. Kiedy znowu na nią spojrzął, Daphne nie wiedziała, co dzieje się w jego główce, ale najwyraźniej był już mniej przygnębiony.

— Pojedziemy do Disneylandu?

— Naturalnie! — Daphne wreszcie się uśmiechnęła.

— I będziemy robili mnóstwo innych rzeczy. Zobaczysz, jak kręci się filmy. — Nagle ukłękła przy nim, mocno go przytuliła, po czym odsunęła się, by mógł widzieć jej usta. — Och, Andy, tak bardzo będę za tobą tęsknić! Kocham cię całym sercem i jak tylko skończę pracę w Kalifornii, wrócę i zostanę tutaj, obiecuję. A pan Dane mówi, że zabierze cię do Nowego Jorku, do swojej siostry i jej dzieci... Wiesz, tak sobie myślę, że jeżeli będziemy wciąż czymś zajęci i będziemy się starali jak najwięcej nauczyć, to ten rok zleci nam jak z bicza strzelił...

Gorąco pragnęła, aby to się spełniło, aby mieli to już za sobą. Skoro w ogóle musi odjeżdżać... A czuła, że musi. Że to stało się koniecznością. Po raz pierwszy od lat postanowiła zrobić coś, na co sama miała wielką ochotę, nie bacząc na trudności. I nagle znowu przypomniała sobie słowa Matta, wypowiedziane poprzedniego wieczoru. Dobre rzeczy w życiu nigdy nie należą do łatwych. Dla nikogo. Coś w twarzyczce Andy'ego upewniło ją, że chociaż teraz jest niezadowolony z jej wyjazdu, to wkrótce się otrząśnie i dobrze zniesie nadchodzące zmiany.

— Andy... Czy wiesz, jak bardzo cię kocham? Patrzyła na niego, zastanawiając się, czy pamięta, co tak

często robili, kiedy był mniejszy.

— Jak bardzo? — zapytał znakami i tym razem nie usiłowała już ukrywać łez napływających jej do oczu. Pamiętał.

— O, tak! — szeroko rozłożyła ramiona, by chwycić go w objęcia i wyszeptać z ustami wtulonymi w jego włoski:

— Bardziej niż życie.

Matthew zostawił ich samych i spędzili razem miłą godzinę. Rozmawiali o sprawach ważnych dla Andy'ego, o jej podróży i o tym, kiedy spodziewa się wrócić. Powiedziała mu, że wyjeżdża dopiero za miesiąc i że do tego czasu często będzie go odwiedzać. Przeszli potem do jego wizyty w Kalifornii i wspólnych przygód, jakie ich tam czekają.

— Będziesz do mnie pisała? — na moment znowu zmarkotniał, a jej znowu ścisnęło się serce. Był jeszcze taki malutki, Kalifornia zaś wydawała się leżeć na innej planecie.

— Tak, przyrzekam codziennie wysyłać list. A ty będziesz do mnie pisać?

Zrobił filuterną minkę. — Może uda mi się nie zapomnieć

— zażartował i Daphne od razu odczuła ulgę.

Gdy wieczorem znalazła się w Nowym Jorku, miała wrażenie, że zdobyła niebosiężną górę. Rozpakowała się i zaczęła chodzić po mieszkaniu. Po pewnym czasie oderwała się myślami od Andy'ego. Spojrzała przez okno na światła Manhattanu. Nagle uświadomiła sobie w całej pełni, co właściwie się stało, i ogarnęło ją podniecenie. Jedzie do Kalifornii robić film na podstawie „Apacza”! Stała chwilę, uśmiechając się, po czym najniespodziewaniej dla samej siebie zaśmiała się na głos. To się dzieje naprawdę! Zwycięstwo!

— Alleluja! — zawołała, a następnie poszła do sypialni, rzuciła się na łóżko i zgasiła światło.

19

— No, mała — następnego ranka Daphne powitała wchodzącą Barbarę zagadkowym uśmiechem. — Nie zdejmuj kapelusza.

— Co się stało?

— Jedziemy.

Barbara patrzyła na nią zdezorientowana. — Dokąd?

— Do Kalifornii, ty tępaku.

— Naprawdę?! Zrobisz to, Daff?

— Owszem.

— A co z Andym? — wyrwało się Barbarze.

— Powiedziałam mu. Z początku nie był zachwycony, ale myślę, że oboje jakoś to przeżyjemy. — Powtórzyła wszystko, co usłyszała od pani Curtis, opowiedziała także o nowym dyrektorze szkoły. — Andy przyleci na wakacje, a ja będę do niego jeździć, ilekroć czas mi na to pozwoli. Matthew powiedział, że zabierze go do Nowego Jorku, pokaże mu New York School i pozna go ze swoją siostrą... — przerwała ten potok słów i wybuchnęła śmiechem, widząc, że Barbara mruga oczami, na próżno usiłując coś zrozumieć. — Matt to ten nowy dyrektor Howarth.

— Matt! Nie ma co, szybko zdążyliście się zaprzyjaźnić] — w tonie Barbary zabrzmiała leciutka kpina. — Wyczuwam instynktownie obecność cholernie atrakcyjnego mężczyzny.

— Atrakcyjnego jako przyjaciel, panno Jarvis. Nic więcej, zapewniam cię.

— Hm. Mówisz o nim jak o Bogu. A do tego ma zabrać Andy'ego do swojej siostry? Do diabła, mnie nie pozwoliłaś nawet zobaczyć dzieciaka, a teraz powierzasz go obcemu? Facet musi być absolutnie wspaniały, Daff, bo inaczej nigdy w życiu tego byś nie zrobiła.

— Masz rację, jest wspaniały. I jest najmądrzejszą ludzką istotą, jaką kiedykolwiek spotkałam, oczywiście jeśli chodzi o podejście do niesłyszących. Ale, na miłość boską, to jeszcze nie oznacza, że interesuje mnie jako mężczyzna! — zakrzyknęła Daphne, nie przestając się śmiać.

— Aż taki brzydki?

— No, nie. Szczerze mówiąc jest bardzo przystojny, tylko że to nie ma nic do rzeczy. Porozmawiajmy o nas.

— O nas? — Barbara znowu była zaskoczona. Tego ranka wszystko stawało na głowie.

— Chcę, żebyś pojechała ze mną.

— Żartujesz? — Barbara usiadła, nie wypuszczając z ręki pliku listów od czytelników Daphne.

— A cóż ja tam będę robić?

— To samo co tutaj. Rządzić moim życiem — uśmiechnęła się Daphne.

— Czy rzeczywiście rządzę twoim życiem? — Barbara odwzajemniła uśmiech. — Czasem przychodzi mi do głowy, że nadaję się do czegoś więcej niż tylko do odpowiadania na listy twoich wielbicieli, ale nie sądziłam, że i ty tak uważasz.

— Dobrze wiesz, że tak uważam.

Barbara zdawała sobie sprawę, że jest dla Daphne nieocenioną pomocą i miało to dla niej ogromne znaczenie. Nigdy nie zapomniała, że to Daphne umożliwiła jej uwolnienie się od koszmaru, w jakim przedtem żyła.

— No więc jak, pojedziesz ze mną?

— Kiedy mam się zacząć pakować? Jutro wystarczy?

— Myślę, że możesz z tym poczekać jeszcze parę tygodni. Najpierw uporządkujemy wszystko tutaj i poczynimy staranne przygotowania. Chciałabym, żebyś dzisiaj po południu poszła ze mną do Iris McCarthy i zapoznała się ze szczegółami. Nie przypuszczam, żebyśmy wyjechały wcześniej niż za miesiąc. Mamy dosyć czasu na zorganizowanie wszystkiego.

— Co zrobisz z mieszkaniem?

— Niech czeka. Będę tu wpadać przy okazji wizyt u Andy'ego. Dom i utrzymanie w Los Angeles zapewnia mi Comstock, więc nie będzie podwójnych kosztów. Nie życzę sobie, żeby ktoś obcy spał w moim łóżku — zrobiła oko do Barbary, na co ta z westchnieniem pokręciła głową. — Myślę, że nie będzie tak źle... — teraz uśmiechnęły się już obie.

Po południu poszły razem do agentki Daphne, ale przedtem Daphne zaprosiła Barbarę na lunch do Plaża, gdzie wzniosły toast za Zachodnie Wybrzeże i wytwórnię filmową Comstocka.

Konferencja u Iris wypadła więcej niż zachęcająco, toteż kiedy o wpół do piątej opuszczały jej biuro, Daphne miała ochotę natychmiast przystąpić do pracy. Jednak w taksówce, którą wracały do domu, nagle zmarszczyła czoło i spojrzała z niepokojem na Barbarę.

— Naprawdę myślisz, że dam sobie radę, Barb? Do licha, przecież ja nie mam zielonego pojęcia o pisaniu scenariuszy.

— Szybko się połapiesz. To nie może się bardzo różnić od pracy nad książką. Zresztą oni sami powiedzą ci dokładnie, o co im chodzi.

— Mam nadzieję — powtórzyła Daphne. Co tam. Tak czy owak musi spróbować.

W najbliższy weekend znowu pojechała do Andy'ego. Chłopiec wydawał się już pogodzony z myślą o jej wyjeździe. Tylko raz wspomniał o nim z wymówką, która jednak zabrzmiała niezbyt szczerze. Poza tym jednym napomknięciem cały czas mówił o Disneylandzie i filmie, który miał powstać, sprawiając wrażenie tak rozluźnionego i szczęśliwego, że Daphne nie mogła się nadziwić, jak prędko oswoił się z nową perspektywą. Doszła do wniosku, że dzieci naprawdę są zdumiewające, i podzieliła się tym spostrzeżeniem z Mattem, gdy spotkała się z nim wieczorem na obiedzie w głównej jadalni Howarth.

— Czy kopniesz mnie w kostkę, jeśli teraz powiem: „A nie mówiłem, Daphne”?

Odpowiedziała uśmiechem na uśmiech. Podczas tego weekendu była beztraska, pogodna i wyglądała znacznie młodziej z opadającymi na ramiona jasnymi włosami, w niebieskich dzinsach i krzasiastej kowbojskiej koszuli.

— Niewykluczone, więc lepiej uważaj.

— Jestem śmiertelnie poważny — zażartował. Opowiedział jej, co w ubiegłym tygodniu wydarzyło się w jego szkole w Nowym Jorku, a ona jemu o przygotowaniach do pracy nad filmem. Obiad minął błyskawicznie, po czym Helen Curtis zostawiła ich samych, twierdząc, że ma coś do załatwienia. Matt natomiast wyjątkowo nie był niczym zajęty.

— Doprawdy nie wiem, jak ci się udaje pisać takie książki, Daphne — wyciągnął swoje długie nogi w stronę kominka. Dzieci były już w łóżkach, a oni siedzieli w przytulnym saloniku szkoły. Daphne nie śpieszyło się do powrotu do gospody, zresztą było jeszcze wcześniej. Poza tym polubiła Matta i dobrze się czuła w jego towarzystwie. Był miły, przyjemnie się z nim rozmawiało i sporo ich już łączyło. Tak żywo interesował się Andym i jej książkami. — Po prostu nie wiem — powtórzył. Mówili właśnie o „Apaczu” i Daphne spojrzała na niego z rozbawieniem.

— I kto to mówi? Przecież sam napisałeś trzy książki.

— Ale żadna nie była powieścią. Wszystkie dotyczą przedmiotu, który dla mnie jest pożywieniem, powietrzem i snem. To nietrudne — uśmiechnął się.

— Dużo trudniejsze niż to, co ja robię. Musisz znać konkrety, ściśle trzymać się faktów i swoimi książkami ogromnie pomagasz ludziom, Matthew. Natomiast moje powieści to tylko historyjki, zrodzone z wyobraźni, które nikomu nic nie dają, może poza rozrywką.

Bardzo mu się w niej podobało, że z taką skromnością podchodzi do swojej pracy. Ktoś nie wtajemniczony, rozmawiając z nią, nie domyśliłby się, że ma przed sobą jedną z czołowych pisarek w kraju. Była bystra, inteligentna, dowcipna, ale nigdy nie usiłowała błyszczeć.

— Mylisz się, Daphne, dają ludziom więcej niż tylko rozrywkę. Mówiłem ci już: mnie samemu jedna z twoich książek bardzo pomogła, a wszystkie czegoś mnie nauczyły...

— Zastanowił się przez moment. — O ludziach, o stosunkach między nimi, o kobietach — spojrzał na nią z zaciekawieniem.

— Skąd ty to wszystko wiesz? Wiesz przecież bardzo samotne życie.

— Dlaczego uważasz, że... wiodę samotne życie? — spytała z lekką przekorą.

— Sama mi powiedziałaś w zeszłym tygodniu.

— Naprawdę? — wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

— Widocznie za dużo mówię. Chyba po prostu poza pracą nie mam na nic czasu. Przez cały tydzień haruję jak wół. No i jest jeszcze Andy...

Matt przyglądał jej się chwilę z dezaprobatą, zaraz jednak twarz mu złagodniała. — Nie zasłaniaj się nim.

— Zazwyczaj tego nie robię — powiedziała szczerze. — Tylko kiedy ktoś przypiera mnie do muru, tak jak ty teraz.

— Przepraszam. Nie miałem takiego zamiaru.

— Właśnie że miałeś. No, a ty? Czy twoje życie jest takie wypełnione?

— Niekiedy — odparł wymijająco. — Po doświadczeniach z żoną długo bałem się angażować ponownie.

— A teraz? — Daphne z pewnym zdumieniem nagle sobie uprzytomniła, że wypytuje go, jakby byli starymi przyjaciółmi. Był jednak taki serdeczny, otwarty i tak łatwo się z nim rozmawiało. Miała wrażenie, że znają się całe lata i że znajdują się na bezludnej wyspie. Siedzieli przy kominku zupełnie sami, nie skrępowani obecnością kogoś, kto mógłby ich usłyszeć, i ciekawi siebie nawzajem.

— Nie wiem... Chwilowo koncentruję się na życiu zawodowym, w którym ostatnio dość dużo się dzieje — znowu się uśmiechnął. — I nie przypuszczam, żebym przez najbliższy rok znalazł tutaj kobietę moich marzeń.

— Nigdy nic nie wiadomo. Może pani Obermeier postanowi odejść od męża? — roześmiali się oboje, ale po chwili Matthew spowaźniał i spojrzał na nią z uwagą. Wiedział od pani Curtis o

Johnie Flowerze, nie miał jednak pewności, czy należy o nim wspominać. Może dla niej był to temat tabu.

— A ty, Daphne, nie zamierzasz już nigdy spróbować? — Mimo iż była taka samotna, nie wydawało się, żeby pragnęła zbliżyć się do jakiegoś mężczyzny, a już na pewno nie do niego. Zachowywała się swobodnie i naturalnie, w czym przypominała mu siostrę, wyczuwało się jednak, że zapomniała, iż jest kobietą, i nie ma ochoty o tym sobie przypominać. Z całą pewnością nie otrząsnęła się jeszcze po bolesnych przeżyciach.

I teraz, gdy spojrzała na niego w świetle żarzących się głowni, dostrzegł na dnie jej oczu bezgraniczny smutek, a także głęboko zapisane historie, o których wiedział, że na zawsze pozostaną okryte milczeniem.

— Nie, Matthew, nie zamierzam próbować. Miałam wszystko, czego pragnęłam. Nawet dwa razy. — Daphne aż się zdumiała, że tak gładko ujawniła swoją tajemnicę. — Nie mogę chcieć więcej... Świadczyłyby to o głupocie, zachłanności, braku realizmu. Kiedyś myślałam, że już nigdy nie znajdę tego, co przeżyłam z mężem, a jednak udało mi się. To było coś zupełnie innego i wyjątkowego. Miałam w życiu dwóch niezwykłych mężczyzn, Matt. Naprawdę nie mogę żądać niczego ponad to.

Była więc gotowa opowiedzieć o Johnie Fowlerze.

— I tak po prostu się poddałaś? A co przez następne pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat? — Wizja jej samotnej przyszłości wprawiła go w przygnębienie. Zaslugiwała na więcej... Na kogoś idealnego, kto bardzo, bardzo by ją kochał. Była za dobra, za mądra i zdecydowanie za młoda, by resztę życia spędzić bez miłości. Lecz Daphne uśmiechnęła się tylko filozoficznie.

— Nie mam kłopotu z wynajdywaniem sobie zajęć. A któregoś dnia wróci do mnie Andy...

— Znowu używasz go jako parawanu — powiedział, tym razem jednak bez cienia wyrzutu. — Kiedyś dorośnie i stanie się wspaniałym, całkowicie niezależnym mężczyzną. Nie możesz tylko z nim jednym wiązać całej swojej przyszłości.

- Toteż właściwie wcale nie myślę w ten sposób, choć przyznaję, że często marzę o jego powrocie do domu.

Matthew uśmiechnął się do niej przyjaźnie. — To będzie piękny dzień dla was obojga, Daphne. I nie jest on już taki odległy.

Westchnęła w odpowiedzi. — Chciałabym w to wierzyć. Czasami wydaje mi się, że przede mną całe wieki czekania.

W oczach Matta odbiło się wspomnienie dawnych lat, gdy był młody i żył z dala od siostry.

— Kiedyś czułem to samo, myśląc o Marcie. Nie było jej przez piętnaście lat, a miejsce, w którym przebywała, w niczym nie przypominało Howarth. Dla niej było to piekło. Dzięki Bogu,

dzisiaj nie ma już takich miejsc. — Daphne przytaknęła w milczeniu, po czym wstała, doszedłszy do wniosku, że najwyższa pora wracać do gospody.

— Bardzo miło się z tobą rozmawia, Daphne.

Odprowadzając ją do wyjścia nie spuszczał z niej zadumanego wzroku i nagle powiedział coś, co w równym stopniu zaskoczyło ich oboje. Dopóki nie usłyszał własnego głosu, nie wyobrażał sobie, że mógłby wymówić te słowa.

— Przez ten rok nie tylko Andy będzie za tobą tęsknił.

Gdyby hol był jaśniej oświetlony, zauważyłby zapewne jej rumieniec, jednak w panującym półmroku dostrzegł tylko wyciągniętą ku niemu małą, delikatną rękę. Ujął ją i przytrzymał chwilę.

— Dziękuję ci, Matthew. Jak to dobrze, że jesteś tutaj z Andym. Ale pewnie i tak będę często dzwonić, żeby się dowiedzieć, co u niego słychać.

Skinął głową, tłumiąc w sobie lekkie rozczarowanie. Był tylko dyrektorem szkoły, w której przebywał jej syn. Nic ponadto. Nie wątpił, że Daphne jest naprawdę zupełnie samotna, ale z jej postawy jasno wynikało, że rzeczywiście nie chce tego zmieniać. Była kobietą o silnej woli i ukryła się za solidnymi murami.

— Bardzo proszę. Dzwon, kiedy tylko będziesz miała ochotę. — Uśmiechnęła się do niego i wyszła, rzuciwszy szeptem słówko pożegnania.

Jadąc wolno w stronę gospody złapała się na tym, że wciąż o nim myśli. Był z pewnością niezwykłym człowiekiem. To naprawdę szczęście, że podjął pracę w Howarth. Nie mogła jednak zaprzeczyć, iż za tą beznamietną oceną jego osoby kryje się coś więcej. Jakieś nieuchwytnie głębsze zainteresowanie, jakby pragnęła dowiedzieć się o nim wszystkiego i spędzić na rozmowach z nim nie kończące się godziny. Od czasu poznania Johna Fowlera nie doznawała podobnego uczucia i nie chciała mu się już poddawać. Nigdy, wobec żadnego mężczyzny. Było ich dwóch, dwóch straciła, i to wystarczy. Matthew Dane zawsze będzie dla niej kimś ważnym jako człowiek, który pomoże Andy'emu wejść w świat ludzi słyszających. Ale na tym jego rola się kończy. Nic innego nie wchodzi w rachubę. Nie pozwoli sobie na żadną słabość. Ci, których kochała, odeszli. Nie pokocha już nigdy. Nikogo. Nawet jeśli gdzieś w głębi duszy czuła, że łatwo mogłaby zadurzyć się w Matcie. Nietrudno było go lubić i podziwiać. Tym mocniej musi się obwarować, tym pilniej strzec swojego bezpieczeństwa. Musi całą swoją miłość, każdą chwilę i myśl poświęcać Andy'emu. Żyć wyłącznie dla niego. No i może troszeczkę dla siebie samej. To ostatnie już nawet zaczynało się spełniać. Oto niedługo czeka ją wyprawa do Kalifornii.

Był to ostatni piątek Daphne w Nowym Jorku i jedyne, co zostało jej tu jeszcze do zrobienia, to zamknąć za sobą drzwi mieszkania. Walizki, które miały z nią jechać do Kalifornii, czekały spakowane w holu, wszystko było zapięte na ostatni guzik i teraz Daphne wybierała się na pożegnalny weekend do Andy'ego. Wróci w niedzielę wieczór, odda samochód na przechowanie i zaraz w poniedziałek rano poleci z Barbarą do Los Angeles. Zatrzymają się w bungalowie Beverly Hills Hotel, dopóki nie znajdą odpowiedniego domu, ale pracę nad scenariuszem będzie musiała zacząć od razu, w pierwszym tygodniu pobytu. Zgodnie z kontraktem miała na to zaledwie dwa miesiące, co coraz częściej spędzało jej sen z powiek.

Przez całą drogę do New Hampshire nie mogła przestać myśleć o filmie, a po przyjeździe do gospody jeszcze do późnej nocy robiła notatki. Następny rano spędziła z Andym. Jak zwykle zjadła z nim lunch, po czym towarzyszyła mu również w ciągu popołudnia i podczas obiadu. Dopiero pod wieczór zobaczyła Matta, który sprawiał wrażenie znękanego i przepracowanego.

— Wyglądasz, jakbyś miał ciężki tydzień — powiedziała z uśmiechem przy kawie, na co on westchnął głośno, przesuwając ręką po swoich gęstych, kasztanowych włosach.

— Bóg świadkiem, że to prawda. Od poniedziałku do wczoraj mieliśmy w New School cztery twarde orzechy do zgryzienia. Pobędę tutaj jeszcze tydzień w charakterze obserwatora. Pani Curtis ostatecznie odchodzi w poniedziałek, a ja w następny piątek oficjalnie przejmuję obowiązki. Więc może jakoś to będzie, jeśli, naturalnie, do tego czasu całkiem nie zwariuję.

— Witamy w klubie zdesperowanych. Mnie dano dwa miesiące na napisanie scenariusza i zaczynam wpadać w panikę. Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Gdy tylko siadam nad kartką papieru, natychmiast wszystkie myśli uciekają mi z głowy.

— Znam to — odrzekł ze zrozumieniem. — Doznawałem dokładnie takiego uczucia, jak zbliżał się termin oddania książki. W końcu jednak, mając nóż na gardle, pokonywałem wewnętrzne opory. Z tobą będzie podobnie. Kiedy już znajdziesz się na miejscu, wszystko ułoży się samo.

— Najpierw będę musiała poszukać jakiegoś domu.

— A gdzie będziesz mieszkać, dopóki go nie znajdziesz?

— Zostawiłam pani Curtis numer telefonu. W hotelu Beverly Hills.

Łypnął oczami, po czym bez powodzenia usiłował przybrać współczujący wyraz twarzy. — Masz ciężkie życie, moja pani.

— Prawda? — pokazała w uśmiechu drobne zęby. Przed jej powrotem do gospody rozmawiali jeszcze przez

chwilkę w holu; on musiał omówić z Helen Curtis program ostatniego weekendu przed objęciem funkcji dyrektora, a Daphne czuła się wykończona po nerwowym, męczącym tygodniu.

Następnego ranka poszła z Andym do kościoła, po czym wrócili do szkoły, gdzie zamierzała pozostać aż do wieczora. Teraz bezcenna była dla niej każda sekunda spędzona z synkiem. Jak było do przewidzenia, podczas tego weekendu znacznie częściej przychodził do niej się przytulić, ona też stale szukała okazji do pieszczot: chciała poczuć, jak włoski Andy'ego przesypują się jej przez palce, aby zapamiętać ich jedwabisty dotyk, chciała muskać ustami jego szyjkę i chłonąć delikatny zapach mydła na dziecięcej skórze. Dzisiaj wszystko w nim wydawało się jej jeszcze bardziej niezwykle, bardziej kochane. Był to dla Daphne najtrudniejszy ze wszystkich dotychczasowych weekendów. Zdając sobie z tego sprawę, Matthew dyskretnie trzymał się na uboczu. Dopiero kiedy nadchodziła godzina odjazdu, podszedł i w milczeniu patrzył, jak tuli do siebie Andy'ego. Zamierzał zbliżyć się jeszcze bardziej, lecz zatrzymał go widok pierwszych łez, połyskujących w jej oczach. Wiedział, ile oboje będzie kosztować rozłąka; Andy na pewno szybciej się otrząśnie, naprawdę cierpieć będzie Daphne, zamartwiając się o dziecko i tęskniąc za nim w dzień i w nocy.

— Jak tam z wami? — spytał ponad głową Andy'ego, udając, że nie dostrzega jej łez. — Daphne, przecież wiesz, że za kilka godzin on przyjdzie do siebie, choćby się zapłakiwał z żalu po twoim wyjeździe.

Nie odpowiedziała od razu, bo tłumione łkanie nie pozwoliło jej mówić. Natychmiast jednak wzięła głęboki oddech.

— Wiem, że on przyjdzie do siebie. Tylko czy ja się z tym uporam?

— Uporasz się, daję ci słowo — ostrożnie dotknął jej ramienia. — I pamiętaj, dzwoń o każdej porze. Będę cię zawsze o wszystkim informował.

— Dziękuję — uśmiechnęła się smętnie, delikatnie położyła rękę na główce Andy'ego i pochyliła się nad nim, mówiąc, że już czas do łóżka. Tego wieczoru długo przy nim siedziała. Znowu rozmawiali o Kalifornii, o tym, jak świetnie będą się tam razem bawić i jak ona będzie liczyć dni do jego przyjazdu. W pewnej chwili Andy spochmurniał i wydając dziwne, słabe dźwięki zaczął płakać, jak zawsze wtedy, gdy był smutny.

— Będę bardzo za tobą tęsknił...

— Ja za tobą także. — Teraz miała już mokre oba policzki. Niech Andy widzi jej łzy: to go upewni, że naprawdę będzie za nim bezmiernie tęsknić. — Ale wkrótce się zobaczymy

— uśmiechała się do niego, hamując płacz tak długo, aż wreszcie jego buzia także się rozpodziła. Została z nim, dopóki nie zasnął, po czym zeszła na dół, krocąc ciężko po schodach jak ktoś, kto pożegnał na zawsze najlepszego przyjaciela. W holu zastała Matta, czekającego na nią u stóp schodów.

— Usnął?

— Tak. — Wielkie oczy miała pełne żalu i już nie próbowała się uśmiechać. Odprowadził ją do drzwi, nie odzywając się słowem. Z panią Curtis pożegnała się, zanim położyła Andy'ego, a rzeczy, które jeszcze rano zabrała z gospody, leżały w bagażniku samochodu. Pozostało więc tylko wsiąść i odjechać. Matthew, który starał się wczuć w jej nastrój, nie przerywając milczenia, podszedł z nią do auta. Nagle Daphne odwróciła się i spojrzała na niego wielkimi, smutnymi oczami. Wtedy położył jej obie ręce na ramionach.

— My także kochamy Andy'ego i przysięgam, że dobrze się nim zaopiekujemy. — Do tej pory otaczano tu jej synka niezwykłą troską, ale teraz ona będzie tak daleko stąd... Nie pamiętała już, kiedy czuła się równie przygnębiona. Gdy napotkała spojrzenie ciemnobrązowych oczu Matta, wydała się sobie starsza o kilkadziesiąt lat.

— Wiem... — zacięła się. Ci, których kochała, odeszli i został jej tylko ten mały chłopczyk. — Widzisz, nieskładnie mi to idzie, choć powinnam być przyzwyczajona. Przez całe życie mówiłam komuś „do widzenia”. — Matthew przymknął powieki na znak, że rozumie. Już wcześniej wyczytał to w jej wzroku.

— Dzisiaj jest inaczej, Daphne. Naturalnie, że to dla ciebie bardzo trudna chwila, ale tym razem nie mówisz „do widzenia” na długo. W stanie, w jakim się obecnie znajdujesz, ten rok wydaje ci się wiecznością, ale on szybko minie, zapewniam cię.

Zamyśliła się. Życie jest takie dziwne.

— Kiedy wrócę, twój pobyt w Howarth też dobiegnie końca i będziesz się przygotowywał do wyjazdu.

— A my będziemy bogatsi o nowe doświadczenia. Myśl raczej o tym.

Znowu zbierało jej się na płacz. — Nie potrafię... Mogę myśleć tylko o Andym. O dniu, w którym go tu przywiozłam.

— To było dawno temu, Daphne.

Tak, bardzo dawno, westchnęła w duchu. To był także początek znajomości z Johnem. Dlaczego wszystko w życiu kończy się pożegnaniem? W tym momencie Matthew pochylił się i pocałował ją w policzek.

— Jedź z Bogiem. I dzwoń.

— Dobrze.

Uniosła głowę. Przez jedną nieprzytomną chwilę pragnęła, by wziął ją w ramiona, pragnęła poczuć się bezpieczna, jak kiedyś, pod opiekuńczymi skrzydłami mężczyzny. Gdzieś w głębi duszy tęskniła za czasami, gdy nie musiała walczyć samotnie i być stale dzielna i czujna.

— Uważaj na Andy'ego... i na siebie.

Wsiadła do auta i ostatni raz spojrzała na niego przez otwarte okno. — Dziękuję za wszystko, Matt. I życzę szczęścia.

— Będzie mi potrzebne — jego twarz wypogodziła się w chłopięcym uśmiechu. — I proszę, zrób dobry film. Zresztą, jestem pewny, że taki właśnie będzie.

Zapaliła silnik. Pomachała mu jeszcze ręką na pożegnanie, a on odpowiedział tym samym gestem. Kiedy odjechała, ginąc w ciemnościach nocy, długo stał nieruchomo, patrząc w miejsce, gdzie zniknęły mu z oczu światła samochodu.

21

Samolot lekko podskoczył, dotykając kołami płyty lotniska w Los Angeles, i zanim ostatecznie wytracił szybkość i skręcił w stronę portu, zdawało się, że nadal szybuje nad betonowym pasem. Daphne nie mogła się nie uśmiechnąć, patrząc na Barbarę, która szalenie podekscytowana wyglądała przez okno. W czasie całej podróży zachowywała się jak podłotek. Wszystko ją zachwycało i od startu w Nowym Jorku wciąż była niezwykle ożywiona. Tymczasem Daphne, jeszcze cichsza niż zwykle, zdążyła napisać trzy pocztówki do Andy'ego. Jednak w tej chwili nie myślała już o synku: uprzytomniła sobie, że oto nieodwołalnie wchodzi w inny świat i rozpoczyna zupełnie nowy etap w życiu.

Przy wyjściu oczekiwał ich wynajęty przez Comstock Studios szofer, wysoki mężczyzna w nieokreślonym wieku i o niezbyt zachęcającym wyglądzie, z długimi, ponurymi wąsami, ubrany w czarny garnitur i czapkę. Trzymał przed sobą kartkę, na której widniało wypisane czerwonymi literami: „Daphne Fields”.

— Bardzo subtelne — Daphne spojrzała rozbawiona na Barbarę, na co ta wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— To Hollywood, Daff. Nie spodziewaj się tutaj żadnych subtelności.

To stwierdzenie okazało się prorocze, co odkryły zaraz po dotarciu do Beverly Hills Hotel. Otoczony palmami, wznosił się majestatycznie w różowo-stiukowym przepychu, z daleka bijąc w oczy nazwą rozciągniętą na frontowej ścianie. W holu panował nieopisany rozgardiasz. W tłoku mijały się, śpiesząc w różne strony, blond piękności obwieszane złotymi łańcuszkami, w obcisłych dzinsach, jedwabnych bluzkach i w pantoflach na wysokich obcasach. Nie mniej zamętu czynili mężczyźni, paradujący w drogich włoskich garniturach albo w rurkowatych spodniach i rozchełstanych koszulach rozpiętych do pasa. W powietrzu mieszały się zapachy najprzeróżniejszych kosztownych perfum, gońcy uginali się pod ogromnymi bukietami kwiatów lub stosami walizek od Gucciego, a spis gości hotelowych przypominał listę nominacji do Oscara.

— Panna Fields? Pani domek jest już przygotowany. Boy z powagą przepychał wózek z ich bagażem przez tłum

gwiazdek filmowych i przyszłych bądź niedoszłych producentów, którzy obsiedli brzegi basenu kąpielowego, a Daphne zafascynowana przyglądała się tej niebywalej ilości roznegliżowanych ciał i jeszcze większej obfitości złotej biżuterii. Był środek dnia, co nie przeszkadzało, że wszyscy popijali białe wino albo martini. „Domek” okazał się mieć cztery sypialnie, trzy łazienki oraz lodówkę wypełnioną szampanem i kawiozem. Znalazły tu również wielki bukiet kwiatów i pudełko czekoladek od wytwórni Comstock z wizytówką, na której skreślono: „Do zobaczenia jutro”. Na jej widok Daphne odwróciła się nagle do Barbary i spojrzała na nią z przerażeniem.

— Barb, ja nie mogę — głos miała napięty jak struna. Goniec właśnie wyszedł i stały same w ogromnym salonie. Tak wielkich oczu u Daphne Barbara nie widziała jeszcze nigdy. — Nie mogę.

— Co, nie chcesz czekoladki? — Barbara uznała, że jedynym wyjściem jest uciec się do kpiny. Daphne najwyraźniej wpadła w panikę.

— Nie to. Ale rozejrzyj się. Masz rację, to Hollywood. Tylko co ja tu, u licha, robię? Jestem pisarką. Nie mam bladego pojęcia o tutejszym świecie.

— I nie musisz mieć. Musisz natomiast usiąść do maszyny i zrobić to samo, co robisz w domu. A te różne bzdury po prostu ignoruj. To tylko dekoracja.

— Wcale nie. Widziałaś ludzi w holu? Oni tym żyją.

— Zlituj się, przecież to hotel! A oni wszyscy są z Saint Louis. Uspokój się — naląła jej kieliszek szampana. Daphne z miną zagubionej sierotki usiadła na kanapie w różowo-zielone kwiaty.

— Chcę wrócić do domu.

— I tak ci na to nie pozwolę, więc przestań wygadywać bzdury! Do diabła, jeszcze nie widziałam Rodeo Drive!

Daphne mimo woli uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, jak bardzo od tego, co otaczało je tutaj, różniło się życie Barbary, kiedy mieszkała z matką.

— Zjesz coś?

— Od razu bym zwymiotowała.

— Chryste, Daff. Dlaczego się nie odprężysz? Ciesz się.

— Z czego? Z tego, że podpisałam kontrakt na zrobienie czegoś, na czym znam się jak kura na pieprzu? Czy z tego, że jestem w miejscu, które wygląda jak z innej planety, oddalona o trzy tysiące mil od Andy'ego? Na miłość boską, Barbaro, po co ja tu przyjechałam?

— Żeby zarabiać dla niego pieniądze. — Barbara wiedziała, że ten argument przemówi do Daphne silniej niż wszelkie inne. — Rozumiesz?

— Tak — odpowiedziała niepewnie, chociaż nawet tak ważny powód nie stanowił teraz dostatecznej zachęty. — Czuję się, jakbym wstąpiła do legii cudzoziemskiej.

— Bo właśnie to zrobiłaś. I im prędzej zabierzesz się do pracy, tym prędzej się stąd wyniesiemy. — W głębi duszy Barbarze wcale nie śpieszyło się do powrotu: dla niej wszystko tutaj było szalenie pociągające.

— Może to rzeczywiście jest sposób?

Daphne poszła się rozpakować i po upływie pół godziny prezentowała się już znacznie lepiej. Barbara zadzwoniła do Comstocka z wiadomością, że dojechały szczęśliwie, po czym poszły popływać trochę w basenie. Wieczorem zjadły samotnie obiad, rzuciły okiem na Polo Lounge, rojące się od aktorów, modelek, biznesmenów oraz podejrzanych typów, którzy mogli z powodzeniem trudnić się handlem narkotykami, i o dziesiątej leżały już w łóżkach: Barbara podniecona perspektywą spodziewanych atrakcji, Daphne pełna lęku, co czeka ją w najbliższej przyszłości.

Lecz następnego dnia, wracając w południe z porannego spotkania w wytwórni do egzotycznego przepychu hotelu, była już w lepszym nastroju. Dowiedziała się wreszcie dokładnie, co chcą, aby zrobiła z „Apaczem”, i doszła do wniosku, że może jakoś z tego wybrnie. Poczyła mnóstwo notatek i postanowiła wziąć się do pracy jeszcze tego samego dnia. Barbara także znalazła sobie zajęcie: sporządziła listę pośredników handlu nieruchomościami, których miała zamiar wyprawić w teren, aby poszukali odpowiedniego domu do wynajęcia, następnie zadzwoniła do agentki Daphne, notując przekazane przez Iris najświeższe wiadomości z Nowego Jorku. Od tego popołudnia sprawy zaczęły się płynnie toczyć. Daphne ustawiła w kącie stół i krzesło, otworzyła maszynę do pisania, którą przywiozła ze sobą, i niezwłocznie zabrała się do roboty. Barbara, nie mając na razie nic więcej do zrobienia, znowu wyruszyła w stronę basenu kąpielowego.

Kiedy po godzinie wróciła, musiała zapalić światło, bo Daphne była tak pochłonięta pisaniem, że nawet nie zauważyła, kiedy na dworze zapadł mrok.

— Co tam? — spojrzała nieprzytomnym wzrokiem, jak zwykle, gdy przerywano jej pracę. Miała na sobie dżinsy i trykotową koszulkę. Włosy upięła na czubku głowy, wykorzystując do tego celu długopis. — Och, to ty. Cześć. Jak się pływało?

— Wspaniale. Zjesz coś teraz?

— Uhm... Może później... — bąknęła pod nosem. Barbara lubiła przyglądać się Daphne przy pracy. Zawsze była tak bez reszty zatopiona w tym, co robiła. Obserwować ją wtedy, znaczyło podpatrywać proces twórczy w jego najczystszej postaci.

O ósmej Barbara zamówiła kolację do domku, a gdy ją przyniesiono, bezceremonialnie poklepała Daphne po ramieniu. W Nowym Jorku po prostu kładła jej tacę na biurku i nie odstępowała, dopóki Daphne nie sięgnęła po jedzenie. Kiedy pisała, zapominała o bożym świecie.

— Kolacja.

— OK., za minutkę.

Z tej „minutki” niewątpliwie zrobiłaby się, jak zwykle, godzina.

— Dość, mała. Musisz coś zjeść.

— Dobrze — Daphne przestała w końcu tłuc w maszynę i z westchnieniem roztarła obolałe ramiona. — O rany, ale to przyjemne — spojrzała z uśmiechem na Barbarę.

— Jak ci idzie?

— Nie najgorzej. Przypominam sobie panieńskie czasy. Po kolacji natychmiast wróciła do maszyny i nie odeszła od

niej do drugiej nad ranem. O siódmej była już na nogach i kiedy Barbara wstała, Daphne znowu stuknęła w klawiaturę.

— Czy ty się w ogóle kładłaś? — Barbara wiedziała, że Daphne nierzadko zdarzało się pisać przez całą noc.

— Owszem. Chyba około drugiej.

— Pracujesz na pełnych obrotach, co?

— Tak. Nie chcę się odrywać, dopóki mam świeżo w pamięci wszystko, o czym wczoraj mówiliśmy w wytwórni.

I nie wstała od biurka przez cały dzień. Barbara obejrzała trzy domy, zjadła samotnie lunch i pokręciła się jakiś czas koło basenu. Na koniec poszła do swojego pokoju i sama wzięła się do pracy, to znaczy do odpowiadania na listy wielbicieli Daphne. Wieczorem znowu zamówiły obiad do apartamentu. Zabawne, opiekowała się Daphne niemal tak jak kiedyś matką i nie tylko jej to nie przeszkadzało, ale wręcz sprawiało przyjemność. Matka dała jej dobrą szkołę, podczas gdy praca dla miłej w obejściu Daphne przynosiła radość i satysfakcję. Pomijając już inne uczucia, jakie do niej żywiła, wspaniale było przebywać stale u boku kogoś tak wybitnego, kogo twórczość fascynowała tylu ludzi. Daphne nigdy nie przyszłoby do głowy, że Barbara może patrzeć w ten sposób na to, co je łączyło, ale tak właśnie było.

Czwartego dnia Daphne zadzwoniła do pani Curtis, aby zasięgnąć wieści o Andym. Ze swojej strony dotrzymywała danej synkowi obietnicy i codziennie wysyłała do niego list.

Pani Curtis zapewniła Daphne, że chłopczyk zaraz po jej wyjeździe całkowicie pogodził się z nową sytuacją, że czuje się dobrze i jest szczęśliwy. Przy okazji przypomniawszy, że następnym razem będą mogły porozmawiać dopiero wtedy, kiedy Daphne odwiedzi ją w New Hampshire, w jej

nowym mieszkaniu. Następny dzień miał być ostatnim dniem pani Curtis w Howarth, więc Daphne, jak przy rozstaniu, życzyła jej powodzenia. Gdy odkładała słuchawkę, nieoczekiwanie przyszedł jej na myśl Matthew. Ciekawe, jak sobie radzi: ostatnie dni przed opuszczeniem szkoły w Nowym Jorku musiały być dla niego bardzo pracowite i nerwowe.

— Co u Andy'ego? — spytała Barbara, kładąc przed Daphne zastawioną tacę.

— Pani Curtis mówi, że czuje się świetnie. A tak przy okazji: jak przebiegają poszukiwania domu?

Barbara uśmiechnęła się. — Znakomicie. Na razie z jednym wyjątkiem wszystkie, jakie oglądałam, były do kitu. Ale nie martw się, szybko coś znajdziemy. Chcesz mieć basen w kształcie maszyny do pisania czy też zadowolisz się modelem „otwarta książka”?

— Bardzo zabawne.

— Posłuchaj, dzisiaj widziałam jeden zbudowany na wzór serca, jeden owalny, jeden w kształcie klucza, a jeszcze inny przypominał koronę.

— Muszą wyglądać bardzo egzotycznie.

— A jakże. To cholerne bezguście. A najgorsze, że mnie się to wszystko podoba. Zaczynam odkrywać zupełnie nie znaną mi dotąd stronę mojej natury.

— Jeśli któregoś dnia — powiedziała z udaną powagą Daphne — wejdiesz tu obwieszona złotymi łańcuchami, w koszuli rozpiętej do pasa, będę wiedziała, że choroba jest zaraźliwa.

Kiedy nazajutrz ujrzała Barbarę wystrojoną dokładnie w opisany sposób, nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

— Jesteśmy tu dopiero od pięciu dni, a ty już zwariowałaś!

— Trudno. To unosi się w powietrzu i jest silniejsze ode mnie.

— Nie istnieje nic, o czym mogłabyś powiedzieć, że jest silniejsze od ciebie, Barbaro Jarvis — oświadczyła z przekonaniem Daphne. Ale Barbara pokręciła głową.

— Nie, Daff. Znam tylko jedną naprawdę silną kobietę, i to ty nią jesteś. Silną w najlepszym tego słowa znaczeniu.

— Gdyby tak rzeczywiście było...

— Ależ jest.

— Mówisz zupełnie jak Matthew Dane.

— Znowu on — Barbara spojrzała na nią uważniej. — Nadal myślę, że przepuściłaś życiową szansę. Widziałam jego zdjęcie na okładce książki i uważam, że jest rewelacyjny.

— No i? Co mianowicie przepuściłam? Szansę na jedną noc przed wyjazdem na rok z Nowego Jorku? Daj spokój, Barbaro, czy to miałoby jakiś sens? Zresztą on nie wystąpił z żadną propozycją.

- Może by wystąpił, gdybyś dała mu choć cień nadziei. Kiedyś przecież wrócisz na stare śmieci.

— Jest dyrektorem szkoły, w której przebywa mój syn. To byłoby niestosowne.

- Myśl o nim nie jak o dyrektorze szkoły, tylko jak o pisarzu i szalowym mężczyźnie.

Ale Daphne nie chciała tak myśleć o Matcie. Był miłym człowiekiem i dobrym przyjacielem. To wszystko.

Po obiedzie, gdy Daphne jak zwykle zasiadła do pracy, Barbara poszła do siebie i cały wieczór spędziła nad książką. Za to następnego dnia zbuntowała się i postanowiła wyruszyć na rekonesans po Rodeo Drive: wszystkie bieżące sprawy Daphne były załatwione, chwilowo brakowało też domów do oglądania, więc uznała, że może pójść na wagary.

Wysiadła z limuzyny na Beverly Wilshire i stanęła jak wryta na widok tego, co zobaczyła. Przed nią, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się elegancka ulica, wzdłuż której biegły zwartymi szeregami ekskluzywne butik i salony sprzedaży, oferujące ubrania, biżuterię, obrazy i co kto tylko chciał. Towary zgromadzone w tych sklepach musiały mieć wartość kilkuset milionów dolarów. Oszolomiona Barbara mimo woli pomyślała, jak daleko stąd do jej nędznego mieszkania na West Side, które dzieliła z matką.

Wędrowkę po sklepach rozpoczęła od Giorgia. Ledwie przekroczyła próg, wyrosła przy niej sprzedawczynie w naszyjniku z pereł, pantoflach koloru lawendy na wysokim obcasie i fiołkoworóżowym kostiumie od Norella, kosztującym pewnie ze dwa tysiące dolarów. Ceny, jakie Barbara dostrzegła przy strojach spływających z wieszaków, należały do tej samej kategorii. Powiedziała sprzedawczynie, że chce się „trochę rozejrzeć”, i rzeczywiście zaczęła się rozglądać, ze wszystkich sił starając się głośno nie chichotać. Zebrało jej się na śmiech w dziale męskim, gdzie proponowano panom trencze z nerek, kamizelki ze srebrnych lisów, przeróżne zamsze i inne piękne skóry, jedwabne koszule oraz całą gamę cudownych kaszmirów. Wróciwszy do działu dla pań, przymierzyła kilka kapeluszy, obejrzała buty i w końcu kupiła parasol z napisem „Giorgio's”. Wiedziała, że Daphne będzie z niej niemiłosiernie kpiała, ale swój stary parasol zostawiła w Nowym Jorku, a tu po prostu musiała coś kupić, wszystko jedno co: pokusa była nie do odparcia. Opuściwszy Giorgia, ruszyła dalej w górę ulicy, minęła Hermesa i Celinę, by ostatecznie trafić do Gucciego, ogromnego magazynu przesiąkniętego zapachem najdroższych gatunków skóry, z jakich były wykonane tysiące wystawionych tu luksusowych włoskich wyrobów we wszelkich możliwych wzorach. Zatrzymała się przed szklaną gablotą, wodząc zachwyconym wzrokiem po umieszczonych w niej czarnych torebkach z jaszczurczej skóry. Zwłaszcza od jednej nie mogła wprost oderwać oczu: była to duża, spokojna torebka w kształcie prostokąta z niewielkim złotym zapięciem i długim paskiem na ramię. Poza tym, że uszyto ją ze skóry rzadkiego gada, nie miała w sobie nic pretensjonalnego. Tego rodzaju torebki Barbara lubiła najbardziej, a ta podobała jej się

szczególnie właśnie dlatego, że była taka prosta, lecz zabrakło jej odwagi, aby zapytać o cenę. Na pewno kosztowała majątek.

— Może zechciałaby pani obejrzyć ją z bliska? — ekspedientka w czarnej wełnianej sukni, jaką nosiły wszystkie pracownice sklepu, otworzyła szafkę i wyjęła torebkę. Barbara w pierwszym odruchu chciała zaprotestować, kiedy jednak upragniony przedmiot znalazł się tuż przed jej oczami, nie mogła się powstrzymać i wyciągnęła rękę. Torebka była niezwykle przyjemna w dotyku. Barbara stanęła przed lustrem i założyła ją na ramię: wyglądała cudownie.

— Jest idealnie dobrana do pani wzrostu — powiedziała sprzedawczyni śpiewnym głosem z włoskim akcentem, a Barbarze aż mrowie przeszło po ciele. Pomyślała: „A tam, do diabła!” i otworzyła torebkę, by spojrzeć na cenę; wynosiła siedemset dolarów.

— Bardzo ładna — niechętnie zsunęła torebkę z ramienia i oddała sprzedawczyni. — Jeszcze się chwilę porzglądam.

— Oczywiście, proszę pani — wypiełgnowana blondynka pożegnała ją uprzejmym uśmiechem. Odchodząc od stoiska, Barbara spostrzegła nagle wysokiego, przystojnego mężczyznę, który intensywnie mierzył ją wzrokiem. Spojrzała na niego przelotnie, zakłopotana, że ktoś widział, jak zwracała torebkę. Było coś poniżającego w takim spacerowaniu pośród wystawionych na sprzedaż skarbów w sytuacji, gdy na nic nie mogła sobie pozwolić. Przeszła dalej i zaczęła przeglądać apaszki, dostrzegając kątem oka, że ów mężczyzna ani na chwilę nie przestaje jej obserwować. Zachnęła się w duchu i pomyślała o Daphne, uwięzionej przy maszynie do pisania: postanowiła kupić jej w prezencie kolorową chustkę. Miło będzie dać Daphne jakiś bodaj drobny dowód pamięci w podziękę za to wszystko, co jej zawdzięczała.

Wręczając czerwono-czarną apaszkę dziewczynie w firmowym mundurku, znowu pochwyciła spojrzenie mężczyzny, który tak natarczywie jej się przyglądał, i zobaczyła, że ruszył w ślad za nią. Odwróciła się tyłem, udając, że go nie zauważyła, ale w wysokim, eleganckim lustrze widziała, jak się zbliża i zatrzymuje za jej plecami. Miał na sobie popielate flanelowe spodnie, a gdy zniżyła wzrok, dostrzegła, że jego stopy tkwią w brązowych skórzanych mokasynach od Gucciego. Na ramiona zarzucił niedbale ciemnoniebieski kaszmirowy sweter. Nie wyglądał jednak na mieszkańca Los Angeles, raczej na kogoś z Nowego Jorku lub z Filadelfii. Był w okolicach czterdziestki, miał jasne włosy i niebieskie oczy. Wpatrując się tak w jego odbicie, Barbara odniosła nagle wrażenie, że gdzieś go już widziała, choć nie potrafiłaby powiedzieć ani w jakim miejscu, ani kiedy. W następnej chwili ich oczy spotkały się w lustrze i mężczyzna niepewnie zrobił krok do przodu, by stanąć na wprost niej.

— Najmocniej przepraszam... gapię się tak na panią, ponieważ...

Teraz nastąpi nieuniknione, pomyślała Barbara. Stara śpiewka: „Czy myśmy się już kiedyś nie spotkali?” — a potem gładkie przekazanie karty wizytowej z ręki do ręki. Ale mężczyzna przestał się wahać. Jeszcze przed chwilą nie był pewny. Oczy kobiety, którą pamiętał, patrzyły inaczej, bez porównania cieplej. Lecz teraz, gdy znalazł się tak blisko niej, pozbył się wszelkich wątpliwości: to była ona, choć bardzo zmieniona. Tylko jej figura pozostała taka jak dawniej. Bo twarz Barbary Jarvis nie miała kiedyś tego wyrazu nieufności i odpychającego chłodu.

— Barbara?

— Tak — w jej głosie nie pojawił się cień zachęty, ale mężczyzna uśmiechnął się, słysząc jego znajome brzmienie.

— Jestem Tom Harrington. Nie przypuszczam, żebyś mnie pamiętała. Spotkaliśmy się tylko raz, na moim ślubie. Ożeniłem się z Sandy Mackenzie...

Raptem przypomniała go sobie i omal nie krzyknęła ze zdziwienia.

— Och, mój Boże... Jak to możliwe, że mnie zapamiętałeś? To było... — z niechęcią pomyślała o czasie dzielącym ją od tamtego dnia. Miała wtedy dwadzieścia lat i było to prawie dokładnie dwadzieścia lat temu. Ożenił się z jej koleżanką z college'u, z którą na trzecim roku studiów mieszkała w jednym pokoju. Sandy rzuciła naukę, ponieważ zaszła w ciążę. Barbara pojechała na jej ślub, który odbył się w Filadelfii, i tam poznała Toma, wówczas studenta prawa. Ale od tego czasu nie widziała ani jego, ani jej. Po przyjściu na świat dziecka przenieśli się do Kalifornii.

— Jak się masz? Co u Sandy? Jest tutaj? — uśmiechnęła się radośnie. Przez kilkanaście lat dostawała od nich kartki na Boże Narodzenie, w końcu jednak przestali pisać. Zawsze była zbyt zajęta matką, by znaleźć czas na korespondencję, ale dobrze pamiętała Sandy, podobnie zresztą jak jej męża. Przyjemnie byłoby zobaczyć ją znowu, zwłaszcza teraz, gdy Barbara pracowała u Daphne. Bo przedtem nie odpowiadała na kartki Sandy nie tylko z braku czasu: o czym miałyby pisać? O małym ponurym mieszkanku, o matce, zakupach, gotowaniu i o posadzie maszynistki w firmie prawniczej? Czym mogła się pochwalić? Dzisiaj jednak sprawy przedstawiały się inaczej ...

— Jak dzieci? — pamiętała, że po czterech latach urodziło im się drugie dziecko.

— Są wspaniałe. Robert studiuje na California University. Specjalizuje się w dramacie, co moim zdaniem nie przedstawia się zbyt zachęcająco, ale jest w tym dobry i jeśli jemu to odpowiada... — westchnął z uśmiechem. — Wiesz, jak to bywa z dziećmi. A Alex jest jeszcze w domu, z matką. W kwietniu skończy piętnaście lat.

— Dobry Boże! — wykrzyknęła Barbara. Student uniwersytetu i piętnastolatka? Jak to się stało? Kiedy? Tak nią wstrząsnęło to nagłe uświadomienie sobie upływu czasu, że nawet nie zwróciła uwagi na sposób, w jaki sformułował odpowiedź, gdy wspomniał o córce.

- A co u ciebie? — rzucił krótkie spojrzenie na jej lewą dłoń i nie znalazłszy tam tego, czego szukał, znowu przyjrzał się jej twarzy. — Mieszkasz gdzieś w tych stronach?

— Przyjechałam tutaj na rok z kobietą, u której pracuję. Ona pisze właśnie scenariusz filmu na podstawie swojej książki.

— Brzmi to rewelacyjnie. Czy ta kobieta to ktoś, kogo znam?

Barbara uśmiechnęła się z dumą. — Daphne Fields.

— Musisz mieć pasjonującą pracę. Od jak dawna tu jesteście?

— Od tygodnia. Mieszkamy w hotelu Beverly Hills. Ciężkie życie — roześmiali się oboje.

W tym momencie zbliżyła się do nich zjawiskowo piękna rudowłosa dziewczyna w białych dzinsach i białej jedwabnej koszuli. Zatrzymała się obok Toma i obrzuciła Barbarę taksującym spojrzeniem zielonych oczu. Z całą pewnością nie mogła liczyć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Miała alabastrową cerę, a przepyszne rude włosy spadały jej aż do pasa. Wyglądała olśniewająco w całym znaczeniu tego słowa.

— Nic nie pasuje — zwróciła się do Toma z kapryśnym grymasem, najwyraźniej zdecydowawszy, że Barbara nie stanowi żadnego zagrożenia. — Wszystko jest za duże.

Barbara przebiegła wzrokiem od niej do Toma i uśmiechnęła się, nie kryjąc podziwu dla pary, jaką tworzyli. Zastanawiając się w duchu, kim może być ta dziewczyna, powiedziała: — Chciałabym mieć takie problemy.

Tom jednak nadal patrzył na Barbarę. Jego inteligentne oczy miały przyjazny wyraz.

— Wyglądasz wspaniale. Prawie wcale się nie zmieniłaś przez te wszystkie lata.

Barbara uznała to kurtuazyjne kłamstewko za miły gest z jego strony. Raczej nie wydawał się zbyt ulegać urokowi towarzyszącej mu dziewczyny. Teraz dopiero Barbara spostrzegła, że Tom trzyma w ręce torbę pełną drogich sprawunków. Zaraz też wyjaśniła się niejasna dla niej obecność tej rudej ósóbki u boku męża Sandy.

— Eloise, pragnę ci przedstawić Barbarę — uśmiechnął się do obu kobiet. — Barbara jest przyjaciółką mojej byłej żony.

„Byłej żony”: a więc rozwiedli się z Sandy. W takim razie dziewczyna musiała być jego sympatią.

— Barbara Jarvis — dopełniła za niego formalności i wyciągnęła rękę. — Bardzo mi miło — szybko przeniosła wzrok na Toma. Chętnie dowiedziałyby się czegoś o Sandy, ale chwila z oczywistych powodów nie była stosowna.

Na szczęście rudowłosa bąknęła kilka słów i poszła obejrzeć dużą beżową torbę z krokodylej skóry. Tom odprowadził ją wzrokiem, po czym spojrzał na Barbarę z błyskiem rozbawienia w oczach.

— Jednego nie można jej odmówić, ma naprawdę doskonały gust — powiedział bez szczególnego entuzjazmu. Stanowczo nie sprawiał wrażenia zbytnio zaangażowanego.

— Przykro mi z powodu ciebie i Sandy — odezwała się współczująco Barbara. Ostatnią kartkę od nich na Boże Narodzenie dostała przed ośmiu a może dziewięciu laty. — Kiedy to się stało?

— Pięć lat temu. Wyszła powtórnie za męża. — Po krótkiej pauzie dodał: — Za Austina Weeksa. Barbara osłupiała.

— Tego aktora? — Głupie pytanie, skarciła się natychmiast w duchu. Ilu mogło być Austinów Weeksov? Ten jedyny należał do najbardziej znanych angielskich amantów i swego czasu był prawdziwym Romeo. Musiał mieć dwa razy tyle lat co Sandy, ale sądząc po jego ostatnim filmie, nadal był tak przystojny, że jego widok zapierał dech w piersiach. — Jak do tego doszło?

— Prowadziłem dla niego dość dużą sprawę i zaprzyjaźniliśmy się... — wzruszył ramionami, lecz w jego słowach wyczuwało się gorycz. Po chwili spojrział na Barbarę i zmusił się do uśmiechu. — To jest Los Angeles i takie rzeczy należą do reguł gry. Sandy uwielbia tutejszą atmosferę. Hollywood odpowiada jej w stu procentach.

— A ty? — Widziała go tylko przelotnie, i to dwadzieścia lat temu, ale już wtedy, w dniu ślubu, bardzo jej się spodobał. Była druhną i od razu orzekła, że pan młody wygląda na inteligentnego, bystrego i porządnego człowieka. Powiedziała nawet potem Sandy, że powinna się uważać za szczęściarę. Przyjaciółka przyznała jej rację, ale jakoś bez przekonania. Sandy w ogóle była jakby wiecznie z czegoś niezadowolona, niecierpliwa, zawsze chciała mieć więcej. W college'u nie czuła się dobrze i Barbara od początku podejrzewała, że zaszła w ciążę specjalnie tylko po to, żeby wyjść za męża. Tom pochodził ze świetnej filadelfijskiej rodziny, lecz przemawiały za nim także inne względy. Wracając po ślubie do szkoły Barbara myślała o nich obojgu z prawdziwą zazdrością. — Czy tobie odpowiada to miasto, Tom?

— Cóż, chyba tak, choć muszę wyznać, że zostałem w nim głównie z powodu dzieci. No i praktykuję tu już tyle lat, że ciężko byłoby się teraz przenosić. — Barbara pamiętała, że zajmował się prawnymi aspektami produkcji filmowej, a zatem Los Angeles było dla niego właściwym miejscem, mimo iż nie wydawał się nim zachwycony. — Po jakimś czasie człowiek się przyzwyczaja — uśmiechnął się ostrzegawczo. Wyglądał w tej chwili tak młodo jak w dniu swojego ślubu. — Uważaj, żeby i ciebie to nie wciągnęło. Hollywood działa jak narkotyk.

— Wiem — odpowiedziała z uśmiechem. — Już zaczynam się przyzwyczajać.

— Oho! To zły znak!

W tym momencie równocześnie wróciły sprzedawczynie z zapakowaną apaszką Barbary i Eloise, która ostatecznie doszła do wniosku, że torebka z krokodylowej skóry za trzy tysiące dolarów jej nie odpowiada.

— Miło było znowu cię zobaczyć, Tom — Barbara podała mu rękę na pożegnanie. — Przy okazji pozdrów ode mnie Sandy.

— Oczywiście. Odwiedzam Alex kilka razy w tygodniu i wtedy widuję się także z nią — w oczach Toma znowu pojawił się cień: został zdradzony przez żonę i człowieka, którego uważał za przyjaciela. Takie rany się nie zblizniają. — Przekażę jej twoje pozdrowienia. A swoją drogą powinnaś do niej zadzwonić w wolnej chwili.

Co do tego jednak Barbara miała wątpliwości. Po cóż Sandy, będąc żoną Austina Weeksa, miałyby utrzymywać stosunki z kimś takim jak ona?

— Powiedz jej, że zatrzymałyśmy się z Daphne w Beverly Hills Hotel. Jeżeli będzie miała ochotę, może sama do mnie zadzwonić. Nie chciałabym się jej narzucać.

Tom skinął głową i po chwili się rozstali. Odchodząc Barbara pomyślała, jak dziwnymi ścieżkami chadza niekiedy życie.

— No i co, podbiłaś Rodeo Drive? — Daphne leżała wyciągnięta na kanapie i przeglądała plan całodzienniej pracy. Barbara od razu spostrzegła, że nie pozwoliła sobie na chwilę wytchnienia. — Jak było?

— Super! — Po rozstaniu z Tomem wędrowała po sklepach jeszcze dobre dwie godziny. Odwiedziła Jourdana, Van Cleef i Arpels, Bijan i mnóstwo podobnych miejsc, a na koniec wstąpiła do restauracji, by coś przekąsić. Restauracja i jej goście stanowili widok jedyny w swoim rodzaju, tak że wieczorem Barbara wróciła do domu zachwycona spędzonym popołudniem. Sprawiała sobie nawet kostium kąpielowy, kapelusz i dwa swetry. — Daff, ja po prostu zakochałam się w tym mieście.

— Zawsze uważałam, że jesteś stuknięta — zaśmiała się Daphne. — Co kupiłaś?

Barbara pochwaliła się sprawunkami, po czym wyciągnęła małą paczuszkę od Gucciego i z uśmiechem rzuciła ją Daphne na kolana.

— A to dla ciebie, pani szefowo. Chciałam ci kupić szlafrok z norek u Giorgia, ale nie mieli twojego rozmiaru.

— Niech to szlag trafi. Nie mogłaś zamówić? Roześmiały się obie. Ujęta gestem Barbary, Daphne

odpakowała paczuszkę i z zadowoleniem obejrzała apaszkę. Czerń i czerwień były jej ulubioną kombinacją kolorów.

— Nie musiałaś tego robić, głuptasie — spojrzała ciepło na przyjaciółkę. — Rozpieszczasz mnie na wszelkie możliwe sposoby, Barb. Nie umiałabym już zrobić kroku bez ciebie.

- Bzdura, tak samo dobrze radziłabyś sobie beze mnie.

— Całe szczęście, że nie muszę.

- A przy okazji, jak ci idzie?

— Nawet nieźle, jeśli się zważy, że dla mnie to coś zupełnie nowego i muszę się uczyć wszystkiego od początku. Ale ciągle mam wrażenie, że jestem cholernie niezdarna.

— Szybko ci to przejdzie. Co do mnie, jestem przekonana, że twój scenariusz czyta się równie gładko jak wszystko, co dotąd napisałaś.

— Mam nadzieję, że w Comstocku będą mieli podobne zdanie.

— Na pewno.

W tym momencie zadzwonił telefon i Barbara poszła go odebrać do sąsiedniego pomieszczenia. Pod jej nieobecność telefony do Daphne przyjmowała centrala hotelowa, natomiast kiedy Barbara była w domu, odbierała rozmowy w swoim pokoju, żeby nie przeszkadzać Daphne nie kończącymi się zgłoszeniami agentów handlujących nieruchomościami. Podnosząc słuchawkę, usiadła na łóżku: przynajmniej dzisiaj nie musiała tłuc się po okolicy z pośrednikami. Wiedziała jednak, że Daphne lepiej by się pracowało w otoczeniu bardziej przypominającym dom.

— Halo?

— Czy mogę rozmawiać z Barbarą Jarvis?

— Przy telefonie — z przyzwyczajenia chwyciła notes i ołówek.

— Mówi Tom. Harrington.

Barbara spodziewała się wszystkich, tylko nie jego. Serce zabiło jej troszeczkę szybciej. Co znaczy ten telefon? Ale nie należało wyciągać pochopnych wniosków: pewnie to zwykła uprzejmość ze strony byłego męża dawnej koleżanki.

— Miło cię słyszeć, Tom. — Miała ochotę spytać, co może dla niego zrobić. Kto wie, czy podobnie jak większość ludzi, nie chce dotrzeć przez nią do Daphne.

— Jak spędziłaś popołudnie?

— Doskonale. Zdeptałam każdy centymetr Rodeo Drive.

— Kosztowny sposób spędzania czasu — spojrzał na książeczkę czekową, leżącą obok niego na łóżku. Eloise dokonała w niej potężnych spustoszeń. Pod tym względem nie różniła się niczym od swych poprzedniczek. W ciągu ostatnich pięciu lat przez życie Toma przewinęło się wiele takich kobiet jak Eloise, nigdy jednak nie trafił się nikt w rodzaju Barbary. — Co kupiłaś?

Pytanie wprawiło Barbarę w zakłopotanie. Zastanawiała się, o co mu właściwie chodzi. Po co do niej zadzwonił?

— Parę drobiazgów. W każdym razie na pewno nic takiego, co ty uznałbyś za godne uwagi.

— Oglądałaś bardzo ładną torebkę u Gucciego.

Więc jednak zauważył, pomyślała. Musiał być spostrzegawczy, no a poza tym dostatecznie długo ją obserwował, zanim do niej podszedł.

— Niestety, dla mnie troszeczkę za droga. — A tak w ogóle, co ona by nosiła w wytwornej czarnej torebce z jaszczurczej skóry? Notes i ołówki?

- Poproś swoją szefową o podwyżkę. — Barbara uchyliła się od odpowiedzi. Swojej szefowej nie musiała o nic prosić. Daphne i tak rozpuściła ją już jak dziadowski bicz. — Albo znajdź sobie jakiegoś miłego przyjaciela. Może by ci ją kupił?

— Obawiam się, że to nie w moim stylu — powiedziała chłodno.

— Tak też myślałem — jego głos zabrzmiał miękko i głęboko. Gdyby myślał inaczej, na pewno by do niej nie zatelefonował. Od drenowania portfela miał Eloise, nie Barbarę. — Dzisiaj po południu nie było okazji, aby spokojnie porozmawiać. Czy wyszłaś za męża?

— Nie. Jak tylko skończyłam Smitha, moja matka zachorowała i bardzo długo musiałam się nią opiekować. — Powiedziała to po prostu, bez żalu w głosie. Było, co było.

— Musiało ci być ciężko — stwierdził z podziwem. Sandy nigdy by się nie zdobyła na podobne poświęcenie. Nie mógłby ręczyć nawet za siebie. — Kiedy zaczęłaś pracować dla Daphne Fields?

— W niepełnym wymiarze czasu mniej więcej cztery lata temu, a potem zaangażowała mnie na pełny etat.

— Lubisz ją?

— Ubóstwiam. Jest najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam, a praca dla niej to duża frajda.

— Dość niezwykła opinia, gdy mowa o kobiecie sukcesu. — Tom widział ich w życiu wiele i prawie żadna nie należała do osób łatwych w pożyciu.

— Ale prawdziwa, jeśli chodzi o Daphne. To chyba najmniej wymagająca kobieta, jaką znam. Po prostu pracuje, wie swoje ciche życie i ma ludzkie serce...

— To miłe — odparł. Dziwne, lecz nie wydawał się szczególnie zainteresowany osobą Daphne. — Słuchaj, niewiele zdążyliśmy sobie powiedzieć: jak byś się zapatrywała na małego drinka? Muszę się dzisiaj spotkać na szybkiej kolacji z moimi partnerami, żeby omówić parę kontraktów, ale około dziewiętej powinienem być już wolny. Moglibyśmy się spotkać w Polo Lounge, jeśli ci to odpowiada... — zawiesił głos. Najwidoczniej nie miał pewności, jak Barbara potraktuje jego propozycję. Słusznie odgadł, że pilnie wystrzega się wszelkich nie przemyślanych kroków. — Co ty na to?

Barbara długo nie odpowiadała. Właściwie nie chciało jej się ruszać z hotelu, a poza tym podejrzewała, że Tom wcześniej jest umówiony na kolację z rudowłosą. Jednak z drugiej strony, nie miała nic do roboty, a zajęta pracą Daphne nie będzie jej potrzebować. Przy tym on okazał się taki miły... Nie zastanawiając się dłużej, wyraziła zgodę. — Okay. Czemu nie?

— W takim razie spotkamy się w Polo Lounge o dziewiątej. Dam ci znać, gdybym miał się spóźnić. Czy do tego czasu będziesz u siebie? — zapytał, choć intuicja podpowiadała mu, że na pewno tak.

— Owszem. Chcę zamówić kolację dla Daphne.

— Czy ona nigdy nie wychodzi? — Zawsze sobie wyobrażał, że pisarze nic, tylko wesoło się bawią, piją i bywają na przyjęciach.

— Bardzo rzadko, a kiedy pracuje, wcale. Teraz pisze scenariusz i odkąd tu przyjechałyśmy, nie opuściła swojego pokoju.

— Nie wygląda to zbyt rozkosznie.

— Bo nie jest rozkoszne. To ciężka praca. Naprawdę nie znam nikogo, kto harowałby tak jak ona.

— Jeszcze za życia zostanie świętą — powiedział z lekką ironią.

— Jeśli o mnie chodzi, to na pewno — w jej tonie odezwała się ostrzegawcza nuta. Dawała mu do zrozumienia, że w stosunku do Daphne nie wchodzi w grę żadne złośliwość ani teraz, ani nigdy. Barbara raz na zawsze przybrała wobec niej postawę kapłanki przy ołtarzu prywatnego bóstwa i nie obchodziło jej, czy ktoś uzna to za normalne, czy nie. Po prostu traktowała Daphne tak, a nie inaczej i koniec. — Do zobaczenia później, Tom.

— Już czekam z niecierpliwością — oświadczył, po czym biorąc prysznic i goląc się w swoim domu w Bel Air przed spotkaniem ze współnikami stwierdził ze zdziwieniem, że rzeczywiście nie może przestać myśleć o Barbarze.

Była niewątpliwie atrakcyjną kobietą, choć zapewne nikt nie nazwałby jej piękną: raczej interesująca niż seksowna, raczej inteligentna niż ładna, miała jednak w sobie coś bardzo pociągającego, a przy tym wyczuwało się w niej rzetelność i prostolinijność. Była osobą, która nie zawiedzie w potrzebie, kimś, z kim można poważnie porozmawiać i z kim można się pośmiać. Tom Harrington nigdy dotąd nie spotkał na swej drodze takiej kobiety. Pamiętał zresztą, że te cechy uderzyły go u Barbary już dwadzieścia lat wcześniej, stanowiły bowiem zupełne przeciwieństwo tego, co reprezentowała sobą Sandy. Sandy była śliczną blondyneczką, debutantką z Nowego Jorku, miała wspaniałe niebieskie oczy i uśmiech, który go rozbijał. Jednak rodzice rozpieszczali ją ponad wszelką miarę, a potem on kontynuował ich dzieło, choć w zamian spotykały go z jej strony same rozczarowania. Aż wreszcie uciekła z Austinem, zabierając dzieci, i odezwała się dopiero po dwóch tygodniach. Po rozwodzie przez jakiś czas nosił się z zamiarem wytoczenia jej sprawy o opiekę nad dziećmi, lecz to oznaczałoby ich rozdzielenie, a tego nie miał serca im zrobić. Od tamtej pory w jego życiu nie pojawił się nikt ważny. Teraz nie potrafiłby jasno określić uczuć, jakie nagle wzbudziła w nim Barbara: wiedział tylko, że coś ciągnie go do niej z nieodpartą siłą i że

już od pierwszej chwili, gdy ujrzał ją tego południa, zapragnął zobaczyć się z nią znowu, choćby miało się to skończyć zwykłą pogawędką.

Barbara weszła do pokoju Daphne i rzuciła okiem na nietkniętą tacę.

— Daff, znowu nic nie jadłaś — powiedziała z wyrzutem, jednak Daphne chyba w ogóle jej nie słyszała. Nadal pochylała się ze ściągniętymi brwiami nad maszyną i zapamiętale grzmociła w klawisze. — Daff...! Hej, dzieciaku? Papu?

Daphne podniosła głowę i spojrzała na nią nieobecny wzrokiem.

— Co? A, tak. Dobrze. Za chwilę. Chcę skończyć tę scenę. — Po paru sekundach spytała, nie odwracając głowy: — Wybierasz się dokądś?

— Na krótko. Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić przed wyjściem?

— Nie, nic mi nie trzeba. Przepraszam, że jestem taka nudna.

— Ja nie narzekam. — Barbara zaczęła mówić o Tomie, ale Daphne już znowu pisała. — Zobaczymy się później. I nie zapomnij coś zjeść.

Daphne nie odpowiedziała. Była już całe kilometry stąd, pochłonięta sceną rozgrywającą się w jej wyobraźni, więc Barbara tylko cicho zamknęła za sobą drzwi.

22

Tom dał jej nazwisko i adres znajomego pośrednika handlu nieruchomościami i już pierwszego popołudnia, po odbyciu z nim krótkiej wędrowki po Bel Air i Beverly Hills, Barbara znalazła dokładnie to, czego szukała. Był to śliczny domek przy Celio Drive w Beverly Hills, z trzema sypialniami, których okna wychodziły na wielki, zadbany ogród. Cały teren otaczał żywopłot i wysoki kamienny mur, porośnięty winem, dzięki czemu nie sprawiał wrażenia więziennego, a zarazem zapewniał całkowitą izolację. Wewnątrz rozciągał się ogromny trawnik, okalający również prosty, kwadratowy basen. Dom miał saunę i wannę z urządzeniem do masażu wodnego, a sam budynek był naprawdę ładny. Na podłodze z bladobeżowego marmuru umieszczono wielkie białe kanapy, na ścianach można było podziwiać bardzo cenną kolekcję współczesnej sztuki, a kuchnia wyglądała tak, jakby została żywcem przeniesiona z „Domu i Ogrodu”. Wnętrze było słoneczne i panowała w nim atmosfera spokoju. Wychodząca na basen biblioteka, z pomalowanymi na biało sosnowymi półkami, będzie idealnym miejscem pracy dla Daphne. Domek miał wszystko, czego potrzebowały. Cena była wprawdzie dość wysoka, ale Comstock na pewno ją zaaprobuje. Posiadłość należała do małżeństwa bardzo popularnych aktorów, którzy wyjechali kręcić film we Włoszech.

Z twarzy Barbary nie schodził pełen zachwytu uśmiech. Z myślą o wygodzie swojej pracodawczyni zlustrowała jednak skrupulatnie wszystkie pokoje i zakamarki, zajrzała do każdej szafy, każdej szuflady.

— No i co pani o tym sądzi, panno Jarvis?

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wprowadzimy się już jutro.

Wymienili uśmiechy. — Moi klienci będą bardzo radzi. Dom stoi pusty prawie od miesiąca. To doprawdy cud, że do tej pory nie został wynajęty, jednak właściciele postawili szereg warunków, jakie musi spełniać lokator. Czy pani pracodawczyni nie będzie chciała sama obejrzeć domu przed podpisaniem umowy?

— Nie przypuszczam. — Daphne była tak zaabsorbowana pracą, że nie zauważyłaby, gdyby Barbara wynajęła chatę plecioną z trzciny. — Jest bardzo zajęta.

— Może wobec tego wrócimy do mojego biura i załatwimy formalności?

Godzinę później Barbara podpisywała dokumenty wynajmu domu na rok i już następnego dnia wprowadziła się z Daphne do nowej siedziby.

Wieczorem Daphne wyruszyła na obchód posiadłości, żeby oswoić się z otoczeniem. Zwykle trudno było jej od razu wpaść w normalny rytm pracy w nowym miejscu, chciała się więc jak najszybciej zadomowić. Wszystko już sobie przygotowała, rozpakowała rzeczy i umieściła maszynę do pisania w ślicznym, małym pokoiku. Barbara znowu gdzieś wyszła, nie mówiąc Daphne dokąd. Od przyjazdu do Los Angeles zaczęła chodzić własnymi drogami i w ogóle bardzo się ożywiła, ba, wręcz rozkwitła, co Daphne niezmiernie cieszyło. Życie Barbary nie obfitowało dotąd w radości, a tutaj najwyraźniej czuła się szczęśliwa, więc Daphne, widząc to, także była szczęśliwa. Dziś jednak, kiedy tak siedziała sama w kuchni nad jajecznicą, z głową nabitą wątkami swojego scenariusza, poczuła się nagle strasznie samotna i jak zwykle w takich razach pobiegła myślą do Andy'ego, do czasów, kiedy jadali razem w ich dawnym mieszkaniu, i do dni tam spędzonych. A potem zaczęła rozmyślać, jak on teraz radzi sobie w Howarth, i raptem rozpaczliwie zapragnęła mieć go tu, przy sobie, uścisnąć, ucałować, przytulić. Zaszlochała, odsunęła talerz z jajecznicą i dziecinnym ruchem przywarła policzkiem do blatu stołu.

Po chwili wytarła nos i próbowała się pocieszyć, mówiąc sobie, że pośle po niego najszybciej jak tylko to będzie możliwe, a tymczasem postara się zapanować nad swoją tęsknotą. Ale wtedy przeszła ją myśl, że może on też w tej chwili siedzi samotnie w swoim pokoju i płacze, i ten obraz znowu wycisnął jej łzy z oczu. Wpadła w popłoch, ogarnęło ją przerażenie, że go zawiodła, że przyjazd do Kalifornii był wielkim błędem. Równocześnie całą duszą chciała, by ktoś dodał jej otuchy, zapewnił, że małemu nie dzieje się krzywda, powiedział parę dobrych słów. Mogła to zrobić tylko jedna osoba: Matthew. Nie sprawdzając nawet, która może być godzina na Wschodnim

Wybrzeżu, popędziła do telefonu wiszącego na ścianie w kuchni i modląc się, żeby jeszcze nie spał, drżącymi palcami wykręciła numer dawnego prywatnego numeru pani Curtis. Musiała z kimś porozmawiać. Zaraz, natychmiast.

Sekundę później w słuchawce rozległ się niski, zachrypnięty głos, którego sam dźwięk sprawił, że przestała czuć się tak okrutnie samotna.

— Matt? Tu Daphne Fields — słuchała go z zaschniętym gardłem, łykając łzy, które znowu napływały jej do oczu.

— Mam nadzieję, że nie dzwonię zbyt późno? Roześmiał się cicho. — Żartujesz? Mam przed sobą na

biurku pracę jeszcze na co najmniej dwie, trzy godziny. Miło słyszeć twój głos. Jak tam Kalifornia?

— Nie wiem. Jak dotąd zwiedziłam tylko hotelowy apartament, a teraz również wynajęty dom. Dzisiaj wprowadziłyśmy się do niego i chciałam ci podać mój nowy telefon.

— W czasie gdy Matthew zapisywał numer, przysłała trochę do siebie i kiedy zapytała o Andy'ego, miała nadzieję, że Matt nie dowie się z brzmienia jej głosu, jak bardzo jest przybita.

— Andy ma się świetnie. Dzisiaj nauczył się jeździć na rowerze na dwóch kółkach, mamusiu. Wieczorem miał się zabrać do pisania listu do ciebie...

Wszystko to było takie swojskie i zwyczajne, że nękające ją poczucie winy zaczęło słabnąć. Mimo to gdy się odezwała, nie potrafiła ukryć smutku. — Chciałabym tam być.

Matthew zamilkł na moment, zdjęty współczuciem.

— Już niedługo. Daphne — chwilę panowała między nimi pełna zrozumienia cisza. — Dobrze się czujesz?

— Myślę, że chyba tak... Tak — westchnęła. — Tylko jestem tutaj cholernie samotna.

— Pisarstwo skazuje człowieka na samotność.

— Tak samo jak porzucenie własnego syna — westchnęła znowu, tym razem głębiej, ale jej oczy pozostały suche. — Jak ci się wiedzie w Howarth?

— Było dość nerwowo, ale powoli wszystko zaczyna się układać. Zanim objąłem funkcję, wydawało mi się, że Howarth nie ma już dla mnie tajemnic, a tu tymczasem ciągle trafiam na tony akt, których nie przeczytałem, albo na dziecko, z którym dotąd nie zdążyłem porozmawiać. Wprowadzamy drobne zmiany, ale na razie nie jest to żadne trzęsienie ziemi. Będę cię na bieżąco informował o ważniejszych sprawach.

— Bardzo się cieszę, Matt — z jej głosu przebijało zmęczenie. I była w nim tęsknota małej dziewczynki, skazanej na przebywanie z dala od domu.

Nastąpiła znowu chwila milczenia, podczas której Matthew próbował wyobrazić ją sobie tam, daleko, w Kalifornii. — Jak wygląda twój dom?

Opisała go i odniosła wrażenie, że jest trochę zaintrygowany, zwłaszcza kiedy usłyszał, kto jest właścicielem. Rozmowa pozwoliła jej na krótko zapomnieć o przeżywanej udrecie. Matt nie zawiódł także w tym wypadku: był wrażliwy, mądry, silny i wywierał na nią kojący wpływ. Niemniej nadal trawił ją znajomy, głuchy ból, gdy z troską myślała o Andym.

— Naprawdę brakuje mi was wszystkich.

Matta ujęła ta liczba mnoga. — Nam również brakuje ciebie, Daphne — powiedział z uczuciem, od którego coś drgnęło jej w duszy. Siedzi oto w cichej kuchni o ósmej wieczorem i zwierza się niemal obcemu mężczyźnie, który mimo iż znają się tak krótko, zdążył zostać jej przyjacielem.

— Brakuje mi też rozmów z tobą, Matt.

— Mnie także... To głupie, ale czekałem na ciebie w ostatni weekend.

— Żałuję, że nie mogłam przyjechać. Wydaje mi się, że przebywam w miejscu oddalonym milion kilometrów od domu, i ewentualne uroki tego miejsca nic mnie nie obchodzą.

— Już wkrótce będziesz z powrotem. — Daphne wydało się nagle, że rok, który musi spędzić w Los Angeles, rozciąga się na całe życie. Znowu starała się powstrzymać łzy, podczas gdy on mówił dalej: — I pamiętaj, że dano ci wielką szansę. Oboje możemy się nauczyć tylu nowych rzeczy.

— Tak, zapewne... Chyba tak... Jak się czujesz w Howarth? — pomalutku, krok po kroku, odzyskiwali swobodny nastrój, jaki wytworzył się między nimi już podczas pierwszych rozmów prowadzonych w szkole, i Daphne poczuła się nieco raźniej. — Czy spełniły się twoje oczekiwania?

— Jak dotąd, owszem. Choć muszę przyznać, że czuję się tu tak samo oddalony od Nowego Jorku jak ty w Kalifornii — uśmiechnął się i rozsiadł wygodniej w fotelu. — W New Hampshire jest przeraźliwie cicho.

Zaśmiała się smętnie. — Jak ja to dobrze znam! Na początku, kiedy przywiozłam Andy'ego do szkoły, dzień i noc wsłuchiwałam się z lękiem w tę ciszę.

— Jak zdołałaś do niej przywyknąć? — Ujrzał w wyobraźni jej wielkie oczy i uległ złudzeniu, że te wszystkie dzielące ich kilometry gdzieś zniknęły.

— Prowadziłam dziennik. Stał się moim nieodłącznym towarzyszem. Może to zabawne, ale właśnie w ten sposób zaczęłam pisać. Notatki w dzienniku zamieniły się w eseje, potem przyszły opowiadania, później napisałam pierwszą książkę, a teraz... — rozejrzała się po białej kuchni — a teraz zobacz, do czego mnie to doprowadziło. Jestem na Zachodnim Wybrzeżu i pocę się nad scenariuszem filmu, nie mając zielonego pojęcia, jak się to robi. Kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że chyba lepiej będzie dla ciebie, jeśli pogodzisz się z ciszą i zostawisz wszystko jak jest.

Roześmiali się oboje. — Panno Fields, czy pani się uskarża?

— Nie — zastanowiła się nad jego pytaniem z melancholijnym uśmiechem. — Pewnie po prostu grymaszę.

Dzisiaj, kiedy do ciebie dzwoniłam, nie mogłam dać sobie rady z samotnością.

— To żaden wstyd. Niedawno zadzwoniłem do siostry i prawie się rozplakałem. Jedna z moich siostrzenic powtórzyła jej moje żale, i miałem nadzieję, że spotkam się z odrobiną współczucia.

— A co ci powiedziała?

— Że jestem niewdzięcznym draniem i że płacą mi dwa razy tyle, ile zarabiałem w New York School, więc powinienem się, do cholery, zamknąć i cieszyć z tego, co mam

— zaśmiał się, wspominając słowa siostry przekazane mu za pośrednictwem jej córki. — To właśnie jest cała Marta. I oczywiście miała rację. W pierwszej chwili byłem na nią wściekły. Potrzebowałem tkliwości, a dostałem kopa w tyłek. Nie ulega wątpliwości, że sobie na to zasłużyłem. W podobny sposób przemawiałem jej do rozumu przed naszą ucieczką do Meksyku.

— Jak to wtedy było? — Daphne nie miała już ochoty wracać do pracy. Chciała tylko siedzieć w kuchni i słuchać głosu Matta.

— Boże, Daphne, ucieczka do Meksyku to najbardziej szalona rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem, ale było cudownie. Przez pewien czas mieszkaliśmy w Mexico City, potem spędziliśmy trzy miesiące w Puerto Vallarta. To takie małe, senne miasteczko z brukowanymi ulicami, gdzie nikt nie mówi po angielsku. Marta nie tylko nauczyła się czytać z warg, ale opanowała też hiszpański — w jego głosie odezwały się podziw i miłość.

— Musi być wspaniałą kobietą.

— Tak... — rzekł miękko. — Rzeczywiście jest wspaniała. I wiesz co, jest bardzo podobna do ciebie. Ma odwagę i wielkie serce, a to rzadko idzie w parze. Większość ludzi, którzy doświadczyli cierpienia, staje się później twarda. Ani w jej, ani w twoim przypadku tak się jednak nie stało — mówił dalej, a Daphne mimo woli zaczęła sobie przypominać, ile właściwie powiedziała mu o sobie, lecz Matt od razu rozwiał jej wahania:

— Pani Obermeier opowiedziała mi o przyjacielu, którego tutaj poznałaś. Sama zresztą wspomniałaś o nim w rozmowie ze mną. — Matt wzdragał się przed wymówieniem imienia Johna, jakby bojąc się posunąć za daleko. — To musiał być niezwykły człowiek.

— Istotnie — westchnęła cichutko, z trudem starając się nie ulec nostalgii, jaka zaczęła ją ogarniać na wspomnienie Johna. — Niedawno zastanawiałam się, jak wyglądałoby moje życie, gdyby on żył nadal albo gdyby żył Jeff. Przypuszczam, że nie byłoby mnie teraz tutaj i nie musiałabym się tak męczyć nad maszyną do pisania.

— Ale nawet w połowie nie byłabyś tym, kim jesteś, Daphne. Wszystko co przeszłaś, stanowi dzisiaj część ciebie i właśnie to czyni cię kimś wyjątkowym. Nie wiem, czy można to nazwać szczęściem, ale w pewnym sensie nim jest. Przeżyłaś wiele tragedii, lecz zamiast im się poddać, uczyniłaś z nich przydatne narzędzie, które dodało ci głębi i piękna. To prawdziwe zwycięstwo.

Daphne zadumała się nad tymi słowami. Nigdy nie myślała

o sobie jak o kimś, kto odniósł zwycięstwo, po prostu udało jej się przeżyć. Była jednak świadoma, że ludzie tak właśnie malują sobie jej obraz: pokonała własną słabość, osiągnęła sukces. Tylko życie jest czymś więcej i nikt nie wiedział tego lepiej od niej: dużo więcej, nawet jeśli ona tego już nie miała

i nie chciała mieć. Ale bez względu na to, czego chciała i co miała, a czego nie, Matthew Dane sprawiał, iż po każdej rozmowie z nim czuła się dużo lepiej.

— Jesteś naprawdę bardzo dobrym przyjacielem, Matthew. Powodujesz, że znowu mam ochotę zdobywać świat.

— A wierz mi, świat wart jest zdobywania.

— Kto nauczył Andy'ego jeździć na rowerze? — zaciekała się, choć nie musiała zadawać tego pytania. Z góry znała odpowiedź.

— Ja. Dzisiaj po południu miałem wolną chwilę, a on też niczym się akurat nie zajmował. Zobaczyłem, jak przygląda się starszym dzieciom, i widziałem wyraz jego oczu, więc spróbowałem, no i świetnie mu poszło.

— Dziękuję ci, Matt.

— Za co? Przecież wiesz, że jestem i jego przyjacielem.

— Szczęściarz z niego.

— Nie, Daff — rzekł z przekonaniem. Jego głos tchnął dobrocią. — To nie on jest szczęściarzem, tylko ja. Dzięki takim dzieciom jak Andy czuję, że nie żyję na darmo.

Daphne nie zostało już wiele do powiedzenia. — Myślę, że powinniśmy się teraz pożegnać. Oboje mamy co robić. — Świadomość, że kiedy ona wróci do biurka, on też w tym samym czasie będzie siedział przy swoim, była w jakiś sposób kojąca i miła. Przyjemnie wiedzieć, że oboje spędzą jeszcze długie godziny nocy przy pracy. — Ucałuj jutro ode mnie Andy'ego i powiedz, że bardzo go kocham.

— Jak najchętniej. I... Daphne — zawahał się przez moment, niepewny, jakich słów użyć dla wyrażenia swoich uczuć, żeby jej nie zrazić. — Cieszę się, że zadzwoniłaś.

— Ja też — znowu zrobiło jej się ciepło na sercu. Jak to jednak dobrze mieć gdzieś życzliwą duszę. — Wkrótce znowu się odezwę.

Po skończonej rozmowie wydawało jej się, iż wyczuwa tu, w kuchni jego obecność. Zbliżyła się do biurka, spojrzała na rozłożoną robotę, po czym wkroczyła do sypialni. Tu włożyła kostium kąpielowy i wyszła do ogrodu, kierując się w stronę basenu. Woda była cudowna: przepłynęła kilkakrotnie długość basenu, wciąż błędząc myślami przy Matcie. Wspaniale odświeżona wróciła do biurka. Pół godziny później była już w innym świecie, bez reszty pochłonięta scenariuszem. A w New Hampshire Matthew Dane odłożył papiery, zgasił światło i spoglądając w ogień, dalej myślał o Daphne.

— Jaka ona jest, Barb? — Barbara i Tom leżeli wyciągnięci na brzegu jego basenu. W ciągu dwóch tygodni, jakie minęły od przeprowadzki do nowego domu, Barbara prawie nie widywała Daphne, która pracowała tak zapamiętale, że w ogóle nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Barbara skrupulatnie wykonywała swoje codzienne obowiązki, a wieczorami spotykała się z Tomem. Przez te dwa tygodnie życie ich obojga gruntownie się odmieniło; zostali kochankami. Teraz odpoczywali nad basenem przy jego domu i trzymając się lekko za ręce przyglądali się zachodowi słońca. Tom od pewnego czasu z fascynacją słuchał opowieści Barbary o Daphne.

— Dużo pracuje, potrafi bardzo mocno kochać, ma mnóstwo współczucia dla innych i jest pełna smutku.

— No pewnie. To, przez co w życiu przeszła, mogłoby dobić dziesięcioro ludzi.

— Ale nie ją. To właśnie jest w niej zdumiewające: ukryta siła przy ogromnej dobroci. Nikt nie jest tak jak ona otwarty na los bliźnich i nikt nie ma w sobie tyle ciepła i łagodności.

— W to już nie uwierzę — Tom potrząsnął głową i poszukał wzrokiem oczu Barbary.

— Dlaczego? To prawda.

— Ponieważ nie istnieje człowiek, który miałby więcej ciepła i łagodności niż ty. — Gdy to powiedział, po raz kolejny uzmysłowiła sobie swoje szczęście. Zamilkła na chwilę, a Tom tylko na nią patrzył. Wreszcie przechylił się i czule ją pocałował. On też nigdy, odkąd sięgał pamięcią, nie czuł się szczęśliwszy niż przez ostatnie dwa tygodnie, gdy widział, jak Barbara rozkwita przy nim niczym letni pąk. Śmiała się, była wesoła, a jej spojrzenie miało teraz więcej życia aniżeli wtedy, kiedy się poznali, podczas jej studiów w college'u.

— Spójrz na siebie. Ty także cierpiełaś. Nie można być szczęśliwym, gdy jest się zupełnie samotnym. Ja niby nie byłem sam, a mimo to ciągle mi czegoś brakowało.

— Wtedy u Gucciego wcale nie wyglądałeś na nieszczęśliwego — uwielbiała pokpiwać sobie z niego w ten sposób. Eloise zniknęła z horyzontu dwa tygodnie temu, a już dowiedzieli się, że żyje z pewnym aktorem.

Dziś Barbara wiedziała jednak, jak bardzo Tom był osamotniony w małżeństwie. Gdy jej się zwierzył, ona również otworzyła przed nim serce, obdarzając go całkowitym zaufaniem. Tak

dotkliwie został zraniony, znacznie mocniej niż ona przez owego prawnika, z którym kiedyś zaszła w ciążę. I o tym też mu opowiedziała. Kołysał ją w ramionach, kiedy płakała, wylewając całą gorycz i poczucie winy, szczelnie zamknięte w niej przez ponad trzynaście lat. Potem przyznała się, iż w głębi duszy boleje nad tym, że jest już za stara, aby mieć dzieci.

— Nie bądź śmieszna, ile masz lat?

— Czterdzieści — odpowiedziała. On miał czterdzieści dwa i teraz spoglądał na nią z tkliwą pobłażliwością.

— Na miłość boską, w dzisiejszych czasach kobiety rodzą mając czterdzieści pięć, siedem, a nawet pięćdziesiąt lat. Czterdzieści to teraz pestka. Czy istnieją konkretne medyczne przeciwwskazania, które nie pozwalają ci mieć dzieci?

— Nic mi o nich nie wiadomo. — Z wyjątkiem może tajonego strachu, że aborcja spowodowała jakieś uszkodzenia i że w ich wyniku nie będzie już mogła urodzić. Przez ubiegłe lata nie przejmowała się tym, ponieważ z oczywistych przyczyn nie miało to dla niej praktycznie żadnego znaczenia. Teraz jednak sytuacja się zmieniła, przynajmniej zdaniem Toma.

— Naprawdę już za późno. To śmieszne, żeby w moim wieku myśleć o dzieciach.

— Jeśli ich pragniesz... Dzieci były największą radością mojego życia. Nie pozbawiaj się tego, Barbaro.

Przedstawił jej Alexandre, mogła zatem przekonać się sama, że to, co mówił o dzieciach, nie było bezpodstawne. Alexandra była śliczną, wesołą, miłą w zachowaniu dziewczynką o pięknych blond włosach Sandy i ujmującym sposobie bycia ojca. Syna Toma, Boba, Barbara dotąd jeszcze nie poznała, ale z tego, co o nim słyszała, musiał żywo przypominać ojca, więc nie wątpiła, że i jego bardzo by polubiła.

Przez sześć tygodni Barbara ukrywała swój sekret przed Daphne, aż któregoś ranka, po powrocie do domu, zastała ją siedzącą w salonie przed opróżnioną niemal do dna butelką dżinu.

— Co ci się stało?

— Zrobiłam!

— Co zrobiłaś?

— Skończyłam scenariusz! — Daphne wręcz tryskała energią i dumą, patrząc na Barbarę błyszczącymi z podniecenia oczami. Miała uczucie, że odniosła największy triumf w życiu, choć najważniejsze było to, że dzięki sprawnemu uporaniu się z zadaniem szybciej ujrzy Andy'ego.

— Hurra! — Barbara objęła ją mocno, po czym otworzyła małą butelkę szampana. Przy trzecim kieliszku Daphne spojrzała na nią figlarnie, nie kryjąc zaciekawienia.

— No co, powiesz mi wreszcie?

— O czym? — nie zrozumiała w pierwszej chwili Barbara.

— O tym, gdzie spędzasz każdą noc, podczas gdy ja tu zaharowuję się na śmierć — Daphne wyszczerzyła zęby w uśmiechu, a Barbara zrobiła się czerwona jak piwonia.

— I nie opowiadaj mi, proszę, że chodzisz do kina.

— Chciałam ci powiedzieć, ale... — przybrała rozmarzony wyraz twarzy, na którego widok Daphne aż jęknęła.

— O Boże, wiedziałam. Zakochałeś się — pogroziła Barbarze palcem. — Tylko mi nie mów, że wychodzisz za męża. Przynajmniej dopóki nie skończymy filmu. — W Barbarze zamarło serce. Nie dalej jak minionej nocy Tom wspomniął

o małżeństwie, a jej odpowiedź brzmiała niemal identycznie jak to, co teraz usłyszała od Daphne. Tom poczuł się nieco dotknięty lojalnością Barbary wobec pracodawczyni, lecz zgodził się odłożyć decydującą rozmowę do bardziej sprzyjającego momentu.

— Nie wychodzę za męża, Daff... To znaczy, na razie... Ale muszę przyznać, że za nim szaleję — uśmiechnęła się radośnie. Wyglądała w tej chwili raczej jak podłotek niż jak czterdziestoletnia kobieta.

— Czy mam szansę go poznać? Czy jesteś pewna, że to ktoś godny zaufania? Czy myślisz, że go zaaprobuję?

— Tak, tak, tak na wszystkie trzy pytania. Jest cudowny

i kocham go do nieprzytomności, i ożenił się z moją współlokatorką z college'u, i wpadłam na niego u Gucciego, gdzie był z niewiarygodnie piękną rudowłosą głuptaską, i... — słowa cisnęły jej się na usta, chciała wszystko wyrzucić z siebie na raz, aż Daphne zaczęła się śmiać.

— Do licha, zdaje się, że uciekło mi mnóstwo rewelacji. Czym on się zajmuje? Mam nadzieję, że nie jest aktorem...

— zyczyła Barbarze jak najlepiej i za nic nie chciała, żeby znowu ktoś ją skrzywdził. Nagle zmarszczyła brwi, przypomniawszy sobie wzmiankę o jego ślubie z koleżanką Barbary.

— Czy wciąż jest żonaty?

— Oczywiście, że nie, rozwiódł się już dawno. Jest prawnikiem i pracuje w Baxter, Shagley, Harrington and Row.

— Daphne przyjęła to z westchnieniem ulgi.

— Wiesz coś o nich?

— Ty też, głuptasio. W każdym razie powinnaś. Wprawdzie dotąd nie miałyśmy jeszcze z nimi do czynienia, ale Iris poruszyła ten temat przed naszym wyjazdem z Nowego Jorku. Reprezentują wytwórnię Comstocka, między innymi w kwestiach prawnych związanych z produkcją twojego filmu. Nie wiedziałaś o tym?

— Zapomniałam. Czy to właśnie twój przyjaciel będzie się nami zajmował?

— Nie wiem. Tkwi teraz po uszy w sprawie podatkowej któregoś z klientów.

— Co się stało z jego żoną?

— Uciekła z Austinem Weeksem.

— Tym aktorem? — Daphne na chwilę zamurowało, po czym natychmiast, dokładnie jak Barbara dwa miesiące wcześniej, uprzytomniła sobie, że zadała niemądre pytanie. — Ależ idiotka ze mnie. To musiał być ciężki cios dla twojego przyjaciela. Austin Weeks ma już chyba ze sto lat.

— Co najmniej, ale jest przy tym diabelnie bogaty i ciągle jeszcze bardzo przystojny. — Daphne pokiwała głową.

— A tak przy okazji, jak się nazywa twój ukochany?

— Tom Harrington.

Uśmiechnęły się do siebie. Daphne wyraźnie poweselała, w widoczny sposób zadowolona z obrotu spraw. — Bardzo się cieszę ze względu na ciebie, Barb — wzięła kieliszek z szampanem i wzniosła toast za Toma i swoją przyjaciółkę. — Mam nadzieję, że będziecie żyli długo i szczęśliwie... — Nie przestając się uśmiechać, zaznaczyła jednak: — Ale dopiero kiedy skończymy film — w jej oczach znowu zapłonął ten gorączkowy blask, który Barbara obserwowała od czasu ich przyjazdu do Kalifornii. Daphne miała jeden cel: pracować, pracować i jeszcze raz pracować, wykonać robotę i czym prędzej wracać do domu. Ale takie jej nastawienie napawało teraz Barbarę przerażeniem, ona bowiem wcale nie śpieszyła się z powrotem.

Następnego dnia przedstawiła Toma Daphne. Popijali drinki nad basenem i kiedy spotkanie miało się ku końcowi, Barbara śmiało mogła sobie powinszować: Tom najwyraźniej spodobał się Daphne. Rozmowa toczyła się miło i swobodnie, a na pożegnanie Daphne pocałowała go w policzek i kazała mu się dobrze opiekować Barbarą. Gdy wsiedli do samochodu, pomachała im ręką, po czym wolno wróciła nad basen i pozbierała kieliszki. Przez wzgląd na Barbarę czuła się szczęśliwa, choć ogarnęło ją dziwne wrażenie, jakby przed chwilą odprowadziła dwoje wspaniałych ludzi, wyruszających w daleką morską podróż, i została sama na brzegu.

Tego wieczoru przygotowała sobie na kolację kanapkę, a następnie postanowiła zatelefonować do Matta. Pracując nieprzerwanie przez dwa miesiące, nie zdążyła nawiązać w Los Angeles żadnych znajomości, więc tym chętniej od czasu do czasu dzwoniła do niego. Stawał jej się coraz bliższy, nie mówiąc już o tym, że tylko przez niego mogła utrzymywać kontakt z Andym. Dziś jednak w jego pokoju nikt nie odebrał telefonu. Zdarzyło się to pierwszy raz i mimo woli zastanowiła się, dokąd też mógł wyjść. Nagle przyszło jej do głowy, że pewnie poszedł się spotkać z jakąś kobietą. Każdy na tym świecie kogoś ma. Każdy, tylko nie ona. Ona miała jedynie małego chłopca, który przebywał w oddalonej od niej o trzy tysiące mil szkole dla głuchych. Znowu poczuła się przeraźliwie samotna i nawet to zwycięstwo, jakim było ukończenie scenariusza, nie

zdołało stłumić dojmującego smutku, z którym po kolacji poszła się położyć. Długo leżała, walcząc ze łzami, podczas gdy cała jej dusza wyrывała się do Andy'ego.

24

Ludzie z wytwórni Comstocka rozplýwali się nad scenariuszem Daphne. Orzekli, że jest jeszcze lepszy niż książka, i nie mogli się doczekać rozpoczęcia prac nad filmem. Umowy z aktorami były dawno podpisane, dekoracje stały gotowe i pierwsze sceny miały zostać nakręcone najdalej za trzy tygodnie. Odebrawszy niezliczone gratulacje, Daphne wracała do domu niezmiernie zadowolona i podekscytowana. Główną rolę męską powierzono Justinowi Wakefieldowi. Daphne uważała wprawdzie, że jak na jej bohatera jest odrobinę za przystojny, ale nie mogła zaprzeczyć, że zawsze była pełna podziwu dla jego talentu.

— No, proszę pani, jakie uczucie? — spytała Barbara, otwierając drzwi po przyjeździe do domu.

— Bo ja wiem? Chyba jestem w szoku. Naprawdę spodziewałam się, że uznają scenariusz za nieudany. — Daphne usiadła na białej kanapie i rozejrzała się dookoła lekko nieprzytomnym wzrokiem.

Barbara skwitowała to śmiechem. — Masz bzika, Daff. Przedtem też się obawiałaś, że w Harbor uznają twoje książki za okropne, a oni niezmiernie byli i są nimi zachwyceni.

— No więc zgoda, mam bzika — uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. — Widać taka już moja uroda.

- Co zamierzasz zrobić przez te trzy tygodnie, zanim zaczną się zdjęcia? — Daphne nie potrafiła oderwać się od maszyny na trzy dni, a co dopiero na trzy tygodnie. Barbara jednak domyślała się, co usłyszy w odpowiedzi.

— Żartujesz? Natychmiast dzwonię do Matta, żeby wsadził Andy'ego w najbliższy samolot.

— Nie chcesz sama polecieć do Nowego Jorku?

Daphne potrząsnęła głową i wpatrzyła się w basen widoczny za oknem. — Yhm. Myślę, że jemu będzie się tu bardzo podobało i że chyba już czas, aby zobaczył trochę świata poza Howarth. — Barbara przytaknęła w milczeniu, zastanawiając się, jaki też okaże się ten mały chłopczyk; nigdy przecież nie miała okazji go zobaczyć. Daphne spojrzała na nią z serdecznym uśmiechem. — Pojedziesz z nami do Disneylandu?

— Z radością. — W najbliższym czasie Tom wybierał się w interesach do Nowego Jorku i już sama myśl o tym, że go zabraknie, była dla niej nieznośna. Myślała z paniczną trwogą, co się z nią stanie, kiedy pod koniec roku będzie musiała wrócić z Daphne do Nowego Jorku. Wciąż jeszcze

nie powiedziała „tak” na jego propozycję małżeństwa, twierdząc, że na razie nie może opuścić przyjaciółki.

Pół godziny później Daphne poszła zadzwonić do Howarth, do Matthew Dane'a.

— Cześć, Matt. Jak się masz?

— Świetnie. A jak twój scenariusz?

— Wspaniale. Już go skończyłam i właśnie dzisiaj dowiedziałam się, że są nim oczarowani. Wyobrażasz sobie? Zaczynamy za trzy tygodnie.

— Musisz być cholernie przejęta — jego głos zdradzał autentyczne zadowolenie.

— Jestem. I chciałabym najbliższe dwa, trzy tygodnie spędzić z Andym. Jak myślisz, ile czasu zajęłoby ci wyekspediowanie go na lotnisko?

Matthew rzucił okiem na kalendarz stojący na biurku. — Jeśli chcesz, mogę zawieźć go do Bostonu w sobotę. Nie za późno?

Uśmiechnęła się. — Za późno, ale trudno. Domyślasz się zapewne, że liczę minuty, jakie dzielą mnie od spotkania z nim.

— Owszem. — Wiedział lepiej niż sądziła, jaka jest samotna. Wnosił to choćby z częstotliwości telefonów. I za każdym razem zachodził w głowę, jak to się dzieje, że kobieta o takiej wspaniałej urodzie i błyskotliwym umyśle, która odniosła olbrzymi sukces, może być aż tak sama. Jej drzwi powinien bez przerwy oblegać tłum mężczyzn, a tu... Wiedział jednak również, że z jakiegoś powodu ona wcale sobie tego nie życzy. — A poza tym, jak ci się tam żyje, Daff?

— Żyje? Mnie? Odkąd tu zjechałam, nic tylko pracowałam. Aż nagle skończyłam i teraz odsypiam zaległości. Dzisiaj pierwszy raz wyszłam z domu, żeby pójść do Comstocka, i czułam się tak, jakbym wylądowała na obcej planecie.

— Witamy na Ziemi, panno Fields. Co będziecie robić po przyjeździe Andy'ego?

— Na początek wybierzemy się do Disneylandu.

— Szczęściarz z małego — Matthew uśmiechnął się na myśl, jak Andy będzie się później przechwalał przed kolegami, ale znając go, był pewny, że nie będzie tego robić w sposób przykry dla innych. Nie był dzieckiem tego pokroju.

— A potem zobaczymy. Może po prostu będziemy się wylegiwać nad basenem, chociaż szczerze mówiąc, takie nieróbstwo jest dla mnie zabójcze. Wciąż prześladuje mnie myśl, że każda zmarnowana minuta opóźnia wydostanie się z Los Angeles.

— Czy nigdy nie zatrzymujesz się w tym szalonym pędzie, żeby nacieszyć się chwilą?

— Tutaj nie, jeśli to tylko zależy ode mnie. Nie przyjechałam tu, żeby się bawić, lecz żeby pracować — odpowiedziała stanowczo. Czasem, gdy się jej słuchało, można było odnieść

wrażenie, że ma się do czynienia z kimś owładniętym przez jakieś demony. On jednak znał imię tego demona: robiła wszystko, żeby być jak najbliżej Andy'ego.

— Matt... — nagle w jej głosie odezwało się zdenerwowanie i napięcie. — Naprawdę wierzysz, że nic mu nie grozi podczas lotu? Mogę przylecieć do was, jeśli uznasz, że tak będzie lepiej. — Czowała się wprawdzie śmiertelnie zmęczona, ale nie miało to znaczenia, gdy w grę wchodził Andy.

— Nic mu się nie stanie, Daff. Pozwól mu spróbować rozwinąć skrzydła. W jego życiu to będzie ważny krok do przodu.

— A jeśli jednak spotka go coś złego?

— Zaufaj mu. I mnie także. Nie spotka go nic złego. Zadzwoń nazajutrz, aby powiedzieć, o której dokładnie

Andy będzie na miejscu. Na następny dzień miał zarezerwowany lot z Bostonu prosto do Los Angeles. Samolot wylądaje o trzeciej po południu. Usłyszawszy to Daphne nagle zwątpiła, czy wytrzyma jeszcze te dwadzieścia cztery godziny. Pragnienie chwycenia dziecka w objęcia stało się tak ogromne, że jej ciało aż skręcało się z fizycznego bólu. Każda sekunda dzieląca ją od tej wytęsknionej chwili będzie się teraz wlokła w nieskończoność.

— Jesteś tak samo niecierpliwa jak on — powiedział, uśmiechając się, Matthew.

— To prawda. — Zaraz jednak spoważniała. — Czy nie boi się samodzielnej podróży samolotem?

— Ani trochę. Cieszy się na nią, jest przekonany, że to będzie wspaniała przygoda.

Daphne westchnęła do słuchawki. — Nawet jeśli on jest już psychicznie przygotowany do takiej próby, to ja chyba nie.

— Przez tyle lat pozostawał nieprzerwanie pod najściślejszą opieką, a teraz raptem Matthew puszcza go samego na głębokie wody. Być może bezpośredni lot do Kalifornii to nic wielkiego, ale Daphne nie mogła opanować strachu.

— Czego ty się właściwie boisz, Daff? Czy przypadkiem nie tego, że w końcu stanie się niezależny? — Matt powiedział to łagodnym tonem, lecz cios był poniżej pasa i w chabrowych oczach Daphne pojawił się gniew.

— Jak możesz tak mówić?! Wiesz, że tego właśnie pragnę!

— W takim razie pozwól mu wreszcie wejść na drogę samodzielności. Nie każ mu czuć się innym przez całe życie, bo on nie musi być inny, chyba że ty go na to skąsz.

— Dobrze, dobrze, już to kiedyś słyszałam. Rozumiem.

— Stopień zażyłości, jaka zadzierzgnęła się między nimi dzięki długim rozmowom przez telefon, pozwalał jej się trochę na niego pozłościć, co też niekiedy się zdarzało, lecz zawsze trwało równie krótko jak tym razem. Matthew, jak zwykle, miał rację.

— Daphne, on będzie bardzo z siebie dumny, a ty będziesz dumna z niego. — W skrytości ducha nie mogła się z tym nie zgodzić. — To normalne, że będziesz się niepokoić, ale już jutro o tej porze poczujesz się tak dobrze jak w raju. Tylko nie zapomnij do mnie zadzwonić, kiedy Andy przyleci. — Na odmianę teraz Matthew wydawał się zatroskany o małego niczym kwoka o swoje pisklę.

— Na pewno nie zapomnę. Zadzwonimy od razu z lotniska.

— Ja jutro zrobię to samo w Bostonie.

Dotrzymał słowa i z tą chwilą dla Daphne rozpoczęła się sześciogodzinna męka oczekiwania. Bez przerwy zerkała na zegarek i na krok nie odstępowała od telefonu., zżerana strachem, że zajądą nie przewidziane komplikacje, że coś stanie się z samolotem, że Andy nie zdoła porozumieć się ze współpasażerami albo że zacznie go dręczyć jakieś dziecko, jak to było kilka lat temu na placu zabaw. Wreszcie doszła do wniosku, że popełnili grubą błąd, każąc mu samotnie stawić czoło światu. Wkrótce jednak przyszła refleksja: może jednak Matthew miał słuszość, może rzeczywiście była to bitwa, którą Andy musiał stoczyć i wygrać samodzielnie, nie dzieląc z nikim swojego zwycięstwa?

— Dobrze się czujesz? — Barbara wetknęła głowę przez drzwi pokoju Daphne i ujrzała jej ściągniętą z napięcia twarz. — Miałaś jakieś wiadomości?

— Tyle że wsiadł do samolotu. Od tej chwili cisza.

— Czyli w porządku. Masz ochotę coś zjeść? — spytała troskliwie, a Daphne zaprzeczyła ruchem głowy. Najmniejszy kęs nie przeszedłby jej teraz przez gardło. Całą sobą była przy synku, który właśnie zmierzał ku niej, gdzieś tam wysoko, powietrznym szlakiem. Postanowiła, że pojedzie sama na lotnisko, a Barbara będzie na nich czekać w domu. Zorganizowały na cześć małego skromne przyjęcie z papierowymi kapeluszami, balonikami i wstęgą z napisem: „Kochamy cię, Andy. Witaj w Kalifornii”.

Gdy zbliżał się czas wyjazdu na dworzec lotniczy, Daphne wzięła prysznic, po czym starannie się ubrała. Włożyła beżowe spodnie, sandały, białą jedwabną bluzkę i blezer w zbliżonym kolorze, który Barbara kupiła jej na Rodeo Drive. Leżał na niej jak ulał i Barbara, przyglądając się Daphne, kiedy brała torebkę i szła do wyjścia, orzekła w duchu, że przyjaciółka wygląda naprawdę prześlicznie. W drzwiach Daphne odwróciła się i zanim wyszła, popatrzyła chwilę bez słowa na Barbarę. Następnie z uśmiechem opuściła dom, a Barbara, stojąc bez ruchu, myślała o tym, co dostrzegła w jej oczach. Była to miłość, jakiej Barbara nie zaznała i jakiej jej zazdrościła: miłość matki do dziecka stanowiącego nierozdzielny część jej istoty. I nic nie znaczyły jego kłopoty, nie było ważne, czy jest głuchy, czy nie. Był dla Daphne jej małym synkiem, którego kochała całym sercem i któremu ofiarowywała wszystko, co tylko mogła.

Na lotnisku Daphne spojrzała na wielką tablicę zapowiadającą przyloty i odetchnęła z ulgą, samolot bowiem nie miał spóźnienia. Podążyła zatem do wyjścia, gdzie jednak musiała czekać jeszcze pół godziny, ponieważ „tak na wszelki wypadek” przyjechała za wcześnie. Przyglądała się więc przez szyby startującym i lądującym samolotom i odliczała w myślach każdą upływającą sekundę. W końcu, na dziesięć minut przed planowanym przylotem samolotu z Bostonu, weszła do budki telefonicznej i zadzwoniła do Matthew.

— Doleciał szczęśliwie? — spytał z radością.

— Ma wylądować za dziesięć minut — w głosie Daphne zadźwięczała jakaś nowa, napięta struna. — Ale już nie mogłam wytrzymać napięcia i musiałam do ciebie zatelefonować.

— Ostatnie chwile oczekiwania, co? Wszystko będzie dobrze, Daphne. Obiecuję.

— Nie wiem. Nagle zdałam sobie sprawę, że nie widziałam go od dwóch i pół miesiąca. Co zrobię, jeśli się ode mnie odwróci, dlatego że wyjechałam? — Mogło się wydawać śmieszne, że teraz z kolei ona zlekka się spotkania z synem, jednak Matthew doskonale ją rozumiał.

— Nie odwróci się od ciebie, Daff. On cię kocha. I też nie może się doczekać spotkania z tobą. Przez ostatnie dwa dni nie mówił o niczym innym.

— Jesteś pewny? — miała wrażenie, że zaraz rozleci się na kawałki ze zdenerwowania.

— Najzupełniej. Daj spokój, dzieciaku, jeszcze tylko chwila. On prawie jest już na miejscu — spojrzał na zegarek.

W tym samym momencie koło Daphne powstał nieznaczny ruch; ludzie powoli zaczęli gromadzić się przy wyjściu z lotniska. Daphne raptem zrobiło się głupio. — Przepraszam za ten telefon — powiedziała z niepewnym uśmiechem. — Jestem taka roztrzęsiona...

— Ja też to przeżywam. Rozluźnij się. I słuchaj, nie dzwoń do mnie, dopóki nie znajdziecie się w domu. Jeśli wcześniej nie będę miał od ciebie telefonu, przyjmę, że dotarł szczęśliwie. Nie trać pierwszych wspólnych chwil z synem na kontaktowanie się ze mną.

— Dobrze — odparła i równocześnie ujrzała samolot, który toczył się wolno w jej stronę. Coś ścisnęło jej krtań, tak że nie była w stanie kontynuować rozmowy. — Och, Matt... widzę samolot... już jest tutaj... do widzenia — odłożyła słuchawkę, a on w Howarth uśmiechnął się rzewnie, czując, że i jego ogarnia rozczulenie.

Daphne nie wykonała żadnego ruchu w czasie, gdy samolot kołował w kierunku portu lotniczego, i dopiero kiedy się zatrzymał, zacisnęła rękę na metalowej poręczy. Chwilę później zobaczyła, jak z samolotu zaczynają się wysypywać ludzie: zmęczeni biznesmeni z teczkami, babcie z laskami, modelki z pudłami pełnymi zdjęć... ale nigdzie nie było widać Andy'ego. Stała więc dalej, przeczesując oczami tłum, i nagle go dostrzegła; śmiał się do stewardesy, która

obejmowała go za ramię, aż niespodziewanie spojrział w stronę Daphne, wskazał ją rączką i powiedział niemal zupełnie normalnie i wyraźnie: — Tam jest moja mamusia!

Zalana łzami Daphne rzuciła się ku niemu. Dobięła, chwyciła go w ramiona, zamknęła oczy i z całych sił przytuliła jego drobne ciało. Po dłuższej chwili odchyliła się na tyle, by mógł widzieć ruchy jej warg.

— Tak strasznie cię kocham!

Andy zaśmiał się uszczęśliwiony, na moment znowu mocno się w nią wtulił, by następnie cofnąć główkę i powiedzieć: — Ja też cię kocham, mamusiu.

Limuzyna, która na nich czekała, wywarła na chłopcu kolosalne wrażenie, podobnie jak dom, basen, no i okazjonalny powitalny tort. Starannie układając wargi, opowiedział Barbarze, jak mu minął lot. Mówił troszeczkę topornie, lecz rozumiało się go bez najmniejszego trudu. Po obiedzie wszyscy troje poszli popływać w basenie, a kiedy w końcu Andy położył się do łóżka, Daphne długo go otulała, głaskała jego jasne włoski i całowała, aż usnął. Została jeszcze przy nim przez jakiś czas i patrzyła na synka szczęśliwa, że znowu są razem. Andy był tutaj, z nią: ta jedna myśl opanowała ją całkowicie, wypierając wszystkie inne. Wreszcie wyszła rozrzuwiona z pokoju i skierowała się do kuchni, gdzie zastała Barbarę uprzątającą resztki tortu.

— Masz diabelnie fajnego dzieciaka, Daff.

— Wiem... — zabrakło jej słów. Bieg zdarzeń tego dnia sprawiał, że w oczach nieustannie kręciły jej się łzy, i tak było też teraz, gdy uśmiechnęła się do Barbary. Przeszła do swego gabinetu, aby zadzwonić do Matthew, a gdy się odezwał, powiedziała drżącym głosem: — Udało mu się, Matt... Udało mu się! — próbowała powtórzyć, co mówił Andy o swojej podróży, ale w połowie zdania przeszkodził jej płacz. Zaniósła się niepohamowanym łkaniem, wywołanym bezmiernym uczuciem ulgi. Matt, rozumiejąc ją doskonale, cierpliwie czekał, aż się uspokoi.

— Już dobrze, Daff... Już dobrze... Wszystko w porządku.

— Choć jego głos dobiegał z odległości trzech tysięcy mil, był tak łagodny i tkliwy, iż szlochającej coraz ciszej Daphne wydało się, że spoczywa w ramionach mężczyzny, który czule do niej przemawia. — Odtąd już wszystko będzie mu się udawać. Będzie miał wzloty i upadki, ale ostatecznie odnajdzie swoją drogę. Dałaś mu to, czego potrzebował najbardziej, i była to najpiękniejsza rzecz, jaką mógł od ciebie dostać.

— Daphne dobrze wiedziała, ile jej syn zawdzięcza Mattowi i tym wszystkim pracownikom szkoły, którzy dotąd się nim zajmowali. Ona jedynie była dostatecznie mądra, by im nie przeszkadzać.

— Dziękuję — odpowiedziała. Matthew odgadł jej myśli i po raz pierwszy od wielu lat poczuł, że i jemu wilgotnieją oczy. Jakimś nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymał się przed powiedzeniem Daphne, że ją kocha.

25

Wycieczka do Disneylandu udała się rewelacyjnie, przy czym Daphne i Barbara bawiły się równie dobrze jak Andy. Następny dzień spędzili na turystycznej farmie Knotts Berry, któregoś znowu popołudnia pojechali do La Brea Tar Pits, a jeszcze kiedy indziej zwiedzili studia Comstocka. No i codziennie długo pławili się w wodzie. Dwa tygodnie przeleciały zdecydowanie za szybko i kiedy nadszedł ostatni dzień pobytu Andy'ego u matki, obojgu zdawało się, że wszystko to trwało zaledwie kilka chwil. Siedzieli nad basenem, mówiąc do siebie znakami: Andy ze smutkiem w oczach wyliczał, co mu się tu podobało, i zwierzył się, że bardzo polubił Barbarę. Daphne, siłąc się na uśmiech, zapewniła go, iż Barbara także ogromnie go lubi. Nagle mały powiedział coś, co wprawiło ją w osłupienie.

— Czy zrobisz kiedyś tak jak ona, mamusi?

— Co masz na myśli? — odpowiedziała pytaniem na pytanie. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że miałyby „zrobić coś jak Barbara”.

— No wiesz, czy będziesz miała na stałe kogoś, kto cię kocha? — Zdążył już poznać Toma, do którego również poczuł silną sympatię, „prawie jak do Matta”, co u Andy'ego oznaczało najwyższy stopień uznania. Lecz to jego ostatnie pytanie było naprawdę trudne. Nagle olśniła ją myśl, że jeszcze niedawno podobna rozmowa byłaby niemożliwa. Zdziwiająco, jak głębokie treści potrafił już wyrazić za pomocą języka migowego, równocześnie odgadując wszystko, co mówili inni z wyrazu ich warg. Ostatnie zamknięte drzwi między nią a dzieckiem stanęły otworem: dokonali tego kochający go ludzie z Howarth. Przez chwilę jej myśli szybowwały gdzieś daleko, aż Andy musiał powtórzyć pytanie.

— Nie wiem, synku. Kogoś podobnego nie znajduje się ot, tak. To coś bardzo rzadkiego i szczególnego.

— Ale kiedyś już ci się to zdarzyło.

— To prawda — w jej oczach pojawił się nie znany mu dotąd odcień tęsknoty. — Z twoim tatusiem.

— I z Johnem — wciąż był wierny pamięci swego przyjaciela. Daphne potwierdziła skinieniem głowy.

— Tak.

— Chciałbym, żeby mój tatuś był taki jak Matthew.

— Naprawdę? — uśmiechnęła się trochę ze smutkiem, trochę z rozbawieniem: żeby nie wiedzieć jak się starała, zawsze pozostawało coś, czego mu nie dawała, bo nie mogła. Teraz tym czymś był tatuś. — Nie sądzisz, że możesz być szczęśliwy tylko ze mną? — pytanie było ważne, toteż bacznie obserwowała jego oczy i ręce, gdy odpowiadał.

— Tak, ale spójrz, jaka szczęśliwa jest Barbara z Tomem.

Daphne mimo woli zaśmiała się. Przecież on czynił jej niemal te same wymówki co najbliżsi dorośli przyjaciele... Ale sprawa była poważna, a Andy całkiem jasno wyłożył, o co mu chodzi.

— Łączy ich coś bardzo specjalnego, Andy. Człowiek nie zakochuje się codziennie. Czasem przytrafia się to tylko raz w życiu.

— Za dużo pracujesz — był o nią wyraźnie zaniepokojony.

— Nigdy nie wychodzisz z domu.

Jak to możliwe, pomyślała Daphne, aby ktoś tak młodzieńki potrafił tyle rozumieć?

— To dlatego, że chcę szybko skończyć pracę i wrócić do ciebie, do domu.

Wydawało się, że ta odpowiedź go zadowoliła, lecz kiedy szli na lunch, Daphne nadal nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia na wspomnienie tego, co od niego usłyszała. Zaczynał ją widzieć taką, jaką była, z jej wszystkimi zaletami, ale także z lękami, urazami i słabościami. Dorósł już nie tylko do samodzielnej podróży samolotem. Miał swoje własne przemyślenia i w tej chwili Daphne była z niego bardziej dumna niż kiedykolwiek.

— Może ja nie potrzebuję mężczyzny tak jak Barbara

— po lunchu sama wróciła do tematu, jakby czując, że musi przekonać syna o swojej racji.

— Czemu?

— Bo mam ciebie — uśmiechnęła się do niego ponad stołem zastawionym deserem.

— To niemądre. Przecież jestem tylko małym chłopcem

— patrzył na nią jak na kogoś, kto nie jest w stanie pojąć najprostszej rzeczy, aż znowu parsknęła śmiechem.

— Twardo dyktujesz mi swoje warunki, co?

Chyba nie w pełni zrozumiał sens tego zdania, wyrażonego znakami, dodała więc: — Nie mówmy już o tym. Lepiej się pośpieszmy, bo spóźnimy się na samolot.

I tym razem rozstanie nie było łatwe: żadne z nich nie wiedziało, kiedy znowu będą mogli się zobaczyć, toteż Andy tulił się do matki z buzią mokrą od łez, a Daphne z trudem usiłowała zapanować nad sobą.

— Kochanie, obiecuję ci, że znowu szybko do mnie przyjedziesz. A ja też na pewno wpadnę na kilka dni do Nowego Jorku, jak tylko uda mi się stąd wyrwać.

— Będiesz zbyt zajęta filmem — powiedział przeciągłym, matowym głosem. Odkąd przyjechał, mówił bardzo dużo prawie w normalny sposób.

— Mimo to postaram się. Naprawdę. I ty także się postaraj... Postaraj się nie być smutny i baw się dobrze z kolegami w szkole. Pomyśl, ile wspaniałych rzeczy masz im do opowiedzenia.

Jednak oboje nie pamiętali już o tym, kiedy stewardesa prowadziła go do samolotu. Nagle znowu stał się małym, siedmioletnim chłopcem, który bardzo potrzebował matki, a Daphne wydało się, że serce wyskoczy jej zaraz z piersi. Tak dobrze знаła ten rodzaj bólu, a za każdym razem cierpiała, jakby przeszywał ją po raz pierwszy.

Barbara, która stała w milczeniu obok zapłakanej Daphne, wodzącej niewidzącymi oczami za samolotem, objęła ją tylko ramieniem i przytuliła. Obie machały jak oszalałe w stronę oddalającej się maszyny, chociaż wiedziały, że Andy nie może ich widzieć.

Powrót do domu upłynął w ponurej ciszy. Po przyjeździe Daphne natychmiast zamknęła się w swoim pokoju, nie dzwoniąc nawet do Matthew. On zrobił to zamiast niej, domyślając się, w jakim musi być teraz nastroju, a ton jej głosu dowodził, że się nie pomylił.

— Założę się, że czujesz się paskudnie, co Daff? Uśmiechnęła się przez łzy.

— To rozstanie było gorsze niż wszystkie poprzednie. Całkiem inne niż wtedy, kiedy zostawiałam go w szkole.

— Zrozum wreszcie, że nic nie trwa wiecznie. Któregoś dnia Andy wróci do ciebie już na stałe.

Wytarła nos i odetchnęła głęboko. — Trudno mi sobie wyobrazić ten dzień. A raczej to, że w ogóle nadejdzie.

— Nadejdzie, i to niedługo. A przez najbliższych kilka miesięcy będziesz miała mnóstwo pasjonujących zajęć przy filmie.

— Żałuję, że podpisałam ten cholerny kontrakt. Powinnam być w Nowym Jorku, blisko Andy'ego... — powiedziała ze złością, oboje jednak czuli, że nie jest w pełni o tym przekonana, że te słowa w znacznej mierze podsunął jej żal po wyjeździe syna.

— Cóż, skoro tak, to pośpiesz się i jak najprędzej skończ ten cholerny film, żebyś mogła do nas wrócić. Osobiście też nie miałbym nic przeciwko temu. Do diabła, jesteś jedyną matką, przed którą mogę się trochę poużalać nad sobą.

Daphne roześmiała się i wyciągnęła na łóżku.

— Jezu, Matt, życie jest czasem takie smutne.

— Przeżyłaś już gorsze rzeczy.

— Dzięki za przypomnienie — rzuciła, nie przestając się uśmiechać.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Zawsze do usług. — Potrafili już przekomarzać się ze sobą w taki sposób, a Daphne bez oporów zwierzała mu się ze wszystkich problemów, które dotyczyły Andy'ego i jej pracy. Innych przecież nie miała. — Kiedy zaczynacie zdjęcia?

— Pojutrze. Przez ostatnie dwa tygodnie aktorzy przymierzali kostiumy, nazywają to „wietrzeniem szafy”. Ale na serio biorą się do roboty dopiero za dwa dni i odtąd będę musiała być obecna na planie. Prawdopodobnie przyjdzie mi trochę pozmienić niektóre sceny, no i mam się wszystkiemu bacznie przyglądać. Praktycznie będę tylko kimś w rodzaju doradcy. Cała praca spadnie na reżysera i aktorów.

— Poznałaś ich już?

— Aktorów tak, z wyjątkiem Justina Wakefielda. Kręcił coś w Ameryce Południowej i wrócił dopiero kilka dni temu.

— Musisz mi potem o nim opowiedzieć — w głosie Matta pojawiła się jakaś nowa nuta, której jednak Daphne nie umiała określić.

— Podejrzewam, że to zwykły dupek. Każdy facet tak przystojny jak on musi być zepsuty do szpiku kości.

— Niekoniecznie. A nuż okaże się całkiem miły?

— Interesuje mnie tylko, żeby przyzwoicie wykonał swoją robotę.

Film mówił o współczesnym człowieku, w połowie Apaczu, o tym, jak pochodzenie odcisnęło się na jego życiu, jakich przysparzało mu kłopotów, a jakich radości. Była to opowieść o człowieczeństwie, o ludzkiej tożsamości, zupełnie nie poruszająca kwestii rasowych. Miała ostrą wymowę i powszechne zdziwienie budził fakt, że napisała ją kobieta. Jeżeli Justin Wakefield dobrze zagra swoją rolę, będzie mógł za nią dostać Oscara, o czym, jak podejrzewała Daphne, na pewno musiał wiedzieć. Był wspaniałym blondynem, uwielbianym przez wszystkie istoty płci żeńskiej w kraju, i można się było spodziewać, że jego udział w „Apaczu” zagwarantuje filmowi ogromne powodzenie.

— Jedno, co na razie mogę o nim powiedzieć, to że naprawdę zna swoje rzemiosło.

— Jeśli znajdziesz chwilkę czasu, zadzwoń, żeby mi donieść, jak wam idzie.

— Naturalnie, że zadzwonię. Przecież bez względu na to, jak będę zajęta, muszę wiedzieć, co słyhać u Andy'ego. W studiu z pewnością jest telefon, więc i ty zawsze będziesz mógł mnie tam złapać. Przedzwonię ci numer. — Później wyruszą także w plener, do Wyoming, ale zanim to nastąpi, przez kilka miesięcy będą kręcić na miejscu, w studiu.

— Zatelefonuję do ciebie zaraz po przyjeździe Andy'ego.

— Dzięki, Matt. — Jak zwykle rozmowa z nim przyniosła jej ukojenie i ból po rozłące z synem nie był już taki piekący. — Matt...?

— Tak?

— Kto o ciebie dba?

— Co takiego? — nie zrozumiał.

— Kto ciebie pociesza i uspokaja? Jesteś zawsze, kiedy cię potrzebuję. To nie fair. — Przez wiele lat nie miała nikogo, na kim mogłaby się wesprzeć, i teraz czasami budziło się w niej poczucie winy względem Matta.

— W życiu płacisz określoną cenę za to, że kogoś kochasz, Daff. Nie mówię tego o sobie, tylko o tobie. — Skinęła głową: rzeczywiście płaciła. — Zadzwoń później.

— Dziękuję. — Rozłączyli się, a Daphne zaczęła się zastanawiać, jak sobie radziła, zanim w jej życiu pojawił się Matthew Dane.

26

Kręcenie początkowych ujęć filmu „Apacz” miało się rozpocząć w pomieszczeniach studia „A” wytwórni Comstocka o godzinie piątej piętnaście we wtorek rano. Pierwsze zdjęcia były zaplanowane na poniedziałek, ale Maureen Adams, odtwórczyni głównej roli żeńskiej, nabawiła się grypy. Kierownik produkcji obliczył, że ta zwłoka będzie kosztowała kilka tysięcy dolarów, podobne straty były jednak z góry wkalkulowane w budżet. Za to Austin Wakefield zyskał dodatkowy dzień na bardziej wnikliwe przestudiowanie scenariusza i odbycie konferencji z reżyserem, Howardem Sternem, starym hollywoodzkim wyjadaczem, wielbicielem cygar i kowbojskich butów, słynącym z szaleńczych napadów wściekłości na aktorów, ale poza tym uznanym geniuszem, mającym w dorobku wspaniałe filmy. Daphne była niezmiernie zadowolona, kiedy się dowiedziała, że to właśnie on ma reżyserować „Apacza”.

Tego dnia Daphne wstała o wpół do czwartej rano, wzięła prysznic, ubrała się, przyrządziła jajka dla siebie i Barbary i za kwadrans piąta była gotowa do wyjścia. Wsiadły do limuzyny czekającej przed domem i dokładnie o wyznaczonej godzinie dotarły do studia, gdzie zastały zespół niemal w komplecie, na czele z reżyserem, kopącym już swoje cygara i zajadającym orzeszki do spółki z operatorami. Maureen Adams kończyła się charakteryzować, nigdzie tylko nie było widać Justina Wakefielda. Daphne przywitała się z szefami wytwórni, którzy przybyli sprawdzić, czy wszystko przebiega bez zakłóceń, po czym została przedstawiona reżyserowi, a ten na jej widok wepchnął do kieszeni torebkę z orzeszkami i przez chwilę świdrował ją wzrokiem, wreszcie z szerokim uśmiechem wyciągnął do niej rękę.

— Jesteś strasznie malutka. Ale ładna, cholernie ładna.

— Nachylił się do Daphne i szepnął konfidencko:

— Powinnaś grać w filmie.

— Boże, tylko nie to! — śmiejąc się podniosła ręce w geście protestu. Howard Stern wyglądał dość zabawnie; musiał być dobrze po sześćdziesiątce i miał twarz poorly zmarszczkami, na które uczciwie zapracował i które w dziwny sposób przydawały mu uroku. Nie należał do przystojnych ani teraz, ani chyba tym bardziej w młodości, lecz Daphne natychmiast zapalała do niego sympatią. I wyczuwała, że on też ją polubił.

— Jest pani podniecona swoim pierwszym filmem, panno Fields? — wskazał dwa stojące obok siebie proste foteliki, na których usiedli. Jego ogromne ciało z trudem mieściło się na siedzeniu krzesła, podczas gdy ona wyglądała w swoim niemal jak laleczka. Spojrzała na niego i ponownie się uśmiechnęła.

— Szalenie podniecona, panie Stern.

— Ja także. Podobała mi się pani książka. Szczerze mówiąc, nawet bardzo mi się podobała. I będzie z niej diabelnie dobry film. Podobał mi się także pani scenariusz. Justinowi Wakefieldowi również — dodał z obojętnym uśmiechem. — Czy już go pani poznała? — obserwował ją, myśląc o jakichś sobie tylko wiadomych sprawach.

— Nie, jeszcze nie.

Powoli pokiwał głową. — Interesujący człowiek. Inteligentny jak na aktora. Ale niech pani nigdy nie zapomina, kim jest — popatrzył na nią badawczym wzrokiem. — Wszyscy oni są tacy sami. Przekonałem się o tym pracując z nimi przez całe lata. Każdemu czegoś brakuje, a jednocześnie każdy ma w sobie coś, czego nie dostaje innym: coś z dziecka, jakąś cudowną swobodę, dużą siłę oddziaływania. Trudno im się oprzeć. Ale są samolubni, zepsuci i egocentryczni. Ludzie obchodzą ich tyle co zeszłoroczny śnieg, myślą tylko o sobie. Przy pierwszym zetknięciu wywołują piorunujące wrażenie, lecz jak im się bliżej przyjrzeć, z łatwością dostrzega się wspólne cechy ich charakterów. Po jakimś czasie wie się o nich już wszystko. Naturalnie, istnieją wyjątki — wymienił kilka nazwisk, znanych Daphne z ekranu — ale zdarzają się niezmiernie rzadko. Cała reszta to... — zawahał się, po czym uśmiechnął, jakby na myśl o czymś, co jemu było aż nadto dobrze znajome, a o czym Daphne miała się niebawem przekonać. — Cóż... są aktorami. Niech pani o tym pamięta, panno Fields, to pani pomoże zachować równowagę w ciągu najbliższych miesięcy. Będą panią doprowadzać do szału, podobnie zresztą jak mnie. Ale w końcu nakręcimy wyjątkowy film i okaże się, że warto było się męczyć. Będziemy sobie ścisnąć dłonie i całować się na pożegnanie. Zapomnimy o kłótniach, zazdrościach i złośliwościach. Zostaną nam w pamięci tylko kawały, śmiech, chwile olśnienia. Na tym właśnie polega magia tego świata... — objął patetycznym gestem całą scenerię studia, po czym uklonił się nisko i oddalił w pośpiechu, aby porozmawiać z kamerzystami.

Daphne, lekko speszona ostatnim występem reżysera, przyglądała się w milczeniu kręcącym się tam i z powrotem pracownikom pomocniczym: statystom, garderobianym, operatorom światła i dźwięku, zajęтым jakimiś tajemniczymi czynnościami. W końcu o siódmej trzydzieści cała ta krzątanka raptem się nasiliła, napięcie wzrosło tak, że niemal wyczuwało się je w powietrzu, i Daphne słusznie odgadła, że teraz już wszystko zacznie się na dobre.

Właśnie w chwili gdy owo ożywienie w studiu osiągnęło szczyt, spostrzegła wychodzącego z garderoby mężczyznę. Miał na sobie trykotową koszulkę, na bosa stopy włożył tenisówki, a blond włosy opadły mu na czoło zupełnie jak u chłopca. Przemierzał niespiesznie halę, kierując się w stronę Daphne. Ruchy miał niezbyt pewne, wręcz sprawiał wrażenie nieco onieśmiałego. Wreszcie usiadł w fotelu, który przedtem zajmował Howard Stern. Popatrzył na Daphne, na plan, znowu na Daphne, wciąż niespokojny i napięty, więc uśmiechnęła się do niego na znak, że rozumie jego nastrój, zastanawiając się równocześnie, kim może być.

— Podniecające, prawda? — nic innego nie przyszło jej do głowy, lecz on natychmiast podchwycił z pewnym rozbawieniem:

— Owszem, pewnie tak. — Miał oczy koloru głębokiego zielonego morza. Było w nim coś znajomego, ale Daphne nie mogła uchwycić co to takiego. — Zawsze przed pierwszymi zdjęciami zaczyna mnie boleć brzuch. Choroba zawodowa, jak przypuszczam — wzruszył ramionami i wyjął z kieszeni cukierek, który od razu włożył do ust. Zaraz jednak z zakłopotanym wyrazem twarzy, jakby zawstydzony nietaktem, jaki popełnił, ponownie sięgnął do kieszeni i wyciągnął drugi cukierek dla Daphne.

— Dziękuję. — Ich oczy się spotkały i Daphne poczuła, że się rumieni. Patrzył na nią z nie ukrywanym zachwytem.

— Jest pani statystką? — Daphne potrząsnęła przecząco głową, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Nie chciała wyjawiać, że jest autorką scenariusza napisanego na podstawie własnej powieści, w obawie, że zabrzmiałoby to pretensjonalnie. Ale on nie czekał już na odpowiedź, pochłonięty obserwowaniem ostatnich przygotowań w studiu. Nagle podniósł się nerwowo i odszedł.

Gdy wrócił, spojrzał na nią z chłopięcym uśmiechem. - Czy mogę przynieść pani coś do picia? — Daphne przytaknęła z wdzięcznością. Barbara wyruszyła już dwadzieścia minut temu na poszukiwanie dwóch filiżanek kawy, a na planie nadal nie działo się nic, co wymagałoby jej udziału.

— Wielkie dzięki. Oddałabym prawą rękę za łyk gorącej kawy — w hali zdjęciowej hulają przeciągi i było zimno.

— Z cukrem i śmietanką? — Odpowiedziała skinieniem głowy. Już po chwili zjawił się z dwoma wielkimi parującymi kubkami, na których widok Daphne napłynęła ślinka. Popijając kawę małymi łyчками, zastanawiała się, kiedy w końcu zaczną kręcić film. W pewnej chwili zerknęła na swojego sąsiada i dobroczyńcę i spostrzegła, że ciągle patrzy na nią swoimi niesamowicie zielonymi oczami. — Jest pani bardzo piękna, wie pani o tym? — zarumieniła się znowu, a on dodał z uśmiechem: — I nieśmiała. Lubię takie kobiety — podniósł do góry wzrok i roześmiał się sam z siebie. — Ależ głupstwa plotę. Zupełnie jakbym miał do czynienia z setkami dziennie.

— Czyż nie tak jest tutaj ze wszystkimi? — pytanie było nieco naiwne, więc zaśmiali się oboje. Wydawał się wyraźnie zainteresowany Daphne. Wyczytał w jej oczach, że jest inteligentna i bystra i że z pewnością nie należy do kobiet, które łatwo dadzą się podejść, choćby ktoś bardzo się o to starał.

— Nie, ze wszystkimi nie. Można jeszcze spotkać w tym mieście paru przyzwoitych ludzi, nawet w naszej branży... mam nadzieję. — Dopił kawę i odstawił kubek. — Proszę powiedzieć mi coś o sobie. Jestem ogromnie ciekawy, co pani tu robi?

Wybiła godzina szczerości, pomyślała Daphne. — Napisałam scenariusz. To mój pierwszy w życiu, więc wszystko tutaj jest dla mnie nowe.

Teraz był już naprawdę bardzo zaintrygowany. — W takim razie pani jest Daphne Fields — rzekł z przejęciem. — Czytałem pani książki, a ta ostatnia podobała mi się najbardziej.

— Dziękuję — zrobiło jej się przyjemnie. — Pozwoli pan, że zadam panu to samo pytanie? Co pan tu robi? — Na te słowa odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się serdecznie, po czym posłał jej długie znaczące spojrzenie, odgarniając przy tym dłonią złoty kosmyk z czoła, i nagle Daphne zdała sobie sprawę, że zna już odpowiedź; w bezpośrednim zetknięciu nie był ani odrobinę mniej przystojny niż w swoich filmach, tylko zmylił ją jego strój; ta trykotowa koszulka, stara kurtka i znoszone dzinsy, w których wydawał się tutaj tak bardzo nie na miejscu. — Och, mój Boże...

— No, bez przesady — odparł z zażenowaniem.

Tym razem roześmiała się również Daphne. Wiedział, że go poznała. Justin Wakefield. Wyciągnął do niej rękę, a gdy ich dłonie się spotkały, ponownie spotkały się też ich oczy i Daphne dostrzegła, że ten mężczyzna ma w sobie niespotykany czar i jakąś dziecięcą radość życia. To odkrycie oszołomiło ją na ułamek sekundy.

— Madame, mam przyjemność grać w pani filmie. I mam też wielką nadzieję, że moja gra panią zadowoli.

— Tego jestem absolutnie pewna — oświadczyła uśmiechnięta. — Byłam naprawdę szczęśliwa, kiedy dowiedziałam się, że przyjął pan tę rolę.

— Ja też byłem szczęśliwy, gdy mi ją zaproponowano

— przyznał szczerze. — Do diabła, to najlepsza rola, jaką dostałem od lat. — Daphne rozpromieniła się zadowolona z pochwały. — Pisz pani jak szatan.

— Pan także nie najgorzej sobie radzi — kąci jej ust zadrgały dobrotliwą ironią, choć jakiś wewnętrzny głos ostrzegł ją, że żartuje sobie z największego idola amerykańskiego kina.

Świadomość bliskości Wakefielda uderzyła jej do głowy. Nie potrafiłaby powiedzieć, jak ani kiedy to się stało, ale nagle odezwała się w niej kobieta. Nie wół roboczy, nie pisarka, nawet nie matka Andy'ego, tylko po prostu kobieta. Od lat nie doświadczyła tego uczucia. Była pewna, że zwróciła na siebie jego uwagę. Widziała to po sposobie, w jaki do niej mówił i w jaki na nią patrzył. Upłynęło jednak tyle lat od jej ostatniego związku z mężczyzną, jeśli oczywiście nie liczyć Matta i rozmów z nim o Andym, że teraz nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Denerwowało ją to, postanowiła więc wrócić do tematu swojej pracy: na tym gruncie będzie mogła poruszać się swobodniej i pewniej w obecności tego niebezpiecznego, jak przeczuwała, mężczyzny. Zbyt uważnie ją obserwował, toteż bała się powiedzieć o jedno słowo za dużo. Nie chciała, aby odgadł jej samotność, którą tak dobrze maskowała, ani żeby zorientował się, jak bolesna pustka wytworzyła się wokół niej po śmierci Johna.

— Co pan sądzi o scenariuszu?

- Bardzo mi się podoba. Wczoraj rozmawialiśmy o nim z Howardem. Jak dotąd znalazłem tylko jedną scenę, która niezbyt trafia mi do przekonania.

— Która to? — spytała przestraszona, on jednak szybko uspokoił ją przyjaznym gestem, sięgając po kopię scenariusza, którą pozostawiła Barbara.

- Nie ma się czym przejmować. To mały epizodzik

— przerzucił strony, co miało dowodzić, że dokładnie zna scenariusz, i wskazał miejsce, do którego zgłaszał zastrzeżenie. Rzuciła okiem i popatrzyła na niego marszcząc czoło.

— Może ma pan rację. Sama nie byłam pewna tej sceny.

— Cóż, poczekajmy, co powie Howard. Jeszcze nie raz będziemy coś zmieniać i przerabiać. Czy widziała pani kiedyś Howarda przy pracy? — Daphne potrząsnęła głową. — Czeka panią ciężka przeprawa. Tylko niech się pani nie da zastraszyć staremu draniowi. Ma język jak brzytwa — uśmiechnął się szelmowsko — i złote serce. Po jakimś czasie przywyknie pani, tak jak my wszyscy. Warto się pomęczyć, bo to absolutny geniusz i zawsze można się wiele od niego nauczyć. Pracowałem z nim już dwukrotnie i za każdym razem wzbogacałem o coś nowego swój aktorski warsztat. Ma pani szczęście, że to właśnie on reżyseruje „Apacza”. Zresztą wszyscy możemy sobie pogratulować. Ale — jego oczy zdawały się pieścić twarz Daphne, gdy kończył szeptem — spotkało nas jeszcze większe szczęście. Mamy panią — obdarzył ją uśmiechem, który był już w

połowie pocałunkiem, po czym odszedł do swojej garderoby, żeby się przebrać. W tym momencie zjawiała się Barbara.

— Cholera, nigdzie nie znalazłam ani kropli kawy!

— Nie szkodzi, ktoś mi już przyniósł — powiedziała z roztargnieniem Daphne. Była w rozterce: nie mogła się zdecydować, czy lubi Justina Wakefielda, czy nie. Był bez wątpienia niezwykle mężczyzną, przystojnym jak diabli, inteligentnym, wesołym, chwilami zabawnym, trudno było jednak dociec, do jakiego stopnia ów styl wynika z jego prawdziwej osobowości. Czy ktoś tak urodziwy może być naturalny i ukazywać się ludziom takim, jakim rzeczywiście jest?

— Wyglądasz, jakbyś zobaczyła zjawę.

— Bo chyba tak właśnie było. Rozmawiałam z Justinem Wakefieldem.

— No i co? — Barbara zajęła puste krzesło obok Daphne, starając się nie okazywać po sobie wrażenia, jakie zrobiło na niej to, co właśnie usłyszała. Nie mogła się doczekać, żeby osobiście poznać słynnego aktora, a dotąd nie zauważyła go nigdzie na planie. — Czy jest równie wspaniały jak na ekranie?

Daphne zaśmiała się krótko. — Sama nie wiem. Jest cholernie przystojny, ale kiedy usiadł tu gdzie ty teraz, nawet go nie poznałam.

— Niemożliwe!

— Wyglądał jak smarkacz. Spodziewałam się czegoś innego.

— Chcesz powiedzieć, że mogę się rozczarować? — Barbara była zdruzgotana.

— Nie, tego nie chcę powiedzieć. Z jego wyglądem? Wykluczone! — Daphne zadumała się nad czymś głęboko. Z zamyślenia wyrwał ją dopiero widok Justina, który wychodził z garderoby. Miał na sobie obcisłe zamszowe spodnie w kolorze karmelu i biały golf, jak to przewidywał scenariusz w początkowych scenach. Przypominał do złudzenia młodego Marlona Brando i Daphne usłyszała gorączkowy szept Barbary:

— Boże! Ależ on jest fantastyczny!

Daphne uśmiechnęła się, nie spuszczać zeń oczu. Jego ruchy były sprężyste i harmonijne. Zmierzał teraz w ich stronę z włosami gładko zaczesanymi do tyłu, jak zwykle w swoich filmach, i wyglądał na tego, kim był: Justina Wakefielda, aktora, nie łobuzersko uśmiechniętego chłopca, który niedawno przyniósł Daphne kubek gorącej kawy.

Podszedł wprost do Daphne i patrząc na nią ciepło przystanął koło fotela, w którym siedziała. — Witaj, Daphne — powiedział to w taki sposób, jakby rozkoszował się brzmieniem jej imienia.

— Witaj — odparła z uśmiechem Daphne, starając się zachować spokój, co wcale nie przychodziło jej łatwo. — Pragnę ci przedstawić moją asystentkę, Barbarę Jarvis. Barbaro, to jest Justin Wakefield.

Uścisnął dłoń Barbary, po czym zasalutował Daphne i ruszył w kierunku tej części hali, w której Howard Stern postanowił rozpocząć zdjęcia. Barbara siedziała nieporuszona, gapiąc się na niego, aż Daphne przechyliła się w jej stronę i wyszeptała: — Zamknij buzię. Mucha ci wleci.

— Jezu Chryste, wygląda niewiarygodnie! — Barbara nie mogła oderwać od niego wzroku. Daphne popatrzyła chwilę na Justina i przeniosła spojrzenie na przyjaciółkę: nie można było zaprzeczyć, że robił kolosalne wrażenie na kobietach. To przynajmniej było pewne i Daphne musiała przyznać, że doświadczyła tego na sobie. Trudno zresztą, by było inaczej.

— Owszem. Ale w życiu liczy się coś więcej niż sama uroda — powiedziała tonem bardzo mądrej i bardzo starej damy, na co Barbara parsknęła śmiechem.

— No proszę? Co na przykład?

— Pomyśl o Tomie Harringtonie. Czy trzeba ci przypominać?

Barbara ucichła, oblewając się rumieńcem. — Zgoda, poddam się.

— A tak przy okazji: jak wam się układa?

Barbara westchnęła i przybrała rozmarzony wyraz twarzy. — To najcudowniejszy z ludzi, Daff. Kocham go i kocham jego dzieci.

Daphne odniosła jednak wrażenie, że Barbara czegoś nie dopowiedziała.

— Ale...? — rzuciła podchwytliwie.

— Nie ma żadnego „ale” — uspokoiła ją z uśmiechem Barbara. — Nigdy nie czułam się szczęśliwsza. Gorzej, gdy pomyślę o dniu, w którym trzeba będzie wracać do Nowego Jorku.

— Jeszcze długo nam to nie grozi, więc ciesz się z tego, co jest. Na miłość boską, nie psuj sobie przyjemności zamartwianiem się na zapas tym, co nastąpi nie wcześniej niż za sześć miesięcy. Takie rzeczy nie zdarzają się codziennie — dodała z zastanowieniem. Barbarze przytrafiło się to po raz pierwszy. Pierwszy raz w życiu, mając czterdzieści lat, była bez pamięci zakochana we właściwym mężczyźnie.

— Dokładnie tak właśnie powiedział Tom na samym początku. Że to zdarza się raz i trzeba to chwycić obiema rękami...

Twarz Daphne stężała na moment. — Jeff też mi tak kiedyś powiedział, zaraz po naszym pierwszym spotkaniu. — Wróciła jeszcze na chwilę do wspomnień o zmarłym mężu, po czym znów spojrzała na Barbarę. — I miał rację. Spotyka cię wciąż coś nowego, a każda chwila, każde przeżycie, różni się od poprzedniego. Każda rzecz zdarza się tylko raz: gdy przeminie, to już na zawsze. Nigdy nie wróci. Wymknęła ci się. — Omal nie dopuściła do tego, by tak właśnie stało się z nią i Johnem, i zawsze dziękowała losowi, że w porę się wtedy zreflektowała. John... Otrząsnęła się z zadumy i zmusiła do powrotu do terażniejszości. — Nawet to tutaj, Barb. Nawet ten zwariowany film, który teraz kręcimy. Już nie będę robić pierwszego w życiu filmu, tak jak ty nie

przyjedziesz po raz pierwszy do Kalifornii... Dlatego powinniśmy cieszyć się z tego, co jest, bo to, do diabła, jest coś wyjątkowego. Nigdy nie wiadomo, co lub kto czai się za rogiem — mówiąc to, odruchowo spojrzała na Justina Wakefielda, a on odwrócił się, jakby wyczuł na sobie jej wzrok. Przerwał akcję i przez moment patrzył wprost na nią. Daphne aż mrowie przeszło po skórze: jego spojrzenie było zniewalające.

Kręcenie rozpoczęło się ostatecznie o dziewiątej piętnaście i do południa dwukrotnie powtórzono pierwszą scenę. Howard Stern wydzierał się na statystów i wyzywał Justina od ostatnich dupków, Maureen Adams wybuchnęła płaczem, przysięgając, że wciąż jeszcze nie jest dostatecznie zdrowa, pracownicy obsługi studia gdzieś się zapodziali. Tutejsza fryzjerka, widząc, że Daphne i Barbara przyglądają się temu z przerażeniem, pośpieszyła je zapewnić, iż wszystko to jest czymś najzupełniej normalnym. I rzeczywiście, gdy ogłoszono przerwę na lunch, członkowie zespołu znowu byli w doskonałej komitywie. Howard Stern objął ramieniem Justina, mówiąc, że jest nadzwyczaj z niego zadowolony, po czym uszczypnął w pośladek akurat przechodzącą obok Maureen Adams, która nie tylko nie zaprotestowała, lecz posłała mu całusa, a Justinowi wręczyła skręta, po czym zniknęła w swojej garderobie, gdzie zamierzała na chwilę się położyć. Daphne została sama, ponieważ Barbara poszła zadzwonić do Toma.

— No i jak ci się podobał pierwszy poranek? — Justin podszedł do Daphne i stanął przed nią wyprostowany w obcisłych zamszowych spodniach, prezentując swoją niezwykłą urodę. Próbowała walczyć z narastającym w niej uczuciem zauroczenia tym człowiekiem, ale bez większego powodzenia.

— Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że jesteście nienormalni — uśmiechnęła się do niego, na próżno starając się zachować obojętność: wszystko w tym mężczyźnie było zachwycające.

— Mogłem cię o tym uprzedzić. Co sądzisz o ujęciu, które nakręciliśmy?

— Uważam, że już za pierwszym razem było OK — odparła zupełnie szczerze.

— Nie. Howard miał rację. Miałem być zły, a nie byłem. Spróbujemy jeszcze raz pod koniec dnia. Teraz, po przerwie, zaczniemy od sceny z Maureen w jej mieszkaniu.

Była to scena, w której- oboje występowali nago, i Daphne, choć sama ją tak napisała, lekko się zmieszała. Poza tym była zdania, że raczej nie powinno się kręcić owej sceny zaraz po wstępnych kadrach, w całkowitym oderwaniu od kontekstu; w scenariuszu pojawiała się dużo później.

— Co cię tak szokuje? Przecież to twój własny pomysł

— rzekł rozbawiony.

— Wiem. Chodzi mi o kolejność scen w filmie.

— Realizacja filmu i chronologia akcji w scenariuszu to dwie różne rzeczy. Po prostu kręcimy scenę za sceną według genialnego i zwariowanego planu, zrodzonego w głowie mistrza Howarda. Potem cały materiał tnie się jak makaron, składa do kupy i wszystko jakoś gra. To naprawdę szalony biznes

— powiedział lekko. Widać było, że dużo bardziej niż tajniki powstawania filmów interesuje go Daphne. — Zdajesz sobie sprawę, Daff, że wykonałaś świetną robotę? — oczy Justina znowu pieściły jej twarz.

— Dziękuję.

— Czy mogę ci zaproponować ohydny lunch w naszym bufecie?

Już miała odpowiedzieć, że wcześniej umówiła się ze swoją asystentką, gdy nagle uprzytomniła sobie, że Barbara oddałaby prawdopodobnie duszę, by móc siedzieć przez cały lunch przy Justinie Wakefieldzie.

— Dobrze, ale pod warunkiem, że będę mogła przyjść z moją asystentką.

— Jasne. Pójdę się przebrać i za minutę będę z powrotem.

Zniknął w swojej garderobie, wciąż trzymając w palcach skręta, którego otrzymał od Maureen. Daphne mimo woli zadała sobie pytanie, czy wypali go teraz, czy odłoży to na później. W tej samej chwili wróciła Barbara.

— Właśnie umówiłam nas na lunch — Daphne zrobiła minę, jakby miała w zanadrzu znakomity dowcip.

— Z kim?

— Z Justinem Wakefieldem. Może być?

Barbara zaniemówiła z wrażenia. Daphne obserwując jej reakcję zaśmiała się głośno.

— Żartujesz? — Barbara odzyskała wreszcie głos.

— Nie. — Ledwo to powiedziała, z garderoby wychynał Justin, znowu ubrany w niebieskie dzinsy i tenisówki. Nie zmył jednak charakterystyki i włosy miał nadal zaczesane do tyłu. Tym razem Daphne nie miałyby kłopotu z rozpoznaniem go, jak podczas porannego spotkania. Aparycji Justina niewiele ujął brak białego swetra i zamszowych spodni.

— Jesteście gotowe, moje panie? — Daphne skinęła głową i bez słowa podążyła za nim wraz z Barbarą do ogromnego bufetu, w którym zastali tłum kowbojów zmieszanych z Indianami, dwie typowe piękności z Południa i całą armię żołnierzy w niemieckich mundurach, nie wspominając już o dwóch karłach i licznych stadku małych urwisów.

Barbara rozejrzała się i wybuchnęła śmiechem. — Wiecie co? Toż to istny cyrk! — Daphne i Justina także rozśmieszył ów widok.

Na lunch dostali twarde jak skała hamburgery polane ketchupem, który przypominał czerwoną farbę, za to potem Justin przyniósł im szarlotkę i kawę. Po powrocie do studia niezwłocznie udał się do garderoby.

Barbara przysunęła krzesło bliżej Daphne i czekając na rozpoczęcie zdjęć, myślała o Justinie Wakefieldzie. Nietrudno było zauważyć, że Daphne bardzo mu się podoba, ale pomijając jego nietuzinkową urodę, on sam niezbyt przypadł Barbarze do gustu. Wyczuwała w nim jakiś fałsz, a do tego wydał jej się nadmiernie zajęty własną osobą. Za każdym razem gdy przechodzili obok lustra albo okna, w którym mógł się przejrzeć, muskał dłonią włosy bądź po prostu przyglądał się swemu odbiciu. Denerwowało ją to tym bardziej, że widziała, jak jego urok działa na Daphne.

Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, Justin ukazał się ponownie. Miał na nogach szwedzkie chodaki i był otulony długim, białym frotowym szlafrokiem, w którym wyglądał niezwykle interesująco. Biały kaptur nasunięty na głowę upodabniał go do tajemniczego mnicha. Zaraz jednak z uśmiechem odrzucił kaptur, odsłaniając jasne gęste włosy. Chwilę później zdjął szlafrok i wkroczył na plan, demonstrując swoje silne, smukłe, cudownie umięśnione ciało. Wkrótce po nim zjawiała się Maureen Adams. Ona również zostawiła na skraju planu jedwabny szlafroczek, po czym zaczęła krążyć wokół ze skrytem w jednej ręce, podczas gdy drugą nieustannie poprawiała fryzurę. Jednakże oczy wszystkich były zwrócone nie na nią, a na Justina, fascynował bowiem nie tylko powierzchownością. Był niewątpliwie bardzo zmysłowym mężczyzną. Daphne usilnie starała się opierać wrażeniu, jakie wywierał na niej wygląd Justina, ale minęło już tyle czasu, odkąd oglądała nagiego mężczyznę, że teraz była naprawdę poruszona pięknem jego ciała i wdziękiem ruchów.

— Z niechęcią muszę przyznać — odezwała się w końcu Barbara — że on jest naprawdę wspaniały. — Kiedy spojrzała na swoją szefową, zrozumiała, że Daphne jej nie słucha, tylko urzeczona patrzy na Justina. To, co Barbara dostrzegła we wzroku przyjaciółki, wzbudziło w niej przerażenie; czyż jednak można było winić za to Daphne? Ten człowiek był, kim był: Justinem Wakefieldem, królem ekranu.

Odegrał swoją rolę w sposób brawurowy. Nie minęła chwila, a zarówno Daphne, jak i Barbara zapomniały, że jest nagi, ponieważ miało to w tej chwili jakby drugorzędne znaczenie. Oczarowana Daphne patrzyła, jak scena zrodzona w jej wyobraźni nabiera realnych kształtów. Justin tak sugestywnie odtwarzał postać głównego bohatera, że kilkakrotnie doprowadził Daphne niemal do łez. Zresztą wszyscy obecni dzielali jej podziw. Ten mężczyzna był nie tylko piękny, był też prawdziwym wirtuozem swojej sztuki. A potem, równie niedbale jak go odrzucił, podniósł szlafrok, włożył go na siebie i wolno odwrócił się do Daphne. W tym momencie wyglądał znacznie starzej

niż podczas lunchu. Dał z siebie wszystko i był bardzo zmęczony. Teraz otwarcie szukał jej wzroku, jakby koniecznie chciał się dowiedzieć, co ona myśli o jego grze. Nikt inny, tylko ona.

— To było piękne. Właśnie tak to sobie wyobrażałam. Włożyłeś w tę scenę więcej uczucia, niż mnie się udało. Zupełnie jakbyś przeniknął moje myśli.

Rozpromienił się, słysząc entuzjazm w jej głosie.

— To jest właśnie mój zawód, Daphne — mówił to z wyrazem mądrości i dobroci w oczach, co Daphne bardzo ujęło. — Na tym polega aktorstwo.

Skinęła głową, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, jakie pozostawiła na niej gra Justina. Przed chwilą malutki fragmencik jej książki ożył na taśmie filmowej.

— Dziękuję. To będzie wspaniały film.

Tak, równie wspaniały jak on. Daphne czuła, że wszystko w niej topnieje z samej tylko przyjemności patrzenia na Justina.

27

Przez następny tydzień absolutnie zafascynowana Daphne biernie obserwowała, jak Justin Wakefield oplata je niewidoczną pajęczą nicią, powoli wprowadzając obie w świat filmowej magii. Teraz już codziennie jadł lunch z nią i z Barbarą, tylko raz czy drugi przyłączyli się do nich również inni, ale szybko stało się oczywiste, że Justin Wakefield szuka wyłącznie towarzystwa Daphne. Rozmawiali o filmach, w których grywał, i o jej książkach, o głębszych treściach, jakie wносиły poszczególne postaci powieści, i o przemyśleniach poprzedzających konstrukcję fabuły. Bardzo dużo czasu poświęcali „Apaczowi”, Justin twierdził bowiem, że każda uwaga na ten temat następnego dnia ogromnie pomaga mu w pracy na planie, że Daphne ma na niego nieoceniony wpływ,

gdyż wyzwala w nim twórcze moce, których istnienia w sobie dotąd nawet nie podejrzewał.

— To naprawdę twoja zasługa, Daff. — Siedzieli w studiu, popijając z jednej puszkii napój truskawkowy, wyjątkowe obrzydlistwo, jak oboje zgodnie orzekli, ale w tutejszych automatach nie było nic innego do picia, a oni konali z pragnienia. Panował nieznośny upał i mieli już za sobą wiele godzin zdjęć. — Gdyby ciebie tu zabrakło, nie byłbym taki dobry. To moja najlepsza rola. Zapytaj Howarda, on powie ci to samo. Nigdy dotąd nie potrafiłem zdobyć się na aż tyle, a już na pewno nie tak dzień w dzień — patrzył na nią dużymi, intensywnie zielonymi oczami. — Mówię poważnie. Dokonujesz cudu.

Chwilę trwało, zanim Daphne znalazła odpowiedź.

— Ty dokonujesz cudu z moją książką.

— Tylko z książką? — był wyraźnie zawiedziony, jakby spodziewał się usłyszeć coś więcej. Nie znał jednak Daphne, nie wiedział więc, jak uważa, by nie dopuścić do powstania szczeliny w murze, za którym się ukrywała. Nagle ją zaskoczył.

— Opowiedz mi coś o swoim synku. — Być może liczył na to, że kiedy zacznie mówić o Andym, mimo woli trochę się odsłoni. I nie pomylił się: przymknęła powieki, wspominając syna, który przebywał tak niemiłosiernie daleko stąd.

— Jest już taki duży — pokazała ręką — cudowny, mądry i zupełnie wyjątkowy. — Justin uśmiechnął się. — Jak był tutaj parę tygodni temu, zabrałam go do Disneylandu.

— A gdzie jest teraz? Z tatusiem? — w jego głosie zabrzmiało lekkie zdziwienie. Nie wyobrażał sobie, aby taka kobieta jak Daphne zrzekła się opieki nad synem.

— Nie. Jego ojciec zmarł, zanim Andy przyszedł na świat

— ostatnio z nieco większą łatwością mówiła o tamtych przeżyciach. — Jest w szkole, w New Hampshire.

Justin skinął głową, jakby to było coś oczywistego, i znowu zatopił wzrok w jej oczach. — Byłaś sama, kiedy się urodził?

— Tak. — Przy tym słowie poczuła jednak ucisk w krtani. Czas nie zatarł jeszcze śladów wyrytych w owych odległych latach, kiedy spadło na nią tyle nieszczęść.

— Musiałaś przechodzić ciężkie chwile.

— To prawda, tym bardziej że... — Nie, nie powie mu, jak to było, gdy stwierdzono, że Andy jest głuchy, ani o tych upiornych, samotnych dniach, gdy nie znajdowała u nikogo zrozumienia. — Tak, miałam trudny okres.

— Czy wtedy już pisałaś? — Justin pierwszy raz pytał o sprawy, które dotyczyły jej osobistego życia: dotąd ograniczali się w rozmowach do jego i jej pracy.

— Pisać zaczęłam dużo później, kiedy Andy wyjechał do szkoły.

— Jasne. Założę się, że nie sposób stworzyć czegoś wartościowego, kiedy ma się na karku dzieci. Dobrze zrobiłaś, wyprawiając go z domu. — To oświadczenie sprawiło jej przykrość: nie pomyślał nawet o uczuciu, jakim darzyła swoje dziecko, ani o tym, czym była dla niej rozłąka. W słowach Justina pojawiła się nieprzyjemna nutka świadcząca o egoizmie, który zawsze budził w Daphne wstręt.

— Wysłałam go do szkoły, ponieważ musiałam.

— Bo byłaś sama?

— Istniały inne powody — coś jej podpowiadało, żeby wstrzymać się z ich wyjawieniem. Nadal odczuwała głęboką potrzebę chronienia Andy'ego przed ludźmi, którzy mogliby go nie zrozumieć, a przed chwilą pojęła, że Justin właśnie do takich należy i że nawet nie wiadomo, czy

coś by się zmieniło, gdyby mu o wszystkim opowiedziała. — Nie miałam wyboru — nagle poczuła się stara i zmęczona. Cóż ten człowiek mógł wiedzieć o podobnych tragediach? — Ty nie masz dzieci, Justinie?

— Nie. Nigdy mnie nie pociągał ten rodzaj przedłużania swojej egzystencji. Myślę, że dla większości ludzi dzieci to jedynie kwestia zaspokojenia własnego „ja”.

— Dzieci? — powtórzyła z niedowierzaniem.

— Nie dziw się tak. Na ogół pragnie się w nich widzieć tylko repliki i kontynuację samych siebie. Ja mam filmy, więc nie potrzebuję dzieci.

Pomyślała, że to dość dziwaczny punkt widzenia, ale jeśli on przyjął taką postawę... Zawsze starała się rozumieć i szanować poglądy innych. Dotyczyło to tym bardziej Justina, który przecież nie był człowiekiem pozbawionym wrażliwości, w przeciwnym razie nie mógłby tak grać swojej roli w „Apaczu”, jak to robił w całym minionym tygodniu. Więc jeśli jego zdanie różni się od jej zdania, chętnie go wysłucha: tyle przynajmniej mu się od niej należy.

— Byłeś kiedyś zonaty? — Chciała wiedzieć, co go ukształtowało, co sprawiło, że potrafi wnikać w cudze myśli i uczucia i tak znakomicie je interpretować jak w przypadku „Apacza”.

— Nie, przynajmniej w obliczu prawa. Żyłem z dwiema kobietami. Z jedną siedem lat, z drugą pięć. Na dobrą sprawę nie różniło się to niczym od małżeństwa, nie mieliśmy tylko wymaganego dokumentu. W sumie wychodzi na jedno: kiedy ktoś chce odejść, odejdzie, i nie przeszkodzą mu w tym żadne świadectwa ślubu czy inne świstki. Zresztą gdy odchodziły, zobowiązałem się im pomagać. Jednej i drugiej.

Daphne pokiwała głową. Przypomniało jej to życie z Johnem. Przypuszczalnie prędzej czy później byliby się pobrali, może nawet mieliby dzieci, mimo iż Johnowi również na nich nie za bardzo zależało. On chciał mieć ją, no i naturalnie Andy'ego.

— Czy teraz z kimś mieszkasz? — złękła się, czy nie jest nietaktowna, ale zaraz pomyślała, że w końcu przez okrągły tydzień przebywali ze sobą po piętnaście godzin na dobę, niczym rozbitkowie na bezludnej wyspie, więc śmiesznie byłoby traktować go jak kogoś obcego.

— Chwilowo jestem sam. Przez ostatni rok miałem dziewczynę, z którą ciągle się schodziłem i rozchodziłem, aż rozstaliśmy się na dobre. Ona nie była w stanie pojąć, na czym polega moje zajęcie, choć Bóg mi świadkiem, że powinna, ponieważ sama jest aktorką. Skądinąd to zaledwie dwudziestoletni dzieciak z Ohio i po prostu nie dorosła do tego, aby właściwie ocenić moją pozycję.

— To znaczy co? Jeśli nie jestem zanadto wścibska — zastrzegła się Daphne, lecz Justin tylko się uśmiechnął. Nie miał nic przeciwko wypytywaniu, wręcz przeciwnie, sprawiało mu to

przyjemność. Daphne coraz bardziej mu się podobała, więc chciał, żeby poznała jego zapatrywania na pewne sprawy.

— Nie, nie jesteś wścibska, Daff. Kiedy skończymy ten film, i tak będziemy się nawzajem znali jak tyse konie

— zamyślił się chwilę nad jej ostatnim pytaniem. — Nie wiem, jak ci to wyjaśnić. Nie związę się już z nikim, kto nie ma zrozumienia dla ludzi mego pokroju. To cholernie męczące, bez przerwy coś tłumaczyć i z czegoś się usprawiedliwiać. Ona była wściekle zazdrosna, a ja nie mogę być dzień i noc na czyjeś zawołanie. Ja potrzebuję przestrzeni. Potrzebuję czasu na zastanowienie się, gdzie jestem, dokąd zmierzam, o czym marzę i co czuję. Jest mi dużo lżej samemu niż z kimś, kto mnie nieustannie tłamsi. — Trudno było nie przyznać mu racji, więc Daphne przytaknęła. Nagle Justin roześmiał się. — Mówiąc krótko i węzłowato, oznacza to: „ona mnie nie rozumie”. Słyszałaś to może kiedyś?

— A jakże — upiła łyk z ich wspólnej puszką i zaśmiała się.

— Może właśnie dlatego, żeby tego nie słuchać, ja też jestem sama. Byłoby mi diabelnie ciężko wytłumaczyć komuś, dlaczego pracuję osiemnaście godzin na dobę, dlaczego wczołguję się do łóżka dopiero o ósmej rano, czując się tak, jakbym przerzuciła tonę węgla. Ja z tego żyję i z nikim bym się nie zamieniła, ale rozumiem, że komuś może to nie odpowiadać. Nie umiałabym już pracować inaczej. To oczywiste, że żaden normalny człowiek nie wytrzymałby z kimś takim na dłuższą metę.

— No widzisz — uśmiechnął się, widząc, że odnalazł w niej pokrewną duszę. — Chyba ktoś z podobnymi przyzwyczajeniami. Ja na przykład potrafię czasem czytać aż do wschodu słońca. To są wspaniałe noce.

Odpowiedziała uśmiechem. — Owszem, ja też to uwielbiam. Wiesz co? Chyba jest tak, że w pewnym okresie życia osiąga się punkt, od którego lepiej być samemu. Dawniej myślałam inaczej, ale teraz zmieniłam zdanie. — Podała mu puszkę z napojem truskawkowym, a on opróżnił ją do dna i odstawił.

— Teraz się z tobą nie zgadzam. Nie mam zamiaru zawsze być sam, nie chciałbym tylko trafić na nieodpowiednią osobę. Innymi słowy, ja osobiście doszedłem do punktu, w którym raczej wolę być sam niż z niewłaściwą kobietą. Jednak wciąż wierzę, że musi być na świecie ktoś, kto zrozumie moje potrzeby i uczyni mnie szczęśliwym. Tylko jeszcze tego kogoś nie spotkałem.

Daphne zasalutowała mu pustą puszką. — Powodzenia.

— Uważasz, że znalezienie takiej osoby jest niemożliwe? — spytał zdziwiony. Twórczość Daphne przeczyła temu, co wyrażał jej gest; z książek, które napisała, wynikało, że autorka wierzy

w miłość i szczęśliwe związki, mimo iż tak wstrząsająco przedstawia na kartach powieści rozpacz po stracie kogoś bliskiego.

— Nie, nie uważam, żeby to było niemożliwe, Justinie. Mnie zdarzyło się to nawet dwukrotnie.

— I co się stało?

— Obydwaj nie żyją.

— To świństwo — powiedział ze współczuciem.

— Zgadza się. I nie sądzę, by podobne okazje trafiały się częściej niż dwa razy.

— Więc skapitulowałaś?

Oboje byli w nastroju skłaniającym do szczerości, odpowiedziała zatem bez osłonek: — Mniej więcej. Miałam wszystko, czego pragnęłam. Teraz mam swoją pracę, mam syna i to mi wystarczy.

— Wystarczy? Na pewno?

— Mnie tak. Żyję w ten sposób już od dłuższego czasu i wcale nie pragnę niczego zmieniać. — Nie była to cała prawda. Przychodziły chwile, kiedy tęskniła za kimś, kto by ją objął, tylko panicznie się bała, że mogłaby ją dotknąć kolejna strata.

— Nie wierzę — zajrzał jej głęboko w oczy, lecz nie znalazł w nich odpowiedzi, której szukał.

— W co nie wierzysz?

— Że żyjąc w ten sposób jesteś szczęśliwa.

— Owszem, najczęściej jestem. Nie ma ludzi wiecznie szczęśliwych, choćby byli zakochani do szaleństwa.

— Nie możesz się czuć szczęśliwa, będąc stale samotna, Daff. To nienormalne. Zerwiesz wszystkie nici, jakie łączą cię ze światem.

— Czyżbyś znalazł zapowiedź tego w moich książkach?

— Znalazłem w nich wiarę w miłość, a oprócz tego dużo smutku, żalu i opuszczenia. Jakaś częśćka ciebie głośno płacze.

Zaśmiała się cicho. — Justinie, mówisz jak typowy mężczyzna, który nie potrafi przyjąć do wiadomości, że kobieta jest zdolna sama iść przez życie. Twierdzisz, że jesteś szczęśliwy będąc samotnym, więc dlaczego ja nie mogę być?

— W moim przypadku to tylko chwilowe — powiedział zgodnie z prawdą.

— A w moim nie!

— Zwariowałaś — zdenerwował się. Była piękna, młoda, bystra i zdolna. Do diabła, to nonsens, żeby taka kobieta dobrowolnie skazywała się na samotność. — To czyste wariactwo. — Wariactwo, a jeśli o niego chodzi, także swego rodzaju wyzwanie. Na myśl, co postanowiła zrobić ze swoim życiem, burzyła się w nim krew.

— Niech cię to nie przygnębia. Ja naprawdę jestem szczęśliwa.

- Szlag mnie trafia, kiedy to słyszę. Do licha, Daphne, jesteś śliczna, pełna ciepła i miłości, masz wspaniały umysł. Dlaczego zamykasz się jak ślimak w skorupie?

— Przepraszam, że w ogóle o tym wspomniałam — powiedziała, w jej głosie nie było jednak cienia skruchy. Co więcej, nie wydawało się, aby ta perspektywa napawała ją smutkiem. Dawno pogodziła się ze swoim losem i rzeczywiście była w miarę szczęśliwa.

W tym momencie Howard Stern wezwał ich z powrotem na plan, na kolejne sześć godzin harówki, a wieczorem Justin umówił się z kolegą na drinka, więc Daphne nie miała już okazji się z nim zobaczyć. Wróciły zatem z Barbarą prosto do domu, gdzie Daphne wzięła prysznic, po czym poszła w stronę basenu. Długo pływała, rozkoszując się balsamicznym nocnym powietrzem. W pewnej chwili zjawiła się Barbara, żeby jej powiedzieć, że wychodzi na spotkanie z Tomem.

— Mogę wrócić nad ranem albo wcale.

— Takiej to dobrze — powiedziała z uśmiechem Daphne, unosząc się leniwie na powierzchni wody. — Pozdrów ode mnie Toma.

— Dziękuję. Nie zapomnij o obiedzie, wyglądasz jak widmo.

— Rzeczywiście nieszczególnie się czuję. Ale obiecuję coś zjeść, zanim się położę. — Przed pójściem do łóżka chciała jeszcze zadzwonić do Matta; przy dziwnych godzinach pracy w studiu i różnicy czasu między Kalifornią a New Hampshire z coraz większym trudem znajdowała stosowną chwilę na telefon. — Baw się dobrze, Barb!

— Dzięki, nie omieszkam! — rzuciła przez ramię Barbara i oddaliła się. Daphne popływała jeszcze parę minut, a następnie owinęła się ręcznikiem i powędrowała do kuchni, aby poszukać w lodówce czegoś do zjedzenia. Rzuciła ręcznik na krzesło i ociekając wodą, w czerwonym bikini, sięgała właśnie po słuchawkę, by zatelefonować do Matthew, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Daphne pomyślała, że to Barbara wraca po klucze, o których zapomniała.

Wyszła do holu i próbowała dojrzeć przez boczne okienko, kim jest ów spóźniony gość. Kimkolwiek był, stał odwrócony tyłem i zbyt blisko wejścia, by mogła go rozpoznać. Widziała tylko fragment czyjegoś ramienia. Zbliżyła się więc do drzwi i spytała:

— Kto tam?

— To ja, Justin. Mogę wejść?

Zdumiona patrzyła na niego przez chwilę nie ruszając się z miejsca. Miał na sobie białe levisy i koszulę w tym samym kolorze. W półmroku jego opalenizna wydawała się jeszcze ciemniejsza, a uśmiech jeszcze bardziej chłopiący.

— Cześć. Jak mnie znalazłeś?

— W wytwórni dali mi twój adres. Nie masz im tego za złe?

— Czy coś się stało? — nigdy nie spotykali się po pracy i była więcej niż zaskoczona jego wizytą. Była prócz tego zmęczona, mokra i głodna. Czas poza studiem należał do niej i dzisiaj nie miała ochoty na czyjeś towarzystwo.

— Nic się nie stało. Mogę wejść? — powtórzył.

— Oczywiście — cofnęła się, robiąc mu przejście. — Napijesz się czegoś? Przepraszam, zaczekaj chwilkę, pójdę tylko coś na siebie włożyć... — Nagle zdała sobie sprawę, że stoi przed nim w samym bikini, i zmieszała się.

— Dobrze wiesz, że nie musisz. Mnie widziałas w jeszcze bardziej skąpym stroju — zrobił łobuzerską minę i puścił do niej oko. Parsknęła śmiechem.

— To co innego. Wykonywałaś swoją pracę.

— Ładna mi praca, do której trzeba się rozebrać do rosołu.

- Wyobrażam sobie, że pewnym ludziom może to sprawiać przyjemność — zauważyła z humorem, co mu się najwyraźniej spodobało.

— Chcesz powiedzieć, że aktorstwo to odmiana prostytutki?

— Niekiedy — rzuciła nie odwracając głowy i zniknęła w sypialni, a on z trudem oparł się pokusie, by pójść tam za nią.

— Chyba masz trochę racji.

Wróciła w jasnoniebieskiej bluzce, włożyła też sandały i rozczesła włosy. Spojrzał na nią z aprobatą.

— Cudownie wyglądasz, Daff.

— Dziękuję. A teraz, czym mogę ci służyć? Jestem wykończona. Właśnie miałam coś zjeść i iść do łóżka.

- Obawiałem się tego, ale to fatalny pomysł. Idę na przyjęcie do Tony'ego Tree i sądziłem, że może się do mnie przyłączyć. Myślę, że by ci się tam podobało.

Tony Tree zdobył w ciągu pięciu lat pięć nagród Grammy i był bez wątpienia najlepszym piosenkarzem w kraju. Każdego innego dnia poznałaby go z największą ochotą, byle tylko nie dzisiaj.

— Brzmi to naprawdę kusząco, lecz naprawdę nie mogę.

— Czemu?

— Już ci mówiłam, jestem wykończona. Chryste, tyrasz przecież jak wół przez cały dzień. Czy ty się nigdy nie męczysz?

— Kocham robić to, co robię, więc się nie męczę.

— Ja także kocham swoją pracę, a mimo to zwala mnie z nóg — uśmiechnęła się, nie chcąc, by odmowa wypadła zbyt szorstko. — Mogłabym tam zasnąć na stojąco.

— No to co? Pomyśleliby, że jesteś naćpana. Pasowałabyś do tego towarzystwa jak nic — ta szybka odpowiedź tak ją rozweseliła, że w ostatniej chwili powstrzymała się przed rozwichrzeniem mu palcami idealnie zaczesanych blond włosów.

— Nie upieraj się, jestem ledwie żywa. Zjesz ze mną kanapkę przed wyjściem? Niestety, nie mam napoju truskawkowego, ale może znajdzie się jakieś piwo.

— Wspaniale. A gdzie Barbara?

— Wyszła z przyjaciółmi — podała mu piwo z lodówki i zaczęła przygotowywać kanapki. Justin wskoczył na wysoki kuchenny taboret i przyglądał się jej z niekłamanym zachwytem. Przez cienką tkaninę bluzki dostrzegał linie nagiego ciała Daphne i był to widok, od którego trudno było oderwać oczy, choć wolałby oglądać ją w bikini.

— To znaczy, że Barbara rzeczywiście czasem dokądś wychodzi?

— Tak. Możesz myśleć, co chcesz, ale ona jest też ludzką istotą.

Minęło już kilka dni, odkąd Justin i Barbara ostatecznie doszli do wniosku, że stanowczo za sobą nie przepadają: Barbara uważała, że pod ujmującą powierzchownością ukrywa się drań bez serca, on natomiast nazywał ją podstarzałą feministką.

— Zachowujesz się jak niezamężna belfrzyca — oznajmił jej w końcu któregoś popołudnia, kiedy uznał, że o jeden raz za dużo usadowiła się między nim a Daphne. Choć Daphne kategorycznie temu zaprzeczała, Barbara widziała, że jej przyjaciółka jest całkowicie bezbronna wobec czaru, jaki wokół siebie rozsiewał, a w przeciwieństwie do Daphne wyczuwała w Justinie coś odpychającego.

— Czyżby Barbara miała przyjaciela? — spytał z udanym zaskoczeniem Justin tym samym kpiącym tonem, jaki zawsze przybierał w stosunku do Barbary.

— Owszem, i to bardzo sympatycznego. — Daphne zajęła stołek naprzeciwko niego, po drugiej stronie kuchennego stołu. Może to mimo wszystko niezłe, że wpadł ją odwiedzić... Miło było jeść teraz razem tę zaimprovizowaną kolację, nawet jeśli to oznaczało, że po jego wyjściu będzie już za późno na telefon do Matthew. — Jest prawnikiem.

— Coś w sam raz dla niej. I z pewnością zajmuje się podatkami.

— Prawem filmowym, jeśli chodzi o ścisłość.

— O Jezu. Na pewno nosi ciemne garnitury i złote łańcuchy.

— Daj spokój, Justinie. Nie bądź złośliwy.

— Niby czemu? Nie lubię jej. Dla mnie jest zadzierającą nosa dziwką.

— Jest wspaniałą kobietą. Przecież wcale jej nie znasz.

— I nie mam ochoty poznawać.

— Nie zdradzę tajemnicy, jeśli powiem, że jest to uczucie w pełni odwzajemnione. Co do mnie, uważam, że oboje zachowujecie się jak dzieci.

— Ona mnie nienawidzi — zrobił pociesznie żalostną minę, wywołując uśmiech na twarzy Daphne.

— Nie nienawidzi cię, tylko po prostu nie jest tobą zachwycona. Poza tym ona także nie zdążyła cię jeszcze dobrze poznać. Została kiedyś bardzo boleśnie zraniona i odtąd nie dowierza żadnemu mężczyźnie.

— Mów do mnie jeszcze... — Czuł, że Barbara mu nie ufa, i to go irytowało. — Nie mogę jej nawet zaproponować filiżanki kawy, żeby natychmiast na mnie nie naskoczyła. — Daphne też to zauważyła i prosiła już Barbarę, żeby się hamowała: nie potrzebowali w studiu żadnych swarów. — Tak czy owak cieszę się, że w tej chwili jesteś sama. Ilekroć się zjawiam, ona ustawia się przed tobą niczym gwardia watykańska.

— Uważa mnie za bardzo bliską sobie osobę, to wszystko. Dużo przeszliśmy razem.

— Zachowuje się, jakby była twoją matką.

Daphne się uśmiechnęła. — Czasami chciałabym, żeby nią była. — Tak długo dźwigała wszystkie ciężary na swoich barkach... Dopiero Barbara zdjęła z niej przynajmniej część obowiązków.

Nagle Justin zsunął się z taboretu, obszedł stół, stanął przed nią i ujął jej twarz w dłonie. — Daphne, jesteś najpiękniejszą, najbardziej godną pożądania kobietą. Pragnę cię.

Na moment zmartwiała. Była zaszokowana, ale równocześnie przez mgnienie przeniknął ją dawno zapomniany dreszcz radosnego podniecenia.

— Nie wygłupiaj się, Justin — powiedziała cichym, zalęknionym głosem.

— Nie wygłupiam się — odparł dotknięty. — Oszalałem na twoim punkcie, a ty bawisz się ze mną w głupią ciuciubabkę i chowasz się za jakimiś murami, które sama wzniosłaś. Dlaczego? Dlaczego nie pozwolisz mi się kochać, Daff? — Oczy zaszyły mu mgłą, a jej zrobiły się okrągłe jak spodki.

— Justin, proszę... Przecież pracujemy razem... To byłby wielki błąd, gdybyśmy...

— Gdybyśmy co? Zakochali się w sobie? Tego się boisz? Czemu? Jesteśmy silnymi, inteligentnymi, utalentowanymi ludźmi. Nie wyobrażam sobie lepszej kombinacji. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, a i ty prawdopodobnie nie spotkałaś nikogo podobnego do mnie. Dlaczego mamy przepuścić taką szansę? Kto stoi nad tobą i sprawdza, czy jesteś dostatecznie twarda? Pewnego dnia obudzisz się jako stara kobieta, mająca już wszystko za sobą, i będziesz mogła sobie powiedzieć jedynie tyle, że dochowałaś wierności pamięci dwóch martwych mężczyzn. Dlaczego, Daphne... Dlaczego...? — pochylił się i zaczął ją całować, rozwierając jej

zaciśnięte wargi językiem, aż w końcu dopiął swego. Daphne poczuła, że oddycha coraz szybciej i szybciej... Jednak po chwili, bez tchu w piersi, uwolniła się z jego ramion i wstała. Wydawała się przy nim malutka jak kruszynka, ale patrzyła mu prosto w twarz.

— Justin, proszę... Nie...

— Pragnę cię, Daff. I nie pozwolę ci się wymknąć. Nie wierzę, że nic do mnie nie czujesz. Zbyt dobrze się nawzajem rozumiemy. Ja rozumiem każde napisane przez ciebie słowo, a ze sposobu, w jaki reagujesz na moją grę, widzę, że ty też każdą cząsteczką swojej istoty rozumiesz to, co robię.

— I cóż to zmienia? — Nadal była wstrząśnięta, ale i trochę zła. Ni stąd, ni zowąd pojawił się u jej drzwi i teraz próbuje przewrócić jej życie do góry nogami. Nie pozwoli mu na to. To byłoby zbyt niebezpieczna gra. Pracowali wspólnie przy kręceniu filmu i na tym koniec. — Na miłość boską, czego ty ode mnie chcesz? Szybkiego numerka? Romansu na sześć miesięcy? W tym mieście jest dziesięć tysięcy gwiazdeczek, Justinie. Idź i zabaw się z którąś. — Oczy wezbrały jej łzami i musiała się odwrócić. — A mnie zostaw w spokoju.

— Czy naprawdę tego chcesz?

Potwierdziła skinieniem głowy, nadal stojąc do niego plecami.

— W porządku. Ale zastanów się nad tym, co ci powiedziałem. Nie zależy mi na łatwej panience, Daff. To mogę mieć wszędzie i w każdej chwili. Zależy mi na tobie. Nie znajdę drugiej takiej kobiety jak ty. Dobrze o tym wiem, bo długo się rozglądałem.

Odwróciła się do niego twarzą. — Więc rozglądaj się dalej. Prędzej czy później spotkasz ją na swojej drodze.

— Nie, nie spotkam — w oczach Justina odbił się smutek. Trafił w końcu na kobietę, jakiej szukał, a ona go nie chce. To nie było w porządku. Pragnął właśnie jej, właśnie teraz, właśnie tutaj, w tej kuchni i wiele go kosztowało panowanie nad sobą. Ale nie będzie zmuszał Daphne do uległości: wiedział, że w ten sposób utraciłby ją już nieodwołalnie. Może jego szansę wzrosną, gdy okaże cierpliwość? — Chcę, żebyś się zastanowiła nad tym, co ci dzisiaj powiedziałem — powtórzył.

— Jeszcze o tym porozmawiamy.

— Nie, nie porozmawiamy. — Ruszyła długimi krokami w stronę drzwi i otworzyła je przed nim. — Dobranoc, Justin. Zobaczymy się jutro na planie i nie będziemy rozmawiać o nas obojgu. Nigdy. Czy to jasne?

— Nie dyktujesz reguł wszystkim, Daphne. Mnie nie

— oczy rozbłysły mu niebezpiecznie, zaraz jednak gniew z nich ustąpił i ich spojrzenie znowu stało się chłopiące i jakby proszące.

Daphne jednak nie miała zamiaru się poddać. — Ustalłam reguły dla siebie, a ty albo je uszanujesz, albo trzymaj się ode mnie z daleka. Bo jeśli nie będziesz się liczyć z moimi uczuciami, w ogóle się od ciebie odsunę.

— Twoje postępowanie jest bezsensowne.

— Ty nie możesz o tym wyrokować. Dokonałam w życiu wyboru i jestem konsekwentna. Dawno podjęłam decyzję.

— Ale złą — jeszcze raz musnął ustami jej wargi i wyszedł. Daphne zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie, drżąc jak listek. Najbardziej zdumiewające było to, że przez całe lata wierzyła we wszystko, o czym mu właśnie powiedziała, a mimo to gdy ją całował, jej ciało aż krzyczało z tęsknoty do niego. Nie chciała jednak znowu cierpieć. Nie chciała znowu narażać się na ciężką stratę. Nie ulegnie Justinowi, bez względu na to, jakich argumentów jeszcze użyje. Lecz kiedy weszła do kuchni i spojrzała na miejsce, gdzie przed chwilą siedzieli, poczuła, że na wspomnienie jego dotyku zaczyna drzeć od nowa. Z przejmującym jękiem chwyciła butelkę, z której pił piwo, i z całej siły cisnęła nią o ścianę.

28

— Jak się wczoraj udało przyjęcie? — Siedzieli w bufecie i Daphne usilnie starała się zachowywać swobodnie, co nie było proste, ponieważ wszyscy ich współpartnerzy wcześniej skończyli jeść i wrócili do studia, tak że niespodziewanie została przy stoliku sam na sam z Justinem. Spojrzała na niego i zobaczyła ponury wyraz jego oczu.

— Nie poszedłem tam.

— Och. To niedobrze — postanowiła zmienić temat. — Uważam, że dzisiaj wszystko szło świetnie.

— Wcale nie — odsunął talerz i uniósł głowę. — Nie mogłem się skupić. Doprowadziłaś mnie wczoraj do szału.

Nie powiedziała mu, że ona także leżała bezsennie pół nocy, walcząc z myślami i zastanawiając się, czy do niej zadzwoni. Jej uczucia do Justina przeplatały się ze sobą, tworząc jakiś niesamowicie zagmatwany węzeł, ale bardziej niepokoiło ją to, że były niezwykle gwałtowne. A zarzekała się przecież, że już nigdy nie będzie czegoś tak silnie przeżywać.

— Jak możesz nam to robić? — przypominał teraz małego chłopca, którego nagle pozbawiono możliwości przeżywania świąt Bożego Narodzenia. Odłożyła kanapkę i spojrzała na niego.

— Nie „nam”, Justinie. Na miłość boską, nie istnieje coś takiego jak „my”. Przestań fantazjować, bo w rezultacie jeszcze bardziej skomplikujesz życie i sobie, i mnie.

— O czym ty, do diabła, mówisz? Cóż niby mam skomplikować? Ty jesteś wolna, a ja szukam. Problem tkwi w czym innym, moja pani. Powiem ci — mówił ochrypłym szeptem, ale nie dość cicho, więc rozejrzała się szybko, ażeby sprawdzić, czy ktoś ich nie słyszy. Na szczęście wszyscy przy okolicznych stolikach byli zajęci własnymi sprawami i nie zwracali na nich uwagi. — Twój problem polega na tym, że panicznie się boisz, że zaczniesz na nowo coś odczuwać. Nie zostało ci za grosz odwagi. Kiedyś musiałaś ją mieć, widać to w twoich książkach. Ale teraz nagle zamknęłaś się w tej swojej celi ze strachu, żeby przypadkiem nie stać się znowu kobietą. Ale wiesz co? Prędzej czy później, jeśli nic się nie zmieni, odbije się to na twoim pisaniu. Nie można żyjąc tak jak ty, pozostać zwykłym, prawdziwym człowiekiem, rozumiejącym wszystkie ludzkie odruchy. Może nawet już w tej chwili nie jesteś prawdziwym człowiekiem z krwi i kości. Może zakochałem się tylko w mirażu... fikcji... marzeniu...

— Przecież w gruncie rzeczy nic o mnie nie wiesz. Jak możesz się we mnie kochać?

— Myślisz, że jestem ślepy? Że nie widzę i nie słyszę cię w twoich książkach? Myślisz, że nie rozumiem „Apacza”? To co, według ciebie, robię tu codziennie? Powiedzieć ci? Ożywiam szeptę twojej duszy, malutka. Znam cię. O tak, znam cię. To ty nie znasz siebie. Nie chcesz pamiętać, że jesteś kobietą, do tego cholernie ładną, z normalnymi potrzebami, że masz serce i duszę, a także ciało, które pragnie mnie tak samo jak moje ciebie. Ale ja przynajmniej jestem szczery. Dzięki Bogu wiem, czego chcę, i nie boję się tego! — wyrzuciwszy to z siebie wstał, odszedł od stołu, strzelił drzwiami bufetu i wrócił do studia.

Kiedy parę minut później Daphne podażyła za nim, na jej twarzy błąkał się bezwiedny uśmiezek; niewielu kobietom w kraju udało się odprawić z kwitkiem Justina Wakefielda. Było to zarazem i smutne, i zabawne.

Obserwowała potem, jak przez całe popołudnie i wieczór powtarzał w kółko tę samą scenę. Howard Stern szalał, wrzeszczał na każdego, kto mu się nawinał pod rękę, próbował nawet zmieniać jakieś drobiazgi w scenariuszu w nadziei, że to coś pomoże. Problem nie leżał jednak w scenariuszu, tylko w stanie ducha Justina. Trudno było nie zauważyć, że czuje się nieszczęśliwy i chce jak najdobitniej okazać to całemu światu.

Wreszcie około dziesiątej wieczorem, po siedemnastu godzinach od rozpoczęcia zajęć na planie, Howard Stern z wściekłością rzucił swój kapelusz na podłogę.

— Nie wiem, co się z wami dzisiaj dzieje, ale ten dzień od początku do końca diabli wzięli. Wakefield, zrób coś z tym swoim ponuractwem i cmentarnymi minami. Chcę was wszystkich widzieć tu jutro o piątej rano. Cokolwiek siedzi wam teraz za skórą, radzę, żebyście, do cholery, do tego czasu sobie z tym poradzili! — z tymi słowami opuścił studio. Justin też zatrzasnął za sobą drzwi garderoby, nie obdarzając Daphne bodaj jednym spojrzeniem. Nie omieszkał jednak

przedtem predefilować tuż obok niej, żeby mieć pewność, że nie przeoczyła jego czarnego nastroju.

Milcząc wróciła z Barbarą do limuzyny i z ciężkim westchnieniem opadła na poduszki tylnego siedzenia.

— Uroczy dzień, co? — uśmiechnęła się Barbara. Daphne jednak nie miała ochoty na rozmowę. Wciąż myślała o Justinie, zastanawiając się, czy na pewno słusznie postąpiła.

Następny dzień okazał się niewiele lepszy, z tym że od rana do wieczora w ogóle nie zamieniła z Justinem słowa. Howard zwolnił ich wszystkich o wpół do ósmej, oświadczając, że pragnąłby, aby zniknęli mu z oczu co najmniej na pół roku.

Jednak nazajutrz wszystko się zmieniło. Od początku wyczuwało się w powietrzu coś niezwykłego: Justin przyszedł na plan promieniejąc energią. Była w nim złość, poządlliwość, ale i jakaś nieuchwytna duchowa siła. Jego gra poruszyła wszystkich do żywego. Po czterech godzinach pracy, w ciągu których nie musiano powtarzać ani jednego ujęcia, Howard podbiegł do niego i ucałował go w oba policzki, a cały zespół zawtórował mu głośnymi oklaskami. Nieznane były powody, dla których Justin otrząsnął się z przygnębienia, ale fakt pozostał faktem i Daphne, udając się na lunch do bufetu, nie miała już tego poczucia winy, jakie odzywało się w niej poprzedniego dnia. Mimo to zdziwiła się, kiedy — jak gdyby nigdy nic — usiadł przy jej stoliku.

— Byłeś dzisiaj wspaniały, Justinie — odważyła się jednak uśmiechnąć. Nie spytała, co wpłynęło na zmianę jego nastroju, wystarczyło jej, że ta zmiana nastąpiła.

— Byłem to winien Howardowi. Zbyt długo kazałem wszystkim płacić za swoje fatalne samopoczucie.

Pochyliła głowę, wbijając wzrok w stojący przed nią talerz. Dopiero po chwili uniosła twarz. — Przykro mi, że cię zdenerwowałam.

— Mnie tym bardziej. Ale doszedłem do wniosku, że jesteś warta tego, aby przez ciebie cierpieć — słysząc to omal się nie rozplakała. Już miała nadzieję, że zrezygnował. — Dobrze, Daff. Jeśli nie życzysz sobie, żeby sprawy między nami posunęły się dalej, chyba nie pozostaje mi nic innego, jak się z tym pogodzić. Czy przynajmniej mogę liczyć na to, że zostanę twoim przyjacielem? — powiedział to tak ujmująco i z taką pokorą w głosie, że oczy wezbrały jej łzami i odruchowo nakryła jego rękę dłonią.

— Już jesteś moim przyjacielem, Justinie. Wiem, że niełatwo ci mnie zrozumieć, ale w życiu spotkało mnie zbyt wiele bolesnych rzeczy. Nic na to nie poradzę. Po prostu przyjmij mnie taką, jaka jestem. Tak będzie lepiej dla nas obojga.

— Nie wiem, czy potrafię, ale spróbuję.

— Dziękuję.

— Nie obiecuję jednak, że przestanę czuć to, co czuję. Daphne westchnęła w duchu; nie mówiłby tak, gdyby

wiedział, jaką przykrość jej sprawia. Może jednak wytrwałość leżała po prostu w jego naturze? Jeśli tak i jeśli rzeczywiście mają zostać przyjaciółmi, musi to wziąć pod uwagę.

— Postaram się uszanować twoje uczucia.

A ja twoje — zrobił pauzę, po czym zachichotał.

— Choć nadal jestem zdania, że masz bzika.

Parsknęła śmiechem i nie mogła się powstrzymać, by nie powiedzieć, co jej chodziło po głowie parę dni temu.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że w Ameryce nie znalazłaby się chyba druga kobieta, która nie wpuściłaby cię do łóżka?

— Spodziewasz się dostać za to nagrodę prezydenta?

— spojrzął na nią rozbawiony.

— Masz jedną do odstąpienia? — spytała wciąż roześmiana Daphne.

— Do diabła, może uda się taką załatwić, jeżeli to cię uszczęśliwi!

Wracając na plan rozmawiali już tylko o filmie, a wieczorem Justin zjawił się u niej w domu z plaketką, którą kazał zrobić w rekwizytorni. Była wykonana z brązu, pięknie wykończona, ze starannie wygrawerowanym napisem, który głosił, że jest to nagroda prezydenta dla panny Daphne Fields za wykazaną odwagę oraz spełnienie patriotycznego obowiązku, jakim było niewpuszczenie do łóżka Justina Wakefielda. Obejrząwszy ją, Daphne wybuchnęła śmiechem, pocałowała go w policzek i zaprosiła na piwo.

— Powiedziałaś, że liczysz na nagrodę, i potraktowałem twoje słowa z należytą powagą.

Ustawiła plaketkę pod szafką w kuchni, po czym podała mu piwo i szklanekę.

— Jadłeś już?

— Hamburgera po pracy. Może popływalibyśmy trochę w twoim basenie? — Dochodziła już ósma, ale wieczór był taki piękny, że propozycja zabrzmiała nad wyraz nęcąco.

— A mogę ci zaufać?

— Że nie nasiusiam ci do basenu? — Jak na mężczyznę w jego wieku, zachowywał się chwilami bardziej swawolnie niż nieopierzony sztubak. Czasem doprowadzało ją to do szału, ale znacznie częściej jej się podobało, było bowiem tak różne od wszystkiego, z czym stykała się do tej pory.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi, Wakefield — powiedziała surowo.

— Wiem, Fields — odrzekł tym samym tonem, ale zabarwionym kpina. — Tak, możesz mi zaufać. Strasznie dużo wysiłku wkładasz w tłumienie własnych uczuć. Czy naprawdę warto?

— Owszem — uśmiechnęła się. — Tak sędzę.

— No cóż, na pewno nie można cię nazwać kobietą łatwą. Przynajmniej ja nie mogę tego powiedzieć. — Po krótkiej przerwie dodał z melancholijnym wyrazem twarzy: — A może tylko ja?

— Och, Justin! — nie chciała, żeby tak myślał. — Oczywiście, że nie, ty głuptasie. Po prostu już ułożyłam sobie życie i nie mam zamiaru niczego zmieniać. Dobrze mi tak, jak jest.

— Dostałem po nosie.

— A ja dostałam plakietkę — ręką wskazała swoją sypialnię. — Pójdę włożyć kostium.

Wybrała skromne granatowe bikini. Kiedy wyszła na zewnątrz domu, Justin znajdował się już w basenie.

— Woda jest fantastyczna! — Zanurkował i Daphne odniosła wrażenie, że ma na sobie białe kąpielówki. Skoczyła zgrabnie i dopłynęła do niego tuż nad dnem basenu. Wtedy zobaczyła, że to, co brała za kąpielówki, jest niczym innym jak nie opalonym fragmentem skóry na jego pośladkach. Gdy wypłynęli na powierzchnię, spojrzała na niego z wyrzutem.

— Justin, twoje kąpielówki...

— Nie cierpię mieć ich na sobie. Przeszkadza ci to?

— Zdaje się, że moja opinia nie ma żadnego znaczenia.

— Istotnie — zaśmiał się radośnie i ponownie zanurkował, łaskocząc ją w stopy. Po chwili wyskoczył nad wodę jak delfin, złapał ją i pociągnął za sobą w dół. Opierała się, próbując go odepchnąć, ale wtedy tym mocniej przyciągnął ją do siebie. Bawili się w ten sposób przez jakieś dziesięć minut, dopóki Justin wreszcie jej nie puścił.

— Zawsze masz tyle energii po całym dniu pracy?

— Tylko kiedy czuję się szczęśliwy.

— Niby jesteś dorosły, a brykasz jak dzieciak.

— Dziękuję. — Nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, że przekroczył czterdziestkę, a Daphne musiała przyznać, że w jego towarzystwie też czuje się młodsza. — Wspaniale wyglądasz w tym bikini. Ale jeszcze lepiej wyglądałabyś bez.

— Prawdziwa z ciebie zaraza! — Przepłynęła kilka razy długość basenu, po czym wolno wspięła się po drabince na brzeg. Zawijając się w ręcznik zauważyła, że podążył za nią. — Na leżaku jest prześcieradło kąpielowe.

Kiedy się odwróciła, stwierdziła, że nie zrobił z niego użytku. Stał przed nią wyprostowany, a po jego pięknym, nagim ciele spływały krople wody. Na niebie lśnił księżyc i połyskiwały gwiazdy. Przez bardzo długą chwilę nie padło ani jedno słowo. Wreszcie Justin postąpił krok do przodu i wziął ją w ramiona. Całował ją z całą delikatnością dziecka, które w nim dostrzegła, lecz tuląc ją drżał coraz bardziej, nie wiadomo, od chłodu czy z pożądania. Daphne nie wiedziała, dlaczego

pozwała mu się obejmować, ale nie opierała się, aż w pewnym momencie uświadomiła sobie, że zaczyna odwzajemniać jego pocałunki. Wydawało się, że upłynęły godziny, zanim w końcu odsunął się od niej i ciasno owinął ręcznikiem, jakby w nadziei, że w ten sposób ugasi ogarniający go płomień namiętności.

— Przepraszam, Daff — powiedział nie patrząc na nią, głosem skruszonego chłopca. Daphne wciąż stała zupełnie nieruchomo, całkowicie zdezorientowana: przed chwilą tak mocno go pragnęła... Wreszcie leciutko dotknęła ręką jego ramienia.

— Justin... Nic się nie stało... — powiedziała uspokajającym tonem. Zwrócił się do niej twarzą, ich oczy się spotkały.

— Pragnę cię, Daphne. Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale ja cię kocham.

— Oszalałeś. Jesteś szalonym chłopcem w ciele mężczyzny. — Zadzwięczały jej w uszach przestrogi Howarda. „Pamiętaj, że wszyscy aktorzy to nieodpowiedzialne dzieci.” Takim właśnie dzieckiem był Justin. A może jednak nie? W każdym razie nie sprawiał już wrażenia dziecka, gdy zbliżył się do Daphne, obejmując dłońmi jej twarz.

— Kocham cię. Czy naprawdę nie możesz w to uwierzyć?

— Nie chcę w to wierzyć.

— Dlaczego?

— Bo jeśli uwierzę... — na moment odebrało jej głos. Przebiegł ją dreszcz, choć powietrze było ciepłe. — ...jeśli uwierzę i jeśli pozwolę sobie na to, by też pokochać ciebie... któregoś dnia będziemy bardzo cierpieć, a ja tego nie zniosę.

— Nie sprawię ci bólu. Nigdy. Przysięgam.

Z westchnieniem oparła głowę o jego nagą pierś i położyła mu ręce na ramionach. — Tego nikt nikomu nie może przyrzec.

— Nie umrę tak jak tamci, Daff. Nie możesz wiecznie bać się tego samego.

— Boję się nie tego. Boję się utracić to, co kocham... Boję się że zranię i zostanę zraniona...

Odsunął ją od siebie, aby mogła spojrzeć mu w oczy, tak jak ona robiła z Andym, gdy chciała mu umożliwić czytanie z warg.

— Nie zostaniesz zraniona, Daff. Zaufaj mi... — Daphne przemknęło jeszcze przez myśl, dlaczego właściwie miałyby mu ufać, ale już się nie odezwała. Wszelkie słowa straciły sens, nawet dla niej. Nie miała siły dłużej walczyć. Pozwoliła, by ją całował, pieścił, a następnie zaniósł do sypialni, gdzie spędzili całą noc. O świcie wstał przed nią i przygotował kawę i tosty. Śmiejąc się i całując stali potem razem pod prysznicem i Daphne nie umiałaby już powiedzieć, czemu tak uporczywie broniła swojej samotności.

O piątej rano wróciła Barbara, ażeby wraz z Daphne wyruszyć do studia. Zastawszy w kuchni Justina, w białych dzinsach i na bosaka, nie potrafiła ukryć odruchu niechęci i przerażenia.

— Miło spędziłaś noc, Barb? — zapytał. Barbara zmierzyła ich wzrokiem: instynkt od początku podpowiadał jej, że za wszelką cenę musi uchronić Daphne przed Justinem, a teraz okazało się, że jest już za późno.

— Owszem, dziękuję. — Oczy Barbary wyrażały wszystko i Justin dobrze rozumiał ich mowę.

Piętnaście po piątej wsiedli we troje do limuzyny Daphne i pojechali do wytwórni. Justin grał tego dnia olśniewająco,

a gdy wszyscy poszli na lunch, on i Daphne wślizgnęli się do jego garderoby i kochali do drugiej po południu, kiedy reszta zespołu powróciła do studia.

29

Praca w studiu filmowym to coś jak ugrzęźnięcie na cały rok w zepsutej windzie pełnej pasażerów: nie można kiwnąć palcem, aby natychmiast wszyscy tego nie zauważyli. Nie minął tydzień, a dla nikogo nie było już tajemnicą, że Daphne i Justin zostali kochankami, niemniej tylko jeden Howard ośmielił się to skomentować. Był ranek, siedzieli przy stoliku, zagryzając kawę orzeszkami.

— Tylko nie mów potem, że cię nie ostrzegałem. Oni wszyscy są jak dzieci. Duże, zepsute dzieci. — Dziś jednak jego słowa padały w próżnię: Daphne była już całkowicie pod urokiem Justina.

Codziennie posyłał kwiaty do studia, o północy piekł w jej kuchni ciasteczka i kupował niezliczone drobne, lecz starannie wybrane prezenciki, a gdy tylko było to możliwe, nie zważając na miejsce i porę, natychmiast brał ją w objęcia. Nocami, kiedy leżeli nad basenem, recytował jej wiersze zapamiętane z dzieciństwa lub rozśmieszał ją do łez, opowiadając o zabawnych perypetiach, jakie zdarzyły się podczas kręcenia filmów.

Ku nieopisanej radości Howarda praca nad „Apaczem” posuwała się milowymi krokami, tak że wkrótce znacznie wyprzedzili przyjęty na wstępie harmonogram, a jakiegokolwiek kłopoty czy potknięcia na planie trafiały się niezmiernie rzadko. Przez ostatnie trzy tygodnie Daphne nauczyła się więcej o sztuce filmowej, niż spodziewała się nauczyć w ciągu całego roku.

— A kiedy skończymy ten film, moja droga, zrobimy następny... I jeszcze następny... Stanowimy zespół nie do pobicia, dziecinko.

Daphne z ochotą przytakiwała. Jedynym cieniem, jaki kładł się na jej romansie, była nie skrywana niechęć Barbary do Justina, co powodowało między nimi stałe napięcie, na dłuższą metę trudne do zniesienia. Barbara starała się wprawdzie unikać ostrych słów, ale jej niedopowiedzenia

były równie wymowne jak słowa. A po nocach, w mieszkaniu Toma, dawała już pełny upust swoim uczuciom. Tom bez powodzenia usiłował ją uspokoić.

- Barb, przecież to dorosła kobieta. I ma dużo zdrowego rozsądku, sama to mówiłaś. Dlaczego się wtrącasz? My mamy swoje życie, niech ona ma swoje.

— W tym wypadku jej zdrowy rozsądek najwyraźniej strajkuje. Ten facet chce ją wykorzystać. Wiem, że tak jest.

— Nieprawda, nie wiesz. To tylko twoje domysły i przecucia. Nie masz żadnych dowodów.

— Przestań się wypowiadać jak prawnik!

— To ty przestań zachowywać się jak jej matka. — Tom próbował uciszyć Barbarę pocałunkami, ale nie udało mu się rozproszyć jej obaw. Przerazała ją myśl, że Justin unieszczęśliwi Daphne. Nie potrafiła tego jasno określić, lecz wyczuwała w nim jakiś fałsz, a tymczasem niewiele brakowało, żeby na dobre wprowadził się do ich domu. I tak nie odstępował Daphne na krok, towarzysząc jej w studiu, na kolacjach i przyjęciach. Daphne podobało się to zupełnie nowe życie, choć w jej oczach nie widziało się jeszcze blasku prawdziwego szczęścia; minione lata zostawiły jednak zbyt głęboki ślad w jej psychice. Dręczył ją również brak częstszych i bliższych kontaktów z Andym. Nadal codziennie do niego pisała, nic jednak nie zapowiadało w najbliższej przyszłości przerwy w toku zdjęć, którą mogłaby wykorzystać na odwiedzin w Howarth albo sprowadzenie synka do Kalifornii. Coraz dłuższe stawały się też odstępy między kolejnymi telefonami do Matta: wciąż brakowało jej na nie czasu. Za każdym razem, gdy mówiła, że musi zadzwonić do niego, Justin odwracał jej uwagę bądź to pytaniami dotyczącymi jakichś kwestii w scenariuszu, bądź po prostu pocałunkami i pieszczotą.

W końcu pewnego wieczoru zatelefonował Matthew. - Czy Hollywood zawojowało już panią ze szczętem, panno Fields, czy też jest pani zbyt zajęta, żeby do nas zadzwonić?

— Dźwięk głosu Matta obudził w niej poczucie winy, ale przede wszystkim przeraziła się, że coś złego przytrafiło się chłopcu.

— Jak się miewa Andy? — Serce zakołatało jej w piersi. Przez moment na próżno usiłowała zebrać myśli.

— On świetnie. Natomiast ja czuję się okropnie osamotniony. Jak film?

— Dobrze. Prawdę mówiąc, nawet wspaniale. — Dosłyszał w głosie Daphne nie znaną mu dotąd nutkę, ale na razie nie wiedział, co ona może oznaczać. Bardzo chciałby poznać przyczynę, dla której ostatnio tak się od siebie oddalili. Naturalnie mogła mieć na to wpływ jej intensywna praca, lecz w głębi ducha nie był o tym do końca przekonany. I gdy po paru dniach zadzwonił do niej ponownie, telefon odebrał Justin.

— Szkoła? Jaka szkoła? — rzucił z roztargnieniem. Przepowiadał sobie właśnie sceny, które mieli kręcić następnego dnia, a Daphne brała kąpiel. — Ho...? Ho...?

— Howarth. Daphne będzie wiedziała. — Matthew zaczął żałować, że w ogóle zadzwonił.

— Och — przypomniał sobie nagle Justin. — Prawda, jej dzieciak. Tak, ale w tej chwili nie może podejść do telefonu. Jest w wannie. — Matthew aż skurczył się w sobie. Więc taki był powód jej milczenia... Żeby ten mężczyzna był przynajmniej miły, pomyślał ogarnięty nagłym smutkiem. Daphne zasługiwała na najlepszego towarzysza życia, ponieważ sama była kimś nadzwyczajnym. — Czy mam jej coś przekazać?

— Proszę tylko powiedzieć, że jej syn ma się dobrze.

— Powtórzę. — Justin odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. W New Hampshire było wpół do dwunastej, a więc cholernie dziwna pora na telefonowanie. Wszedł do łazienki i oznajmił Daphne, że dzwonił jakiś facet ze szkoły jej syna.

— Prosił, żeby ci przekazać, że chłopiec ma się dobrze.

— Spojrzął na nią zagadkowo. — Dość późno wybrał się z tym telefonem. Kto to jest?

— Matthew Dane, dyrektor — odpowiedziała z ociąganiem, jakby sprawiło jej przykrość, że to Justin podniósł słuchawkę. On zaś nagle się roześmiał i przysiadł na krawędzi wanny.

— Tylko nie mów, moja mała niewinna dziewczynko, że miałaś romans z dyrektorem szkoły, do której chodzi twój dzieciak! — Ta myśl najwyraźniej go rozbawiła. Daphne natomiast zachnęła się zdenerwowana.

— Nie powiem, bo to nieprawda. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi.

— Jakiego rodzaju to przyjaźń?

— Taka, która pozwala ludziom szczerze ze sobą rozmawiać. Taka, jaką byłaby teraz nasza przyjaźń, gdybyś miał choć odrobinę rozsądku — głos jej zmiękł. — To bardzo miły człowiek i ogromnie pomógł Andy'emu.

— Chryste, wszyscy ci faceci ze szkół z internatami to świry, Daff. Nie wiedziałaś o tym? Pewnie podoba mu się dupcia twojego małego.

Niespodziewanie spojrzała na niego z wściekłością. — To obrzydliwe, co powiedziałaś, zwłaszcza że nie masz o niczym pojęcia. To jest szkoła specjalna i ludzie, którzy tam pracują, są całym sercem oddani dzieciom.

— Pewnie, pewnie — bąknął bez przekonania. Nagle popatrzył na nią podejrzliwie. — Co to znaczy „szkoła specjalna”? Czy twój syn ma jakieś problemy? — Przypomniał sobie, jak mówiła któregoś dnia, że zmuszona była umieścić Andy'ego w szkole, ponieważ nie miała wyboru. Ogarnęła go panika: czyżby jej dziecko było jakimś opóźnionym w rozwoju dziwolągiem? Daphne

nie spuszczała z niego oczu, jakby ważąc w duchu, do jakiego stopnia może mu zaufać. Wreszcie, po długiej chwili milczenia, skinęła głową.

— Tak, ma problemy. Andy urodził się głuchy. Jest w szkole dla niesłyszących w New Hampshire.

— Jezu Chryste! Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

— Nikomu nie mówię. — Nadal siedziała w wannie, tylko jej twarz nagle poszarzała.

— Dlaczego, Daff?

— Ponieważ to wyłącznie moja sprawa — powiedziała lekko wyzywającym tonem.

— To chyba straszne mieć głuche dziecko?

— Wcale nie. — Spojrzała mu w oczy, ale nie znalazła w nich zrozumienia. Nie szkodzi: jeśli naprawdę mu na niej zależy, będzie musiał nauczyć się właściwego podejścia do Andy'ego. — To wspaniały dzieciak i niedługo zdobędzie wiedzę, która mu umożliwi funkcjonowanie w normalnym świecie.

— Cieszę się. — Nie odniosła jednak wrażenia, ażeby miał ochotę dowiedzieć się czegoś więcej: pochylił się, pocałował ją, po czym wrócił do sypialni, do swojego egzemplarza scenariusza i do scen, które miały być realizowane następnego dnia.

Daphne wyszła z wanny, wytarła się do sucha i poszła zadzwonić do Matthew. Po podniesieniu słuchawki od razu zaczął ją gorąco przeproszać za swój ostatni telefon.

— Nie wygłupiaj się, Matt. Zadzwoniłabym pierwsza, gdybym nie była tak diabelnie zajęta. — Nie wiedziała, jak zręcznie nawiązać do Justina, więc nie wspomniała o nim słowa. Krępowało ją, że Matthew natknął się na niego u niej w domu. Do tego Justin z całkowitą beztroską oznajmił mu, że Daphne jest akurat w kąpieli, co jej zdaniem nie było informacją, która by się nadawała do przekazywania przez telefon. A gdyby to dzwonił ktoś z prasy? Justin oczywiście wtedy również by się tym nie przejął; o wiele lepiej od Daphne znosił wścibstwo dziennikarzy i w najmniejszym stopniu nie troszczył się o swoją reputację. Dawno już machnął na nią ręką. — Co u Andy'ego?

— Wszystko w największym porządku. — Matthew podzielił się z nią najświeższymi nowinami, po czym z jakiegoś powodu rozmowa zaczęła kuleć. Zniknęły gdzieś swoboda i otwartość, jakie dotąd cechowały ich kontakty. W pewnej chwili Daphne zaczęła się zastanawiać, czy przedtem nie dzwoniła do niego tak często tylko dlatego, że czuła się bardzo samotna, i nagle zawstydzila się. Pomyślała, że wykorzystywała go jedynie do wypełniania sobie w ten sposób pustych nocy na Zachodnim Wybrzeżu. Teraz wszystko wyglądało inaczej: teraz był Justin. A jednak odkładała słuchawkę z uczuciem, że coś utraciła.

— Dzwoniłaś do swojego przyjaciela? — spytał z ironią Justin, gdy wróciła do sypialni.

— Tak. U Andy'ego bez zmian, to znaczy dobrze. — Ostrzegła go spojrzeniem, żeby lepiej nie rozwijał tematu, a on miał dość rozumu, by usłuchać. Zamiast mówić dalej, delikatnie zsunął z niej ręcznik i wolno powędrował dłonią w górę jej uda. Następnie równie powoli przyciągnął ją do siebie, aż przywarła do jego zgłodniałego ciała. A kiedy splekli się w uścisku, nie pamiętali już o żadnych telefonach świata. Gdy skończyli się kochać i Justin usnął u jej boku, oddychając coraz ciszej, Daphne otworzyła oczy i leżąc nieruchomo myślała o Matthew.

30

Przez następne dwa miesiące prace nad „Apaczem” biegły nieprzerwanie, bez najmniejszych widoków na jakiegokolwiek spowolnienie tempa, aż nagle, zupełnie niespodziewanie, Howard ogłosił, że daje zespołowi cztery dni urlopu na odpoczynek.

— Alleluja, dziecinko! — wykrzyknął uszczęśliwiony Justin. — Jedziemy do Meksyku!

Daphne miała jednak inne plany. — Nie mogę. Muszę się zobaczyć z Andym. Nie widziałam go od trzech miesięcy.

— Z Andym? Och, na miłość boską, czy twój dzieciak nie może trochę poczekać?

Te słowa zmroziły Daphne.

— Nie, nie może. Chcę, żeby przyjechał tutaj — powiedziała z goryczą, ale zdecydowanie. Nic i nikt nie stanie pomiędzy nią a małym. Dotyczy to także Justina. Na próżno czekała, żeby okazał w końcu zainteresowanie jej synem. Istniało wiele spraw, które kompletnie go nie obchodziły, a dzieci rzeczywiście się do takich zaliczały. Dla niego dzieci mogły po prostu nie istnieć: ani cudze, ani ewentualnie własne. Ten zgrzyt nie przyćmiewał na razie ich wzajemnej miłości, a gdy zdarzało się czasem, że leżeli razem rozmawiając do świtu, Daphne czuła, że jest naprawdę zakochana i kochana.

Ale równie często odnosiła wrażenie, że Justin kocha tylko jakąś jedną jej cząstkę, ignorując wszystkie pozostałe, w tym, co najgorsze, właśnie Andy'ego, od którego nie było dla niej przecież w życiu nic ważniejszego.

— Zastanów się, Justinie. Nie miałbyś ochoty go poznać? — Chciała, żeby zaczął przynajmniej uwzględniać w swoich planach spotkanie z Andym; może z czasem zmieni swój stosunek do niego...

— Hm... Prawdę mówiąc, moja droga, w tej chwili potrzebny mi jest odpoczynek, a wiem z doświadczenia, jak trudno odsapnąć przy dzieciach — odrzekł beznamiętnie. Zresztą samą Daphne opadły wątpliwości, czy sprowadzanie teraz Andy'ego jest rozsądne. Pomyślała, że podróż tam i z powrotem byłaby jednak dla niego zbyt męcząca jak na zaledwie cztery dni pobytu w Los Angeles. W końcu zadzwoniła do Howarth, aby zasięgnąć opinii Matthew.

— Całkiem szczerze, Daff, uważam, że to trochę za forsowna wyprawa, jeśli ma być u ciebie jedynie cztery dni. To samo powiedziałbym matce każdego dziecka w jego wieku.

Daphne przestała się wahać. Po prostu nazbyt mocno pragnęła, by Andy poznał Justina, ale może lepiej, że to się odwlecze: może ani jej syn, ani Justin nie byli jeszcze przygotowani do takiej konfrontacji. Niech raczej Justin spędzi te cztery dni, jak sam uzna za stosowne. Jakoś przeżyją tę krótką rozłąkę, a ona będzie mieć Andy'ego tylko dla siebie. Nie tała przed sobą, że postawa Justina ją rozczarowała, lecz ostatecznie nic się takiego straszego nie stało.

— Chyba masz rację, Matt. Polecę do Nowego Jorku i wkrótce zjawię się u was.

— To nonsens — odparł. Daphne zaniemówiła. Przecież doskonale wiedział, że rozłąka z synem trwała całe trzy miesiące. Matthew natychmiast odgadł, dlaczego nagle zamilkła, i zaśmiał się. — To nieporozumienie. Nie chodziło mi o twój przyjazd na Wschód w ogóle, tylko konkretnie tutaj, do Howarth. Przyleć do Bostonu, a ja odbiorę cię z lotniska.

— Nie mogę tego od ciebie wymagać. Masz dosyć roboty i bez obwożenia mnie po Stanach.

— Pracowałaś bez wytchnienia przez pięć miesięcy. Czy nie mogę wyświadczyć drobnej przysługi mojej przyjaciółce? — Cóż, trudno zaprzeczyć, że owa propozycja była Daphne bardzo na rękę, obawiała się jednak, czy jej przyjęcie nie będzie nadużyciem życzliwości Matthew. Zawsze był dla niej taki dobry. — Mówię poważnie — nalegał. — To dla mnie naprawdę żaden kłopot.

Mimo cichego sprzeciwu wiedziała, że to nie czczy kurtuazja.

— Więc dobrze — zgodziła się, mile ujęta nowym dowodem sympatii Matthew. Zajrzała do rozkładu lotów, w który zaopatrzyła się na wszelki wypadek, podała mu godzinę przylotu nazajutrz do Bostonu i poszła do sypialni, aby się spakować. Nagle opanowała ją niecierpliwość; już chciałaby się witać z nimi obydwoma, a na myśl, że znowu będzie mogła objąć i przytulić Andy'ego, rozśpiewała się w niej dusza. Na widok rozanielonej twarzy Daphne Justin zwrócił się do niej z tym swoim chłopięcym i zarazem tak bardzo seksownym uśmiechem.

— Ty rzeczywiście masz fioła na punkcie tego małego, Daff.

— Owszem, mam. — Usiadła obok Justina na łóżku i lekko pocałowała go w wewnętrzną stronę dłoni. Spojrzała na niego z wyczekiwaniem. — Naprawdę chciałabym, żebyście się poznali.

— Tak, zapewne... Któregoś dnia... — Zamilkł na moment, po czym mruknął: — Czy on umie mówić?

Skinęła głową. — Umie, choć może nie zawsze mówi wyraźnie. — Coś w oczach Justina ją zaniepokoiło i musiała spytać: — Czy właśnie tego się boisz? Przystawiania z głuchym dzieckiem?

— Nie boję się. Po prostu nie przepadam za dziećmi, wszystko jedno, normalnymi czy nie.

— On nie jest nienormalny. Jest głuchy.

— Co za różnica. — Mało brakowało, a rzuciłaby się na niego za te słowa, ale powściągnęła swój gniew i żal.

— I tak mam zamiar sprowadzić tutaj Andy'ego w jesieni, kiedy skończymy film. Wtedy sam się przekonasz.

— Świetnie.

Zastanawiała się, czy przyjął tę wiadomość tak spokojnie dlatego, że do jesieni pozostały jeszcze pełne trzy miesiące? Daphne bardzo zrażał stosunek Justina do jej dziecka, równocześnie zaś było tyle rzeczy, które jej się w nim podobały... Z pewnością zniknie i ta przeszkoda, kiedy osobiście pozna Andy'ego; tego chłopca nie można było nie lubić.

- Co zamierzasz robić, gdy ja wyjadę? — spytała nieśmiało. Całej ekipie należał się odpoczynek, a Justinowi bardziej niż innym. Spoglądała na niego z ciepłym uśmiechem.

— Nie wiem. Chciałem wyskoczyć z tobą do Meksyku.

— Dotknął wewnętrznej części jej uda. — Nie zmienisz zdania?

Daphne uśmiechnęła się nieco smętnie. Naprawdę na razie niczego nie rozumiał. Pokręciła przecząco głową.

— Nie zmienię. Nawet pod wpływem takich chwil jak ta.

— To dopiero musi być dzieciak!

— I jest.

— Więc powiedz mu, że szaleję za jego mamusią.

— Powiem. — Wiedziała jednak, że słowem nie wspomni jeszcze Andy'emu o Justinie, ponieważ malec nie zrozumiałby nowej dla matki sytuacji; dotąd Daphne należała wyłącznie do niego. Tak było kiedyś, tak jest i tak ma być zawsze.

— Zostaniesz tutaj, kochanie?

— Jeszcze nie wiem. Może pojedę na tych parę dni do San Francisco. Mam tam znajomych.

— Daj mi znać, gdzie się zatrzymasz, żebym mogła zadzwonić. — Od prawie trzech miesięcy nie rozstawali się ani na chwilę i teraz gnębiła ją myśl, że znajdzie się tak daleko od ukochanego.

— Będzie mi pana brakowało, panie Wakefield.

— Mnie pani także, Daff.

Wziął ją w ramiona i kochali się niemal do świtu. Przed odlotem Daphne udało się jednak złapać parę godzin snu.

Na lotnisko udała się sama swoją limuzyną, albowiem Barbara przebywała z Tomem i śmieszne byłoby ściąganie jej na miejsce tylko po to, by towarzyszyła przyjaciółce podczas krótkiej przejażdżki. Justin natomiast miał jakieś swoje sprawy do załatwienia. Grający w „Apaczu” aktorzy, podobnie jak wszyscy należący do zespołu, wykorzystywali najlepiej jak umieli każdą

cenną godzinę z owych czterech darowanych im dni. Daphne wsiadła do samolotu odlatującego o dziesiątej, by o siódmej wieczorem czasu Wschodniego Wybrzeża znaleźć się w Bostonie.

Samolot wylądował punktualnie. Daphne zeszła na płytę lotniska jako jedna z pierwszych i zaczęła rozglądać się za Mattem. Początkowo nie mogła go odnaleźć w tłumie oczekujących, aż raptem dostrzegła go nie dalej niż kilka metrów od siebie, przeczesującego wzrokiem pasażerów. Ich spojrzenia się spotkały i Daphne poczuła, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu serce zabiło jej przyspieszonym rytmem. W ciągu minionych sześciu miesięcy zawsze myślała o nim jak o przyjacielu, ale ich kontakty ograniczały się głównie do rozmów telefonicznych. A teraz niespodziewanie uprzytomniła sobie, jak ogromną radość sprawia jej widok Matta. Jemu też oczy zajaśniały ciepłym światłem i uśmiechając się, wolno ruszył w jej stronę.

— Cześć, Daff. Jak ci minął lot?

— Trwał za długo. — Nieoczekiwanie dla samej siebie wyciągnęła ręce i objęła go. — Dziękuję, że przyjechałeś, Matt.

Przez chwilę oboje czuli się trochę niezręcznie. Wreszcie Matthew powiedział:

— Wyglądasz wspaniale. — Nie uszło jego uwagi, że schudła: aż nadto wyraźnie było po niej widać, jak ciężko pracowała. Równocześnie jednak sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej. Patrząc w roześmiane oczy Daphne, Matt odkrył w nich coś, co go z kolei nieco zasmuciło; coś, czego przedtem w nich nie było. Osądził w duchu, że Daphne stała się jakby bardziej kobieca, bardziej sexy. I mimo woli natychmiast pomyślał o męskim głosie, który usłyszał w słuchawce telefonicznej. Odbierając bagaż Daphne, daremnie starał się zagłuszyć w sobie jego wspomnienie. — A jak ci się tam wiedzie? O pracy już wiem, ale co poza tym?

Była jeszcze piękniejsza niż dawniej i wszystko w nim aż krzyczało, żeby poznać przyczynę tej odmiany. Tłumił jednak chęć zapytania o to wprost, wiedząc, iż nie ma do tego prawa.

Zamiast odpowiedzi obdarzyła go uśmiechem. Zdawała sobie sprawę, że tu, w New Hampshire, całkowicie pochłonięty codziennymi obowiązkami, jest praktycznie odcięty od świata. Gazety kilkakrotnie zamieszczały wzmianki o niej i Justinie, lecz Matt najwyraźniej o niczym nie wiedział. Znała go już dostatecznie dobrze, aby mieć pewność, że nie gra przed nią komedii.

Uśmiechnęła się znowu, gdy schylił się po torbę podróżną. W jej oczach zamigotała leciutka drwina i Matthew zatrzymał się, by spojrzeć na nią uważniej.

— Zachowujesz się strasznie serio, Matt. — Nie. Nie miała ochoty mówić mu o Justinie.

— Po prostu cieszę się, że cię widzę, Daff. Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć... — Patrzył na nią bezradnie.

— Opowiedz mi o Andym.

Widziała te nieme pytania wypisane na twarzy Matta, ale postanowiła pominąć je milczeniem. To, co zaszło w Kalifornii, nie miało nic wspólnego z Howarth. Tutaj czekało na nią zupełnie inne życie, życie, które dzieliła z synem. Świat Justina Wakefielda nagle oddalił się o dziesiątki tysięcy mil. Czuła się trochę tak, jakby wróciła do domu, jakby wróciła do niego sama. Sprawiało jej to niekłamana radość.

Po opuszczeniu lotniska od razu skierowali się na północ. Po drodze Matthew opowiadał jej o zmianach, jakie wprowadził w szkole, o dwóch nowo przyjętych pracownikach, o zamierzonych wycieczkach i planowanym na lipiec obozie pod namiotami.

Daphne westchnęła. — Wiesz, Matt, wydaje mi się, że tkwię tam od początku świata.

Chciał jej powiedzieć, że on czuje podobnie, powstrzymał się jednak, lękając się, by nie zabrzmiało to zbyt poufale.

— Jak myślisz, ile czasu zajmie ci jeszcze ten film?

— Sama chciałabym to wiedzieć. Może trzy miesiące, może sześć. Do tej pory szło nam jak po maśle, ale wszyscy mnie ostrzegają, że to się może zmienić. Howardowi zależy na pośpiechu, zresztą nikt nie marzy o przedłużeniu pracy, lecz zawsze trzeba liczyć się z niespodziankami. Obawiam się, że prędzej czy później i nas nie ominą jakieś kłopoty.

Tak czy owak, na pewno przyjadę do domu na Boże Narodzenie.

Skinął głową, nie dając po sobie poznać rozczarowania. — Wtedy ja będę już gotowy do odlotu. Pierwszego stycznia przybywa z Londynu nowy dyrektor, żeby przejąć szkołę.

— Nieodwołalnie postanowiłeś stąd odejść? — spytała ze smutkiem.

— Tak. Howarth to wspaniałe miejsce, ale chcę wrócić do New York School. — Uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Chyba nie jestem stworzony do życia na wsi. Czasami wydaje mi się, że zwariuję.

Roześmiała się, równocześnie bacznie wodząc wzrokiem po jego twarzy. Była to przystojna, męska twarz, jakże różna od złocistej urody Justina. Na swój sposób Matt również był piękny; jego wyraziste rysy tchnęły siłą i rzetelnością, które stanowiły przeciwieństwo tego, co można wyczytać z twarzy popularnych filmowych idoli.

— Wiem, co masz na myśli. Kiedy mieszkałam tu prawie przez rok, zdarzało mi się tęsknić nawet za brudem i hałasem Nowego Jorku... — urwała. Przypomniała sobie Johna i oczy zaszły jej mgłą.

— Poza tym — odezwał się Matthew po chwili — brak mi tu tych możliwości, jakie stwarza dzieciom Nowy Jork. Muzeów, galerii, baletu... — na moment znowu zawiesił głos.

— No i mojej zwariowanej siostry.

— Co u niej słyhać?

— U Marty? Wszystko w porządku. W zeszłym tygodniu bliźniaczki skończyły piętnaście lat i dostały na urodziny stereofoniczny odtwarzacz. Marta mówi, że choć raz może podziękować losowi za swoją głuchotę. Czuje, jak w mieszkaniu drżą meble, gdy dziewczynki słuchają muzyki. Jack dostaje szału. — Daphne uśmiechnęła się. Dałaby wszystko za to, żeby któregoś dnia mieć takie kłopoty z Andym.

— Bardzo bym chciał, żebyście się poznały, jeśli kiedyś czas ci na to pozwoli. — Przez chwilę zastanawiali się w milczeniu, czy taki moment kiedykolwiek nadejdzie: na razie wyglądało na to, że nie.

Zmieniając temat Matt powiedział, że pani Curtis czuje się świetnie, dość regularnie odwiedza szkołę i zawsze prosi, żeby pozdrowić od niej Daphne.

— Zamierzałam się z nią zobaczyć, ale tym razem na wszystko mam przecież tylko cztery dni.

Matt wiedział, na jak krótko Daphne przyjechała, lecz słysząc to, poczuł bolesne ukłucie w sercu.

Rozmawiając tak przez cały czas, ani się spostrzegli, jak tuż po dziewiątej dotarli do szkoły. Andy był już w łóżku, ale Daphne i tak postanowiła pójść do niego, żeby chociaż popatrzeć na buzię małego, pocałować go w czołko, dotknąć jego włosów. Wchodząc na palcach do pokoju, nie obudziła go z mocnego snu; długo stała przy nim i przyglądała mu się, zanim zauważyła, że Matt przyszedł za nią i zatrzymał się w otwartych drzwiach. Uśmiechnęła się, po czym pocałowała synka w policzek. Poruszył się, ale spał smacznie dalej. Daphne cichutko zamknęła drzwi i zeszła z Mattem do holu.

— Wygląda doskonale. I chyba urósł.

— Owszem. Poczekaj, aż zobaczysz go na rowerze, który mu przysłałaś. — Słuchała tego z rozrzewnieniem.

— Tak strasznie dużo tracę...

— Już niedługo, Daff. — Przez kilka sekund spoglądali sobie w oczy i nagle Justin Wakefield przestał być kimś istniejącym realnie: stał się fragmentem jakiegoś odległego snu. Teraz był tutaj Matt i on stanowił rzeczywistość.

Niespodziewanie, wbrew wszystkiemu, co sobie przyrzekał, Matthew nie wytrzymał i zapytał: — W twoim życiu pojawił się ktoś ważny, prawda, Daphne? — Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź. Wreszcie Daphne wolno skinęła głową.

Tak

W każdym człowieku aż do śmierci pozostaje coś z dziecka i to dziecko w nim miało ochotę głośno zapłakać, ale oczy Matthew wyrażały jedynie przyjazną troskę. — Cieszę się. Potrzebowałaś tego.

— Chyba tak... — Teraz chętnie by mu się zwierzyła ze swoich wątpliwości, czy Justin zaakceptuje głuche dziecko, lecz nie zrobiła tego: byłoby to zbyt krępujące. Znowu spojrzała mu prosto w twarz. - Tutaj nic się nie zmieniło, Matt.

Nie bardzo rozumiał, co miało znaczyć to zdanie, poruszył więc tylko nieznacznie głową i otworzył przed nią drzwi do saloniku, który odziedziczył po pani Curtis.

— Napijesz się kawy? Czy może wolisz, żebym odwiózł cię do gospody?

— Nie. Zupełnie nie jestem śpiąca. — Zerknęła na zegarek i uśmiechnęła się nieznacznie. — U mnie jest dopiero siódma.

— W New Hampshire dochodziła dziesiąta i w szkole panowała głucha cisza. Wszyscy już spali. — Z przyjemnością napiję się kawy. Miło rozmawiać z tobą wreszcie bezpośrednio, a nie przez telefon.

Matt zrewanżował się uśmiechem i nalał jej kawy ze stale włączonego ekspresu, zastanawiając się w duchu, jak poważny jest kalifornijski romans Daphne i czy trafiła na dobrego człowieka. Miał wielką nadzieję, że tak: życzył jej tego z całego serca. Rozstawił filiżanki i usiedli w fotelach. Co chwilę podnosił na nią wzrok, nie przestając szukać odpowiedzi na nurtujące go pytanie.

Opowiadała mu o pracy w studiu, o już zrealizowanych partiach filmu i o tym, co jeszcze zostało im do zrobienia.

— Przypuszczam, że w przyszłym miesiącu wyjedziemy do Wyoming. — Sceny plenerowe mieli kręcić w Jackson Hole, miejscu, które Matthew zawsze pragnął zobaczyć.

— Zazdroszczę ci — powiedział z życzliwym uśmiechem, wyciągając długie nogi w stronę kominka. — Słyszałem, że tam jest przepięknie.

— Każdy mnie o tym zapewnia. — Mówiła jednak o tym wszystkim bez zaangażowania. Wszelkie sprawy związane z filmem, a nawet te dotyczące Justina, przybłyły w jej umyśle, odsunęły się na dalszy plan i stały jakby mniej ważne. Powodem tego mogła być ulga, jaką odczuwała na myśl, że Andy jest tuż za ścianą, że nareszcie nie dzielą ich trzy tysiące mil. Lecz czy na pewno chodziło o Andy'ego? Nie do wiary, ale obecność Matthew sprawiała, że momentami Daphne zapominała również o swoim synku. Nie próbowała dociekać przyczyn, dla których tak się dzieje, wiedziała tylko, że w towarzystwie tego mężczyzny czuje się bezpiecznie i dobrze. Emanował z niego głęboki spokój, który działał na nią jak cicha kołysanka: zniknęło całe zmęczenie i napięcie wywołane przepracowaniem. W tej chwili, siedząc z nim przy kominku, najzwyczajniej czuła się szczęśliwa. Może właśnie dlatego nie chciało jej się myśleć o czymś, co mogłoby zmącić ten cudowny nastrój. — A ty, Matt, wybierasz się gdzieś tego lata?

— spytała.

— Wątpię. Może spędzę kilka dni z Martą, Jackiem i dziewczynkami nad Jeziorem George'a. Ale nie sądzę, żeby udało mi się stąd wyrwać. — Wydał wargi, równocześnie odgarniając z czoła kosmyk ciemnych włosów. — Zresztą nie wiem nawet, czy bym tego chciał. Zawsze, kiedy tylko gdzieś wyjadę, cały czas martwię się o dzieci. Co prawda pani Curtis obiecała mnie zastąpić przez tych parę dni, ale nie chciałbym sprawiać jej kłopotu.

— To niedobrze. Koniecznie powinienes odpocząć.

— Teraz dopiero zauważyła, że i na nim wyteżona praca zostawiła widoczne ślady. Wokół ust Matta pojawiły się zmarszczki, których nie było, kiedy się z nim żegnała przed trzema miesiącami. Wciąż wyglądał młodo, lecz zarazem z jego rysów przebijała wielka dojrzałość i poczucie odpowiedzialności. Właśnie to połączenie tak jej się w nim podobało. Nie miał wspaniałej, nieskazitelnej urody Justina, którą Daphne, przebywając z nim nieustannie, bywała niekiedy już wręcz znużona. To doprawdy zadziwiające, że mężczyzna dzień w dzień może wyglądać tak olśniewająco; powierzchowność Justina była niczym baśniowy kraj, do którego nie docierają deszcze ani śniegi, który nieprzerwanie kapie się w czystych promieniach słońca.

— Nie mieści mi się w głowie, Matt, że jesteś tutaj już sześć miesięcy — powiedziała ze zdumieniem. Z jeszcze większym niedowierzaniem pomyślała o tych wszystkich zmianach, jakie w tym czasie zaszły w jej życiu.

Matthew zaśmiał się cicho. — Czasami wydaje mi się, jakby to było nie sześć miesięcy, a sześć lat.

Roześmiała się także. — Czuję dokładnie to samo po czternastu godzinach spędzonych na planie.

— A co słyhać u Barbary? — Matthew osobiście nie zetknął się dotąd z Barbarą, ale po tym, co usłyszał o niej od Daphne, traktował ją jak dobrą znajomą.

Daphne opowiedziała mu o romansie swojej asystentki i przyjaciółki z Tomem.

— Czy może stać się tak, że wyjdzie za mąż i zostanie w Kalifornii? Byłoby to dla ciebie przykre. — Wiedział, jak w ciągu ostatnich lat przywiązała się do Barbary.

— Nie wiem, czy ich związek jest aż tak poważny.

— W duchu i ona brała to pod uwagę.

Nagle znowu zadał pytanie, które bezpośrednio dotyczyło Daphne. — A ty?

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co mu chodzi, szybko się jednak zorientowała. Spojrzała na niego z wahaniem, zastanawiając się, co powiedzieć. — Sama nie wiem, Matt.

— Te słowa wprawiły go w odrętwienie. — Ja... Dość trudno mi o tym mówić. — Właściwie nie była pewna, co czuje do Justina. Kochała go niewątpliwie, ale wciąż tak mało o nim wiedziała. Spędzali razem każdą godzinę, a mimo to wyczuwała w nim istnienie czegoś, do czego nie

znajdowała dostępu. I ten zupełny brak zainteresowania Andym... Postanowiła powiedzieć mu o swoim zmartwieniu: a nuż potrafi temu jakoś zaradzić? — Nie wiem, czy mogę na nim polegać, Matt. Zachowuje się, jakby Andy'ego w ogóle nie było na świecie. Nie chce go nawet poznać.

— Musisz mu dać trochę czasu. Czy on wie, że Andy jest głuchy? — Przytaknęła w zamyśleniu. — Jak zareagował, kiedy mu się zwierzyłaś?

— Nie przyznał się do tego, ale chyba był przerażony. I jest przerażony do dzisiaj. Czasem udaje, że zapomniał jego imienia... — Zamilkła. Matthew pokręcił głową z zafrasowaniem.

— To nie wróży niczego dobrego, Daff. Andy za wiele dla ciebie znaczy, aby twój mężczyzna odsuwał się od niego. — Chciał być uczciwy wobec Daphne i udzielić jej najlepszej rady, na jaką było go stać. — Czy właśnie dlatego przyjechałaś teraz tutaj, zamiast sprowadzić małego do Los Angeles?

— Sam przyznałeś, że nie miało sensu narażanie go na tak daleką podróż, skoro mógłby spędzić u mnie tylko cztery dni. Ale to prawda, częściowo zrobiłam tak również z powodu Justina.

Matthew zeszywniał na dźwięk tego imienia: wbrew wszelkiej logice ta informacja nim wstrząsnęła. Było przecież oczywiste, że mężczyzna Daphne musi mieć jakieś imię, a jednak... Powtórzył z zamartwionym sercem:

— Justina...?

Zarumieniła się. Krępowało ją, że flirtuje z aktorem, który gra w jej filmie. Było to tak bardzo w hollywoodzkim stylu, takie typowe, a zarazem efemeryczne... Tylko ona wiedziała, że w tym konkretnym przypadku wszystko wygląda nieco inaczej: po prostu los zetknął ich ze sobą w studiu filmowym i w naturalny sposób zawiązał się romans.

— Justina Wakefielda — powiedziała półgłosem. W jej oczach zamigotał odblask ognia.

— Rozumiem. Udało ci się, Daff. — Wziął długi, głęboki oddech. Ani przez chwilę nie zaświtało mu w głowie, by w grę mógł wchodzić właśnie ktoś taki: przypuszczał, że to jakiś zwykły śmiertelnik, a nie złoty bóg ze snów wszystkich kobiet. — Jaki on jest?

Siedziała zapatrzona w płomienie, przywołując w wyobraźni wizerunek Justina, aż wydało jej się, że znalazł się z nimi tu, w pokoju. — Piękny, bez dwóch zdań. Bardzo piękny, bystry i zabawny, a czasami także bardzo dobry. — Przeniosła wzrok na Matthew, czując, że teraz musi mu już powiedzieć całą prawdę. — I bez reszty zaabsorbowany samym sobą. Często bywa samolubny i zupełnie nie zważa na innych. Ma czterdzieści dwa lata, a z upodobaniem zachowuje się tak, jakby miał piętnaście. Nie wiem, Matt... Jest wspaniałym mężczyzną i są chwile, gdy jestem z nim bardzo szczęśliwa... A znowu kiedy indziej odnoszę wrażenie, że mam do czynienia z kimś obcym, kto w ogóle nie słucha, co do niego mówię, na przykład kiedy wspominam o Andym. — Właśnie po takich scenach najczęściej dzwoniła do Matthew, żeby znaleźć ukojenie i porozmawiać z nim o

swoim synku. Ilekroć się nad tym zastanawiała, uzmysławiała sobie, że w pojmowaniu niektórych spraw między nią a Justinem otwiera się przepaść. — Jeśli chodzi o moją pracę, jest wyrozumiały i żywo się nią interesuje. To dla mnie ważne. Jednakże do innych kwestii odnosi się z ogromną rezerwą. Nieraz zadaję sobie pytanie, czy to wszystko razem ma jakąś przyszłość... — Westchnęła nieznacznie. — I muszę przyznać, że momentami opadają mnie wątpliwości. Wiesz, to ciekawe, on i Barbara nie znoszą się wzajemnie. Ona twierdzi, że widzi w nim to, na co ja jestem ślepa, że jest zimny, pusty i wyrachowany. Mam nadzieję, że się myli. Nie zna go przecież tak dobrze jak ja. Nie jest wyrachowany, tylko często bywa lekkomyślny. Nie można kogoś za to potępiać.

— Potępiać nie, ale można z kimś takim mieć ciężkie życie.

— Tak, masz rację. — Nawet nie próbowała zaprzeczyć. Patrzyła w ogień z rozmarzonym uśmiechem. — Ale widzisz, niekiedy jest mi z nim tak lekko i miło. Znikają wtedy wszystkie koszarne wspomnienia, zapominam o bólu i samotności, z jakimi tyle lat musiałam się borykać.

— W takim razie może nie warto kapitulować.

— Nie warto. Przynajmniej tak wydaje mi się w tej chwili. Lekko przymrużył oczy. — Jak mój ostatni telefon odebrał

mężczyzna, od razu pomyślałem, że masz kogoś. — Zdarzyło się tak wprawdzie tylko raz, ale Daphne nie należała do kobiet, które pozwalałyby sobie na jednonocne przygody. Jeżeli ten człowiek podniósł słuchawkę, to mogło znaczyć jedynie, że z nią mieszka, a ona nie stara się kryć tego przed światem. — Nigdy bym nie zgadł, że to może być właśnie on.

— Justin? — spytała Daphne. Matthew zrobił potakujący gest. — Na szczęście prasa zbyt mało się nami dotąd nie interesowała. Było tu i tam po parę wierszy, ale w sumie niewiele. Nigdzie nie bywaliśmy, bo oboje nie mieliśmy na to czasu. Niewątpliwie w końcu wyjdzie na jaw, że mieszkamy razem, i wtedy gazety podniosą huczek. — Nie wyglądała na szczególnie zachwyconą tą perspektywą.

— Pogodziłaś się z tym?

— Cóż, jasne, że zbyt mało mnie to nie cieszy. Moi czytelnicy na pewno będą zaszokowani, sądzą jednak, że ostatecznie przejdą do porządku nad tą sensacyjną wiadomością. — Oboje pomyśleli o pamiętnym „Conroy Show” i ich oczy się spotkały. — Naprawdę wolałabym o tym nie mówić, przynajmniej dopóki sama się nie upewnię.

Upewni się co do czego? Że chce wyjść za Justina i zostać w Kalifornii? Dla Matthew byłoby to najgorsze z możliwych rozwiązań. Jednak choćby tylko przez wzgląd na Andy'ego winien był Daphne jeszcze jedną informację: trudno, skoro taka a nie inna rola przypadła mu w jej życiu. Zobowiązywała go do tego również przyjaźń, jaka łączyła ich przez minione sześć miesięcy.

— Jeśli zdecydujesz się pozostać w Kalifornii, nie będziesz miała kłopotu z Andym. W Los Angeles jest znakomita szkoła, jakby stworzona dla twojego syna.

Daphne uważnie słuchała, gdy zaczął o niej opowiadać, ale po paru minutach ogarnęła ją senność. Podniosła się.

— Na razie za wcześnie o tym mówić. Gdyby sprawy zaszły tak daleko, na pewno zwrócę się do ciebie, żebyś mi powiedział coś więcej. — Nie wiadomo czemu myśl o przenosinach Andy'ego podziałała na nią deprymująco. Nie zastanawiała się dotąd nad ewentualnym poślubieniem Justina, zresztą on też jeszcze nie wspomniał o małżeństwie. Kiedy dojdzie między nimi do rozmowy na ten temat — co wydawało się nieuniknione — będzie miała czas zdecydować, czy wracać do Nowego Jorku, czy zostać w Los Angeles. — Teraz przede wszystkim musimy skończyć film. O swoim dalszym życiu pomyślę potem.

— Zrobisz, co uznasz za najlepsze dla siebie i dla Andy'ego, Daff — powiedział Matthew z takim przejmującym smutkiem w głosie, że Daphne aż to uderzyło. Raz czy dwa, gdy dzwoniła do Matta, nie zastała go w domu i przyszło jej wtedy do głowy, że może spotyka się z jakąś kobietą. Chwila jednak nie była stosowna, aby o to pytać. Wsiedli więc do samochodu i pojechali do gospody, gdzie w recepcji czekał na Daphne klucz wraz z powitalnym liścikiem. Na twarzy Matthew, gdy życzył jej dobrej nocy, błąkał się nieokreślony uśmiech. — Cieszę się, że przyleciałaś zobaczyć się z Andym.

— Ja także, Matt.

Pożegnali się i Matthew odjechał. Idąc na górę Daphne ponownie przebiegała w myślach ich rozmowę, zastanawiając się, dlaczego wspomnienie Justina ni stąd, ni zowąd wprawiło ją w przygnębienie. Czemu Justin nie może być bardziej podobny do Matthew? Czemu nie chce z nią mówić o Andym? Pozostało jej jedynie wierzyć, że czas to zmieni. Ostatecznie trudno się dziwić, że Matthew, mając na co dzień do czynienia z takimi dziećmi jak Andy, podchodzi do niego inaczej. Na tym przecież polegała jego praca. Daphne nawet nie przeczuwała, że Mattem powodowało coś więcej. Dużo, dużo więcej.

31

Pobyty u Andy'ego zleciał Daphne zdecydowanie za szybko. Chłopczyk szalał ze szczęścia, mając matkę przy sobie: z dumą demonstrował jazdę na rowerze, pokazał jej swój ogródek, przedstawił nowych kolegów i bez przerwy wypytywał o film. Słoneczne przedpołudnia spędzali na długich spacerach, a po obiedzie znowu wychodzili na dwór. Nastaly piękne, czerwcowe dni i Daphne czuła, że przy dziecku odżywa, że wstępują w nią nowe siły. Zrozumiała, iż tam, w Kalifornii, była zbyt zaprzężona pracą i Justinem i nie zauważyła nawet, jak bardzo jej brakuje

syna. Po raz nie wiadomo który uzmysłowiła sobie, że jest jej potrzebny do życia jak powietrze. A Andy ze swej strony raz po raz dopytywał się, kiedy ponownie będzie mógł przyjechać do Kalifornii, kiedy ona wróci do domu i kiedy znowu będą razem.

Ostatniego wieczoru, po kolacji, Andy poszedł się wykapać. Daphne, siedząc na staromodnej, szerokiej huśtawce, patrzyła na zachód słońca, kiedy zjawił się przy niej Matthew.

— Czy mogę dotrzymać ci towarzystwa, Daff? — Była tak pełna cichego zamyślenia, że wzdragał się przed zakłóceniem jej spokoju, ale gdy zobaczył Daphne, coś z nieodpartą siłą pchnęło go w jej kierunku.

— Oczywiście, Matt. — Poklepała zapraszająco dłonią miejsce obok siebie. — Andy właśnie się kąpie.

— Tak. Spotkaliśmy się na schodach i od niego dowiedziałem się, gdzie można cię znaleźć. — Wymienili długie uśmiechy. W tym momencie słońce spłynęło za linię wzgórz, oblewając niebo ostatnim wybuchem purpurowego blasku. — Twoja wizyta świetnie mu zrobiła. Coraz żywiej zaczyna się interesować światem zewnętrznym, a ty jesteś przecież wielką częścią tego świata.

— I mnie dobrze zrobił przyjazd tutaj.

Matthew także to dostrzegwał. Ze wzroku Daphne zniknął wszelki niepokój, twarz nabrała wyrazu odprężenia i pogody. W niebieskich dżinsach, starej bluzeczce, z blond włosami związanymi niebieską wstążką dokładnie w kolorze oczu wyglądała jak mała dziewczynka. Jedyny ślad troski, jaki pozostał w jej spojrzeniu, wiązał się z Andym. — Czuję, że powinnam być z nim tutaj, Matt.

— Na razie to przecież niemożliwe. On to rozumie.

— Wciąż nie jestem o tym w pełni przekonana. — Umilkła. Matthew przyjrzał się jej z uśmiechem.

— Sama wyglądasz dzisiaj jak dziecko — powiedział na głos to, co nasunęło mu się na myśl przed chwilą. — Nikt by cię nie wziął za autorkę bestsellerów. „Ani — dopowiedział w duchu — za kochankę gwiazdora filmowego, bożyszczą kobiet.”

Popatrzyła na Matthew uszczęśliwiona. — Tutaj jestem tylko sobą. I mamusią pewnego chłopczyka. — Nie musiała nic dodawać. Oboje wiedzieli, jakie miejsce w jej życiu zajmuje Andy. — Zamierzam zrobić wszystko, żeby bardzo szybko tu wrócić.

— To znaczy kiedy?

— Albo przed, albo tuż po Wyoming, w zależności od tego, co na to powie Howard.

— Mam nadzieję, że przed. — Zawsze był wobec niej uczciwy, ale nie zawsze do końca szczerzy. Teraz postanowił odrobinę się odsłonić. — Już nie ze względu na Andy'ego, lecz na mnie. — Zaskoczona spojrzała mu prosto w oczy z dziwnym uciskiem w sercu. Nigdy nie analizowała swoich uczuć do Matthew, uważała nawet, że w ogóle nie powinna o nich myśleć. Całkowicie

odpowiadał jej istniejący stan rzeczy. To jednak zdumiewające, jak bardzo ostatnio go potrzebowała. Jak ważna była świadomość, że może z nim porozmawiać

o każdej porze, że zawsze gdzieś tam jest, gotowy wesprzeć ją radą w rozterkach i troskach. Właściwie nie wyobrażała już sobie życia bez Matthew. Głównie z powodu Andy'ego, ale nie tylko. —Wiele dla mnie znaczysz, Daphne. —W zapadającym zmroku jego zachrypnięty głos dobiegał jakby z daleka. Daphne uniosła głowę i spojrzała w łagodne brązowe oczy Matta.

— Ty też wiele dla mnie znaczysz.

— To śmieszne, prawda? Spędziliśmy ze sobą zaledwie kilka godzin. Parę rozmów przy kominku, tu, w szkole, a poza tym tylko telefony... — umilkł.

— Może czasem nie trzeba więcej. Wydaje mi się, że znam cię lepiej niż kogokolwiek na świecie.

To również było zadziwiające: rzeczywiście go znała.

i wiedziała, że on zna ją także. Taką, jaka jest naprawdę, ze wszystkimi ranami, lękami, całym brzemieniem przeżytych tragedii oraz ze wszystkimi sukcesami i tym, w czym czuła się mocna. Od śmierci Johna przed nikim tak się nie obnażyła jak przed Matthew. Nawet Justin znał ją tylko od jednej strony: tej jasnej, radośniejszej, istniejącej jedynie dzięki sile jej charakteru. Co gorsza, Daphne nie była pewna, czy może mu ufać na tyle, aby odkryć przed nim całą duszę, zwierzyć się ze swoich najskrytszych myśli. Nie miała natomiast cienia podobnych wątpliwości, kiedy rozmawiała z Matthew. A jednak to Justin był człowiekiem, z którym żyła, z którym dzieliła ogromne, luksusowe łóżko w Bel Air.

— Może przyjdzie dzień, Daff... — zaczął Matthew, lecz widząc spłoszony wzrok Daphne, natychmiast się wycofał. — ...gdy będziemy mogli spędzać razem więcej czasu. — Takie zakończenie zdania wydało mu się dostatecznie bezpieczne, choć prawdę mówiąc żadne słowo, jakie teraz mogło paść między nimi, nie było już dość bezpieczne. Oboje stąpali po grząskim gruncie i Daphne dobrze zdawała sobie z tego sprawę. Popatrzyła na niego przeciągle. Matthew pochylił się i pocałował ją w policzek. — Dbaj o siebie tam, w Kalifornii, Daphne. Bądź szczęśliwa. Mam nadzieję, że między tobą i twoim przyjacielem wszystko się ułoży. A mnie, gdybym ci był potrzebny, zawsze znajdziesz w szkole.

— Nawet nie wiesz, ile mi daje świadomość tego, że w każdej chwili mogę do ciebie zatelefonować, Matt — powiedziała szczerze, po czym uśmiechnęła się rozbrajająco. — Ty też dzwoń do mnie, ile razy będziesz mieć ochotę.

— Twój przyjaciel nie ma nic przeciwko temu?

— Trochę sobie ze mnie pokpiwa. — Znowu się zaśmiała. W tym momencie wydało się to takie niemądre i błahe.

— Kiedyś sugerował, że musiałam mieć z tobą romans, co jednak niezbyt go obeszło. Sam przedtem prowadził... — zawahała się. Nie chciała być nielojalna względem Justina.

— ...powiedzmy, dość swobodny tryb życia, więc nie przywiązuje wagi do przeszłości ani własnej, ani mojej. — Matthew poczuł coś bardzo zbliżonego do rozczarowania. — Pamiętaj, dzwoń do mnie bez skrępowania.

— Dobrze. — Matthew miał wrażenie, że coś drze mu serce na strzępy, ale uśmiech nie schodził mu z twarzy. Weszli do budynku szkolnego i Daphne od razu skierowała się na górę, do Andy'ego. Gdy po godzinie wróciła, Matthew ujrzał łzy w jej oczach.

— Boże, jak ciężko mi znowu stąd wyjechać. — Bezskutecznie próbowała zapanować nad mimiką. — Na pewno bardzo prędko zobaczycie mnie tu ponownie.

Otoczył ją ramieniem. — Liczymy na to. I wiesz, że nie musisz się martwić o Andy'ego. — Przytaknęła w milczeniu.

Kilka minut później byli już w drodze do gospody, ponieważ Daphne chciała się przebrać i zabrać bagaże, gdyż wprost stamtąd udawała się na lotnisko. Upierała się, że pojedzie do Bostonu taksówką, ale Matthew nie chciał nawet o tym słyszeć. Po przybyciu na miejsce zatrzymali się przy wyjściu, tak jak parę dni wcześniej, kiedy Matt przyjechał zabrać ją do New Hampshire.

— Troszcz się o moje dziecko, Matt — wyszeptała zdławionym głosem, starając się powstrzymać łzy. To było już ponad siły Matthew. Przyciągnął ją do siebie i przytulił. Pozostała w jego ramionach przez dłuższą chwilę, szukając w nich ukojenia, i myśląc jednocześnie o uczuciu, jakie ją przepelniało. Następnie bez słowa odwróciła się i odeszła. Dopiero w drzwiach samolotu obejrzała się i powiedziała językiem migowym: „kocham cię”, na co Matthew odpowiedział w identyczny sposób z przylepionym do twarzy uśmiechem, po czym Daphne zniknęła mu z oczu. Wracała do Los Angeles, do Justina.

Matthew idąc wolno w stronę samochodu powtarzał sobie w duchu, że kompletnie oszalał. Jej życie nie miało punktów styecznych z jego i to się już nie zmieni: tu, w Howarth, tylko skromny nauczyciel głuchych dzieci, a tam, w Kalifornii, robiąca karierę Daphne Fields. Przez moment nienawidził Justina Wakefielda za wszystko, czym był, a czym on, Matthew Dane, nie był i nigdy zostać nie mógł. Wreszcie z westchnieniem wsiadł do auta. Z każdą przejechaną milą obraz Daphne przesłaniał coraz bardziej w jego umyśle wszystkie inne sprawy.

Daphne obudziła się raptownie, gdy koła samolotu dotknęły ziemi w Los Angeles. Było wpół do drugiej w nocy. Ogarnęło ją uczucie przerażającej pustki: przez prawie cały lot śniło jej się, że bawi się z Andym i Matthew w ogrodzie w Howarth i teraz, brutalnie wyrwana ze snu, nagle

uprzytomniła sobie, jak daleko od nich znowu się znalazła. Przeszył ją ten sam nieznośny ból, z jakim pierwszy raz zostawiła Andy'ego w szkole. Użyła całej siły woli, żeby skierować myśli ku Justinowi: musiała się otrząsnąć, odnaleźć w realnym świecie, inaczej nie byłaby w stanie sprostać temu, co czekało ją w najbliższym czasie. Wreszcie zmobilizowała się wewnątrz, lecz twarze synka i Matta nadal tkwiły pod jej powiekami. Widać wspomnienie było zbyt świeże albo ona nie miała jeszcze dość siły, by odepchnąć je od siebie, wkomponować w codzienne tło. W końcu na pewno jej się to uda. Jakkolwiek uporczywa była owa powtarzająca się wizja Howarth, Daphne wracała do domu, do Justina, do rozkoszy, jaką znajdowała w jego objęciach. Dziwne tylko, jak bardzo oddaliła się od tego wszystkiego, co było tutaj; jakby przebywała w New Hampshire nie trzy dni, lecz trzy miesiące. Życie Daphne do tego stopnia biegło dwoma rozbieżnymi torami, iż wydawało się niewyobrażalne, że w ciągu jednego tygodnia znajdzie się w obu tych miejscach równocześnie. W pewnym momencie przyłapała się na tym, że myśli o Justinie jak o jakimś tajemniczym nieznanym.

Wyjeżdżając do New Hampshire, nie wydała szoferowi polecenia, by po powrocie czekał na nią na lotnisku, Barbarę natomiast poprosiła, żeby nie zawracała sobie nią głowy, ponieważ ma ochotę sama wrócić do domu. Justin nie podał jej numeru telefonu znajomych, u których zatrzymał się w San Francisco, więc przez ostatnie trzy dni nie mogła się z nim skontaktować, lecz jadąc taksówką wiedziała, że i tak najpóźniej za parę godzin wszyscy troje znowu się spotkają. Dochodziła druga nad ranem, a w wytwórni mieli się stawić o wpół do szóstej. Otwierając frontowe drzwi zdecydowała, że nie warto się już kłaść na te marne dwie godziny: będzie jej musiała wystarczyć drzemka, którą ucięła sobie w samolocie.

Cała posiadłość tonęła w ciemnościach, tylko od czasu do czasu rozjaśniały ją światła, które włączały się automatycznie, gdy nikogo nie było w domu, aby odstraszyć niepożądanych gości. Weszła do środka z dziwnym uczuciem, że znajduje się w całkowicie obcym otoczeniu, i ponownie zdumiała się, jak daleko odbiegła w Howarth od swojego tutejszego życia. Usiadła na kanapie w salonie, tak żeby móc patrzeć na podświetlony basen, i zastanawiała się, kiedy wreszcie wróci Justin. Po paru minutach wstała i wolno wyszła do ogrodu. Pomyślała, że nie zaszkodziłoby po podróży popływać trochę w basenie i skierowała się w jego stronę. Zatrzymała się po kilku krokach na widok porzuconej obok dwóch pustych kieliszków i butelki po szampanie pięknie wymodelowanej niebiesko-białej góry od kostiumu bikini. Przeszło jej przez myśl, że może Barbara i Tom bywali tutaj podczas jej nieobecności. Tak, ale przecież Tom miał własny basen, a poza tym kiedy podniosła z ziemi stanik, stwierdziła, że dla Barbary byłby stanowczo za duży. Chwilę trzymała go w ręce, czując, że serce zaczyna jej uderzać coraz szybciej, zaraz jednak potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Nie. Nie zrobiłby tego. Nie tutaj. To niemożliwe.

Rzuciła stanik na leżak, starając się myśleć o czymś innym, po czym wzięła kieliszki i butelkę i zaniósła je do kuchni, gdzie znalazła białą bawełnianą koszulkę, niedbale ciśniętą na jedno z krzeseł. Uśmiechnęła się do siebie z ironią, parafrazując w duchu bajeczkę o trzech misiach: „Kto korzystał z mojego basenu...? Kto spał w moim łóżku...?” To ostatnie pytanie domagało się niezwłocznej odpowiedzi. Przeszła więc do sypialni i tam zastała Justina. Jej złoty idol leżał wyciągnięty na łóżku, nagi, piękny jak Apollo. Wyglądał, jakby miał o połowę mniej lat, i Daphne mimo woli znieruchomiała, zdjeta podziwem dla jego wspaniałej urody. Justin ani drgnął: może urządził przyjęcie, które skończyło się tuż przed jej przyjazdem, i nie zdążył posprzątać? Nagle zawstydziła się swej podejrzliwości: czy złe myśli o Justinie nie miały przypadkiem związku z niejasnymi uczuciami, jakie budził w niej Matthew? Jeśli tak, trzeba położyć temu kres. Kochała tylko jednego, tylko Justina, swojego promiennego bożka.

Z westchnieniem ulgi zrzuciła ubranie i położyła się obok niego, czując, że gorąco go pragnie. Przez chwilę leżała z zamkniętymi oczami, ale sen nie przychodził. Nie chciała jednak budzić Justina, więc wstała i nastawiła kawę. Była czwarta rano. Pół godziny później zjawiała się Barbara.

— Witaj w domu. — Mocno objęła Daphne, uśmiechając się radośnie. — Jak tam nasz chłopczyk?

— Absolutnie wspaniale. Żałuj, że nie widziałas, jak jeździ na rowerze. Znowu urósł i przesyła ci całusy. — Twarz Daphne na moment zmarkotniała. Usiadła na krześle, z którego wciąż zwisała bawełniana koszulka. — Nie masz pojęcia, jak trudno było mi odjeżdżać, Barb. Tak chciałabym zrobić sobie jakąś przerwę w pracy, żeby mógł tu do mnie przyjechać. Wiem też, że jeśli będę harować na okrągło, to szybciej wrócę do Nowego Jorku. Coś jak w „Paragrafie 22”, czyż nie?

Barbara przytaknęła, rozumiejąc dylemat Daphne. — Może uda ci się wykroić parę dni przed wyjazdem do Wyoming albo zaraz po powrocie stamtąd?

— Tak też powiedziałam Mattowi.

— Co u niego słyhać? — Barbara uważnie wpatrzyła się w oczy przyjaciółki, lecz ku swemu wielkiemu zaskoczeniu znalazła w nich tylko to co zwykle: życzliwość, ciepło, przyjazne oddanie. Niestety, Daphne wciąż była zakochana w tym piękniścu.

— Wszystko w porządku. Był bardzo miły, jak zawsze.

— Nie dodała nic więcej, wobec czego Barbara zajęła się kawą. Po chwili Daphne podniosła się z krzesła, wskazując wzrokiem koszulkę.

— To twoja? — Jej źrenice nagle się zwęziły.

— Nie. Chyba Justin zaprosił jakichś swoich przyjaciół.

— Zdawało się, że cisza, jaka teraz zapadła, rozlewa się na całą okolicę.

— A ty nie wpadałaś tu czasem z Tomem?

Barbara pokręciła głową. — Przychodziłam codziennie, ale tylko po pocztę. Wczoraj dostałaś dwa czeki od Iris. Poza tym zwykle śmiecie, reklamy, rachunki i tak dalej.

— Umowa jeszcze nie nadeszła? — spytała Daphne. Była w trakcie zawierania z wydawnictwem Harbor umowy na kolejną książkę.

— Nie. Powiedzieli, że możesz się jej spodziewać najwcześniej w przyszłym tygodniu.

— Nie szkodzi. I tak nie tknę niczego nowego, zanim nie skończymy filmu. — Barbara wykonała potakujący gest. Chyba po raz setny staczała w duchu tę samą walkę. Tom kazał jej trzymać buzię na kłódkę i słowem nie wspominać Daphne o czymkolwiek, na co Barbara odpowiedziała, że nie zamierza osłaniać tego sukinsyna; sama myśl o Justinie przyprawiała ją o mdłości.

— Dlaczego pytałaś, czy bywaliśmy tutaj z Tomem?

— zagadnęła, spuszczać wzrok i ponownie napełniając kawą filiżankę Daphne.

— Tak sobie, z ciekawości. Ktoś kąpał się w basenie. Znalazłam kieliszki i pustą butelkę po szampanie. — Odkrycie stanika pominęła milczeniem.

— Spróbuj porozmawiać z Justinem. — Głos Barbary zabrzmiał podejrzenie obojętnie i Daphne spojrzała na nią badawczo: była zbyt zmęczona, żeby bawić się w podchody.

— Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć? — Serce znowu zabiło jej szybciej. Barbara, nie odrywając oczu od przyjaciółki, przez dłuższą chwilę nie odpowiadała. Wreszcie bąknęła:

— Nie, skądże...

— Czy on był tutaj? Myślałam, że wyjechał?

— Raczej chyba został. — Tak sformułowana odpowiedź była już zbyt przejrzysta: skoro Barbara codziennie przychodziła po pocztę, to musiała wiedzieć na pewno, czy Justin wyjeżdżał z Los Angeles, czy nie.

— Barb...

Barbara podniosła rękę w obronnym geście, lecz widać było, że wzbiera w niej wściekłość. — Nie pytaj mnie o nic, Daff. — Urwała, po czym wycodziła przez zaciśnięte zęby:

— Zapytaj jego.

— O co mianowicie?

Barbarze nerwy odmówiły posłuszeństwa. Z furią chwyciła bawełnianą koszulkę. — O to...! O stanik nad basenem!

— A więc Barbara też go zauważyła. — I o majtki w holu...!

— Chciała mówić dalej, ale Daphne ją powstrzymała.

— Dość! — krzyknęła, czując, że uginają się pod nią kolana.

— Dość?! Tak?! Masz zamiar spokojnie to znosić, Daff? Miałam ci nic nie mówić. Tom wbijał mi do głowy, że to nie moja sprawa. Tylko że tak nie jest. — Oczy Barbary nabiegły łzami. — Ponieważ cię kocham, do cholery! Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. — Nagle odwróciła się do Daphne plecami, a kiedy znowu ukazała jej swoją twarz, oczy miała już suche i ponure. — Daphne, mieszkała z nim tutaj inna kobieta.

Śmiertelna cisza, jaka zaległa po tych słowach, zdawała się trwać bez końca. Daphne słyszała tylko bicie własnego serca i tykanie zegara. Wreszcie odetchnęła z trudnością i wyprostowała się. W jej spojrzeniu pojawiło się coś, czego Barbara nigdy dotąd nie widziała.

— W porządku, zajmę się tym. Chcę jednak, żeby nie było między nami żadnych niejasności: dobrze zrobiłaś mówiąc mi

o wszystkim, Barb, i jestem ci wdzięczna za troskę. Ale ta historia dotyczy tylko Justina i mnie. Nikogo więcej. Bez względu na to, co się wydarzy, nigdy nie chcę już z tobą o tym rozmawiać. Czy mnie zrozumiałaś?

— Tak. Przepraszam cię, Daff... — Policzki Barbary spływały teraz łzami. Daphne podeszła do niej i przez kilka sekund trzymała ją w objęciach.

— Już dobrze, Barb. Myślę, że powinnaś sama pojechać do studia. — Tom zawsze zostawiał Barbarze do dyspozycji jeden ze swoich samochodów, a dochodziła już piąta. — Wkrótce się spotkamy. Gdybym się spóźniła, powiedz, że dopiero co przyleciałam ze Wschodniego Wybrzeża.

— Dasz sobie radę? — Barbara otarła oczy, przestraszona nienaturalnym spokojem Daphne. Ta jednak obrzuciła ją wymownym spojrzeniem.

— Oczywiście — oświadczyła, po czym przeszła z kuchni do sypialni, zamykając za sobą drzwi. Zbliżyła się do Justina

i drżącą ręką dotknęła jego ramienia. Poruszył się i zamruczał coś przez sen, potem uniósł powieki, przetarł oczy, spojrział na zegarek i wtedy dopiero spostrzegł stojącą obok Daphne.

— Cześć, kotku. A więc wróciłaś.

— Wróciłam. — Nic w tonie jej głosu czy w wyrazie twarzy nie zapowiadało, że będzie to przyjazne powitanie. Nie spuszczać zeń wzroku usiadła na krześle naprzeciw łóżka. — Co się tu działo pod moją nieobecność? — rzuciła bez żadnych wstępów. Justin, wciąż jeszcze nie całkiem rozbudzony, próbował usiąść, przybierając przy tym niewinną minę.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi. A jak tam twój dzieciak?

— Świetnie. Teraz jednak interesuje mnie nie on, a ty. Co tu wyprawiałaś?

— Nic. Czemu? — Przeciągnął się, ziewnął i z zachęcającym uśmiechem dotknął jej nagiej nogi. — Tęskniłem za tobą, kotku.

— Tak? Razem z tą kobietą, która tu mieszkała? Jedno muszę przyznać: ma imponujące cycki. Z połowy jej stanika mogłabym sobie zrobić kapelusz. — Można by to wziąć za niezły dowcip, gdyby nie twarde spojrzenie Daphne i gwałtowny ruch, jakim straciła rękę Justina ze swojej nogi.

— Odwiedziło mnie paru przyjaciół i tyle. O co te awantury?

Daphne zawahała się. A jeśli Barbara się myliła? Jeśli Justin nie kłamał? Poczulaby się jak ostatnia idiotka, gdyby jej oskarżenia okazały się niesłuszne. W tej samej chwili dostrzegła pod łóżkiem zużytą prezerwatywę. Schyliła się i podniosła ją do góry, niczym jakieś łowieckie trofeum.

— A to?

— Sam się zastanawiam. Widocznie ktoś tutaj spał.

— Chcesz mi wmówić, że to nie twoje? — Ani na moment nie odrywała wzroku od twarzy Justina.

— Och, na miłość boską. — Poderwał się z łóżka prezentując nagość, która zaparła Daphne dech w piersiach, i przesunął ręką po złotych włosach. — Co się z tobą dzieje? Byłem sam przez trzy dni, aż wreszcie znudziło mi się i sprowadziłem kilku przyjaciół. O co chodzi, Daff? — Oczy błysnęły mu gniewnie. — Nie mam prawa kogoś zaprosić, kiedy jesteś poza domem?

— Barbara powiedziała mi, że mieszkała z tobą jakaś kobieta. — Nie było innego sposobu na wydobyć z niego prawdy. To go zaskoczyło. Nie miał pojęcia, że Barbara tu zachodziła.

— Co ta dziwka może wiedzieć, do cholery?! Nie było jej tutaj!

— Codziennie odbierała pocztę.

— Naprawdę? — Zbladł. — O Chryste! — Usiadł znowu na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. Przez chwilę nic nie mówił, po czym opuścił ręce i spojrzał na Daphne. — No więc dobrze. Dostałem lekkiego bzika. Czasami mnie to nachodzi, kiedy tak ciężko pracuję. Dla mnie takie rzeczy nie mają najmniejszego znaczenia, Daff... Na litość boską... Musisz się jeszcze dużo nauczyć o mojej branży. Po jakimś czasie doprowadza ludzi do szaleństwa — mówił, choć sam najlepiej wiedział, że to tylko puste słowa: tak naprawdę nie miał jej nic do powiedzenia.

— Rzeczywiście. U ciebie na przykład to szaleństwo przejawia się w tym, że bez skrupułów zaciągasz jakąś kobietę do łóżka w moim własnym domu. — Daphne lży stanęły w oczach. — I to dla ciebie nie ma znaczenia? — Czują się oszukana i poniżona. Przeżyła śmierć dwóch najbardziej oddanych jej mężczyzn, ale takiego policzka nikt jej dotąd nie wymierzył. Staniki porzucone nad basenem... Plamy na kanapie... Prezerwatywy pod łóżkiem... I to wszystko w ciągu trzech dni. — Do diabła ciężkiego, co się z tobą dzieje?!

— Wstała i zaczęła krążyć po pokoju. — Nie potrafisz wytrzymać trzech dni bez ściągania spodni? Tylko to jedno chodzi ci po głowie? Czy ja jestem dla ciebie wyłącznie pogotowiem

seksualnym i kiedy akurat nie ma mnie pod ręką, natychmiast musisz rozglądać się za inną? — Zatrzymała się przed Justinem z płonącymi oczami. Podniósł na nią wzrok i nagle spokorniał.

— Przepraszam, Daff... Przysięgam, nie chciałem...

— Jak mogłeś?! — rozszlochała się. — Jak mogłeś...?!

— głos jej się załamał. Łkając rozpaczliwie rzuciła się na łóżko i wtuliła twarz w prześcieradło. Justin zaczął ją delikatnie głaskać po plecach i włosach. Miała ochotę krzyknąć, żeby wynosił się do wszystkich diabłów, ale zabrakło jej sił. Daphne nie mieściło się w głowie, że Justin naprawdę zrobił coś tak obrzydliwego, dopuścił się tego w jej domu i nie zadał sobie nawet trudu, by ona się o tym nie dowiedziała. Nie poderwał na jedną noc pierwszej lepszej dziewczyny w barze; ona bezceremonialnie wprowadziła się tu, do niej, do jej łóżka. Było to upokorzenie, z którym Daphne nie mogła się pogodzić, podobnie jak nie mogła pogodzić się z faktem, że cała ta historia ukazywała Justina w bardzo niekorzystnym świetle.

— Och, Daphne... Kochanie... Upiłem się, powąchałem trochę koki. Po prostu odbiło mi. Pamiętasz, prosiłem, żebyś nie wyjeżdżała. Chciałem pojechać z tobą do Meksyku. A ty nie: uparłaś się, że polecisz na Wschód, do syna. Nie mogłem tego znieść. Ja... — Nagle także w jego oczach ukazały się łzy. Wyciągnął do niej rękę i odwrócił ją twarzą do siebie. Była za słaba, żeby mu się opierać. W tej chwili wołałaby nie żyć.

— Tak strasznie cię kocham. Tamto naprawdę nic nie znaczy.

— Otarł łzy dłonią. — Chyba kompletnie zwariowałem. To się nigdy więcej nie powtórzy, wierz mi. — Widział jednak, że jego słowa padają w próżnię. Daphne milczała, tylko po policzkach nieprzerwanie spływały jej łzy. — Daff... — Przytulił głowę do jej smukłych ud. — Boże, maleńka... proszę... Nie chcę cię stracić...

— Trzeba było o tym pomyśleć, zanim twoja przyjaciółka zgubiła stanik nad moim basenem — powiedziała tonem człowieka pokonanego. Wolno usiadła na łóżku, czując się tak znużona, jakby miała tysiąc lat. Nie było w niej nienawiści: zranił ją zbyt głęboko, by reakcją na to mogła być złość. Przepelniał ją jedynie ból. — Zawsze zachowujesz się w ten sposób, kiedy kręcisz film? — Raptem tknęła ją myśl, że takie postępowanie może należeć do jakiegoś rytuału; to byłby już ostateczny cios.

— Ten film jest wyjątkowo trudny. Nie zdajesz sobie sprawy, ile z siebie codziennie wyciskam, Daff... Tak bardzo chciałem, żebyś była ze mnie zadowolona, żeby powstał z tego prawdziwy wielki przebój... Och, Daff... — Patrzył na nią wielkimi, smutnymi oczami dziecka, któremu chcą zabrać ukochaną zabawkę. Zupełnie nie docierało do niego, że tak niewiele brakowało, a jego zdrada położyłaby kres wszystkiemu. Przejmował się tylko własnym stanem ducha. — Czy nie moglibyśmy spróbować od nowa?

— Nie wiem. — Jej wzrok padł na prezerwatywę, którą odrzuciła na łóżko. Justin sięgnął po nią i zaniósł do klozetu. Wróciwszy, spojrzal na Daphne przytomniej i z większą powagą.

— Jeśli mi przebaczysz, przysięgam, że nigdy więcej tego nie zrobię.

— Skąd będę wiedziała, że dotrzymujesz słowa? Nie mogę do końca życia mieć cię stale na oku. — W głosie Daphne czuło się bezmierną gorę i zmęczenie, natomiast Justin po raz pierwszy, odkąd weszła do sypialni, rozpromienił się w uśmiechu.

— Nie miałbym nic przeciwko temu.

— Wiesz przecież, że wkrótce ponownie pojedę do syna. I co wtedy? Znowu mam przez trzy czy cztery dni umierać ze strachu, że puszczasz się tu na prawo i lewo? — Niespodziewanie odżyło w niej uczucie osamotnienia. W Justinie było jednak coś, czego przedtem nie dostrzegała, coś, co nie dało się ogarnąć ani rozumem, ani wyrazić słowami. Kim on, u licha, jest dla niej? I kim ona jest dla niego? Czy jemu w ogóle na niej zależy? Po tym, co się stało, raczej trudno było łudzić się nadzieją.

— Jeżeli zechcesz, pojedę tam z tobą.

Powiedział wreszcie to, co wcześniej, zanim podjęła decyzję o podróży na Wschód, tak bardzo pragnęła usłyszeć. W tym momencie jednak wcale nie była pewna, czy miałaby ochotę, by towarzyszył jej do Howarth. Być może nadal chciała, żeby Justin poznał jej synka, ale prócz Andy'ego w New Hampshire był jeszcze Matthew. Więc jednak nie. Nagle to zrozumiała: po prostu przestała ufać Justinowi. Tak bardzo przestała mu ufać, że bała się jego spotkania z Andym. I nie życzyła sobie, żeby Justin dzielił z nią również tę pozazawodową część jej życia. W każdym razie nie teraz.

— Nie wiem. W tej chwili zupełnie nie wiem, czego chcę. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli się wyprowadzisz — powiedziała, choć czuła, że gdyby do tego doszło, byłby to koniec marzeń o szczęściu. Justin potrząsnął głową i ujął ją za rękę.

— Nie róbmy tego jeszcze. Proszę cię, Daff. Daj mi szansę. — Znowu wyglądał jak mały chłopczyk upominający się o względy należne jego dziecięcemu wiekowi. - Potrzebuję cię.

— Czemu? — Uniosła brwi ze zdumienia. Zawsze zdawało jej się, że to ona potrzebuje jego. — Czemu właśnie mnie, a nie tej przyjaciółeczki z wielkimi piersiami?

— Chcesz wiedzieć, kim ona jest? Dwudziestodwuletnią kelnerką z Ohio. Nie dorasta ci do pięt. Jak zresztą nikt. — Daphne zmrużyła oczy. Gdzieś w jej umyśle odezwał się alarmowy brzęczyk.

— Czy to przypadkiem nie ta sama dziewczyna, z którą byłeś, zanim mnie poznałeś? — spytała. Justin długo zwlekał z odpowiedzią, wreszcie jednak wykonał potwierdzający gest, chwytając się przy tym oburącz za głowę.

— Tak. Poczta pantoflowa doniosła jej, że chwilowo jestem sam, zatelefonowała do mnie.

— Tutaj? Skąd wiedziała, że cię tu znajdzie? — przygwoździła go Daphne.

— No dobrze, do diabła, skoro już jesteś taka cholernie bystra... To ja do niej zadzwoniłem.

— Kiedy? Po moim wyjeździe czy przed? — Podniosła się z łóżka i stanęła przed nim. — Chcę wiedzieć, co naprawdę jest między wami.

— Niech to szlag trafi, nic! Przez ostatnie trzy miesiące spędzałem z tobą każdą noc i każdy dzień. Kiedy miałem się jeszcze z kimś spotykać? — Trudno było odmówić mu racji.

— Mówiłeś mi, że ona jest aktorką? — Był to może nieistotny szczegół, ale teraz liczyły się nawet drobiazgi.

— Jest aktorką, lecz w tej chwili nie ma kontraktu, więc dorabia sobie jako kelnerka. Daphne, to tylko zwykłe dziewczątko. Po prostu nikt. Jesteś warta pięćdziesiąt tysięcy razy więcej niż ona, niż każda inna kobieta w tym mieście. Doskonale to wiem. Ale jestem tylko człowiekiem i czasami popełniam głupstwa. Zrobiłem to, przyznałem się, cholernie tego żałuję i przyrzekam, że to się nigdy nie powtórzy. Co jeszcze mam ci powiedzieć? Co mam zrobić, żebyś mi dała rozgrzeszenie? Obciąć sobie przyrodzenie?

— To jest myśl. — Usiadła na krześle i rozejrzała się po sypialni. Ogarnął ją nagły wstręt do tego pokoju i do całego domu. Opuściła go na tak krótko, a ten człowiek już zdążył go jej zohydzić. Zwróciła się twarzą do Justina. — Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek będę mogła ci wierzyć.

Zajął miejsce na łóżku naprzeciw niej i zaczął mówić, starając się nadać głosowi szczerę, rzeczowe brzmienie. — Daphne, to się przytrafia wszystkim małżeństwom. Raz prędzej, raz później, ale w końcu każdy wykonuje taki skok w bok. Kto wie, czy któregoś dnia również i ty się na niego nie odważysz. Jesteśmy ludźmi, mamy swoje słabości i niekiedy one biorą górę nad rozsądkiem. Może nawet lepiej, że nam zdarzyło się to właśnie teraz. Może dzięki temu szybciej zabliznią się nasze rany... Zobaczysz, jeśli dasz nam szansę, jeśli szczęśliwie przez to przebrniemy, cała ta historia wyjdzie nam jeszcze na dobre. Zapewniam cię, to się nie powtórzy.

— Jaką mam gwarancję?

— Sama się przekonasz, daj mi tylko czas, żebym mógł to udowodnić. Wiem, co teraz czujesz, ale to naprawdę nie musi oznaczać czegoś nieodwołalnego. — Pochylił się i musnął łagodnie palcami policzek Daphne. Spojrzała na niego niepewnie. Jej wahanie nie trwało dłużej niż ułamek sekundy, lecz jemu to wystarczyło. Szybko chwycił ją w ramiona. — Kocham cię, Daff. Kocham cię bardziej, niż przypuszczasz. Chciałbym, żebyś któregoś dnia została moją żoną. — Dla niego było to jak przybicie pieczęci, jak rozstrzygający argument, który zamyka kontrowersyjną sprawę. Jednak twarz Daphne nie zmieniła wyrazu.

— Początek był znakomity. — Pomyślała o Jeffie, a potem

o Johnie. Z nimi nigdy nie przeżyła niczego podobnego. Może mimo wszystko miała słuszość, chowając się za tym swoim niewidzialnym murem. Justin zdawał się czytać w jej myślach.

— Nie możesz wiecznie angażować się tylko w połowie, Daff. Musisz cała być tutaj, z nami, odnosić rany, popełniać błędy, zbierać się do kupy i zaczynać wszystko od początku. W przeciwnym razie będziesz żyć połowicznie, tylko naskórkowo. A ty jesteś przecież pełnym, wspaniałym człowiekiem. Przykro mi. Tak mi przykro, że nie umiem wyrazić tego, co czuję.

— Mnie także. — Ale wrzenie w jej duszy już powoli przygasało.

— Spróbujesz przetrwać ze mną najgorszy czas? Przysięgam, że nie będziesz żałować. — Daphne milczała. — Kocham cię. Co można powiedzieć ponad to?

Rzeczywiście, niewiele mógł dodać. W ciągu półtorej godziny powiedział wszystko: że ją kocha, że zachował się jak dureń i że chce się z nią ożenić. To ostatnie usłyszała z jego ust po raz pierwszy. W jej oczach odbiło się tysiące wątpliwości

i tyleż niemych pytań.

— Poważnie mówiłeś o małżeństwie?

— Tak. Nigdy jeszcze nikomu tego nie proponowałem. Ale też nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ty. — Spojrzał na nią czule. Daphne znowu odniosła wrażenie, że jej serce rozrywa się na dwie połowy.

— Nawet nie widziałeś mojego syna. — Pozornie odbiegła od tematu.

— Zobaczę go. Mówiłem, może następnym razem polecę z tobą na Wschód. — I teraz nie zareagowała na to tak, jak się spodziewał, lecz nie ponaglał jej. Nie uczynił najmniejszej aluzji do tego, że w studiu czekają na nich już przeszło godzinę. Wiedział, że zachował się jak skończony drań, ale wiedział też, że musi dojść z nią do porozumienia, zanim wrócą do codziennych zajęć. Nie mógł zostawić jej zbyt dużo czasu na zastanowienie. — Mamy przed sobą całe życie, kochanie. — Daphne wzdrygnęła się odruchowo. — Dasz mi tę ostatnią szansę?

W dalszym ciągu milczała, przyglądając mu się badawczo. W końcu zbliżył się do niej i pocałował ją w usta, delikatnie, jak w pierwszych dniach ich miłości. — Kocham cię, Daff. Kocham cię z całej duszy.

Znowu popłynęły łzy. Daphne, szlochając, desperacko przywarła do niego, pragnąc jakby, aby siłą swoich ramion zdusił ból, którego sam był sprawcą. Łkała coraz rozpaczliwiej, a Justin, nie wypuszczając jej z objęć, pocieszał ją, tulił, gładził po włosach. Kiedy się wreszcie uspokoiła, zrozumiał, że zwyciężył. Jeszcze nie była w stanie tego powiedzieć, ale już wiedział, że mu wybaczy. Z cichym westchnieniem wstał, pociągając ją za sobą.

- Niechętnie o tym wspominam, kochanie, ale musimy jechać do pracy.

Daphne jęknęła: była to ostatnia rzecz, na jaką miała w tej chwili ochotę. Niestety, Justin miał rację.

— Która godzina?

— Piętnaście po szóstej.

Skrzywiła się. — Howard się wścieknie.

— To pewne. — Justin zdecydował, że może już sobie pozwolić na uśmiech. — Ale ponieważ wścieknie się tak czy owak, dajmy mu przynajmniej jakiś sensowny powód. — Nic już nie mówiąc, pchnął ją ostrożnie na łóżko i zaczął się z nią kochać.

Chciała protestować, nie na tym jej zależało, nie tak od razu po tym, co zrobił... Jeszcze nie dzisiaj... Nie teraz... Jednak jego miłosny kunszt pokonał jej opór i rozsądek. Gdy po chwili poczuła go w sobie, wydała zduszony okrzyk, ni to rozpaczy, ni rozkoszy, i poddała się. Znowu była jego. Kiedy skończyli się kochać, pomyślała mgliście, że może Justin się nie mylił. Może rzeczywiście ludzie muszą mieć za sobą również takie cierpienia i może dzięki nim łatwiej przychodzi im znosić każde następne.

33

Daphne i Justin zjawili się ostatecznie na planie prawie piętnaście po ósmej. Howard był bliski apopleksji, ale na ich widok najpierw udał bezbrzeżne zdumienie.

— Proszę... Proszę... Kogo my tu mamy...!!! — Z każdym jednakże słowem jego głos wznosił się w piorunującym crescendo. Daphne aż skuliła się w sobie, w przeciwieństwie do Justina, na którym najwyraźniej ryki Howarda nie robiły żadnego wrażenia. — Co jest z wami?! Nie możecie zwlec z łóżka waszych cholernych tyłków i pofatygować się do pracy?! Czy tu już nikomu na niczym nie zależy?! Trzy godziny spóźnienia, a wy sobie wchodzicie jak do cioci na podwieczorek?! Niech was szlag trafi! — Howard porwał kopię scenariusza i z rozmachem cisnął nią o podłogę. W tym czasie Justin zdążył zniknąć w swojej garderobie, zostawiając Daphne, która gorączkowo zaczęła się rozglądać za Barbarą. Na szczęście nie musiała długo jej szukać.

— W porządku? — Barbara usiadła obok Daphne, spoglądając z niepokojem na jej drobną, wymizerowaną twarz i podkrążone oczy. Daphne natychmiast odwróciła wzrok: wciąż jeszcze musiała ze sobą walczyć, żeby się nie rozplakać.

Jednak wkrótce przemogła się i popatrzyła na przyjaciółkę z wymuszonym uśmiechem.

— Jak najlepszym — odparła. — Czuję się świetnie.

Bo czyż tak nie było? Przecież naprawdę wszystko już się ułożyło albo przynajmniej miało się ułożyć w niedługim czasie. Barbara zrozumiała, że Justin wygrał.

— Chcesz kawy?

— Jeśli jesteś pewna, że Howard nie dosypał do niej arszeniku...

Nie przestając pilnie obserwować Daphne, Barbara odpowiedziała nikłym uśmiechem. W tej chwili nienawidziła Justina jak jeszcze nigdy: za ten smutek w oczach Daphne, za jej umęczoną twarz. Doskonale wiedziała, kto jest za to odpowiedzialny. — Nie zadrezczaj się, Daff. Połowa zespołu dzisiaj się spóźniła i dlatego Howard tak się miota. Widać trzeba kilku dni, żeby po tej przerwie wszystko znowu się unormowało.

— Jaki uroczy unik. Można rzec, eufemizm czy też niedomówienie. — Po raz pierwszy od powrotu Daphne uśmiechnęła się. Była to z jej strony jedyna aluzja do tego, co zastała u siebie w domu.

Barbara przyniosła kawę i Daphne powoli zaczęła dochodzić do siebie, choć po długim nocnym locie i scenie z Justinem przez cały dzień czuła się jak żywy trup. Skończyli zdjęcia o szóstej po południu, po czym Justin odwiózł ją do domu, a Daphne zaraz poszła się położyć. Dostała do łóżka tacę z filiżanką herbaty i kolację, jakby była obłożnie chora. Wiedziała, czemu Justin tak się stara, ale musiała przyznać w duchu, że nie było to nieprzyjemne. Gdy skończyła jeść, Justin zniknął w kuchni, żeby posprzątać, i w tym momencie zadzwonił Matthew. Daphne z westchnieniem opadła na poduszki. Poczowała wielką ulgę usłyszawszy jego głos.

— Cześć, Matt. — Nie zabrzmiało to jednak zbyt pewnie. Była zadowolona, że drzwi do sypialni są zamknięte.

— Musiałaś mieć straszny dzień. Poznać to po twoim głosie.

— Rzeczywiście, czuję się nie najlepiej.

Matta natychmiast coś tknęło.

— W domu wszystko w porządku?

— Mniej więcej... — zawahała się. Nie chciała, żeby zorientował się, co zaszło, bo nie miał z tym przecież nic wspólnego, równocześnie jednak potrzebowała go, potrzebna jej była świadomość, że gdzieś tam, choćby tysiące mil stąd, jest ktoś, na kim może polegać. Mimo troski okazywanej przez Justina nie odzyskała jeszcze zaufania do niego, podczas gdy przyjaźni Matthew była absolutnie pewna. — W jakim nastroju był dzisiaj Andy?

— Nie najgorszym jak na pierwszy dzień po twoim wyjeździe. Miałaś dobry lot?

— Tak. Cały czas spałam. — Nagle przypomniała sobie telefony Jeffa, gdy bawił służbowo poza Nowym Jorkiem. Banalność zwykłego, uporządkowanego życia niesie jednak człowiekowi ukojenie. Wszystko jest jakby trochę pomniejszone, nie tak ostre, łatwiejsze do zniesienia. To, co spotykało Daphne teraz w Kalifornii, było natomiast coraz trudniejsze. Umilkła. W New Hampshire Matthew zmarszczył czoło: nie wątpił już, że przecucie go nie zawiodło.

— Daff? Co się stało, maleńka? — Daphne łązy stanęły w oczach. Od śmierci Johna nikt jej tak nie nazwał. Znowu z całą jaskrawością ujrzała wypadki ostatnich osiemnastu godzin. — Czy mogę ci jakoś pomóc?

— Bardzo bym chciała, żebyś mógł mi pomóc... — Matthew teraz już wyraźnie słyszał, że płacze. — Widzisz, kiedy byłam w Howarth, tu coś się wydarzyło...

— Twój przyjaciel?

Nie mogła odpowiedzieć od razu, bo zachłysnęła się łzami. Mówiła sobie, że ten wybuch płaczu jest nieuzasadniony: przecież wszystko sobie wyjaśnili, lecz cóż, skoro ból pozostał i był tak piekielnie żywy... Zapragnęła wyznać go Mattowi, jakby mogła tam, daleko, znaleźć ulgę w jego opiekuńczych ramionach.

— Po moim powrocie okazało się, że zaszły drobne komplikacje... — Matthew czekał, więc po chwili podjęła: — Kiedy mnie nie było, sprowadził do mojego domu inną kobietę. — Myślała, że będzie wstrząśnięta wypowiadając te słowa, lecz czuła jedynie bezbrzeżny smutek. — To długa historia i on teraz cholernie tego żałuje, niemniej nie było to najmiłsze powitanie. — Daphne wytarła nos. Matthew zacisnął pięści.

— Wyrzuciłaś tego drania?

— Nie. Chciałam, ale... Sama nie wiem, Matt. Myślę, że jest mu naprawdę przykro. Chyba stracił głowę na skutek ciągłego napięcia w pracy. Harował przecież bez najmniejszej przerwy przez trzy miesiące.

— A ty nie? Pracowałaś nawet więcej niż on, bo napisałaś jeszcze scenariusz. Czy to według ciebie jest rozsądnym usprawiedliwieniem? — Matthew był wściekły jak diabli, a szczególnie złościło go to, że Daphne najwyraźniej zamierzała wybaczyć niewierność temu typowi i znowu dać mu szansę.

— Nie. Nie istnieje żadne rozsądne usprawiedliwienie. Stało się, co się stało, i koniec. Poczekam i zobaczę, co będzie dalej.

Matthew chętnie by nią potrząsnął, zasypał gradem argumentów, ale wiedział, że nie ma do tego prawa. Nie chciał, by ktoś zadawał jej ból, lecz był bezsilny. Kochała innego, on był tylko przyjacielem.

— Uważasz, że warto, Daff?

— Tak, teraz myślę, że tak, choć rano nie byłam pewna — Matthew zaczął żałować, że nie zadzwonił wcześniej, choć niczego by to nie zmieniło: Daphne nie dojrzała jeszcze do zerwania z Justinem Wakefieldem. Zresztą Wakefield był potężnym przeciwnikiem. Nikt przy zdrowych zmysłach nie robiłby mu najmniejszych nadziei, że Daphne z własnej woli porzuci słynnego amanta. Powiedziano by raczej, że zwariował, jeśli ma jeszcze jakieś złudzenia. — Po prostu nie

wiem... — Głos Daphne brzmiał tak słabo i żałośnie, że Matthew miał ochotę wyć. — Ja... tyle już w przeszłości straciłam, Matt... — Dobiegł go znowu jej płacz.

— Więc nie akceptuj tego, co cię spotkało.

Reakcja Daphne zaskoczyła go. — Nic nie rozumiesz. A jeśli on ma rację? Wszyscy popełniamy błędy. Może z aktorami jest właśnie tak, a nie inaczej... — Szloch Daphne stawał się coraz gwałtowniejszy. — Do diabła, jak ci się zdaje, ile razy mogę zaczynać od nowa?

— Tyle, ile będzie trzeba. Musisz tylko być odważna, moja pani. Pamiętaj.

— Może najzwyczajniej jestem już zmęczona tym, że stale muszę być odważna. Może moja odwaga już się wyczerpała.

— Nie wierzę w to.

— A poza tym Justin twierdzi, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

— Przeznaczeni? Czy pomyślał o tym, kiedy byłeś w Howarth?

— Wiem, Matt. Wiem. Nie powinnam go tłumaczyć.

— Złękła się nagle, czy dobrze robi, informując Matthew, co się stało: z jednej strony nie miała ochoty usprawiedliwiać przed nim Justina, a z drugiej czuła się do tego zobowiązana.

— Wiem, że to zabrmi absurdalnie, ale na razie nie zamierzam niczego przekreślać. — Z cichym westchnieniem otarła oczy.

— W porządku, Daff. Rozumiem. Musisz wybrać dla siebie jak najlepsze rozwiązanie. Tylko proszę, nie pozwól się ranić — rzucił na koniec, lecz na spełnienie tej prośby, czy może raczej zaklęcia, było już za późno, czego miał namacalny dowód.

Daphne odłożyła słuchawkę i rozplakała się ponownie. Justin zastał ją łkającą spazmatycznie w poduszkę, choć gdyby ją spytano, czemu właściwie płacze, nie umiałaby powiedzieć. Naturalnie nadal było jej przykro z powodu tamtej dziewczyny, ale teraz doszła do tego przeogromna tęsknota za Andym i Matthew. Tak bardzo chciałyby wrócić do domu...

— Och, kochanie, przestań... Wszystko będzie dobrze...

— W tej chwili jednak nic nie było dobrze i Daphne tym razem nie dała się ukołysać czułymi słówkami. Wtulona w jego ramiona szlochała dopóty, dopóki nie usnęła, położywszy mu głowę na piersi. Justin zgasił światło i leżał nieruchomo, zastanawiając się, czy mądrze postąpił. Zależało mu na tej kobiecie jak dotychczas na żadnej innej, lecz nie miał pewności, czy spełni jej oczekiwania. Chciał, naprawdę chciał, ale gdy wybiegał myślą w nadchodzące lata, zdejmował go strach.

Daphne była tak poważna, tak prostolinijna i tyle przeszła. Jego życie szło zupełnie innymi drogami: potrzebował wciąż nowych podniet, nowych ludzi i przyjemności. Wiedział poza tym, że nie potrafi dochować wierności.

A w New Hampshire Matthew siedział w mroku, wpatrzony w ogień na kominku, i wyrzucał sobie, że jest niepoprawnym głupcem, skoro wciąż jeszcze próbuje dostrzec dla siebie bodaj cień nadziei. Nienawidził Justina Wakefielda za jego przebojowość i pragnął Daphne aż do bólu.

34

Przez następny miesiąc zespół pracujący nad „Apaczem” nadrobił zaległości i ustalono już, że wyjazd do Wyoming nastąpi czternastego lipca. Howard orzekł jednak, że nie ma mowy o żadnej przerwie przed powrotem do Los Angeles, gdzie miały być nakręcone ostatnie ujęcia i wykonany ostateczny retusz filmu. Daphne było przykro, że odwleka się jej spotkanie z Andym, ale Matthew pocieszył ją nieco, opowiadając o najbliższej wycieczce, zaplanowanej przez szkołę, do której chłopiec przygotował się ze szczególną radością, i zapewniając, że jej przyjazd do Howarth zaraz po opuszczeniu Jackson Hole będzie w samą porę. Zresztą Daphne była zbyt zajęta, by znajdować czas na rozpamiętywanie swojej tęsknoty. Mnóstwo scen, które miały być realizowane w Jackson Hole, wymagało poważnych przeróbek i Daphne spędzała całe dni na planie, po czym do późnych godzin nocnych siedziała jeszcze przy maszynie do pisania.

Justin w tym okresie był dla Daphne wprost cudowny: pilnie czytał każde napisane przez nią słowo i następnie mówił jej, co jest dobre, a co mogłoby być lepsze i dlaczego. Nauczył ją niemal wszystkiego o konstrukcji scenariuszy i kształtowaniu występujących w nich postaci. Był z nią każdego wieczoru, przynosił kanapki i kawę i masował jej obolałe ramiona. W końcu padali oboje na łóżko i długo się kochali.

Obywali się prawie bez snu, co jednak nie przeszkadzało Daphne czuć się szczęśliwą. Teraz wiedziała już, że postąpiła słusznie nie zrywając z nim po czerwcowym kryzysie. Nawet Barbara, aczkolwiek z niechęcią, przyznawała, że Justin zachowuje się jak anioł dobroci. Nie znaczyło to jednak, że zaczęła mu ufać, co często podkreślała w rozmowach z Tomem.

— Nie lubiłaś go od pierwszej chwili, Barb. Ale jeśli jest dla niej opiekuńczy, to o co chodzi?

— Skoro raz wyciął jej taki numer, to nic go nie powstrzyma przed zrobieniem kolejnego świństwa.

— Nie wiadomo. Może to był tylko kac po życiu, jakie prowadził, zanim poznał Daphne. Myślę, że dostał wystarczającą nauczkę. — Tom zetknął się już z Justinem osobiście i nie dostrzegwał w nim niczego, co by mu się nie podobało. Zaczął nawet podejrzewać, że nieprzejednana wrogość Barbary względem Justina wypływa ze zwykłej zazdrości. Niegdyś, kiedy obie kobiety były samotne, łączyły je tak bliskie więzy, że może Barbara nie chciała po prostu pogodzić się z faktem, że ktoś inny zyskał wpływ na życie jej przyjaciółki. Tylko że teraz sytuacja wyglądała zupełnie inaczej: Daphne miała Justina, a Barbara jego, Toma. Tom zresztą nie wnikał

zbyt głęboko w motywy postępowania Barbary, za to niezmiennie radził jej trzymać język za zębami, jeśli ceni sobie swoją pracę. — Skoro Daphne myśli o nim poważnie, Barb, to lepiej się w to nie mieszać. — Spodziewał się, w ślad za całą hollywoodzką prasą, że Daphne i Justin w końcu się pobiorą.

— Jeżeli kiedykolwiek do tego dojdzie, będę rzucać kamieniami, a nie ryżem — odgrażała się Barbara. — Ten człowiek ją skrzywdzi. To dla mnie jasne jak słońce.

— Już dobrze, babciu, odpręż się. Do diabła, ja, w przeciwieństwie do ciebie, marzę o tym, żeby on się z nią ożenił, bo wtedy zostałabyś tutaj. — Ostatnio coraz częściej wracali do tego tematu. Tom chciał, żeby Barbara za niego wyszła i zamieszkała z nim w Los Angeles, podczas gdy ona uparcie odkładała decyzję do momentu ukończenia „Apacza”. — Ale wtedy, moja droga, nie przyjmę już do wiadomości żadnego nowego wykrętu. Nie stajemy się młodszy i grubo się mylisz, wyobrażając sobie, że zgodzę się czekać następne ćwierć wieku, zanim znowu będę mógł cię gdzieś przypadkowo zobaczyć. Chcę się z tobą ożenić, mieć z tobą dziecko i przyglądać się, jak przez najbliższe pięćdziesiąt lat siedzisz na tyłku koło mojego basenu i wydajesz moje pieniądze. Co pani na to, panno Jarvis?

— Za piękne, żeby było prawdziwe — odrzekła z powątpiewaniem Barbara, ale wiedziała, że te słowa wiernie oddają wszystko to, co istnieje między nimi od pierwszego spotkania u Gucciego. I co od samego początku wyglądało jak wyjęte z książki o miłości. Upłynęły już miesiące, odkąd Tom sprawił jej niespodziankę ową piękną czarną torebkę z jaszczurczej skóry, którą wtedy z takim żalem oddawała ekspedientce. Potem były dalsze prezenty: złoty zegarek piaget, przepiękny żakiet z beżowego zamszu, dwie jadeitowe bransoletki i mnóstwo innych błyskotek. Nie mogła ciągle jeszcze uwierzyć we własne szczęście: wciąż graniczyło dla niej z cudem, że Tom kocha ją równie gorąco jak ona jego. Ale tak było, a podczas pożegnania ekipy filmowej wyjeżdżającej do Jackson Hole Barbara miała oczy pełne łez, mimo iż Tom zapowiedział, że będzie do niej przylatywał w każdy weekend.

Dla Daphne i Justina wytwórnia wyczarterowała samolot, reszta zespołu wyruszyła w drogę wynajętymi autobusami. Na miejscu prace nad filmem szybko przerodziły się w coś, co miało smak pięknej, letniej przygody. Romantyczna sceneria sprzyjała tworzeniu się par. Wszyscy siedzieli długo w noc, spoglądając na góry i śpiewając piosenki zapamiętane albo jeszcze z dzieciństwa, albo z wieczorów spędzonych niegdyś przy obozowych ogniskach. Nawet Howard złągodniał. Miłość Justina i Daphne rozkwitała. Podczas przerw w zdjęciach chodzili na dalekie spacer, zbierali kwiaty i kochali się w wysokiej trawie. Przypominało to czarowny sen i wszyscy szczerze żalowali, gdy zdjęcia dobiegły końca i trzeba było wracać do Los Angeles. Może jedna Daphne

była zasmucona mniej niż inni, bo wiedziała, że już za kilka dni uda się do Bostonu i zobaczy z Andym. Czekala teraz, żeby Justin potwierdził, że będzie jej towarzyszyć, ale Justin milczał.

Wreszcie, ostatniego wieczoru przed wyjazdem, stanął w drzwiach sypialni, zgnębiony i rozdygotany.

— Nie mogę, Daff.

— Czego nie możesz?

— Lecieć z tobą do Bostonu. — Nieszczęśliwy wyraz twarzy Justina obudził w Daphne czujność.

— Dlaczego? Czyżby odezwała się panna Ohio? — Wspomniała o niej pierwszy raz tego lata i Justin aż się przygarbił.

— Nie mów tak. Przyrzekałem ci, że to mi się już nie przydarzy.

— Więc czemu nie możesz jechać?

Westchnął ciężko. Był rzeczywiście wytrącony z równowagi. — Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, żeby nie wyjść na totalnego dupka. Choć może od razu powinienem przyznać, że nim jestem. Ale... Daff... cała szkoła pełna głuchych dzieciaków... Ja... Ja mam taką awersję do wszelkich upośledzeń. Do kalectwa, ślepoty, głuchoty... Ja tego po prostu nie trawię. Natychmiast sam czuję się wręcz fizycznie chory.

Daphne słuchała ze zmartwiałym sercem. Jeśli naprawdę tak jest, to wyłania się przed nimi autentyczny problem. Andy nie słyszy i tego faktu nie da się zmienić.

— Justin, Andy nie jest kaleką.

— Wiem. I z nim jednym pewnie świetnie bym sobie poradził... ale te wszystkie dzieci... — Nie udawał: był blady i drżał na całym ciele. — Przepraszam, Daphne. To idiotyczne, żeby dorosły mężczyzna zachowywał się w ten sposób, ale ja zawsze taki byłem.. — Zwiesił głowę. W kącikach jego oczu wezbrały łzy...

I co, u diabła, ona ma teraz z tym zrobić? Po krótkim zastanowieniu doszła do wniosku, że przede wszystkim musi doprowadzić do ich spotkania: to teraz jest najważniejsze. Skoro nic nie zapowiada końca romansu z Justinem, niech pozna wreszcie jej syna.

— W porządku, kochanie. Zmienimy plany. Andy przyleci do nas.

— Myślisz, że to byłoby możliwe? — Odetchnął głębiej. Jego policzki z wolna zaczęły się zabarwiać. Przez ostatnie dni chodził jak struty, nie mogąc się zdobyć na powiedzenie Daphne, co myśli o całej tej sprawie, ale naprawdę nie zniósłby podróży do Howarth.

— Oczywiście. Zadzwoń do Matta i poproszę go, żeby wsadził Andy'ego do samolotu. Zrobiliśmy tak zeszłej wiosny i mój mały był zachwycony.

— Wspaniale.

Gdy jednak Daphne zatelefonowała do Matthew, dowiedziała się, że Andy przeszedł w poprzednim tygodniu lekkie zapalenie ucha, w związku z czym nie może na razie opuszczać internatu. Nie miała więc innego wyjścia, jak zostawić Justina w Kalifornii i lecieć na Wschód sama. Powiadomiła go o tym z żalem, lecz i z nutką rozbudzonej na nowo podejrzliwości. Przeszło jej przez głowę, czy przypadkiem nie wymyślił tej swojej fobii, żeby mieć pretekst do pozostania w Los Angeles i wywołania kolejnego skandalu. Sama myśl o tym ją rozzłościła.

— Daff, nie patrz tak na mnie. Tym razem nic się nie wydarzy. — Daphne nie odezwała się słowem. — Przysięgam. Będę do ciebie dzwonił pięć razy dziennie — zaklinał.

— A panna Ohio będzie ci trzymać telefon.

— To nie fair.

— A czy kochanie się z inną w mojej sypialni było w porządku?

— Do diabła, nie możesz o tym zapomnieć?

— Nie wiem, Justinie. Ty zapomniałeś?

— Jeśli mam być szczerzy, to tak, zapomniałem. Od tamtej pory przeżyliśmy razem trzy wspaniałe miesiące. Nie wiem jak ty, moja miła, ale ja nigdy nie byłem szczęśliwszy. Dlaczego bez przerwy musisz mnie obrzucać błotem?

Odpowiedź nasuwała się jednak sama. W głębi duszy Daphne nadal mu nie dowierzała, a perspektywa podróży na Wschód odświeżyła bolesne wspomnienie tego, co zaszło podczas jej wyjazdu w czerwcu do Andy'ego.

Z westchnieniem opadła na krzesło i spojrzała na niego z powagą. — Wybacz, Justinie. Po prostu chciałam, żebyś pojechał ze mną do Andy'ego. — W gruncie rzeczy oznaczałoby to tylko tyle, że tym razem miałyby go stale na oku, z czego nic nie wynikało dla ich ewentualnej wspólnej przyszłości.

— Nie mogę jechać z tobą, Daff. Nie mogę.

— Wobec tego pozostaje mi jedynie zaufać twojemu słowu.

Cały urok minionych miesięcy stracił nagle dla niej część swego blasku.

— Nie będziesz tego żałowała, zobaczysz — zapewniał. Daphne jednak nadal nurtowały wątpliwości. Nie opuszczały jej ani na chwilę, gdy się pakowała i gdy potem jechała z Justinem na lotnisko.

W New Hampshire liście zmieniały kolor, dni były chłodne, ale pogoda dopisywała i Daphne z zachwytem rozglądała się po okolicy, która w tym roku wydała jej się piękniejsza niż kiedykolwiek. Nastrój, któremu dała się unieść, mąciła prześladowająca ją myśl o Justinie. Jadąc w milczeniu obok Matthew cały czas zastanawiała się, co on teraz robi i czy potrafi dotrzymać obietnicy. Matt również długo się nie odzywał, za to co chwilę zerkał na nią badawczo kątem oka.

W pewnym momencie pochwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się. Niepokój, który stale nią targał, nie odbijał się na jej twarzy, wyglądała tylko na zmęczoną. Pobyt w Wyoming był mimo wszystko wyczerpujący. Nawet łagodniejszy niż zwykle Howard Stern nie przestał być najbardziej wymagającym z hollywoodzkich reżyserów.

— Jak tam prace nad moim wytęsknionym filmem? — przerwał wreszcie milczenie Matt. Nie chciał pytać ją wprost o Justina. Podczas ostatnich rozmów rzadko wspominała o kochanku, lecz Matthew bał się wysnuwać z tego zbyt pochopne wnioski. Czekał cierpliwie, wiedząc, że jeśli zechce, sama opowie mu o wszystkim.

— Film idzie świetnie, już prawie kończymy. Howard mówi, że potrzebuje jeszcze sześciu, siedmiu tygodni pracy na planie w studiu, a potem już tylko się i montować.

W ciągu dziewięciu miesięcy zdążyła przyswoić sobie żargon obowiązujący w filmowym świecie. Matthew znowu przyjrzał się Daphne uważnie, szukając w niej tej kobiety, którą pamiętał z pierwszego spotkania. Bardzo chciał ją odnaleźć, ale przychodziło mu to z trudem. Nie ulegało wątpliwości, że Daphne się zmieniła: stała się bardziej spięta, nerwowa i sprawiała wrażenie, jakby nieustannie z niepokojem na coś czekała. Czy był to rezultat przepracowania, czy współżycia z Justinem? A może długotrwałej rozłąki z Andym? Jedno było pewne: do Howarth zajechała nie ta sama Daphne, której życie obracało się dotąd wyłącznie wokół syna i książek. Było widać, ile wysiłku kosztuje ją zachowanie spokojnego wyrazu twarzy, choć mogła to być równie dobrze reakcja na podróż — przecież zaledwie kilka minut wcześniej wysiadła z samolotu.

— Chciałabym, żeby Andy przyjechał do mnie na Święto Dziękczynienia — powiedziała stanowczo. Przemyślała to sobie podczas lotu. Przygotuje tradycyjny obiad w domu w Bel Air, zaprosi również Barbarę z Tomem i jego dziećmi. Od śmierci Jeffa — a upłynęło od niej dziesięć lat — nie obchodziła tego święta tak, jak to się robi w każdej rodzinie. Nadeszła chyba wreszcie pora na rozpoczęcie normalnego życia; okres jej samotności minął, związana jest z Justinem na dobre i złe i chce mieć prawdziwy dom, poza tym naprawdę już najwyższy czas, żeby Justin i Andy się poznali. Zmarkotniała uprzytomniwszy sobie z żalem, że tym razem to się jeszcze nie udało. Popatrzyła z przejęciem na Matthew i zrobiło jej się żal, że po zrealizowaniu tych planów będzie między nimi już inaczej niż dotąd.

— A co po Święcie Dziękczynienia, Daff? — Coś w spojrzeniu Matta sprawiło, że się zawahała.

— Nie jestem pewna — powiedziała wolno, mimo iż w duchu była przekonana, że wyjdzie za Justina, oczywiście jeśli nie wydarzy się jakaś katastrofa, która pogrzebie jej nadzieje. Obecna podróż w pewnym sensie traktowała jako ogniową próbę.

— Zostaniesz tam? — Wciąż pilnie jej się przyglądał. Musiał to wiedzieć, ponieważ dla niego także nadszedł czas ostatecznych rozstrzygnięć.

— Może. Zdecydują o tym najbliższe miesiące. — Spojrzała miękko na Matthew czując, że należy mu się pełniejsza odpowiedź. Przed trzema miesiącami zwierzyła mu się z najgorszego, teraz wypadało to uzupełnić. Dziwna była ta łącząca ich sympatia: niby całkowicie platoniczna, a mimo to... Wolą nie rozwijać tej myśli. — Tego lata wiele wyjaśniliśmy sobie z Justinem. Myślę, że niepotrzebnie opowiedziałam ci, co się wydarzyło, kiedy byłam tu w czerwcu. — Tak, chyba zachowała się nielojalnie w stosunku do Justina, który już nigdy potem nie dał jej powodu do skarg czy narzekań, a Matthew raz na zawsze wyrobił sobie o nim nie najlepszą opinię. Daphne aż nazbyt dobrze znała jego zdanie na temat Justina. Wiedziała, że nawet w tej chwili myśli o nim z niechęcią.

— Nie szkodzi. — Matt uśmiechnął się zza kierownicy. — Niczego nie sprzedam prasie.

Odpowiedziała uśmiechem. — Sądzę teraz, że było to takie przypadkowe zboczenie z prostej drogi. — Zamknęła oczy i westchnęła. — Bóg mi świadkiem, że okropnie to przeżyłam. Gdy rozmawiałam z tobą o tej przykrej historii, zdawało mi się, że umrę za chwilę z rozpaczy. — Matthew doskonale to pamiętał.

— Tak... Wiem. Czy zainteresowałaś się już szkołą, o której ci wspominałem?

— Nie. Zrobię to zaraz po skończeniu filmu. Ostatnio na nic nie miałam czasu. Czuję się tak, jakbym od miesięcy była zawieszona między niepewnością a nadzieją.

— Znam to uczucie. — Znowu się uśmiechnął. — Sam często go doświadczam. — Wciąż z niedowierzaniem myślał

o tym, że już za trzy miesiące będzie musiał opuścić Howarth

i wrócić do New York School. Na próżno usiłował odtworzyć w pamięci swoje życie przed przyjazdem do Howarth — bez przyjaźni Daphne, bez jej telefonów.

Do ostatniego dnia pobytu Daphne w szkole unosił się nad nimi jakiś krępujący cień, który nie wiadomo dlaczego nagle się pojawił. Parę razy zauważyła Matta obserwującego ją z okna swojego gabinetu. Kiedy spostrzegwał, że patrzy w jego stronę, szybko się odwracał i znikał w głębi pokoju. Dopiero gdy odwoził ją na lotnisko, odważyła się zapytać:

— Matthew, czy stało się coś złego?

— Nie, maleńka. Niedawno miałem urodziny i chyba nagle poczułem się stary.

— Musisz wrócić do Nowego Jorku.

Siostra od dawna powtarzała mu to samo, lecz ona wiedziała coś, czego Daphne nawet nie przeczuwała: że jej brat jest zakochany.

— Zapewne — mruknął wymijająco.

— Jesteś tutaj zanadto osamotniony. Nie możesz brać przykładu z Helen Curtis. Ona była już starszą panią, od lat przyzwyczajoną do życia w pojedynkę.

— Swego czasu tobie też nie przeszkadzała samotność, choć byłaś o połowę młodsza od niej.

— W Howarth nie zawsze byłam samotna — przypomniała. Jak zwykle gdy mówiła o Johnie, w jej głosie odezwała się ciepła nuta.

— Ja również nie. Przynajmniej nie zawsze... — Po raz pierwszy napomknął, że kogoś ma. Daphne spojrzała na niego zaskoczona. Ale Matthew tyle wiedział o kolejach jej losu, że i ona mogła zapytać go wprost:

— Spotykasz się z kimś, Matt? — Daphne wyobrażała sobie, że Matthew związał się z jakąś dziewczyną, lecz w głębi duszy nigdy w to nie wierzyła, toteż teraz czuła się niemile zaskoczona. Jak to się mogło stać, że o niczym nie miała pojęcia? Dlaczego jej nie powiedział?

— Sporadycznie.

— To coś poważnego? — zagadnęła z wewnętrznym niepokojem, który daremnie usiłowała stłumić, mówiąc sobie, że jest śmieszny: byli przecież jedynie przyjaciółmi. Skoro ona myśli o poślubieniu Justina, czemu Matthew nie miałby dzielić życia z wybraną kobietą?

Zamyślił się na chwilę, po czym odrzekł: — Pewnie przerodziłoby się w coś poważnego, gdybym naprawdę tego chciał. Ale nie chcę.

— Dlaczego? — Spoglądała na niego niewinnie wielkimi niebieskimi oczami. Zwrócił twarz w jej stronę i jakiś czas milczał, zastanawiając się, czy to możliwe, żeby była aż taka ślepa.

- Jest mnóstwo głupich powodów, Daphne. Śmiesznie głupich.

— Nie bój się, Matt. Ja się bałam i okazało się, że niesłusznie.

- Na pewno? Jesteś szczęśliwa? - Zabrzmiało to bardzo przejmująco.

- Może nie stale, ale często. Widać to musi wystarczać. Przynajmniej czuję, że żyję.

- Czy rzeczywiście wystarczy zadowalać się tym, że się żyje?

- Przestałam marzyć o doskonałym związku, Matt. Po stracie Johna zrezygnowałam, ponieważ wiedziałam, że nigdy już nie zaznam równie pięknego i porywającego uczucia. Lecz kto powiedział, że musimy być w pełni szczęśliwi dzień po dniu, chwila po chwili? Kto wie, czy w przyszłości nie pojawiłyby się jakieś problemy pomiędzy mną a Jeffreyem, gdyby nie jego odejście? Nie ma mężczyzny, który byłby w stanie zaakceptować moją karierę zawodową. Weź choćby bieżący rok. Czy mogłabym spędzić go w ten sposób, pozostając w konwencjonalnym małżeństwie z ukochaną osobą? - Wypowiedziała na głos pytanie, które często ją nurtowało, kiedy rozmyślała o swoich przejściach.

- Gdyby ci na tym bardzo zależało, a twój mąż zdobył się na odrobinę wyrozumiałości, na pewno wszystko by się ułożyło. Poza tym nie musiałaś przecież pisać tego scenariusza - zauważył rzeczowo, bez śladu jakiegokolwiek dwuznacznej intonacji.

- A jednak cieszę się, że to zrobiłam.

- Z powodu Justina?

- Częściowo, ale głównie dlatego, że tak dużo się nauczyłam. To było cudowne doświadczenie, chociaż na tak długo oderwało mnie od książek. Miałaś rację, zachęcając mnie, żebym wykorzystała tę okazję.

- Ja cię zachęcałem? - spytał zdumiony.

- Oczywiście - spojrzała na niego wesoło. - Zaraz pierwszego wieczoru, kiedy cię poznałam. Pani Curtis zrobiła to pierwsza.

Matthew przygryzł na moment wargi. - Może i ja, i ona wygadywaliśmy wtedy głupstwa.

- Czemu tak mówisz? - Nie rozumiała lub też raczej nie chciała rozumieć.

— Plotę trzy po trzy. Marta twierdzi, że cierpię na rozmięczenie mózgu, i widać nie jest daleka od prawdy.

Uśmiechnęli się oboje.

— A teraz opowiedz mi o swojej przyjaciółce. Kim ona jest?

Nie istniały już przyczyny, dla których miałby przemilczeć to pytanie. — To nauczycielka, pracuje tu, w mieście. Pochodzi z Teksasu. Jest bardzo ładna i bardzo młoda. — Uśmiechnął się wstydliwie do Daphne. Doprawdy, przedziwna jest ta ich przyjaźń. — Ma dwadzieścia pięć lat i szczerze mówiąc, czuję się przy niej jak obleśny staruch.

— Nonsens. Właśnie to jest ci potrzebne. Chryste, tu przecież człowiek nie ma nic oprócz książek. Nie dziwię się, że wszyscy naokoło pozerają moje powieści.

— Ona także. Przeczytała je wszystkie. Daphne zaśmiała się cicho. — Jak ma na imię?

— Harriet. Harriet Bateau.

— Nazwisko brzmi nieco egzotycznie.

— W niej samej nie ma nic egzotycznego. Jest miłą dziewczyną, inteligentną i dobrą.

Daphne zerknęła na Matthew spod przymrużonych powiek.

— Sądzisz, że się pobierzecie, Matt? — Z żalem pomyślała o telefonach do niego, ale cóż, nic nie trwa wiecznie. Los sprawił, że dzięki tej subtelnej nici, która ich łączyła, doszło do spotkania dwojga samotnych istnień i dwóch szczerych, życzliwych serc. To ostatnie na pewno się nie zmieni, lecz poza tym ich drogi się rozejdą. Życie Daphne już weszło na nowe tory, a teraz przysła kolej na Matta. Nocne rozmowy telefoniczne przejdą do historii; nie można się buntować przeciw temu, co nieuniknione.

Matthew potrząsnął jednak głową w odpowiedzi na pytanie Daphne. — Nawet nie pomyślałem o małżeństwie. Po prostu umówiliśmy się kilka razy.

Wydarzyło się nieco więcej, ale on nie przywiązywał do tego wagi, chociaż wiedział, że Harriet się w nim podkochuje. Nie łudził jej nadzieją, nie chcąc igrać uczuciami niedoświadczonej dziewczyny. Podejrzewał zresztą, że ona zgaduje, co każe mu trzymać się na dystans. Chwilami odnosił wrażenie, że to dla nikogo nie jest już tajemnicą. Dla nikogo z wyjątkiem Daphne.

A Daphne właśnie uśmiechnęła się do niego. — W razie czego nie zapomnij mnie zawiadomić.

— Jasne. I wzajemnie.

— Dobrze.

Długo wpatrywał się w jej twarz, zanim zniknęła w terminalu prowadzącym na lotnisko. — Uważaj na siebie, maleńka. — Nigdy dotąd te pożegnalne słowa nie zadźwięczały w jego ustach tak smutno i nigdy nie było w nich tyle prawdziwego żalu i skrywanego zawodu. Odwzajemnił serdeczny uścisk Daphne, pilnując się, by nie przytulić jej zbyt mocno, i życząc jej po cichu szczęścia.

— Przyślę ci Andy'ego na Święto Dziękczynienia.

— Do tego czasu nie raz jeszcze będziemy mieli sposobność porozmawiać.

Uśmiechnął się blado. Nie bardzo w to wierzył. Gdy się obejrzała, by ostatni raz do niego pomachać, musiał się odwrócić, inaczej zobaczyłaby, że patrzy za nią oczami pełnymi łez.

35

Justin czekał na Daphne przy wyjściu z lotniska w Los Angeles. Ledwie się ukazała, podbiegł do niej i z okrzykiem szczęścia chwycił ją w ramiona. Po drodze do limuzyny rozpoznały go cztery osoby, którym zgodnie ze swoim zwyczajem oznajmił, że biorą go za kogoś innego, po czym oboje roześmiani ulokowali się na tylnym siedzeniu auta. Radość Justina z powrotu ukochanej graniczyła z euforią. W domu Daphne zastała idealny porządek: cała posiadłość lśniła jak lustro. Justin promieniał dumą.

— A widzisz? Nie mówiłem, że się zmienię?!

— Przepraszam cię za moje różne niedobre myśli.

Daphne była uszczęśliwiona; może ta przemiana naprawdę okaże się trwała? Sprawilo jej to taką ulgę, że poczuła się, jakby wyszła z ożywczej, chłodnej kąpieli. Teraz, wiedząc, że może mu ufać, będzie wyjeżdżać bez żadnych obaw. Wszelkie zło zostało wymazane i w tej chwili nic nie mąciło jej uwielbienia dla Justina. On jednak niespodziewanie spowaźniał.

— Nie, Daphne, to ja cię przepraszam za moją niedobrą przeszłość. — Pocałowała go w usta, a on wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni, gdzie kochali się do świtu zapomniawszy o

pozostawionym w samochodzie bagażu, a nawet o zgaszeniu świateł, które do rana oblewały dom jaskrawą łuną.

Prace nad filmem szybko odzyskały dawny rytm i przez następne dziewięć tygodni Daphne żyła jak na jakiejś rozpędzonej, zaczarowanej karuzeli. Rzadko znajdowała czas na telefony do Matthew, zresztą robiła to coraz mniej chętnie. Justinowi wprawdzie zupełnie nie przeszkadzały jej rozmowy z Howarth, czasami nawet zachowywał się tak, jakby ich w ogóle nie zauważał, ale jej wydawało się, że mówiąc o poufnych sprawach z kimś innym, dopuszcza się swego rodzaju zdrady. Poza tym Matthew kilka razy nie odebrał telefonu; nie bez podstaw przypuszczała, że wychodził gdzieś z Harriet Bateau.

Ostatnia scena „Apacza” została nakręcona w pierwszym tygodniu listopada. Gdy Justin zszedł z planu, aby już na niego nie wrócić, wszyscy mieli podejrzenie błyszczące oczy. Potem były gratulacje, pocałunki i uściski. Howard podszedł do Daphne i mocno ją przytulił. Szampan lał się strumieniami, ale radość mieszała się z żalem. Jakiś rozdział ich wspólnego życia został zamknięty i członkowie ekipy czuli się trochę jak zbłąkane dusze, nie bardzo wiedząc, co dalej ze sobą począć. Filmowanie „Apacza” trwało siedem miesięcy, podczas których stali się dla siebie braćmi, siostrami, niekiedy i kochankami. A teraz wszystko się urwało, jakby ziemia usunęła im się nagle spod nóg. Nie dotyczyło to Howarda ani grupy techników, których czekało jeszcze mnóstwo pracy nad montażem i synchronizacją dźwięku, lecz dla większości zespołu, podobnie jak dla Daphne i aktorów, filmowa przygoda, która zdawała się czarownym snem, dobiegła końca. Nikt już nie pamiętał, że ów sen chwilami przypominał koszmar, tak jak po urodzeniu dziecka szczęśliwa matka nie pamięta bólu i innych przykrości, wspominając jedynie końcowy wybuch radości.

Nazajutrz odbyło się pożegnalne przyjęcie, na którym wszyscy spili się do nieprzytomności, nie dbając o zachowanie pozorów czy jakiegokolwiek dyscypliny. Nikt nie musiał już trzymać się na wodzy, wiedząc, że następnego ranka trzeba wstać o piątej, bo w przeciwnym razie Howard urządzi piekielną awanturę. Skończyło się. Finite. Daphne, z kieliszkiem szampana w ręku, nie spuszczać rozjaśnionych oczu z Justina, słuchała mowy pożegnalnej Howarda i chciało jej się płakać.

— To świetny obraz, Daff. Będziesz zachwycona!

Była zachwycona już tym, co obejrzała, zdawała sobie jednak sprawę, że prawdziwe przeżycie czeka ją dopiero wtedy, gdy zobaczy gotowy film. Rozpromieniona zwróciła się do Justina:

— Wykonałeś cudowną robotę.

W każdym kącie ogromnego studia ludzie ściskali sobie dłonie i całowali się z dubeltówki. Dopiero o trzeciej w nocy towarzystwo powoli zaczęło się rozchodzić.

Rano Daphne, siedząc w swoim gabinecie, spojrzała niepewnie na Barbarę. — Chryste, wiesz, dzieje się ze mną zupełnie to samo co z Justinem. Nie mam pojęcia, czym się teraz zajmę.

— Coś tam sobie wymyślisz, że nie wspomnę o twojej następnej książce — odparła z uśmiechem Barbara. Na napisanie powieści zostały Daphne trzy miesiące, co oznaczało, że natychmiast po Święcie Dziękczynienia musi zasiać do maszyny. — Kiedy przyjeżdża Andy?

— Wieczorem w przeddzień święta. Właśnie! — Daphne wręczyła Barbarze krótką listę. — Nie zapomniałaś chyba, że zostaliście zaproszeni do mnie na obiad, ty, Tom i dzieci? — spytała z lekkim niepokojem. Wiedziała, że Barbara nie doszła jeszcze do porozumienia z Justinem, i przestraszyła się, czy przypadkiem w ostatniej chwili nie zechce się wycofać.

— Będziemy na pewno.

— Dobrze.

Następny tydzień Daphne i Justin spędzili w podobny sposób jak wszyscy ludzie filmu, którzy chwilowo pauzują. Raz czy dwa zagraли w tenisa, pokazali się na kilku przyjęciach, bywali na kolacjach w Ma Maison, Bistro i Mortonie. Parokrotnie zostali wymienieni w gazetach, ich romans stał się już tajemnicą poliszynela. Daphne czuła się szczęśliwa i odprężona, a Justin z dnia na dzień wyglądał coraz młodziej. W pewien pogodny poranek, na cztery dni przed przyjazdem Andy'ego, gdy siedzieli w kuchni, uśmiechnął się do niej znad gazety.

— Słyszałaś? W górach Sierra spadł śnieg.

— Czy to ma być ta najbardziej elektryzująca wiadomość? — spytała rozbawiona: Justin tak często przypominał jej małego chłopca.

— Do licha, jasne. To pierwszy śnieg w tym roku. Może wyskoczylibyśmy na tydzień na narty?

— Justinie! — W takich sytuacjach mimo woli przybierała wobec niego ton pobłażliwej, wyrozumiałej matki. — Nie muszę ci chyba przypominać, że w następny czwartek jest Święto Dziękczynienia i że na obiedzie będzie Barbara z Tomem i jego dziećmi. A także Andy.

— Powiedz im, że coś nam wypadło.

— Nie mogę.

— Czemu?

— Ponieważ w środę przyjeżdża mój synek i ten obiad urządzamy specjalnie dla niego. Daj spokój, kochanie, przecież wiesz, jak mi na tym zależy. Od dziesięciu lat nie obchodziłam w domu Święta Dziękczynienia.

— Odlóżmy to do przyszłego roku — powiedział Justin już ze zniecierpliwieniem.

— Justinie, proszę... — Patrzyła na niego błagalnie, on jednak odrzucił gazetę i wstał.

— Niech to szlag trafi, komu dziś jeszcze w głowie rodzinne obiadki w Święto Dziękczynienia?! To coś w sam raz dla kaznodziejów i ich statecznych małżonek. W Tahoe spadł najlepszy śnieg od trzydziestu lat, a ty chcesz tu siedzieć z kupą dzieciaków i zajadać indyka. Jezu!

- Czy ta perspektywa rzeczywiście jest dla ciebie aż tak okropna? — spytała urażona.

Justin wyprostował się dumnie i zmierzył ją wzrokiem z góry na dół.

— To jest po prostu cholernie drobnomieszczańskie.

Nieoczekiwanie zaśmiała się i wzięła go za rękę. — Biedaku, przepraszam, że skazuję cię na takie nudy. Ale to naprawdę jest dla nas ważne, zwłaszcza dla Andy'ego i dla mnie.

— Dobrze już, dobrze, poddaję się. Zostałem przegłosowany. Wy, zacni zjadacze chleba, zawsze jesteście w większości. — Pocałował ją i zmienił temat. Przyrzekła mu jeszcze, że pojedą w góry zaraz po powrocie Andy'ego do szkoły, choćby miała z tego powodu spóźnić się z oddaniem książki. Justin nie spodziewał się nowej roli wcześniej niż za kilka miesięcy, będą więc mieli mnóstwo czasu na narty. A Andy przyjeżdżał raptem na tydzień.

We wtorek wieczór, gdy już leżeli w łóżku, Justin przewrócił się na bok i nieoczekiwanie pocałował Daphne. Natychmiast wyczuła, że nie był to zwykły pocałunek: najwyraźniej chciał jej coś powiedzieć i nie wiedział, jak zacząć.

— Co, kochanie? — Przyszło jej na myśl, że pewnie znowu chodzi o Andy'ego. Zdawała sobie sprawę, że głuchota synka nadal wywołuje w Justinie wewnętrzny opór i lęk. Nie na wiele, jak widać, zdały się nieustannie powtarzane zapewnienia, że z Andym można się swobodnie porozumieć, a w razie jakichś kłopotów ona będzie przecież na miejscu. — Co cię gryzie?

Popatrzył na nią z tym swoim rozbrajającym chłopięcym uśmiechem.

— Jak ty mnie dobrze znasz, Daff.

— Staram się. — Nie знаła go jednak na tyle, by przewidzieć, jaką zgotował jej niespodziankę. — No więc?

— Rano wyjeżdżam do Tahoe. Nie mogłem wyrzec się tej przyjemności, Daff. Prawdę powiedziawszy, muszę się stąd wyrwać na parę dni. Potrzebuję tego.

— Akurat teraz? — Przez chwilę przyglądała mu się leżąc, po czym gwałtownie usiadła. Widziała, że nie żartuje, ale nie chciała w to wierzyć. — Mówisz poważnie?

— Tak. Liczyłem na to, że mnie zrozumiesz.

— Co miałabym zrozumieć?

— No... widzisz... chcę być z tobą szczerzy. Rodzinne obiady z indykami to coś zupełnie nie w moim stylu. Przestałem się bawić w tego rodzaju bzdury, odkąd skończyłem liceum, i nie mam najmniejszej ochoty znowu się do nich przyzwyczajać.

— A Andy? Justinie! Nie wierzę, że mógłbyś to zrobić! — Zerwała się z łóżka i zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem, targana na przemian żalem, wściekłością i zdumieniem.

— Nie ma nieszczęścia, spotkam się z nim na Boże Narodzenie.

— Jeśli znowu nie pojedziesz na narty...

— To będzie zależało od śniegu.

Daphne nie wierzyła własnym uszom. Mężczyzna, który przez ostatnie osiem miesięcy twierdził, że ją kocha, i któremu w końcu udało się ją o tym przekonać, tak że wybaczyła mu nawet zdradę, jedzie sobie na narty, żeby tylko nie spędzić z nią oraz jej synem Święta Dziękczynienia... Znowu zaczęły nurtować ją pytania, na które od pewnego czasu nie próbowała znaleźć odpowiedzi: co to za człowiek? Co naprawdę dzieje się w jego głowie i sercu?

— Czy rozumiesz, co to dla mnie znaczy?

— Uważam, że to nonsens przywiązywać taką wagę do jakichś zwyczajowych ceregieli.

Nawet nie udawał, że jest mu przykro. Z całkowitą beztroską zmierzał do realizacji tego, co postanowił. Daphne przypomniła sobie słowa Howarda, że aktorzy to duże, rozpuszczone dzieci. Wszystkie przepowiednie Howarda dotyczące filmu spełniły się co do joty. Przewidział nawet łzy, które towarzyszyły zakończeniu pracy. Może więc nie pomylił się również w przypadku Justina?

— Do diabła, tu nie chodzi o żadne ceregiele. Mówiłeś, że chcesz się ze mną ożenić, a nie kiwnąłeś palcem, żeby poznać moje jedyne dziecko. Nie pojechałeś ze mną we wrześniu na Wschód, a teraz uciekasz w góry! — Patrzyła na niego zła i oszołomiona, ale nade wszystko głęboko nieszczęśliwa.

Wiedziała już wcześniej, iż oboje chcą od życia czegoś więcej, lecz oto nagle okazało się, że w sercu Justina w ogóle nie ma miejsca dla Andy'ego. Trzeba nareszcie przestać się łudzić, pomyślała, tylko że postawa Justina niweczy wszystko, co ich łączyło.

— Potrzebuję czasu, żeby się zastanowić, Daff. — Nieoczekiwanie stał się bardzo opanowany.

— Nad czym? — Zatrzymała się w miejscu. Pierwszy raz odezwał się do niej takim tonem.

— Nad nami.

— Czy coś jest nie w porządku?

— Nie, lecz to pociąga za sobą tyle konsekwencji... Nigdy nie byłem żonaty i zanim się ostatecznie związę, muszę mieć czas na spokojne przemyślenie decyzji.

Daphne nie mogła nic zarzucić temu rozumowaniu, ale równocześnie trudno było uwierzyć, że za owym wykrętem nie kryje się coś więcej.

— Cóż, wybór pory jest raczej nieodpowiedni. Nie mogłeś z tym poczekać do przyszłego tygodnia?

— Nie sędzę.

— Bo...?

— Bo nie wiem, czy jestem gotowy na spotkanie z twoim synem. — Było to brutalne, ale przynajmniej szczerze. — Nie mam pojęcia, jak rozmawiać z głuchym dzieckiem.

— Najlepiej zacząć od „cześć”. — Z oczu Daphne tchnęło zimno, pustka i ból. Była już zmęczona neurotyczną grą w chowanego, ilekroć na horyzoncie pojawiał się Andy. A może Andy

służy Justinowi tylko za parawan? Może on wcale jej nie pragnie? Może nie pragnie nikogo oprócz kelnerek i pseudogwiazdek? Może to wszystko, na co go stać? Nagle w przerażającym tempie zaczął tracić w jej oczach, kurczyć się, maleć niczym balon z dziurą wielkości pięści.

— Po prostu nie wiedziałbym, jak się zachować przy twoim małym. Miałem już do czynienia z takimi ludźmi i zawsze w ich obecności byłem cholernie zdenerwowany.

— On potrafi czytać z ust i mówić.

— Ale nie jak normalna ludzka istota.

Te słowa zapiekły Daphne do żywego. Odwróciła się do niego tyłem i wolno podeszła do okna. W tej chwili nie obchodził jej nikt poza Andym. Ten mężczyzna nie był jej do niczego potrzebny: potrzebny był jej Andy, i tylko on.

— Dobrze, nie mówmy już o tym. Jedź sobie do diabła.

— Wiedziałem, że mnie zrozumiesz. — Był tak z siebie zadowolony, że Daphne mogła jedynie pokręcić z podziwem głową; coś niebywałego, do jakiego stopnia ten człowiek zamknięty jest na jej uczucia. Ani przez ułamek sekundy nie zaświtało mu w głowie, że sprawił jej zawód i ból i że w tym momencie ona nienawidzi go z całej duszy.

Nagle, tknięta nową myślą, spytała: — Kiedy konkretnie zaplanowałeś sobie ten wyjazd?

Troszeczkę się zmieszał, ale natychmiast odzyskał pewność siebie.

— Kilka dni temu.

Długą chwilę patrzyła mu w oczy. — I nic mi nie powiedziałaś? — Znowu się zawahał, po czym jednak potrząsnął głową. — Ty parszywy draniu! — Z hukiem zatrzęsnęła za sobą drzwi sypialni. Tę noc spędziła w pokoju Barbary, który już od dawna stał pusty, albowiem Barbara przeprowadziła się do Toma i tak jak w Nowym Jorku przychodziła codziennie do Daphne tylko do pracy.

Następnego ranka obudził Daphne brzęk naczyń. Justin, jakby nigdy nic, przygotowywał w kuchni śniadanie. Gdy tam weszła, zobaczyła, że jest już ubrany do drogi. Usiadła, przyglądając się, jak bez słowa nalewa kawę do filiżanek: był rozluźniony i uśmiechnięty. W Daphne wbrew jej woli odżyło uczucie niedowierzania.

— Wiesz, Justinie, wciąż wydaje mi się niemożliwe, żebyś mógł tak postąpić.

— Nie rób tragedii. W końcu nic się nie stało.

— Dla mnie stało się aż nazbyt wiele. — Wiedziała, że inni rozumieją to jednoznacznie. Jak wytłumaczyć nieobecność Justina Barbarze i Tomowi? „Święto Dziękczynienia to dla niego drobnomieszczańskie nudy, więc wyskoczył na narty?" Pogratulowała sobie w duchu, że do tej pory nie powiedziała o Justinie Andy'emu. Miała zamiar porozmawiać z synem w drodze z lotniska do domu, teraz ta rozmowa stała się nieaktualna: będzie na nią czas przed Bożym Narodzeniem,

jeśli oczywiście Justin znowu z czymś nie wystrzeli. Gdy tak siedziała, przypatrując się kochankowi z apetytem pochłaniającemu jajka i tosty, przysła jej nagle do głowy niemiła myśl.

— Jedziesz sam?

— Dziwne pytanie — mruknął, nie odrywając oczu od talerza.

— W takim razie najzupełniej na miejscu, bo ty jesteś dziwnym człowiekiem.

Podniósł wreszcie wzrok i napotkał jej spojrzenie, wyrażające coś bardzo dla niego nieprzyjemnego. Daphne nie była już zła, była wściekła i najwyraźniej szukała zaczepki. Było to tak widoczne, że aż uniósł brwi ze zdumienia. Wciąż nawet nie przeczuwał, jak mocno ją zranił. Nie rozumiał, że odrzucając Andy'ego, odrząca również Daphne, i to w najgorszy ze wszelkich możliwych sposobów.

— Tak, jadę sam. Mówiłem przecież, potrzebuję trochę czasu dla siebie, żeby tam, w górach, to i owo przemyśleć.

— Ja także mam o czym myśleć.

— Na przykład o czym? — Zdumienie Justina wzrosło i było najautentyczniejsze w świecie.

— Na przykład o tobie — westchnęła. — Nie widzę dla nas szans, jeśli nie uczynisz kroku, żeby zbliżyć się do Andy'ego. — Przemilczała już, że ostatnio również bardzo przeszkadzają jej te nieustanne uniki i kierowanie się wyłącznie własnymi zachciankami. Znała Justina nieco powierzchownie: praca od świtu do nocy nie pozwalała ujawnić się tym cechom jego charakteru, które właśnie teraz ukazywały się jak na dłoni. Potrafił ni stąd, ni zowąd znikać na całe godziny, ani razu nie zjawił się punktualnie o umówionej porze i w ogóle zachowywał się absolutnie nieodpowiedzialnie. Twierdził, że taka niczym nie skrepowana swoboda jest odtrutką po stresach spowodowanych długotrwałym przestrzeganiem dyscypliny, którą narzucała mu praca na planie, i Daphne starała się przyjmować to za dobrą monetę. Teraz jednak nie miała ochoty dłużej tłumaczyć go sama przed sobą.

Wychodząc próbował ją pocałować, lecz Daphne odwróciła się i bez słowa odeszła do swego gabinetu, gdzie po pewnym czasie zastała ją Barbara. Daphne siedziała pogrążona w myślach, sprawiając wrażenie, jakby bawiła tysiące mil od miejsca swego pobytu. Minęła dobra chwila, zanim dotarło do niej, że ktoś jest wewnątrz i coś do niej mówi.

— Właśnie kupiłam indyka. Największego, jakiego widziałas w życiu — oznajmiła z uśmiechem Barbara. Daphne drgnęła i spojrzała na nią nieprzytomnie. Widać było, ile wysiłku kosztuje ją przywołanie się do rzeczywistości.

— Cześć, Barb.

— Wydajesz się nieobecna. Myślisz o swojej nowej książce?

— Częściowo... — Tak szczególnego wyrazu twarzy Barbara nie widziała u Daphne od bardzo dawna. Wyglądała jak ktoś znajdujący się w hipnotycznym transie.

— Gdzie Justin?

— Wyszedł — odparła wymijająco Daphne. Nie mogła się tak od razu zdobyć na wyznanie prawdy. Skądinąd nie sposób było odwlekać tego w nieskończoność. Nie miała w końcu żadnych zobowiązań względem Justina i nie musiała przejmować się tym, co ktoś sobie o nim pomyśli, toteż przed wyjazdem na lotnisko, z gniewnym błyskiem w oczach, zwróciła się do Barbary.

— Barb, Justina nie będzie jutro na obiedzie.

— Jak to nie będzie? — Barbara w pierwszej chwili nie zrozumiała, po czym jednak szybko się zreflektowała. — Pokłóciliście się?

— Coś w tym rodzaju. Stało się to, kiedy oświadczył, że wyjeżdża na narty w góry i tam spędzi Święto Dziękczynienia.

— Żartujesz?

— Nie. I nie chcę już o tym mówić. — Zostało to powiedziane tak dobitnie, że Barbara zamilkła. Daphne zresztą, wyrzuciwszy z siebie to kategoryczne zdanie, natychmiast zniknęła za drzwiami i udała się prosto do samochodu.

Pojechała po syna sama. Zachmurzona zostawiła samochód na parkingu i wolno szła do hali przylotów, wciąż błądząc myślami wokół Justina. Jak chciał, tak zrobił: dogodził swojemu kapryswi. Najzwyczajniej wyszedł z domu, jakby udawał się po gazetę, nie dbając ani o to, co mówiła, ani o jej uczucia. Głośniki zapowiedziały już lądowanie samolotu Andy'ego, a Daphne nadal huczały w głowie słowa, które powiedzieli sobie z Justinem przed rozstaniem. Wkrótce jednak zobaczyła samolot kołujący na płycie i raptem wszystkie jej ponure myśli rozpierzchły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W mgnieniu oka obraz Justina przesłoniła w jej umyśle uśmiechnięta buzia synka.

Serce zabiło jej mocniej, gdy w drzwiach ukazali się wysiadający pasażerowie. Nagle dostrzegła go tam, gdzie panował największy ścisk. Szedł, tak jak za pierwszym razem, prowadzony za rękę przez stewardesę i rozglądał się, szukając jej wzrokiem. Daphne chciała mu dać znać, że jest, że czeka, ale przez kilka sekund nie mogła wykonać najmniejszego ruchu. Oto jej dziecko, odrzucone przez Justina, dziecko, wokół którego zbudowała cały swój świat. Ruszyła w jego stronę jak popchnięta jakąś magiczną siłą, nie zważając na tłoczących się ludzi.

Andy zobaczył matkę, wyrwał się swojej opiekunce i podbiegł do Daphne z cichym wołaniem, które wydawał z siebie zawsze, gdy był szczęśliwy. Niebo otworzyło się przed Daphne: ten chłopczyk był wszystkim, co zostało jej w życiu, w którym ponosiła jedną stratę po drugiej; był jedyną szczerze kochającą ją istotą. Chwyciła synka, jak tonący chwyta koło ratunkowe, i przytuliła

z całych sił. Gdy Andy uniósł po chwili główkę, na twarzy Daphne ujrzał równocześnie i uśmiech, i łzy.

— Jak dobrze mieć cię znowu przy sobie — powiedziała, starannie poruszając wargami. Andy uśmiechnął się ciepło.

— Będzie jeszcze lepiej, kiedy ty na stałe wrócisz do domu. - Tak, o wiele lepiej — zgodziła się, dodając w duchu, że

prawdopodobnie nastąpi to prędzej, niż przypuszczała. Trzymając się za ręce poszli odebrać bagaż Andy'ego. Daphne nie puszczała go na krok od siebie.

W drodze do domu małemu buzia się nie zamykała. Opowiadał o szkole, o kolegach, aż wreszcie w pewnym momencie wspomniał o narzeczonej Matthew, co z niewiadomych powodów niemile Daphne dotknęło: jakoś nie miała ochoty słuchać o Harriet Bateau.

— Przychodzi do niego do szkoły w każdą niedzielę. Jest bardzo ładna i często się śmieje. Ma rude włosy i przynosi nam wszystkim cukierki.

Daphne wiedziała, że powinna się cieszyć przez wzgląd na Matthew, ale nie potrafiła wykrzesać z siebie radości. Przyjęła opowieść Andy'ego bez słowa komentarza, po czym zmieniła temat. Wkrótce zresztą przybyli do domu, gdzie czekało na nich mnóstwo ciekawych zajęć: pływali, rozmawiali, grali w karty i Daphne poczuła, że świat nabiera dla niej nowego, pełnego blasku. Wieczorem w ogrodzie upiekli sobie na ruszcie kurczaka i siedzieli nad nim dopóty, dopóki Andy nie zaczął okropnie ziewać. Był już bardzo śpiący, gdy Daphne położyła go w końcu do łóżka, ale mimo to zanim zgasła światło, przyjrzał jej się badawczo.

— Mamusiu, czy ktoś tu z tobą mieszka?

— Teraz nie. Dawniej mieszkała ciocia Barbara.

— Mam na myśli mężczyznę.

— Czemu o to pytasz? — Serce Daphne szybciej zabiło.

— Znalazłem w twojej szafie męskie ubrania.

— Należą do właścicieli domu.

Kiwnął główką, najwyraźniej zadowolony, po czym spytał: — Jesteś zła na Matthew?

— Oczywiście, że nie — odparła zaskoczona. — Skąd ci to przyszło do głowy?

Nadal spoglądał na nią z uwagą: jak na ośmioletnie dziecko był niewątpliwie spostrzegawczy. — Zdawało mi się, że gniewa cię, kiedy mówię o jego narzeczonej.

— Nie bądź głuptaskiem. Matthew to bardzo miły człowiek i zasługuje na miłą dziewczynę.

— Myślę, że on lubi cię.

— Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. — Daphne gwałtownie zapragnęła usłyszeć od synka, dlaczego uważa, że Matthew darzy ją jakąś szczególną sympatią.

Jakby zgadując myśli matki, powiedział sennie: — Dużo o tobie mówi i zawsze się cieszy, kiedy dzwoniysz. O wiele bardziej, niż kiedy Harriet przychodzi w niedzielę z wizytą.

Pleciesz, kochanie. - Uśmiechnęła się, nie przyznając się przed sobą, że tymi słowami sprawił jej przyjemność.

- Teraz już śpij. Mamy jutro przed sobą wspaniały dzień. Andy przytaknął z zamkniętymi oczami i zasnął, zanim

zdażyła zamknąć za sobą drzwi. Wróciwszy do siebie, znowu pomyślała o Matthew: wypadało chociaż zadzwonić do niego z wiadomością, że Andy szczęśliwie dotarł na miejsce. Matt zgłosił się pod swoim prywatnym numerem zaraz po drugim sygnale.

- Co tam z naszym małym przyjacielem? Doleciał cały i zdrowy?

- Zdrowiusieńki i rozgląda się, gdzie by coś spsocić.

- Dobrze. Przygotowujemy się do Święta Dziękczynienia. - Ich rozmowy stały się ostatnio jakby mniej osobiste. Brakowało w nich cieplejszych tonów. Oszłość pojawiła się po pierwszej przeprawie Daphne z Justinem, a zaznaczyła jeszcze wyraźniej od chwili, kiedy na scenę wkroczyła Harriet Bateau.

- Urządzasz u siebie wielki obiad z indykiem?

- Tak. - Na moment zawiesiła głos, ale szybko przestała się wahać; po co wciągać Matthew w ustawiczne rozterki? To przecież nie jego kłopot, że Justin nadal wzdraga się przed poznaniem Andy'ego i że ona na dobrą sprawę nie wie już, czy się z tego powodu martwić, czy cieszyć, ponieważ i tak coraz poważniej myśli o powrocie do domu. - A co u ciebie, Matt?

- Ja spędzę Święto w Howarth.

- Nie pojedziesz do siostry?

- Nie chcę zostawiać dzieciaków samych - odparł. Daphne miała na końcu języka: „Dzieciaków i Harriet?”, ale ostatecznie zatrzymała to dla siebie. Skoro sam jej nie powiedział, widać nie miał ochoty rozprawiać na ten temat. - Wybierasz się niebawem do Nowego Jorku, Daff? - Pytanie zabrzmiało jak za dawnych, dobrych czasów, tylko tym razem w jego głosie odezwała się jakaś tęsknota, jakby płynąca z poczucia osamotnienia. Daphne westchnęła w odpowiedzi.

- Jeszcze nie zdecydowałam. Często o tym myślę.

- Wiedziała, że nieuchronnie zbliża się czas, w którym muszą zapaść ostateczne rozstrzygnięcia.

- W przyszłym tygodniu zamierzam pokazać Andy'emu szkołę w Los Angeles. — Tak sobie przynajmniej zaplanowała, lecz było to, zanim Justin pokazał swoje prawdziwe oblicze i zanim wyjechał do Tahoe.

— To wspaniała szkoła. Będziesz nią zachwycona. — Głos Matthew nadal brzmiał smutno. — Tutaj wszyscy będziemy bardzo tęsknić za twoim synem.

— Przecież ty też opuszczasz Howarth.

- To jeszcze nic pewnego — odrzekł przeciągle. Brał zatem pod uwagę możliwość pozostania w New Hampshire... Czy sprawy z Harriet Bateau zaszły już tak daleko? Na moment Daphne zamarło serce: rozumiała, że żaden inny powód nie wchodzi w rachubę. Co właściwie mógł wiedzieć Andy? Przy całej swojej spostrzegawczości miał przecież zaledwie osiem lat. Widać Matthew nosi się z zamiarem poślubienia Harriet.

— Zawiadam mnie o swojej decyzji.

— Naturalnie. I oczekuję tego samego od ciebie. Życzyła mu miłego Świąta Dziękczynienia, a następnie,

starając się nie myśleć o Justinie, położyła się i zasnęła. O północy zbudził ją telefon: dzwonił Justin, Justin pławiący się w szczęściu w swoim azylu w Squaw Valley. Na wstępie oznajmił Daphne, że tam, gdzie się zatrzymał, nie ma telefonu, po czym natychmiast zaczął opowiadać o śniegu i o tym, jak szalenie za nią tęskni. Nagle przerwał w pół słowa, oświadczając, że kona z zimna w otwartej budce telefonicznej, wobec czego musi kończyć.

Daphne, zupełnie wybita ze snu i wytrącona z równowagi, długo siedziała w łóżku, spoglądając na milczący telefon: po co w ogóle dzwonił? Jeśli aż tak marzył, to czemu początkowo wykazywał tyle ochoty do rozmowy? W końcu doszła do wniosku, że nic z tego nie rozumie i starając się na siłę nadać myślom inny kierunek, usnęła ponownie. Najdziwniejsze było jednak to, że całą pozostałą część nocy śniła o Matthew.

36

Dzięki Barbarze oraz córce Toma, Alex, obiad z okazji Świąta Dziękczynienia przeszedł najśmielsze oczekiwania Daphne. Trzy kobiety, śmiejąc się i gawędząc beztrzesko, wspólnie gospodarowały w kuchni, podczas gdy Tom i obaj chłopcy zabawiali się w ogrodzie, goniąc za piłkami golfowymi po całym trawniku. Andy urzekł Toma bystrością, a także ujawnianym niekiedy, mimo trudności w wysławianiu się, wspaniałym poczuciem humoru i dowcipem. Modlitwa dziękczynna, którą Daphne odmówiła, zanim zasiedli do stołu, była przepojona prawdziwą i głęboką wdzięcznością, jakiej nie odczuwała od bardzo dawna. Zmiotli całe góry jedzenia, po czym długo siedzieli razem przy kominku. Gdy zbliżył się wieczór, a z nim pora rozstania, Harringtonowie zegnali się ze szczerym żalem: dzieci Toma ucałowały Daphne i wyściskały Andy'ego, od którego wymogły obietnicę, że odwiedzi ich zaraz następnego dnia. Andy dotrzymał słowa i weekend upłynął w cudownej atmosferze pogody i spokoju. Gdyby nie tęsknota za Justinem, Daphne mogłaby powiedzieć, że jest absolutnie szczęśliwa.

W noc poprzedzającą wyjazd Andy'ego Justin odezwał się znowu, ale tak jak poprzednio po paru zdaniach raptownie się rozłączył. Daphne ogromnie to zirykowało: nie mogła pojąć, po co Justin sięga po telefon, skoro po upływie kilkunastu sekund przerywa rozmowę. Było to coś zupełnie absurdalnego. Zastanawiała się nad tym w ciemności, w domu tonącym w całkowitej ciszy, aż nagle doznała olśnienia: za każdym razem Justin musiał być przez kogoś zaskakiwany. Ktoś wchodził zniemacka tam, skąd telefonował, wobec czego błyskawicznie odkładał słuchawkę, żeby nie zostać przyłapanym na gorącym uczynku. Wszystko nagle stało się aż nadto jasne. Wyprostowała się gwałtownie, drżąc z wewnętrznej wściekłości. Upłynęły godziny, zanim zasnęła ponownie.

Cały następny ranek wypełniła jej krzątanina związana z wyjazdem Andy'ego. Odprowadziła go do samolotu, pożegnała i zadzwoniła z lotniska do Matta. Następnie wróciła do domu i przez trzy godziny próbowała pracować nad książką, ale myśl o Justinie nie pozwalała jej się skupić.

Zjawił się o drugiej w nocy. Otworzył frontowe drzwi własnym kluczem, postawił narty pod ścianą w holu i wszedł do sypialni. Był pewny, że zastanie Daphne pogrążoną we śnie, toteż zaskoczyło go, gdy ujrzał ją siedzącą w łóżku z książką w ręku. Podniosła oczy i popatrzyła na niego bez uśmiechu.

— Cześć, kotku. Czemu nie śpisz?

— Czekałam na ciebie — odparła krótko lodowatym tonem.

— To miłe. Czy twój dzieciak dotarł szczęśliwie?

— Tak, dziękuję. Nawiasem mówiąc, ma na imię Andy.

— O Chryste — jęknął. Wiedział już, co zaraz nastąpi: Daphne przygotowała się na kolejną rozmowę o Świącie Dziękczynienia. Mylił się jednak, i to bardzo.

— Z kim byłeś w Squaw Valley?

— Z mnóstwem nieznanym ludzi, którzy obsiedli wszystkie okoliczne góry. — Usiadł i zaczął zdejmować buty. Po dwunastogodzinnej jeździe nie był w nastroju do poddawania się śledztwu. — Czy nie możemy z tym poczekać do jutra?

— Nie możemy.

— Ja w każdym razie idę do łóżka.

— Doprawdy? A gdzie?

— Tu. O ile dobrze pamiętam, ostatnio mieszkałem właśnie tutaj. A może zmieniłem adres?

— Jeszcze nie, ale obawiam się, że bardzo prędko do tego dojdzie, jeśli nie odpowiesz mi na kilka pytań, i to szczerze.

— Słuchaj, Daff... Tłumaczyłem ci... Musiałem sobie wszystko przemyśleć... — Urwał, ponieważ w tym momencie zadzwonił telefon. Daphne natychmiast porwała słuchawkę,

przeżona, że coś przytrafiło się Andy'emu. Któż, jeśli nie Matt, mógłby dzwonić o wpół do trzeciej nad ranem?

A jednak nie był to Matt. Kobięcy głos poprosił do telefonu Justina. Daphne w milczeniu oddała mu słuchawkę.

— Do ciebie.

Wyszła z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Po paru minutach Justin znalazł ją w gabinecie.

— Daphne, proszę, wysłuchaj mnie. Wiem, że to wygląda podejrzanie, ale... Poczuł się nagle zbyt znużony podróżą, żeby przeciągać tę grę. Nie miał sił dłużej kłamać. Znowu usiadł i powiedział cicho: — W porządku, Daphne, masz rację. Byłem na nartach z Alice.

— Któż to taki, do diabła?

— Dziewczyna z Ohio — odrzekł zmęczonym głosem. — To absolutnie nic nie znaczy. Ona lubi jeździć na nartach, ja też, nie chciałem tu siedzieć podczas twojego małego rodzinnego święta, więc zabrałem ją ze sobą w góry. To wszystko.

Daphne zamurowało: dla Justina było to coś najnaturalniejszego pod słońcem. Dalsza walka nie miała sensu. Jej wynik był przesadzony. Koniec. Potwornie rozczarowana patrzyła na niego załzawionymi oczami. Miała wrażenie, że coś w niej umarło, że umarła ta część jej istoty, która go kochała.

— Justin, ja już dłużej tego nie zniosę.

— Tak, rozumiem. A ja nie potrafię się dla ciebie zmienić. Nie nadaję się do takiego życia, jakie sobie wymarzyłaś, Daff.

— Wiem. — Rozpłakała się. Podszedł do niej bliżej.

— Nie w tym rzecz, że cię nie Kocham. Kocham cię, ale po swojemu. Po prostu inaczej podchodzę do miłości niż ty i nie sądzę, żebym kiedykolwiek zdołał sprostać twoim wymaganiom. Ty chcesz mieć męża uczciwego do szpiku kości, a ja takim nigdy nie będę.

Skinęła głową, odwracając twarz.

— W porządku. Nie musisz się tłumaczyć.

— Dasz sobie radę?

Ponownie skinęła głową i popatrzyła na niego przez łyżki. Ze świeżą górską opalenizną prezentował się jeszcze piękniej niż zwykle. Ale to wszystko: był tylko szalenie urodziwym mężczyzną, na którego patrzy się z przyjemnością. Howard Stern miał słuszność, określając go jako rozpuszczone, zepsute dziecko, które robi zawsze tylko to, na co w danej chwili przyjdzie mu ochota, bez względu na cenę, jaką musi za to zapłacić ktoś drugi.

Gdy ujrzała, że zbiera się do wyjścia, na moment przestała jasno myśleć. Wbrew temu, co nakazywał jej nie przyćmiony do końca głos rozsądku, była gotowa błagać Justina, żeby został, zapewniać, że między nimi wszystko się jakoś ułoży.

— Justin? — W tym jednym słowie zawarła całą swą miłość do niego.

Rozłożył ręce. — Tak? Chyba sobie pójdę...

— Teraz? — spytała zdławionym głosem. Czuła się samotna i nieszczęśliwa. Wiedziała, że sama doprowadziła do takiego finału, ale wiedziała też, że zrobiła to świadomie, ponieważ nie miała wyboru.

— Tak będzie lepiej. Jutro zabiorę swoje rzeczy. — Skoro nieuchronnie musiała nadejść ta chwila... Spojrzał na nią z melancholijnym uśmiechem. — Kocham cię, Daff.

— Dziękuję.

Puste słowa. Wszystko to puste słowa, rzucone przez człowieka pozbawionego duchowego wnętrza. Drzwi zamknęły się za Justinem i Daphne, zalana łzami, pozostała sama w swoim gabinecie. Po raz trzeci straciła kogoś bliskiego, choć ten ktoś bardzo różnił się od Jeffa i Johna i inne były przyczyny jego odejścia. Mężczyzna, który właśnie opuszczał jej dom, nie kochał jej naprawdę, bo umiał kochać jedynie siebie. Mijały godziny, a Daphne, przytłoczona żalem, wciąż siedziała w pokoju, zastanawiając się nad przyczyną swojej klęski i nad tym, jak rozstanie z Justinem wpłynie na dalsze jej losy.

Gdy nazajutrz przyszła Barbara, Daphne miała sine cienie pod oczami i była blada jak płótno. Siedziała w gabinecie i pracowała.

— Dobrze się czujesz?

— Ujdzie... — Na długą chwilę zapadło milczenie. Barbara przyglądała się Daphne z rosnącym niepokojem. — Justin wyprowadził się dzisiejszej nocy.

Barbara odetchnęła w duchu, ale nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

— Czy powinnam zapytać o powód, czy też to nadal nie mój interes?

Daphne uśmiechnęła się gorzko, nie kryjąc zmęczenia.

— Nieważne. Prędzej czy później to musiało się tak skończyć.

— Jej głos nie brzmiał jednak zbyt przekonująco. Przez dziewięć miesięcy Justin był osobą liczącą się w jej życiu i teraz pozostawił po sobie pustkę, która przez pewien czas będzie sprawiać Daphne przykry ból, mimo iż będzie to ten rodzaj bólu, z którym nauczyła się już sobie radzić.

Barbara usiadła. — Przykro mi ze względu na ciebie, Daff. Ale skłamałabym, mówiąc, że żałuję. Stale wystawiałby cię do wiatru. Taki po prostu jest.

Daphne przytaknęła. — On chyba w ogóle nie myśli o tym, co robi. Nie zdaje sobie sprawy, że komuś wyrządza przykrość.

— Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej.

— Tak czy owak, bardzo mnie to zabolalo.

— Widzę. — Barbara położyła rękę na ramieniu Daphne. — Co zamierzasz teraz zrobić?

— Wrócić na stare śmieci. Andy'emu nie podobała się tutejsza szkoła, a moje miejsce także jest w Nowym Jorku. Tam znajduje się mój dom i tam czuję się u siebie, pisząc książki i mając blisko Andy'ego. — Mówiąc to wiedziała jednak, że niełatwo będzie jej wrócić do dawnego życia. Wyjeżdżając na Zachód, szeroko otworzyła przed sobą nowe drzwi na świat i teraz nie miała pewności, czy uda jej się znowu je zamknąć i ukryć za nimi. W Los Angeles spędziła wiele wspaniałych chwil u boku Justina, podczas gdy Nowy Jork kojarzył jej się z całkowitą niemal samotnością.

— Kiedy chcesz jechać?

— Załatwienie wszystkich spraw zajmie mi pewnie kilka tygodni. Jestem umówiona na parę spotkań w wytwórni. Comstock chce ze mną rozmawiać o kupnie praw do następnej powieści.

Barbara wstrzymała oddech. — I będziesz opracowywać scenariusz?

— Nigdy więcej, droga przyjaciółko. Raz w zupełności mi wystarczy. Nauczyłam się tego, czego chciałam, i odtąd ja będę pisać książki, a oni scenariusze. — Barbara posmutniała. Tego się właśnie obawiała, choć prawdopodobnie nie byłoby inaczej, nawet gdyby Daphne postanowiła zostać z Justinem na Zachodnim Wybrzeżu. Coraz częściej uskarżała się, że praca nad scenariuszem, a potem na planie zmusza ją do zaniedbywania literackich planów. — Tak więc wracamy do domu.

Barbarze nie przeszło przez gardło: „Ja nie”, o czym opowiadała w nocy Tomowi, szlochając w jego ramionach.

— Na miłość boską, Barb, przecież nie musisz z nią jechać do Nowego Jorku! — Zrobił taką minę, jakby sam miał się zaraz rozplakać.

Potrząsnęła głową. — Owszem, muszę. Nie mogłabym jej teraz zostawić. Historia z Justinem kompletnie ją wykończyła.

— Jakoś przeżyje. Jesteś bardziej potrzebna mnie niż jej.

— Ona ma tylko mnie i Andy'ego.

— To wyłącznie jej wina. Masz zamiar poświęcić dla Daphne resztę swojego życia?

— Nie! — Zaniósł się gwałtownym płaczem. Objął ją mocniej i tulił, dopóki trochę się nie uspokoiła. — Po prostu nie mogę jej opuścić. — Barbara pamiętała, że podobnych argumentów używała przez całe lata, kiedy była przykuta do matki, ale tu chodziło właśnie o Daphne, tę Daphne, która wtedy pomogła jej odzyskać wolność. Matka Barbary zmarła rok wcześniej w zakładzie opieki i odtąd Barbara troszczyła się już tylko o swoją przyjaciółkę i pracodawczynię.

Tom spojrział z rozpaczą na ukochaną. — Kiedy w takim razie będziesz mogła ją zostawić?

— Nie wiem.

— To nie jest odpowiedź, Barb. — Zdesperowany wstał z łóżka i nalał sobie potężnego drinka. — Dlaczego mi to robisz? Po tym wszystkim, co między nami było, ty nagle decydujesz się na powrót z Daphne do Nowego Jorku. Niech to szlag trafi, to czyste wariactwo! — krzyknął tak, że Barbara znowu się rozpląkała.

— Ale ja jej tyle zawdzięczam. Poza tym zbliża się Boże Narodzenie i... — Tomowi nic to nie mówiło, lecz Barbara wiedziała, jak ciężkim przeżyciem dla Daphne jest każda Gwiazdka. W tej chwili nie mogła jednak wdawać się w wyjaśnienia, zresztą nie czuła się do tego upoważniona... Tylko że nie chciała stracić Toma; byłaby to zbyt wysoka cena za przyjaźń Daphne. — Posłuchaj, obiecuję, że niedługo wrócę. Poczekam, aż trochę zdomowi się w Nowym Jorku, i wtedy porozmawiam z nią o nas.

— Kiedy?! — Zabrzmiało to jak wystrzał. — Podaj dokładną datę, żebym mógł odliczać dni!

— Porozmawiam z nią tydzień po Bożym Narodzeniu. Przyrzekam.

— Ile będzie trwać okres wypowiedzenia? — nacierał dalej.

Chciała powiedzieć, że miesiąc, ale zmieniła zamiar, ujrzawszy wyraz jego oczu. Wyglądał jak zranione dzikie zwierzę. W tym momencie musiała przyznać w duchu, że z dwojga złego łatwiej byłoby jej rozstać się z Daphne niż z nim. — Dwa tygodnie.

— W porządku. Zatem mam się ciebie spodziewać w sześć tygodni od dnia wyjazdu?

— Tak.

— I wtedy za mnie wyjdiesz? — nie spuszczał z tonu.

— Tak.

Mięśnie jego twarzy wreszcie się rozluźniły. — Dobrze więc. Pozwalam ci wrócić z Daphne do Nowego Jorku, ale już nigdy więcej nie rób mi takich kawałów. Diabli by mnie wzięli.

— Mnie także. — Ułożyła się wygodniej w jego objęciach.

— Będę przyjeżdżał do was w weekendy.

— Naprawdę? — W ułamku sekundy odmłodziła o dziesięć lat. Popatrzyła na niego rozpromienionymi oczami.

— Jak najbardziej. I przy odrobinie szczęścia zajdziesz w ciążę jeszcze przed powrotem do Los Angeles. Dopiero wówczas będę spokojny, że dotrzymasz słowa.

Barbara roześmiała się w głos, słysząc, do jakich sposobów zamierza się uciec, ale samą myśl potraktowała poważnie: dawno już zdołał ją przekonać, że nie jest za stara na dziecko.

— Nie musisz tego wszystkiego robić, Tom.

— To znaczy czego? — podchwycił z uśmiechem. — Mówię przecież wyłącznie o przyjemnościach.

Do ostatniego dnia pobytu w Los Angeles Barbara spędzała z Tomem każdą wolną chwilę. Był również na lotnisku, gdy wsiadały do samolotu. W czarnym kostiumie i futrze z norek Daphne wyglądała szalenie po nowojorsku. Także Barbara wystąpiła w norkach, najnowszym prezencie od Toma.

— Obie jesteście nadzwyczaj szykowne — powiedział na koniec. Tak w istocie było. Całując Barbarę na pożegnanie, Tom szepnął jej do ucha: — Do zobaczenia w piątek.

Kiedy zajęły już swoje miejsca w samolocie, Daphne z udanym wyrzutem zwróciła się do Barbary:

— Nie widzę, żebyś była bardzo przygnębiona. Wietrzę jakiś spisek... — Barbara splonęła rumieńcem, a Daphne zaśmiała się, zadowolona, że trafnie odgadła. — Kiedy przylatuje do Nowego Jorku? Następnym rejsem?

— W piątek.

— Znakomicie. Gdybym miała choć krztynę przyzwoitości, natychmiast kazałabym ci wysiąść z samolotu.

Barbarze wystarczyło wszakże jedno spojrzenie na Daphne, aby zrozumieć, że nie mówi tego serio. Pod ciemnym futrzanym kapeluszem jej twarz była bladziutka i wymizerowana. Poprzedniego dnia Daphne spotkała się z Justinem, co musiało być dla niej bardzo ciężką próbą. Zaraz po lunchu Daphne sama zresztą do tego nawiązała.

— Mieszka już z tamtą dziewczyną.

— Tą z Ohio? — Daphne skinęła głową. — Może się z nią ożeni? — wypsnęło się Barbarze. Zła na siebie, powiedziała szybko: — Przepraszam, Daff.

— Nie ma za co. Może rzeczywiście do tego dojdzie, choć wątpię. Tacy mężczyźni jak Justin raczej się nie żenią. Tylko ja byłam za głupia, żeby to zrozumieć. — Następnie rozmowa zeszła na Andy'ego. Daphne oznajmiła, że wybiera się do niego w najbliższy weekend. — Chciałam ci zaproponować, żebyś pojechała ze mną, ale teraz, wiedząc, że masz ciekawsze plany... — Uśmiechnęły się do siebie, po czym Barbara odważyła się wreszcie poruszyć temat, z którym nosiła się od bardzo dawna.

— A co z Matthew?

— Z Matthew? — powtórzyła Daphne takim tonem, jakby pytała o poradę.

— Dobrze wiesz, o co chodzi. — Za długo się znali, ażeby Barbara dała się wziąć na takie sztuczki.

— Powiedzmy, że wiem. Ale on i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi, Barb, i tak już zostanie. — Daphne uśmiechnęła się przelotnie. — Poza tym Andy mówi, że on ma narzeczoną, i o ile mi wiadomo, nie są to żadne plotki. Sam Matt wspominał mi o niej we wrześniu.

- Coś mi się zdaje, że rzuciłby ją w dziesięć minut, gdyby wiedział, że jesteś wolna.

— Nie sędzę, a zresztą to nie ma dla mnie znaczenia. Tyle miesięcy byłam rozłączona z Andym, że teraz mamy mnóstwo rzeczy do nadrobienia. No i jeszcze przed Bożym Narodzeniem muszę się serio zabrać do nowej książki.

Barbara chciała odpowiedzieć, że to wszystko nie wystarczy do wypełnienia sobie życia, ale zauważyła, że Daphne nie ma ochoty kontynuować rozmowy. Odtąd siedziały przytulone do siebie, każda zatopiona we własnych myślach. W pewnym sensie owo milczenie było nawet Barbarze na rękę: sprawiłoby jej przykrość, gdyby musiała kłamać o sobie i Tomie, a nie była przygotowana do powiadomienia Daphne

o planowanym ślubie.

W Nowym Jorku Daphne — jadąc z lotniska do miasta — uśmiechnęła się szeroko.

— Witamy w domu.

Barbara westchnęła w duchu. Dla niej Nowy Jork nie był już domem, ona tęskniła do Los Angeles, a przede wszystkim do Toma. Natomiast Daphne potrafiła myśleć jedynie o Andym. Przez następne dni mówiła o nim bez przerwy, nie mogąc się doczekać końca tygodnia, a gdy wreszcie nadszedł, odebrała samochód z garażu i wyruszyła do Howarth, cały czas uśmiechając się do siebie i nucąc lekkie melodyjki. W wyobraźni widziała tylko cel swojej podróży i nic sobie nie robiła z tego, że na drogach wszędzie leży śnieg, czyniąc jazdę dość niebezpieczną. W pewnym momencie musiała się zatrzymać, żeby założyć łańcuchy na koła, ale nawet wtedy ani przez ułamek sekundy nie zatęskniła za słoneczną Kalifornią. Jedyne, czego pragnęła, to być blisko Andy'ego.

W New Hampshire, do którego dotarła krótko po dziewiątej, skierowała się wprost do gospody, skąd natychmiast zadzwoniła do Matthew, aby poinformować go, że przyjechała

i rano zjawi się w szkole. Słuchawkę podniósł jednak nie Matthew, a jeden z nauczycieli, który powiedział, że pan Dane wyszedł. — No i dobrze — szepnęła do siebie, patrząc w okno. Teraz nie wolno jej już o nim myśleć. Matthew miał swoje życie, ona swoje. Jej całym życiem był Andy. Potwierdziło to cudowne powitanie w szkole następnego ranka.

— Odtąd już nigdy nie będziemy daleko od siebie.

— Daphne nie chciało się wierzyć, że ten rok naprawdę dobiegł wreszcie końca. — Za dwa tygodnie przyjadę po ciebie i całe świąteczne ferie spędzimy razem w Nowym Jorku.

— Dwukrotny pobyt Andy'ego w Kalifornii wykazał ponad wszelką wątpliwość, że chłopiec może już nawet na dłuższy czas opuszczać szkołę. Andy jednak pokręcił przecząco głową.

— To niemożliwe, mamusiu.

— Niemożliwe? — Daphne aż podskoczyła. — Dlaczego?

— Jedziemy na wycieczkę. — Barbara nie myliła się; Andy też miał już swoje życie...

— Dokąd? — spytała ze ściśniętym sercem; więc święta przyjdzie jej spędzić samotnie.

— Na narty. — Andy uśmiechnął się marzycielsko. — Ale wracamy przed Nowym Rokiem.

Czy mógłbym wtedy do ciebie przyjechać?

— Naturalnie. — Zaśmiała się cicho: tak wiele się zmieniło w ciągu zaledwie jednego roku...

— I będziemy w sylwestra trąbić w rogi?

— Tak — powiedziała z lekkim zdziwieniem: przecież nie będzie mógł tego usłyszeć.

— Uwielbiam ich dotyk. Tak śmiesznie łaskoczą w usta, no i wszyscy inni słyszą hałas, jaki wydają. — Mimo całej swojej świeżo nabytej niezależności nie przestał być ośmioletnim chłopcem.

W tym momencie przyłączył się do nich Matthew. Daphne uśmiechnęła się na jego widok. — Witaj, Matt. Podobno zabierasz Andy'ego na narty?

— Nie ja. Muszę tu zostać, żeby definitywnie pozamykać wszystkie sprawy. Dzieci jadą do Vermont z innymi nauczycielami.

— Z pewnością będą się świetnie bawić. — Dostrzegł jednak cień żalu w jej oczach.

— Chciałaś, żeby przyjechał na święta do Kalifornii?

Daphne nie zdążyła mu jeszcze powiedzieć, że wróciła do domu. Wcześniej kazała jedynie Barbarze poinformować telefonicznie szkołę, że matka Andy'ego przebywa chwilowo w Nowym Jorku.

— Nie. Zamierzałam spędzić je w Nowym Jorku. — Zerknęła na niego ukradkiem, ale jego twarz pozostała niewzruszona. — Andy mówi, że będzie mógł przyjechać do mnie na Nowy Rok.

— To wspaniale. — Wymienili ponad głowę chłopca spojrzenia, w których każde z nich zawarło tysiące nie wypowiedzianych na głos myśli.

— Kiedy wyjeżdżasz. Matt?

— Dwudziestego dziewiątego. Zastanawiałem się ostatnio, czy jednak nie zakotwiczyć się tutaj, lecz doszedłem do wniosku, że bardziej jestem potrzebny w New York School. — Uśmiechnął się. — Może nie zabrzmiało to zbyt skromnie, ale Marta zagroziła, że jeśli nie wrócę, to ona też odejdzie, a oni tam nie mogą sobie pozwolić na stratę nas obojga. Marta jest dla nich niezastąpiona.

— Bądź bardziej sprawiedliwy dla siebie. Tu będą za tobą tęsknić do nieprzytomności.

— Na pewno nie. W przyszłym tygodniu przyjeżdża z Londynu nowa dyrektorka, cudowna osoba, jak można wnosić z jej listów. A ja będę bardzo często wpadał na niedzielne wycieczki. — Innymi słowy, postać Harriet Bateau nie zniknęła z horyzontu: ta wiadomość w istotny sposób

pomogła Daphne pokierować dalszą rozmową. Przemknęło jej wprawdzie przez głowę, że może Barbara miała rację, twierdząc, że powinna powiedzieć Mattowi o zerwaniu z Justinem, ale szybko odrzuciła tę myśl: teraz nie miała prawa mu tego robić.

— Czy te sprawy, które masz tu jeszcze do załatwienia, są rzeczywiście takie pilne, że nie możesz jechać z dziećmi na narty? — spytała delikatnie.

— Nie chcę również opuszczać dzieci, które muszą zostać w internacie.

Daphne skinęła głową, choć знаła także tę część odpowiedzi, którą przemilczał. Potem Matthew przeprosił ją serdecznie i wrócił do swoich zajęć. Od tego momentu Daphne widywała go jedynie przelotnie i niezbyt często. Był ogromnie zaabsorbowany przygotowaniem do przyjęcia nowej dyrektorki i przekazania jej szkoły. W efekcie dopiero wieczorem w przeddzień wyjazdu Daphne znaleźli czas, by tak jak to bywało dawniej, po położeniu do łóżka Andy'ego usiąść i porozmawiać. Daphne postanowiła wracać do domu jeszcze tej samej nocy. Po raz pierwszy pobyt w New Hampshire działał na nią przygnębiająco.

— Jak tam Kalifornia, Daff? — Matthew podał jej filiżankę kawy i ulokował się w swoim fotelu.

— Kiedy widziałam ją ostatnio, niczego jej nie brakowało. Od poniedziałku jestem w Nowym Jorku.

— Andy na pewno bardzo się cieszy, że zostajesz przez święta. Jak przypuszczam, twój przyjaciel w dalszym ciągu niezbyt się pali do spotkania z małym? A może przyjechał z tobą? — spytał z wyczekiwaniem w głosie. Trudno o lepszą okazję, pomyślała Daphne: aż się prosiło, żeby powiedzieć mu jedno krótkie zdanie. Odparła jednak:

— Nie, nie przyjechał. Muszę się ostro wziąć do nowej książki.

— Czy ty nigdy nie odpoczywasz? — Uśmiechnął się łagodnie, ale jak w duchu osądziła Daphne, bez szczególnego zainteresowania.

— Podobnie jak ty. Z tego, co zdążyłam tu zaobserwować, jesteś na najlepszej drodze do załamania nerwowego.

— Możliwe, tylko że nie mogę sobie na nie pozwolić.

— Wiem, jak to jest. Ostatnie dwa tygodnie pracy nad „Apaczem” omal nie doprowadziły mnie do obłądzenia. Za to końcowy efekt był wspaniały.

Opowiedziała Mattowi o ostatnim dniu zdjęć oraz pożegnalnym przyjęciu. Słuchał, nie przerywając, z subtelnym uśmiechem. Umiała opowiadać nader barwnie i zajmująco, choć cały czas starannie omijała wszystko, co w najłżejszy sposób dotykało jej życia osobistego. Rana była jeszcze zbyt świeża i bolesna, by obnażyć ją przed kimś, nawet jeśli tym kimś był Matthew i nawet gdyby nie istniała główna przeszkoda w postaci Harriet Bateau. Nie tęskniła już chyba za Justinem,

czuła się raczej jak osoba pokonana. Pokonana przez mężczyznę, którego mogła uważać za swojego, i przez dwudziestodwuletnią dziewczynę z Ohio. Nigdy dotąd nie doświadczyła podobnego uczucia i jak solennie sobie przysięgła — nigdy go więcej nie doświadczy.

— Co będziesz robić w czasie świąt, skoro Andy jedzie na narty? — zatroskał się Matthew. Zaraz jednak przyszło mu do głowy, że pewnie Justin przyleci dotrzymać jej towarzystwa. Powiedziała przecież, gdy poprzednio o nim rozmawiali, że najprawdopodobniej za niego wyjdzie.

— Och, mam mnóstwo zajęć. — To wystarczyło za odpowiedź. Rozmowa niespodziewanie się urwała. W przeciągającej się ciszy Matthew wspomniawszy w pewnym momencie Harriet, dziwiąc się w duchu, że akurat o niej pomyślał. Była miłą dziewczyną, ale nie dla niego, z czego oboje zdawali sobie sprawę. Parę tygodni wcześniej zaczęła się spotykać z kimś innym i lada dzień spodziewał się usłyszeć o jej zaręczynach. Harriet dojrzała już do małżeństwa i z całą pewnością będzie mogła wybierać wśród wielu mężczyzn chętnych do skorzystania z okazji. On jednak do nich nie należał. Zasługiwała na więcej, niż mógł jej ofiarować, o czym zresztą powiedział jej podczas ostatniego spotkania. Po prostu nie kochał Harriet Bateau.

Z zamyślenia wyrwał Matthew głos Daphne, która od dłuższej chwili przyglądała mu się spod przymrużonych powiek. — Zrobiłeś się nagle strasznie poważny, Matt.

Popatrzył w ogień, po czym wolno przeniósł na nią wzrok.

— Myślałem o tym, jak szybko ucieka czas i jak szybko wszystko się zmienia. — Daphne wolałaby usłyszeć, jak głębokie jest jego zainteresowanie Harriet i czy zastanawia się już nad datą ślubu, ale nie chciała teraz o to pytać. Miała dość własnych problemów, poza tym Matthew najwidoczniej nie kwapił się do poruszania tego tematu.

— To prawda. Wciąż nie mogę uwierzyć, że ten rok już minął.

— Mówiłem ci, że ani się obejrzyysz, jak będziesz go mieć za sobą. — W ciągu owego roku jeszcze bardziej wyczuwalna stała się emanująca z Matthew aura spokoju i życiowej mądrości. Daphne zauważyła też, że przybyło mu siwych włosów na skroniach. — I widzisz, jak świetnie poradził sobie Andy? — Matthew uśmiechnął się rozbrajająco. — Zresztą ty również.

— Andy zawdzięcza to tobie, Matt.

— Nic podobnego. Andy zawdzięcza to Andy'emu i kropka. — Daphne zrobiła nieokreślony gest, po czym podniosła się.

— Powinam się zbierać, jeśli mam pokonać trasę do Nowego Jorku.

— Jesteś pewna, że to rozsądne? — zapytał z niepokojem. Spojrzała na niego serdecznie. Przez cały czas pobytu

w Kalifornii tak często znajdowała w nim oparcie i ukojenie, że teraz nagle zapragnęła wyciągnąć do niego rękę i uściskać go. Wiedziała jednak, że to byłoby nie na miejscu. W głosie Matthew, gdy mówił o tym, jak wiele się zmieniło, nie dosłyszała najcichszej nutki żalu...

— Nic mi się nie stanie. Nie przekonałeś się jeszcze, że jestem niezniszczalna?

— Być może, ale na drogach leży cholernie dużo śniegu, Daff. — Odprowadził ją do drzwi. — Zadzwoń do mnie, jak dotrzesz do domu, dobrze?

— Nie bądź niemądry, Matt. Dojadę tam około trzeciej albo czwartej. Dla mnie to najlepsze godziny pracy, ale normalni ludzie mają zwyczaj spać o tej porze.

— Nie przejmuj się tym, tylko zadzwoń. Nie bój się, nie wybijesz mnie ze snu. Chcę jedynie wiedzieć, że szczęśliwie dotarłeś do domu. Jeżeli mi tego nie przyrzekniesz, zamiast pójść spać, będę co chwila do ciebie telefonował. — Była to prośba wykraczająca poza ramy zwykłej uprzejmości: odezwało się w niej jakby echo ich dawnej przyjaźni.

— No dobrze, zadzwonię, choć naprawdę wołałabym cię nie budzić.

Ostatnie zdania pożegnalnej rozmowy nie przestawały dźwięczeć Daphne w uszach, gdy wolno jechała na wschód, pokonując śliskie odcinki szosy. Droga zabrała jej więcej czasu, niż się spodziewała, i w domu znalazła się dopiero o piątej. To zbrodnia dzwonić do kogoś o takiej godzinie, ale niezależnie od danej obietnicy, nie mogła zaprzeczyć, że ma ochotę usłyszeć głos Matta. Wykręciła jego numer i już po chwili w słuchawce rozległo się zaspane „Halo?”

— Matt? Jestem u siebie — szepnęła.

— Wszystko w porządku? — Spojrzył na zegarek. Było piętnaście po piątej.

— Oczywiście. A teraz szybko znowu zaśnij.

— Nie śpieszy mi się. — Przeciągnął się w łóżku z leniwym uśmiechem. — To mi przypomina czasy, kiedy dzwoniłaś z Kalifornii. — Daphne też musiała się uśmiechnąć. Tak niezwykła pora stwarzała atmosferę, w której łatwiej o szczerą. — Wiesz, tęskniłem za tobą. Czasami, gdy przyjeżdżasz, wszystko układa się nie tak, jak powinno. Jestem stale zajęty, a wokół zawsze kręcą się tabuny ludzi.

— Rozumiem. Ja też czuję się wtedy niezręcznie.

— Daphne zamilkła na moment. Pomyślała, że koniecznie musi mu pozwolić zasnąć, i w tej samej chwili spytała: — Czy jesteś szczęśliwy, Matt? — Korciło ją, żeby zagadnąć o Harriet, ale i tym razem zabrakło jej odwagi.

— Nie narzekam. Na ogół jestem zbyt zapracowany, żeby się nad tym zastanawiać. A ty?

Zawahała się, zaraz jednak przywołała się do porządku.

— U mnie wszystko normalnie.

— Wychodzisz za męża? — Matthew musiał zadać to pytanie.

— Nie. — Poprzestała na tym jednym krótkim słówku i zmieniła temat. — Myślę natomiast, że może się to przytrafić Barbarze.

— Ten facet z Los Angeles?

— Tak. Jest wspaniały, a ona zasługuje właśnie na kogoś takiego.

— Ty także... — wymknęło mu się, zanim zdążył pomyśleć, co mówi, i błyskawicznie się zreflektował. — Przepraszam, Daff. To nie moja sprawa. — Mój Boże, pomyślał, a czyjaż?

— Nic nie szkodzi. Dość się przed tobą wyplakałam przez ostatni rok.

— Ale teraz już nie płaczesz, prawda? — Daphne uchwyciła jakiś niezrozumiały smutek w głosie Matthew. Wiedziała, rzecz jasna, że pyta o Justina.

— Ostatnio już nie.

— Cieszę się. Należą ci się od życia same dobre rzeczy.

— Tobie również. — W oczach Daphne zaczęły wzbierać łzy. Próbowwała się otrząsnąć, mówiąc sobie, że Matthew ma prawo być szczęśliwy z Harriet, ale w głębi duszy czuła, że zawsze będzie za nim tęsknić. A po dwudziestym dziewiątym, kiedy nie będzie go już w Howarth, straci nawet pretekst, by do niego telefonować. Może od czasu do czasu umówią się na lunch, lecz na tym koniec. A może być i tak, że po ślubie Matta i to okaże się niemożliwe. — Dostyc tej rozmowy, Matthew. Jest okropnie późno.

Matthew ziewnął i znowu spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta i musiał już wstawać. — Ty też trochę się prześpij. Musisz być wykończona po całonocnej jeździe.

— Odrobinę.

— Dobranoc, Daff. Wkrótce się odezwę.

Przed wyjazdem Andy'ego na narty zadzwoniła do Howarth, chcąc przekazać Matthew wiadomość, ale go nie zastała: wyszedł poza teren szkoły. Postanowiła odezwać się ponownie w Boże Narodzenie, jednak tego zamiaru już nie zrealizowała. W noc wigilijną na ośnieżonej Madison Avenue wpadła pod samochód i leżała teraz w szpitalu Lenox Hill, nie mogąc nawet zobaczyć zapłakanej twarzy czuwającej przy łóżku Barbary, która była nie tylko potwornie wstrząśnięta wypadkiem Daphne, ale również przerażona: jak ona powie o stanie matki Andy'emu? Kiedy Daphne na krótką chwilę odzyskała przytomność, wymogła na Barbarze obietnicę, że pod żadnym pozorem nie zadzwoni do szkoły chłopca, lecz Barbara wiedziała, że prędzej czy później i tak będzie musiała to zrobić. Zwłaszcza gdyby... Nie, ta myśl była nie do zniesienia.

W tym momencie pielęgniarka Liz Watkins zbliżyła się, aby sprawdzić puls chorej, i dała dyskretny znak Barbarze, że powinna wyjść z pokoju. Daphne miała gorączkę.

— Co z nią?

Liz popatrzyła Barbarze w oczy i doszła do wniosku, że tej wysokiej, silnej kobiecie może powiedzieć prawdę. Wyszły na korytarz.

— Będę z panią szczerą; nie jest najlepiej. Ta gorączka raczej nie wróży niczego dobrego.

Barbara wykonała desperacki ruch głową i łykając łzy poszła zadzwonić do Toma, który cały czas siedział w jej mieszkaniu, czekając na informacje. Tego dnia Barbara dzwoniła do niego już dziewiąty raz: urządziła mu ładne Boże Narodzenie, ale miała nadzieję, iż Tom zrozumie, że ona musi być teraz przy Daphne.

— Och, kochanie... — Tom słysząc jej płacz przeraził się, że stało się najgorsze. Barbara jednak szybko wyprowadziła go z błędu.

— Nie, ale ma wysoką gorączkę i pielęgniarka jest bardzo zaniepokojona.

Zastanowił się chwilę w milczeniu. — Czy na pewno nie ma kogoś, kogo mogłabyś zawiadomić, Barb? — Zdaniem Toma Barbara nie powinna brać całej odpowiedzialności na siebie.

— Z rodziny został jej tylko Andy. — Na myśl o chłopcu znowu zaczęła cicho płakać. Śmierć matki będzie dla niego katastrofą. W razie nieszczęścia Barbara weźmie go oczywiście ze sobą do Kalifornii, lecz to niewiele pomoże: Andy'emu potrzebna była Daphne. — Nawet gdybym chciała, nie mogę go zawiadomić, ponieważ jest na nartach. Ale on ma dopiero osiem lat. Nie powinien jej teraz oglądać.

— Czy ona jest aż tak poturbowana?

— Nie... Trochę... — zająknęła się. — Tylko może z tego nie wyjść.

Nagle Tomowi coś się przypomniało. — A ten facet ze szkoły w Howarth? Wiesz, ten dyrektor? Przecież przyjaźnią się ze sobą?

— Matthew...?

— Posłuchaj, Barb, to może być dla niego ważne. Ilekroć o nim wspominałaś, zawsze wydawało mi się, że między nimi jest coś więcej, niż Daphne chciała przyznać.

Barbara zawahała się. Co do jednego nie miała cienia wątpliwości: w żadnym razie nie będzie telefonować do Justina.

— Tak sądzisz...? — powiedziała z namysłem. — Nie wiem... Może rzeczywiście warto do niego zadzwonić. — Barbara nie domyślała się nawet, jak bliską osobą stał się w ostatnim okresie dla Daphne Matthew, przyszło jej jednak do głowy, że on najlepiej będzie wiedzieć, czy powinni zawiadamiać Andy'ego. — Za jakiś czas znowu się odezwę.

— Nie chcesz, żebym przyjechał do szpitala? — Barbara już miała powiedzieć, że nie, lecz raptem coś w niej pękło: nie czuła się na siłach dłużej znosić samotnie nieszczęścia, które na nich spadło. — Dobrze. Będę za dziesięć minut. — Tom zanotował podany mu przez Barbarę numer pokoju, po czym dodał, że przyniesie jej coś do jedzenia. Wiedział, że Barbara nie odczuwa głodu

w takich sytuacjach, ale wiedział też, że nie może cały dzień i noc żyć o samej kawie. Zdawał sobie sprawę, jak strasznym ciosem byłaby dla niej śmierć Daphne. Pocieszał się tylko w duchu, że wszystko skończy się pomyślnie.

Barbara długo stała przy telefonie, zastanawiając się, czy ma prawo dzwonić do Matthew. W jednym ze swoich nielicznych przeblysków świadomości Daphne wyraźnie zabroniła jej kontaktować się ze szkołą Andy'ego. Jakiś wewnętrzny głos mówił jej jednak, że powinna to zrobić. Wreszcie zdecydowała się: otworzyła torebkę Daphne i zajrzała do jej notesika z adresami. Obok nazwiska Matthew Dane'a widniał jego prywatny numer.

Odebrał telefon z widocznym roztargnieniem. Musiała oderwać go od pracy.

— Panie Dane, mówi Barbara Jarvis. Dzwonię z Nowego Jorku. — Słyszała przyśpieszone bicie własnego serca, dłonie zwilgotniały jej od potu; to nie będzie łatwa rozmowa.

— Tak? — rzucił zaskoczony. Oficjalny telefon od Daphne w nocy to coś nowego; do tego w noc Bożego Narodzenia... Znał naturalnie nazwisko jej sekretarki. Pewnie chce przekazać jakąś wiadomość Andy'emu.

— Ja... Panie Dane, to dla mnie bardzo trudne... Panna Fields miała wypadek. Jestem z nią w szpitalu...

— Czy to ona prosiła panią o telefon? — spytał z nie skrywanym wzburzeniem. Barbara, walcząc ze łzami, zaprzeczyła.

— Nie, nie ona. — Matthew usłyszał w słuchawce stłumione łkanie. — Wczoraj wieczorem potrafił ją samochód i... panie Dane, ona leży na oddziale intensywnej terapii i...

— szloch nie pozwolił Barbarze skończyć zdania.

— O Boże, jest aż tak źle? — Barbara przezwyciężyła opory i powiedziała mu wszystko, co było jej wiadome o stanie Daphne. Raz czy dwa przerwał jej drżącym głosem, żeby zadać jakieś dodatkowe pytania.

— Nie chciała, żebym zawiadamiała ani pana, ani Andy'ego, ale pomyślałam...

— Więc jest przytomna? — podchwycił z ulgą.

— Ocknęła się na parę sekund, ale potem znowu zasnęła.

— Barbara westchnęła ciężko i powtórzyła mu również to, co przed chwilą usłyszała od Liz Watkins. — A teraz wystąpiła jeszcze gorączka. — Wyjaśniła, co zdaniem pielęgniarki może to oznaczać. W głosie Matthew pojawiło się takie rozgorączkowanie, że Barbara z trudem go rozumiała. Nagle pojął, co musiała czuć Daphne po stracie Jeffa, a później Johna, jak również to, że dotąd nie uzmysławiał sobie, czym może być piekło rozpaczy. Przestał wypytywać o stan Daphne.

— Czy jest jeszcze przy niej ktoś oprócz pani? — Nie wiedział jak inaczej sformułować to pytanie.

— Nie, ale wkrótce będzie tu mój... narzeczony. Przyjechał na święta z Los Angeles... — W tym momencie dotarło do Barbary, o co naprawdę chodzi Mattowi, i postanowiła wziąć byka za rogi. — Panie Dane, Daphne miesiąc temu zerwała z Justinem.

— Dlaczego nic mi nie powiedziała? — Ta wiadomość wstrząsnęła nim mocniej niż wszystko, co usłyszał do tej pory.

— Myślała, że kocha pan tę młodą dziewczynę i że mówienie o rozstaniu z Justinem byłoby z jej strony nieuczciwością.

— Boże! — Siedział wtedy koło niej przed kominkiem i opowiadał dyrdymały. Przebiegł w pamięci, słowo po słowie, całą tę rozmowę i omal głośno nie jęknął: taki był wówczas pewny, że Daphne i Justin lada dzień się pobiorą.

— Nie uważa pan, że należy zawiadomić Andy'ego?

— Nie. On przecież w niczym nie może pomóc, a sam jest jeszcze za mały, żeby podjąć takiemu brzemieniu. Oszczędzajmy go, dopóki to możliwe. — Zerknął na zegarek, wstał i trzymając słuchawkę przyciśniętą do ucha zaczął krążyć po pokoju. — Przyjadę za sześć godzin.

— Chce pan przyjechać? — Barbarze na chwilę odebrało głos. Nie wiedziała, czego można spodziewać się po Matthew.

— Myślała pani, że tego nie zrobię? — spytał wyzywającym tonem.

— Nic nie myślałam. Czułam tylko, że koniecznie muszę do pana zadzwonić.

— I słusznie. Nie wiem, czy to teraz ma jakieś znaczenie, ale kocham Daphne od dnia, w którym ją ujrzałem, lecz nie potrafiłem zdobyć się na odwagę, żeby jej o tym powiedzieć. — Poczul ucisk w gardle, gdy usłyszał w słuchawce, że Barbara się rozplakała. — Teraz już nie pozwolę jej odejść, Barb.

— Miejmy nadzieję...

37

Matthew pędził do Nowego Jorku jak szalony, cały czas myśląc tylko o Daphne. Wracał w wyobraźni do każdej rozmowy, każdego telefonu, każdego, choćby najkrótszego, spotkania. Wszystkie one były na trwałe wryte w jego pamięci i teraz przesuwały mu się przed oczami, scena po scenie, niczym barwny film. Niekiedy uśmiechał się do siebie na wspomnienie jednego czy drugiego słowa, po czym jego twarz przybierała znowu zacięty, ponury wyraz. To niemożliwe, żeby coś takiego spotkało właśnie Daphne. Daphne, która tyle już w życiu przeszła, która z wręcz heroiczną odwagą stawiała czoło tak wielu przeciwnościom. I — jakby tego było mało — teraz ten nieszczęsny wypadek. Nie wierzył, nie chciał wierzyć, że to może być koniec. Równocześnie

rozumiał, że zagrożenie życia Daphne jest realne; na samą myśl, że mogłaby umrzeć, zanim zdąży do niej dotrzeć, zaciskał ręce na kierownicy i nie zważając na ślizgawicę jeszcze dodawał gazu.

Drogę do Nowego Jorku, całą w śniegu, pokonał w niewiarygodnym tempie i o wpół do trzeciej nad ranem był już w Lenox Hill. W pustym holu większość światel była wygaszona, na korytarzach i na schodach, po których biegł na górę, nie spotkał żywej duszy. Odnalazłszy oddział intensywnej terapii, skierował się prosto do dyżurki pielęgniarek i wtedy zatrzymała go Barbara. Zdążyła już wyprawić Toma do domu, wytłumaczywszy mu, że poradzi sobie sama ze wszystkim. Nie mogła opuścić szpitala wraz z narzeczonym, bo nieco wcześniej pielęgniarka powiedziała im, że ta noc będzie dla Daphne rozstrzygająca: albo zacnie przychodzić do siebie, albo nie dożyje następnego ranka.

— Matt? — Na dźwięk głosu Barbary drgnął i odwrócił się, tknięty niedorzeczną nadzieją, że to Daphne. Barbara patrzyła na niego z niedowierzaniem: jakim cudem znalazł się tutaj tak szybko? Musiał chyba fruwać nad oblodzonymi szosami? Miał szczęście, że nie skończył tak jak Daphne.

— Jak ona się czuje?

— Bez zmian. Pielęgniarka mówi, że najbliższe godziny będą przełomowe.

Ponuro skinął głową i bezwiednie przetarł czoło. Barbara bez słowa przyjrzała się wpadniętym policzkom Matta i głębokim cieniom pod oczami. Nic dziwnego, że tak wyglądał: przez ostatnie dni pracował niemal bez przerwy, a teraz ta okropna wiadomość i mordercza jazda. Wciąż miał na sobie te same stare sztruksowe spodnie i gruby sweter, w których zastał go telefon Barbary. Zostawił jedynie kartkę z krótką informacją dla swojego zastępcy i jak stał, wybiegł do samochodu, chwytając tylko po drodze portfel, kluczyki i płaszcz.

— Mogę do niej wejść? — zapytał nieśmiało. Barbara przeniosła pytające spojrzenie na pielęgniarkę. Ta popatrzyła na zegar.

— Może poczekajmy jeszcze parę minut.

— Siostró — Matthew zwrócił się do Liz Watkins wpijając się palcami w krawędź biurka — jechałem siedem godzin z New Hampshire, żeby ją zobaczyć.

— Rozumiem. Dobrze. — Za godzinę może być za późno, pomyślała i nie opierając się dłużej, poprowadziła ich korytarzem w stronę otwartych drzwi pokoju Daphne. Matthew zrobił dwa kroki do przodu i zatrzymał się. Leżała tam, nieruchoma, obłana jaskrawym światłem, spowita w bandażu przytrzymywane przez plastry, podłączona pajęczyną przewodów do zestawów najróżniejszej aparatury. Ten widok wstrząsnął nim do głębi: miał ją świeżo przed oczami, taką, jaka była zaledwie dwa tygodnie temu w Howarth... Wolno ruszył przed siebie, podszedł do Daphne i usiadł na krześle obok łóżka. Następnie pochylił się i delikatnie zaczął gładzić jej jasne włosy. Barbara, która dotąd nie spuszczała z Matthew wzroku, odwróciła się i wraz z Liz Watkins

cicho wyszła z pokoju. Tym dwojgu nie należy teraz przeszkadzać. Taka kobieta jak Daphne nigdy nie powinna być sama. Nigdy. A ów mężczyzna o łagodnych brązowych oczach wydawał się dla niej wymarzony.

— Witaj, maleńka. — Matthew ostrożnie musnął wierzchem dłoni policzek leżącej, po czym nie prostując się już, siedział nieruchomo i patrzył na Daphne. Po raz któryś z kolei zaczął się zastanawiać, czemu nie powiedziała mu o zerwaniu z Justinem. Barbara dawała do zrozumienia... ale mogła się mylić. Może Daphne nigdy na nim nie zależało i nie zależy? Jeżeli choć na chwilę odzyska świadomość, postanowił, powie, że ją kocha. Trwał tak przez okrągłą godzinę w nie zmienionej pozycji, z twarzą przy twarzy Daphne, dopóki nie zjawiała się Liz Watkins, by skontrolować stan pacjentki.

— Jest jakaś zmiana? — zapytał Matthew. Pielęgniarka zaprzeczyła ruchem głowy: gorączka nawet trochę wzrosła. Mimo to Liz nie nalegała, żeby Matthew opuścił pokój Daphne. O siódmej rano, przekazując dyżur koleżance, powiadomiła ją o wydarzeniach minionej nocy, po czym dodała:

— Pozwól mu zostać, Annę. Zachowuje się bardzo delikatnie. Kto wie, może dzięki niemu Daphne Fields odzyska przytomność? Ona walczy o życie.

Koleżanka nie protestowała. Obie pamiętały, że wiele razy były świadkami, jak obecność kogoś bliskiego w cudowny sposób pozwalała wyjść z zapaści ludziom, którym lekarze nie dawali żadnych nadziei. Jeśli istnieje bodaj nikła szansa, by stało się tak i w tym przypadku, na pewno nikt rozumny się temu nie przeciwstawi. Liz przed wyjściem zajrzała jeszcze do pokoju Daphne, żeby pożegnać się z Mattem i ostatni raz rzucić okiem na chorą. Odniosła wrażenie, że bladeść jakby nieco ustępowała, ale mogło to być równie dobrze złudzenie. Za to Matthew wyglądał okropnie: jego twarz posiniała od zarostu, cienie pod oczami stały się niemal czarne.

— Czy nie mogłabym panu czegoś przynieść? — spytała cicho. Byłoby to trochę w niezgodzie z przepisami, ale wolno jej przecież poczęstować gościa filiżanką kawy. Matthew jednak potrząsnął przecząco głową. Wracając korytarzem, Liz zauważyła, że Barbara usnęła na ceratowej kanapie. Jadąc do domu cały czas zastanawiała się, czy wieczorem, po powrocie do szpitala, zostanie Daphne przy życiu. Ta myśl towarzyszyła jej nieprzerwanie przez resztę dnia. W pewnym momencie sięgnęła nawet po „Apacza”, który był jej ulubioną książką, by odświeżyć sobie w pamięci kilka fragmentów. Gdy o jedenastej wieczorem ponownie obejmowała dyżur w szpitalu, przez dobrych parę minut bała się zapytać o Daphne. Wreszcie koleżanka sama poinformowała ją, że Matthew nie oddalał się stąd ani na krok, a w Daphne wciąż jeszcze tli się wątła iskierka życia. Po południu Barbara udała się w końcu do domu, aby choć trochę odpocząć.

Liz ruszyła wolno korytarzem w stronę pokoju Daphne. Od progu uderzył ją widok Matta. Stał pochylony nad łóżkiem i wpatrywał się w twarz Daphne z niemym błaganiem, żeby nie odchodziła.

— Panie Dane, naprawdę powinien pan coś zjeść — szepnęła Liz. Jego wygląd wyraźnie zdradzał, że przez całą dobę nie miał w ustach nic oprócz kawy, którą wlewał w siebie całymi kubkami.

— Nie, dziękuję — uśmiechnął się nieznacznie. Zarost miał silniejszy niż rano, ale rysy mu złagodniały, a oczy lśniły energią. — Myślę, że jest trochę lepiej.

Gorączka spadła i cera Daphne zaczęła ledwie dostrzegalnie odzyskiwać kolory, mimo iż chora wciąż leżała w całkowitym bezwładzie. Jej powieki nie drgnęły ani razu, gdy zmieniano kroplówki i jakieś inne podłączenia. Matthew trwał przy Daphne niewzruszenie, od czasu do czasu gładząc ją tylko po włosach.

Liz Watkins zbliżyła się do łóżka. — To naprawdę zdumiewające, panie Dane. Czasami wystarczy obecność kogoś takiego jak pan, żeby stał się cud.

— Miejmy nadzieję. — Wymienili półgłosem jeszcze parę słów, po czym Liz zajęła się innymi pacjentami, natomiast Matthew, ciągle nie odrywając oczu od twarzy Daphne, wrócił na swoje krzesło obok łóżka. Wreszcie gdy nad Nowym Jorkiem zaczęło podnosić się słońce, chora niemal niezauważalnym ruchem lekko zmieniła pozycję. Matthew wstrzymał oddech, niepewny czy mu się nie przywidziało, a jeśli nie, to czy może to przyjąć za dobrą oznakę. Jednakże po chwili Daphne nagle otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju. Spostrzegłszy Matta, wyraźnie się zdziwiła, a po chwili ponownie straciła przytomność, lecz teraz nie trwało to dłużej niż kilkanaście sekund. Matthew chciał zadzwonić po pielęgniarkę, ale bał się ruszyć, poza tym przemknęło mu przez głowę, że może to on ma już jakieś majaki. Daphne jednak znowu uniosła powieki i tym razem pozostały one otwarte.

— Matt...? — nie był to nawet szept, raczej coś zbliżonego do cichutkiego szmeru.

— Dzień dobry.

— Ty tutaj? — spytała odrobinę mocniejszym, choć nadal niepewnym, przerywanym głosem. Widać było, że jest zupełnie zdezorientowana. Gdy jednak ujął jej dłoń w swoją, uśmiechnęła się słabo.

— Tak. Bardzo długo spałaś.

— Co u Andy'ego?

— Ma się doskonale. Ty też będziesz się tak mieć za dzień, dwa. Wiesz o tym, prawda?

Jej uśmiech stał się troszeczkę wyraźniejszy. — Nie czuję się najlepiej. — Matthew omal nie wybuchnął histerycznym śmiechem. Czuwał przy niej przez dwadzieścia osiem godzin, umierając ze strachu, że lada chwila ją straci, a ona mówi: „nie czuję się najlepiej”.

— Daphne... — Przymrużyła na moment oczy, więc poczekał, aż otworzy je ponownie. — Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. — Gładził jej ramię, próbując przewyciężyć dławienie w gardle. Daphne spojrzała na Matta i lekko skinęła głową.

— Ja już wiem...

— Wiesz? — Poczul się głęboko rozczarowany. Jak to? Ona wie? Wie i nie chce nic od niego usłyszeć?

— Ty... się żenisz... — Wielkie, błękitne oczy Daphne wypełniły się smutkiem. Matthew patrzył na nią osłupiały.

— Naprawdę przypuszczałaś, że siedzę tutaj i czekam, aż się zbudzisz, tylko po to, żeby ci powiedzieć, że się żenię?

Na twarz Daphne powrócił nikły uśmiech. — Zawsze byłeś bardzo dobrze wychowany.

— Ale nie aż do tego stopnia, głuptasie.

Daphne uśmiechnęła się odrobinę szerzej, po czym znowu zamknęła oczy i przez chwilę odpoczywała. Gdy ponownie na niego spojrzała, spotkała napięty wzrok Matta.

— Kocham cię, Daff. Zawsze cię kochałem i nigdy nie przestanę. To właśnie chciałem ci powiedzieć.

— Nie, nie kochasz mnie... — Usiłowała potrząsnąć głową, ale tylko się skrzywiła. — Kochasz Harriet... Boat... czy jak tam ona się nazywa...

— Harriet Boat, jak powiadasz, nic dla mnie nie znaczy. Powiedziałem, że jej nie kocham, i przestałem się z nią widywać. Ona zresztą już wcześniej знаła prawdę. Znał ją każdy oprócz ciebie.

Długo na niego patrzyła, zanim do jej świadomości dotarło znaczenie słów, które usłyszała. — Czuję się winna z powodu tego, co do ciebie czułam, Matt.

— Czemu?

— Nie wiem... Uważałam, że to nie w porządku... Nie w porządku wobec ciebie... a potem wobec Justina... — Zrobiła jeszcze jedną przerwę. — Odeszłam od niego...

— Dlaczego to przede mną zataiłaś?

— Myślałam, że kochasz inną. — Nadal mówili do siebie szeptem. — A ty powiedziałeś...

— Wiem, co powiedziałem. Sądziłem, że ty i ten twój grecki bożek macie zamiar się pobrać.

Uśmiechnęła się smętnie. — Justin to idiota.

— Ja też byłem idiotą. Kocham cię, Daff. Wyjdiesz za mnie?

Na jej rzęsach wezbrały dwie wielkie krople. Zakrztusiła się łzami i zakaszła. Ucałował oczy Daphne i przytknął policzek do jej twarzy.

— Nie płacz, Daff... proszę... już dobrze... Nie chciałem ci sprawić przykrości... — Nie kochała go zatem: cóż innego mogły oznaczać te łzy? Sam miał ochotę płakać, jednak gładził miękko jej włosy, kiedy próbowała się uspokoić.

— Przepraszam... — odezwała się nagle pełniejszym głosem. Matthew zastygł w bezruchu. — Ja też cię kocham... Myślę, że pokochałam cię już pierwszego dnia. — Matthew patrzył na nią i patrzył, nie czując łez, które teraz i jemu spływały po policzkach.

— Nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo cię kocham.

— I ja ciebie...

W tym momencie wróciła Liz Watkins. Jeszcze w korytarzu dobiegł ją głos Daphne, a gdy stanęła w drzwiach, ujrzała jej głowę, uniesioną i przytuloną do głowy Matta. Cofnęła się, zapukała dyskretnie i dopiero potem weszła do pokoju. Zbliżyła się do łóżka, spojrzała na Daphne i wiedziała już wszystko. Kryzys minął. Niebezpieczeństwo przestało istnieć. Odtąd Daphne zacznie szybko powracać do zdrowia. W tej chwili chora była wprawdzie zapłakana, ale równocześnie rozpromieniona.

— Hm. Wyglądacie na zupełnie szczęśliwą parę.

— Bo jesteśmy szczęśliwi — odpowiedział Matt, ubiegając swoją przyszłą żonę. — Właśnie się zaręczyliśmy.

— Proszę o dowód. — Pielęgniarka powiodła po nich rozbawionymi oczami. — Gdzie pierścionek?

— Połknęła go. Dlatego leży teraz w szpitalu. — Liz zaśmiała się i zostawiła ich samych. Matthew pochylił się jeszcze niżej nad Daphne. — Czy odpowiada ci koniec przyszłego tygodnia?

- A wtedy nie będzie mnie już boleć głowa? — Była ogromnie zmęczona, lecz równocześnie bezgranicznie szczęśliwa.

— Mam nadzieję, że nie.

— Wobec tego przyszły tydzień jak najbardziej mi odpowiada. Czy Andy będzie już w domu?

— Tak. Właśnie, jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałbym z tobą porozmawiać. Jak byś się zapatrywała na przeniesienie Andy'ego do New York School?

— I żeby mieszkał z nami w domu?

— Myślę, że jest już do tego w pełni przygotowany. Na twarzy Daphne wciąż jeszcze jaśniał słoneczny

uśmiech, gdy w pokoju pojawiła się pielęgniarka, popychając przed sobą szpitalną leżankę. Prysunęła ją do łóżka pacjentki i stanowczym tonem zwróciła się do Matthew:

— Polecenie lekarza, panie Dane. Oświadczył, że jeśli natychmiast pan się trochę nie prześpi, on własnoręcznie poda panu narkozę.

Kiedy znowu zostali we dwoje, Matthew wyciągnął się na leżance, delikatnie zamykając w dłoni wąską dłoń Daphne. Przed chwilą usnęła ponownie, ale nie była to złowróźbna zapaść, tylko dobry, ozdrowieńczy sen, przywracający siły. Matthew leżał bez ruchu, uśmiechając się do siebie. Wiedział, że wszelkie złe widma opuściły ich na zawsze. Ależ byli oboje niemądrzy... Jak mógł nie powiedzieć rok temu, że ją kocha? Na szczęście dzisiaj nie miało to już znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Nic... prócz śpiącej obok niego Daphne.